

Uwaga! Przedawkowanie grozi zerwaniem boków.
Na wszelki wypadek miej w pobliżu coś nudnego.

Wielka księga fantastycznego humoru



1
TOM

**FRIESNER · HARRISON · LANGFORD
WOLFE I INNI**

OPRACOWAŁ MIKE ASHLEY

**WIELKA KSIĘGA
FANTASTYCZNEGO
HUMORU**

*The Mammoth Book of Seriously
Comic Fantasy*

Opracował Mike Ashley

Tłumaczyli Dominika Schimscheiner i Marcin Morka

Spis treści:

TOM 1

Mike Ashley **WSTĘP, CZYLI DRUGA, NAJPOWAŻNIEJSZA STRONA W TEJ KSIĄŻCE**

James P. Hogan **PRE–HISTORIA (Neander–Tale)**

Esther Friesner **POŻEGNANIE WUJKA HENRY’EGO (Uncle Henry Passes)**

Craig Shaw Gardner **DEMONICZNE KONTRAKTY (A Dealing with Demons)**

David Langford **SPRAWA KUBY OBCINACZA, CZYLI OPOWIEŚĆ O WIELKIEJ ZIMIE (The Case of Jack the Clipper)**

ELFY, SKRZATY I INNI

Lawrence Schimel **O SZEWCU, O KRÓLU I O KRASNOLUDKACH (The Shoemaker and the Elvis)**

Cynthia Ward **TAŃCZĄCY Z ELFAMI (Dances with Elves)**

John Morressy **ZABEZPIECZENIE PRZED SKUTKAMI ALCHEMII (A Hedge against Alchemy)**

Julia S. Mandala **DIABELNIE NUDNY DZIEŃ W PIEKLE (A Slow Day in Hell)**

OPOWIEŚCI NIEWIARYGODNE

Gene Wolfe **Moje trzy kody pocztowe (How I Got Three Zip Codes)**

Ambrose Bierce **UPADEK HOPE’A & WANDELA (The Failure of Hope & Wandel)**

Elisabeth Waters **DAR URODZINOWY (The Birthday Gift)**

INWAZJA OBCYCH

Harry Harrison **HONARIO HARPPLAYER, KAPITAN KRÓLEWSKIEJ MARYNARKI (Captain Honario Harpplayer, R.N.)**

George Alec Effinger **OBCY, KTÓRZY WIEDZIELI WSZYSTKO. ABSOLUTNIE WSZYSTKO (The Aliens Who Knew, I Mean, Everything)**

John Grant **Z HISTORII. OPOWIEŚĆ O THOGU ZWALISTYM (History Book)**

SMOCZE SMACZKI

Archibald Marshall **ELIJAH P. JOPP I JEGO SMOK (Elijah P. Jopp and the Dragon)**

Charles Partington **CZELADNIK SMOCZEGO DOKTORA (The Dragon Doctor’s Apprentice)**

Molly Brown **ZASADY WALKI (Rules of Engagement)**

W.S. Gilbert **JAK ZATRYUMFOWAŁ WYSTĘPEK (The Triumph of Vice)**

TOM 2

DOBRE RADY

Peter Anspach PIĘĆDZIESIĄT NAJISTOTNIEJSZYCH RZECZY, O KTÓRE ZADBAM, JEŚLI KIEDYŚ ZOSTANĘ MROCNYM WŁADCĄ (The Top 50 Things I'd Don't Do If I Ever Became an Evil Overlord)

Elizabeth Counihan JAK ZOSTAĆ BOHATEREM (How To Be Fantastic)

Ron Goulart POCAŁUNKI HERSHEYA (Hershey's Kisses)

Tom Holt UCIECZKA Z PLANETY MISIÓW (Escape from the Planet of the Bears)

Sue Anderson ZADANIE (Quest)

Avram Davidson i Grania Davis WZGÓRZA ZA HOLLYWOOD HIGH (The Hills behind Hollywood High)

John Kendrick Bangs DOLEGLIWOŚĆ BARONA HUMPFELHIMMEL (The Affliction of Baron Humpfelhimmel)

GANGSTERSKA GADKA

Neil Gaiman AWANTURA Z DWUDZIESTOMA CZTEREMA KOSAMI (The Case of the Four and Twenty Blackbirds)

E.K. Grant CZŁOWIEK, KTÓRY NIENAWIDZIŁ CADILLACÓW (The Man Who Hated Cadillacs)

Seamus Cullen OSTATECZNOŚĆ (The Ultimate)

SZCZYPTA BAJEK

Terry Jones GWIAZDA PODWÓRZA (The Star of the Farmyard)

Anthony Armstrong O DIAMENTACH CZARNYCH I BIAŁYCH (Diamonds – Black and White)

IMPONUJĄCE IMPY

Eliot Fintushel MALOCCHIO (Malocchio)

Alan Dean Foster METROGNOM (The Metrognome)

L. Sprague de Camp OKO TANDYLII (The Eye of Tandyła)

Harlan Ellison MIEJSCÓWKA, DO KTÓREJ NIE DOCIERAJĄ TURYSI (The Outpost Undiscovered by Tourists)

Wstęp, czyli druga, najpoważniejsza strona w tej książce

Antologia ta, podobnie jak wcześniejsze, jest swoistym kolażem starego i nowego. Z trzydziestu czterech opowiadań, które składają się na niniejszą księgę, osiem publikowanych jest po raz pierwszy. Pozostałe ukazały się albo bardzo dawno temu, albo też były drukowane w periodykach o niewielkim nakładzie. Myślę, że większość przeczytacie po raz pierwszy.

Przy wyborze opowiadań przyjąłem szeroko pojętą definicję fantastyki, znajdziecie więc tu historie i z pogranicza science fiction, i takie, które zupełnie wymykają się ramom gatunku. Wystarczy wymienić Gene'a Wolfe'a, Esther Friesner, L. Sprague'a de Campa, żeby zyskać obraz różnorodności tematów oraz konwencji zawartych w tym zbiorze. Starąłem się przeplatać opowieści osadzone w innych światach z tymi, dla których scenerią jest nasza rzeczywistość, zaś historie o podobnych wątkach wyodrębniłem, zebrawszy je w wyróżnione tytułami podgrupy.

Wszystkie zamieszczone tu opowiadania łączy jeden cel: rozweselenie, rozśmieszenie czytelnika. Oczywiście każdy z nas ma odmienne poczucie humoru, ale dlatego właśnie starałem się zgromadzić tak różnorodne utwory. Liczę, że dzięki temu każdy znajdzie tu coś dla siebie. Ja zaśmiewałem się z niemal każdego z nich, a jeśli nawet nie sprowokowały mnie do głębokich przemyśleń, to przynajmniej wywoływały radość podczas czytania.

Dobrej zabawy.

Mike Ashley

James P. Hogan

(ur. 1941r.) znany jest lepiej jako autor książek z gatunku fantastyki naukowej, szczególnie cyklu Giganci (Giants), który otwiera powieść Gwiazdne dziedzictwo (Inherit the Stars, 1977). Poniższa historyjka pokazuje jednak, że potrafi także traktować z przymrużeniem oka i naukę, i naukowców. A przy okazji resztę rodzaju ludzkiego.

James P. Hogan

PRE-HISTORIA

– Sztuczny ogień?! Jak sobie to wyobrażasz? Co to w ogóle ma być, ten sztuczny ogień? – Ug ściągnął wydatne wały nadczołowe, spoglądając z niechęcią na bujnie owłosionego, krępego towarzysza.

Odziany w niedźwiedzią skórę Og kuczał przy otoczonym kamiennym kręgiem stosiku chrustu. Niewzruszony zaczepnym tonem Uga, podkładał pod gałązki kawałki suchego mchu. Stojący nad nim Ug trzymał maczugę na ramieniu, co oznaczało, że aktualnie, jak rzadko kiedy, nie był w krwiożerczym nastroju.

– To ten sam ogień, który pojawia się, jak piorun uderzy w drzewo – wyjaśnił Og wesoło, zabierając się do pocierania patyka o patyk. – Tyle że nie trzeba do niego pioruna.

– Zwariowałeś – skwitował Ug z głębokim przekonaniem.

– Poczekaj chwilę, a zobaczymy, czy zwariowałem.

Z suszu uniosła się smużka dymu, a chwilę później zamigotał płomyk, który szybko objął cały stosik. Ug krzyknął zaskoczony, cofając się przed ogniem i chwytając za maczugę. Og wstał usatysfakcjonowany ze stęknięciem.

– No i co, nadal uważasz, że zwariowałem?

Przez oblicze Uga przemknęły mieszane emocje, od zgrozy poprzez zdumienie aż po zaciekawienie.

– A niech cię mamut! Nie wiesz, że to niebezpieczne? W jednej chwili może się zapalić od tego cały las! Zgaś to, natychmiast!

– Spokojnie, kamienie zatrzymają go w miejscu. I nie zamierzam nic gasić, wprost przeciwnie, myślałem, że może moglibyśmy go do czegoś użyć.

– Na przykład do czego? – Ug łypał na trzaskające płomienie z bezpiecznej odległości. – Można się nim co najwyżej poparzyć.

– No nie wiem. Do różnych rzeczy... – Og potarł w zamyśleniu brodę. – Hm... Może dzięki niemu nie musielibyśmy ganiać ludzi tak daleko do gorących źródeł, jak zaczynają śmierdieć.

– A jakim cudem mieliby się nim umyć?

– No, zrobilibyśmy nim ciepłą wodę w jaskini. Zaoszczędziłoby to nam sporo

kłopotu. Szczególnie dziewczynom. Pomyśl, nie musiałyby...

– Co?! – wrzask Uga odbił się echem po otaczających polankę skałach. – Chcesz to wnieść do domu?! Zwariowałaś! Chcesz nas pozabijać? Nawet mamuty przed tym uciekają. Poza tym jak chcesz ogrzać tym wodę? Przecież przepali się każda skóra.

– No to trzeba użyć czegoś innego. Czegoś, co się nie spali.

– To znaczy czego?

– Jeszcze nie wiem! – zirytował się Og. – To nowa technologia, trzeba czasu, żeby ją opracować. Może coś z kamienia...

Przerwało im dochodzące zza zakrętu ścieżki tupanie oraz gwar głosów. Chwilę później na polankę wpadł Ag, wicewódz, a zaraz za nim kilkunastu członków neandertalskiego plemienia.

– Co tu się dzieje? – wydyszał Ag. – Usłyszeliśmy krzyki... Aaaa! Pali się! Dolina się pali! Ratuj się, kto może! Pożar w dolinie! – Reszta plemienia podjęła histeryczne wrzaski i rozbiegła się na wszystkie strony, znikając w zaroślach. Po lesie poniosły się odgłosy wpadających na siebie ludzi i stłumione przekleństwa.

Niestropiony Og patrzył z dumą na swoje dzieło. Ug też patrzył, aczkolwiek podejrzliwie i z daleka. Pomiędzy drzewami zaległa cisza. Dopiero po chwili zaczęły mącić ją ostrożne szelesty, a w otaczającej polankę zieleni pojawiały się jedna po drugiej brodate twarze. Wreszcie z listowia wynurzył się Ag.

– Co to? – Zbliżył się nieufnie do ogniska, popatrując to na Oga, to na Uga. – Skąd się tu wzięło? Nie było przecież ostatnio burzy.

– Og go zrobił – pospieszył z wyjaśnieniami Ug.

– Zrobił? Jak to zrobił? Na żarty ci się zebrało?

– Zrobił – upierał się Ug. – Sam widziałem.

– Ale po co?

– Dostał na jego punkcie małpiego rozumu. Mówi, że chce go wziąć do jaskini i...

– Wziąć to do jaskini?! – Ag plasnął dłonią o czoło, wytrzeszczając oczy na Oga. – Czyś ty oszalał? Nie widziałeś, co dzieje się ze zwierzętami, które nie zdążą uciec przed pożarem lasu? Chcesz nas upiec żywcem?

– Przecież nie każę ci w tym siedzieć – westchnął Og. – Można go trzymać w pewnej odległości. Występująca z brzegów rzeka wyrывa drzewa, ale przecież możesz zabrać wodę do jaskini, a nie zalejesz i nie utopisz ludzi. No, więc może dałoby się zrobić to samo z tym, jakoś go wykorzystać.

– Ale po co? – nie ustępował Ag.

– No, mógłby się przydać. Zwierzęta się go boją. Może odstraszyłyby niedźwiedzie, które każdej jesieni próbują zagarnąć naszą jaskinię. No wiesz... takie tam...

Ag zbył pomysł pogardliwym wzruszeniem ramion.

– Przede wszystkim odstraszyłyby domowników – prychnął. – Pouciekaliby na wzgórze i tyle. Tylko by nam zaszkodził.

– A dym? – krzyknęła któraś z postaci stojących na obrzeżach polany. Neandertalczyki opuścili już kryjówki, ale nie podchodzili bliżej.

– Co dym?

– No, nie da się nim oddychać, więc jak mielibyśmy mieszkać w zadymionych

jaskiniach?

– Trzeba zrobić tak, żeby dym wychodził na zewnątrz – zniecierpliwiał się Og.

– Czyli jak?

– No, na grzywkę mamuta, nie wiem jeszcze! To świeży wynalazek. Co byście chcieli? Wszystkie rozwiązania technologiczne w jeden dzień? Coś wymyślę!

– Zatrujesz tym powietrze – zgłosił obiekcje ktoś inny. – Jeśli zaczną używać go wszystkie plemiona w dolinie, zrobi się dużo dymu, który zasłoni niebo. Wtedy bóg słońce się wścieknie i wszystkich nas zabije.

– Skąd wiesz, że to bóg, a nie bogini? – zaprotestował jakiś kobiecy głos, szybko uciszony łagodnym grzmotnięciem maczugi sąsiada.

W tym momencie krąg rozstał się, przepuszczając Juga Siłacza, wodza plemienia, oraz Jega, szamana, którzy przybyli, by osobiście zbadać przyczyny zamieszania. Jeg był w młodości wielkim wojownikiem. Wieść niosła, że w pojedynkę pokonał byka, zagadując go na śmierć. Mówił tak długo, że zwierzę dostało skurczy w nogach i padło. W ten sposób zyskał przydomek „Skurczybyk”.

Z myślą o właśnie przybyłej starszyźnie Ag powtórzył wcześniejszą rozmowę przy akompaniamencie gorliwego przytakiwania Uga. W miarę opowiadania twarz Jega pochmurniała.

– To niebezpieczne – oświadczył po wysłuchaniu Aga. – Zdecydowanie.

– Nauczmy się, jak tego używać bezpiecznie – obstawał przy swoim Og.

– To niedorzeczne – obwieścił Jeg. – Jeżeli wymknie się spod kontroli, zniszczy całą dolinę. Poza tym to plus dzieci równa się śmierć. Na dodatek w razie deszczu trujący opad zanieczyści rzekę. Poza tym trzeba by połowę plemienia oddelegować do zbierania drewna, a potrzebujemy ludzi do innych robót. Jak byś nie patrzył, to głupi pomysł.

– Nie mamy czasu ani środków na takie bzdury – dodał Jeg, potwierdzając oficjalne stanowisko władzy.

Og nie ustępował, sprzeczka trwała więc jeszcze jakiś czas. Wreszcie Jeg miał dość. Wdrapał się na głaz i gestem uciszył krzykaczy.

– Nie wiadomo, jak sprawić, aby był bezpieczny, i po co w ogóle zawracać sobie tym głowę – przemówił. – W ogóle nic o tym nie wiadomo. – Odwrócił się, kierując ciężkie spojrzenie na Oga. – Stawiasz te swoje stopy i wymyślasz jakieś fantomowe teorie. Chyba nie oczekujesz, że przyłożymy do tego rękę? Każdy, kto bawi się stosem fantomowym, musi być słaby na umyśle – stwierdził z mocą. – Zgodnie z prawem taki osobnik zostaje wygnany z plemienia... na zawsze. A prawo nie czyni wyjątków. – Jug i Ag pokiwali głowami na znak, że zgadzają się z nim całkowicie, w tłumku zaś podniosły się aprobujące okrzyki:

– Pozbyć się głupka! Niech idzie do Homo Nonsensów!

– Sapiensy–nonsensy! Jest taki jak oni!

Og złożył odwołanie od wyroku do instancji apelacyjnej w osobie Aga, który przedłożył wniosek Jugowi.

– Precz! – brzmiał werdykt wodza.

Godzinę później, po wyrwaniu od starszyzny odprawy w formie surowego steku

oraz suszonej ryby, Og był spakowany i gotowy do drogi.

– Pożałujecie! – krzyknął przez ramię w stronę posępnej grupki, która zebrała się, by popatrzeć, jak odchodzi. – Jeszcze przyjdzie troglodyta do koryta. Jak nastanie zima, szybko zmienicie zdanie i będziecie mnie błagać, żebym wrócił. Tylko że wtedy może już nie będzie was na mnie stać!

– Baranozaur! – wrzasnął za nim Ug. – Mówiłem, że się na tym sparzysz!

W ciągu kolejnych miesięcy Og przewędrował dolinę wzdłuż i wszerz, próbując zainteresować swoim odkryciem inne plemiona. Bezskutecznie. Australopiteków pochłaniało całkowicie tresowanie kangurów do aportowania bumerangów, jako że bumerangi wskutek niedokładnych obliczeń konstrukcyjnych nie chciały wracać same. Szczep Homo Erectus (znany ze swej jurności) miał tylko jedno w głowie i nie potrafił skoncentrować się na niczym innym. Pitekantropy zaś stwierdziły, że nie zamierzają zmieniać się w gatunek całopalny, ani – co za tym idzie – kopalny. Wreszcie Og zaszedł w najdalsze krańce doliny, zamieszkiwane przez Homo Sapiens, zwanych złośliwie Homo Nonsensami. Inne plemiona trzymały się od jajogłowych dziwaków z daleka, nie chcąc mieć do czynienia z ich wynalazkami.

Pierwszy bezwłosy osobnik, jakiego Og napotkał, siedział na karczku, wpatrując się z namysłem w plaster drewna odcięty z końcówki leżącej nieopodal kłody.

– Co to? – zapytał Og bez wstępów. Sapiens podniósł na niego nieobecne oczy.

– Jeszcze nie wiem – przyznał.

– A do czego ma służyć?

– Tego też jeszcze nie wiem. Ale mam wrażenie, że da się z tym zrobić coś pożytecznego... Może sprawdzi się jako nowa broń miotana na hieny? – Sapiens powrócił spojrzeniem do trzymanego w ręku krążka drewna. Machinalnie przetoczył go kilkakrotnie po ziemi wte i wewte. Za ostatnim razem popchnął mocniej i znów popatrzył na Oga. – Nie jesteś stąd – zauważył. – Co sprowadza cię w nasze strony?

– Interesy. – Og po raz nie wiadomo który zdjął z pleców wiązkę chrustu, po czym ukucnął przy Sapiensie. – Mam coś, co cię zainteresuje. W tych patykach tkwi prawdziwa fortuna. Patrz.

Resztę popołudnia spędzili na wymianie doświadczeń i myśli technologicznych, aż wreszcie postanowili wziąć sprawy w swoje cztery ręce i razem potoczyć koło fortuny ku obopólnej korzyści. A ponieważ Og wnosił do spółki fortunę, to, co trzymał w ręku Sapiens, nazwali kołem. Wódz Sapiensów uznał, że sztuczka z patykami stanowi przyzwoitą cenę za pakiet udziałowy, i Og został przyjęty do grona pełnoprawnych członków plemienia. Neandertalczyk z radością przyjął możliwość spędzenia reszty życia pośród Sapiensów i nigdy już nie wrócił w pobliże rodzinnej jaskini na drugim końcu doliny.

* * *

Zima, która nadeszła niedługo później, była zimą stulecia. A właściwie zimą dwudziestopięciotysiąclecia. Kiedy wreszcie zrobiło się cieplej i stopniała lodowa okrywa, okazało się, że przetrwali ją tylko Sapiensi. Pewnego dnia dwaj z nich, Grog oraz Trog, zapuścili się w odległe krańce doliny, które niegdyś zamieszkiwali

Neandertalczycy. Po przejściu przez strumień natknęli się na wielki głaz pokryty wyrytymi koślawo znakami.

– Co to takiego? – zaciekawiał się Grog.

– Jakaś neandertalska wiadomość.

– Musi być strasznie stara. Co napisali?

Trog zmarszczył brwi, w skupieniu przesuwał palcem po znaczkach.

– To samo co na innych głazach w tej części doliny – oznajmił po chwili. – Wróć do domu, Og. Podaj swoją cenę.

– Co to, u licha, może znaczyć? – zastanawiał się Grog, drapiąc się po głowie.

– A skąd mam wiedzieć? – wzruszył ramionami Trog. – Pewnie wyryli to ci, co mieszkali kiedyś w tej jaskini za skałą. Tam gdzie teraz sypiają niedźwiedzie. Cena... hm... może chodzi o krupy? Ciągłe je liczyli, ale nie mieli głowy do interesów.

– Dziwacy. Nie mieli co robić, tylko ryć w kamieniu jakieś nonsensy.

– Uhm. Dobra, idziemy dalej.

Zarzucili na ramiona swoje włócznie i ruszyli dalej brzegiem kamienistego strumienia w stronę srebrzącej się w dole rzeki.

Esther Friesner

(ur. 1951r.) jest niekwestionowaną królową humorystycznej fantastyki. W ciągu minionej dekady napisała wiele świetnych humoresek oraz powieści, w tym cyklicznych, a także wydała kilka antologii. Wielokrotnie nominowana do nagrody Hugo oraz Nebuli, tę ostatnią zdobyła w roku 1995 i 1996 w kategorii miniatury literackiej. Poniższe opowiadanie zostało napisane specjalnie na potrzeby tego zbioru.

Esther Friesner

POŻEGNANIE WUJKA HENRY'EGO

Z ciężkim sercem wspominam ostatnie pożegnanie wujka Henry'ego – wuja taty, mojego dziadka stryjecznego, człowieka, który przez wiele lat z bezgranicznym oddaniem służył miastu Sutter w Nowym Meksyku. Nie dość, że zginął tak, jak zginął – przygnieciony upadającym, choć z niewielkiej wysokości, zwierzem – to jeszcze, jak twierdzi Daisy, właśnie do mnie należy przekazanie smutnej wieści tacie, wraz z nakreśleniem niezwyklej wydarzeń towarzyszących tej tragicznej śmierci.

Nawet nie wiecie, jak bardzo nie chcę tego robić.

Częściowo dlatego, że mama i tata wyjechali na swoje pierwsze od bardzo wielu lat wakacje, a nic dobitniej niż wiadomość o odejściu ulubionego krewnego nie uświadamia, że życie przemija, koniec nadchodzi niespodziewanie i że picie niebieskiego płynu z łupiny kokosa przybranej mieszadką w kształcie flaminga oraz kawałkiem ananasa nie odstraszy tego dupka, Mrocznego Anioła.

Przede wszystkim jednak rzecz w tym, że nie mam pojęcia, jak to zrobić. Istnieją pewne okoliczności związane z odejściem wujka Henry'ego, które tata, poznawszy z ust innych niż moje, uznałby za niemożliwe. Ba, nawet zakładając, że to ja będę zwiastunem nowiny, zupełnie nie wiem, jak sprawić, by dał im wiarę. Opisanie tego tragicznego wypadku w liście zajęłoby mnóstwo kartek i czasu, a rozmowa telefoniczna nie wchodzi w grę ze względu na koszty. Może nie tak od razu, ale natychmiast po wyjaśnieniu sprawy tata stwierdzi: „Niemożliwe!”, ja powiem: „Naprawdę!”, a po jego: „Nie wierzę!” będę zmuszony zaklinać się, że to prawda (bo tak jest, aczkolwiek prawda co poniektórym wcale nie trafia do przekonania), i ostatecznie rachunek osiągnie wysokość iście niebotyczną.

Dlatego postanowiłem spisać te wydarzenia – może jak wszystko to sobie porządnie poukładać w głowie, nie zbankrutuję, kiedy wreszcie zadzwonię do taty. Bo oczywiście zadzwonię. Nie chcę, ale muszę. Daisy powiedziała, że jeśli tego nie zrobię, dopilnuje, żebym długo nie mógł usiąść.

Wszystko zdarzyło się w dniu wyborów, który wstał chłodny i rześki i taki

pozostał aż do dziesiątej, kiedy to rozwój wypadków uczynił obserwację warunków pogodowych sprawą zupełnie nieistotną. Zaczęło się zaraz po godzinach szczytu śniadaniowego. Jak zwykle stałem za barem w kawiarni, obsługując jednocześnie klientów oraz kasę. Daisy, która mi pomaga, nie jest szczególnie rozmowna, chyba że chodzi o wydawanie poleceń lub wypominanie błędów. Ja przeciwnie, lubię pogawędzić z ludźmi, możecie więc sobie wyobrazić, jak bardzo ucieszył mnie dzwonek otwieranych drzwi oraz widok wchodzącego do lokalu burmistrza Wileya.

Burmistrz wyglądał na nieco wytrąconego z równowagi dzisiejszymi wyborami, tym bardziej że po raz pierwszy od dwunastu lat musiał prowadzić kampanię przeciw kandydatowi, który miał realną szansę stać się nowym wybrańcem fortuny. (Daisy mówi, że nie powinienem szpanować wymyślnymi figurami stylistycznymi, ale uwzględniając znany wszem wobec fakt, że burmistrz więcej niż partycypuje w zyskach firmy swego drogiego powinowatego, wygrywającej przetargi na wszystkie kontrakty publiczne, właśnie fortuna jest motorem jego kariery politycznej). W każdym razie zaoferowałem mu kawę na koszt firmy. Doszedłem do wniosku, że tak wypada, skoro swój głos oddałem na jego przeciwnika.

Burmistrz Wiley poszerzył sobie moją ofertę o darmowego pączka (oczywiście Daisy obwarczała mnie za to z góry na dół) i wtedy właśnie do miasta przybył jadący na potworze Merch Arnot, rozpętując (krok po kroku) prawdziwe piekło.

W pierwszą jaskółkę nadciągającej burzy wcielił się synek pani Pembelton, sześciolatek Timmy, który wleciał do kawiarni, wrzeszcząc coś o bestii i człowieku, który jej dosiada.

Burmistrz zsunął zadek ze stołka barowego i ruszył chłopcu na spotkanie.

– No już, już, spokojnie, Timmy – rzekł swoim firmowym, aksamitnym tonem, którego używał, chcąc wywrzeć wrażenie na wyborcach. – Co konkretnie masz na myśli, krzycząc: „Stary Arnot zwariował”? To żadna nowina. Spróbuj wyrażać się precyzyjniej, chłopcze. – Chciał poklepać małego Timmy’ego po głowie, ale dzieciak odskoczył, łypiąc na niego wilkiem.

– Tylko spróbuj, a tak cię trzasnę pozwem o molestowanie, że łeb ci się okręci szybciej niż frędzle na cyckach striptizerki – warknął. – Chcesz konkretów, to sam idź zobaczyć, co przywłókł tym razem! Jeśli o mnie chodzi, biorę dupę w troki i daję rurę do Albuquerque. Tylko buchnę jakąś brykę. – Z tymi słowy wypadł na ulicę.

Aż się serce kraje na myśl o dziecku przerażonym do tego stopnia, że gotowe jest podjąć tak desperackie kroki. Albuquerque, na Boga! Po krótkiej wymianie spojrzeń pognaliśmy z burmistrzem za malcem. W drzwiach krzyknąłem tylko do Daisy, by mnie zastąpiła – nie żebym spodziewał się najazdu klientów, jeśli sytuacja przedstawiała się choć po części tak źle, jak twierdził Timmy.

Wyobraźcie sobie, że było nawet gorzej. Fakt faktem, że główna ulica naszego miasta nie jest może najszerszą arterią komunikacyjną w Nowym Meksyku, jednakże w centrum ma cztery pasy plus wygodne pobocza parkingowe. No więc starczy powiedzieć, że od krawężnika do krawężnika szosy, wspierając się zadkiem na dachu wychuchanej, wydmuchanej terenówki Gavina Ordwaya, parkował sobie wygodnie największy Kotozaur Rex [*kot – (łow.) zając*], jakiego w życiu widziałem.

I chyba nie muszę dodawać, że jedyny.

Dorównywał wysokością dwukondygnacyjnej budowli, ale tylko jeśli liczyć do poroża, bo w kłębie miał trochę mniej wzrostu. Merchowi zdarzały się już wielkie wejścia. Chyba nigdy nie zapomnę Bożego Narodzenia w sześćdziesiątym dziewiątym, kiedy w świątecznej paradzie, przebrany za Świętego Mikołaja, powoził saniami zaprzężonymi w ósemkę rogatych pancerników o gabarytach dwupiętrowego autobusu każdy. Rodzicom cały tydzień zajęło uspokojenie mnie i siostry, kiedy biedne stworzenia zdechły z przedawkowania kapsułek czosnkowo-żeńszeniowo-witaminowych, dzięki którym utrzymywały takie rozmiary. Nadal cknę mi się za Rudolfem.

Tak czy owak, tym razem Merch nie przyprowadził do miasta nic, co przypominałoby Rudolfa. Sprawca zamieszania siedział na swoim wierzchowcu jak na słońcu, czyli okrakiem na karku, i usiłował kierować nim za pomocą uczeplonego nasady rogów cienkiego rzemyka. Ustrojstwo na oko nie umożliwiłoby kierowania nawet jamnikiem, jak stwierdziła Daisy, która wyszła z kawiarni pogapić się na dziwowisko.

Na ulice wyległ spory tłumek. Pierwsze od dwunastu lat wybory z możliwością wyboru wyciągnęły z domów mnóstwo ludzi. Taki dzień to dla nas, właścicieli małych interesów, nie lada gratka. No bo ile czasu zajmuje oddanie głosu? Jak już człowiek zadał sobie tyle zachodu, żeby nacisnąć guzik, będzie chciał głębszego uzasadnienia podróży do miasta, nawet jeśli miałyby nim być tylko zjedzenie kanapki z szynką w moim barku. W tej sytuacji mogliśmy zapomnieć o zyskach, a taki stan rzeczy nie wprowadził w dobry nastrój moich kolegów z Klubu Gazel Biznesu.

– Merch potrafi wszystko ***** – syknęła panna Diderot z magazynu sprzedaży kuponowej. (Przykro mi, po prostu nie jestem w stanie zmusić się do zapisania niektórych rzeczy słowo w słowo. W przeciwieństwie do Daisy nie wychowałem się w stodole).

Rory Vega ze stacji benzynowej wierzchem dłoni starł z policzka smugę oleju i gwizdnął przez zęby.

– Co to, u licha, jest?

– Na pewno niezły powód, abyś zaczął zamawiać części zamienne do terenówki – zachichotała Margaret Lee. Podejrzewam, że Margaret nigdy nie wybaczyła Gavinowi Ordwayowi, gdy ten rzucił ją dla nauczycielki z Santa Fe. Wychodziło na to, że potwór dosłownie z marszu zyskał sobie przynajmniej jedną fankę.

– Co to jest? A na co wygląda? – burknęła Daisy. – Kolejne wariactwo Arnota!

– Daisy! – wykrzyknąłem zgorszony i kopnąłem ją lekko, żeby trzymała mordę na kłódkę. Ludzie wokół nas umilkli naraz z zakłopotaniem, zupełnie jakby to oni, nie Daisy, powiedzieli tę okropną rzecz. Merch Arnot miał swoje małe dziwactwa, ale był zacnym człowiekiem, który urodził się i wychował w Sutter, i żaden porządny mieszkaniec nie użyłby w jego obecności tego słowa na „w”.

Na szczęście Merch był obecny zbyt wysoko, by usłyszeć cokolwiek z naszej rozmowy, a poza tym miał na głowie bardziej palące problemy, żeby zwracać uwagę

na obszczekującą go Daisy. Mówię wam, tym razem przeszedł samego siebie.

Wcześniejsze pytanie Daisy o wygląd istoty było co prawda retoryczne, ale opowiadając tacie o wujku Henrym, pewnie i tak przyjdzie mi opisać bestię, więc równie dobrze mogę to zrobić od razu. Szczerze powiedziawszy, stwór nie przypominał niczego konkretnego. Chociaż może raczej przypominał, ale nic do końca. Głównie zająca, ale tylko od szyi w dół. Potem robiło się ciekawiej. Głównie ze względu na łuski, rogi oraz paszczę. Szczególnie ta ostania rzucała się w oczy – wypełniona ostrymi, białymi kłami, jaskrawoczerwonym jęzorem, dobywającym się z gardzieli rykiem oraz Timmym.

Biedny Timmy. Nie dane mu było buchnąć bryki ani dać rury do Albuquerque. Ale ja uważam, że w każdej sytuacji prócz złych trzeba widzieć także te dobre strony. Do tych ostatnich należał na pewno fakt, że Timmy nie był jeszcze martwy. Choć sądząc z rozmachu, z jakim potwór nim potrząsał, było to kwestią czasu. Merch Arnot szarpał lichutką uzdę porożową, chłoszcząc bestię końcówką rzemieni, wałąc po szyi piętami i generalnie usiłując zmusić ją do wyplucia chłopca.

– Niedobra Gretchen! Niedobra dziewczynka! – pokrzykiwał. – Natychmiast go puść, słyszysz?!

Jak się zapewne domyślacie, efekt tych zabiegów był żaden. Ktoś pobiegł do Bag'n'Bye-Bye, żeby przyprowadzić panią Pembelton, która tam właśnie pracowała na kasie. Zupełnie jakby myślał, że rozdzierające lamenty matki zmiękczą serce potwora, a ten wypuści Timmy'ego, może nawet postawi go ostrożnie na ziemi, zniży ogromny rogaty łeb, żeby dzieciak mógł poklepać go po chrapach i przytulić mały miękki policzek do wielkiego łuskowatego, i rzec coś w stylu: „Już dobrze, Gretchen, kocham cię”, a potem ucałuje bestię, która parsknie z uczuciem i wszyscy gapie wydadzą chóralne: „Oooooooooch!”, bo każdy z nas jest bestią, dopóki ktoś go nie pokocha.

Według mnie, to przez Spielberga ludzie wierzą w podobne ***** dyrdymały. Normalnie coś takiego się nie zdarza, a przynajmniej nie w Sutter. To znaczy oprócz tej pierwszej części, czyli ujęcia z rozdzierającym lamentem matki. Pani Pembelton naprawdę się postarała. Aż za bardzo. Wrzask przeraził bestię, która nie wypuszczając z paszczy Timmy'ego, odskoczyła gwałtownie, uderzając puszystym zajęczym kuprem w witrynę banku i tłukąc szyby. Jakiś odłamek szkła musiał wbić mu się w zadek, bo potwór zaryczał boleśnie. To faktycznie skłoniło go do puszczenia Timmy'ego.

Na szczęście dla dzieciaka, Daisy miała głowę nie od parady, a do tego przyjaciela w straży pożarnej. Podczas gdy burmistrz i ja staliśmy jak te słupy, wytrzeszczając oczy, ona pobiegła wezwać strażaków. Ognik – dalmatyńczyk, a zarazem naczelną sikawka straży – zwijał się jak w ukropie, rozstawiając strażaków i poganiając ich szczekaniem. Dzięki temu właśnie Timmy, zamiast roztrzaskać się na betonie, wylądował na poduszce ratunkowej. Ostatecznie poobijał się trochę, ale nie połamał.

Chciałbym powiedzieć również o szczęściu w odniesieniu do Mercha Arnota, niestety jednak. Ukłuty kawałkiem szkła Kotozaur poderwał się na równe – tylne, mocarne – nogi, które przeniosły go jednym kicnięciem wprost w wystawę

kwiaciarni. Tego wypadku można było uniknąć, jak mawiała panna Ilse Daggett na zajęciach z BHP. Skoki, jak sama nazwa wskazuje, stworzone do skakania, pozwoliłyby bestii bez większego trudu przesadzić budynek i wylądować na ulicy po drugiej stronie. Gdyby tylko biedny ***** był w stanie zobaczyć w ogóle na swojej drodze jakiś budynek.

Tak, proszę państwa, nowy potwór Mercha miał najslabszy wzrok, jaki zdarzyło mi się napotkać u czegokolwiek poza przejechanym kretem. Nie mam pojęcia, czym Merch kieruje się, decydując, jaką część A Zwierzęcia Jeden połączyć z częścią B Zwierzęcia Dwa, ale tym razem niewątpliwie skrewił. (A skoro jesteśmy przy rzeczach, o których nie mam pojęcia, muszę przyznać, że dotyczy to także kwestii pochodzenia rzeczonych części, szczególnie jeśli chodzi o źródło członu „-saurus Rex” w tym przypadku, aczkolwiek wydaje mi się, że wolę nie pogłębiać swojej wiedzy w tym zakresie). W każdym razie tym, co mieliśmy aktualnie na naszej wspólnej obywatelskiej głowie, a przy okazji głównej ulicy Sutter, był dwu- czy trzytonowy, przerażony, rozszalały, agresywny, gadzi, rogaty i półślepy zajęczek.

***** ***.

Powiedziałem „nieokiełznany”? Nie? A powinienem. Pokpiwszy sprawę założenia bestii kielzna, Merchowi pozostawało teraz jedynie skupienie się na próbie okiełznania własnego pęcherza. Potwór nie reagował na jego polecenia ani desperackie szarpnięcia rzemykami, nawet zanim wpadł w popłoch, teraz więc, w pełnym popłochu, tym bardziej nie zamierzał tego robić. Po zderzeniu z kwiaciarnią odskoczył z powrotem na stronę z bankiem, tym razem zupełnie rujnując piekarnię, po czym przestraszony kicnął znów naprzeciwko, obracając w gruzy sklep żelazny, a następnie – w skrócie – stał się uosobieniem apokalipsy w konwencji ping-ponga.

Mimo to Merch Arnot utrzymał swoją pozycję na jego karku. Nie miał innej opcji. Zaplątał się w uprząż, związując się z bestią na dobre i na złe. W tym przypadku na to drugie. Wyglądał jak Gregory Peck w końcowej scenie *Moby Dicka*. Z tą różnicą, że Peck nie miał wtedy na głowie białego kasku rowerowego. Merch Arnot stanowi żywy dowód na to, że można być szalonym naukowcem, a jednocześnie pragmatycznym eksperymentatorem. Boże, błogosław Amerykę.

– Sprowadźcie pomoc! – zawył z karku miotającego się bezładnie potwora.

– Przecież sprowadziliśmy straż pożarną! – odwrzasnął Rory. – Mają poduszkę! Skacz!

– Do ***** *****, Rory! Ślepy jesteś?! – rozdarł się Merch wstrząsany gwałtownymi podrygami bestii, która właśnie zrujnowała aptekę i odbiwszy się od szczątków, unicestwiła pralnię. Gretchen, jak nazwał ją Merch, poruszała się zygżakiem, kierując na północ, co stanowiło wyjątkowo fatalną okoliczność, ponieważ dalej w tę stronę znajdowała się szkoła. Przy zachowaniu dotychczasowego kursu oraz pędu placówka oświaty miała małe szanse. Dzieci co prawda w niej nie było, bo kuratorium większością głosów zdecydowało, że na dzień wyborów zrobi dzieciakom wolne w zamian za sylwestra, ale w budynku szkoły mieścił się nasz lokal wyborczy. A ze względu na wyjątkowe wybory był pewnie wypakowany po brzegi, co utrudniałoby ewakuację, nie mówiąc o kwestiach

politycznych, które uniemożliwiłyby ją zupełnie. Demokraci podnieśliby krzyk, że to kolejne nieczyste zagranie republikanów, Stara Prawica [*konserwatywna frakcja Partii Republikańskiej*] zaś zaraz zaczęłyby się nadymać, że jeśli chodzi o nieczyste zagrania, niektórzy powinni sobie przypomnieć sprawę z Nowym Ładem, a potem Vince Scipio, który mimo że jest chodzącą apteką, i tak startuje z listy libertariańskiej w każdych wyborach, na każde stanowisko, palnąłby mówkę o zagrożeniach systemu dwupartyjnego i gdzieś w połowie jego wywodu byłoby już po wszystkim. Należało coś wymyślić.

Na szczęście zajął się tym sam Merch.

– Rory! – wrzasnął otoczony chmurą wzbitych w powietrze szczątków wypożyczalni wideo. – Rory! Biegnij do kościoła baptystów i sprowadź moją żonę! Wychowała Gretchen od szczeniaka, tylko ona sobie z nią poradzi!

– Żona! Tak jest! – Rory trzasnął obcasami, po czym okręcił się na nich z zamiarem pospieszenia we wskazanym kierunku. W ostatniej chwili zatrzymał się i krzyknął: – A która to w tym roku?

– A jakie to ma znaczenie? – warknęła Daisy. – Przyprowadź obie, potem będziemy się zastanawiać!

Niewielu mieszkańców posiadało odpowiednie predyspozycje, żeby dyskutować z Daisy. Rory do nich nie należał. Pognał i w niespełna trzy minuty był z powrotem, prowadząc żonę Arnota, Beth, oraz jej siostrę, Elizę.

Powinienem raczej powiedzieć żonę Arnota, Elizę, oraz jej siostrę, Beth, bo tak oceniłem sytuację, kiedy dotarły na miejsce. Przyznaję, że podobnie jak Rory'emu ciągle mi się myli, z którą żenił się danego roku. Nie zgrywam się, przysięgam. Nigdy nie wiem, która jest która, no chyba że stoją na wprost mnie, choć nawet wtedy myślę o nich jako o Prawej i Lewej, a co gorsza, siłą rozpędu zdarza mi się tak do nich zwrócić. Daisy nazywa mnie wtedy głąbem i mówi, że fakt, iż są bliźniaczkami syjamskimi, nie jest usprawiedliwieniem dla mojego prostactwa. (Oczywiście, kiedy odważę się jej wytknąć, że poprawnie powinno się mówić „bliźnięta zrosnięte” i określanie ich mianem syjamskich jest jeszcze większym nietaktem, cierpię potem na obrażenia pewnej tylnej części ciała. Niektórzy nie potrafią przyjąć spokojnie krytyki, nawet przyjacielskiej).

Jak już wspomniałem, dzień był chłodny, więc dziewczyny miały na sobie szyte na miarę futro z pstrągów, wyhodowanych przez Mercha w roku 1991 specjalnie na prezent z okazji rozwodu z Beth oraz ponownego ślubu z Elizą. (Choć nie jestem do końca pewien, czy w tym akurat roku nie wypadał rozwód z Elizą i ślub z Beth. Rozumiem, że Merch stara się jakoś to wszystko pogodzić, ale w efekcie robi się straszne zamieszanie, nie mówiąc o bałaganie w danych urzędu stanu cywilnego. Z drugiej strony dzięki permanentnej apokalipsie systemowej nie musimy się przejmować pluskwą milenijną). Obie robiły wrażenie tak samo wściekłych na Mercha, nie było więc potrzeby dochodzenia, która jest która.

– Merch! Co ty wyprawiasz?!

– Merch, kto ci pozwolił zabrać Gretchen do miasta?! To jeszcze dziecko!

– Przepraszam... – (Gretchen kicnęła znowu, zamieniając pizzerię w naleśnik). –

Kochanie! Myślałem, że jest gotowa na swój pierwszy spacer! – zawołał Merch do swych przemienionych małżonek. – Czy mogłabyś... – (Gretchen skoczyła na drugą stronę, obracając w pył salon manikiuru i kancelarię prawną Ordway & Ordway, która to rujnacja wywołała radosne okrzyki Margaret Lee) – coś z nią zrobić? Ciebie posłucha.

– No ja myślę! – fuknęła Eliza lub Beth, łapiąc się pod okryte pstrągami boki. Obie potoczyły spojrzeniem po tłumie, który do tego czasu rozrósł się ponad wszelkie wyobrażenie. – No dobrze – westchnęła, jak sędzę, Eliza. – Niech mi ktoś da gazetę.

Cóż, wstyd przyznać, ale wśród wszystkich zebranych, wśród całego tego ogromnego tłumu, nie znalazła się ani jedna osoba posiadająca przy sobie gazetę. Jak zwykle sytuację uratowała Daisy.

– Gazetę? Zaraz ci przyniosę gazetę. Zawsze wszystkim przynoszę ***** gazetę. – I popędziła, manewrując pomiędzy zaścielającymi ulicę stertami gruzu i rozbitymi samochodami a miotającym się chaotycznie potworem.

Rory Vega szturchnął mnie w plecy, odprowadzając ją zachwyconym spojrzeniem.

– Ech, chłopcze, ty to masz szczęście. Taka suczka!

Przyznałem mu rację. Raz na jakiś czas Merchowi udawał się eksperyment, który nie był chodzącą (albo kicającą) katastrofą. Fakt, że te mniej lub bardziej udane razy można policzyć na palcach jednej ręki, wyłączając w dodatku kciuk – futerkowe pstrągi, mojego psa, Daisy i te ogromne rogate pancerniki. No dobra, na upartego można dorzucić jeszcze świecącego-w-ciemnościach chomika książkowego z rodzaju tych, co przesuwają się po stronie książki, oświetlając aktualnie czytany fragment. (Aczkolwiek Merch upierał się zawsze, że są one raczej czymś, co można by określić mianem „eksperymentu znaleźnego”, pamiątki, którą przywiózł sobie z ostatniej wycieczki do Los Alamos).

Po powrocie Daisy przekazała gazetę Elizie lub/i Beth. Bliźniaczki, zrzuciwszy swoje pstrągi, pobiegly ulicą z zamiarem wyprzedzenia i przecięcia Gretchen drogi w miejscu, które można by nazwać punktem zwrotnym.

Nie ma to jak zdeterminowana kobieta, no chyba że dwie zdeterminowane kobiety, które dzielą gros jednego ciała, z organami wewnętrznymi włącznie. Eliza i Beth nie były mistrzyniami sprintu, ale doceniały i potrafiły wykorzystać zalety skrótów, dzięki czemu szybko zniknęły za rogiem, obiegly kwartał równoległą Cedar Street i wypadły z powrotem na Main dobre dziesięć metrów przed swoim panem i władcą jadącym na grzbiecie kapryśnej bestii. Nie udałoby im się to, gdyby nie fakt, że Kotozaur Rex poruszał się nie tylko zygzakami, ale też z coraz mniejszą prędkością. W dodatku potwora – a raczej potworzycę – co któryś kic znosiło w tył, na wcześniej zmiażdżone oraz wprasowane w ziemię obiekty.

Pani Arnot i jej siostra wdrapały się na latarnię, a kiedy Gretchen zbliżyła się wystarczająco, trzepnęły ją zwiniętą gazetą w nos. Nie mam pojęcia, jakim cudem pacnięcie zwiniętą, nawet bardzo ściśle zwiniętą gazetą miałoby powstrzymać istotę takich gabarytów, ale cud ten nastąpił. Skarcona Gretchen stanęła raptownie,

rozglądając się wokół z niejakim zdumieniem, zupełnie jak staruszka, która nie może sobie przypomnieć, gdzie położyła klucze.

Rozległy się wiwaty.

Merch siedział przez jakiś czas, łapiąc oddech. Potem rozplątał się, spuścił z boku Gretchen sznurową drabinkę i ściskając w dłoni lejce, zszedł. Jestem przekonany, że gdyby na ulicy był koniowiąz, uwiązałby do niego potwora tak naturalnie, jak czynił to Gary Cooper, kiedy przyjeżdżał do Dodge na drinka. Co prawda nie mieliśmy nigdy na głównej ulicy koniowiązu, ale Merch sobie poradził.

Na spotkanie wyszedł mu burmistrz Wiley.

– Miałem nadzieję, że nie zamierzasz narażać tego szlachetnego zwierzęcia na stres związany z przebywaniem pośród nas dłużej, niż to konieczne – jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że nie bierze pod uwagę innej opcji.

– Właściwie to chciałem wstąpić na filiżankę kawy, zanim zabiorę Gretchen i moje połowice do domu. W gardle mi ciupkę zaschło. Po prawdzie to przydałoby mi się coś mocniejszego, ale dzisiaj wybory i w ogóle... – Wzruszył ramionami.

– Wybory, ***** ***! – ktoś krzyknął. Zarumieniłem się, spostrzegłszy, że osobą, która wyraża się w ten sposób w obecności dam, jest mój własny wujek Henry. Wyskoczył jak piesek preriowy z czkawką dokładnie pośrodku zgromadzenia otaczającego Mercha Arnota i burmistrza Wileya (nie wspominając o Gretchen). W rękę trzymał kartkę, którą wymachiwał wściekle. Wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć – i przy okazji ranić parę osób. Wszyscy wiedzieli, jakie stosunki od lat panują pomiędzy wujkiem Henrym a burmistrzem Wileym, więc do-rany-przyłóż ton tego ostatniego nie wynikał jedynie z faktu, że wujek pełnił zaszczytną i wpływową funkcję przewodniczącego komisji wyborczej.

– Co się stało, staruszkę?

– Co się stało?! Zaraz ci powiem, co się stało! – pienił się wujek, aż plaskało mu obwisłe podgardle. – Przez tego Arnota i jego potwora wybory zmieniły się w farsę! To skandal! Hańba! Siedziałem w szkole, pełniąc obowiązki obywatelskie, i powiem ci, że jak tylko dotarła tam wieść o tym, co tu się wyprawia, frekwencja spadła o siedemdziesiąt pięć procent! Wyborcy pognali tu, żeby robić za żadnych sensacji gapiów! A potem jakiś durny prowokator wpadł do budynku, wrzeszcząc, że potwór zmierza w stronę szkoły, dzięki czemu straciliśmy resztę aktywnego elektoratu plus wszystkich członków komisji! Wszystkich prócz starego Hacketta, który nie uciekł tylko dlatego, że SuperAlan zwinął jego balkonik!

Burmistrz pokręcił głową.

– Ech, Henry, Henry – westchnął. – A co ci mówiłem o angażowaniu superbohaterów? Wiesz, jacy są. Myślą, że skoro mogą wszystko, to wszystko mogą.

Płomień świętego gniewu, którym pałał wujek, nie zmalął ani odrobinę.

– Sam spróbuj skaptować wolontariuszy do komisji wyborczych w tym mieście! Ludzie nie mają za grosz odpowiedzialności obywatelskiej, a nie mogą wszystkiego robić sam! SuperAlan jest legalnym mieszkańcem Sutter, tak samo jak ja czy ty, a to znaczy, że przysługują mu takie same prawa i przywileje jak reszcie. To nie jego wina, że potrafi latać czy zgniatać głązy gołymi rękoma albo odbijać zabójcze pociski.

Jeśli się zgłasza, muszę go zatrudnić. Poza tym nikt się nie skarżył, kiedy był ławnikiem!

– Bo przysięgli mają tylko siedzieć na... w ławie – argumentował burmistrz – a członkowie komisji muszą robić różne rzeczy, na przykład zajmować się kabinami do głosowania, a wiesz, co to oznacza w jego wypadku – rozwalanie ich. Miażdży je, jakby były zrobione z twarożku, a nie muszę ci mówić, że to bardzo drogi sprzęt. To nie jego wina. Ma siłę dziesięciu, ale serce czyste.

– To znajdź mu jakąś babę przed następnymi wyborami! – zdenerwował się wujek. – Niech go weźmie za dupę, wyreguluje tę jego czystość i problem rozwiązany. Czemu wszystko spada na moją głowę?!

Gapie, którzy stali w zasięgu jego głosu, spiekli raka. Wujek był chyba jedyną osobą w mieście, która nie wiedziała, że SuperAlan jest bardziej homo niż stuprocentowy ekstrakt z Freddiego Mercury’ego.

Burmistrz pozbierał się na tyle, żeby zadać dręczące wszystkich pytanie:

– Dlaczego SuperAlan zabrał Hackettowi balkonik?

Wujek zrobił marsową minę.

– Twierdził, że podważy nim szczęki potwora.

– U–hm – kiwnął głową burmistrz, po czym rozejrzał się mimochodem wokół. – Ale przecież aluminiowy balkonik nie zablokuje na długo szczęk nawet aligatora, a co dopiero paszczy takiej bestii. – Wskazał na Gretchen, przy której koparka wyglądała jak zabawka.

– Ja to wiem i ty to wiesz – zgodził się wujek. – Ale spróbuj przekonać superbohatera. To jak rzucać grochem o najtwardszą część granitowej ściany.

– Co prawda, to prawda – przyznał mu rację burmistrz i jakby od niechcienia obrzucił spojrzeniem okolicę. – Zatem powiedz mi, Henry, skoro SuperAlan zabrał Hackettowi balkonik w celu użycia go do walki z potworem i uczynił to w szkole, która znajduje się kilka kroków stąd, SuperAlan zaś potrafi latać, czemu, do jasnej cholery, nie przybył tu z tym przeklętym balkonikiem przynajmniej pół godziny wcześniej, zanim to wszystko się zaczęło?

Margaret Lee klepnęła go w ramię.

– Może się zgubił? – zasugerowała.

– Jakim cudem facet, który fruwa jak ***** ptak, miałby się zgubić w mieście? – wybuchł burmistrz.

– Normalnie, faceci nigdy nie pytają o drogę – wzruszyła ramionami Margaret.

I jak to w porzekadle: o homosuperbohaterze mowa, a homosuperbohater tuż. Rory Vega popatrzył do góry, wskazał na błękitne niebo i zakrzyknął:

– Patrzcie! To ptak! To samolot! To...

– Jak się nie zamkniesz, zaraz ci jakiś prawnik przygrzmoci łamaniem praw autorskich – burknął Timmy, który z ostatnich wydarzeń wyszedł cały i zdrowy, choć potwornie obśliniony. – Robisz to do znudzenia za każdym razem, jak pojawia się SuperAlan. Na litość boską, Vega, zerznij skądś inny tekst!

Jadowita riposta Rory’ego utonęła w ryku, jaki wytworzył przelatujący obok superbohater, dumnie dzierżący w dłoni balkonik Hacketta. Balkonik połykiwał w

słońcu, śląc wokół oślepiające refleksy niczym flesz aparatu.

– Strzeż się, wstrętna potworo! – zagrział SuperAlan z wysokości niebios. – Nie lękajcie się, dobrzy ludzie, unieszkodliwię tę bestię co żywo! – Z tymi słowy zniżył lot i zamachnął się balkonikiem.

Staraliśmy się go zatrzymać. Wrzeszczeliśmy aż do ochrypnięcia, machaliśmy do opadnięcia z sił, ale na nic zdały się nasze wysiłki. SuperAlan jest silny, odważny, posiada umiejętność latania oraz komunikacji ze świstakami, ale spróbuj takiemu powiedzieć, że przybył za późno na dokonanie swego wielkiego dzieła ratunkowego. To, że ma super duper hipersłuch, nie znaczy, że kogokolwiek słucha. Nadleciał jak żywa torpeda i mimo naszych usilnych prób powstrzymania go uderzył biedną Gretchen prosto w nos.

Na całe szczęście nie wymierzył za dobrze, bo mógłby wyrządzić stworzeniu prawdziwą krzywdę i do końca życia nie zdołałby się wypłacić – Eliza i Beth Arnot w ramach odszkodowania wydusiłyby z niego ostatni grosz, i to skuteczniej niż najpiekielniej zapiekły egzekutor Belzebuba. Jak mówiłem, SuperAlan uderzył bestię w nos, lecz zrobił to nie balkonikiem, a ramieniem. Czyli porównując, skończyło się bardziej na kołatce niż taranie. Kotozaur Rex odrzucił łeb, zmartwiał na moment, po czym kwiknął jak trzy wywrotki prosiaków i na końcu kicnął. Wyglądało na to, że Maraton Destrukcji Centrum rozpocznie się na nowo, tyle że po zejściu Merch przywiązał Gretchen do najbliższego w miarę masywnego obiektu, czyli mojego pick-upu. Bestia mimo swoich gabarytów nie była w stanie poderwać z ziemi półciągarówki. Podskoczyła najwyżej dwa metry pod niebo, czyli tyle, na ile pozwolił jej postronek. Lina naprężyła się jak struna, po czym pociągnęła ją w dół, wobec czego potworzyca runęła całym ciężarem na ulicę.

Na nieszczęście był to ten sam kawałek ulicy, który zajmował wujek Henry. Wujek był porządnym człowiekiem i twardym staruszkiem, ale żaden człowiek ani staruszek nie jest na tyle twardy, by przeżyć kotozaurową wywrotkę po skoku na bungee. No, chyba żeby w Teksasie.

Tak więc mieliśmy jeden wypadek śmiertelny (wujek Henry), jeden wypadek z pozoru ciężki (Merch Arnot obawiał się, że Gretchen złamała nogę i że będzie ją musiał zastrzelić, ale nie złamała, więc nie musiał) oraz ogromne zniszczenia własności prywatnej i społecznej, jednym słowem, nic nadzwyczajnego, jednakże to był ten moment, kiedy zaczęło się robić niesamowicie.

Ostatnią decyzją wujka jako przewodniczącego komisji wyborczej było czasowe zamknięcie lokali ze względu na zamieszanie z Gretchen. A ponieważ zmarł, zanim zdążył otworzyć je ponownie, oddano tylko część głosów, i to akurat tych, które po podliczeniu dały burmistrzowi Wilejowi zwycięstwo. Wyniki wyborów ogłoszono jeszcze tego wieczoru w zakładzie pogrzebowym Parkera, gdzie zebrała się większość mieszkańców Sutter, aby pożegnać wujka Henry'ego. Nieliczni zwolennicy Wileya starali się nagrodzić swojego kandydata choć namiastką – przez wzgląd na miejsce i okoliczności – aplauzu.

A potem nagle burmistrz wstał z miejsca, wyszedł na środek i stanął przy trumnie, która z oczywistych względów pozostawała zamknięta. Odchrząknął,

podziękował wszystkim za poparcie jego kandydatury i rzekł coś, co wywołało dużo większe niż sama Gretchen wrażenie i o sile, o jakiej Gretchen mogła tylko pomarzyć. Otóż oświadczył, że nie zamierza zaakceptować wyników wyborów, ponieważ to nie byłoby sprawiedliwe. Powiedział, że żyjemy w demokracji, a wykorzystywanie tak strasznej tragedii dla osiągnięcia celów prywatnych i politycznych nie byłoby postępkiem moralnym. Powiedział, że zaraz z rana uczyni jedyną etyczną rzecz w tej sytuacji, a mianowicie ponownie podejmie wysiłki, by uzyskać mandat. Powiedział, że tylko tak będzie uczciwie.

Uczciwy. Burmistrz Wiley, urodzony polityk – uczciwy. Postępujący zgodnie z nakazami etyki. Według zasad moralnych. Przejmujący się sprawiedliwością. Ja cię *****. Nawet teraz, po spisaniu całej historii, widzę, że choćbym na głowie stanął i klaskał uszami, nie ma takiej możliwości, żeby tata w to uwierzył. Nikt nie uwierzyłby w coś podobnego. Nikt, nigdzie i za żadne skarby świata.

Może lepiej mu powiem, że wujek Henry jest chory.

Craig Shaw Gardner

Najlepiej znany jako autor humorystycznych powieści fantasy, m. in. cyklu Krąg smoka – Gdy smok śpi (Dragon Sleeping alias Raven Walking, 1994), Gdy smok się budzi (Dragon Waking, 1995), Gdy smok zieje ogniem (Dragon Burning, 1996), oraz Ebenezum, którego bohaterem jest mag z alergią na magię. Niniejsza opowieść przedstawia jedną z przygód Ebenezuma oraz jego żwawego terminatora, Wuntvora.

Craig Shaw Gardner

DEMONICZNE KONTRAKTY

I

Mag powinien jak najwięcej podróżować, gdyż podróże kształcą. Jednakże istnieją szczególne okoliczności, jak na przykład niewydarzone zaklęcie czy też klient rozwścieczony wysokością rachunku, które powodują gwałtowny wzrost potencjału edukacyjnego podróży.

Z Nauk Ebenezuma, Księga V

W końcu zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia chaty i poszukania pomocy z zewnątrz. Mój pan zdał sobie ostatecznie sprawę, że nie jest w stanie sam zaradzić swej przypadłości – po raz pierwszy, jak sędzę, musiał pogodzić się ze swą niemocą. Wyruszyliśmy zatem w drogę, aby znaleźć maga, którego wiedza i umiejętności pozwoliłyby na wyleczenie czarodziejskiej dolegliwości mojego pana, choć niewykluczone, że będziemy musieli powędrować aż do dalekiej Vushty, miasta tysiąca zakazanych rozkoszy, zanim napotkamy kogoś dorównującego geniuszem Ebenezumowi.

Nasze życie skomplikowało się, kiedy mój pan zapadł na chorobę objawiającą się gwałtownymi atakami kichania w obecności magii. Pierwsze symptomy pojawiły się wkrótce po tym, jak natknęliśmy się na pewnego potężnego demona z siódmego kręgu Podpiekła. Ebenezum ostatecznie pokonał istotę, najstraszliwszą, z jaką dotychczas miał do czynienia, lecz zapłacił za ten triumf wysoką cenę. Od tamtej pory za każdym razem, kiedy Ebenezum znalazł się w pobliżu jakiegokolwiek magii, kichał.

Uważam, że i tak trzymał się lepiej niż ktokolwiek inny w tej sytuacji. Nadal udawało mu się prowadzić interes, jednakże posługiwał się raczej sprytem niż zaklęciami. Choć z drugiej strony Ebenezum zawsze powtarzał, że dziewięćdziesiąt procent czarów to iluzja.

Tak czy owak, martwiłem się o niego.

Ebenezum szedł kilka kroków przede mną po czymś, co przy bujnej fantazji i dobrych chęciach można było nazwać ścieżką. Co jakiś czas przystawał, żebym – obciążony bagażem zawierającym tajemne i ciężkie utensylia – mógł nadażyć za jego czarodziejskim tempem. On jak zwykle nie niósł nic, żeby, jak to mówił, mieć wolną głowę na swobodne myślenie o magii oraz wolne ręce do jej użycia w razie potrzeby.

Widziałem jednak, że mistrz jest nieswój. Poznawałem to po sposobie, w jaki się poruszał. Co prawda jak zawsze robił długie kroki, ale brakowało w nich tej pewności, z jaką zwykle stawiał stopę przed stopą, tej niezachwianej wiary, że jest w stanie poradzić sobie z każdą przeszkodą na drodze. Teraz jego chód był zbyt szybki, niecierpliwy, jakby chciał mieć już za sobą tę, jak sądzę, niezwykle, w jego mniemaniu, przykrą konieczność, jaką było poproszenie o pomoc innego maga. Myśl ta musiała być dla niego nie do zniesienia. Po raz pierwszy podczas trwania mojego terminu bałem się o mego mistrza.

Czarodziej zatrzymał się i powiódł wzrokiem po otaczającej nas gęstwinie.

– Muszę przyznać, że napawa mnie to niepokojem, Wunt. – Zmierzył gęste białe włosy i poprawił czapkę czarodziejską. – Według moich map oraz przewodników tutejsze tereny powinny być gęsto zamieszkane, tętniące życiem i handlem, rojące się od gospodarstw oraz zajazdów. Dlatego właśnie obrałem tę drogę. Fakt faktem, zarobiliśmy na naszych ostatnich zleceniach, ale nigdy nie zawadzi zdobyć trochę więcej pieniędzy.

Mag zmarszczył brwi, usiłując przebić wzrokiem mroczne głębiny lasu.

– Szczerze mówiąc, zaczynam się zastanawiać, czy przygotowania, jakie poczyniłem przed podróżą, okażą się wystarczająco skuteczne. Nigdy nie wiadomo, na co człowiek się natknie podczas wędrówki.

Gdzieś z boku rozległ się hałas. Trzeszczały łamane gałęzie, szeleściła rozdzierana zasłona liści, małe zwierzęta wydawały pełne przerażenia odgłosy.

– Szlag! – krzyknął ktoś w zaroślach i coś wielkiego grzmotnęło o ścieżkę pomiędzy mną a moim mistrzem.

Ebenezum kichnął. W pobliżu była magia!

– Szlag! – usłyszeliśmy ponowny okrzyk, a brązowy kształt, który leżał na ścieżce, uniósł się w powietrze. Była to gigantyczna maczuga, trzymana przez wielką dłoń, która okazała się częścią potężnego ramienia, ginącego w gęstwie zieleni przy drodze. Ebenezum odskoczył w tył, głośno wytarł nos o swój czarowny rękaw i mimo swej choroby stanął gotów do użycia magii.

Pałka wznosiła się i opadała, tłukąc w poszycie. Wreszcie na przecince pojawił się człowiek. Był ogromny – miał dobrze ponad dwa metry, a wieńczące brązowy hełm skrzydła jeszcze dodawały mu wzrostu. W obwodzie wydawał się tak samo szeroki jak wysoki. Wielkie brzuszysko okrywał pancerz z brązu.

Stanął, blokując nam przejście.

– Szlag! – zagrzmiął ponownie.

Ebenezum kichnął.

Nie był w stanie tego przewyciężyć. Zrzuciłem bagaż, chwytając oburącz mój dębowy kostur. Uzbrojony mężczyzna postąpił krok ku kichającemu czarodziejowi.

– Odstąp, bestio! – wrzasnąłem cieniem, niżbym chciał, i ruszyłem na wroga, wymachując kijem.

– Szlag! – huknął znowu wojownik. Jego kolcza maczuga zderzyła się w powietrzu z moim kosturem, przełamując masywną dębinę w pół. – Szlag! – Olbrzym zamachnął się z całej siły.

Uchyliłem się, żeby uniknąć ciosu, i poślizgnąłem się na kupce zmiażdżonych gałęzi i liści. Najpierw straciłem panowanie nad lewą nogą, potem prawą i w efekcie uderzyłem bykiem w opancerzony brzuch.

– Szła–uch! – Wojownik, jęknąwszy, przewrócił się. W trakcie upadku grzmotnął hełmem w pień i jęk urwał się jak nożem uciął.

– Wunt, szybko! Maczuga! – sapnął Ebenezum, rzucając mi worek.

Podniosłem się z trudem i wepchnąłem do niego pałkę. Czarodziej odetchnął z ulgą i wysiąkał nos.

– Zakłęta.

Zatem to maczuga, a nie wojownik, była przyczyną kichania mojego mistrza. Przyjrzałem się naszemu leżącemu plackiem przeciwnikowi z niekłamaną ciekawością. Olbrzym stęknął.

– Pospiesz się, Wunt! – krzyknął Ebenezum. – Przestań się guzdrać i zwiąż go. Mam przeczucie, że możemy się od naszego krągłego napastnika dowiedzieć więcej, niżby się zdawało.

Wielkolud otworzył oczy, kiedy wiązałem ostatni supeł na jego przegubach.

– Co? Ja żyję? Czemu nie zabiliście mnie i nie zjedliście, jak to mają w zwyczaju demony?

– Co? – Ebenezum spojrzał na niego z czarownym gniewem. – Czy my ci wyglądamy na demony?

Grubas zastanowił się przez moment.

– Hm, właściwie, jak tak na was patrzę, to nie. Ale musicie nimi być! Taki mój los, przekleństwo, muszę stawiać czoła demonom, wszędzie, gdzie się nie ruszę, muszę z nimi walczyć, inaczej pochłonie mnie Podpiekle! – Oczy zabłyśły mu podejrzenie. A może to tylko wrażenie spowodowane trzęsącymi się nalanyimi policzkami? – Możecie być demonami w przebraniu! Pewnie zamierzacie mnie torturować – pomału, długo – z okrucieństwem znanym tylko w Podpiekle! No, dalej, zaczynajcie zatem!

Ebenezum wpatrywał się przez chwilę w trzęsącego się wojownika, przeczesując palcami długą białą brodę.

– Myślę, że najokrutniejszą torturą będzie pozostawienie cię tu gadającego do siebie. Wunt, załóż na plecy sakwy, proszę.

– Zaczekajcie! – zaprotestował baryłowaty mężczyzna. – Może zanadto się pospieszyłem z oceną. Nie zachowujecie się nawet jak demony. A sposób, w jaki mnie pokonaliście... Przypadkowe uderzenie w brzuch! Musicie być ludźmi! Żaden demon nie byłby aż tak niezdarny! No, przyjaciele, wynagrodzę wam to wszystko! –

Spróbował wyciągnąć z za pleców ręce. – Hej! Ktoś mnie związał!

Wyjaśniłem, iż to niezbędne środki zapobiegawcze, gdyż sądziliśmy, że jest niebezpieczny.

– Ja niebezpieczny?! – Znow pojawił się ten błysk w jego oczach. A może to tylko przez to, że hełm zsunął mu się na oczy? – Ależ oczywiście, jak najbardziej jestem niebezpieczny! Jestem straszliwy Hendrek z Melifoksu!

Zawiesił wyczekująco głos.

– Nie słyszeliście o mnie? – zdumiał się, kiedy żaden z nas nie zareagował. – Ten sam Hendrek, który wywalczył od demona Braxa zaklętą maczugę, Karkołomkę, wraz z obietnicą, że będzie moja na zawsze? Tę zaczarowaną Karkołomkę, która wysysa wspomnienia ludzi? Tę, której nie jestem w stanie się pozbyć, ponieważ daje mi tak potężną moc! Potrzebuję jej, mimo że kryje straszliwą tajemnicę. – Zwrócił zapadnięte oczy na tobolek z maczugą. – Demon nie poinformował mnie wyczerpująco o wszystkich warunkach umowy! – Wojownik znow zaczął się trząść. – Żaden człowiek nie może posiadać jej na własność! Może ją tylko wypożyczyć! Dwa razy w tygodniu, czasem częściej, nachodzą mnie demony, które chcą ode mnie różnych rzeczy. Jeśli nie uda mi się ich zabić, muszę spełniać te straszliwe żądania! Brax nie powiedział mi, że to pakt ratalny! – Zadrżał, a zbroja zadzwoniła na jego korpulentnym ciele.

– Pakt ratalny? – zaciekawiał się naraz Ebenezum. – Nie przypuszczałem, że w Podpieklu mają tak zmyślnych buchalterów.

– Nawet sobie nie wyobrażasz! Ja, biedny, żyłem od tamtej pory w rozpacz, dopóki nie usłyszałem piosenki wędrownego minstrela, która dała mi nadzieję na uwolnienie od klątwy. Opiewała ona czyny wielkiego maga Ebenezera!

– Ebenezuma – poprawił go mój mistrz.

– Słyszałeś o nim? – Zasnuwająca oczy Hendreka mgła rozwiała się nagle. – Gdzie mogę go znaleźć? Nie mam grosza, stoję na krawędzi szaleństwa! Mag jest moją jedyną nadzieją!

Zerknąłem na czarodzieja. Czy ten wojownik nie zdawał sobie sprawy, że...

– Ale to właśnie...

Ebenezum uciszył mnie przyłożonym do warg palcem.

– Bez grosza, mówisz? Chyba zdajesz sobie sprawę, że mag o jego statusie słono sobie liczy za usługi. Oczywiście zawsze pozostaje barter...

– Ależ tak! Ty też jesteś magiem! Może mógłbyś mi pomóc go odnaleźć. Nie proszę tylko dla siebie, a ze szlachetnych pobudek... Źródłem klątwy, która dręczy Melifox, jest sam skarbiec królestwa!

– Skarbiec, mówisz? – Ebenezum stał przez moment w milczeniu, a potem po raz pierwszy od początku podróży jego twarz opromienił uśmiech. – Masz szczęście, szlachetny Hendreku, możesz zakończyć swoje poszukiwania tu i teraz. To ja jestem Ebenezum, czarodziej, o którym wspominałeś. Pójdź z nami, uwolnimy twój skarbiec od klątwy, jaka na nim ciąży.

– A moje przekleństwo?

Mistrz zbył jego obawy czarownym machnięciem.

- Oczywiście, oczywiście. Wunt, rozwiąż tego gentlemana.
Uczyniłem, co mi polecił. Hendrek wstał i ruszył od razu ku swojej maczudze.
- Zostaw to tak, jak jest, w worku – powstrzymał go Ebenezum. – Na wszelki wypadek. Magiczne środki zapobiegawcze.
Hendrek kiwnął głową i przytroczył tobolek do pasa.
Zarzuciłem na plecy swój bagaż i podszedłem do mistrza. Zdaje się, że miał wszystko pod kontrolą. Może niepotrzebnie się o niego martwiłem.
- Nie ma się czym troskać – rzekłem półgłosem. – Minstrele nadal o tobie śpiewają.
– Jasne – odszepnął Ebenezum. – Minstrele każdego będą wychwalać za odpowiednią sumę.

II

Zawodowy czarodziej musi ściśle przestrzegać kodeksu etyki; nie niesie to ze sobą takich ograniczeń, jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Większość działań nadal mieści się w granicach tych norm, dopóki mag przedsięwzięcie odpowiednie środki ostrożności i cokolwiek robi, nie da się na tym przyłapać.

Z Nauk Ebenezuma, Księga IX

Hendrek powiódł nas przez gąszcz. Teren z każdym krokiem robił się co najmniej trudny. Późnym popołudniem słońce rzucało na ścieżkę długie cienie, ograniczając rozeznanie, gdzie stawia się stopy, a tym samym spowalniając marsz.

Potykając się w mroczniejącym lesie, słuchaliśmy Hendreka, który opowiadał o klątwie rzuconej na Krenk, stolicę Melifoksu, o tym, jak miasto zrobiło się niebezpieczne, bo demony zaczęły włóczyć się po ulicach, i jak okolica zdziczała, stała się przerażająca, niczym las, który właśnie przemierzaliśmy. W Krenk według słów wojownika rezydowało dwóch czarodziejów, lecz żaden z nich nie był w stanie zdjąć klątwy. Wtedy też Hendrek w ramach ostatniej deski ratunku wynegocjował układ dotyczący zaczarowanej broni, ale, niestety, nie doczytał klauzuli napisanej piekielnie małym druczkiem. Na szczęście władca Krenk, mądry i dobry Urfoo Chrobry, usłyszał pieśń wędrownego minstrela o wielkim magu z leśnej krainy. Hendrek otrzymał zadanie sprowadzenia tego czarodzieja za wszelką cenę!

– Wszelką cenę? – powtórzył Ebenezum, akcentując pierwsze słowo. Jego krok na powrót nabrał właściwej mu godnej pewności i w miarowy rytm nie wkładał się już żaden dysonans mimo wertepów, jakie musieliśmy pokonywać.

– No cóż – zaczął Hendrek. – Urfoo jest znany z tego, że czasami troszkę popada w przesadę. Jednakże ponieważ jesteś ostatnią nadzieją naszego królestwa, na pewno...

Hendrek urwał, zapatrzywszy się przed siebie. Dotarliśmy do litej ściany roślin, która rozciągała się w obie strony jak okiem sięgnąć i miała przynajmniej ze cztery

metry wysokości.

– Tego tu przedtem nie było – mruknął, wyciągnąwszy rękę, by dotknąć zwartej masy zieleni. Z żywopłotu wysunął się pęd winorośli, oplatając mu przegub.

Ebenezum kichnął.

– Szlag! – krzyknął Hendrek, wyszarpując z worka maczugę.

Ebenezum zaczął kichać na dobre.

Maczuga uderzyła w pęd, lecz ten ugiął się tylko. Naraz cała ściana ożyła, wyciągając zielone macki ku korpulentnemu wojownikowi. Pałka trzymała je jednak na odległość. Ebenezum ukrył głowę w obszernej szacie, spośród fałdów dobywały się stłumione kichnięcia.

Coś chwyciło mnie za kostkę – po mojej nodze w kierunku uda sunęła zdrewniała lodyga, grubsza nawet od tych, które zaatakowały Hendreka. Przerażony usiłowałem odskoczyć, ale tylko straciłem równowagę. Winorośl zaczęła przyciągać mnie do muru.

Wleczony przede mną Hendrek rąbał zajadle skupisko zieleni. Jego ciosy były słabsze niż wcześniej, nie krzyczał też przy każdym uderzeniu. Pędy oplatały męzczyznę i lada moment mogły całkiem wciągnąć go w masę listowia.

Bezskutecznie szarpałem się, próbując wyrwać lianom. Byłem już blisko ściany, kiedy kątem oka dojrzałem mistrza.

Rośliny oplatały go, lecz z pewnym wahaniem, suwały się tylko po jego szatach, jakby wyczuwały, że Ebenezum jest dużo potężniejszym przeciwnikiem niż Hendrek czy ja. Wreszcie sękaty wąs przemieścił się wzdłuż jego rękawa ku odsłoniętej dłoni.

Ebenezum odrzucił materię z twarzy i wykonał trzy skomplikowane gesty, wyrzucając pomiędzy jednym a drugim kichnięciem kilkanaście sylab. Wąs na jego rękawie zbrzązował, zwiądlł i rozsypał się w proch.

Ja także byłem wolny. Kopnąłem resztki roślin i wstałem. Ebenezum wysiąkał głośno nos w rękaw. Hendrek wpadł z rozpędu na martwy żywopłot, miażdżąc liście i gałązki.

– Szlag – wydyszał wojownik, kiedy pomagałem mu się podnieść. – To robota sił nieczystych, kara za niespłacanie rat!

– Nonsens – pokręcił głową Ebenezum. – To zwykła magia. Proste zaklęcie wegetaktywne, którego źródłem, jak sądzę, jest Krenk. – Ruszył oczyszczoną ścieżką. – W drogę, towarzysze. Najwyraźniej ktoś się nas spodziewa. Nie pozwólmy mu czekać.

Pozbierałem pośpiesznie swoje rzeczy i pokłusowałem za mistrzem. Hendrek zamykał pochód, mamrocząc pod nosem jeszcze posepniej niż wcześniej. Daleko przed nami ujrzałem miasto na wzgórzu. Jego wysokie mury odcinały się wyraźnie na tle czerwieniejącego zachodem nieba.

Do miasta dotarliśmy po zapadnięciu zmroku. Hendrek załomotał pięścią w masywne dębowe wrota. Za murami panowała cisza.

– Boją się demonów – wyjaśnił wojownik półgłosem, po czym zawołał: – Halo! Wpuście nas! Prowadzę gości, ważnych!

– Kto prowadzi? – Nad murem pojawiła się głowa w ozdobnym srebrzystym

hełmie.

– Hendrek! – krzyknął wojownik.

– Kto?

– Straszliwy Hendrek, opiewany w pieśniach i balladach!

– Straszliwy kto?!

Wojownik zacisnął konwulsyjnie palce na worku z pałąką.

– Hendrek, opiewany w pieśniach i balladach, ten, który zdobył przeklętą maczugę, Karkołomkę...

– Ach, Hendrek! – krzyknęła głowa. – Ten duży gość, którego król Urfoo Chrobry wysłał na misję!

Hendrek sapnął i odkrzyknął:

– Ten sam! A teraz otwórz! Nie poznałeś mnie?!

– Jesteś do niego podobny. Ale w tych czasach ostrożność nie zawadzi. Wyglądasz jak Hendrek, ale możesz być dwoma demonami, a nawet trzema, jakby się dobrze ścisnęły.

– Szlag! – zirytował się Hendrek. – Muszę wejść! Muszę zaprowadzić maga Ebenezuma oraz jego ucznia przed oblicze króla!

– To Ebenedum? – w głosie głowy zabrzmiało podniecenie. – Ten, o którym śpiewają bardowie?

– Ebenezum – sprostował mój mistrz.

– Ten sam! – odwrzasnął Hendrek. – Wpuście nas! Tu są demony!

– Właśnie! – zgodziła się głowa. – Ci dwaj mogą nimi być. Z tymi trzema w tobie mógłbym przez przypadek wpuścić do miasta aż pięć demonów. Wiesz, mamy niebezpieczne czasy, ostrożności nigdy za wiele.

Hendrek cisnął swój uskrzydłony hełm na ziemię.

– Chyba nie sądzisz, że będziemy tu stać całą noc?!

– Nie, czemu? Możecie wrócić o świ... – głowa urwała, pochłonięta przez jakąś ogromną rzecz, która jarzyła się na zielono.

– Demony! – rozdarł się Hendrek. – Szlag! – Szarpnął trokami worka z maczugą. Ebenezum kichnął gromko. Tymczasem ponad murem pojawiło się kolejne coś, tym razem świetlistoróżowe.

To, co wyglądało na oko unoszące się ponad zieloną jaśniejącą kulą, odwróciło się, żeby popatrzeć na różowy kształt, zaś oko wiszące ponad różowym odwzajemniło spojrzenie. Zielona masa wystrzeliła mackę, która pacnęła o ziemię i poczęła sunąć w naszym kierunku. Zaraz potem z różowej materii wypadła podobna macka, chwyciła zieloną i podniosła ją z powrotem na mur. Obie kule pojaśniały, świszcząc coraz głośniej, po czym zniknęły przy wtórze błysku i grzmotu.

Wrota rozchyliły się bezgłośnie.

Odwróciwszy się plecami do Hendreka, czarodziej wytrąbił nos.

– Ciekawie tu macie – stwierdził, wchodząc do miasta jako pierwszy.

Za bramą coś na nas czekało. Coś około półtorametrowego wzrostu i o skórze o chorobliwie żółtym odcieniu. Ubrane było w dziwną szatę w niebiesko-zieloną szachownicę. Istota miała na szyi czerwoną wstęgę zawiązaną na kokardę, na głowie

rogi, a na ustach uśmiech.

– Hendrek! – powitała wojownika wesoło. – Jakże się cieszę, że cię widzę!

– Szlag! – powtórzył wojownik, wydobywając maczugę z worka.

Ebenezum odsunął się od niego, zasłaniając szatą nos.

– Wpadłem skontrolować moją inwestycję. Jak tam nowa maczuga, Hendreczku?

– Podpiekielny pomiot! Nigdy nie dostaniesz Karkołomki z powrotem!

– A kto mówi, że jej chcę? Jest twoja... Za dwanaście niskich rat. Nic wielkiego, naprawdę. Parę dusz podrzędnych książąt, upadek pomniejszego królestewka i jeden czy dwa zaklęte klejnoty. A potem masz tę wspaniałą broń na własność!

Istota zgrabnie uniknęła ciosu maczugą. Kawałki spękanego bruku poleciały na wszystkie strony.

– A jest naprawdę niesamowita! – ciągnął demon. – Nigdy nie mieliśmy wspanialszej na stanie. Mówiłem używana? Ależ skąd! Powiedzmy, pierwiej posiadana. Ta perła wśród maczug, prawie nieużywana, zbrojowniowana, leżała większość czasu w arsenale pewnego starego króla, który korzystał z niej tylko w niedziele, żeby przy święcie łamać karki skazanych na śmierć wrogów. Doskonała linia, renomowany producent, kolce w standardzie. Jest w świetnym stanie. Musisz ją mieć. Jakem Szczodry Brax... – Demon padł na chodnik, a pałka świsnęła w miejscu, gdzie jeszcze przed momentem znajdowała się jego głowa. – Zaręczam ci, że nie znajdziesz lepszej maczugi z drugiej ręki. Zaledwie wczoraj mówiłem do mojej... Ujć...

Demon przestał paplać ogłuszony moim ciosem. Udało mi się zająć go od tyłu i grzmotnąć w czerep sporym kamieniem brukowym. Powleczone niebiesko-zieloną szachownicą nogi ugięły się pod istotą.

– Najlepsze warunki! – jęknął.

Hendrek szybko poprawił mu Karkołomką. Demon uchylił się, ale był jeszcze oszołomiony po pierwszym uderzeniu. Maczuga trafiła go w ramię.

– Niskie raty! – stęknął.

Tym razem maczuga Hendreka opadła na jego złotawą głowę. Uśmiech demona zrzędł.

– To ostatnia okazja... Zrobimy z tego ofertę specjalną! – Stwór jęknął po raz ostatni i zniknął.

Hendrek otarł maczugę o sfatygowany rękaw.

– To moje przekleństwo – wychrypiał. – Szczodry Brax zawsze już będzie mnie nachodził, żądając różnych opłat za Karkołomkę, której żaden człowiek nie może mieć tak naprawdę na własność, tylko w dzierżawę! – Jego oczy znów zamigotały dziwnie, choć może był to tylko odbłask odbijającego się w bruku księżyca.

Ebenezum wychynął z cienia.

– Nie wygląda to tak fatalnie jak... uch, wsadź tę pałkę z powrotem do worka, jeśli łaska. O tak, grzeczny najemnik. Lepiej nie ryzykować. – Wysiąkał nos. – Świetnie sobie poradziliście z tym demonem.

Mój pan szarpnął w zamyśleniu brodę.

– Według mnie, skuteczność każdej klątwy zależy od tego, jak patrzy na nią przeklęty. Przyjrząwszy się sprawie uważnie, oczywiście okiem doświadczonego czarodzieja, mogę z całą pewnością stwierdzić, że gdy zdejmemy klątwę ze skarbcza, wszystko samo się rozwiąże.

Brwi Hendreka wystrzeliły w górę, jakby nagle spadł z nich przytłaczający ciężar.

– Naprawdę?

– Absolutnie. – Ebenezum wygładził szaty. – A propos, czy dobry król Urfoo naprawdę uważa, że jesteśmy jego ostatnią nadzieją na ocalenie złota?

III

Czarodziej, który pragnie szybko zyskać rozgłos, powinien osiedlić się raczej na wsi niż w mieście. Magia wydaje się szacowniejsza na tle pejzaży wiejskich. Przeciętna sztuczka magiczna w porównaniu z wybiegami handlarzy i oficjeli wypada słabo, dlatego miastowi, którzy do tricków przywykli, mogliby po prostu nie zauważyć czarownika.

Z Nauk Ebenezuma, Księga X

Hendrek powiódł nas przez opustoszałe ulice, po których hulał wiatr. Wychowałem się w księstwie Gurnish, w okolicy Wiedźmich Borów, i Krenk było największym miastem, jakie w życiu widziałem. Miało mury, bramę, chyba z pięćset budynków i brukowane ulice! Niestety, tylko tyle zobaczyłem podczas drogi do zamku króla Urfoo. A gdzie karczmy, w których moglibyśmy się zatrzymać i wymienić uprzejmości z miejscowymi? Gdzie piękne, urocze mieszczanki? Jakże przygotuję się na Vushtë, miasto miliona zakazanych rozkoszy, jeśli każde inne, do którego zawitamy po drodze, okaże się tak samo wymarłe jak to?

W oddali rozległ się krzyk. Hendrek zamarł, ale zaraz po krzyku dał się słyszeć kobiecy śmiech. Przynajmniej choć jeden człowiek dobrze się bawił. Czy to możliwe, żeby całe miasto tak się bało demonów?

Wyszliśmy na duży plac, pośrodku którego stał budynek dwa razy wyższy i pięć razy większy od pozostałych domów w mieście. Wrót pałacowych pilnował strażnik, pierwszy człowiek (nie licząc głowy), jakiego ujrzelśmy po wkroczeniu do Krenk.

– Stój! – krzyknął wartownik, widząc, jak wchodzimy na dziedziniec. – Kto idzie?!

– Mamy sprawę wagi państwowej do króla Urfoo! – odparł Hendrek, nie zwalniając kroku.

Strażnik dobył miecza.

– Wyjaw swoje imię, inaczej umrzesz.

– Szlag! – jęknął brzuchaty wojownik. – Nie poznajesz Hendreka? Wracam z misji, na którą wysłał mnie król.

Wartownik przyjrzał mu się bacznie.

– Że niby kogo nie poznaję? Nie dosłyszałem imienia.

– Straszliwy Hendrek! Przybywam z czarodziejem Ebenezumem!
– Ebenezusem? Tym, o którym mówią pieśni? – Strażnik skłonił się memu panu. – To wielki zaszczyt, panie, spotkać maga twojej miary. – Odwrócił się do Hendreka, który już był przy drzwiach. – Mówiłeś, że jak się nazywasz? Nie mogę nikogo wpuszczać. Wiesz, w dzisiejszych czasach trzeba zachować wyjątkową ostrożność.

– Szlag! – warknął wojownik i z zadziwiającą jak na swoją tuszę prędkością dobył maczugi i grzmotnął wartownika w czerep.

– Ałć! – stęknął strażnik. – Kim jesteś? Kim ja jestem? A, nieważne. – I padł jak długi na nos.

– Karkołomka, maczuga, która wysysa wspomnienia. Niebawem oprzytomnieje, ale nie będzie tego pamiętał. Tego ani niczego innego. – Hendrek schował pałkę. – Chodźmy, musimy pogadać z Urfoo. – Otworzył wrota kopniakiem i wpadł jak burza do zamku.

Spojrzałem na mistrza. Przez chwilę gładził się po brodzie, po czym kiwnął głową i powiedział:

– Skarbiec. – Podążyliśmy za Hendrekiem.

Szliśmy długim korytarzem. Chybotliwe płomienie pochodni sprawiały, że nasze cienie tańczyły na ogromnych gobelinach, którymi zawieszono ściany. Przeciąg rozwiewał mi płaszcz, było tu zimniej niż na zewnątrz. To, uświadomiłem sobie, przeklęty zamek.

Na końcu korytarza, przed osłoniętymi storami drzwiami, stało dwóch wartowników. Hendrek ogłuszył ich, zanim otworzyli usta, po czym, jak poprzednio, pchnął skrzydła nogą.

– Kto tam?! – krzyknęła osoba siedząca na pogrążonym w cieniu fotelu, który ustawiono na podwyższeniu na samym środku komnaty.

– Hendrek – odparł wojownik.

– Kto? – Znad poręczy fotela wyrosła koronowana głowa. – Ach tak, ten duży facet, którego wysłałem w drogę w zeszłym tygodniu. Jakie przynosisz wieści?

– Przybył wraz ze mną Ebenezum.

Komnata wypełniła się szelestem szat ludzi, który poruszali się niespokojnie gdzieś niewidoczni.

– Nebenzum? – zapytał ktoś zza oparcia.

– Ebenezix? – dobiegło zza kolumny.

– Ebenezum – ogłosił mistrz.

– Ebenezum! – podniósł chór głosów. Ludzie, na oko jakieś dwa tuziny, wychodzili zza marmurowych kolumn, gobelinów, stojaków ze zbrojami, gromadząc się wokół tronu i spoglądając ciekawie na mojego pana.

– Ten Ebenezum? Ten, o którym śpiewają pieśni? – Król Urfoo usiadł prosto i uśmiechnął się szeroko. – Zostaniesz sownie nagrodzony, Hendreku! – Jego uśmiech zrzędł. – Jak tylko uda nam się zdjąć klątwę ze skarbcza.

– Szlag – brzmiała odpowiedź wojownika.

Król Urfoo wskazał nam stojące przed tronem wyściełane krzesła, a potem

omiół wzrokiem zalegające w kątach cienie. Nic się nie poruszyło, odkasznął więc i przemówił:

– Najlepiej od razu przystąpić do rzeczy, nieprawdaż? W tych czasach trzeba zachować ostrożność.

– Z ust mi to wyjąłeś, Wasza Wysokość. – Ebenezum wstał i zbliżył się do tronu. – Jak rozumiem, chodzi o klątwę rzuconą na skarbiec, tak? No, to nie traćmy czasu.

– Właśnie, właśnie! – Urfoo zerknął nerwowo na belki nad głową. – Chodzi przecież o pieniądze. Moje kochane pieniążki. Nie ma czasu do stracenia. Lepiej od razu przedstawię cię moim doradcom do spraw magii.

Ebenezum zastygł w pół ruchu.

– Doradcom?

– Tak, tak, mam dwóch nadwornych czarodziejów. Wprowadzą cię w szczegóły klątwy. – Król pociągnął za wiszący obok tronu sznur.

– Zwykle pracuję sam. – Mój mistrz szarpnął brodę. – Skoro jednak w grę wchodzi przeklęty skarbiec, myślę, że mogę nagiąć zasady.

Drzwi za tronem otworzyły się i w progu stanęły dwie postacie, kobieta oraz mężczyzna.

– Nie traćmy czasu! – wykrzyknął król na ich widok. – Pozwól, że przedstawię, twoi koledzy po fachu, Granach i Vizolea.

Nowo przybyli podeszli, zatrzymując się po bokach tronu. Przez chwilę trójka czarodziejów mierzyła się wzrokiem, a potem Vizolea uśmiechnęła się do mojego mistrza. Wysoka, przystojna kobieta w średnim wieku, miała rude włosy poprzetykane nitkami siwizny, zielone oczy i białe zęby, które ukazywała w naprawdę uroczym uśmiechu.

Ebenezum odpowiedział teatralnym uśmiechem.

Granach, starszy mężczyzna odziany w szarą szatę, skinął głową, wykrzywiając twarz w półuśmiechu.

– Problemem – zaczął król – są oczywiście demony. – Skulił się na słowo „demony”, jakby oczekiwał, że te zaatakują na samą wzmiankę o nich. – Osaczyły nas. Są wszędzie! Ale najwięcej ich siedzi – wskazał drżącą ręką na sufit – w wieży, w której znajduje się skarbiec!

Opuścił rękę i odetchnął głęboko.

– Szlag – wtrącił Hendrek.

– Może jednak moi nadworni czarodzieje lepiej nakreślą ci sytuację i zapoznają cię z magicznymi detalami. – Król zerknął nerwowo na boki.

– Oczywiście, mój panie – odezwał się Granach, z którego oblicza nie schodził krzywawy grymas. – Aczkolwiek nie doszłoby do tej rozmowy, gdybyśmy użyli zaklęcia Złotej Gwiazdy.

Urfoo wyprostował się jak na sprężynie.

– Nie! To zaklęcie kosztowałoby mnie połowę skarbu państwa! Musi być inny sposób. I jest, prawda?

Ebenezum pogładził się po brodzie.

– Jak najbardziej. Jeśli tylko twoi czarodzieje zechcą przedyskutować ze mną

sprawę, jestem pewien, że uda nam się znaleźć rozwiązanie.

– Nie ma lepszego sposobu ponad Złotą Gwiazdę – warknął Granach.

– Połowa złota! – jęknął król, a potem dodał szeptem: – Może powinniście wspólnie... hm... odwiedzić wieżę?

Nadworni magowie wymienili spojrzenia.

– Oczywiście, panie – zgodziła się Vizolea. – Czy zechcesz nam towarzyszyć?

– Towarzyszyć? – Urfoo zbladł jak ściana. – Czy to absolutnie konieczne?

Vizolea przytaknęła ze smutnym uśmiechem.

– Tak, po raz setny. W karcie czarodzieja stoi wyraźnie, że członek rodziny królewskiej musi być obecny przy każdej wizycie w skarbcu.

– O tu, proszę – pokazał Granach. – Na dole, podpisane. Krwią.

Urfoo zsunął koronę do tyłu i potarł brwi.

– Och. Jak to się mogło stać?

– Pozwól, panie, że ci przypomnę – rzekła Vizolea, spoglądając na niego z góry. – To ty określiłeś warunki kontraktu.

Król z trudem przełknął ślinę.

– Nie ma czasu do stracenia. Muszę wam towarzyszyć.

Nadworni czarodzieje pokiwali głowami.

– Nie ma na to innej rady poza Złotą Gwiazdą – dodał Granach.

– I tak zrobimy! – głos mistrza wdarł się w napiętą atmosferę wokół tronu. – Zaraz rano przeprowadzimy inspekcję skarbcza!

Urfoo, który zapadał się coraz bardziej w fotel, wyprostował się po tych słowach z uśmiechem.

– Rano?

– Rano – potwierdził Ebenezum. – Mamy za sobą długą podróż, lepiej będzie, jak przyjrzymy się kłątwie w świetle dziennym, z wypoczętym umysłem!

– Rano! – wykrzyknął Urfoo Chrobry i uśmiechnął się promiennie do swoich magów. – Możecie odejść, jesteście wolni do śniadania. Ebenezumi, jesteś czarodziejem obdarzonym wyjątkową wnikliwością. Zaraz rozkażę pokojówkom przygotować wasze komnaty i podać kolację. A rano pozbędziemy się kłatwy!

Nadstawiłem ucha. Pokojówki? Może pomimo wszystko w Krenk było jednak coś godnego uwagi.

* * *

– Musimy wszystko zaplanować – rzekł mistrz, kiedy już zostaliśmy sami. – Mamy niewiele czasu.

Przerwałem układanie poduszek i skór, które miały mi służyć za poślanie. Mój pan usiadł na wielkim łożu, które przygotowano dla niego, i podparł głowę rękoma.

– Nie spodziewałem się, że będą tu inni czarodzieje. – Rzucił czapkę na pościel i wstał. – Ale wybitny mag musi być przygotowany na wszelką ewentualność. Najważniejsze w tej chwili, szczególnie ze względu na wysokość naszej zapłaty, żeby nikt nie dowiedział się o mojej nieszczęsnej przypadłości.

Przeszedł na drugi koniec komnaty.

– Dam ci dokładne instrukcje dotyczące pewnych przedmiotów, które masz w bagażu. Musimy zrobić odpowiednie wrażenie. Ta sprawa z zaklętą maczugą podsunęła mi pewien pomysł.

Rozległo się pukanie.

– Spodziewałem się tego – powiedział Ebenezum. – Zobaczymy, które to.

Kiedy otworzyłem drzwi, w progu stał Granach z nieodłącznym krzywawym uśmiechem na obliczu.

– Wybaczcie, że niepokoję was o tak późnej porze – zaczął, wsuwając się do środka. – Ale nie miałem przedtem okazji odpowiednio cię powitać.

– Doprawdy? – Ebenezum uniósł krzaczastą brew.

– Pozwoliłem sobie zakłócić ci spokój, bo musisz wiedzieć o pewnych sprawach. Zanim odwiedzimy więź. To ważne.

– Doprawdy? – Do pierwszej dołączyła druga brew.

– Może najpierw nieco o naszym dobrodzieju, królu Urfoo Chrobrym. Ma szczęście, że krenkanie łatwo przyzwyczajają się do przydomków nadanych we wczesnych latach panowania swoich władców, bo odkąd Urfoo porzucił sporty ekstremalne w wieku lat szesnastu, większość czasu spędzał w skarbcu, licząc złoto. Zważ, nie wspomniałem nic o jego wydawaniu. On tylko go przeliczał. Jeśli liczysz na fortunę za swoje usługi, równie dobrze możesz się od razu pakować. Nasz król powinien nosić miano Urfoo Chytry. Zapłata nie będzie warta ryzyka!

– Doprawdy? – Ebenezum pogładził się po brodzie.

Granach kaszlnął.

– No, to skoro wiesz już wszystko, pewnie wyjedziesz.

Mistrz obciągnął rękawy i spojrzał na drugiego maga.

– Ach, nie. Czarodziej w podróży nie może, niestety, podejmować się tylko wybranych zadań, tak jak mag mieszkający w mieście. Musi przyjmować każde zlecenie, jakie mu się trafi, i mieć nadzieję, że to, co otrzyma w zamian, pozwoli mu kontynuować wędrówkę.

Wymuszony grymas zniknął z twarzy Granacha.

– Tylko nie mów potem, że cię nie ostrzegalem – wysyczał nadworny mag przez zęby. – Zapłata, jaką otrzymasz, będzie niczym w porównaniu z niebezpieczeństwem, na jakie się narazisz!

Ebenezum podszedł z uśmiechem do drzwi.

– Doprawdy? – rzekł, otwierając je. – Zobaczymy się na śniadaniu.

Nadworny czarodziej wyslizgnął się do holu. Ebenezum zamknął za nim drzwi.

– Teraz jestem pewien, że tkwią w tym niezłe pieniądze – podsumował. – Ale do rzeczy Podam ci numer tomu oraz stronę, gdzie znajdziesz trzy proste zaklęcia egzorcyzmiczne. Ciekawe, czy w ogóle będziemy ich potrzebować.

Wyciągnął z kieszeni notes, w którym bez przerwy coś zapisywał, i począł wydierać z niego kartki.

– Ale najpierw przygotowuję sobie doraźny lek. Przyszło mi to do głowy dzięki tej zaklętej maczudze. – Podarł kartki na paski. – Kichałem, kiedy była odkryta, ale nic mi się nie działo, gdy spoczywała w worku. Mój zmysł węchu nie wychwytywał

wtedy jej czarodziejskiego aromatu. Dlatego sędzę, że jeśli powstrzymam docieranie magii do nozdrzy, przestanę kichać! – Zwinął ciasno pierwszy plik pasków. – Ale jak osiągnąć ten efekt bez potrzeby tkwienia w deszczu, czekając, aż złapię katar?

Podniósł rękę ze zwitkiem, pozwalając mi dobrze się przyjrzeć, po czym wetknął go do nosa.

Znów rozległo się pukanie.

– Najwyższy czas – powiedział Ebenezum, wyciągając zwitek. – Zobacz, Wunt, kto tym razem.

Tym razem odwiedziła nas Vizolea. Zmieniła oficjalny strój czarodziejki na powłóczystą szatę z głębokim dekoltem. Zwróciła na mnie przepastne zielone oczy i uśmiechnęła się.

– Wuntvor, czyż nie?

– Tak – wyszeptalem.

– Chciałabym porozmawiać z twoim mistrzem, Ebenezumem. – Cofnąłem się, wpuszczając ją do komnaty. – Marzyłam o poznaniu czarodzieja o twoich umiejętnościach – powitała mojego pana.

– Doprawdy? – zdziwił się uprzejmie Ebenezum.

Odwróciła się, dotykając smukłą dłonią mego ramienia.

– Wuntvor? Chciałabym porozmawiać z twoim mistrzem sam na sam...

Zerknąłem na Ebenezuma. Potaknął z zapalem.

– Pozwól, że opowiem ci o Złotej Gwieździe – mówiła Vizolea, kiedy zamykałem drzwi.

Przez chwilę stałem na korytarzu oszołomiony W zachowaniu Vizolei wyczułem, że chce czegoś więcej niż rozmowy. Z moim mistrzem? Przez ostatnie miesiące dotrzymywałem towarzystwa wielu młodym damom, nawet zaczęto o tym głośno mówić w okolicy, ale zawsze wydawało mi się, że Ebenezum jest ponad takie rzeczy.

Jednak ostatecznie jestem tylko terminatorem i mało wiem jeszcze o niuansach prawdziwego życia czarodziei. Klapnąłem pod ścianą nieszczególnie zachwycony wizją snu na zimnej posadzce. W tej chwili zapragnąłem, żeby jakaś przechodząca przypadkiem pokojówka zobaczyła mnie i uczyniła coś, co poprawiłoby moją sytuację.

Przechodząca przypadkiem pokojówka właśnie się oddalała.

– Zaczekaj! – zawołałem za nią. – Jestem uczniem czarodzieja. Jak myślisz, kiedy trafi ci się następna okazja spędzenia czasu z kimś choć w połowie tak interesującym?

Nie chciała słuchać. Odchodziła dalej i dalej. Pobiegiem, chcąc ją dogonić. Bezskutecznie. Nie zwracała na mnie uwagi. Złapałem za skraj jej wydekoltowanej sukienki, wytrąciłem tacę w ręk, usiłując skłonić, by wyrzekła do mnie choć jedno słowo.

– Szlag – wychrypiała.

Otworzyłem oczy i w świetle pochodni ujrzałem twarz Hendreka.

– Nie powinieneś tak spać w korytarzu, Wuntvor! To niebezpieczne! W nocy grasują tu demony! – Pochylił się nade mną i trzęsąc nalanyymi policzkami,

wyszeptał: – Wydawałeś takie odgłosy, że w pierwszej chwili wziąłem cię za jednego z nich. – Karkołomka w jego dłoni zadrżała. – Czasami też nie mogę spać, boję się demonów. Choć dzisiaj nie widziałem ani jednego, to dziwne. Łap. – Podał mi koniec maczugi, pomagając wstać. – Z jakiejż to przyczyny tak tu jęczysz?

Opowiedziałem mu mój sen o służącej.

– A tak. To miejsce jest pełne potępionych widziadeł. Pałac zbudował nawiedzony dziadek Urfoo, przez niektórych zwany Vorterkiem Podstępny, a przez innych Mingiem Szalonym. Jeszcze inni zwali go Eldragiem Nieokrzesanym, a kilku nawet Greeshbarem Tancerzem. Ale to inne historie. Ale wróćmy do meritum. W korytarzach zamku Vorterka dźwięk niesie się bardzo daleko, a zdaje się dochodzić ze strony przeciwnej, niż znajduje się prawdziwe źródło odgłosów. Ciii, słuchaj!

Nie zwróciłem mu uwagi, że to on mówi, nie ja, gdyż faktycznie z oddali dobiegł krzyk, który przetoczył się echem po holach. Zastygłem, nasłuchując.

Brzmiało to jak: „Zabić Ebenezuma! Zabić Ebenezuma! Zabić Ebenezuma!”.

– Szlag! – zadudnił Hendrek.

Zacząłem iść w stronę, z której dobiegał głos, ale wojownik złapał mnie bochnowatą dłonią za płaszcz i pociągnął przez labirynt korytarzy w przeciwnym kierunku. Przy każdym rozwidleniu przystawał na moment, po czym ruszał znowu. Czasami skręcał w tę stronę, skąd zdawał się dochodzić krzyk, innym razem odwrotnie, zdawaliśmy się oddalać od źródła. Szybko straciłem orientację.

Jednakże głosy przybliżały się z każdym krokiem. Po jakimś czasie dały się rozróżnić. Było ich dwa, z czego jeden już nie krzyczał, aczkolwiek oba cechowało wzburzenie.

– Nie sędzę.

– Ale musimy!

– Znadto się spieszysz!

– Za to ty stoisz w miejscu! Lata miną, zanim dorwiemy się do skarbcza!

– Gdybym pozwolił ci działać, wszystko by się posypało! Powinniśmy wziąć Ebenezuma do spółki.

– Nie! Nie możemy mu ufać. Ebenezum musi umrzeć!

– Uważaj, bo to ciebie się pozbędę i wejdę w układ z Ebenezumem!

Hendrek zatrzymał się tak niespodziewanie, że wpadłem na niego, łomocząc kolanem w zbroję.

– Ktoś tu jest!

Najbliższe drzwi otworzyły się z hukiem. Zamarłem, czekając na pojawienie się właścicieli głosów.

To, co ukazało się w progu, wprawiło mnie w osłupienie.

– Szlag – mruknął Hendrek na widok zbliżającej się do nas istoty. Przypominała pająka, tyle że wielkości przeciętnego człowieka, a zamiast ośmiu miała dwanaścioro odnóży. Była też jasnoczerwona.

Hendrek zamierzył się Karkołomką. Maczuga zdała mi się naraz dziwnie mała.

Stwór zasyczał i skoczył, a zaraz za nim z komnaty wychynęło coś jeszcze. Drugi

potwór, wielki, zielony, wyglądał jak gigantyczna ropucha z kłami. Kicnął za pajęczym stworem i warknął na nas.

– Szlag, szlag – sapał Hendrek. Opadła mnie nagła chęć ucieczki, lecz wojownik blokował mi drogę.

Opasła ropucha przesadziła jakby–pajaka, wyszczerzając kły w niby–uśmiechu. A potem wielonoga czerwona istota szmyrgnęła w naszą stronę. Ropucha warknęła i zaczęła przepychać się przez las odnóży, ale cztery z nich oplotły ją i wywróciły. Jakby–pajak wysunął się naprzód.

Wtedy ropuchopotwór wskoczył na czerwonego wielonoga. Jakby–pajak syknął, ropuszysko warknęło. W plątaninie odnóży runęły na podłogę. Wkrótce w kłębowisku widać było tylko migające stopy i kły.

Po chwili nieoczekiwanie oba stwory zniknęły w chmurze brunatnego, śmierdzącego dymu.

– Szlag – mruknął Hendrek.

Za nami ktoś otworzył drzwi.

– Chyba najwyższa pora, żeby iść spać, nie sądzisz?

W progu stał Ebenezum.

Zacząłem się tłumaczyć, ale uciszył mnie gestem.

– Musisz się przespać. Jutro nasz wielki dzień. – Skinął Hendrekowi. – Zobaczymy się rano.

Wojownik zerknął na odchodnym w miejsce, gdzie zniknęły stwory.

– Szlag – mruknął i ruszył korytarzem.

– Nie będzie tak źle – rzekł czarodziej, zamykając drzwi.

IV

Rozpowszechnione pośród osób parających się magią powiedzenie: „Nigdy nie ufaj drugiemu czarodziejowi” jest grubą przesadą. W rzeczywistości istnieje wiele sytuacji, w których można zaufać kolegom po fachu, na przykład jeśli w grę nie wchodzi pieniądze lub znajdujemy się poza zasięgiem wpływu zaklęć drugiego maga.

Z Nauk Ebenezuma, Księga XIV

Siedzieliśmy przy śniadaniu, ale nikt z obecnych praktycznie nie śniadał. Milczałem, powtarzając sobie w kółko trzy ostatnio zapamiętane zaklęcia. Mój mistrz także był spokojniejszy niż zwykle – musiał uważać, żeby nie wypadły mu zwitki papieru, które umieścił w nozdrzach. Vizolea i Granach łypali na siebie nieprzyjaźnie, Hendrek mamrotał, a król się trząsał.

Ebenezum odchrząknął i przemówił, starając się poruszać tylko zuchwą.

– Musimy zbadać dokładnie wieżę – jego głos brzmiał nienaturalnie głucho.

– Wieżę? – szepnął Urfoo. – Ach, tak, nie ma czasu do stracenia. – Przełknął głośno ślinę. – Wieża.

Mój pan wstał od stołu. Reszta biesiadników także podniosła się z siedzisk.

– Hendrek – zwrócił się Ebenezum do wojownika – prowadź. – A potem podszedł do króla. – Po drodze, Wasza Wysokość, chciałbym omówić kwestię naszego wynagrodzenia.

– Wynagrodzenia? – zatrząsał się Urfoo. – Ale nie ma czasu do stracenia! Skarbiec jest przeklęty!

Vizolea podeszła do Ebenezuma.

– Naprawdę chcesz iść do wieży? Bo wiesz, mogą się tam znajdować rzeczy, których nie chciałbyś zobaczyć. – Musnęła ręką jego ramię. – Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w nocy?

– Jak najbardziej. – Ebenezum pogładził znacząco brodę. – Mam przeczucie, że pewne sprawy związane z tym skarbcem mogą nas wszystkich zaskoczyć.

– Szlag! – dobiegło z przodu, kiedy przechodziliśmy przez salę tronową.

– Naprawdę muszę przy tym być? – dobiegło z tyłu.

– Regulacje – przypomniał Granach.

– A może jednak zbyt się spieszymy? – Król otarł czoło rękawem bogato zdobionej szaty. – Może powinniśmy odłożyć wizytę w wieży i w międzyczasie jeszcze raz rozważyć opcje rozwiązania tej kwestii?

– Odłożyć? – Nadworni magowie spojrzeli po sobie. – Cóż, skoro tak uważasz... – rzekł Granach, po czym obrócili się na pięcie, ruszając z powrotem.

– Jeśli będziemy zwlekać – odezwał się Ebenezum, patrząc na władcę spod oka – król Urfoo może już nigdy nie zobaczyć swojego złota.

– Nigdy? – jęknął król wstrząśnięty. – Złota? Nigdy? Złota? Nigdy złota? – Wziął głęboki oddech. – Nie ma czasu do stracenia! Do wieży!

Wspięliśmy się wąskimi schodami aż na obszerny podest, gdzie znajdowały się masywne dębowe drzwi.

– Skarbiec – ogłosił Hendrek.

– Wasza Wysokość, inkantacja – przypomniał mu Granach.

Urfoo wbił się w najdalszy kąt podestu, zacisnął powieki i wrzasnął:

– Na potęgę koronowanej głowy, otwórz się!

Wrota zgrzytnęły, uchylając się. Z wewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk.

– Idźcie – zawołał z kąta Urfoo. – Ja poczekam tutaj.

Ebenezum wkroczył do skarbcza.

Pomieszczenie nie było duże, ale i nie małe. Za to całe zarzucone pomarańczowymi skrzynkami, stertami złota i wspaniałych klejnotów oraz pękatymi woreczkami piętrzącymi się pod ścianami do wysokości co najmniej ramienia.

Stanęliśmy pośrodku tego bogactwa.

– Szlag – wymamrotał Hendrek. – No, gdzie te demony?

Na zewnątrz rozległ się rozdzierający krzyk i do skarbcza wpadł Urfoo, ścigany przez pająka.

– Pająk Pudora! – krzyknął mój pan, trzymając się za nos.

– Granach! – zapiszczała Vizolea. – Nie było o tym mowy!

– Wasza Wysokość! – zareagował natychmiast mag. – Jest tylko jeden sposób! Muszę rzucić zaklęcie Złotej Gwiazdy!

– O nie! – zaprotestowała Vizolea i wyszeptała pod nosem kilka słów. – Jeśli ktoś będzie rzucał to zaklęcie, to tylko ja!

Do pomieszczenia wpadł ropuchopotwór.

– Ropucha Rogotha! – odezwał się mój mistrz.

– Urfoo, szybko – gorączkował się Granach. – Wydadz mi pozwolenie na odprawienie czarów, zanim będzie za późno!

Z piramidy klejnotów wychynęły czerwone szczypce.

– Krab Kranza – przedstawił mi stwora Ebenezum.

– Tylko nie krab! – wyskrzeczwała Vizolea. – Tym razem przesadziłeś, Granach! Przywołuję Wiesz Wiftiany!

Nadworny mag uskoczył przed ledwo zipiącym Urfoo, którego goniły już jakby-pająk, nadęta ropucha i klekoczący skorupiak.

– Ani się waż! – wrzasnął. – Przybądźcie, Nietoperze Nillilappy!

W skarbcu zaroilo się od insektów i latających ssaków.

– Nie powstrzymasz mnie! Wzywam Sowy Suggotha!

– Ach tak? Zobaczmy, jak sobie poradzisz z Myszą Myrgolli!

– Sam się o to prosiłeś! Straszliwe Krowy Kuddotha, przybądźcie!

Mój mistrz zamachał rękoma.

– Przestańcie natychmiast! Doprowadzicie do przeciążenia magenergetycznego!

Powietrze zamigotało, pomieszczenie wypełniło buczenie, a przed nami zmaterializowała się żółtawa postać.

– Jakże miło cię znowu widzieć, Hendrek! – ucieszył się Brax. – My, rodzaj demoni, lubimy wiedzieć, co w trawie piszczy, a obszary wzmożonej aktywności magicznej zawsze przyciągają naszą uwagę. Ach, wężę interesik! Może któryś z was kupi zaklęte ostrze lub dwa, zanim przybędą moi pobratymcy?

– Szlag – wymięł Hendrek.

– Dobrze! Dobrze! – wydyszał Urfoo, umykając przed błękitną krową o przekrwionych ślepiach. – Zastanowię się nad Złotą Gwiazdą!

– Lew Lygthorpedii!

– Kuropatwa Krimola!

– Przestańcie! Przestańcie! Spowodujecie katastrofę! – wołał Ebenezum, zakasawszy rękawy, żeby rzucić zaklęcie.

– A może ty sobie coś kupisz? – zwrócił się do mnie Brax. – Mam szykowny sztylecik, wprost stworzony dla ciebie. Zawsze trafia w serce. Niezastąpiony do otwierania listów. Prawie darmo. Podpisz tylko tu, na dole.

– Tygrys Tabatty!

– Pstrąg Pamaboul!

– Stop! Stop! – krzyknął Ebenezum i kichnął. Nigdy nie byłem świadkiem potężniejszego kichnięcia. Papierki wystrzeliły z jego nosa wprost w zmaterializowanego właśnie demonicznego pstrąga, siła odrzutu zaś posłała mistrza na stertę klejnotów.

Leżał tam, nie ruszając się. Stracił przytomność.

– Szlag – burknął Hendrek.

– Chociaż – zawahał się Brax, tocząc wzrokiem wokół – lepiej może weź topór.

– Antylopa Arasapora!

Ktoś musiał to powstrzymać. Ktoś, czyli ja. Zakłęcie egzorcyzmiczne!

– Sneebly Gravich Etoa Shrudu... – zacząłem.

– Słoń Serasii!

Zaraz, jak to szło, „Sneebly Gravich Etoa” czy „Etoa Gravich Sneebly”?

Postanowiłem spróbować tak i tak.

– W porządku! Nie dałeś mi wyboru! Wieloryb Wakkanor!

Huknęło, ale zamiast wieloryba pośrodku pomieszczenia powstała czarna dziura.

Ebenezum poruszył się, brzęcząc klejnotami.

Brax spojrział przez ramię na powiększającą się plamę czerni.

– Niech to licho. Akurat teraz, tuż przed klepnięciem transakcji. A, co tam, do zobaczenia w Podpieklu! – Demon zniknął.

W skarbcu zapadła głucha cisza. Nadworni magowie zamilkli, a wywołane przez nich demoniczne stworzenia zwróciły ślepią na rozszerzającą się przestrzeń pustki.

Ebenezum otworzył oczy.

– Portal! – przeraził się. – Szybko, możemy go jeszcze zamknąć, jeśli połączymy siły!

Zasysane przez wir powietrze wyło. Podpiekielne potwory, krowy, sowy, szczury, kocury, jeden po drugim zniknęły w czerni.

Granach i Vizolea zwrócili się w stronę dziury, gorączkowo gestykulując.

– Razem! – krzyczał Ebenezum. – Musimy współpracować! – I naraz zaczął kichać. Zakrył nos rękawem, odsuwając się od wiru. Nie pomogło. W ataku kichania zgiął się wpół.

Czerń pochłaniała już klejnoty, sakiewki i złoto. Czulem, jak przyciąga i mnie. Granach krzyknął, wpadając w wir. Vizolea zapiszczała przerażona, gdy została wessana zaraz za nim. Pustka podpełzała do Hendreka, króla, mnie i mojego mistrza.

Ebenezum odrzucił poły szaty i wykrzyczał w czerń kilka słów. Obok mnie przeleciała sztabka złota, ginąc w wirze. Ebenezum wykonał zamaszysty gest i portal skurczył się. Ponowił zakłęcie. Przejście zmniejszyło się, teraz było już rozmiarów człowieka.

A potem Ebenezum znowu kichnął.

– Szlag! – wrzasnął Hendrek. Urfoo szurnął po podłodze w stronę dziury.

Walcząc z wichrem, rzuciliśmy się z wojownikiem królowi na pomoc. Pod naszymi stopami grzechotały zasysane przez pustkę klejnoty. Pchnąłem w stronę portalu skrzynię w nadziei, że zablokuje przejście, ale kufer z hurgotem pomknął w nicość.

– Moje złoto! – wył król, szorując ku wirowi. Chwyciłem go za nogę, Hendrek złapał władcę za drugą. Ostatkiem sił starałem się utrzymać równowagę na toczących się po podłodze klejnotach, ale poślizgnąłem się, przewracając na

wojownika.

– Szła–ach! – wrzasnął olbrzym, wpadając w dziurę.

Wicher zamarł. Hendrek stał w połowie w skarbcu, w połowie gdzieś indziej. Jego brzuszysko zatkało portal.

Ebenezum wysiąkał nos.

– Tak lepiej. – Wyrecytował kilka inkantacji, kichnął, po czym pomógł mi wyciągnąć Hendreka z zamykającej się dziury.

Ebenezum udzielił krótkich wyjaśnień władcy, który siedział oklapły na pustej podłodze, gapiąc się szklistym wzrokiem na ogołoceny skarbiec. Opowiedział, jak to jego nadworni magowie chcieli go oskubać, a że dzięki zabezpieczeniom, umożliwiającym wejście do skarbcza tylko członkom rodu królewskiego, nie mogli dostać się do złota, postanowili rzucić klątwę i w ten sposób zyskać połowę skarbu. Podkreślił, że to on właśnie odkrył intrygę i że powinien zostać sowicie wynagrodzony za ocalenie królewskich pieniędzy.

– Pieniądzy? – wyszemrał Urfoo Chrobry, spoglądając na kilka monet i kamieni, nędzne wspomnienie nieprzebranego bogactwa niegdyś spoczywającego w skarbcu. – Pieniądzy?! Nie mam już pieniędzy! Przez ciebie! Straże! Zabić ich! Okradli mnie! Złodzieje! Ujć!

Hendrek zdzielił go maczugą po głowie.

– Zło... hmm? Gdzie ja jestem? O, dzień dobry. – Król stracił przytomność.

– Szlag – mruknął Hendrek, spoglądając na Karkołomkę. – Podpiekielne sztuczki.

Mój mistrz zasugerował, że to dobry moment, aby ruszyć w dalszą drogę.

V

Szaty maga są oznaką jego profesji i należy nosić je z dumą, choć bywa, że ze względu na nieprzyjemne okoliczności trzeba schować dumę zawodową do kieszeni. W takim wypadku najlepiej wykorzystać kieszeń habitu, fartucha rzemieślniczego czy kostiumu rybałta przynajmniej do czasu, kiedy klimat zmieni się na przychylniejszy.

Z Nauk Ebenezuma, Księga XVII

Czekaliśmy kilka godzin w deszczu na drodze, żeby złapać okazję i wyjechać z Krenk. Ebenezum uznał, że na wypadek pościgu najlepiej będzie zastąpić szaty czarodzieja bardziej neutralnym ubiorem, a woźnice niechętnie spoglądali na osobliwą trójkę podróżnych. Nie wzbudzaliśmy zaufania strojem, a gabaryty Hendreka też nie ułatwiały sprawy.

– Może będziemy mieć więcej szczęścia, jeśli się rozdzielimy – zasugerował Ebenezum, szarpiąc brodę.

– Szlag! – Wielki wojownik zadrzał, chwytając pakunek z Karkołomką. – A moja klątwa?

– Nie martw się. – Mag poklepał go konfidencjonalnie po ramieniu. – Gwarantuję ci, że na jakiś czas będziesz miał spokój z Braxem. To był bardzo potężny wir, wstrząsnął porządnie co najmniej trzema kręgami Podpiekła. Znam się na tym, ich kanały transportacyjne nie będą działały po tym jeszcze przez kilka dobrych miesięcy.

– Znaczy, że jestem wolny od Braxa i innych demonów? – zagrzemiał Hendrek.

– Na razie. Obawiam się jednak, że to tymczasowe rozwiązanie. Cierpię na pewną dolegliwość... – zawiesił głos, spoglądając Hendrekowi w oczy – oczywiście chwilowo, która uniemożliwia mi ostateczną likwidację twojego problemu. Aczkolwiek podam ci namiary na specjalistów w Vushcie, którzy powinni szybko z tym sobie poradzić. – Zapisał trzy imiona na kartce ze swojego notesu, po czym wręczył ją wojownikowi.

Hendrek wcisnął świstek do pakunku z maczugą i skłonił się głęboko memu mistrzowi.

– Dziękuję ci, o wielki magu. W takim razie udam się do Vushty. – Zdawało się, że dygotał, ale może to tylko wrażenie spowodowane deszczem.

– Vushta jest celem i naszej wędrówki – wspomniałem. – Może jeszcze się spotkamy.

– Kto wie co los nam przeznaczy – rzekł Hendrek i ruszył w drogę. – Szlag.

Szybko zniknął nam z oczu w strugach deszczu.

Spojrzałem na mistrza. Stał, ociekając wodą, w każdym calu czarodziej, z wyjątkiem cali przypadających na strój. Jeśli w drodze do Krenk dręczyły go jakieś wątpliwości, najwyraźniej ostatnie wydarzenia pomogły mu odzyskać wiarę w siebie. Znów był sobą, Ebenezumem, największym magiem w leśnej krainie. A także w Krenk!

Nie mogłem już dłużej wytrzymać, musiałem zaspokoić swoją ciekawość – zapytałem mistrza, skąd wiedział o intrydze mającej na celu oszukanie króla Urfoo.

– To proste – odrzekł. – Czarodzieje pragnęli skarbu Urfoo, ale ze względu na zabezpieczenia nie mogli dostać się do skarbcza, wpadli więc na pomysł zastosowania zaklęcia Złotej Gwiazdy, które wymagało wykorzystania połowy złota z zaklętej wieży. Właściwie to trudno im się dziwić. Z tego, co mówiła Vizolea, król przez całe lata nie płacił im za usługi. Niestety, byli zbyt chciwi, aby działać razem, sam widziałeś, jak to się skończyło. Rozważali nawet opcję rzucenia zaklęcia Złotej Gwiazdy, przynajmniej według Vizolei. – Kaszlnął. – Takie rzeczy nie są w moim stylu. – Rozejrzał się po opustoszałej drodze, po czym wyłowił z fałdów przemoczonego płaszcza sztabkę złota. – Uff, już się bałem, że zginęła mi podczas przepychanki. Mam na sobie tyle ubrań, że ciężko ją było wyczuć.

– Jakim cudem ją zdobyłeś? – zdumiałem się. – Cała podłoga skarbcza została dosłownie wymieciona!

– Podłoga tak, ale nie moje szaty – uśmiechnął się Ebenezum, chowając sztabkę. – Mag musi wybiegać myślą naprzód, Wunt. Ludzie oczekują od nas zachowania pewnego poziomu.

Potrząsnąłem głową. Jakżeż mogłem choć przez chwilę wątpić w mojego

mistrza?

Turkocący wóz zjechał na pobocze i zatrzymał się przy nas.

– Podwieźć was? – zawołał furman.

Wgramoliliśmy się pod plandekę.

– Paskudna pogoda – ciągnął woźnica. – Zaśpiewam wam coś na rozgrzewkę. Bo tak się składa, że jestem, ehm, wędrownym minstrelem!

Ebenezum skrzywił się pod kapturem, po czym naciągnął go głębiej, zakrywając całkowicie twarz.

– Hm, co by tu zaśpiewać. – Minstrel szarpnął wodze muła. – Wiem! Mam idealną piosenkę na taką podpiekielną noc. Opowiada o najodważniejszym magu na świecie, czarodzieju z leśnej krainy, z okolic Gurnish... yyy... Nebednunumie czy jakoś tak. Nieco długa, ale mówię wam, gość jest niesamowity, posłuchajcie.

Ebenezum zasnął przy trzecim wersie.

David Langford

(ur. 1953r.) obdarzony jest niezwykłym umysłem oraz poczuciem humoru. Wielkość umysłu tego z wykształcenia fizyka jądrowego objawia się w wielu powieściach, m. in. *War in 2080 (1979)* i *The Third Millennium (1985)*. Jeszcze lepiej znany jest z poczucia humoru, którego przykłady znaleźć można w opowiadaniach publikowanych w periodykach fantastycznych. Ten wielokrotny zdobywca nagrody Hugo w dziedzinie krótkich form literackich doczekał się wydania kilku zbiorów: *The Dragonhikers Guide to Battlefield at Dunes Edge: Odyssey Two (1988)*, *Lets Hear it for the Deaf Man (1992)*, czy *The Silence of the Langford (1996)*. Langford jest zmyślnym dowcipnisiem. Jego pierwsza książka, *An Account of a Meeting with Denizens of Another World, 1871 (1979)*, została wzięta na poważnie przez wielbicieli UFO. W *The Leaky Establishment (1984)* sparodiował badania jądrowe. W roku 1987 wraz z Johnem Grantem (którego opowiadanie także zawarte jest w niniejszej antologii) napisał *Earthdoom!* W poniższej opowiadance bierze na warsztat H.P. Lovecrafta.

David Langford

SPRAWA KUBY OBCINACZA, CZYLI

OPOWIEŚĆ O WIELKIEJ ZIMIE

Niebo i ziemia pełne są znaków i omenów. Kiedy na High Street spotkałem mego starego znajomego Smythe'a, ogarnęło mnie przeczucie, że znalazłem się właśnie na zakręcie życia... A ściślej, zakręcie do baru Kings Head, gdzie znany specjalista od rzeczy niesamowitych ze staromodną kurtuazją przypomniał, że tym razem ja stawiam kolejkę.

– Zdrówko – powiedziałem chwilę później, wznosząc kufel.

– *Phnglui mglw'nafh Cthulhu R'lyeh wgah'nagl fhtagn* – odrzekł. Okultyści znają masę niezwykłych toastów. – Właśnie odbierałem tu obok moje nowe wizytówki. Pozwól, że jedną ci wręcę.

Obejrzałem uważnie wymyślnie zdobiony kartonik. *Dagon Smythe, Parapsychodetektyw.*

– Hologram z pieczęcią Salomona jest wspaniały... Ale skąd ten Dagon?

– W tak niebezpiecznym fachu opłaca się rozważnie dobrać sobie patronów. Ale czekaj, siadaj! Jako wyszkolony obserwator coś zauważyłem. Ten plaster na kciuku, pewnie próbowałaś otworzyć puszkę. A propos...

– To już ta godzina?! – wykrzyknąłem z perfekcyjną spontanicznością. – No cóż, niestety, na mnie już...

– A propos paznokci – ciągnął nieubłaganie Smythe, łagodnie, lecz stanowczo

przytrzymując mnie na miejscu. – Była taka sprawa, niezwykle ciekawa, w której właśnie paznokcie grały istotną rolę. Paznokcie, dawni bogowie i koniec świata.

– Tak! Przypominam sobie. Jedno z lepszych naszych dochodzeń. Szemrana sekta okultystyczna wykorzystywała technologię mikroskopu tunelowego, żeby rozdzielić paznokcie z Prawdziwej Relikwii na pojedyncze atomy, co pozwoliłoby im zalać rynek milionami autentycznych, choć maleńkich talizmanów i...

– Nie, chodzi mi o inną sprawę, z zupełnie innym paznokciem. Wszystko działo się kilka lat temu w pewnym niewielkim miasteczku, F..., usytuowanym niedaleko D..., w hrabstwie B... Prowadziłem tam dochodzenie dotyczące tajemniczego zbrodniarza, który siał nocą postrach wśród mieszkańców. Wyobraź sobie płataninę uliczek spowitych jesienną mgłą, w których każdy przechodzień jawi się jako upiorna, niematerialna postać. I każdy z tych nocnych cieni mógł okazać się istotą, która zyskała przydomek... Kuby Obcinacza.

– Chyba Rozpruwacza?

– Obcinacza. Wielekroć mieszkańcy (nigdy mieszkanki) tego nawiedzonego miasteczka opowiadali o osobliwych wypadkach, których padli ofiarą. Zachowywali w pamięci niewyraźne wspomnienia o pojawianiu się wyjątkowo dziwnej postaci, mającej w zimnej mgłę. Postaci otoczonej płomienistą poświatą, po której ujrzaniu tajemniczo tracili przytomność. Kiedy wracała im świadomość, leżeli na oblodzonym bruku, bez butów i skarpet, za to, rzecz równie makabryczna, co niepojęta, z równiutko przyciętymi paznokciami u nóg.

W tym momencie, będąc niefortunnie w pół łyka, omal nie zginąłem marną śmiercią z przyczyn piwno-tchawicznych.

– Śmiejesz się? Tak?

– Nie, nie, po prostu piwo wpadło mi nie w tę dziurkę, co trzeba – skłamałem, żarliwie potrząsając głową.

– O święta nieświadomości! Tym pustym śmiechem dowodzisz tylko swojej ignorancji w kwestiach okultyzmu. Nie wyda ci się to tak zabawne, gdy przypomnisz sobie, że ścinki paznokci – te tak pożądane przez czarownice szczątki rogowe – odgrywają niezwykle istotną rolę w rytuałach magicznego zniewolenia, pozwalających zdobyć władzę nad obiektem czarów. A ten nieuchwytny Kuba Obcinacz uderzał raz po raz, noc w noc gromadząc czynniki kontroli, umożliwiające podporządkowanie sobie całej męskiej populacji F... – Wzdrygnął się teatralnie. – Niewidzialna ręka skupiająca wszystkie te sznurki zyskałaby moc uczynienia niewyobrażalnego zła, włączając w to doprowadzenie do wygrania wyborów przez Partię Konserwatywną. Nie, z czegoś takiego nie wolno sobie żartować.

Przytaknąłem potulnie.

– A, eee... to voodoo, te czary z woskowymi figurkami i paznokciami, to one faktycznie kryły się za tą sprawą?

– Niesamowite, ale nie. – Smythe opróżnił kufel i odstawił go na stół z wymownym stuknięciem. Uczyniłem to samo, z odrobinę wymowniejszym stuknięciem. Na moment zapadło milczenie.

Mój towarzysz przerwał je raptownie:

– Jak zapewne wiesz, w dochodzeniach związanych z okultyzmem jestem zagorzałym zwolennikiem stosowania szerokiej gamy nowoczesnych technologii. Byłem pionierem w wykorzystaniu Laserowego Pentagramu, który zdystansował jego elektryczną wersję opatentowaną przez starego Carnackiego. Mój wynalazek potrafił odparować najmniej materialne aludzkie manifestacje przy pierwszej próbie przekroczenia linii. To ja zaprojektowałem urządzenie, które stało się standardową sondą do rejestrowania obecności istot demonicznych, Nieczystościomierz. Sprawa w F... dawała idealną okazję do przetestowania mojego eksperymentalnego skomputeryzowanego wykrywacza zombie.

– Proszę? – czasami nie nadążałem za przeskokami myślowymi mojego towarzysza.

– Do stworzenia go zainspirował mnie mechanizm zwany przez badaczy sztucznej inteligencji Efektem Elizy, to skrótowe określenie czegoś w rodzaju psychicznej ślepoty typowej dla większości ludzi. Eliza jest elementarnym programem komputerowym, który imituje psychoterapeutę. Wpisujesz na przykład: *NAPIJESZ SIĘ JESZCZE?*

– Chętnie – wypaliłem błyskawicznie, co Smythe zignorował równie szybko.

– Eliza zaś odpowiada coś w rodzaju: *A DLACZEGO UWAŻASZ, ŻE MÓGLBYM CHCIEĆ SIĘ JESZCZE NAPIĆ?* Lub wyrzuca losowo wybrane pytanie w stylu: Dlaczego o tym wspominasz? lub błąd skryptu \$ff0021. czy chcesz powtórzyć operację od początku? Wszystko mechaniczne i odtwórcze. Jednak ponieważ chcemy wierzyć, że jest inaczej – to właśnie Efekt Elizy – łatwo przychodzi nam uznać te frazy za odpowiedzi jakiejś prawdziwej inteligencji.

– Jakiejś prawdziwej inteligencji – powtórzyłem inteligentnie.

– W ten właśnie sposób zombie wtapiają się w nowoczesne społeczeństwo: nie dysponują większą ilością wariantów konwersacyjnych niż Eliza, ale nasza wrodzona ludzka słabość przechyla szalę wątpliwości na ich korzyść, więc nie dostrzegamy nic dziwnego. Mój wykrywacz zombie zaś, w formie palmtopa z wbudowanym modułem rozpoznawania mowy, jest tego feleru pozbawiony. Z chłodną logiką analizuje rozmowę i daje znać, gdy odpowiedzi są dostatecznie nieskomplikowane, powtarzalne i beztreściowe, czyli charakterystyczne dla zombie oraz osób, których wolę pęta voodoo czy inna złowroga magiczna siła. Za pomocą tego urządzenia...

Nagle Smythe urwał, jakby coś sobie przypomniał i zaczął mamrotać, chyba po gaelicku. Powodowany wewnętrznym nakazem zabrałem puste kufle i ruszyłem do baru, żeby zamówić następną kolejkę Ticklepennys Old Ichorous. Po chwili postawiłem napitek na naszym stole.

– Za pomocą tego urządzenia – kontynuował Smythe, upiwszy kilka sporych haustów – dokonałem analizy populacji F... W tym celu musiałem przeprowadzić w lokalach publicznych całą masę konwersacji, podczas których ukradkiem odczytywałem u rozmówców Iloraz Zombie, pozwalający zidentyfikować ofiary Kuby Obcinacza.

– Stawiałaś drinki „całejmasie” ludzi?! – zdumiałem się szczerze. Smythe znany

był wśród przyjaciół ze swego wyjątkowego skąpstwa.

– Yyy... – zacukał się na moment wybitny okultysta. – Mówiąc szczerze, uciekłem się do starej irlandzkiej metody, jakiej nauczyłem się podczas swoich podróży – nieszkodliwy uroczek skłaniający słuchacza do aktów irracjonalnej hojności. Jest naprawdę niegroźny, choć powoduje u obiektu niewielkie obniżenie inteligencji.

Miałem niejakie problemy ze zrozumieniem tych dziwacznych wyjaśnień, więc po pełnej wysiłku umysłowej chwili dałem Smythe'owi znak, by kontynuował swoją fascynującą opowieść.

– Krótko mówiąc, mój zombieskaner nic nie wykazał. Oczywiście otrzymałem parę znaczących odczytów u osobników, których bardziej zaawansowane funkcje mózgu zostały przytępione nadmiarem alkoholu, ogromnym zmęczeniem czy nałogowym przeglądaniem „Skandali”, jednakże wbrew obawom nie wykryłem żadnych oznak okultystycznego ograniczania wolnej woli na szeroką skalę.

– Co za pech. A więc odniosłeś wyjątkowo druzgocącą porażkę.

– Porażkę? Czyż nie jestem detektywem–naukowcem? Miałbym porzucić wstępną hipotezę tylko dlatego, że zaprzeczał jej jakiś bzdurny fakt? Nigdy! Aczkolwiek, muszę przyznać, że przez moment byłem w rozterce, dlatego też postanowiłem poszukać nowego punktu zaczepienia, uciekając się do tradycyjnych metod, czyli antinopomancji.

Musiałem się przez moment zastanowić nad tym ostatnim słowem.

– Co? Chciałeś kogoś wypatroszyć? Dałeś ogłoszenie o naborze ochotników czy co? „Nieustraszony detektyw poszukuje pocziwca z bebechami”?

– No, no. Antinopomancja to obserwacja wnętrza w celu przewidzenia przyszłości. W definicji nie ma nic o patroszeniu. Ta niefortunna metoda stosowana była przez starożytnych tylko z braku odpowiedniej technologii. Ale owszem, zaczępiłem pewnego brzuchatego ochotnika, niedawną ofiarę Kuby Obcinacza. Moje przedsięwzięcie wymagało już tylko odrobiny perswazji oraz przekupienia odpowiedniej osoby w szpitalu, która posiadała... – zawiesił melodramatycznie głos – ultrasonograf.

– Genialne! – wykrzyknąłem.

– Elementarne, mój drogi przyjacielu – zbył mój zachwyt skromnie. – Odcyfrowanie zawijasów jelit, które cały czas pracują, jest prawdziwą sztuką, lecz efekt wynagradza wysiłki poświęcone na jej naukę. Długo i uważnie wpatrywałem się w ekran urządzenia, na którym ruchome pętle kiszek przybierały coraz to inny złudny kształt, aż wreszcie – przysunął sobie leżącą na stole wizytówkę i nagryzmolił coś na odwrocie – odczytałem to słowo.

Podniosłem kartonik do oczu.

– Naglfar?... Jesteś pewien, że dobrze to napisałeś?

– To jedno słowo, mój przyjacielu, wyjaśniłoby ci całą sprawę, gdybyś był, jak ja, doskonałym deduktorem.

– To anagram falangi?... Hm, nie do końca.

– Wystarczyło, abym po krótkim namyśle zakupił kilka niezwykłych produktów:

akwalung, butle z tlenem oraz halonem 1301, utensylia potrzebne do stworzenia kręgu ochronnego i niewielkie cążki do paznokci. Wyobraź sobie mnie w tę noc, w pokoju jedyne w mieście hotelu o wdzięcznej nazwie Markiz G... Stałem pośrodku pentagramu, który nie bez powodu obwiodłem kostkami lodu. Rozedrgany sprawdziłem przepływ tlenu w akwalungu, ustawiłem zapalniczkę na niewielki płomyk, zapaliłem ją, po czym rzuciłem ścinki moich paznokci poza obręb znaku ochronnego, recytując drżącym głosem słowa: „Przyjmij tę ofiarę, o Loki”. Wtedy, choć słabe miałem co do tego nadzieje, z gorących trzewi rur centralnego ogrzewania wyłonił się Loki. Zgodnie ze swoją oszukańczą naturą przybył w przebraniu, przyjmując postać sprzedawcy używanych samochodów, jednakże migoczące w oczach płomienie dowodziły jego boskości. Jego ogniste, świdrujące oczy zdawały się przepalać mnie na wskroś. „Zrozumiałem wskazówki”, rzekłem do Lokiego. „Kuba Obcinacz wybiera na ofiary tylko mężczyzn, nigdy kobiety, a jako najznamienitszy parapsychodetektyw na świecie znam nordycką mitologię. Naglfar to statek zbudowany z paznokci mężczyzn. Według przepowiedni będziesz na nim pływał, kiedy podczas Ragnaroku morze wystąpi z brzegów, pochłaniając Ziemię. Jak mi nie mam, przedkładaś paznokcie z palców stóp, ponieważ ze względu na jakość znajdują lepsze zastosowanie jako budulec okrętowy. Nie wiem tylko, dlaczego zdecydowałaś się gromadzić materiał konstrukcyjny tej upiornej jednostki w takiej jak ta zapadłej dziurze”. „Jako bóg oszust mam prawo do głupich kaprysów”, wyjaśnił Loki, postępując w moją stronę. „Poza tym działanie na prowincji zwiększa szanse, że Odyn się nie zorientuje, co robisz”. Przy każdym słowie dobywały się z jego ust płomienie. Miałem wrażenie, że patrzę na połykacza ognia z czkawką. „O, na Niflheim!”. Jako że gość mój był także bogiem ognia, nie przypadł mu do gustu mój lodowy pentagram, niemniej jednak zbliżał się do mnie powoli, w kłębach pary. Z nozdrzy dosłownie buchał mu ogień. „A jako bóg ognia mam przykry zwyczaj powoli spopielać śmiertelników, którzy zadają impertynenckie pytania”. Ale nie dałem się zaskoczyć. Założywszy błyskawicznie maskę, odkręciłem zawór butli z halonem 1301. Tajemna formuła odesłania, którą wymówiłem – a był to ostatni, nieznany wers traktatu z Maastricht – utonęła w syku uchodzącego gazu. Nie wiem, czy zadziałała, czy nie, dowiodłem natomiast w praktyce, że bogowie ognia nie znoszą atmosfery nasyconej gaśniczym halonem. Choć Loki był blisko, nie zdążył mnie dopaść, w pół susa zaskwierczał, skurczył się i zgasł jak nie przymierzając płomień świeczki. W ten właśnie sposób rozwiązałem zagadkę. W F... nigdy więcej nie widziano Kuby Obcinacza. Niewykluczone jednak, że gdzieś po drugiej stronie świata, w innym miasteczku, ognisty farmazon kontynuuje swoje dzieło...

– Wyjątkowo niesamowity miszmasz – wymamrotałem, czując jeszcze lekki zawrót w głowie.

– Właśnie dzięki temu zainteresowałem się ostatnio krioniką – oświadczył chępliwie.

– Ach tak – rzekłem słabo, zdecydowany nie zadać oczywistego pytania. Ale Smythe pękał wprost z dumy, zrezygnował więc szybko z budowania napięcia.

– Mam podejrzenia, że knowania przewrotnego Lokiego dotkną także samych

bogów. Wiadomo, że cały nordycki panteon związany jest pętami nieuchronnego losu. Tak zostało zapisane i tak się stanie... A o Naglfarze napisano, że zbudowany jest z paznokci martwych mężczyzn. Jak więc widzisz, koniec świata, Ragnarok, nie nadejdzie, dopóki ofiary Kuby Obcinacza – mężczyźni, których paznokcie zostały wykorzystane przy budowie złowieszczego statku – żyją i mają się dobrze.

– No, świetnie. To znaczy, że świat będzie istniał jeszcze jakieś, ile, pięćdziesiąt lat?

– Wiecznie, jeśli choć kilku dawców budulca zachowa się w kriostacie, w temperaturze ciekłego azotu. Musisz wiedzieć, że niektórzy ludzie słono płacą za coś takiego, mając nadzieję na nieśmiertelność. Dlatego właśnie pracuję nad zawarciem pewnych lukratywnych umów z rządami życzliwie nastawionych krajów skandynawskich. Mam nadzieję, że sfinansują mój krioniczny projekt, który na zawsze powstrzyma Ragnarok. Niewykluczone, przyjacielu, że właśnie siedzisz w towarzystwie – i zaraz postawisz kolejne piwo – wybawcy tego świata. – Smythe skłonił się lekko.

W tak zwanym międzyczasie z odmętów mojej pamięci wyłonił się fragment nordyckiego mitu.

– A właśnie, Smythe. Według legendy, o której wspomniałeś, jednym z omenów poprzedzających nadejście Ragnaroku i ostatecznej bitwy jest ciężka, sroga zima, Fimbulvetr. Nienaturalnie długi okres nieziemskiego mrozu. Jesteś pewien, że twój krioniczny projekt nie stanie się częścią tej zimy?

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem na twarzy Smythe'a wyraz konsternacji.

ELFY, SKRZATY I INNI

Lawrence Schimel

(ur. 1971r.) jest amerykańskim pisarzem mieszkającym obecnie w Hiszpanii. Od roku 1989, kiedy to opublikował swoje pierwsze opowiadanie, jego dorobek literacki powiększał się w zaskakującym tempie. Niewielką jego część znaleźć można w antologii The Drag Queen of Elfland (1997). Lawrence Schimel posiada wyjątkową umiejętność osnucia zgrabnej opowieści na jednym wątku. Poniższe opowiadanie należy do dłuższych utworów pisarza.

Lawrence Schimel **O SZEWCU, O KRÓLU I O** **KRASNOLUDKACH**

Słyszeliśmy oczywiście o tamtym szewcu, o tym, który rano, po przebudzeniu, znalazł na warsztacie nowiutką, gotową parę butów. Kto jednak przypuszczał, że to możliwe? A tym bardziej, że coś podobnego przydarzy się nam? Nie jestem nawet szewcem, tylko ortopedą! Od czasu do czasu zdarza mi się wykonać parę butów ortopedycznych na zamówienie, to prawda, ale głównie robię wkładki, które można wsunąć do kupnego obuwia. Zupełnie nie potrafię więc zrozumieć, dlaczego ja? Z drugiej jednak strony czyż nie jest to pytanie, które zadaje sobie każdy, kto styka się ze zjawiskiem nadprzyrodzonym? Dlaczego ja?

Znalazła je Jane. Zawsze przychodzi najwcześniej, żeby włączyć ekspres do kawy, przygotować biuro na wizyty klientów oraz podzwonić po ludziach z potwierdzeniami terminów. Poza tym ma siedmioletniego synka, Erica, więc wychodzi też wcześniej, żeby odebrać go ze szkoły.

- To urocze, doktorze Katzman – powitała mnie Jane, kiedy wszedłem do biura.
- Król żyje, co? Nie wiedziałam, że jest pan tak zapalonym wielbicielem.
- O czym ty mówisz? – zapytałem, wieszając płaszcz.
- No wie pan, niebieskie zamszowe buty [Blue suede shoes, *przebój Elvisa Presleya*].
- Jakie niebieskie zamszowe buty? – zdziwiłem się, wpychając szalik do rękawa.
- Te w sali numer dwa.

Zaciekawiony ruszyłem do pracowni. Od dobrych kilku tygodni nie miałem zlecenia na buty – aż do wczoraj, kiedy przyszła do nas pani Parker. Ona na pewno nie zamawiała niebieskich zamszowych butów, a nawet gdyby tobym jej takich nie zrobił. Przy takim płaskostopiu nie pomagały żadne wkładki. Potrzebowała butów ze

specjalnie wymodelowaną platformą.

– Co się stało z butami pani Parker?! – wykrzyknąłem.

Na warsztacie, w miejscu, gdzie wczoraj zostawiłem do obeschnięcia konstrukcję podeszwy, której dzisiaj miałem użyć do uszycia butów na tyle szerokich, by zmieściły się w nich platfusowate stopy pani Parker, stała para niebieskich zamszowych trzewików.

– To nie pan je dla niej zrobił? – spytała Jane, wchodząc do pracowni. Podniosła jeden i pomacała wewnątrz. – Wygląda mi na receptę pani Parker.

Sprawdziłem.

– Masz rację, dokładnie te wymiary. Ale to nie ja je zrobiłem.

– Hm, Nancy też nie, to pewne.

Nancy to moja druga sekretarka. Niezbyt bystra dziewczyna, ale pełna zapału. Ponieważ przy okazji jest bratanicą mojej żony, nie mogę jej zwolnić. Staramy się po prostu trzymać ją z dala od rzeczy, które łatwo uszkodzić, jak komputer. I kartoteka. I odkurzacz. I ogólnie wszystko, co ma jakiegokolwiek mechaniczne części.

– A kto inny? Sama wiesz, że jest kompletnie zwariowana na punkcie Elvisa. – Kolejna niezwykle urocza cecha Nancy. – Aczkolwiek trudno mi sobie wyobrazić, dlaczego miałyby robić coś takiego.

– W takim razie to musiała być ona, skoro coś nie ma sensu, musi za tym stać Nancy. – Jane od dawna suszy mi głowę, żeby zatrudnić jakąś kompetentną pomoc biurową, kogoś, na czyje barki mogłaby złożyć część obowiązków. I najchętniej pozbyć się przy okazji tych bezproduktywnych pracowników.

– Nie rozumiem jednak, jakim sposobem mogła to być Nancy – ciągnąłem, ignorując wyraźne niezadowolenie Jane. – Nawet nie mamy na składzie niebieskiego zamszu. Skąd by go wzięła? I jakim cudem miałyby je w ogóle zrobić? Nie umie nawet odsłuchać automatycznej sekretarki, a potrafiła wykonać parę skomplikowanych butów ortopedycznych?

– To co, pana zdaniem, zrobiły je krasnoludki?

– Prędzej uwierzę w krasnoludki niż w Nancy. I w Elvisa, który żyje, ukrywając się pod postacią nocnego szewca.

– Świetnie. Zaraz zadzwonię do tygodnika „Superwieści”. „W warsztacie ortopedy widziano Elvisa!”, „Niebieskie zamszowe buty przyczyną szpotawości!”. I chcę z tego połowę zysku. – Uśmiechnęła się i poszła do biura, żeby zadzwonić. Do klienta, oczywiście, nie do „Superwieści”.

Sam też chwyciłem słuchawkę i wykręciłem numer. Wyjaśniłem pani Parker, że nastąpi niewielka zwłoka w realizacji jej zamówienia, chyba że życzy sobie trzewiki z niebieskiego zamszu. Hurtownia, skłamałem, wysłała nam omyłkowo partię niebieskiego zamszu zamiast zwyczajnej brązowej skóry, a na ponowną dostawę musimy czekać kilka tygodni.

Pani Parker oświadczyła, że obojętny jej kolor obuwia, byle stopy przestały ją boleć.

Odkładając słuchawkę, na wszelki wypadek pomacałem nos, żeby sprawdzić, czy nie wydłużył się od tego kłamstewka. No, bo skoro skrzaty, czy też sam wiecznie

żywy Król, robią buty po nocach, to kto wie co jeszcze może okazać się prawdą? Butów nie zrobiła na pewno Nancy, a innego niż tamte wyjaśnienia nie potrafiłem znaleźć.

Nancy pojawiła się o pierwszej, nie mając o niczym pojęcia. W tym przypadku także o butach.

– Doktorze Katzman! – zapiszczała, kiedy pokazałem jej niebieską niespodziankę. – Zrobił pan Elvisowe buty!

– No i proszę – westchnęliśmy z Jane.

Sprawa butów nie dawała mi spokoju. Kto je uszył? I skąd wziął materiał? Do zrobienia ich wykorzystano podeszwę, którą przygotowałem dla pani Parker, to pewne. Sam ją wykonałem, znałem dokładnie koślawy kształt łuków platformy. Jednakże cała reszta została zmieniona. A materiały, które przygotowałem sobie na rano, zniknęły.

Tyle dobrze, że pani Parker obojętny był kolor – bo co do samych butów, wyglądały na porządną robotę. Nawet jeśli wzór był odrobinę... staromodny.

Przed wyjściem Jane położyłem nową parę podeszew na stole w pracowni numer trzy. Zamknąłem drzwi na klucz, który zjąłem z kółka.

– Jutro nie otwieraj tego pomieszczenia, dopóki nie przyjdę – powiedziałem, wręczając jej klucz. – Sam także nie będę mógł się tu dostać. Chcę być przy tym, jak udowodnimy, że to nie krasnoludki.

Następnego dnia mimo najszczerzych chęci dotarłem do biura spóźniony. Nie mogłem się doczekać, żeby sprawdzić, co stało się z podeszwami, ale tego ranka ulica Long Island postanowiła udawać parking. Godzinę stałem w korkach. Poranny szczyt oszczędził za to moich klientów, od których roilo się w poczekalni. Na dodatek bez przerwy dzwonił telefon. Uwijaliśmy się z Jane jak w ukropie. Nie mieliśmy czasu zajrzeć do pracowni numer trzy, dopóki nie przyszła Nancy. Złapawszy chwilę oddechu, stanęliśmy przed drzwiami. Przez moment tkwiliśmy tak, wpatrując się w nie bez słowa, jednak niepewność i powątpiewanie odbijały się na naszych twarzach aż nazbyt wyraźnie.

– Wszystko będzie tak, jak zostawiliśmy – powiedziałem, kiedy Jane podała mi klucz. Przekręciłem go w zamku, ale nie mogłem zdobyć się na naciśnięcie klamki w obawie, że może nie mam racji.

– Dopóki nie otworzy pan drzwi – rzekła Jane – nie da się wykluczyć żadnej ewentualności. Po drugiej stronie znajdziemy te podeszwy, które zostawiliśmy wczoraj, albo parę nowych butów zrobionych przez nadprzyrodzone tudzież inne siły. Musimy tam wejść, żeby rozstrzygnąć, który scenariusz jest prawdziwy. – Przerwała dla nabrania oddechu. – Niech pan otworzy drzwi, a ja zapalę światło, dobrze?

Niezdolny wydobyć głosu, kiwnąłem tylko głową i pchnąłem skrzydło. Jane sięgnęła za futrynę i pstryknęła włącznikiem. Oboje zamarliśmy, gapiąc się na warsztat.

Na blacie stała para nowych niebieskich zamszowych butów. Na pierwszy rzut oka widać było, że różnią się od wczorajszych. Były mniejsze o jakieś cztery

rozmiary.

– No i? – odezwałem się, odzyskując mowę.

– Nie wiem, co jest bardziej niedorzeczne – zaczęła Jane – fakt, że krasnoludki są na świecie, czy że nasze biuro nawiedził Elvis.

– To niepotwierdzone nawiedzenie – zaznaczyłem. Wyszliśmy na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Choć tajemnicze buty zniknęły z widoku, ich obraz ciągle mieliśmy przed oczyma.

– Co według bajki powinno nastąpić teraz? – zastanawiałem się głośno.

Nie pamiętałem zbyt dobrze tej opowieści. Jane jednak ma siedmioletniego syna, jest więc na bieżąco z tego typu literaturą.

– Sam Król zapragnął mieć takie buty – odparła moja niezastąpiona asystentka.

– Tak było w bajce. Bo krasnoludki to chodzą bez butów. I nago, chyba.

– Nago! Przegapiłam okazję ujrzenia nagiego Elvisa! – jęknęła Nancy, mdlejąc. Jane pobiegła, żeby przynieść jej szklankę wody. Ucieszyłem się, widząc, że asystentka mimo niechęci do dziewczyny spieszy jej na ratunek.

– Już lepiej, dziękuję – zapewniła nas Nancy. – Ale nie ruszę się z biura, dopóki go nie zobaczę! Choćbym miała tu siedzieć całą noc!

Jane popatrzyła na mnie.

– Prawdę mówiąc, sama jestem ciekawa – stwierdziła. – Chciałabym wiedzieć, jak to się wszystko skończy. W bajce szewc i jego żona na gwiazdkę robią dla krasnoludków ubranka i butki. A potem skrzaty już nigdy się nie pojawiają.

– Niewykluczone, że tak trzeba będzie zrobić. Nie wezwiemy przecież deratyzatora. Skoro to skrzaty... Albo tym bardziej Elvis. Muszę przyznać, że sam mam ochotę to sprawdzić.

– No to ustalone – podsumowała Jane.

– Ale super! – zapiszczała Nancy.

Ja i Jane westchnęliśmy unisono i wróciliśmy do pracy.

Jane wykonała kilka telefonów i ustaliła, że Eric zostanie na noc u swojego przyjaciela, Petera. Ja miałem trochę więcej kłopotów z wyjaśnieniem żonie, dlaczego muszę siedzieć w pracy przez całą noc.

– Dobrze wiem, o co chodzi – zaczęła moja połowica tym szczególnym tonem. – To ta twoja sekretarka.

– Jak możesz w ogóle tak myśleć – zganilem ją. – Poza tym Nancy też tu będzie.

– No tak! – szczególna nuta z głosu mojej żony nie zniknęła, ton natomiast podniósł się o oktawę. – Zostajesz na noc z dwiema sekretarkami!

– Ależ, kochanie! – uspokajałem ją. – Ktoś po prostu włamuje się tu w nocy. Nancy uważa, że to Elvis, i uparła się, żeby go zobaczyć. A propos Nancy, musimy o niej poważnie porozmawiać.

– Nie zmieniaj tematu – fuknęła żona. – Przyznaj się, masz romans z moją bratanicą, z sekretarką czy z obiema naraz?

Westchnąłem ciężko.

– Może przyjedziesz i pobędziesz tu z nami? Sama zobaczysz, że nie mam romansu z dzieciątą sekretarką, ani tym bardziej – tu zniżyłem głos – z twoją

pustogłową bratanicą!

* * *

Adela zjawiała się dokładnie o wpół do siódmej, kiedy zamykaliśmy biuro. Poszliśmy wszyscy zjeść coś w pobliskiej chińskiej restauracji. Spieszyliśmy się, bo trudno było powiedzieć, kiedy nawiedzą nas tajemnicze siły. Zostawiłem podeszwy na warsztacie, tym razem w sali numer jeden. Po pierwsze, skoro nie miałem kontroli nad tym, co dzieje się w mojej firmie, chciałem mieć przynajmniej wpływ na to, gdzie to się dzieje. Po drugie, tylko w tej sali stała szafa, w której mogły się pomieścić cztery osoby.

Ukryliśmy się w środku, raz po raz zaglądając do pomieszczenia przez szpary w drzwiach. No, raz po raz to zaglądaliśmy z Jane, bo Nancy nie odrywała oka od szczeliny.

Adela narzekała, że się nudzi.

– Mogłaś zostać w domu, mówiłem – przypomniałem jej.

– Myślałam, że masz romans. Wiesz, świadczyły o tym wszelkie znaki na niebie i ziemi. Co miałam robić?

– Romans? – w głosie Jane brzmiała specyficzna nuta. Nawet mimo ciemności wiedziałem, że chichoce pod nosem. Adela także. Czuję, że ulżyło jej ostatecznie. Po wspólnej kolacji z Nancy, pozbyła się większości obaw.

– Ciii – syknęła Nancy – Kto wie kiedy się pokaże.

Tym razem do chóralnego wzdychania przyłączyła się też moja żona. Nancy naprawdę wierzyła, że zobaczy Króla.

Jeśli o mnie chodzi, nie wiedziałem, czego się spodziewać. Aczkolwiek nie opuszczało mnie przekonanie, że coś zobaczymy. Albo raczej kogoś. Inaczej nie gniółłbym się przez całą noc w szafie z moją sekretarką, żoną oraz jej pustogłową bratanicą, mającą obsesję na punkcie Elvisa.

Adela usiadła, opierając głowę na moim ramieniu. Po chwili już chrapała. Sam miałem ochotę się zdrzemnąć, ale w drzemkę zapadła tylko moja noga. Bałem się zasnąć, żeby nic nie przegapić, i nie chciałem przechodzić przez takie nocne podchody ponownie.

Po jakimś czasie, który wydawał mi się wiecznością, Nancy zaczęła popiskiwać – tak brzmiały jej próby opanowania okrzyków ekscytacji. Byłem dumny że w ogóle próbowała.

Po drugiej stronie drzwi szafy rozlegały się stłumione pomruki i szuranie. Coś stuknęło o posadzkę. Ktoś zaklął. A potem w pomieszczeniu zabłysło światło.

Wszyscy czworo przytknęliśmy oczy do szczelin.

To był Król, jak żywy. Nie zmienił się ani na jotę. Wyglądał dokładnie tak młodo jak na ostatnich zdjęciach, zupełnie jakby od tamtej pory nie minęły dziesięciolecia.

Nie, właściwie to jedno się w nim zmieniło, chyba że nigdy wcześniej tego nie dostrzegłem.

– Spójrzcie! Ma zupełnie zdarte podeszwy! Na wylot!

– Biedaczek – rozczuliła się Nancy i wypadła z naszej kryjówki.

Jeśli Elvis był zaskoczony jej widokiem, nie okazał tego.

– Musisz mi pomóc, ślicznotko – powiedział, przeciągając charakterystycznie zgłoski. – Jestem w potrzasku, nie mogę się wydostać [*Suspicious minds Elvis Presley*]. *La Belle Dame Sans Merci* [*Piękna pani bez litości John Keats*] ma oto mnie w niewoli – wyjaśnił.

Nancy oczywiście zrobiłaby dla niego wszystko.

– *La Belle Dame Sans* mózg też jest w niewoli – westchnęła Jane i opuściła szafę, idąc współpracownicy na odsiecz. Znowu poczułem dumę, że przewyciężyła antypatię do podgłupiastej bratanicy mojej żony.

Wypowiedź Jane nasunęła mi pewne skojarzenia. Przypomniawszy sobie przerabiany w szkole wiersz Keatsa, znalazłem podobieństwo pomiędzy Elvisem a postacią tajemniczej królowej, która rzucała urok na niczego niepodejrzewających śmiertelników. Opętani jej czarem biedacy mogli myśleć tylko o niej i w końcu popadali w obłąd.

Nie chciałem jednak stracić niczego z rozgrywających się przede mną wydarzeń, dlatego rozważania na temat obsesji zostawiłem sobie na później.

– Jakiś problem? – spytałem, ujawniając się.

– Moje stopy – jęknął Król.

– Ta-ak, właśnie widzę – mruknąłem. – Może usiądziesz sobie tu, na blacie, a ja zobaczę, co da się zrobić. – Uczyniłem zapraszający gest. Elvis wskoczył na stół i natychmiast zabębnił piętami o szuflady.

– Nie mogę przestać tańczyć – ciągnął. – To wszystko przez królową. Zmusiła mnie do tańca bez końca, ale ja nie mam tyle energii, co baśniowe istoty.

Nagle do mnie i do Jane dotarło, co powiedział przed chwilą. *La Belle Dame*, tajemnicza królowa, zniewoliła Króla w inny sposób, niż sądziliśmy. Po tylu latach wyjaśniła się zagadka zniknięcia Elvisa! Nic dziwnego, że wyglądał dokładnie tak jak za czasów młodości. Według ballady czas w obu krainach płynął inaczej. Siedem lat w naszym świecie to ledwie dzień w baśniowym.

– „Enquirer” nigdy w to nie uwierzy – mruknęła Jane. – Ale może Spielberg...

– Więzi mnie od siedmiu lat – mówił Król, gdy przykucnąwszy, zacząłem rozwiązywać jego niebieskie zamszowe buty.

– Biedaku! – uzalila się Nancy. Adela objęła bratanicę ramieniem, żeby ją uspokoić, a przy okazji powstrzymać przed zrobieniem czegoś głupiego oraz nie pozwolić upaść w razie omdlenia.

Zdjąłem Elvisowi skarpetki. Jego stopy emanowały grzybiczym smrodkiem.

– Powinieneś częściej zmieniać buty – zasugerowałem ostrożnie w obawie, że bezceremonialne „śmierdzą ci nogi”, mogłoby wywołać niekontrolowaną reakcję Nancy i skończyć się dla mnie kalectwem. – Nosić różne.

– Mogę robić tylko to, co ona mi każe. A każe mi cały czas śpiewać i kręcić tyłkiem. Jestem zmęczony. A moje stopy! Spójrz na moje buty! Musisz mi pomóc, doktorze.

– Tak, oczywiście, rozumiem – rzekłem.

– Musisz mu pomóc! – wykrzyknęła Nancy.

– Jak ci się udało wymknąć i przyjść tutaj? – zapytała praktyczna Jane. Nie wiem, co bym bez niej zrobił. Pewnie patrzyłbym bezsilnie, jak moja firma pogrąża się w chaosie. Na razie, póki Eric był mały, nie musiałem się martwić, ale kiedy pójdzie na studia... Zaczęła prześladować mnie myśl, że koniecznie muszę zatrudnić jakąś pomoc, kogoś, kogo Jane wyszkoli, zanim odejdzie z pracy. Jest zbyt mądrą i ambitną kobietą, żeby całe życie pracować jako sekretarka.

– Dzięki baśniom – odparł Elvis. – Królowa rzuciła na mnie zaklęcie, w wyniku którego stałem się po części podobny do baśniowych stworzeń, którymi włada. A do nich zaliczają się także skrzaty, które według opowieści robią dla ludzi buty i jako zapłatę same otrzymują obuwie. Błagam, doktorze, zrób dla mnie buty, takie, żeby mnie nie bolały stopy.

Znów przykucnąłem przy Elvisie, zabierając się do dokładnego badania. Poczulem się przy tym jak Maria Magdalena myjąca nogi Chrystusowi. Muszę wspomnieć o tym skojarzeniu Jane – ale nie w tej chwili. Nastrój nie był odpowiedni. Nie wiedziałem, czy moja żona albo Nancy wyłapią ironię sytuacji. No, Nancy na pewno nie.

Ugryzłem się w język i zająłem obmacywaniem oraz mierzeniem stóp niecodziennego pacjenta.

– No tak – mruknąłem. – Stopa pronująca. Hmmm.

– Pomóż mi, doktorze – błagał Król w tonie *Love me tender*.

– Chyba sobie z tym poradzimy – zapewniłem i zacząłem kręcić się po sali, gromadząc potrzebne materiały. Podczas gdy pracowałem, w pomieszczeniu panowała pełna skupienia cisza. Jane stanęła przy mnie, podając akcesoria, których akurat potrzebowałem. Nancy pożerała Elvisa wzrokiem, zupełnie jakby lada moment miała się rzucić na niego i zedrzeć wyszywane cekinami wdzianko. Adela obserwowała moją pracę, ani na moment nie rozluźniając stanowczego uchwytu na ramieniu bratanicy. Elvis zaczął nucić.

Z pomocą Jane praca szła gładko. Zalałem formę podeszew.

– Nie damy rady ich dzisiaj skończyć – ostrzegłem. – Odlew potrzebuje doby, żeby się zestalić. Dopiero po tym czasie można zrobić buty. Będziesz musiał wrócić tu jutro.

Nancy wydała z siebie nieartykułowane kwiknięcie.

– Mogę zobaczyć? – Elvis zeskoczył ze stołu i podszedł do warsztatu. Wziąwszy do rąk podeszwy, potrzymał je przez chwilę, nucąc pod nosem. Potem mi je zwrócił. – Teraz powinno być dobrze.

Rzeczywiście, masa stwardniała.

Powstrzymałem się od komentarza. Ostatnio działo się tu tyle dziwnych rzeczy, że coś takiego wydawało się przy nich zaledwie drobiażdżkiem.

Jedyną normalną sprawą w tym morzu nonsensu było szycie butów. To, że robiłem je dla Elvisa, nie miało znaczenia. Liczyły się tylko udręczone stopy klienta, któremu trzeba było pomóc. Tylko przypadek zrządził, że należały do jednej z największych gwiazd muzyki, człowieka otoczonego mgłą tajemnicy, przez którą się przedarliśmy.

Nie żeby ktokolwiek w coś takiego uwierzył. Sam w to nie wierzyłem.

Jednak wierząc czy nie, buty robiłem. Musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie, powtarzałem sobie w duchu, i kiedyś się znajdzie.

Wreszcie Elvis założył skarpetki, po czym wzał buty.

– Idealne – ucieszył się, robiąc kilka kroków wte i wewte.

Był tak uszczęśliwiony, że aż ucałował stojącą najbliżej Nancy.

Dziewczyna zemdląła.

Akurat w tym momencie nikt nie znajdował się na tyle blisko, żeby ją złapać. Upadając, uderzyła głową o kant blatu. Podbiegłem, żeby sprawdzić, czy nic jej się nie stało. Na podłodze czerwieniła się krew. Jane pobiegła po opatrunki, Adela zaś rzuciła się zadzwonić po pogotowie.

– Gdzie Elvis? – jęknęła Nancy, otwierając oczy.

– Elvis? – Rozejrzałem się, przykładając jej gazę do czaszki. W zamieszaniu nasz gość zniknął. Wrócił pewnie do baśniowego królestwa czy tam, skąd przyszedł. Swoją drogą, jak on się tam dostał? I czy w ogóle tam był? Zastanawiałem się, które z tych pytań bardziej podaje w wątpliwość moje zdrowe zmysły. Z miny Jane wywnioskowałem, że rozważa, ile z tej historii powinniśmy opowiedzieć Nancy i czy w ogóle.

– Uderzyłaś się w głowę – rzekła Jane w końcu. – Elvis zniknął całe lata temu. Pewnie już nie żyje.

– Niemożliwe! – zawołała Nancy. – Widziałam go! Widziałam! Byliście tu! Pocałował mnie! – Zamrugła rozpaczliwie, obejmując się ramionami.

– Wydawało ci się – uspokajała ją Jane. – To od uderzenia.

– Karetka jest w drodze – oznajmiła Adela, wracając z biura.

– Wydawało mi się? – wyszeptała Nancy, klęsnąc jak przekłuty balonik. – Ale to wszystko było takie prawdziwe.

Takie prawdziwe. Czuję to samo. Wydawało się takie prawdziwe, ale to przecież niemożliwe. Widziałem go na własne oczy, dotykałem jego stóp, zrobiłem mu niebieskie zamszowe buty, buty, które wytrzymają nadprzyrodzone tańce baśniowych istot.

Do przyjazdu karetki nikt się nie odzywał. Adela pojechała z bratanicą do szpitala, a ja obiecałem, że zjawię się tam zaraz, jak tylko posprzątamy z Jane i zamkniemy firmę.

– Co powiemy ludziom? – zapytałem.

– Moim zdaniem, nic nie powinniśmy mówić. Kto by nam uwierzył? Sama nie wierzę, a przecież tu byłam. Dobrze przynajmniej, że mamy to już za sobą, że wszystko się skończyło.

– Chyba tak – potwierdziłem bez przekonania. Skłamałbym, twierdząc, że odzyskałem spokój. Wiedziałem, że już nigdy nie będzie tak samo; że za każdym razem, kiedy spojrzę na plakat Elvisa lub usłyszę piosenkę, będę czuł pod dłońmi jego stopy. – Mam wrażenie, że tyle jest jeszcze niezgłębionych tajemnic. Na przykład te wszystkie bajki, czy także są prawdziwe? Albo: dlaczego ja? Pewnie nigdy się tego nie dowiemy.

– A ja wiem jedno. – Jane podniosła leżący na stole odlew stopy. – To zapewni Ericowi wstęp na dobrą uczelnię.

Trudno byłoby mi się z tym spierać.

Cynthia Ward

(ur. 1960r.) od czasu napisanego w roku 1989 opowiadania The Opal Skull stale publikuje swoje utwory w periodykach oraz antologiach. Urodzona w Oklahomie, zanim osiadła w Seattle, mieszkała w Maine, Hiszpanii, Niemczech oraz San Francisco.

Cynthia Ward

TAŃCZĄCY Z ELFAMI

– Elfy! – zawołał Roosoo Kowadełko. – O Szlachetny Ludu, usłysz moje błagania! Porzuciłem moją rodzinę i warsztat! Porzuciłem świat ludzi! Pragnę do was dołączyć!

Szlachetny Lud był plemieniem najwspanialszych, najmądrzejszych, najbardziej prawych istot na świecie. Żyły one w zgodzie ze sobą, w przyjaźni z duchami i harmonii z naturą. W rejonach, które zamieszkiwały, las obradzał rokrocznie kwiatami o słodkiej woni oraz pełnymi słodczy owocami. Gdy polowały, zwierzęta podchodziły ku nim z własnej woli. Roosoo wiedział, że czasami kradną ludzkie dzieci. Dziwił się rozpaczy rodziców, przecież elfy obdarzały ich pociechy niezrównaną łaską.

Roosoo Kowadełko czekał, lecz z roztaczającego się wokół lasu nie nadeszła żadna odpowiedź. Wreszcie skulił się przy niewielkim ognisku, jakby przytłoczony napierającym zewsząd mrokiem. Już trzy dni i trzy noce spędził samotnie w dziczy, żywiąc się orzechami i jagodami. Nie zabrał do lasu jedzenia, a choć był kowalem, nie miał przy sobie żelaza.

– Czemuż nie dorastałem pośród Szlachetnego Ludu? – zapytał nocy i spuścił głowę. – Bogowie – modlił się – spełnijcie moje życzenie, pozwólcie mi się przyłączyć do najwspanialszych z waszych stworzeń.

Kiedy podniósł oczy, ujrzał siedmiu elfów stojących nieruchomo wokół ognia. Kobiety z rodzinnego miasteczka mówiły o nim „szlachetny niczym elf”, jednakże w obecności wspaniałych istot Roosoo poczuł się brzydki i koślawy niczym garbus.

Najwyższy z elfów przemówił w Starej Mowie, a jego kryształowy głos popłynął na podobieństwo górskiego potoku.

– Od trzech nocy słyszymy twoje wołania. Dlaczego nas niepokoisz?

– Wzywałem was, gdyż pragnę się przyłączyć do elfiego ludu. – W uszach Roosoo własny głos przypominał skrzypienie starego fotela, jednak zmusił się, aby mówić dalej: – W pogoni za marzeniem zostawiłem za sobą znany mi świat. Jesteście tacy szlachetni i mądrzy, oddałbym wszystko, by być jednym z was.

Elfy wymieniły uśmiechy, prezentując niedoścignioną ludzkiej biel zębów. Najwyższy z nich ponownie zwrócił się do Roosoo:

- Chcesz stać się jednością z elfami, człowieku?
- Niczego bardziej nie pragnę.
- Zwą mnie Uderzającym Orłem – przedstawił się najwyższy elf. – Zagaś ogień i podążaj za nami.

Rooso wylał w płomienie wodę z bukłaka i zamrugnął, próbując przebić wzrokiem czerń nocy.

* * *

O świcie elfy wyprowadziły człowieka na łąkę porośniętą dzikimi różami, poziomkami, makami, stokrotkami oraz mnóstwem innych kwiatów, których nazw Rooso nie znał. Pośrodku polany znajdował się zagajnik drzew owocowych i dębów. Jabłonie, grusze i wiśnie uginały się pod ciężarem owoców. Elfy mieszkwały wysoko na dębach, w szalaszach uplecionych z gałęzi oraz traw. Pomiedzy kilkudziesięcioma istotami, które pozdrawiały go, gdy przechodził, Rooso dostrzegł także kilkoro dzieci, tak samo cichych, dostojnych i pięknych jak dorośli. Nie zauważył natomiast żadnego ludzkiego potomstwa – jeśli byli tu jacyś odmieńcy, przeobrazili się już całkowicie.

Szlachetny Lud gotował ucztę powitalną. Niektórzy układali pośrodku gaju wielkie ognisko, inni napełniali kosze owocami i jagodami. Uderzający Orzeł powiódł Rooso poza zagajnik, w głąb wiekowej puszczy. Tam nakazał Rooso stanąć cicho w cieniu bujnej sosny. Wtedy dobył noża. Serce Rooso na moment przestało bić. Uderzający Orzeł odwrócił się i odszedł.

Po paru krokach zastygł w bezruchu. Jego jasna cera oraz tunika z kozłowej skóry harmonizowały z żółciami i brązami pni oraz opadłych liści.

Chwilę później pomiędzy drzewami pojawił się wspaniały jeleni o łbie zwieńczonym rosochatym porożem. Zbliżywszy się do elfa, byk uniósł głowę, odkrywając smukłe podgardle. Uderzający Orzeł przystawił kamienne ostrze do szyi zwierzęcia i przeciął twardą skórę. Na widok fontanny jasnej krwi Rooso poczuł słabość, choć sam wielekroć kłusował w królewskich lasach. Powiedział sobie jednak w duchu, że jeleni przyszedł do Uderzającego Orła z własnej woli, zgodnie z porządkiem natury.

Podczas uczy Rooso Kowadełko miał okazję posmakować najwyborniejszej sarniny, jaką jadł w życiu. Mięso było świeże, aromatyczne, delikatne jak cielęcina. W trakcie posiłku grupa elfów śpiewała dziwne, obco brzmiące pieśni, których Rooso nie rozumiał. Wibrujący warkot akompaniujących bębnow przesywał go do kości. Kiedy część biesiadników powstała i utworzyła krąg wokół ognia, Rooso zrozumiał, że zaraz będzie świadkiem legendarnego tańca elfów. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nie spodziewał się, że przyjmą go do siebie.

Potrząsał odmownie głową, kiedy czynili w jego stronę zachęcające gesty, aż wreszcie Uderzający Orzeł opuścił taneczne koło, złapał go za rękę i pociągnął ku ognisku.

- Dostrzegasz układ, człowieku?

Rooso zaprzeczył. Taniec był bardzo skomplikowany, a rytm zbyt szybki. Ale

bębny zwolniły, a tancerze okrzykami zachęcali go do przyłączenia się, wykonując ruchy pomału, żeby mógł się nauczyć. Uderzający Orzeł wciągnął go do kręgu, rytm przyspieszył i po chwili oszołomiony Roosoo tańczył starożytny elfi taniec.

Śniadanie było równie wspaniałe co wieczerza. Roosoo raczył się owocami, szynką z dzika i białym chlebem maczanym w miodzie. Najadł się tak bardzo, że o ciężały legł pod drzewem, zapadając w kilkugodzinną drzemkę.

Uderzający Orzeł obudził go, wciskając mu w dłoń kawałek jakiegoś pomarszczonego owocu.

– Nie jestem głodny – wymówił się Roosoo.

– Zjedz tego muchomora, a będziesz widział, jak my widzimy – rzekł Uderzający Orzeł. – Zjedz, a poczujesz jedność ze światem.

Roosoo przyjrzał się grzybkowi. Do górnej części długiej, białej i niezbyt czystej nóżki przylegał ściśle brązowy czop kapelusza. Czy to możliwe, że ten wyschnięty grzyb obdarzy go mądrością elfów?

Poczuł łaskotanie w brzuchu. Szybko wepchnął do ust muchomora i zmełł go w zębach. Nóżka pokruszyła się jak sucha gałązka. Podczas zucia ślina rozmiękczyła skórzasty strzęp, ale jednocześnie rozbudziła ohydny smak. Przełknął z trudem. Nie pojmował, jak miałby zyskać mądrość tym sposobem, a próby wyobrażenia sobie tego procesu przyprawiły go tylko o mdłości. Położył się, starając o tym nie myśleć.

Po chwili zdał sobie sprawę, że pnie w gaju kształtują pewien wzór. Tworzyły go drzewa, które widział, a także te, których widzieć nie mógł. Nagle ogarnął umysłem pełen obraz: harmonijny układ powiązań roślin ze zwierzętami, od fruujących ponad koronami ptaków po drążące ziemię owady. Zrozumiał, dlaczego jeleni zjada liście, a potem sam zjadany jest przez wilka. Odchylił głowę, spoglądając na dąb, pod którym leżał, i podążył wzrokiem za wyłobieniami kory, które również tworzyły szczególną konfigurację. Wszystko było częścią układu. Roosoo Kowadełko przytulił policzek do chropowatego pnia, rozłożył ramiona i objął drzewo.

Wraz z nadejściem zmierzchu elfy ułożyły ognisko. Człowiek wpatrywał się w płomienie, obserwując pomarańczowo–żółte języki, które wiły się i wirowały w tańcu tak pięknym i znaczącym jak taniec elfów czy układ porządkujący świat.

Roosoo zdał sobie sprawę, że Uderzający Orzeł stoi przy nim, a reszta elfów skupiła się nieopodal. Uderzający Orzeł położył mu dłoń na ramieniu.

– Dostrzegasz układ, człowieka?

– Tak – odrzekł Roosoo spokojnie.

– Jesteś gotów stać się jednością z elfami? – zapytał Uderzający Orzeł.

– Jestem gotów – uśmiechnął się Roosoo marzycielsko.

Tak więc elfy upiekły go i zjadły.

John Morressy

To pierwsze opowiadanie Morressy'ego o magu Kedrigernie. Odkąd zostało opublikowane w roku 1981, autor napisał pięć powieści z tym bohaterem w roli głównej: A Voice for Princess (1986), The Questing of Kedrigern (1987), Kedrigern in Wanderland (1988), Kedrigern and the Charming Couple (1990) oraz A Remembrance for Kedrigern (1990). John Morressy (ur. 1930r.) jest Amerykaninem, emerytowanym wykładowcą. Wciąż pracuje nad następnymi przygodami maga.

John Morressy ZABEZPIECZENIE PRZED SKUTKAMI ALCHEMII

Kedrigern do studiów magicznych podchodził poważnie, jednakowoż był człowiekiem rozsądnym. Pewnego pięknego poranka za rozsądniejsze uznał wygrzewanie się w promieniach wczesnowiosennego słońca na werandzie niżli ślęczenie nad starożytnymi zielnikami w swoim zasnutym mrokiem oraz pajęczynami gabinetu.

Rozciągnąwszy się wygodnie na piernatach, wyłożył nogi na pufkę i leniwie potrząsnął srebrnym dzwonkiem. Zza drzwi dobiegły szmery, a zaraz potem plaskanie wielkich stóp na kamiennej posadzce. U boku Kedrigerna pojawiła się niewielka, szkaradna istota.

Składała się głównie z głowy, paskudnej głowy o wyłupiastych oczach, dominujących na niskim czole zmierzwionych brwiach i wielkim haczykowatym nosie, podobnym do pokrytego brodawkami rogu. Całości dopełniał wystający podbródek oraz kosmate uszy, przypominające rozwarte na oścież okiennice. Chude, krótkie nóżki stworza rozszerzały się w brudne, platfusowate stopy, zaś łopatowate ręce sterczały po bokach niczym wiosła. Plamista, brodawkowata, skórzasta czaszka ledwie wystawała ponad podnózek Kedrigerna. Obok tegoż właśnie szlachetnego mebla paskuda przystanęła, trzęsąc się z chęci oddania posługi.

– Ach, jesteś – zauważył czarodziej łagodnie.

Stwór potaknął gorliwie gigantycznym łbem, obficie zraszając okolicę śliną.

– Tach, tach – wysapał.

– Grzeczny Pypeć. A teraz słuchaj pilnie.

– Tach, tach. – Pypeć podskoczył podeksycytowany.

– Napiłbym się kufelka mocno schłodzonego piwa. Przynieś od razu cały dzban, na wypadek gdyby moje pragnienie okazało się silniejsze, niż przewiduję. A do tego gomółkę sera wielkości pokrywki od dzbana, a także pajdkę chleba. Zapytaj też

księżniczkę, czy ma ochotę do mnie dołączyć.

– Tach, tach – sapnął radośnie Pypeć i odkulał się skwapliwie do obowiązków.

Kedrigern odprowadził go tkliwym spojrzeniem. Trolle to wredne potworki, ale gdy się je wytresuje od małego, stają się oddanymi sługami. I wspaniałymi tępicielami szkodników. Przy stole zachowywały się okropnie, ale cóż, nikt nie jest doskonały. Czarodziej poprawił się na poduszkach i z westchnieniem zadowolenia przymknął powieki. To życie godne rozsądnego człowieka, pomyślał ukontentowany. Nie to, co ta cała przeklęta alchemia.

Kedrigern nie mógł zrozumieć owej powszechnej fascynacji tą dziedziną wiedzy tajemnej. Ostatnio panował istny szal na alchemię, pojawiała się we wszystkich rozmowach – według Kedrigerna była niczym jak tylko dymiącym, smrodliwym, niechlujnym hokus–pokus, zlepkiem wydumanego żargonu, którego nikt tak naprawdę nie rozumiał, a którym każdy, jak nakazywały trendy, zonglował z autorytatywną powagą. Jednakże wyglądało na to, że modna dziedzina robi furorę. Inteligentni młodzi ludzie nie interesowali się już tradycyjną magią. Istniała dla nich tylko alchemia.

Jeszcze jeden znak czasów, złych, zdaniem Kedrigerna, czasów. Czasów pełnych barbarzyńców, którzy nadciągając ze wschodu, palili na stosach duchownych, oraz duchownych rzucających anatemy i palących alchemików, jak również alchemików, którzy w pogoni za kluczem zamiany ołowiu w złoto palili wszystko, co wpadło im w ręce. Dym, wrzask i zniszczenie, oto, czym wszyscy ostatnio się zajmowali.

Wszyscy poza Kedrigernem. Kedrigern pilnie studiował świecką magię i stawał się coraz lepszym czarodziejem. Kilkakrotnie zdołał sięgnąć w przyszłość i zakotwiczyć połączenie z jednym punktem czasowym, choć nie był do końca pewien, co to za punkt. Udało mu się nawet wynieść z nieuformowanego jeszcze czasu kilka ciekawych artefaktów, które zatrzymał do dokładniejszych badań. Naturalnie wiele jeszcze musiał się nauczyć, ale będzie na to czas... Tak wiele wiedzy do zdobycia...

Kedrigern zapadł w lekką drzemkę, z której ocknął się, kiedy padł na niego cień. Otworzywszy oczy, ujrzał ogromną, zwalistą postać, która przesłaniała mu słońce.

Minęła chwila, zanim jego wzrok przywykł do blasku, i jeszcze jedna, nim umysł przebudził się na dobre. Wtedy dopiero czarodziej dostrzegł wyraźnie, że tajemniczym gościem jest człowiek, którego miał nadzieję nigdy nie spotkać.

Olbrzym był co najmniej dwa razy wyższy od niego i czterokrotnie większy. Z szerokich barków wyrastały niczym kłody starych grabów nagie, mocarne ramiona. Tors oraz krzepkie nogi skrywały prymitywnie wyprawione skóry. Niewielka głowa zdawała się wyrastać bezpośrednio z pagórków mięśni górnej części korpusu.

Wokół przybysza unosił się odór zwierzęcego łoju i zastarzałego potu. Gość był bez wątpienia barbarzyńcą, a tacy nie żyją w przyjaźni z magami. Ani nikim innym.

– To droga do Szczytu Cichego Gromu? – zagrzmiał przybysz głosem nasuwającym na myśl głązy dudniące w głębokiej jaskini.

– Owszem – odparł Kedrigern uprzejmie i wskazał w lewo. – Idź tym traktem, a jeśli się pospieszysz, dotrzesz do szczytu jeszcze przed zachodem słońca. Dzisiaj będzie stamtąd wspaniały widok. Zaproponowałbym ci coś dla ochłody, ale jestem...

– Czarodziej? – przerwał mu barbarzyńca.

Nie należało się spieszyć z odpowiedzią na tego rodzaju pytanie. Ostatnimi czasy wielu z tych, którzy wędrowali po drogach, podzielało chore przekonanie, że zabicie czarodzieja jest czynem niezwykle chwalebnym. To duchowni nabijali im głowy tymi bzdurami. Kapłani o nikim nie powiedzieli nigdy dobrego słowa. Barbarzyńców, alchemików i czarodziejów potępiali po równo, z mrozącym krew w żyłach żarem poddając ich surowym osądom. Z drugiej strony ten tu nie wyglądał na sługusa klechów.

– Czarodziej? – powtórzył Kedrigern, mrużąc oczy. – Mam rozumieć, że pytasz, gdzie znaleźć czarodzieja?

– Ty czarodziej? – zahuczał barbarzyńca niezbity z tropu.

Kedrigerna ogarnął niepokój. Nie ze względu na gabaryty czy brzydotę przybysza, ani nawet nie ze względu na jego nagłe pojawienie się w ustronnej sadybie, gdzie czarodziej skrył się przed zgiełkiem świata, by oddawać się studiom i cieszyć towarzystwem księżniczki. Chodziło o to nieokreślone wrażenie, że coś jest nie tak. Kedrigern wyczuwał bliską obecność jednego z członków swojego bractwa, a to przecież niedorzeczne. Ten barbarzyńca nie mógł być czarodziejem.

– Ciekawe pytanie – zaczął Kedrigern z namysłem. – Znamionuje żywy umysł, nieswoisty dla typów o twoim sposobie bycia czy aparycji. – Nie przestając mówić, ukrył rękę za plecami, ukradkiem wykonując gesty konieczne dla przywołania osłony przed ostrzami. – Większość ludzi kojarzy czarodzieja z długą szatą pokrytą tajemnymi symbolami, spiczastym kapeluszem oraz siwą brodą co najmniej do kolan. Ja, jak widzisz, mam na sobie prostą samodzielną koszulę i spodnie, chodzę z gołą głową i jestem gładko ogolony. W efekcie zwykły wędrowiec mógłby z łatwością wziąć mnie za zwykłego kupca czy rzemieślnika, który wybrał życie z dala od gwaru ludzkich osiedli. Choć w rzeczywistości faktycznie jestem adeptem szlachetnej sztuki tajemnej. – Miał nadzieję, że ten wielki brutal nie postanowi zmiażdżyć go maczugą, zanim uda mu się dokończyć zaklęcie ochronne. Nawet mając po swojej stronie magię, trudno być przygotowanym na każdą ewentualność w przypadku spotkania z tego rodzaju osobnikiem.

Małe oczka barbarzyńcy, osadzone blisko bezkształtnego nochala, łypnęły zza zasłony cienkich, tłustych włosów. W oczach tych nie zabłysła najmniejsza iskra zrozumienia.

– Ty czarodziej – powtórzył uparcie.

– Ja czarodziej – przyznał Kedrigern zrezygowany – A ty kto?

– Ja Buroc. – Barbarzyńca grzmotnął się dumnie w piersi.

– A niech mnie – mruknął czarodziej pod nosem.

Buroc był barbarzyńcą nad barbarzyńcami. Znany jako Buroc Nieprawy, zapracował sobie także na inne przydomki, jak Rzeźnik Boga Ziemi, Pięść Szatana, Karząca Pochodnia i tym podobne odmiany epitetów symbolizujących bezwzględność i krwiożerczość. Wieść niosła, że Buroc na własny użytek podzielił rasę ludzką na dwie części – wrogów i ofiary. Wrogów zabijał od ręki. Ofiary dopiero wtedy, gdy stawały się bezużyteczne. Trzecia kategoria dla niego nie istniała.

Spoglądając w to poprzecinane bliznami, nieskalane najmniejszą oznaką inteligencji oblicze, Kedrigern skłonny był uwierzyć we wszystko, co słyszał o Burocu. Twarz barbarzyńcy nasuwała mu na myśl rozbite na kawałki i pospiesznie sklezione tanie gliniane naczynie. Z tym że przy Burocu gliniany garnek promieniował intensywnie oznakami życia wewnętrznego.

– Pójdiesz z Buroc – oznajmił barbarzyńca.

– Och, niestety. Choć twoja oferta otwiera przede mną niezwykle możliwości, obawiam się, że mord, gwałt i grabież to nie moja branża, Burocu. Jestem raczej typem mola książkowego. Nie mam już tyle siły, co kiedyś. Choć czuję się zaszczycony twoją propozycją, z przykrością muszę odmówić. A teraz najlepiej będzie, jak ruszysz swoją drogą – rzekł Kedrigern, kończąc pospiesznie dodatkowe zaklęcie, tym razem przeciw bliżej nieokreślonej przemocy. Dopiero po tym poczuł się zabezpieczony przed różnego rodzaju krwiożerczymi zapędami dzikusa.

– Buroc znalazł złotą górę. Potrzebować czarodziej.

– Ach tak?

– Góra ze złota. Ukryta czarem. Ty złamać czar. Podzielić ćwierć na ćwierć – wyrzucił Buroc w niespodziewanym przyływie elokwencji.

– Pół na pół – poprawił Kedrigern.

Buroc zastygł na moment, gapiąc się w przestrzeń szklanym wzrokiem. Po chwili kiwnął nieproporcjonalnie małą głową.

– Pół na pół.

– Gdzie ta złota góra, Burocu? – zapytał czarodziej, wymawiając słowa powoli i wyraźnie.

Po raz kolejny oczy barbarzyńcy zaszyły mgłą, z czego Kedrigern wywnioskował, że jest to oznaka intensywnego procesu myślowego zachodzącego w zakamarkach tego, co znajduje się pod niewielką czaszką dzikusa.

– Ty iść. Ja pokazać.

– A daleko to?

Po przerwie Buroc wyrzucił:

– Słońce. Słońce. Złota góra.

– A więc trzy dni, jak rozumiem. Nieźle. Zupełnie nieźle – podsumował Kedrigern z rosnącym zainteresowaniem.

Rysowała się przed nim wyjątkowa okazja. Coś takiego utarłoby nosa alchemikom, pokazało, gdzie ich miejsce. Niech zadymiają swoimi piecami jakieś zapadłe wioski i zakłócają ciszę prowincji paplaniną o Jajku Filozoficznym, Szmaragdowych Stołach czy podobnych pseudomagicznych bredniach, niech siedzą sobie gdzieś na końcu świata i próbują stworzyć szczyptę złotego piasku trzeciej klasy. Hm, połowa góry złota. Bez względu na niebezpieczeństwa, magiczne czy fizyczne, gra jest warta świeczki.

– Nie jesteś wymarzoną klientką, Buroc, ani też nie postać mi w głowie wziąć cię na partnera. Mam też pewność, że gdzieś w tym miniaturowym mózdzku miga niejasna iskierka myśli, żeby się mnie pozbyć, kiedy już osiągniemy cel... ale nie mogę się oprzeć twojej propozycji – powiedział.

– Iść?

– Iść.

W tym momencie pojawiła się księżniczka, zbliżając się do nich cichą, lekką stopą. Niosła srebrną tacę z oszronionym dzbanem piwa, dwoma srebrnymi kubkami, gomółką złocistego sera oraz glonkiem jasnobrażowego chleba. Ujrzawszy niecodziennego gościa, przystanąła raptownie.

Księżniczka była kobietą nieprzeciętnej urody. Jej krucze włosy opadały kaskadą do bioder, oczy mieniły się błękitem sierpniowego nieba, a perfekcyjnie regularnych rysów twarzy nie oddałaby ręka najgenialniejszego rzeźbiarza. Szmaragdowa suknia podkreślała szczupłą figurę, a na czole złocił się prosty diadem. Na jej widok ślepią Buroca zapłonęły jasnym ogniem żądz. Księżniczka przysunęła się złęknioma do Kedrigerna, spoglądając na olbrzyma rozszerzonymi oczyma.

Kedrigern przeklął w duchu trolla, poprzysięgając przy najbliższej okazji spuścić mu cięgi. Nie podobało mu się, że wielki brutal obmacuje wzrokiem księżniczkę, nie spodziewał się też niczego dobrego po tym aż nazbyt żywym zainteresowaniu Buroca. Ale co się stało, to się nie odstanie, no chyba że przy użyciu ogromnego ładunku magii, a na utratę takiej ilości energii Kedrigern nie mógł sobie aktualnie pozwolić.

– Nie bój się, księżniczko. Ten dżentelmen przybył do mnie w interesach.

– Kum – odparła księżniczka cicho.

– Pani śmiesznie mówić – skomentował Buroc.

– Uwaga godna prawdziwego konesera wykwintnego oratorstwa. Czepiasz się, Buroc, według mnie księżniczka jest wspaniałą kobietą. – Kedrigern wyciągnął ku niej rękę, a kiedy odstawiła tacę, ujął jej dłoń i ucałował. Księżniczka spłonęła rumieńcem. – Wiem, że to los skierował mnie na te bagna, gdzie ją spotkałem. Ostatecznie nie każda żaba jest zaklętą księżniczką. A ja nie zwykłem całować każdego napotkanego płaza. Po pierwsze, to czasochłonne, a po drugie, znam lepsze rozrywki.

Posłużyłem się więc magią. Z dziewięćdziesięcioośmioprocentowym sukcesem. Księżniczka jest wspaniałą towarzyszką, a ja darzę ją ogromną sympatią. Zaiste ogromną.

– Rech – odezwała się księżniczka ze wstydliwym uśmiechem.

– Mówić jak żaba – stwierdził Buroc z wyraźną dezaprobatą.

Księżniczka wygięła zachwycające usteczka w uroczą podkówkę. Kedrigern uścisnął dłoń towarzyszki.

– Nie twoja sprawa, Buroc. Ale dla twojej informacji dodam, że doskonale się dogadujemy. Nieprawdaż, księżniczko?

– Kum – potwierdziła, pogłodziwszy go delikatnie po policzku.

– Rad jestem, że się ze mną zgadzasz – uśmiechnął się czarodziej i odwrócił do barbarzyńcy. – Myślę, że księżniczka jest najlepszym świadectwem moich umiejętności. A więc masz dla nas konie?

– Pani iść?

Kedrigern zadumał się, rozważając opcje. Mógł ją zostawić w domu, chronioną

zakłębciem. Jeśli jednak coś by mu się stało, księżniczka zostanie sama i bezbronna, a co gorsze, nieświadoma własnej bezbronności. To nie do pomyślenia. Jakkolwiek nie podobał mu się pożądlivy błysk w oczach Buroca, czarodziej doszedł do wniosku, że zabranie jej jest lepszym wyjściem.

– Pani pójdzie z nami – oświadczył.

Oczy Buroca po raz kolejny zasnuły się mgłą. Po chwili jednak uniósł kłodziaste ramię, wskazując kierunek, skąd przyszedł.

– Konie tam.

– Spakujemy nieco zapasów i zaraz będziemy gotowi – rzekł Kedrigern. Jego wzrok spoczął na tacy, którą przyniosła księżniczka. – Tymczasem częstuj się. Zjedz coś. Napij się. – Uczynił zapraszający gest w stronę naczyń.

Szybkość, z jaką poczęstunek zniknął, wywarła na Kedrigernie duże wrażenie, a przy okazji podsunęła pomysł wykorzystania Buroca dla dobra nauki. Zostawiwszy księżniczce przygotowania do podróży, napełnił dodatkową sakwę rzeczami zdobytymi podczas jednej z wypraw do przyszłości. Były to niewielkie cylindry z jasnego metalu, z opaskami kolorowego papieru poznaczonymi symbolami i rysunkami. Z początku wziął je za swego rodzaju talizmany związane z jakąś nieznaną formą magii, później jednak, zupełnie przypadkiem zresztą, odkrył, że to pożywienie opakowane w niemal niezniszczalne metalowe skorupy. Nie miał bladego pojęcia, w jaki sposób lub w jakim celu zostały stworzone, ani tym bardziej kto lub co miałyby jeść coś podobnego, a przede wszystkim jakim cudem dostałoby się do zawartości. Ale jeśli Buroc poradziłby sobie z cylindrami, czarodziej sporo mógłby się o nich dowiedzieć.

Kedrigern obrzucił spojrzeniem swój gabinet. W pomieszczeniu piętrzyły się różnorakie utensylia zdobyte podczas magicznych prób podróży w czasie, które zawiodły go do dalekiej przyszłości. Jak dotąd niewiele dowiedział się o okresie, do którego trafił, poza tym, że okazał się bardzo hałaśliwy i używano wtedy multum metalowych przedmiotów. Ale badania były nadal w powijakach.

Wyszedszy na werandę, Kedrigern wyjął metalowy cylinder z sakwy i rzucił go Burocowi.

– To jedzenie, Buroc. Dobre jedzenie. Smaczne. – Zobrazował swoje słowa, głaskając się po brzuchu.

Buroc wgryzł się w cylinder, zmarszczył brwi i wyjął przedmiot z ust. Przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym położył na pniaku, sięgnął po wielki, ciężki sztylet i z rozmachem przeciął żelastwo na pół. Podniósł jedną połówkę, wysał jej zawartość, odrzucił, po czym to samo uczynił z drugą.

– Więcej – mlasnął.

Kedrigern rzucił mu sakwę. Buroc w taki sam sposób rozprawił się jeszcze z kilkunastoma cylindrami, zaśmiecając podwórko lśniącymi kawałkami metalu i strzępami kolorowego papieru.

– Skóra twarda. Mięso dobre – ocenił.

A więc w ten sposób używa się cylindrów. Kedrigerna naszły ponure myśli. Ten przyszedł czas, do którego przeniosła go magia, mogli zaludniać barbarzyńcy podobni

Burocowi. Czarodziej wzdygnął się, gdy przed oczyma jego wyobraźni pojawił się obraz nieskończonej przestrzeni pokrytej szczątkami metalu miażdżonego wielkimi stopami dzikusów. Może to znak, że alchemicy ostatecznie zatriumfują? Taki właśnie świat radowałby ich maleńkie serca.

Buroc poprowadził Kedrigerna i księżniczkę do miejsca, gdzie dwa spętane kudłate konie szczypały zadowolone wiosenną trawkę. Wskoczył na większego, mniejszego pozostawiając czarodziejowi i damie. Kedrigern wdrapał się na siodło, po czym usadził księżniczkę przed sobą. Miejsca starczyło aż nadto dla obojga.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Kedrigern pogrążył się w fatalistycznych spekulacjach, księżniczka chłonęła zafascynowana nowe widoki i dźwięki, Buroc zaś całą uwagę poświęcał utrzymaniu się drogi. Trakt prowadził przez otwarte przestrzenie wiejskich terenów, później przez ukwiecone łąki, pachnące lasy, a w końcu rozległą doliną aż na peryferie dużego miasta. Zadumany czarodziej sapnął, kiedy księżniczka niespodziewanie mocno do niego przywarła.

Miasto jawiło się w makabrycznej scenerii. Ponad dachami wisiała ołowiana chmura gęstego, smrodliwego dymu, szarpana na brzegach łagodnym wiatrem. Domy ziały dziurami otwartych na oścież drzwi oraz okien, a wielka katedra rozwierała się na błękitne niebo, usiane czarnymi kręgami kołujących kruków. Niedaleko mignął im uskakujący z drogi wilk. Kiedy Kedrigern ujrzał pierwsze ciało, pogładził rękę wtulonej w niego księżniczki i rzucił niewielkie zaklęcie, by ukryć przed jej oczyma truchło. Czuł, jak jego towarzyszka drży.

– Wszystko w porządku, księżniczko – szepnął. – Jedziemy przez ukwieconą łąkę. Jak okiem sięgnąć rozpościera się dywan żonkili.

– Kum – pisnęła cicho księżniczka, nie podnosząc głowy.

Buroc ściągnął wodze i zatrzymawszy się, zatoczył ręką szeroki krąg.

– Buroc zrobić to – pochwalił się.

– Dlaczego?

Barbarzyńca zwrócił małe oczka na czarodzieja, zamarł na moment, a potem wskazał na ruiny katedry.

– Ja palić. – Opuścił nieco rękę, pokazując porozrzucane sterty trupów. – Ja zabijać. – Spiął konia, prostując się dumnie w siodle.

Na dźwięk głosu Buroca księżniczka przylgnęła do czarodzieja jeszcze mocniej.

– To dziwne, ci barbarzyńcy nie mają chyba pojęcia o fleksji – zagaił Kedrigern w ramach odwrócenia jej uwagi. – Nadużywają też zaimków osobowych, nic tylko ja to, ja tamto, szczególnie jak się przechwalają. Na dodatek ignorowanie gramatyki idzie u nich w parze z ignorowaniem prawa do życia oraz prywatnej własności innych ludzi.

– Kum – przytaknęła księżniczka cicho.

– Tak, cóż, zdaję sobie sprawę, że niewiele wiesz na ten temat. Nie przypuszczam, żeby dobrze urodzona dama miała styczność z typami pokroju Buroca, a tym bardziej z nimi rozmawiała. Musisz po prostu uwierzyć mi na słowo, moja droga. Choć przyznam, że czasami się zastanawiam, czy to nie zwykłe pozerstwo z ich strony.

– Kum?

– Naprawdę – przekonywał ją Kedrigern. Zamilkł na moment, potem uśmiechnął się, aż wreszcie zaśmiał pod nosem. – Wyobraź ich sobie, jak w swoim gronie, włochatym i brudnym, zrzucają maski bezmózgich brutali i folgują sobie zdaniami wielokrotnie złożonymi, używając wyrafinowanych konstrukcji z pełną różnorodnością koniugacyjną.

Roześmiała się wreszcie i zaczęła od czasu do czasu popatrywać na Buroca, a potem na Kedrigerna, z którym parskali chichotem niczym dzieci daremnie usiłujące zachować powagę na uroczystej ceremonii. Zostawili za sobą makabryczną scenę, a księżniczka nie zdradzała już oznak lęku.

* * *

Kedrigern uspokoił się nieco, ale widziane obrazy napełniły go troską o inne sprawy. Ostatnimi laty nie podróżował wcale, rad ze swego spokojnego życia w zacisznej sadybie, w towarzystwie księżniczki, swojej magii oraz gotowego na każde zawołanie wiernego Pypcia. Świat, który ujrzał teraz, okazał się znacznie gorszym miejscem niż ten, który zostawił kiedyś za sobą. Przyroda była niezmiennie wspaniała, lecz rejony opanowane przez człowieka znaczyły ruiny, zgliszcza i śmierć. Barbarzyńcy zagarniali coraz to nowe terytoria, równając wszystko z ziemią, a jeśli cokolwiek zostawiali, ich dzieła dokańczali alchemicy, topiąc i paląc co popadnie w nieokiełznanej żądzy wytworzenia złota.

Z wolna rosło w nim przekonanie, że alchemicy w końcu zatriumfują. Nie spoczną, póki ostatniego okruchu ołowiu nie przemienią w złoto, a ich poczynania przyspieszą nadejście wieku chaosu. Przyszłość, którą Kedrigern odkrył dzięki magii, była, jeśli prawidłowo odczytał fakty, koszmarnym miejscem. Załamany katastroficzną perspektywą, popadł w przygnębienie.

Wędrówka przebiegała dość spokojnie. Podróźni minęli trzy zrujnowane wioski, a w każdej Buroc przystawał z dumą, przypisując sobie autorstwo apokaliptycznych krajobrazów. Wykazywał przy tym rosnące zainteresowanie reakcją księżniczki, co niepokoiło Kedrigerna. Ale w nocy, kiedy rozbijali obóz, barbarzyńca zachowywał się przyzwoicie. Swoją drogą, Kedrigern nigdy nie zaniedbał rzucenia zaklęcia ochronnego na namiot, który dzielił z księżniczką.

Trzeciego dnia dotarli do cienistej opustoszałej doliny. Padlinożerne ptaki, przycupnięte na zbiegających kikutach suchych drzew, z zaciekawieniem przyglądały się wędrowcom, którzy mozolnie pokonywali błotnisty, usiany kamieniami teren, zmierzając ku wznoszącym się pośrodku kotliny wzgórzom. Z bliska okazało się, że nierówna, poszarpana linia stoków nie jest wynikiem sterczących pni, pozostałości po lesie – zbocza naszpikowano wbitymi pod różnymi kątami palami. Wyczuwszy wibrację energii magicznej, Kedrigern ściągnął wodze i zawołał ostro do Buroca:

– Stój! To miejsce jest zabezpieczone przed intruzami!

Barbarzyńca zatrzymał gwałtownie konia i odwrócił się do czarodzieja.

– Góra złota.

Kedrigern zbeształ się w duchu za bezmyślność. Istniało wiele lepszych

sposobów na odstraszenie niechcianych gości niż upodabnianie miejsca do cmentarzyska Starej Rasy. Czarodziej zsiadł z konia i gestem nakazawszy księżniczce pozostanie przy niespokojnym wierzchowcu, podszedł bliżej. Wrażenie obecności uroku nasiliło się.

Odwróciwszy się tyłem do Buroca, Kedrigern sięgnął pod tunikę po srebrny dysk, mniej więcej średnicy dłoni, który nosił na łańcuszku. Medalion ten oznaczał przynależność do bractwa i posiadał potężne właściwości. Przesunawszy palcami po wyrytych na tarczy symbolach, przyłożył oko do niewielkiego otworu pośrodku.

Przed nim wznosiła się hałda złota. Nie góra, nawet nie pagórek, ale i tak robiła wrażenie. Czyste, lśniące złoto zalewało swoim blaskiem całą ponurą dolinę.

Kedrigern schował medalion i przetarł zmęczone oczy – patrzenie przez szczelinę prawdy kosztowało wiele wysiłku. Gdy podniósł wzrok, ujrzał wzniesienie takie jak wcześniej – podobne truchłu gigantycznego jeża. Kiedy się odwrócił, złowił okiem błysk przy twarzy barbarzyńcy, ale błyskotka natychmiast zniknęła w fałdach futer. Czarodziej rozpoznał przedmiot i przeszedł go zimny dreszcz.

– Skąd wiedziałeś o złotej górze? – zapytał wprost.

– Człowiek powiedziec Buroc.

– Aha, i pewnie sam się napraszał. Czy ten człowiek coś ci dał?

Barbarzyńca domilczał swoją chwilę, zanim odpowiedział:

– Robić magię. Buroc dać złoto.

– Spokojnie, Buroc. Czy zabrałeś coś temu dobrodziejowi?

– Robić magię – powtórzył Buroc twardo.

– W porządku, ale nie chcę złota. Daj mi ten srebrny medalion, który wisi na twojej brudnej szyi. Wzięłeś go od mojego brata czarodzieja.

Barbarzyńca wsadził łapsko za futra. Zawahał się i wyciągnął pustą rękę.

– Czarodziej dać Buroc. Mój.

– Żaden czarodziej nie oddałby medalionu z własnej woli. Podszedłeś go, gdy wyczerpał swoją moc, i zabiłeś. Tak znalazłeś górę. Ale nie wiesz, jak obejść zaklęcie, nigdy nie będziesz w stanie tego zrobić. – Kedrigern skrzyżował ręce na piersiach i obrzucił barbarzyńcę pogardliwym spojrzeniem. – No, wielka kupo bezmózgiego, zarozumiałego dzikusa, możesz gapić się na złoto, aż zeżre cię własna chciwość, ale nigdy się do niego nie dobierzesz.

Buroc warknął wściekle, zeskakując z konia, płynnym ruchem dobył wielkiego miecza i zaatakował Kedrigerna. Czarodziej nie drgnął. Ostrze opadło ze świstem, po czym odbiło się z brzękiem, rozpękając niczym kryształ. Fragmenty stali zalśniły, zataczając łuki w powietrzu, a Buroc zawył z bólu, łapiąc się za dłoń.

Kedrigern wyciągnął przed siebie ręce, poruszając bezgłośnie ustami, a w końcu z okrzykiem cisnął kulę energii w rozszalałego barbarzyńcę. Pocisk rozbryznął się, zamieniając w świetlisty deszcz, i tym razem czarodziej z jękiem przycisnął do siebie obolałe dłonie. Jednak boleśniejszy od obrażeń spowodowanych odbiciem magii był szok, który przyszedł wraz z uświadomieniem sobie, że ta sama moc, która chroni go przed Burocem, osłania barbarzyńcę przed nim.

Medalion prócz tego, że był oznaką przynależności do bractwa, miał także bronić

właściciela przed magicznymi atakami. Tę drugą właściwość zachowywał bez względu na to, kto go nosił.

Walka trwała. Kedrigern wodził wzrokiem za Burocem, który krążył wokół niego, szukając możliwości ponownego ataku. Pomny jednak wstrząsu doznanego podczas pierwszego uderzenia, barbarzyńca nie czynił żadnych gwałtownych ruchów. Wreszcie, warcząc niczym głodny pies, wyrwał z blocka głaz wielkości sporego kotła. Uniósłszy go nad głowę, zamachnął się, mierząc prosto w pierś czarodzieja. Kamień rozpadł się na okruchy, zasypując ziemię zwirowym gradem.

– To nie ma sensu, Buroc. Nie możesz mnie zranić.

Olbrzym, dysząc ze zmęczenia, a przy okazji i wściekłości, spojrział na niego spode łba i naraz skamieniał; tylko błyskające ślepia świadczyły o jego ogromnym wysiłku umysłowym.

– Buroc nie skrzywdzić czarodzieja. Czarodziej nie skrzywdzić Buroc. Nikt nie skrzywdzić nikt.

– Coś wymyślę.

– Czarodziej nie zrobić krzywdy Buroc! – powtórzył dzikus triumfalnie.

– Nie ciesz się na zapas. Tylko sobie zaszkożysz.

Nagle Buroc okręcił się i z zaskakującą szybkością podbiegł do księżniczki. Chwycił ją za przegub jedną ręką, drugą łapiąc za włosy.

– Buroc zrobić krzywdę pani! – ryknął. – Czarodziej nie skrzywdzić Buroc, Buroc skrzywdzić pani!

Kedrigernowi żołądek podszedł do gardła na myśl o księżniczce w brudnych łapskach barbarzyńcy. W akcie desperacji wycelował w małą łepetynę przeciwnika kolejny pocisk. Siła rykoszetu omal nie zbiła go z nóg. Oszołomiony z bólu, jak z oddali usłyszał śmiech Buroca. Ocucił go krzyk kobiety.

– Nie dosięgnę go, księżniczko! – zawołał. – Ma taki sam medalion jak ja, chroni go przed moją magią. Nie mogę nic zrobić!

Zwróciła na niego rozszerzone łękami oczy. Buroc szarpnął ją, odwracając ku swej paskudnej gębie.

Pozostała tylko jedna możliwość. Choć magia nie działała na wroga, Kedrigern mógł rzucić zaklęcie na księżniczkę. Zmiana kształtu osoby już raz przemienionej niosła ze sobą niebezpieczeństwo, jednak wszystko było lepsze od molestowania i tortur z rąk Buroca. Kedrigern wiedział, że księżniczka zrozumiałaby jego decyzję.

– Trzymaj się, księżniczko. Jeszcze nie wszystko stracone! – zawołał i potrząsnął głową, by oczyścić umysł, zaczął recytować słowa zaklęcia, nagłony widokiem daremnej szarpaniny towarzyszki.

Buroc przyciągnął ją do siebie, a kiedy podrapała mu twarz, odtrącił jej ręce i śmiejąc się, podniósł wysoko. Księżniczka nie poddała się, szarpiąc zaciekle skórę barbarzyńcy. I nagle w powietrzu srebrzyście mignął zerwany medalion.

Czarodziej przerwał zaklęcie, rzucając się naprzód, i schwycił lśniąca tarczę, zanim upadła na ziemię. Przytrzymując za pęknięty łańcuszek, zakręcił nim nad głową.

– Tu, Buroc, tu, bierz! – zaśmiał się głośnie.

Buroc bez namysłu puścił księżniczkę i skoczył ku czarodziejowi, wyciągając rękę po medalion. Kedrigern uniósł dłoń i Buroc stęzał w pół skoku, po czym grzotnął w błoto z głośnym plaśnięciem. Pozostał tam, leżąc bez ruchu.

Czarodziej podbiegł do księżniczki. Złapał ją w objęcia, poderwał z ziemi i przytulił mocno, szepcząc uspokajająco, dopóki nie przestała się trząść. Potem na wpół niosąc, podprowadził ją do konia i wyjął z sakwy gruby płaszcz, którym ją opatulił.

– Jesteś dzielną kobietą, księżniczko. I najsprytniejszą z nas. Buroc nawet się nie zorientował, co chcesz zrobić – zachwycił się.

– Kum? – zapytała lękliwie.

Zerknął na Buroca. Skóra i odzienie olbrzyma zaczynały już szarzeć pod działaniem zaklęcia petryfikacyjnego. Wkrótce Rzeźnik Boga Ziemi stanie się ledwie głazem o osobliwym kształcie. Fala barbarzyństwa pewnie nie przestanie zalewać coraz to nowych terytoriów, ale już bez udziału Buroca.

– Szybko i bezboleśnie, księżniczko – rzekł Kedrigern. – Nie zasłużył na tak lekką śmierć, ale w tych okolicznościach potrzebowałem czegoś, co szybko zadziała i będzie pewne. Bardziej odpowiednie dla tego rodzaju przeciwnika sposoby wymagałyby więcej czasu, a tego nie miałem. – Jego uwagę przyciągnął błysk złota. Schylił się i podniósł opaskę, oczyszczając ją z błota, zanim włożył jej na czoło. Odejmiemy stąd z tym złotem, z którym przybyliśmy, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Kum – potwierdziła stanowczo.

– Tak sądziłem. – Wskazał na najeżony palami kurhan. – Wiemy już, jak tu trafić, a wątpię, by ktoś natknął się na to wzgórze przypadkiem i zabrał. Chciałbym przemyśleć w spokoju całą tę sprawę – powiedział, podsadzając towarzyszkę na siodło.

Sam wskoczył na wierzchowca Buroca i strzemię przy strzemienu ruszyli w drogę powrotną. Przez jakiś czas Kedrigern milczał, pogrążony w zadumie, gdy jednak zorientował się, że księżniczka spogląda na niego ciekawie, wyjaśnił swoje zamyślenie.

– Równie dobrze mogę powiedzieć ci to już teraz – zaczął z westchnieniem. – Ta góra złota jest prawdopodobnie nic niewarta. No, może nie tak zupełnie nic. W tym momencie. Ale do czasu, gdy zorganizujemy przewóz, złamiemy zaklęcie, którym jest obłożona – bardzo silne zaklęcie zresztą – i dostarczymy je zaufanemu kupcowi, będzie prawdopodobnie za późno. A wszystko przez tych alchemików. To oszuści i szarlatani, banda trajkoczących wydumanym żargonem pseudomagów, tak, wiem, ale nie ustają w wysiłkach, a jest ich tak wielu... – Westchnął ponownie, potrząsając smutno głową. – Przeznaczone jest im odkryć to, czego tak usilnie szukają. A kiedy uda im się zamienić ołów w złoto, ta góra będzie kupą bezwartościowego metalu. Zamienią cały ołów świata w złoto i już wszędzie będzie złoto.

Położyła swoją dłoń na jego w pocieszającym geście. Kedrigern uśmiechnął się dzielnie, ale nie był w stanie długo zachować pozorów. Już drugi raz tego dnia księżniczka usłyszała, jak czarodziej mruczy pod nosem: „Cały ołów w złoto”, wzdycha, a potem milknie na długo. W nocy przez sen mamrotał to samo, a potem

zgrzytał zębami.

Następnego dnia prawie się nie odzywał. Małomówność przełamał dopiero dwa dni później.

– Nie znalazłem tego sam, to prawda. To znaczy podano nam to, praktycznie rzecz biorąc, na tacy, ale żeby stracić wszystko, zanim w ogóle... to nie fair, księżniczko. – Na dłuższy czas zatonął w melancholijnych rozważaniach, a potem skierował myśli ku Pypciowi, przesyłając mu polecenia. Chciał, żeby powitał ich czysty dom i ciepła kolacja na stole, a coś takiego wymagało koncentracji. Rozkazy dla Pypcia musiały być konkretne i szczegółowe. Nie można było zostawiać trollowi żadnego marginesu swobody. Sformułowanie „zrób kolację” groziło zastaniem na stole półmiska z martwymi kretami.

Kiedy dotarli do podnóża Szczytu Cichego Gromu, Kedrigern, który jechał na koniu ze wzrokiem wbitym w ziemię, wydał nagle okrzyk radości. Klasnął w dłonie i roześmiał się z ulgą. Księżniczka, nie mogąc oprzeć się jego wesołości, zawtórowała, lecz popatrzyła pytająco.

– Już wiem, księżniczko! Wiem, co zrobię! Pobjemy alchemików ich własną bronią! – wykrzykiwał rozpromieniony. – Kiedy obrócą cały ołów w złoto, ołów stanie się rzadkim i cennym metalem. Tak więc... – zawiesił głos, żeby klaszcząc i śmiejąc się, dać upust swej uciechu – zamienimy naszą górę złota w górę ołowiu! Fantastyczny pomysł! Znakomity, prawda, kochanie?!

– Kum – powiedziała księżniczka.

Julia S. Mandala

Z wykształcenia prawnik, Julia Mandala jest obecnie pełnoetatową pisarką. Jej kariera rozpoczęła się w roku 1993, po odsprzedaniu pierwszego opowiadania Marion Zimmer Bradley, która wykorzystwała zawarte w nim wątki do napisania Dracula's Lawyer (1995). Poniższa historyjka odzwierciedla bardziej anarchistyczne oblicze autorki.

Julia S. Mandala

DIABELNIE NUDNY DZIEŃ W PIEKLE

Szatan, Księżę Ciemności, Wszechwładca Wszechzła, łyknął zmrożonej margarity i wyjrzał z okna swego klimatyzowanego biura na jęczące tłumy wijące się w ognistych rozpadlinach. Nie żeby Szatanowi przeszkadzała wysoka temperatura. Czy też żeby jakoś szczególnie przepadał za margaritą. Preferował raczej lekkie chardonnay o dębowym posmaku. Jednakże żadne wino nie podnosiło poziomu cierpień tak skutecznie jak zmrożony drink. W takie jak ten senne dni zmuszony był uciekać się do zadawania drobnych torturek, dopóki nie trafiło mu się coś lepszego.

Rozległo się skrobanie szponów o drzwi biura. Szatan odwrócił się od okna, porzucając tortury.

– Wejdz, Mef! – zawołał. Nikt poza Mefistofeilesem nie potrafił uzyskać tego szczególnie zgrzytliwego dźwięku, który wywoływał ciarki, wykręcał uszy i jeżył włosy na karku.

Mefistofeles, Najpotężniejszy Demon, Lewa Ręka Szatana, wprowadził niskiego, pulchnego biesa, który ukorzył się, okazując stosowny lęk i podziw.

– Przywiódłem Cyryla, o Niemiłościwy – rzekł Mefisto, puszcżając oko ponad głową biesa.

– Dobrze, zostaw nas.

Na myśl o pozostaniu sam na sam z Panem Wszelkiego Zła twarz Cyryla stężała w maskę przerażenia.

Mefistofeles rzucił biesowi współczujące spojrzenie.

– Ech, cóż – westchnął, zostawiając nieszczęśliwca swemu losowi.

Szatan wbił czerwone ślepią w biesa i czekał. Cyryl roztrząsał się jak osika. Zaczął chlipać, a z ust popłynęła mu strużka śliny. Zacisnął pięści, wbijając sobie szpony w twardą skórę. Szatan nadal milczał, świdrując go wzrokiem. Doprowadzony do granic wytrzymałości bies poddał się wreszcie.

– Błaaagam, najciemniejszy panie, wybacz mą nieudolność – wyszlochał, padając na ziemię jak kupka dygocącego nieszczęścia. – Skąd miałem wiedzieć, że ten człowiek lubi być bity?

– W dokumentacji jasno stało, że jest masochistą – stwierdził Szatan. – Nie

czytałeś papierów?

– Myślałem, że to znaczy, że należał do Kościoła katolickiego – chlipnął Cyryl. Szatan zbył jego tłumaczenia lekceważącym gestem.

– Powinienem cię wrzucić do publicznej otchłani.

– Neeeeee! Tylko nie to! Wiesz, co tłuszcza robi z pozbawionymi mocy biesami!

– Pewnie te same nikczemne, złe, straszliwe rzeczy, które biesy robią im – odrzekł Szatan znudzonym tonem.

– Błagam, o Najzlejszy, daj Cyrylowi jeszcze jedną szansę – szlochał bies. – Cyryl potrafi być zły. Cyryl potrafi wspaniale dręczyć. Tak, tak, potrafi.

Szatan nie znosił, kiedy ktoś mówił o sobie w trzeciej osobie, poczuł więc tym silniejszą pokusę wtrącenia Cyryla do otchłani... Ale skoro zewsząd wiało nudą...

– No dobrze. Dam ci wyjątkowo trudny przypadek i zobaczmy. Złam w niej ducha, a zostanie wtrącona w otchłań zamiast ciebie.

– Och, dzięki ci, panie. Dzięki! – Cyryl chwycił rękaw władcy i ucałował go z wdzięcznością.

Ta eksplozja uczuć nie wywołała u Wszechzłego zachwyty. Na wspaniałej materii zostały plamy po ślinie Cyryla.

– Do roboty! – Strząsnął podwładnego z taką siłą, że ten grzmotnął w drzwi z hukiem, zostawiając po sobie dziurę w kształcie biesa.

– Wybacz! – dobiegło jeszcze skomlenie Cyryla.

* * *

Ale się wpakowałem, pomyślał bies, powłócząc krótkimi nóżkami po pełnym kolein, pylistym trakcie. Droga wcale nie musiała być pylista. Absolutnie nie. Scenerię Piekła ograniczała jedynie wyobraźnia zamieszkujących je biesów oraz demonów. Jednak w tym właśnie tkwił problem. Cyrylowi nie można było zarzucić braku gorliwości – lubował się w zadawaniu bólu i cierpienia na równi ze swymi ziomkami. Jednak nawet do Cyryla w końcu dotarło, że jego rozum oraz wyobraźnia są ograniczone.

– Tym razem im pokażę – poprzysiągł sobie, przesuwając kartę dostępu przez czytnik przy wrotach. – Zamienię ją w jedno wielkie wycie i wrzask. – Tylko jak?

Na aktach wręczonych mu przez znużonego recepcjonistę widniała nalepka *Marjorie Mornington*. Z lektury dowiedział się niewiele. Gospodyni domowa. Zginęła w pożarze. Optymistka? Zastanowiło go, dlaczego o tym wspomnieli. Krótkowzroczność oraz inne ułomności fizyczne po śmierci znikają.

Cyryl otworzył bramę do poczekalni. Na giętej plastikowej ławce siedziała Marjorie Mornington. Wyprostowana, z nogami skrzyżowanymi w kostkach, wyglądała jak każda inna przeciętna żona i matka w średnim wieku – nienagannie ufryzowane włosy ufarbowane na nienaturalny ciemny brąz, maskująca pulchność błękitna podomka drukowana w radosne żółto–białe stokrotki, niebieskie frotowe kapcie w odcieniu tęczy kobiecy. Cyryl zatarł ręce, oblizując spękane wargi. Betka.

– Mornington! – wyczytał ją po nazwisku, choć prócz niego była jedyną osobą w

poczekalni.

Marjorie pomachała do niego.

– Tutaj! – zawołała z uśmiechem.

Obrzucił ją swoim najbardziej złowieszczyim spojrzeniem.

– Nazywam się Cyryl i jestem twoim najgorszym koszmarem.

– Ależ słodkie z ciebie stworzonko – zaszcebiotała, głaskając go po jedynej kępcie włosów, wyrastającej pośrodku czoła. – Czy to Piekło? – Nie czekając na odpowiedź ani dalsze instrukcje, przekroczyła próg Przedpiekła, wchodząc do Piekła Właściwego. – O, jak tu ciepło i miło. Nie znoszę zimna. Zawsze prosiłam Boba, to mój mąż, żeby w zimie podkreślał ogrzewanie, ale on tylko burczał o wysokich rachunkach za gaz i tak zamykał dyskusję. – Przeciągnęła się z lubością. – Właśnie w ten sposób wylądowałam tutaj – westchnęła.

Zachichotała – nie w ten szkaradny, chrapliwy biesi sposób, lecz chichotem dziecka, które nabroilo i zostało przyłapane przez pobłażliwego rodzica.

– Ta zima była wyjątkowo ostra i pod koniec lutego nie wytrzymałam. Po raz ostatni poprosiłam Boba, żeby podkreślił ogrzewanie. „Bob, po raz ostatni proszę cię, żebyś podkreślił to przekłete ogrzewanie”, tak właśnie powiedziałam. Pomyślałam, że jak zaklnę, to będzie wiedział, że mówię poważnie. Ale on tylko mruknął zza gazety: „To dobrze, że ostatni”. Cóż, nie był już tak obojętny, kiedy zdmuchnęłam płomyk w piecyku, odczekałam trochę, a potem zapaliłam zapalniczkę. – Westchnęła ponownie. – Ogień był tak cudownie ciepły.

Cyryl drapał się w zamyśleniu po głowie, aż ból przypomniał mu, że jego szpony są w stanie rozorać skórę na czaszce. Będzie trudniej, niż się spodziewał. Najlepszym wyjściem byłoby stworzyć dla tej kobiety Piekło zimniejsze niż Arktyka w środku zimy. Tyle że Zimny Dzień w Piekło nie zdarzył się od wieków, a Cyryl nie miał pojęcia, jak taki sprowadzić, nie mówiąc już o wiecznym paśmie Zimnych Dni. Zmusił mizerne szare komórki do pracy. Czego nienawidzą miłe paniulki w średnim wieku? Jego diabelską twarz okraszył diabelski uśmieszek.

– Chodź ze mną – powiedział przesłodzonym tonem. – Zaprowadzę cię w miejsce, gdzie ci się bardzo spodoba.

Marjorie nie przestawała paplać przez calutką drogę krętymi korytarzami Piekła. Wreszcie stanęli przed drzwiami, do których zmierzał Cyryl. Bies otworzył je i uczynił zapraszający gest. Nie spuszczał przy tym oczu z towarzyszki, nie chcąc nic uronić z widoku przerażenia na jej twarzy.

– Ooooch! – zapiszczała Marjorie. Zamiast jednak ze strachu piszcziała z radości. – Jakie śliczne puszyste myszki!

– To szczury!

– Niech będą szczury – zgodziła się bez oporów i wyciągnęła rękę w stronę jednego z gryzoni. – Chodź, malutki, nie bój się.

Ku zdumieniu Cyryla stworzenie nie odgryzło jej palca. Ostrożnie obwąchało dłoń Marjorie, po czym zaczęło łąsić się jak kociak. Kobieta zagrychała z uśmiechem, głaszcząc szczura.

– Ojcieczawsze mówił, że potrafiłabym oblaskawić każde zwierzę. Te maluchy

przypominają mi trochę nietoperze, które miałam w dzieciństwie. Mieszkały w naszej stodole i...

– Wychodzimy!

– Ale mówiłeś przecież...

– Idziemy!

Marjorie podrapała jeszcze szczura na pożegnanie, po czym niechętnie ruszyła za przewodnikiem. Cyryl ponownie wysilił mózg. Zwierzęta odpadały. Więc co? Nagle wpadł na iście szatański pomysł.

– Wspomniałaś przedtem, że nienawidzisz zimna – zagaił z udaną troską. – Czy jest jeszcze coś, czego nie lubisz? Wiesz, nie chcielibyśmy umieścić cię gdzieś, gdzie byłabyś nieszczęśliwa.

– Ach, jestem pewna, że znajdziesz dla mnie coś odpowiedniego.

– No, nie krępuj się – nalegał Cyryl. – Na pewno są jeszcze inne rzeczy, za którymi nie przepadasz.

– Cóż, nie jestem amatorką dużych wysokości – wyznała Marjorie.

Ha! Cyryl ruszył z kopyta, gratulując sobie w duchu bliskiego zwycięstwa, a przy okazji uniknięcia wiecznych tortur w otchłani. Kiedy dotarli do celu, otworzył z rozmachem drzwi i wepchnął niczego niespodziewającą się kobietę w ramiona dwóch czekających za progiem demonów. Jeden stwór przytrzymał ją mocno, podczas gdy drugi natychmiast zabrał się do zakładania na jej radosną podomkę uprzęży uczipionej do liny bungee.

– Och, nie! – krzyknęła Marjorie zaniepokojona. Kiedy spojrzała w bezdenną na pierwszy rzut oka przepaść, na jej twarzy odmalował się przecudowny wyraz zgrozy. – Cyryl? – jęknęła zszokowana, zrozumiałwszy, że padła ofiarą podstępu.

Demony wymieniły demoniczne uśmiešky.

– Skróciłeś linkę? – zapytał jeden. – Nie mam ochoty znów sprzątać krwawej miazgi z dna.

– Ups, zapomniało mi się – skrzeknął drugi, jednocześnie spychając delikwentkę z platformy.

Marjorie zachwiała się na krawędzi i runęła w czerni. Pasma liny strzeliły, podrywając się ze zwojów.

– O Boooo...! – jej krzyk ucichł.

Jakieś pół godziny później ostatni krąg sznura rozprostował się, znikając poza krańcem platformy. Węzły na rusztowaniu naprężyły się, znieruchomiały na moment, po czym lina zaczęła się marszczyć. Cyryl wiercił się niecierpliwie, nie mogąc się doczekać mrozących krew w żyłach okrzyków frunącej w górę Marjorie. Wreszcie dosłyszał słabe echo. Z każdą chwilą głos stawał się coraz wyraźniejszy i rzeczywiście mroził krew w żyłach, tyle że żyły te należały do Cyryla. To niemożliwe!

– Łoooo! – piszczała Marjorie radośnie, pojawiając się nad krawędzią platformy.

– Ej, ty, bies – warknął demon, podczas gdy jego towarzysz związał linę. – Co ty wyprawiasz? Przyprawiasz mi tu facetkę, co lubi skoki na bungee?

– Ale ona mówiła... – Cyryl ugryzł się w język, nim wypsnęło mu się coś, czego mógłby pożałować. Wkurzanie demonów nigdy nie kończyło się dobrze.

– Uch – stęknęła Marjorie z zadowoleniem, stając na podeście. Demony zerwały z niej brutalnie uprząż i wypchnęły z biesem za drzwi. – Powinnam być na ciebie wściekła za ten podstęp – zaczęła, podpierając się pod boki – ale podziałało. Wyzbyłam się zupełnie lęku wysokości. Dziękuję! – Przygarnęła Cyryla i uścisnęła go serdecznie.

Zmrożona krew zawrzała w żyłach biesa. Wyrwał się, szarpnął za kosmyk i począł przeskakiwać z nogi na nogę coraz wyżej i wyżej, aż odbijał się od ścian i sufitu.

– Och! – uradowała się Marjorie, zaczynając klaskać w rytm jego podskoków. – Cóż za niebywały taniec. Nauczysz mnie kroków? Chciałabym się tu jakoś zaaklimatyzować...

– Nie!

– W takim razie ja nauczę cię tańczyć na mój sposób. Sia–la–la–la–la.

Oślupiały z wściekłości Cyryl patrzył, jak Marjorie Mornington zaczyna wić się w wymyślnych figurach w takt nuconej melodii z lat siedemdziesiątych.

– No, dalej, Cyryl, nie podpieraj ściany. Ruszaj się! I bioderka! I obrót! Sia–la–la–la–la.

Wrząc ze złości, Cyryl wykreślił Boogie Wonderland z listy ewentualnych miejsc dla Marjorie. W Boogie Wonderland grzesznicy – zwykle zagorzali amatorzy rock and rolla lub muzyki klasycznej – zmuszeni byli tańczyć wiecznie w takt muzyki disco, kawałków miksowanych przez najlepszych didżejów tak sprytnie, że nie dało się wyłapać, gdzie kończy się jedna, a zaczyna następna piosenka, co uniemożliwiało zejście z parkietu. Rytmiczne dudnienie zagłuszało ryki: „Disco chała!” czy zgrzytanie zębów torturowanych dusz zmuszonych do pływania w takt przebojów Donny Summer i Bee Geesów.

Ruchami godnymi samego Travolty Marjorie zaczęła wyrzucać do góry ręce z obowiązkowo wyprostowanym palcem wskazującym.

– Aaaa! – zawył Cyryl, targając jedyny kosmyk włosów. Chwilę później oczyma rozszerzonymi z przerażenia spoglądał na sterczące z pięści ostatnie pasemko uwłosienia. – Tyyyy! Zabiłbym cię, gdybyś nie była już martwa!

– Rozchmurz się, Cyryl! Dalej! Sia–la–la–la–la! – Marjorie zaczęła kręcić szerokimi biodrami, skandując melodyjnie.

– Żadnych tańców!

– No dobrze – wydyszała Marjorie i tak nagle, jak zaczęła, przystanąła. – Heh, to było coś. Wieki nie tańczyłam. Bob miał dwie lewe nogi. Założę się, że w niebie nie mają dyskotek. Cieszę się, że jestem tutaj.

Z uszu biesa buchnęła para.

– Świetny numer! – zaśmiała się Marjorie. – Ciekawe, czy mi też się uda. – Skupiła się, zaciskając powieki. Z jej uszu wysnuła się smużka pary. Która po chwili zmieniła się w kłęby. A potem zamiast pary pojawiły się płomienie.

– J–jak to zrobiłaś? – wyjąkał Cyryl.

Marjorie otworzyła niewinne błękitne oczęta.

– Nie bardzo wiem. Ale fajnie tak spuścić trochę pary, prawda?

Cyryl zaczął podejrzewać, że gdyby zamknął Marjorie Mornington w

pomieszczeniu pełnym mierzwy i wręczył jej szufłę, ta kobieta znalazłaby kucyka.

– Co teraz? – dopytywała się. – Choć to chyba nieładnie tak cię wykorzystywać. I tak jesteś przemily, że poświęcasz tyle czasu na oprowadzanie mnie i ulokowanie w odpowiednim miejscu. Pewnie masz dużo innych obowiązków.

– Ależ skąd – w głosie Cyryla pojawiła się histeryczna nuta. – Na tym właśnie polega moja praca. Jestem zawodowym witaczem.

– O, to tak jak ci starsi ludzie w Wal–Marcie – ucieszyła się Marjorie. – Wiesz, Piekło jest dużo sympatyczniejszym miejscem niż to, w co każą ci wierzyć w kościele baptystów.

Cyryl dostał ataku niekontrolowanego chichotu – nie słodkiego, jak u dziecka, nie nawet wrednego, paskudnego diabelskiego. To był szaleńczy chichot kogoś, kto po jakimś czasie zrozumiał żart i dotarło do niego, że oto właśnie padł ofiarą tego wyjątkowo okrutnego, wstrętnego dowcipu.

Marjorie uśmiechnęła się do niego dobrotliwie.

– No, tak lepiej, Cyrylu. Widzę, że się troszkę odprężyłeś.

– Hihi, haha – chichrał się bies, kiwając, śliniąc i płacząc. Nie przestawał się śmiać, kiedy demony ciągnęły go w kierunku otchłani.

– Ojej, trochę dziwny ten maluch – westchnęła Marjorie do dwóch innych biesów, które pojawiły się przy niej.

Strażnicy spojrzeli na nią wilkiem i szturchnęli, zachęcając do marszu. Wkrótce dotarli do biura Głównego Szefa. Nowe drzwi jaśniały czerwoną płomienistą poświatą.

– Teraz zobaczysz prawdziwe Piekło – warknął jeden z biesów.

– Więcej zwiedzania? – rozjaśniła się Marjorie. – Wspaniale. Uwielbiam podróże. Bob nie lubił się nigdzie ruszać.

Bies parsknął i zapukał do gabinetu.

– Wejść! – huknęło ze środka.

Biesy otworzyły, wepchnęły Marjorie za próg i zatrzasnęły za nią drzwi. Szatan, Książę Ciemności, Wszechwładca Wszechzła, wpił w nią płomieniste ślepie.

– No, pani Mornington, miała pani chyba diabelnie dobry dzień. – Uśmiechnął się sardonicznie, obserwując, jak twarz Marjorie topi się i spływa. Jej ciało zaczęło się rozpadać i zamieniać w obrzydliwą masę galaretowatego mięsa. Po chwili kawałki stężały na powrót, formując postać Mefistofelesa.

Szatan klepnął go w plecy.

– Jesteś genialny, Mef. Nikt tak jak ty nie potrafi rozproszyć nudy.

Mefistofeles skłonił się skromnie i nalał do kieliszków margaritę. Wyglądając przez panoramiczne okno na kotłujące się w dole potępione dusze, dojrzeli wśród nich Cyryla. Bies śmiał się histerycznie i na przemian wył z bólu, dręczony przez grzeszników biorących swój odwet na byłym oprawcy. Szatan i jego podwładny przybili piątkę. Śmiech Wszechwładcy Wszechzła przetoczył się gromkim echem po Piekło.

– Musisz przyznać, że robotę mamy boską.

OPOWIEŚCI NIEWIARYGODNE

Gene Wolfe

(ur. 1931r.) należy do czołówki pisarzy fantasy i science fiction. Przypuszczalnie największą sławę przyniósł mu cykl Księga Nowego Słońca (The Book of the New Sun), który otwiera Cień kata (The Shadow of the Torturer, 1980), niemniej napisał prócz tego wiele innych utworów. Do jego najbardziej intrygujących powieści fantasy należą There Are Doors (1988), Miasteczko Castleview (Castleview, 1990) oraz Żołnierz z mgły (Soldier of the Mist, 1986). Zważywszy na złożoność i poziom skomplikowania tych powieści, zaskakujące może się wydać, iż Wolfe mógłby również napisać powieści utrzymane w znacznie lżejszym duchu. Tymczasem jedno z jego najwcześniejszych opowiadań, Trip, Trap (1967), jest bardzo ciekawą, przemyślaną wariacją na temat motywu trolla pod mostem, a każdy, kto nazywa swą antologię Śmierć Doktora Wyspy (The Death of Doctor Island and Other Stories), bez wątpienia jest człowiekiem bardzo ironicznym. To właśnie oblicze Gene'a Wolfe'a widzimy w jego nowym opowiadaniu, które otwiera minicykl Tall Tales.

Gene Wolfe

MOJE TRZY KODY POCZTOWE

Słońce zachodziło powoli nad wodami zatoki, płonąc niczym okręt storpedowany przez U-Boota.

– Są trzy sposoby na to, jak zacząć artykuł – rzekł dziadek i strzyknął brązowym, lepkiem sokiem niczym konik polny. – Albo capnąć suma, nawiasem mówiąc. Mniej więcej tak samo.

Zasłoniłem uszy, by nie słyszeć cichych, rozpaczliwych pojękiwań załogi skazanej na zagładę.

I tak na to zbyt gorąco, pomyślałem, a na głos powiedziałem:

– Na przykład od jakiegoś dramatycznego wypadku, tak?

– No właśnie. Założmy, żeś se złapał żabę. Nie jedną z tych rozdętych, wielgachnych ropuch, kapujesz? Rozchodzi mnie się o taką małą, całą w ciapki. Raz na jakiś czas podpłynie se taka i nadzieje mordę na haczyk. Bez sensu, no nie?

Nie dla żaby, pomyślałem.

– Nie, gdzie tam, panie drogi. – Staruszek znów splunął, niemalże trafiając mewę, która umknęła z wrzaskiem. – Jak niby ma teraz się wydzierać, głęboko pod wodom, skoro ma przekłutą muchołapkę? A założmy, że nasza żaba cierpi na zatoki.

Ha! Przecież musi oddychać przez mordę, no nie? A z obiema wargami przekłutymi ani wciągnąć powietrza, ani wypuścić. Chociaż niektórzy ludzie to nie myślą, mają pusto w głowach. Widział żem kiedyś jednego takiego w Sonorze, co mu oberżnęli łeb maczetą. Siedzę se w saloonie czy w kantine, jak gadali...

– Myślałem, że siedzimy na tym molo – powiedziałem, ale stary mnie nie usłyszał.

– A ci mu po prostu łeb oberżnęli. Łeb zleciał na podłogę i przetoczył się trzy razy po trocinach, sikając krwią. W życiu żem niczego gorszego nie widział. No, a jego ciało? Mogło dalej myśleć czy nie? Chyba nie, co? Przecież nie miało już mózgu, no nie?

– Niektórzy ludzie żyją bez mózgów – przypomniałem mu cicho, nadal zastanawiając się, jak zacząć artykuł.

– Mogło się tylko bać. I na pewno się bało, nie ma co. Bo strach nie mieści się we łbie, a gdzieś we flakach, jakoś tak za paskiem. Ciało wybiegło se więc z kantyny i pognało ulicą do następnej knajpy, jakieś pół przecznicy dalej. Pewnie se myślisz, że ciało jakoś tam wie, że nie ma już głowy. No i pewnie by wiedziało, gdyby mogło jakoś o tym pomyśleć. Ale nie pomyślało, bo jak? Sęk w tym, że nieboszczyk właśnie dostał trochę forsy i uparł się, że wszystko wyda, zanim kipnie. Popędziłem za nim, włączę do knajpy, patrzę, a ten ci stoi przy barze i mówi: nalej mi najlepszego bimbru, jaki kiedykolwiek podawałeś w tej parszywej spelunie. Nie umiał mówić, jasna sprawa, bo gęby nie miał, ale wystarczyło spojrzeć na guziki jego koszuli, by wiedzieć, o co mu się rozchodzi.

Zabłąkany podmuch wiatru sypnął piaskiem na mój notatnik. Kichnąłem.

– Barman od razu się pokapował i nalał mu szklanicę. No i co się, panie, zdarzyło? W życiu żem niczego tak śmiesznego nie widział. Ciało unosi szklanicę, jakby chciało się napić, i gdy podniosło ją na wysokość ust, przypomniało sobie, że Przecież nie ma ust. Podchodzę do niego i mówię: „Przecież ty głowy nie masz, durniu jeden. Lepiej bierz te szkło i wracaj do poprzedniej knajpy, bo tam zostawiłeś swój łeb”. Sęk w tym, że gość mnie nie słyszał, bo przecież nie miał uszu.

– Rozumiem – mruknąłem. Straciłem już zainteresowanie jego gadaniną i zacząłem się zastanawiać, gdzie podziała się ta dziewczyna, która zdejmowała żółty kostium kąpielowy za drzewem po lewej. Ale laska, zamyśliłem się.

– Posyp ją solą – ciągnął staruszek. – I nie kładź jej na parapecie. A mówiłem ci o tym, jak jego głowa zeżarła każdą trocinę w zasięgu? Językiem ją zgarnęła, łapiesz?

– Pewnie – skłamałem.

– A ciało tymczasem wlało sobie gorzałę w kieszeń koszuli, a potem padło na podłogę. Martwe na amen. Pamiętaj pan, że taka historyjka na pewno przyciągnie każdego suma czy żabę. Przyleci tu jeden z drugim, chlapiąc i wrzeszcząc co sił w płucach...

Dzień miał się już ku końcowi. Wpatrzyłem się w ciemniejące niebo, po czym nakreśliłem: „Moje trzy kody pocztowe”, atramentowo czarne na tle usianego chmurami drzewa.

– To nie działo się w Meksyku, ale w Chicago – powiedziałem staruszkowi. Ten

wycelował we mnie palec wskazujący.

– Czy jeden z tych twoich kodów nie zaczynał się od sześćset sześć?

Pokręciłem głową.

– Sam żeś pan na pewno tego nie wykumał. Przestań mi tu pan wygadywać! – nakazał mi. – Na łeb można dostać, ale na portki i tak sobie zarobię.

Czekałem, aż wspomni o żytnim chlebie i poda majonez. Tak się jednak nie stało.

– Czy pan żeś aby już tak głową nie kręcił, jakąś stronę temu?

– Nie wydaje mi się.

– A więc może to był prawdziwy wąż. Może lepiej napijmy się jeszcze.

– Miałem opowiedzieć o moich kodach pocztowych, o tym, jak stałem się Słodziutkim Sto Trzy w Lake Zurich, Illinois, ale powiedziałaś coś, co mnie zainteresowało. Powiedziałaś, że redaktorzy i sumy niczym się od siebie nie różnią. Odniosłem wrażenie, że jesteś raczej w błędzie, gdyż sumy żerują na rybach i skorupiakach, a redaktorzy na naiwności autorów. I co ty na to?

– Ile Leah panu płaci?

– Przyznaję się do błędu. Właśnie miałem panu powiedzieć, że moje trzy kody pocztowe to 60010, 60011 oraz 60047. Ich suma to 180068.

– A ich iloczyn?

– Mój kalkulator nie jest w stanie wyświetlić tak dużych liczb. Musiałbym skorzystać z logarytmów.

– Mówiłem twojej matce, że na normalnego nie wyrośniesz. A pierwiastek trzeciego stopnia?

– 60022 i dwie trzecie, mniej więcej.

– No i pewnie można pisać do ciebie pod ten kod?

– Nie widzę powodu, dlaczego by nie.

– Tak też sądziłem. A średnia ich trzech?

– Taka sama.

– Zawsze mówiłem, że jesteś czubek.

– Dlaczego? Proszę posłuchać – to duże liczby, niewiele się od siebie różniące, a w takich sytuacjach...

– Duże? Jak duże? Napisz no mi je.

Pośliniłem palec (jego cierpki smak natychmiast przypomniał mi o wszystkich robakach, które nadziewałem na haczyk jeszcze niedawno) i wypisałem je na deskach, których krawędzie kryte były zakrzepłą solą: 60010, 60011 i 60047.

– Aż takie duże to nie są – rzekł staruszek i wskazał niebo, na którym unosiły się mewy. – Spójrz no na tamte. Latają se pewnie z dobre pół mili nad morzem, a stąd jakieś sześć. To właśnie, wedle mnie, jest duża liczba. Ty pewnie jesteś innego zdania, pewno żeś widział większe w Szwajcarii, ale dla mnie wystarcza.

– 60047 to nie Szwajcaria, a Lake Zurich...

– Prawie jedno i to samo.

– Widzi pan, ludzie nie korzystają już z usług United States Mail.

– To gdzie przyklejają sobie znaczki?

– Nie kuś mnie, dziadku. Wydaje mi się, że wysyłanie listów jest dość proste. Na

każdym rogu stoi skrzynka, wszędzie są urzędy pocztowe i tak dalej.

– Ale są ciągle zamknięte. – Staruszek w zadumie poskrobał się po drewnianej nodze.

– Pewnie to stanowi przyczynę. Nasz urząd pocztowy w Barrington otwierają o 9:45, a zamykają o 4:30, a w sobotę o 12. Oczywiście jest też zamknięty w niedzielę i każde możliwe i niemożliwe święto.

– No, tak to się suma nie złapie.

– Wiem. To właśnie dlatego czekałem, aż znajdziemy się na tej stronie.

– A to miejsce w Szwajcarii?

– Skrzynki Pocztowne Shes Us. Jest o wiele częściej otwarte, a gość, który tam pracuje, dał mi klucz do drzwi wejściowych. Dostałem też klucz do Słodziutkiej 103.

– Masz na myśli zwykłą skrzynkę, co nie?

– Tak, ale trzeba wcześniej powiedzieć „Słodziutka”. Taka jest tradycja. Napisz do mnie na adres 830 West Main, Słodziutka 103. Lub wysyłaj paczki za pośrednictwem O.O.P.S., Fed X...

– Te książki o potworach, które ciągle czytasz?

– Blisko. Ale inne są o wiele gorsze, wierz mi. Jakiś czas temu pewien redaktor z Anglii obiecał mi, że prześle do sprawdzenia manuskrypt za pośrednictwem International Soup–Or–Swift:. Przesyłka miała znaleźć się u mnie w sześć godzin. Jakiś tydzień później dostałem kartkę od Soup–Or–Swift z informacją, że nie dowożą w moim rejonie zamieszkania i że mogę odebrać przesyłkę w ich głównym biurze na rogu Dwusetnej i Siedemdziesiątej Szóstej. Mieszkam na północnym zachodzie Chicago. Ich siedziba zaś znajduje się daleko na południu.

– Jak daleko?

– W Kentucky. Tak czy owak, Fed X., O.O.P.S. i cała reszta dostarczają na kod pocztowy Słodziutka 103.

– Przecież możesz im podać ten pierwszy kod. Wyślą ci wtedy wszystko do domu.

– Już próbowałem. Zostawiali paczki u sąsiada lub w innych miejscach przecznicy, a czasem nawet na innej ulicy.

– Chyba już wiem, o co ci chodzi.

– Nie skończyłem jeszcze. Ba, nie jestem nawet w połowie tematu. Bywało, że przesyłki zostawiano w samochodach na moim podjeździe. Z pół tuzina prezentów ślubnych wstawiono do garażu i tylko przez przypadek odkryto je przed samym ślubem. Kopertę z czekami na dziesięć tysięcy dolców zostawiono w deszczu na podeście schodów przed domem.

Staruszek już mnie nie słuchał. Osłoniwszy oczy, przyglądał się pozbawionemu światłu horyzontowi.

– Myślisz, że jakimś słonecznym żeglarzom udało się zejść do szalup?

– Wątpię. To album Leslie Fisha – powiedziałem, schodząc z brzegu basenu portowego. – Chyba już pójdę do domu.

Staruszek spojrział na ciemne, kotłujące się wody zatoki.

– Ha! – burknął. – A do którego, chłopcze?

Ambrose Bierce

W naszych czasach prace Ambrose'a Bierce'a (1842–1914) poszły niezasłużenie w zapomnienie. Jeśli w ogóle, kojarzony jest jedynie z The Devil's Dictionary – nacechowanym czarnym humorem zbiorem cynicznych definicji różnorodnych pojęć spisanych z obserwacji życia, tudzież z owianym mgłą tajemnicy zniknięciem. W wieku lat siedemdziesięciu postanowił wyjechać do ogarniętego rewolucją Meksyku i od tamtej pory zaginął bez wieści. Kilka lat później zniknął inny Ambrose, Ambrose Small, co Charles Fort skomentował: „Może ktoś kolekcjonuje Ambrose'ów”. W filmie Old Gringo (1989), nakręconym na podstawie książki Carlosa Fuentes, w rolę Bierce'a wcielił się Gregory Peck. W ciągu czterdziestu lat kariery Bierce, dziennikarz, satyryk, pisarz, stworzył wybór najwybitniejszych opowiadań grozy XIX w. Wiele z nich utrzymanych jest w tonie sardonicznego humoru, którym zgryźliwy autor reagował na głupotę ludzką. Poniższe opowiadanie jest jednym z bardziej żartobliwych dzieł.

Ambrose Bierce

UPADEK HOPE'A & WANDELA

Nowy Orlean, 2 grudnia 1877 roku

Szanowny Pan Pike Wandel,

Nie chcę zanudzać Cię, Drogi Przyjacielu, długą relacją z mojej podróży z Nowego Orleanu w te polarne rejony W Chicago jest bardzo zimno, więc południowiec, który tu przybywa, jak ja, bez zapasu nosów i uszu, będzie miał powody, by żałować oszczędności poczynionych w trakcie kompletowania garderoby.

Ale do rzeczy. Jezioro Michigan jest całkowicie zamrożone. Nie uwierzyłbyś, o dziecię gorących klimatów – jeden kawał lodu długi na trzy setki mil, szeroki na czterdzieści i na sześć stóp gruby! Brzmi to jak wymysł, lecz twój wspólnik, udziałowiec firmy Hope & Wandel, Hurtownia Obuwia Wszelkiego w Nowym Orleanie, znany jest z tego, że nigdy nie opowiada koszałków–opałków. Planuję na tym zrobić fortunę. Sprzedaj natychmiast cały interes i prześlij mi zysk. Wystawię halę wielkości waszyngtońskiego Kapitolu, wypełnię ją po brzegi lodem i będę mógł dostarczać towar na Twoje zamówienie według zapotrzebowań rynku południowego. Mogę słać go w formie płyt do wykładania lodowisk, rzeźb na gzymsy, kruszony do sorbetów oraz w płynie do lodów oraz innych celów. To fantastyczna sprawa!

Załączam mały kawałek jako próbkę. Widziałeś kiedyś coś tak cudownego?

Z pozdrowieniami –
Jabez Hope

Chicago, 24 grudnia 1877 roku

Szanowny Pan Jabez Hope,

Twój list był tak zamazany i usiany kleksami, że niemal nieczytelny. Pewnie dostarczono go drogą wodną. Na szczęście za pomocą odczynników chemicznych i techniki fotograficznej udało mi się go odcyfrować. Jednakże zapomniałeś dołączyć wspomnianą próbkę. Sprzedałem wszystko (niestety, z dużą stratą ze względu na pośpiech), przesyłam weksel na Twoje nazwisko. Natychmiast zaczynam zbierać zamówienia. Ufam Twojej rozwadze, lecz nie zawadzi zapytać – czy ktoś próbował już hodować lód w naszej okolicy? Mamy tu jezioro Pontchartrain.

Z pozdrowieniami –
Pike Wandel

* * *

Nowy Orlean, 27 lutego 1878 roku

Szanowny Pan Pike Wandel,

Drogi Wannie, szkoda, że nie możesz zobaczyć naszego nowego magazynu. Choć zbudowany z desek i sklecony raczej w pośpiechu, jest piękny jak z obrazka. Kosztował sporo, mimo iż nie płaciłem podatku od gruntu.

Wielkością dorównuje waszyngtońskiemu Kapitolowi. Uważasz, że powinienem dodać iglicę? Udało mi się zapełnić go niemal po dach – pięćdziesięciu pracowników dniem i nocą cięło lód i zwoziło go tutaj – potwornie zimna robota! A propos, lód, który jak pisałem do Ciebie ostatnio, był gruby na dziesięć stóp, nieco pocieniał. Ale nie martw się, nadal jest go mnóstwo.

Nasz skład umiejscowiony jest około dziesięciu mil od miasta, nie jestem tu więc nachodzony przez ludzi, co, uwierz, jest prawdziwą ulgą. Zapewniam Cię, że nigdy nie widziałeś tak rozchichotanej społeczności!

Choć wydaje się to nieprawdopodobne, odnoszę wrażenie, iż lód nasz staje się tym zimniejszy, im robi się cieplej. Zważ na me słowa i wspomnij o tym niesamowitym fakcie w reklamach.

Z pozdrowieniami –
Jabez Hope

* * *

Chicago, 7 marca 1878 roku

Szanowny Pan Jabez Hope,

Sprawy mają się dobrze. Złożono setki zamówień. Powinniśmy nazwać nasz złoty interes „Nowoorleańsko-Chicagowskie Przedsiębiorstwo Lodowe Semperfrigid”. Nie powiedziałeś mi jednego, to słodki czy słony lód? Jeśli słodki, nie nada się do gotowania, jeśli słony, popsuje smak sorbetów.

Czy jest tak samo zimny w środku bryły jak z zewnątrz?

Z pozdrowieniami –

* * *

Nowy Orlean, 3 kwietnia 1878 roku

Szanowny Pan Pike Wandel,

Szlak wodny na jeziorach został otwarty, pasażerów na statkach jak sardynek. Jestem na pokładzie w drodze do Buffalo, z resztką aktywów „Nowoorleańsko-Chicagowskiego Przedsiębiorstwa Lodowego Semperfrigid”. Splajtowaliśmy, fortuna i sława zostawiły nas na lodzie. Zwołaj zebranie wierzycieli i nie stawiaj się na nie.

Wczoraj wieczorem szkuner płynący z Milwaukee został rozbity w drzazgi przez ogromną masę lodu – to pierwsza góra lodowa, jaką widziano na tych wodach. Ocaleni z katastrofy porównywali jej gabaryty do waszyngtońskiego Kapitolu. Połowa tej góry jest Twoja, Pikey.

Jakby mało było nieszczęścia, okazało się, że zbudowałem nasz magazyn w dość niefortunnym miejscu, około mili od brzegu (na lodzie, oczywiście), i kiedy nadeszła odwilż – mój Boże, Wannie, uwierz, w całym swoim życiu nie widziałeś czegoś tak smutnego! Ucieszy cię zapewne wieść, że nie było mnie wtedy w środku.

Swoją drogą, muszę powiedzieć, że zadajesz niemądre pytania. Mój biedny wspólniku, od razu widać, jak mało się znasz na lodowym biznesie.

Z pozdrowieniami –
Jabez Hope

Elisabeth Waters

jest autorką wielu krótkich opowiadań oraz powieści Changing Fate (1994). Współpracowała także ze swoją kuzynką Marion Zimmer Bradley przy pisaniu i tworzeniu antologii.

Elisabeth Waters

DAR URODZINOWY

– Jak mogłaś, ciociu Frideswide? – Królowna Rowena spojrzała wilkiem na drobną postać w szatach maga, a z jej ust spadły ametyst, szmaragd, topaz, rubin i stokrotka.

Frideswide skrzywiła się. „Ten dźwięk! Jak to możliwe, żeby taka mała dziewczynka miała tak ostry, świdrujący głos?”

– Roweno, kochanie, gdzie twoje maniery?! Nie powiesz nawet dzień dobry? I zniż, proszę, głos.

– Mogę powiedzieć „dzień” – burknęła Rowena – ale ten drugi wyraz wyrzucam z mojego słownika. Kolce róż ranią mi usta. – Kupka leżących przed nią klejnotów urosła. – Dlaczego to zrobiłaś?

– Ależ, drogie dziecko, zawsze uwielbiałaś tę bajkę. Uznałam, że to najlepszy prezent na czternaste urodziny. Poza tym pomyśl, jaki będziesz miała posag, kiedy osiągniesz wiek odpowiedni do małżeństwa. Wiem, że twojego ojca gryzie ta sprawa.

„Co z tą dziewczyną”, pomyślała Frideswide. „Przecież to idealne rozwiązanie wszystkich naszych problemów, a ona zachowuje się jak nadaśana smarkuła”.

– Ach tak? – Oczy Roweny zaszły łzami. – Myślisz, że to pomoże ewentualnemu kandydatowi na męża przymknąć oko na mój okropny głos? Kupujesz mi księcia, ale ja za to płacę! Wiesz co? Nie chcę księcia, nie chcę męża i wolałabym złożyć wieczyste śluby milczenia niż to, co teraz przeżywam. Zdejmij ze mnie zaklęcie! Natychmiast! – jej przenikliwy głos podniósł się przynajmniej o dwie oktawy i przy ostatnich słowach stojąca na najwyższej półce zlewka pękła z brzękiem.

– Ależ, Roweno, kotku – zaprotestowała Frideswide i przeszła na drugi koniec stołu, by nerwowym ruchem zamieszać w wielkim kotle. – Obawiam się, że nie mogę tego uczynić. Nie znam przeciwwzaklęcia. Prawdę mówiąc, miałam spore kłopoty ze zdobyciem samego czaru.

– Nie – zaprzeczyła Rowena ponuro – niewystarczające spore. Zamknę się w komnacie i nie wyjdę stamtąd, dopóki nie znajdziesz sposobu, by mnie odczarować!

Ciche pukanie poprzedziło wejście służącej niosącej tacę ze śniadaniem dla Frideswide. Na widok królowny oficjalna mina dziewczyny przerodziła się w uśmiech.

– Wszystkiego najlepszego, Wasza Wysokość.

Rowena wyminęła ją bez słowa, wybiegając z komnaty. Służąca popatrzyła za nią zaskoczona tym zachowaniem, bowiem królowa uchodziła za jedną z najmiłszych osób w zamku.

– Jest trochę zmęczona – wyjaśniła Frideswide pospiesznie. „Niedorzeczna wymówka, przecież dopiero ranek”. – Przejmuje się tymi urodzinami.

– Mam nadzieję, że zdąży wypocząć przed przyjęciem – powiedziała dziewczyna. – Słyszałam, że mają przyjechać książęta z całych Pięciu Królestw.

– Tak, też mam taką nadzieję – przytaknęła gorliwie Frideswide, zasłaniając stertę klejnotów na stole. – Postaw, proszę, tacę na moim warsztacie i możesz odejść.

Po wyjściu służącej Frideswide usiadła i podniosła pokrywę tacy. Niemal natychmiast rozległ się chrobot, a spomiędzy tłoczących się na stole retort wychynęła ciemnozielona traszka. Płaz posiadał tylko jedno oko, drugie zostało zużyte dawno do jakiegoś zaklęcia. Frideswide miała także ropuchę z brakującym paluchem, ale czar, do którego go wykorzystywała, nie udał się, więc magini zaprzestała kolejnych prób.

– No i co ty na to?

Traszka przeżuła dokładnie kęs i połknęła go, zanim odpowiedziała.

– Moim zdaniem, jest niewdzięczną smarkulą. Jak sobie pomyślę, ile zachodu kosztowało mnie znalezienie tego zaklęcia, spotkanie ze smokiem, potem długie targi – mało nie spłonąłem – a ona przychodzi i mówi: „Zdejmij je”! To wspaniały czar, jeden z najlepszych, jakie rzuciłaś. Zapewni jej bogactwo i dobrego męża, a ona tylko jazgocze i narzeka. – Odgryzła kolejny kawałek i przełknęła. – A na dodatek mąż nie będzie miał nic przeciwko, żeby paplała całymi dniami i nocami!

Jednakże myśli Frideswide biegly już innym torem.

– Może jednak źle zrobiłam? Bajka jest naprawdę piękna, ale nigdy nie zastanawiałam się nad jej aspektem praktycznym, na przykład że róże mają kolce, ani nad tym, skąd będą wypadały. A co, jeśli Rowena zacznie mówić przez sen i zadławi się rubinem albo czymś innym?

Traszka zbyła jej rozważania machnięciem ogona.

– No to już nie będziemy musieli jej słuchać. Samo jej mówienie to już katastrofa, ale nie, ona jeszcze upiera się, by śpiewać!

– Ale musisz jej oddać sprawiedliwość – robi to tylko głęboko w lesie.

– I pewnie dlatego król Mark chce ją jak najszybciej wydać za mąż. Od lat nie był w stanie zorganizować porządnego polowania. – Płaz zgarnął z talerza kolejną porcję jedzenia, przeżuł i przełknął. – Choć częściowo to pewnie wina naszej pani smokowej.

– A propos pani smoczycy – zaczęła Frideswide z nutką nadziei.

– Absolutnie wykluczone! – odpowiedź traszki była kategoryczna. – Byłem tam ostatni raz. Jeśli naprawdę chcesz zdjąć czar z Roweny, sama sobie idź do smoka. – Płaz zeskoczył ze stołu i czmychnął przez szczelinę w ścianie na gzyms, gdzie wyciągnął się na słońcu głuchy na wszelkie prośby i błagania.

Frideswide pozbiierała wyplute przez królową klejnoty, wsypała je do sakiewki,

narzuciła płaszcz i ruszyła w drogę do smoczego legowiska.

Wysypane na ziemię klejnoty zrobiły na smoczycy wrażenie.

– A więc udało ci się rzucić zaklęcie. – Spojrzała badawczo na Frideswide. – Jednak coś musiało pójść nie tak, skoro tu jesteś. O co chodzi?

– Obawiam się, że Rowena nie przyjęła tego najlepiej. Zrobiła straszną scenę, krzyczała, że próbuję jej kupić męża, a ona i tak nie chce wychodzić za mąż i...

Smoczyca zachichotała.

– Resztę sama mogę sobie dopowiedzieć. Moja córka w pewnym okresie była podobna. Nie przejmuj się, w kilka wieków z tego wyrastają.

– Nie mamy kilku wieków – zaprotestowała magini. – Rowena zamknęła się w komnacie, twierdząc, że nie wyjdzie, póki nie zdejmę zaklęcia. Nie chcę nawet myśleć, co zrobi król, kiedy córka nie pojawi się na własnym przyjęciu urodzinowym, a to już dzisiaj po południu! – zamilkła dla nabrania oddechu.

Smoczyca pokręciła głową.

– Ech, wy, śmiertelnicy, ciągle w pośpiechu, wszystko musicie mieć na już. Kiedy nauczycie się relaksować, spoglądać daleko w przyszłość?

– Pewnie wtedy, gdy długość naszego życia będzie porównywalna z twoim, moja droga pani smoczyco – warknęła Frideswide. – Ale na razie nasz czas kończy się zdecydowanie szybciej. Masz jakieś dobre pomysły?

Smoczyca odchyliła głowę, wydmuchując ku stropowi groty język ognia.

– Przemyślę tę kwestię. A tymczasem wróc do domu i spróbuj tej małej przemówić do rozsądku. Może jest ktoś, kto mógłby ją przekonać, jakaś towarzyska zabaw? Ukochany? Rozważ to.

Frideswide schyliła się po kupkę klejnotów. Cienki biczyk ognia o włos ominął jej rękę. Odskokzyła, instynktownie cofając dłoń przed gorącym.

– To możesz zostawić. – Przeklęta smoczyca była wyraźnie rozbawiona.

Magini całą drogę powrotną gotowała się ze złości.

* * *

Po południu z fazy gotowania Frideswide przeszła w stan bliski wybuchu, podobnie zresztą jak król Mark. Z zamkniętymi drzwiami poradził sobie w typowy, dość niesubtelny sposób – kazał je wyważyć. Rowena umknęła na balkon, skąd została ostrożnie zabrana przez smoczycę i uniesiona w dal. Na posadzce pozostała tylko sterta pereł, które wysypały się z ust krzyczącej królowny. Frideswide pozbierała ukradkiem klejnoty, zanim ktokolwiek zdążył je zauważyć.

W zamku pełnym królewiczów (choć przyjęcie zostało odwołane, pięciu gościło akurat w królestwie, plus Eryk, syn króla Marka) oczywiście natychmiast padła propozycja ruszenia w pościg za smokiem i uratowania królowny. Jednak podczas wybitnie niestosownej, według Frideswide, konwersacji przy zastawionym stole Eryk opisał z detalami, jak wyglądały trupy kilku ostatnich rycerzy po spotkaniu z bestią. (Smoczyca, która ceniła sobie prywatność, miała zwyczaj podrzucania zwłok śmiałków na główny rynek, czym udawało jej się dość skutecznie zniechęcić kolejnych zamachowców *in spe*. Eryk dość jasno dał przy tym do zrozumienia, że nie

zamierza dać się sprowadzić do roli jednej z tych wątpliwych ozdób miejsca publicznego).

– Ale czy honor nie nakazuje ci ratować siostry? – zapytał jeden z królewiczów.

– I pozostawić mnie bez dziedzica? Skazać królestwo na groźbę wojny domowej? – rzucił król jadownicie. – Tego byś chciał? Nie wiemy nawet, czy Rowena jeszcze żyje, kategorycznie nie zezwoliłbym synowi na podjęcie tak niebezpiecznej i zbędnej misji. Co więcej – potoczył srogim spojrzeniem po siedzących przy stole gościach – innym także zabraniam drażnić smoka, tak na wszelki wypadek, gdyby któryś z was poczuł się na tyle zbyteczny, by podjąć tę próbę, lub miał chęć w ten sposób popełnić samobójstwo. Smoczyca robi się niezwykle nerwowa, kiedy jakiś idiota próbuje ją zabić, a to moi poddani będą cierpieć, jeśli się rozzłości. Nie dopuszczę do tego! – Raz jeszcze potoczył groźnym wzrokiem po zebranych. – Czy to jasne, panowie?

Królewicze przytaknęli z wyraźną ulgą. Wszyscy widzieli, a co ważniejsze, słyszeli Rowenę i choć ratowanie białogłów z paszcz smoków należało do zwyczajowych obowiązków rycerzy oraz królewiczów, w obliczu tak stanowczego sprzeciwu króla nikt nie mógł oczekiwać, że podejmą jakieś kroki. Polało się wino i rozmowa zeszła na tematy sokolniczo–turniejowe.

– Ciekaw jestem jednak, dlaczego smoczyca porwała moją córkę – rzekł król do Frideswide po skończonej uczcie.

Magini zeszywniała. „Czyżby ktoś powiedział mu o zaklęciu? Jeśli tak, będzie chciał jej powrotu. To jedyna rzecz, dla której chciałby ją przy sobie mieć...”.

Najwyraźniej nie miał o niczym pojęcia, więc kontynuował spokojnie:

– Ty jesteś magiem, Frideswide. Wybadaj, co stało się z Roweną. I dlaczego. – Ruszył przed siebie, ale odwrócił się jeszcze. – Tylko nie rozdrażnij smoczycy podczas poszukiwań!

„Nie za wiele wymagasz?”, pomyślała Frideswide. „Cóż, przynajmniej nie żąda natychmiastowego przyprowadzenia całej i zdrowej Roweny. Swoją drogą, sama jestem ciekawa, co smoczyca z nią zrobiła”. Magini zarzuciła płaszcz, zerknęła w niebo – bezchmurne, z pełną tarczą księżyca – i po raz drugi tego dnia skierowała kroki ku legowisku smoka.

W miarę zbliżania się do celu zaczęły do niej docierać coraz wyraźniejsze dźwięki – buczenie, skrzeki i brzdęk, jakby ktoś szarpał przypadkowe struny koszmarnie rozstrojonej harfy. Podeszedłszy ostrożnie do wejścia, Frideswide zajrzała do jaskini.

Na środku płonęło ognisko, przy którym leżała rozciągnięta smoczyca. Rowena siedziała oparta o jej bok, brzdąkając na harfie trzymanej niedbale między kolanami. Reszta odgłosów dobywała się z gardeł dziewczyny i smoczycy, które te hałasy prawdopodobnie nazwałyby śpiewem. Frideswide natomiast, której szczęśliwie żadne zwierzę nie nadepnęło na ucho – nigdy.

Pierwsza dostrzegła ją smoczyca.

– Wejdz, Frideswide – powitała ją wesoło. – Przyszłaś sprawdzić, jak się ma Rowena, czy zabrać ją do domu?

Królowna zerwała się na równe nogi, upuszczając harfę, która dźwięknęła straszliwie, po czym schowała się za cielsko smoczycy.

– Nie wrócę tam! – zapiszczała histerycznie, spoglądając na ciotkę ponad grzbietem smoka. – Podoba mi się tu, chcę zostać! – Klejnoty odbijały się od łopatki bestii, staczając po gładkich łuskach na ziemię.

– Ależ, Roweno... – zaczęła Frideswide.

– Nie wracam! – przerwała jej królowa. – Tam nikt mnie nie lubi, nikt nie słucha, a smoczyca podoba się nawet mój śpiew.

– Ale co ja powiem twojemu ojcu?

– Powiedz, że nie żyję – odparła Rowena stanowczo. – Nie wrócę tam. Nigdy.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – Królowa pokiwała głową. – A co, jeśli zmienisz zdanie?

– Rowena może tu zostać, jak długo sobie życzy, i w każdej chwili odejść, ale nikt jej stąd siłą nie zabierze. Masz coś przeciwko?

– Absolutnie nie – rzekła magini spokojnie. – Aczkolwiek jeśli Rowena naprawdę chce tu zostać, lepiej będzie powiedzieć, że nie żyje.

– Fakt – zgodziła się smoczyca. – Rycerze upierają się zwykle przy „ratowaniu dziewczyc w opałach”, a to dość uciążliwe.

– Król Mark zabronił towarzystwu cię zaczepiać.

– Ja myślę. – Smoczyca odsłoniła w uśmiechu rzędy długich, ostrych kłów.

– Tak, jednakże poprosił, żebym sprawdziła, co stało się z jego córką. I dlaczego.

– Och, więc nie wie? – zdumiała się smoczyca. Wykręciła szyję, żeby spojrzeć na królową. – No, skoro twoja ciotka najwyraźniej nie ma zamiaru zaciągnąć cię do domu, to możesz sobie wygodnie usiąść.

Rowena wróciła na swoje miejsce przy ognisku i oparła się jak przedtem o bok bestii. Zachęcona gestem gospodyni, Frideswide przysunęła sobie stół i zrzucając płaszcz, usiadła. W jaskini było bardzo ciepło – miła odmiana po zimnych komnatach zamkowych, gdzie nawet grube gobeliny nie zatrzymywały chłodu bijącego od kamiennych ścian.

„Może rzeczywiście Rowenie będzie tu lepiej. Ma rację, że ojcu ani bratu na niej nie zależy. Biedne dziecko, zawsze była raczej nieładna, a na dodatek ten problem z głosem... Nie miała szans na przebieranie w kawalerach, chyba żeby ojciec dał jej duży posag, a nie palił się do tego. I jeszcze ja, choć miałam dobre chęci, dopełniłam nieszczęścia, zamieniając ją w dziwadło”. Myśl ta była jak kubel zimnej wody.

– Mówisz więc, że król Mark nie ma pojęcia o twoim darze urodzinowym dla Roweny? – podjęła smoczyca.

– Nie sądzę – przyznała Frideswide.

– Nikt nie wie – wtrąciła Rowena. – Nikt poza nami trzema.

– Jesteś pewna? – spytały jednocześnie smoczyca i magini.

– Całkowicie.

– Cóż, to zwalnia nas od konieczności trzymania się prawdy – stwierdziła Frideswide, odwracając się do smoczycy. – No to dlaczego porwałaś i zabiłaś królową?

Smoczyca zadumała się na moment.

– Powiedz mi, że cierpiałam na zaburzenie równowagi żywieniowej, bo każdy

smok choć raz na parę wieków musi zjeść dziewicę. Powiedz, że ostrzegłabym go wcześniej, dając czas na zorganizowanie loterii ofiarnej i tym podobnych bzdur, ale to był niespodziewany atak. Przekaż mu ode mnie kondolencje i – chwytny ogon powędrował na bok, przyciągnął złotą czarę bogato inkrustowaną drogocennymi kamieniami i opuścił naczynie na kolana magini – daj mu to w ramach nawiązki za krew jego córki. Powinno się nadać, prawda? – Smoczyca popatrzyła pytająco na Frideswide, ale to Rowena odpowiedziała.

– Będzie zachwycony – zapewniła smoczycę. – Ta czara jest zdecydowanie bardziej w jego guście niż ja.

Magini przytaknęła.

– Mark nie chce cię drażnić, więc łyknij każdą choć odrobinę prawdopodobnie brzmiącą historyjkę, a ta właśnie taka się wydaje. – Podniosła się, żeby opuścić jaskinię, ale przypomniała sobie coś, o czym dziewczyna mówiła rankiem. – Roweno, jesteś pewna, że nikt o niczym nie wie? Z tego, co zrozumiałam, witałaś się z kimś rano, kto to był?

Królowna popatrzyła na nią zdziwiona.

– Od rana rozmawiałam tylko z tobą, ciociu.

– Ale mówiłaś, że nie będziesz wymawiała słowa „dobry”, bo kolce róż ranią ci usta.

– Ach, to – zachichotała Rowena. – Rozmawiałam ze swoim odbiciem. Mówiłam ci też, że nikt w zamku nie chce mnie słuchać. – Roześmiała się, a spadające z jej ust klejnoty utworzyły na podłożu lśniący stosik.

INWAZJA OBCYCH

Harry Harrison

To Harry Harrison (ur. 1915r.) jako pierwszy dostrzegł potencjał drzemiący w humorystycznej fantastyce. Jego opowiadania o kosmicznym przestępcy działającym jako agent Korpusu Specjalnego zaczęły pojawiać się w „Astounding SF” od roku 1957. Przygody Stalowego Szczura do tej pory niezmiennie bawią czytelników. Jego powieść Bill, bohater Galaktyki (Bill, the Galactic Hero, 1965) do dzisiaj pozostaje jedną z najlepszych parodii science fiction. Poniższa historia jest nie tylko karykaturą serii C.S. Forestera o Hornblowerze, ale zawiera też wątek inwazji przybyszów z kosmosu.

Harry Harrison HONARIO HARPPPLAYER, KAPITAN KRÓLEWSKIEJ MARYNARKI

Kapitan Honario Harppplayer z założonymi za plecami rękoma i zębami zaciśniętymi w bezsilnej złości krążył po miniaturowym pokładzie rufowym HMS *Redundant*. Co jakiś czas popatrywał na ciągnącą do portu zrujnowaną flotę francuską. Podarte żagle łopotwały smętnie, a potrzaskany takielunek włócił się przy kadłubach podziurawionych salwami oddanymi z armat *Redundanta*.

– Proszę posłać dwóch na dziób, panie Shrub – powiedział. – Każcie im zalać wodą grot. Mokra żagle dodadzą nam ósmą węzła, może jeszcze dogonimy tych tchórzliwych żabojadów.

– A–ależ, sir – wyjąkał pierwszy, truchlejąc na myśl o sprzeciwienu się uwielbianemu dowódcy. – Jeśli odwołamy choć jednego człowieka od pomp, zatoniemy. Mamy trzynaście dziur poniżej linii zanurzenia i...

– Do kroćset! To był rozkaz, nie zaproszenie do dyskusji. Wykonać!

– Aj, aj, kapitanie – wymamrotał Shrub pokornie, ocierając łzę spływającą z wilgotnego psiooddańczego oka.

Mokra żagle obciążały okręt, zwiększając zanurzenie. Harppplayer splótł ręce za plecami, przeklinając się w duchu za ten nieuzasadniony wybuch wobec wiernego Shrubu. Jednak przed swoją załogą, mętami i szumowinami tysiąca portów, musiał podtrzymać etos nieugiętego rygorysty, tak jak musiał nosić gorset, żeby podtrzymać brzuch, oraz pas, aby podtrzymać przepuklinę. A musiał podtrzymywać to wszystko, ponieważ był kapitanem tej jednostki, najmniejszego okrętu armady, jaki posiadał własnego kapitana, a zarazem istotnej części składowej owej armady,

która niczym pętla zaciskała się wokół Europy, więząc w niej Szalonego Tyrana, Napoleona, którego sny o podboju nigdy nie sięgną Anglii, póki stać będą mu na drodze te niewielkie statki.

– Módl się, kapitanie, żebyśmy szybciej płynęli – do nieba, bo toniemy! – zawołał któryś z grupy marynarzy pracujących przy pompach.

– Podajcie mi nazwisko tego człowieka, panie Dogleg – polecił Harpplayer midszypmenowi, siedmio- czy ośmioletniemu malcowi, który natychmiast wykonał rozkaz. – Przez tydzień nie dawać mu rumu.

– Aj, aj, kapitanie – zapiszczał pan Dogleg, który ledwie nauczył się mówić.

Fakt jednak pozostawał faktem, statek tonął. Szczury biegały po pokładzie i ignorując przekleństwa oraz tupanie marynarzy, rzucały się do wody. Uciekająca jednostka francuska dotarła bezpiecznie do baterii nabrzeżnych na przylądku Pietfieux, a czarne gardziele dział zwróciły się ku *Redundantowi* gotowe plunąć zabójczym ogniem, gdy tylko stateczek znajdzie się w ich zasięgu.

– Przygotować się do zrzucenia żagla, panie Shrub – polecił Harpplayer, po czym podniósł głos, tak żeby słyszała go cała załoga: – Te tchórzliwe francuziska uciekły, pozbawiając nas nagrody miliona funtów w złocie!

Przez pokład przeleciał szmer niezadowolenia, bowiem członkowie załogi oprócz rumu kochali funty, szylingi i pensy, za które mogli kupić rum. Szmer zmienił się nagle w stłumione wycie, kiedy osłabiony niecelną kanonadą Francuzów grotmaszt runął na marynarzy.

– Nie ma już potrzeby zrzucać żagli, panie Shrub, fagasi Napcia nas wyręczyli – zażartował Harpplayer z przymusem. Czynił to nader rzadko, chociaż załoga ceniła dowcipne komentarze. Kapitan czuł niesmak, grając komedię obliczoną na przypodobanie się tym analfabetom, ale miał obowiązek utrzymywania morale na statku. Poza tym, gdyby od czasu do czasu nie zażartował, marynarze nienawidziliby go za bezwzględność, ryzykanctwo i bezduszność. Oczywiście i tak go nienawidzili, ale robili to z rozbawieniem.

Teraz roześmiani rozcinali splątane olinowanie i odciągali ciała, układając je na pokładzie w równiutkich rzędkach. Statek zanurzył się jeszcze bardziej.

– Zostawcie te trupy – rozkazał Harpplayer. – I do pomp, inaczej zjemy dzisiejszą kolację na dnie morza!

Znów zabrzmiały urywane salwy rehotu i ludzie pospieszyli do pracy.

Łatwo ich było zadowolić; Harpplayer zazdrościł swoim marynarzom nieskomplikowanego życia. Mimo ciężkiej harówki, fatalnej wody i pogłaskania co najwyżej kota w ramach przyjemności ich egzystencja była lepsza niż jego nieszczęsne bytowanie na samotnym szczycie dowodzenia. To kapitan musiał podejmować wszelkie decyzje, co dla człowieka z jego obsesyjną, paranoiczną naturą było istnym piekłem. Oficerowie, którzy nie znosili go, co do jednego, byli niekompetentni. Nawet Shrub, wierny, cierpiący w milczeniu, lojalny Shrub, miał swoje słabości, a konkretniej, IQ około sześćdziesięciu, co przy niskim urodzeniu gwarantowało, że jego kariera nie sięgnie wyżej kontradmirała.

Analizując wydarzenia pełnego atrakcji dnia, Harpplayer rozpoczął nerwową

wędrowkę po maleńkim pokładzie rufowym. Reszta obecnych, nie chcąc mu stanąć na drodze, stłoczyła się pod prawym nadburciem. Cztery kroki w jedną stronę, obrót, trzy i pół w drugą i przenikliwy trzask kolana rozbijanego o karonadę. Jednakże Harpplayer nie czuł nic. Jego pokerowy umysł pograżył się w wirze myśli, oceniając i ważąc plany, odrzucając te zawierające choć krztę rozsądku, biorąc pod rozwagę tylko te, które wydawały się zbyt szalone, by mieć szansę powodzenia. Nic dziwnego, że w marynarce nosił przezwisko „Harpia” i słynął z tego, że nieodmiennie potrafi wydrzeć zwycięstwo z paszczy porażki, zawsze zresztą przy ogromnych stratach w ludziach. Ale taka była wojna. Wydawało się rozkaz i ludzie ginęli. Potem trzeba było uzupełnić straty. Od tego były branki w portach. Choć miał za sobą długi, ciężki dzień, Harpplayer nie folgował sobie. Hydra napięcia i niepokoju nie wypuszczała go ze swych splotów od świtu, kiedy obserwator ogłosił pojawienie się żagli na horyzoncie. Francuskich statków było dziesięć, a przed rankiem mgły podniosły się, ujawniając sylwetkę mścicielskiego *Redundanta*, który czał się pomiędzy nimi niczym wilk pośród owiec.

Burty rzygały celnymi salwami z angielskich dział, dziesięć kul na każdą wyplutą z francuskich armat obsługiwanych przez tchórzliwe niedobitki ósmego i dziewiątego poboru rocznika 1812, dzieci w pieluchach oraz siwobrodych starców tęskniących za swoimi winnicami i przeklinających los, który zmuszał ich do walki za tyrana, do stawiania czoła gniewowi śmiercionośnych dział wyspiarskiego wroga – kraiku walczącego samotnie przeciw potężde całego kontynentu.

Harpplayer wiedział już, co musi zrobić.

– Panie Shrub, każ, proszę, podpiąć węże. Czas na kąpiel.

Utrudzeni marynarze wzniesli wiwaty, szykując się na znajomy rytuał. Harpplayer upierał się przy kąpielach nawet podczas rejsów po najzimniejszych północnych wodach czy też w samym środku zimy. Węże szybko podpięto do pracujących pomp i wkrótce po pokładzie popłynęły strugi lodowatej wody.

– Do dzieła! – krzyknął kapitan i cofnął się, żeby uniknąć obryzganego, drapiąc się jednocześnie po niemytym od lata boku. Uśmiechnął się, obserwując dokazującego beztrosko Shrubu, który wraz z innymi oficerami taplał się nago w wodzie. Rozkaz do zamknięcia pomp padł, dopiero kiedy biała skóra marynarzy nabrała błękitnawego odcienia.

Naraz nad północnym horyzontem przetoczyło się dudnienie podobne do grzmotu, jednak ostrzejsze i głośniejsze. Harpplayer odwrócił się i zdążył ujrzyć pasmo ognia odcinające się wyraźnie na ciemnym niebie. Błysk zniknął szybko, pozostawiając tylko powidok. Kapitan potrząsnął głową i zamrugał. Mógłby przysiąc, że świetlista linia spadała w dół, zamiast piąć się w górę, ale to przecież niemożliwe. Zbyt wiele nocy przetrwał, grając z oficerami w wista, nic dziwnego, że miał problemy ze wzrokiem.

– Co to było, kapitanie? – zapytał niewyraźnie Shrub, szczękając zębami.

– Raca albo jeden z tych nowomodnych pocisków Congreve’a. Ale coś tam się dzieje, a my sprawdzimy, co to takiego. Wydadz rozkaz, proszę: lewy marsla bras wybierz, zwrot prawo na wiatr.

– Mogę najpierw założyć spodnie?

– Bez impertynencji, panie Shrub, bo każę cię zakuć w kajdany!

Shrub wywrzaskiwał rozkazy przy wtórze rechotów załogi rozbawionej widokiem jego trzęsących się nagich nóg. Mimo to świetnie wyszkoleni ludzie, którzy nie dalej jak sześć dni wcześniej jako cywile gzili się i upijali w porcie, nie podejrzewając, że lada moment dopadnie ich branka, skoczyli do brasów, zrzucili za burty zniszczone drzewce i olinowanie, załatali dziury, pogrzebali zmarłych, wypili ich grog i jeszcze zostało im energii na odtańczenie kilku rundek matelota. Statek wykonał zwrot, spieniając wody przy dziobie, i już płynął nowym halsem, oddalając się od brzegu, aby zbadać dziwny fenomen, jako wysłannik najpotężniejszej w tych czasach armady blokującej.

– Statek przed nami – krzyknął obserwator z bociańca. – Dwa rumby od sterburty.

– Ogłosić alarm bojowy! – zawołał Harpplayer.

Głos czujki ginał w hurgocie werbli i tupocie nagich, zrogowaciałych stóp bębniących o deski pokładu.

– Żadnych żagli i masztów, kapitanie! Jest mniej więcej rozmiarów naszej szalupy!

– Odwołać ostatni rozkaz. A jak obserwator zejdzie z wachty, ma powtórzyć pięćset razy: „To, co wciąga się na okręt, to łódź”.

Pchany rzeską bryzą lądową *Redundant* szybko skracał dystans do jednostki, aż wreszcie łódka stała się wyraźnie widoczna z pokładu.

– Żadnych masztów, olinowania czy żagli, to jak się porusza? – zdumiał się Shrub, wytrzeszczając oczy.

– Nie ma co spekulować, panie Shrub. Ta jednostka może być neutralna albo francuska, więc nie będę ryzykował. Załadować i wysunąć działa. Żołnierze na podwantki i niech czekają z półnapiętymi kurkami. Jeśli któryś strzeli bez wyraźnego rozkazu, każę go usmażyć w oleju i podać na śniadanie.

– Filut z pana, kapitanie!

– Czyżby? Pamiętasz sternika, który wczoraj źle wykonał rozkazy?

– Nie w smak mi pamiętać, że tak powiem, sir. – Shrub wydłubał z zębów kawałek chrząstki. – Przekażę rozkazy, sir.

Harpplayer nigdy nie widział podobnej jednostki pływającej. Poruszała się, lecz nie posiadała widocznego źródła napędu. Kapitan zastanawiał się, czy nie posiada ukrytych wiosel i siedzących pod pokładem wiosłarzy, ale ci musieliby być karłami, aby zmieścić się w łódce. Była w całości zakryta, a z wierzchu osłonięta dodatkowo jakby szklanym namiotem. Ogólnie rzecz biorąc, dziwna machina i zdecydowanie nie francuska. Niewolnicy uwięzieni w mackach paryskiej Ośmiornicy nie posiadali technologii pozwalającej na skonstruowanie takiego jak ten brylantu mórz. Nie, to był wytwór obcego społeczeństwa, może pochodził z krain poza Chinami lub tajemniczych wysp na wschodzie. Za szkłem siedział człowiek. Kiedy dotknął dźwigni, przejrzysta pokrywa uniosła się, on sam wstał i pomachał do załogi na statku. Obserwujący go na okręcie ludzie – bo oczy wszystkich wpijały się w dziwną

łódź – wydali chóralny okrzyk.

– Co to ma znaczyć, panie Shrub?! – krzyknął Harpplayer. – Jesteśmy w cyrku, na jakiejś szopce? Zdyscyplinować!

– A–ale, kapitanie! – zająknął się wierny Shrub, przez chwilę nie mogąc wydobyć z siebie głosu. – Ten człowiek, kapitanie... on jest zielony!

– Co wy mi tu za dyrdymały opowiadacie, panie Shrub! – warknął Harpplayer zirytowany jak zawsze, gdy ludzie bredzili o ich wyimaginowanych „kolorach”. Obrazach, zachodach słońca i tym podobnych bzdurach. Brednie. Świat był w porządnym odcieniach szarości i już. Jakiś głupi konował z Harley Street paplał coś kiedyś o wymyślonej chorobie, którą nazwał „ślepotą barw”, ale zaprzestał wygłupów, gdy Harpplayer wspomniał o wyborze sekundantów.

– Zielony, różowy, fioletowy, nie obchodzi mnie, w jakim odcieniu szarości jest ten człowiek. Rzućcie mu linę i wciągnijcie go tu, niech opowie swoją historię.

Lina została rzucona i po uwiązaniu jej do łódki nieznajomy dotknął dźwigni zamykającej szklaną kabinę, po czym z łatwością wdrapał się na pokład.

– Zielone futro... – zaczął Shrub i natychmiast zamilkł pod ciężkim spojrzeniem kapitana.

– Dosyć tego, panie Shrub. To obcokrajowiec i będziemy traktować go z szacunkiem, przynajmniej dopóki nie dowiemy się, do jakiej klasy przynależy – oświadczył Harpplayer. – Jest nieco włochaty, ale niektóre rasy na północ od Wysp Japońskich właśnie takie są, może pochodzi stamtąd? Witam na pokładzie, sir – zwrócił się do przybysza. – Jestem kapitan Honario Harpplayer, dowódca *Redundanta*, okrętu Jego Królewskiej Mości.

– *Kwl–kkle–wrrl–kl...!*

– Nie francuski – mruknął Harpplayer – ani też łacina czy greka, to na pewno. Może jeden z tych barbarzyńskich języków bałtyckich? Spróbuję po niemiecku. *Ich rate Ihnen, Reiseschecks mitzunehmen*. A może jakiś dialekt włoski? *E proibito, però qui si vendono cartoline ricordo*.

Obcy zareagował żywiołową pantomimą – podskakiwał, wskazując słońce, potem zaznaczał kręgi wokół własnej głowy, następnie pokazywał na chmury i machał ramionami, jakby coś spadało. Na końcu wydał serię przenikliwych dźwięków:

– *M’ku, m’ku!*

– Facet ma kuku na muniu – stwierdził oficer marynarki. – I za dużo palców.

– Umiem policzyć do siedmiu bez pomocy – obruszył się Shrub. – Moim zdaniem, on próbuje nam powiedzieć, że będzie padało.

– Może tam, skąd pochodzi, jest meteorologiem – rzekł Harpplayer spokojnie – ale tutaj jest tylko kolejnym obcym.

Oficerowie pokiwali głowami. Gest ten zrobił wrażenie na przybyszu, który wyprysnął naprzód, wyrzucając z siebie niezrozumiałe jazgot. Wartownik uderzył go w ciemną kolbę muszkietu i włochoz runął na pokład.

– Próbował cię zaatakować, kapitanie – zawyrokował oficer marynarki. – Mamy go przeciągnąć pod kilem?

– Nie, biedak jest daleko od domu, pewnie zdenerwowany. Musimy też brać

poprawkę na barierę językową. Odczytaj mu tylko Kodeks Wojskowy i wciel do służby. Po ostatnim starciu mamy braki w załodze.

– Jesteś bardzo miłościwy, kapitanie, świecisz przykładem. Co mamy zrobić z jego statkiem?

– Trzeba go zbadać. Być może są tam jakieś mechanizmy, które mogłyby zainteresować Whitehall. Spuście drabinę, osobiście dokonam oględzin.

Po chwili gmerania Harpplayer odnalazł dźwignię podnoszącą szklaną osłonę i wskoczył do kabiny. Naprzeciw wygodnego siedziska znajdował się panel z różnymi przyciskami, wajchami oraz rozmaitymi mechanizmami pod kryształowymi pokrywami. Stanowił doskonały przykład wschodniej dekadencji, bogate zdobnictwo i ornamentacja tam, gdzie wystarczyłby solidny angielski pulpit z dębiny oraz prosta rączka na trzpieniu, która przekazywałaby rozkazy wiosłującym pod pokładem niewolnikom. A może za dźwignią siedziało jakieś zwierzę? – coś zaryczało po jej pociągnięciu. Tak, dźwignia zdecydowanie dawała znak galernikom – lub zwierzęciu – bo łódeczka rozwinęła niezłą prędkość. Bryzgi wody wpadały do kabiny, Harpplayer zamknął więc pokrywę, co było mądrym posunięciem. Kolejny przycisk musiał odchylić ukryty ster, bo łódka nagle skierowała dziób do dołu, zanurzając się w wodzie niemal po sam czubek osłony. Na szczęście konstrukcja okazała się szczelna i nie przeciekała, a inny guzik sprawił, że wypłynęła na powierzchnię.

W tym właśnie momencie Harpplayerowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Siedział jak sparalizowany, podczas gdy jego umysł gorączkowo analizował możliwości. Tak, to może się udać – uda się! Uderzył pięścią w otwartą dłoń i naraz zdał sobie sprawę, że kiedy tak deliberował, maleńka jednostka obróciła się i pędziła prosto na *Redundanta*, skąd spoglądał rząd poblądłych ze strachu twarzy. Sprawnym ruchem zasygnalizował zwierzęciu (albo niewolnikom), że ma się zatrzymać, i kadłuby zetknęły się tylko z delikatnym stuknięciem.

– Panie Shrub! – zawołał.

– Tak, kapitanie?

– Potrzebuję młotka, sześciu gwoździ, sześciu beczulek prochu, każda z dwuminutowym lontem i obwiązana liną zakończoną pętlą, oraz latarni z przesłoną.

– Ale, kapitanie... Po co to wszystko? – zaskoczony Shrub zapomniał się na tyle, by zadać dowódcy pytanie.

Wizja planu wprawiła jednak Harpplayera w tak dobry nastrój, że nie poczuł się urażony tą poufałością. Uśmiechnął się nawet w mankiet, choć słabe światło nie pozwoliło nikomu tego dojrzeć.

– Po co? Sześć baryłek na sześć okrętów – odparł z niezwykłym u niego szelmostwem. – A teraz do roboty.

Bosman oraz maci sprawili się szybko i wkrótce beczki opuszczano już na dół. Niemal całkowicie wypełniły one maleńką kabinę, ledwie pozostawiając odrobinę miejsca dla Harpplayera, który młotek musiał już trzymać w zębach.

– Hanie Hrug – wybelkotał przez młotek i nagle oklapł, zdawszy sobie sprawę, że lada moment rzuci swe kruche ciało na żer hordom uzurpatora, stojącego z batogiem nad całym kontynentem niewolników. Wzdrygnął się nerwowo na myśl o

swej zuchwałości, która każe mu stawić czoła Tyranowi Europy, a potem wzdrygnął się ze wstrętem na pożerającą duszę niepewność. Załoga nie może odkryć, że kapitana dręczą rozterki, że jest najslabszy z nich. – Panie Shrub – zawołał, wyjąwszy młotek z zębów, i tym razem w jego głosie nie znać było wahania. – Gdybym nie powrócił do świtu, przejmie pan dowodzenie i zda kompletny raport. Żegnam. W trzech kopiach, proszę nie zapomnieć.

– Ale, kapitanie... – zaczął Shrub, lecz przerwał mu trzask zamykanej pokrywy i maleńka jednostka pomknęła naprzeciw potężde kontynentu.

Później Harpplayer śmiał się ze swych obaw. Wypad okazał się sprawą tak łatwą jak niedzielny spacer po Fleet Street. Zagraniczny stateczek zanurzył się pod wodę i przemknął obok baterii na przyładku Pietfieux, zwanym przez angielskich marynarzy przyładkiem Pitfix, wpływając na strzeżone wody Cienfique. Żaden z wartowników nie zauważył leciutkiego wzburzenia powierzchni zatoki, żadne ludzkie oko nie rozróżniło ciemnego kształtu, który wynurzył się przy kadłubie jednej z francuskich jednostek. Dwa silne uderzenia młotkiem umocowały baryłkę, krótki błysk latarni i lont został podpalony. Nim zaciekawieni wartownicy na pokładzie zdążyli dotrzeć do barierek, tajemniczego gościa już nie było, nie zdołali też dostrzec charakterystycznego lontu skrytego przez dryfującą powoli beczkę śmierci. Jeszcze pięciokrotnie Harpplayer powtarzał tę prostą, acz zabójczą operację i kiedy wbijał ostatni gwóźdź, rozległ się huk pierwszej eksplozji. Zamknąwszy osłonę, ruszył na otwarte morze. Za nim sześć okrętów, duma marynarki Tyrana, płonęło w słupach ognia, zmieniając się w zwęglone wraki, które znalazły swe miejsce w ostatnim porcie, na dnie oceanu.

Wypłynąwszy poza baterie, kapitan Harpplayer otworzył pokrywę, by spojrzeć z satysfakcją na swe dzieło. Spełnił obowiązek, przyczynił się odrobinę do skrócenia tej straszliwej wojny, która wyniszczała kontynent i w przeciągu kilku lat unicestwiłaby tyłu najdorodniejszych Francuzów, że przeciętny wzrost żabojada skurczyłby się najmniej o pięć cali. Ostatni stos przygasł i z ukłuciem żalu na myśl o zniszczeniu tych pięknych przeciw statków, mimo iż na usługach Szaleńca z Paryża, kapitan skierował się ku *Redundantowi*.

Do statku dotarł o świcie. Śmiertelnie zmęczony, pokonując ból mięśni, wdrapał się na drabinę spuszczoną przez załogę. Werble warczały, szpaler wojskowych salutował, w uszach dźwięczał świst trapowy.

– Świetna robota, kapitanie, wspaniała – zachwycił się Shrub, biegnąc, aby uścisnąć kapitanowi dłoń. – Widzieliśmy, jak się paliły.

Za burtą rozległo się bulgotanie, odgłos podobny temu, kiedy w wannie wyciągnie się korek. Harpplayer odwrócił się i zdążył jeszcze ujrzeć ostatni fragment znikającej pod wodą dziwacznej łódki.

– A niech to diabli – mruknął. – Zapomniałem zamknąć pokrywę. Pewnie do tej łódki wlała się woda.

Jego rozważania gwałtownie przerwał ostry krzyk. Pokład zadudnił, kiedy włochaty przybysz podbiegał do nadburcia. Cudzoziemiec spojrział ze zgrozą na tonącą łódź. Wyraźnie zrozpaczony, wyrwał z głowy garść włosów, co przy takiej

ilości nie było sprawą trudną. Potem, nim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, wdrapał się na reling i skoczył głową w dół do wody. Zatonął jak kamień – albo nie potrafił pływać, albo nie chciał tego robić. Był chyba bardzo przywiązany do swej łódki, bowiem nie wypłynął już na powierzchnię.

– Biedaczysko – rzekł Harpplayer ze współczuciem właściwym ludziom wrażliwym. – Sam, tak daleko od domu. Może śmierć przyniesie mu ulgę.

– Aj – zgodził się flegmatyczny Shrub. – Miał zadatki na świetnego topmana, sir. Wdrapywał się po drzewcach jak małpa i trzymał na rejach jak papuga. Wczepiał się w drewno tymi długimi pazurami u nóg i miał jeszcze jeden palec, na pięcie.

– Nie omawiaj deformacji zmarłego, z łaski swojej. Wpiszemy do raportu, że wypadł za burtę. Jak się nazywał?

– Nie powiedział nam, ale wpisaliśmy go w rejestry jako Greena.

– Bardzo dobrze. Choć obcokrajowiec, na pewno byłby dumny, wiedząc, że zginął, nosząc angielskie nazwisko. – Odprawiwszy uprzejmym gestem wiernego, acz głupiego Shruba, Harpplayer podjął swą wędrówkę po pokładzie rufowym, krok za krokiem, wypełniony bólem, którego nie mógł z nikim dzielić, a który trawić go będzie, póki szyki Korsykańskiego Diabła nie zostaną pokrzyżowane na zawsze.

George Alec Effinger

Historie o nastawionych pozornie przyjaźnie obcych, którzy stali się zagrożeniem dla ludzkości, pojawiały się już na długo przed wyprodukowaniem filmu Marsjanie atakują! Jack Williamson wykorzystał ten wątek na poważnie we wspaniałej powieści sf The Humanoids (1949), podczas gdy George Alec Effinger w poniższym opowiadaniu podszedł do tematu z humorem.

Effinger (ur. 1947r.) napisał kilka najambitniejszych w minionym ćwierćwieczu dzieł sf i fantasy. Wiele z nich można odnaleźć w zbiorach Mixed Feelings (1974), Irrational Numbers (1976), Dirty Tricks (1978) oraz Idle Pleasures (1983), inne stanowią samodzielne utwory – What Entropy Means to Me (1971) czy When Gravity Fails (1987). Zamieszczone tu opowiadanie zostało nominowane w roku 1985 do nagród Hugo oraz Nebuli.

George Alec Effinger

OBCY, KTÓRZY WIEDZIELI WSZYSTKO.

ABSOLUTNIE WSZYSTKO

Siedziałem przy biurku, czytając raport na temat sytuacji brązowego pelikana, kiedy do gabinetu wparował sekretarz stanu.

– Panie prezydencie – zaczął przejęty. – Obcy tu są! – Tak po prostu. – Obcy tu są! – Jakbym miał wiedzieć, co z tym fantem zrobić.

– Rozumiem – powiedziałem. Już na początku pierwszej kadencji nauczyłem się, że „rozumiem” jest jednym z najbezpieczniejszych komentarzy, sprawdzającym się w każdej sytuacji. Mówiąc „rozumiem”, dawałem poznać, że przetrawiłem komunikat i spokojnie, z rozważą czekam na resztę danych. W ten sposób wybiłem piłkę na połówkę doradcy. Spojrzałem na niego wyczekująco. W razie gdyby nic nie dodał, miałem przygotowaną kolejną kwestię. Czyli: „Tak?”. To wskazywałoby, że zgłębiłem problem, ale nie można oczekiwać, iż podejmę decyzję bez dostatecznych informacji, i że nie posiadając ich, absolutnie nie powinien wpadać tak do Gabinetu Ovalnego. Od tego mieliśmy protokół; od tego mieliśmy odpowiednie kanały; od tego miałem doradców. Wyborcy nie chcieliby, abym rozstrzygał ważne kwestie bez wystarczającego rozeznania. Jeżeli doradca nie miał mi nic więcej do powiedzenia, w ogóle nie powinno go tu być. Patrzyłem na niego jeszcze dłuższą chwilę. – Tak? – rzuciłem w końcu.

– To tyle, nic więcej na razie nie mamy – przyznał niechętnie. Przez kilka sekund spoglądałem na niego surowo, zdobywając parę dodatkowych punktów przewagi nad pracownikiem, który w tym czasie nerwowo przestępował z nogi na nogę. Oddalwszy go, wróciłem do czytania raportu pelikana. Ja w przeciwieństwie do

niego nie zamierzałem się denerwować. Wciąż miałem w pamięci jedyne go znanego mi prezydenta, który denerwował się w swoim gabinecie – wiadomo, co się z nim stało. Kiedy sekretarka zamknęła drzwi za doradcą, uśmiechnąłem się do siebie. Obcy staną się pewnie wkrótce cholernym problemem, ale nie był to mój problem – przynajmniej na razie. Miałem jednak niewiele czasu.

Okazało się, że nie mogę skupić myśli na kwestii pelikana. Nawet prezydent Stanów Zjednoczonych posiada wyobraźnię i jeżeli sekretarz stanu miał rację, niedługo będę musiał stanąć z tymi obcymi twarzą w twarz. W dzieciństwie czytałem opowiadania o kosmitach, oglądałem też wiele filmów science fiction, lecz ci byli pierwszymi obcymi, którzy wpadli do nas na pogawędkę. Cóż, ja na pewno nie zamierzałem zostać pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych, który zrobi z siebie głupca przed gośćmi z innego świata. Musiałem zorientować się w sytuacji. Zadzwoiłem do sekretarza obrony.

– Na pewno mamy jakieś gotowe plany operacyjne na wypadek czegoś takiego – powiedziałem. – Mamy przecież plany na każdą ewentualność.

To prawda. Departament Obrony posiadał opracowane scenariusze działania w tak dziwacznych okolicznościach, jak dojście do władzy imperialistycznego reżimu faszystowskiego w Liechtensteinie czy samoistne wyczerpanie światowych zasobów selenu.

– Chwileczkę, panie prezydencie – odparł sekretarz i usłyszałem, że mamroce do kogoś. Ze słuchawką przy uchu zapatrzyłem się w okno. Na zewnątrz biegali rozhisteryzowani ludzie. To pewnie przez kosmitów. – Panie prezydencie? – rozległ się głos sekretarza obrony. – Jest tu przy mnie jeden z kosmitów. Sugeruje on, byśmy wdroyli ten sam plan, który wykorzystał prezydent Eisenhower.

Przymknąłem oczy, wzdychając. Nie znośiłem, kiedy tak robili. Potrzebowałem informacji, a oni rzucali mi te ochłapy, dobrze wiedząc, że będę musiał zadać kilka dodatkowych pytań, żeby zrozumieć odpowiedź na pierwsze.

– Macie tam obcego? – udało mi się wykrzesać w miarę grzeczny ton.

– Owszem. Wolą, żeby nie nazywać ich obcymi. Ten mówi, że jest „nuph”.

– Dziękuję, Luis. Powiedz mi jeszcze jedno, dlaczego ty masz ob... Dlaczego ty masz nupha, a ja nie?

Luis przekazał pytanie swojemu nuphowi.

– Mówi, że chcieli dotrzeć do pana właściwymi kanałami. Dowiedzieli się, że tak trzeba. Od prezydenta Eisenhowera.

– Świetnie, Luis. – Już wiedziałem, że to potrwa cały dzień, a miałem umówioną sesję zdjęciową z wnuczką Mike’a Jaggera. – Drugie pytanie, Luis, brzmi: co, do cholery, znaczy „ten sam plan, który wykorzystał prezydent Eisenhower”?

Kolejna przytłumiona wymiana zdań.

– On mówi, że to nie pierwsza wizyta nuphów na ziemi. W roku 1954 w Bazie Sił Powietrznych Edwardsa wylądował statek zwiadowczy z dwoma nuphami na pokładzie. Nuphowie spotkali się wtedy z prezydentem Eisenhowerem. Najwyraźniej rozmowa przebiegała w serdecznej atmosferze, a prezydent zrobił na nuphach wrażenie ciepłego i szczerzego gentlemana. Od tamtej pory wybierali się

znów na Ziemię, ale byli bardzo zajęci różnymi sprawami. Prezydent Eisenhower poprosił, by nuphowie nie pokazywali się wszystkim ludziom, dopóki nasz rząd nie znajdzie sposobu, by uporać się jakoś z nieuniknioną histerią zbiorową. Wygląda na to, że nigdy nie rozwiązano tego zagadnienia, a kiedy nuphowie odlecieli, odłożono sprawę na półkę. W miarę upływu lat coraz mniej ludzi wiedziało o tej pierwszej wizycie. Teraz nuphowie przybyli w wielkiej liczbie przekonani, że przez ten czas zdołaliśmy przygotować ludzi na ich wizytę. To nie ich wina, że tego nie zrobiliśmy. Założyli, że zostaną przyjęci życzliwie.

– Uhm – mruknąłem. Tę kwestię wykorzystywałem, kiedy nie miałem pojęcia, co powiedzieć. – Zapewnij ich, że oczywiście są tu mile widziani. Raczej mało prawdopodobne, żeby podczas kadencji Eisenhowera zakończono jakiegokolwiek badania. I nie sądzę, żeby istniał choć załączek planu, jak rozpowszechnić wieści wśród społeczeństwa.

– Niestety, panie prezydencie, obawiam się, że w istocie tak właśnie jest.

– Uhm. – No tak, cali republikanie, skwitowałem w duchu. – Zapytaj o coś swojego nupha w moim imieniu, Luis. Zapytaj, czy wie, co powiedzieli wtedy Eisenhowerowi. Pewnie są skarbnicą kosmicznej mądrości. Może mają jakieś propozycje co do rozwiązania.

– Panie prezydencie? – odezwał się po chwili przerwy sekretarz. – On mówi, że z panem Eisenhowerem omawiali tylko tajniki gry w golfa. Pomogli mu poprawić uderzenie punktowane. Ale są skarbnicą wiedzy, to pewne. Wiedzą wszystko. Mój nuph, to znaczy Hurv, tak ma na imię, w każdym razie on mówi, że z przyjemnością udzielił panu paru rad.

– Powiedz mu, że jestem wdzięczny za propozycję, Luis. Czy mogą przysłać do mnie kogoś, powiedzmy, za pół godziny?

– Aktualnie w stronę Gabinetu Owального zmierzają trzy nuphy. Jeden z nich to przywódca wyprawy, a jeden z pozostałych kapitan statku matki.

– Statku matki?

– Nie widział go pan? Wylądował w Mail. Jest im bardzo przykro z powodu tego, co przypadkiem stało się z pomnikiem Waszyngtona. Obiecują, że zajmą się tym jutro.

Odłożyłem i ponownie podniosłem słuchawkę, wybierając numer do mojej sekretarki.

– Niedługo przyjdzie trzech...

– Już tu są, panie prezydencie.

Westchnąłem.

– Wprowadź ich. – W ten sposób spotkałem nuphów. Podobnie jak prezydent Eisenhower.

Okazali się przystojni i mili w obejściu. Uśmiechnęli się, przedstawili, ściskając mi dłoń, po czym zasugerowali, że ten historyczny moment powinien zostać utrwalony. Wezwaliśmy więc prasę i naraz przyszło mi zaimprovizować najważniejsze spotkanie w całej mojej karierze politycznej. Powitałem nuphów na Ziemi.

- Witajcie na Ziemi – powiedziałem. – I w Stanach Zjednoczonych.
- Dziękujemy – odparł nuph, który, jak się dowiedziałem, miał na imię Pleen. – Cała przyjemność po naszej stronie.
- Jak długo zamierzacie u nas zabawić? – Czułem się fatalnie, zadając to pytanie na oczach prasy i telewizji.
- Zabrzmiało to jak wyuczona kwestia recepcjonisty z Holiday Inn.
- Jeszcze dokładnie nie wiemy – rzekł Pleen. – Mamy wolny cały tydzień od poniedziałku.
- Uhm – skwitowałem, a potem ugryzłem się w język i już tylko pozowałem do zdjęć. Nie miałem zamiaru powiedzieć lub uczynić kolejnego idiotyzmu. Postanowiłem siedzieć cicho, dopóki moi nowi doradcy nie zaczną mi doradzać.

* * *

Jak było do przewidzenia, wśród ludzi wybuchła panika. Pleen ostrzegł, że mogę się tego spodziewać, ale sam też na to wpadłem. Naoglądaliśmy się zbyt wielu filmów o kosmitach. Czasem przybywali w nich z misją szerzenia pokoju i braterstwa na świecie oraz istotnym rozwiązaniem, którego ludzkość poszukiwała od wieków. Niestety, filmy częściej opowiadały o brutalnych inwazjach i mordowaniu naszego rodzaju – to dlatego, że można było wykorzystać lepsze efekty specjalne – tak więc gdy przylecieli nuphowie, ludzie byli do nich z góry źle nastawieni. Nie ufali ich świetnej aparycji. Sceptycznie podchodzili do ich nienaganych manier i gustownych strojów. Kiedy nuphowie zaoferowali nam pomoc w rozwiązaniu problemów, powiedzieliśmy: dobrze, czemu nie, ale co chcecie w zamian?

Przez pierwszy tydzień spędzałem wiele czasu z Pleenem, żeby lepiej się poznać i zrozumieć obopólne potrzeby. Zaprosiłem go wraz z komandorem Toagiem oraz tym trzecim nuphowym ważniakiem na przyjęcie do Białego Domu. Chór kościelny z Alabamy śpiewał gospel, orkiestra szkolna z Michigan zagrała składankę ulubionych kawałków kibicowskich, utalentowane sobowtóry gwiazd odtwarzały występy Steve and Eydie Experience, odbyło się zaimprovizowane przedstawienie trupy komediowej z Los Angeles czy tam skądś, grała też Orkiestra Nowojorskiej Filharmonii pod batutą genialnej dwunastolatki. Chcąc uczynić wrażenie na gościach z kosmosu i pokazać bogactwo kultury ziemskiej, wybrali dziewiątą symfonię Beethovena.

Pleenowi podobały się występy.

– Ludzie wyrażają swoją radość tak różnorodnie jak nuphowie – rzekł, klaskając żywo. – Jesteśmy miłośnikami ludzkiej muzyki. Według nas Beethoven skomponował najwspanialsze utwory, jakich dane nam było słuchać podczas międzygalaktycznych wędrówek.

– Bardzo nam miło to słyszeć. – Uśmiechnąłem się.

– Aczkolwiek dziewiąta symfonia nie jest najlepszym jego dziełem.

Aż przestałem klaskać.

– Proszę?

Pleen obdarzył mnie uprzejmym uśmiechem.

– Według nas bezsprzecznie najlepszą kompozycją Beethovena jest V koncert fortepianowy Es–dur.

– Oczywiście to kwestia dyskusyjna. Może gusta nuphów...

– Och, nie – zapewnił mnie Pleen pospiesznie. – Gusta nie mają z tym nic wspólnego. Piąty koncert fortepianowy jest najlepszy według bardzo surowych i precyzyjnie określonych kanonów. I nawet on, choć wspaniały, nie jest najgenialniejszym dziełem stworzonym przez ludzi.

Poczułem lekkie rozdrażnienie. Co ten nuph, który pochodzi z Bóg wie jak odległej planety, ze społeczeństwa pozbawionego związków z naszą cywilizacją i spuścizną kulturową, co ten nuph może wiedzieć o dziewiątej symfonii, która narodziła się w ludzkiej duszy?

– Powiedz mi, Pleen – zagailem słodko – który w takim razie utwór jest najlepszy?

– Muzyka do napisów końcowych *Ben Hura*, skomponowana przez Mikłósa Rózsasę – odparł natychmiast. Cóż mogłem zrobić prócz pokiwania głową? Przedmiot dyskusji nie był wart rozpoczynania konfliktu międzyplanetarnego.

Nasze uczucia wobec nuphów przerodziły się z lęku w nieufność. Czekaliśmy, aż pokażą prawdziwe oblicza, aż opadną te ich układne maski, obnażając kryjące się zapewne pod nimi maski. Nuphowie nie odlecieli za tydzień od poniedziałku. Podobało im się na Ziemi, polubili nas. Postanowili przedłużyć swój pobyt. Opowiedzieliśmy im o dręczących nas od wieków problemach, a wtedy wspomnieli, jak to nuphowie – nie owijając w bawełnę – że mogliby nam pomóc w kilku sprawach, wprowadzić parę niewielkich udogodnień, generalnie poprawić jakość życia na Ziemi. Nie chcieli nic w zamian. Pragnęli ofiarować nam to wszystko w podziękę za gościnność – za to, że pozwoliliśmy zaparkować ich statek matkę na Mail, i za hektolitry darmowych dolewek kawy, którą pompowano w nich na całym świecie. Wahaliśmy się, ale nasza próżność i chciwość zwyciężyły. Daliśmy im zgodę.

– Dalej – powiedzieliśmy – zamieńcie pustynie w kwitnące ogrody. Dalej, rozwiążcie problem wojen, biedy i chorób. Zaprezentujcie dwadzieścia wspaniałych potraw z resztek. Zawołajcie nas, jak skończycie.

Obawa zmieniła się w nieufność, ta zaś szybko przeistoczyła się w nadzieję. Nuphowie sprawili, iż pustynia zakwitła. Prosilili o cztery miesiące. Ochocho zgodziliśmy się dać im tyle czasu, ile potrzebują. Ogrodzili całą pustynię Namib, nie pozwalając nikomu obserwować swoich poczynań. Cztery miesiące później wydali koktajl i zaprosili cały świat na ocenę efektu. Jako osobistego reprezentanta wysłałem tam sekretarza stanu. Przywiózł wspaniałe przeźrocza – rozległa pustynia zamieniła się w cud botaniczny. Zamiast martwych piasków i morza żwiru całymi milami ciągnęły się dywany kwitnących kwiatów. Ale w tym cudownym ogrodzie nie rosło nic prócz malw, setek milionów malw. Wspomniałem Pleenowi, że ludzie na Ziemi mieli nadzieję na większą różnorodność i coś o niebo bardziej praktycznego.

– Praktycznego? Co masz na myśli? – zapytał Pleen.

- No wiesz, żywność.
- Och, o to się nie martw. Niedługo zajmiemy się kwestią głodu.
- To świetnie, naprawdę. Ale malwy?
- A co jest nie tak z malwami?
- No nic – przyznałem.
- Malwy to najpiękniejsze kwiaty na całej kuli ziemskiej.
- Niektórzy wolą storczyki – zauważyłem. – A jeszcze inni róże.
- Nie, nie – zaprzeczył Pleen stanowczo. – Tylko malwy. Uwierz, przecież bym cię nie nabierał.

Tak więc podziękowaliśmy nuphom za usłaną malwami Namibię, po czym powstrzymaliśmy ich przed zrobieniem tego samego na Saharze, Mojave oraz Gobi.

* * *

W zasadzie wszyscy przekonali się do nuphów, aczkolwiek trzeba było oswoić się z ich specyficznym sposobem bycia. Przybysze mieli wyrobione opinie w każdej kwestii, ale nie chcieli przyznać, że są to opinie. Formułowali je w sposób bezpośredni, ujmując rzeczy w formie imperatywu kategorycznego klasyfikującego wszystko w barwach doskonałej czerni i bieli. Malwy są najpiękniejszymi kwiatami. Aleksander Dumas jest największym powieściopisarzem. Jasnoniebieski jest najładniejszym kolorem. Melancholia to najwznioślejszy ze stanów emocjonalnych. Grand Hotel to najlepszy hotel. Najwspanialszym samochodem, jaki wyprodukowano na świecie, jest chevrolet bel air z 1956 roku, ale koniecznie turkusowo-biały. I nie było w tym miejsca na dyskusję – w tonie nuphów pobrzmiwała moc boskiego objawienia.

Zapytałem kiedyś Pleena o amerykańskich prezydentów – którego z nich nuphowie uważają za najlepszą głowę państwa w historii. Czuję się przy tym trochę jak zła macocha z Królowy Śnieżki. Lustreczko, powiedz przecie... Nie liczyłem oczywiście, że będę to ja, jednak serce biło mi szybciej, gdy czekałem na odpowiedź. Nigdy nic nie wiadomo, prawda? Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że usłyszę: Waszyngton, Lincoln, Roosevelt, Akiwara... Jego odpowiedź zaskoczyła mnie bardzo. James K. Polk.

- Polk? – Nie byłem nawet pewien, czy rozpoznałbym go na portrecie.
- Nie jest bardzo znany – przyznał Pleen. – Ale był najuczciwszym, choć może trochę nijakim prezydentem. Wygrał wojnę meksykańsko-amerykańską i przyłączył do Stanów Zjednoczonych rozległe terytoria. Zrealizował każdy punkt swojego programu politycznego. Był porządnym, ciężko pracującym człowiekiem, który zasługuje na lepszą reputację.

– A Thomas Jefferson?

Pleen wzruszył ramionami.

– Też był dobry, ale nie tak jak Polk.

Moja żona, pierwsza dama, bardzo zaprzyjaźniła się z żoną komandora Toaga, Doim. Często umawiały się na zakupy, podczas których Doim dawała jej rady dotyczące mody i pielęgnacji. Doim powiedziała mojej żonie, które pokoje w Białym

Domu wymagają zmiany wystroju oraz jakie cele charytatywne warte są wsparcia. To Doim wynegocjowała jej kontrakt w wytwórni płytowej, a także stała się jej przewodnikiem po świecie smaków filadelfijskich cheesesteaków, ulubionych przekąsek nuphów (choć utrzymywali, że najlepszą kuchnią na Ziemi jest kuchnia Tex–Mex).

Pewnego dnia moja żona i Doim jadły razem lunch. Siedziały przy małym stoliku w sztywnej restauracji waszyngtońskiej, pełnej porozrzucanych po całej sali agentów Służb Specjalnych oraz ochroniarzy nuphów.

– Odnoszę wrażenie, że z każdym tygodniem w Waszyngtonie przybywa nuphów – zagaiła pierwsza dama.

– Owszem – przyznała Doim. – Codziennie przylatują tu nowe statki matki. Uważamy, że Ziemia jest najprzyjemniejszą planetą, na jakiej byliśmy.

– Bardzo się cieszymy, że z nami jesteście – zapewniła ją moja żona. – I ludzie chyba też przewyciężyli już początkowe obawy co do was.

– To dzięki malwom.

– Zapewne. Jak wielu nuphów przebywa aktualnie na Ziemi?

– Około pięciu, sześciu milionów.

– Nie sądziłam, że aż tylu! – zdumiała się pierwsza dama.

– Nie wszyscy są przecież tu, w Ameryce – roześmiała się Doim. – Jesteśmy na całym świecie. Ziemia bardzo nam się podoba. Choć oczywiście nie jest najlepszą planetą ze wszystkich. Naszą, Nup, nadal uważamy za numer jeden, ale Ziemia na pewno znajduje się w pierwszej dziesiątce.

– Uhm – żona nauczyła się ode mnie wielu oratorskich tricków.

– Dlatego tak wielką przyjemność sprawia nam upiększanie i ulepszanie waszego świata.

– Malwy były ładne – zgodziła się pierwsza dama. – Ale kiedy zajmiecie się naprawdę ważnymi kwestiami?

– Nie martw się o to – zbyła ją Doim i skupiła całą uwagę na swojej sałatce z wiejskim serkiem.

– Kiedy zajmiecie się problemem głodu na świecie?

– Nie martw się, już niedługo.

– Gettami biedoty?

– Wkrótce.

– Zbrodniami wobec ludzkości?

Doim rzuciła pierwszej damie zniecierpliwione spojrzenie.

– Jesteśmy tu niecałe pół roku. Czego oczekujesz, cudów? I tak zrobiliśmy więcej niż twój mąż podczas całej pierwszej kadencji.

– Malwy – mruknęła moja żona.

– Słyszałam – rzekła Doim. – Reszta wszechświata uwielbia malwy. Nie moja wina, że ludzie nie mają gustu.

Lunch dokończyły w milczeniu, a żona wróciła do Białego Domu, kipiąc ze złości.

Kilka dni później jeden z doradców pokazał mi list od młodego człowieka z Nowego Meksyku. Kilku nuphów zamieszkało w apartamencie obok niego i zaczęło

dawać mu rady dotyczące inwestycji finansowych (sanatoria dla osób ze schorzeniami oddechowymi), tkanin oraz kolorów, które najkorzystniej podkreślą jego karnację, najlepszych na rynku holosystemów (Esmeralda F-64 z heksafazowymi ekranami Libertad i argonowym solipsizerem Ruya Challengeera), najlepszych miejsc do oglądania zachodów słońca (obrotowa restauracja na szczycie Weyerhauser Building w Yellowstone), najlepszych win do poszczególnych potraw (za dużo, by wymieniać – po listę przyslijcie kopertę ze znaczkiem), a także z którą z dwóch dziewczyn powinien się ożenić (Candi Marie Esterhazy).

Panie Prezydencie,

piisał zrozpaczony młodzieniec,

zdaję sobie sprawę, że musimy okazywać daleko idącą uprzejmość wobec naszych dobroczyńców z kosmosu, ale już ledwie nad sobą panuję. Nuphowie posiadają na pewno ogromną wiedzę i ochoczo się nią dzielą, ale zwykle robią to nieproszeni. Gdyby byli ludźmi, zwykłymi ludźmi naszego rodzaju, którzy mieszkają obok, już dawno porozbijalbym im lampy. Proszę o radę, co mam robić. W miarę szybko, bo w przyszły piątek zabierają mnie do centrum, żeby wybrać pierścionek zaręczynowy oraz nowe meble do salonu. A ja wcale nie chcę nowych mebli do salonu!

Luis, mój sekretarz obrony, zagadnął Hurva o główne cele nuphów.

– Nie mamy żadnego szczególnego celu – odrzekł tamten. – Wiedziemy spokojne życie, dając się nieść z nurtem.

– To dlaczego przylecieliście na Ziemię?

– A dlaczego grasz w kręgle?

– Nie grywam w kręgle.

– A powinieneś – oświadczył Hurv. – Kręgle to najprzyjemniejsza rozrywka na świecie.

– A nie seks?

– Kręgle to seks. Gra w kręgle jest symboliczną formą stosunków, tyle że nie trzeba przy niej troszczyć się o uczucia innej osoby. Kręgle to seks bez poczucia winy. Kręgle to coś, czego ludzie pragnęli przez całe tysiąclecia – seks bez zobowiązań. To najczystsza esencja seksu. Kręgle to seks bez lęków i wstydu.

– Kręgle to seks bez przyjemności – zripostował Luis.

Zapadło milczenie.

– Chcesz powiedzieć – odezwał się Hurv po chwili – że kiedy popychasz kulę i widzisz, jak wchodzi do bramki, a kręgle rozpryskują się u końca toru, to nie masz orgazmu?

– Nie.

– No to masz problem. Nie mogę pomóc ci w tej sprawie, musisz iść do jakiegoś seksuologa. Widzę, że ten temat cię krępuje. Porozmawiajmy o czymś innym.

– Jasne – zgodził się Luis ponuro. – Kiedy odniesiemy prawdziwe korzyści z

waszej zaawansowanej technologii? Kiedy odkryjecie przed nami sekrety atomu? Kiedy wyzwolicie ludzkość od ciężkiej codziennej harówki?

– O jakiej „zaawansowanej technologii” mówisz?

– Na waszych statkach muszą znajdować się cuda nauki i techniki przekraczające ludzkie pojęcie.

– Raczej nie zobaczyłbyś tam nic ciekawego. Jeśli chodzi o poziom technologii, nie dorównujemy nawet wam. Podczas pobytu na Ziemi nauczyliśmy się wielu fantastycznych rzeczy.

– Proszę? – Luisowi w głowie się nie mieściło to, co mówił Hurv.

– Nie posiadamy nic tak wspaniałego jak wasza pamięć domenowa czy układy scalone. Nie wynaleźliśmy nawet niczego, co mogłoby się równać z tranzystorem. Czy wiesz, dlaczego nasze statki są tak wielkie?

– Mój Boże...

– Tak. Lampy próżniowe. Technologia naszych statków międzyplanetarnych opiera się na lampach próżniowych. A one zajmują diabelnie dużo miejsca. I często się palą. Wiesz, ile trwają poszukiwania tej spalonej? Pamiętasz, jak ludzie nosili torby lamp ze starych telewizorów, żeby sprawdzić je w sklepie elektronicznym? Wyobraź sobie coś podobnego, kiedy zamiast telewizora masz ogromny statek kosmiczny. Nie możemy też polecieć w przestrzeń w każdej chwili. Najpierw musimy poczekać, aż wszystko się nagrzej. Przekręcasz kluczyk, odpalasz i czekasz kilka minut, aż zaskoczy. Czysty koszmar.

– Nie rozumiem – stwierdził Luis oszołomiony. – Skoro wasza technologia jest tak prymitywna, to jakim cudem się tu dostaliście? Jeżeli faktycznie jesteśmy bardziej zaawansowani, to my powinniśmy odkryć waszą planetę, nie na odwrót.

Hurv zaśmiał się cicho.

– Nie pochlebiaj sobie, Luis. Wyższy poziom technologii nie czyni was lepszymi. Słuchaj, wyobraź sobie, że ludzkość to człowiek w Los Angeles, który posiada nowiutkie trujillo, podczas gdy nuph jest w Nowym Jorku i ma zdezelowanego starego forda. Ci dwaj wyruszają do St. Louis. I teraz facet w trujillo śmiga stodwudziestką po międzystanowych, a ten w fordzie telepie się pięćdziesiąt pięć mil na godzinę. Ale właściciel trujillo zatrzymuje się w Las Vegas i przegrywa w blackjacka całe pieniądze na benzynę, a zdeteminowany mały nuph jedzie przez cztery dni, aż dociera do celu. Osiągnięcie sukcesu to kwestia wyższości intelektualnej oraz silnej woli. Wy, ludzie, dużo mówicie o podróżach międzygalaktycznych, ale cały czas wydajecie pieniądze na inne projekty, na przykład wojny, muzykę pop, międzynarodowe zawody sportowe i wskrzeszanie mód minionych dekad. Moglibyście polecieć w kosmos, gdybyście tego naprawdę chcieli.

– Ale my naprawdę chcemy.

– W takim razie wam pomożemy. Odkryjemy przed wami nasze sekrety. A wy zapoznacie naszych inżynierów z nowoczesnymi technologiami. W ten sposób zbudujemy wspaniały statek kosmiczny, otwierając wszechświat dla obu ras – i ludzi, i nuphów.

Luis wypuścił ze świstem powietrze.

– Jak dla mnie bomba – powiedział.

Wszyscy zgodzili się, że to lepsze niż malwy. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się powstrzymać przed skopaniem ich zbiorowego tyłka wystarczająco długo, żeby wygzekwować tę obietnicę.

* * *

Na drugim roku studiów moim współlokatorem był wysoki, chudy chłopak, Barry Rintz. Barry miał czarne, niesforne włosy i ostre rysy. Jego twarz wyglądała jak normalna fizjonomia przystojnego faceta, na której ktoś usiadł, przez co pomarszczyła się na środku. Barry ciągle mrużył oczy, nie żeby miał jakąś wadę wzroku, po prostu chciał sprawiać wrażenie, że bez przerwy taksuje świat. Co było zresztą prawdą. Barry potrafił podać oficjalną i czarnorynkową cenę każdej rzeczy, obok której przechodził.

W któryś weekend futbolowy poszliśmy na podwójną randkę z dziewczynami z innego wydziału. Przed meczem zabraliśmy dziewczęta do muzeum uniwersyteckiego, które było całkiem spore i posiadało imponujące zbiory. Wraz z moją dziewczyną, Brigid, studentką nauczania początkowego, spacerowaliśmy od galerii do galerii, dochodząc do wniosku, że nasze gusta w dziedzinie sztuki są bardzo podobne. Oboje lubiliśmy impresjonistów, tak jak oboje lubiliśmy surrealistów. Kilka małych Renoirów podziwialiśmy bez mała pół godziny, a potem wygłupialiśmy się, żartując ze scen na obrazach Magritte'a, Daliego i de Chirico.

Barry i jego dziewczyna, Dixie, wpadli na nas przypadkiem w galerii rzeźb.

– Na dole jest niesamowity Seurat – powiedziała Brigid przyjaciółce.

– Seurat! – prychnął Barry na poły z rozbawieniem, na poły z niedowierzaniem.

– Lubię Seurata – oświadczyła Dixie.

– Nie, no jasne – rzekł Barry. – Seurat jest zupełnie w porządku.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Znasz F.E. Churcha? – odpowiedział Barry pytaniem na pytanie.

– Kogo? – nie miałem pojęcia, o kim mówi.

– Chodźcie. – Zaciągnął nas do sali malarzy amerykańskich. F.E. Church (1826–1900) był znakomitym pejzażystą, który uzyskiwał w swoich dziełach wspaniałe efekty światłocienia. – Spójrzcie na to światło! – zachwycił się Barry. – Na te przestrzenie! Na to powietrze!

– Powietrze? – szepnęła Brigid, zerkając na Dixie.

Wszyscy przyznaliśmy, że to świetny obraz, ale Barry upierał się, że F.E. Church był największym artystą amerykańskim i jednym z najlepszych na świecie.

– Stawiałbym go pomiędzy Van Dyckiem i Canaletto.

– Canaletto? – powtórzyła Dixie. – To ten, który malował Wenecję?

– Te nieba! – entuzjasmował się Barry z miną odurzonego alkoholem sybaryty.

– Niektórzy lubią obrazy szczeniactwów albo nagich kobiet – wyjaśniłem ochoczo. – A Barry lubi światło i powietrze.

Po wyjściu z muzeum poszliśmy na lunch. Barry powiedział nam, które pozycje z

menu warto zamówić, a które są wstrętne. Wmówił nam obrzydliwe ekwadorskie piwo. Dla Barry'ego świat dzielił się na arcydzieła i obrzydliwości. Dzięki temu wszystko było dla niego bardzo proste – nie mógł tylko pojąć, jak to możliwe, że jego znajomi nie odróżniają jednego od drugiego.

Podczas meczu Barry porównywał naszego szkolnego rozgrywającego z Y.A. Tittle'em, zaś gracza innej drużyny z Ngockiem Van Vinhem. Pokaz w przerwie zestawiał z formacją Script Ohio wykonywaną przez Stanową Orkiestrę Uniwersytecką Ohio. Przed końcem trzeciej kwarty nie miałem złudzeń, że Barry'emu poszczęści się z Dixie. Nim zegar wydzwonił zakończenie czwartej, mieliśmy z Brigid gotowy plan, jak najszybciej pozbyć się drugiej pary i kontynuować randkę tylko we dwoje. Dixie pewnie znalazłaby wymówkę, żeby wsiąść w autobus i wrócić do akademika przed kolacją, a Barry jak zwykle spędziłby wieczór w pokoju, czytając książkę *Kampania Prezydencka 1996*.

Przy innych okazjach Barry pouczał mnie w tak różnorodnych kwestiach, jak amerykańska literatura (najlepszym poetą jest Edwin Arlington Robinson, a najlepszym powieściopisarzem James T. Farrell), zwierzęta (jedynym słusznym psem jest golden retriever), ubiory (zakładając co innego niż granatową marynarkę i szare spodnie, mężczyzna sam prosi się o kłopoty), a nawet hobby (Barry kolekcjonował wojskowe odznaczenia żołnierzy carskiej Rosji. Kiedy powiedziałem, że mój ojciec zbierał drut kolczasty, nie odzywał się do mnie przez kilka dni).

Barry był skarbnicą wszelakiej wiedzy. Był wyrocznią w sprawach dobrego smaku. Każdy w kampusie wiedział, że jeśli potrzebuje jakiegokolwiek informacji, należy zapytać Barry'ego.

Tyle że nikt tego nie robił. Nie znosiliśmy jego gładzenia. Wyprowadziłem się z naszego pokoju po jesiennym semestrze. Unikany przez wszystkich, samotny, zgorzkniały Barry skończył jako doradca szkolny w liceum w Ames, w Iowa. Praca stworzona dla niego – niewielu ludzi ma szczęście odnaleźć zawód idealny.

Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, mógłbym się założyć, iż Barry był szpiegiem nuphów.

Po blisko roku pobytu na Ziemi nuphowie przekazali nam dar podróży międzygwiazdnych. Impreza okazała się zaskakująco niedroga. Nuphowie objaśnili działanie swojego napędu, który był tani, bezpieczny i prosty do przystosowania do warunków ziemskich. Ujawnienie technologii otworzyło możliwości dla snucia całkiem nowych naukowych teorii. Następnie nuphowie nauczyli nas swoich metod nawigacyjnych i podzielili się wiedzą na temat „skrótów”, które odkryli podczas podróży kosmicznych. Ludzie nazwali je deformacjami przestrzennymi, choć z technicznego punktu widzenia nie miały one nic wspólnego ani z teorią Einsteina, ani z zakrzywianiem przestrzeni. Niewielu rozumiało, o czym tak naprawdę mówią nuphowie, ale nie miało to znaczenia. Nuphowie także nie wiedzieli, na czym polega fenomen skrótów – po prostu je wykorzystywali. Podali nam wszystko na talerzu, jak indyka w święto dziękczynienia. Pominęliśmy etapy przeprowadzania długich badań i ostrożnych eksperymentów naukowych, przeskakując od razu do komercyjnych zastosowań. Mitsubishi wraz z koncernem Martin Marietta

wykorzystały schematy dostarczone przez nuphów do skonstruowania trzech luksusowych statków kosmicznych zdolnych zabrać na pokład jednorazowo tysiąc turystów w podróż po naszej Galaktyce. Choć ludzka stopa nie stanęła jeszcze na Jupiterze, biura turystyczne zajęły się rezerwacją biletów na wielką wycieczkę „oblotową” po dwunastu niezamieszkanym planetach znajdujących się w sąsiedztwie Ziemi.

Tak, okazało się, że kosmos tętni życiem, życiem humanoidalnym obejmującym połowę planet typu G.

– Od dziesięcioleci podejmujemy próby kontaktu z pozaziemską inteligencją – narzekał jeden z rosyjskich naukowców. – Dlaczego nie odpowiedzieli?

Zaprzyjaźniony nuph wzruszył ramionami.

– Każdy tam próbuje się z każdym skontaktować – odparł. – Wasze wiadomości są dla nich jak korespondencja z agencji marketingu bezpośredniego.

Początkowo był to cios dla naszej dumy rasowej, ale przełknęliśmy gorzką pigułkę. Gdy tylko dołączyliśmy do społeczności międzygwiazdnej, zaczęli traktować nas bardziej serio. A wszystko to dzięki nuphom.

Byliśmy wdzięczni nuphom, mimo to nie żyło nam się z nimi ani odrobinę łatwiej. Nadal byli nie do zniesienia. Pod koniec drugiej kadencji Pleen zaczął udzielać mi rad co do mojej przyszłości.

– Tylko nie pisz książki – zalecił (po tym jak napisałem już dwieście stron *Wspomnień prezydenta*). – Jeśli chcesz zostać szanowanym mężem stanu, dobrze, ale nie wychylaj się. Czekaj, aż sami do ciebie przyjdą po radę.

– To co mam robić z taką ilością wolnego czasu? – zapytałem.

– Przekwalifikuj się. Nie jesteś jeszcze stary. Wiele ludzi tak właśnie robi. Brałeś pod uwagę rozkręcenie sklepu wysyłkowego? Mógłbyś zajmować się tym, nie wychodząc z domu. Mógłbyś też iść na studia, na kierunek, który zawsze cię interesował. Albo zacznij działać aktywnie w środowisku kościelnym lub w lokalnej społeczności. Znajdź sobie hobby. Możesz hodować malwy albo kolekcjonować odznaczenia wojskowe.

– Pleen, daj mi spokój – prosiłem.

Wydawał się urażony.

– Oczywiście, skoro sobie tego życzysz. – Pożałowałem ostrych słów.

W całym kraju, na całym świecie wszyscy mieli podobne problemy z nuphami. Wydawało się, że przybyło ich tak wielu, iż każdy człowiek miał osobistego nupha, który perorował w nieskończoność, udzielając rad. Napięcie na świecie sięgnęło pułapu, jakiego nie pamiętano od roku 1992, kiedy to podczas wyborów Miss Świata większość jurorów głosowała za nieprzyznaniem nagrody głównej.

Dlatego też nie byłem zaskoczony, gdy pierwszy z naszych statków kosmicznych powrócił z dwudziestośmiodniowego rejsu gwiazdowego, przywoząc jedynie dwustu siedemdziesięciu sześciu z tysiąca pasażerów. Reszta, siedmiuset dwudziestu czterech, pozostała na napotkanych po drodze żywnych, egzotycznych, przyjaznych planetach. Światy te łączyło jedno – wszystkie były zamieszkiwane przez urocze, sympatyczne, inteligentne humanoidalne istoty, które opuściły swe planety, po tym

jak przybyli na nie nuphowie. Stworzenia różnych ras żyły tam w zgodzie i harmonii w rozległych miastach wybudowanych specjalnie z myślą o udręczonych ekspatriantach. Może te obce rasy doświadczały tej samej zazdrości i nienawiści, jaka panowała pomiędzy ludźmi na Ziemi, ale to się skończyło. Mimo że pochodziły z różnych stron Galaktyki, potrafiły stworzyć zgodne społeczeństwa zbratane wspólnym uczuciem – niechęcią do nuphów.

W pierwszym roku po rozpoczęciu podróży kosmicznych populacja Ziemi zmniejszyła się o pół procent. Po dwóch latach skurczyła się o dalsze czternaście milionów. Nuphowie byli zbyt życzliwi, zbyt sympatyczni i zbyt przyjaźni, by z nimi walczyć. Jednak nie czyniło to ich ani trochę mniej uciążliwymi. Większość ludzi wolała się cichcem ulotnić, niż robić sceny. Pięknych światów było bez liku, podróże nie kosztowały wiele, a kosmos oferował ogromne możliwości. Wielu sfrustrowanych Ziemiaków rozczarowanych swoją egzystencją mogło rozpocząć nowe, satysfakcjonujące życie na planetach, o których nie miało pojęcia przed przybyciem nuphów.

Nuphowie wiedzieli, że tak się stanie. Działo się tak zawsze, dziesiątki, setki razy, ilekroć ich statek wylądował w nowym świecie. Dotrzymali wszystkich obietnic, aczkolwiek nie przypuszczaliśmy, że stanie się to w ten sposób.

Nasze miasta przestały być gettami ruin dla zubożałych mas. Nieliczni ludzie, którzy zdecydowali się pozostać, mogli wybierać i przebierać wśród najlepszych lokalizacji i standardów mieszkań. Chcąc przyciągnąć wynajmujących, właściciele nieruchomości musieli utrzymywać budynki w idealnym stanie.

Kiedy drastycznie zmalała ilość konsumentów, problem głodu przestał istnieć. W przeciągu dziesięciu lat populacja na Ziemi spadła o połowę, a ludności wciąż ubywało.

Z tego samego powodu przestało istnieć ubóstwo. Pracy starczało dla wszystkich. Kiedy okazało się, że nuphowie nie zamierzają konkurować o miejsca pracy, możliwości wyboru stanowisk przerosły potrzeby ludzi.

Dyskryminacja i uprzedzenia zniknęły niemal natychmiast. Wszyscy zwarli szyki, by mimo ogromnej fali emigracji sprawy na Ziemi toczyły się gładko. Każdy mógł wieść wygodne, dostatnie, wspaniałe życie, więc urazy stopniały. Ludzie mogli skupić całą swą energię na pielęgnowaniu wrogości względem nuphów, co przybyszom wcale nie przeszkadzało. Zupełnie tego nie dostrzegali.

Ja objąłem stanowisko burmistrza, a zarazem naczelnika poczty w niewielkiej kolonii ludzkiej New Dallas na Thir, czwartej planecie od słońca, któremu ziemscy naukowcy nadali nazwę Struve 2398. Różne rasy, które zamieszkały tu przed nami, nazywają ten świat inaczej – w tłumaczeniu „Boska Szyszka”. Wielorasowe społeczeństwo Thir jest życzliwe, przyjazne, a co ważniejsze, przebywa tu tylko kilku nuphów.

W całej Galaktyce nuphowie postrzegani są jako posłowie pokoju. Ich misją jest wędrówka od planety do planety, szerzenie zgody, zaszczepianie dobrobytu i prawdziwej cywilizacji. Nie ma we wszechświecie inteligentnej rasy, która nie kochałaby nuphów. Wszyscy doceniamy to, co dla nas zrobili, co nam ofiarowali.

Jednakże gdyby nuphowie zaczęli osiedlać się gdzieś w okolicy, natychmiast spakowalibyśmy manatki i rano byłibyśmy już w drodze gdzie indziej.

John Grant

to pseudonim szkockiego pisarza Paula Barnetta (ur. 1949r.), który przez wiele lat mieszkał w Anglii, niedawno zaś przeprowadził się do Ameryki. Napisał kilka książek na temat fenomenów paranormalnych, w tym The Directory of Possibilities (1981) z Colinem Wilsonem oraz A Directory of Discarded Ideas (1981). Wśród dzieł z gatunku fantastyki humorystycznej na wspomnienie zasługują szczególnie dwie pozycje: Sex Secrets of Ancient Atlantis (1985) i The Truth About the Flaming Ghoules (1984). Spod jego pióra wyszła także parodia Earthdoom! (1987) napisana wraz z Davidem Longfordem. Grant jest także autorem serii Legends of the Lone Wolf. Zamieszczone tutaj opowiadanie, napisane początkowo jako samodzielne dzieło, włączono do ostatniej książki Legends of the Lone Wolf, The Rotting Land (1994). Dla potrzeb niniejszej antologii zostało w znacznym stopniu przeredagowane.

John Grant Z HISTORII: OPOWIEŚĆ O THOGU ZWALISTYM

I. Lesa Przygasła

Istnieje opowieść o tym, jak – około 5000 roku przed Podziałem Świata na Imperium oraz Resztkę – do władzy w Harmadree doszła dynastia Elonijska. Czy rzeczywiście tak się to odbyło, czy też nie, nie ludziom o tym sądzić, ale właśnie ta wersja zakorzeniła się wśród gminu Gór Posepnych i jest tyleż prawdopodobna, co inne historie o początkach Świata. Ponadto nosi znamiona prawdy, więc trzeba traktować ją na równi z nieco bardziej obiektywnymi doniesieniami o wartości historycznej.

Opowieść brzmi mniej więcej tak:

* * *

Ramiona śmierci zamykały się wokół starego wodza w coraz mocniejszym uścisku – wiedzieli o tym wszyscy, włączając jego samego. Od wielu dni leżał w namiocie przykuty do łóżka, przeklinając bez przerwy, acz coraz słabiej. Szarawa, woskowa skóra na twarzy obwisła na wyraźnie rysujących się pod nią kościach twarzoczaszki. Czasami błękitne starcze oczy nabierały blasku, lecz większość czasu w zmętniałych źrenicach tliła się tylko słaba iskierka, która z rzadka pod wpływem gniewu rozpaliała się w krótkotrwałe poryw szaleństwa.

Sam był sobie winien – dlatego właśnie nieustannie wściekał się na swoich

szamanów, opiekunki i żonę, Lesę Przygasłą. Żadnego z nich nie mógł obwiniać za to, że pomimo ostrzeżeń uparł się – w jego wieku! – by wespół z młodymi wojownikami z plemienia wziąć udział w polowaniu na szpikożerce storgi. Naturalnie obarczał ich winą, na przykład za brak solidnych podstaw do oskarżeń, choć akurat to było jednym z mniejszych uchybień. Znacznie bardziej karygodny był fakt, że żadnemu z nich nie wpadło do głowy, by wspomnieć wodzowi, iż w ciągu tych paru lat, jakie upłynęły od jego ostatniego polowania, szpikożerce stały się silniejsze, szybsze, sprytniejsze i ogólnie rzecz biorąc, groźniejsze. Przeklęty gad wyrwał mu kawał łydki. Słabszy mężczyzna wrzasnąłby i zemdłał po czymś takim, ale stary wódz, ulepiony z twardszej gliny, zaledwie zemdłał. Następną rzeczą, jaką pamiętał, był widok namiotu i walka z szamanami, którzy usiłowali poparzyć go gorącymi kompresami tudzież utopić w miksturach.

Na tym właśnie polegała najcięższa zbrodnia głównego szamana. Gdyby nie musiał tracić tyle energii na przepychanki, może udałoby mu się pobudzić sędziwy mózg i skoncentrować na znacznie ważniejszej kwestii leczenia rany. A tak proszę, otwarta rana zaczęła się rozogniać. Zgnilizna toczyła wodza od trzech tygodni, a teraz, z czego świetnie zdawał sobie sprawę, zagnieżdżyła się w pobliżu serca, siedliska emocji oraz wyższych funkcji umysłowych.

Wina opiekunek zawierała się w tym, że były opiekunkami. Jako tradycjonalista wódz nie cierpiał ich na równi z chorobami, ponieważ, według niego, opiekunki tylko pozornie leczyły. Początkowo, zaraz po wypadku, miał jeszcze siłę, by bronić się ostro, rozbijając im nosy, a nawet czasem łamiąc jakąś ważniejszą kość, teraz jednak złożony niemocą musiał poddać się zalewowi miłych, pogodnych, a co gorsza, koszmarnie radosnych uśmiechów. Nie było ucieczki od wesolutkich okrzyków: „Dzień dobry, o Władco Nieba oraz Wszystkiego, Co pod Nim, jak się dzisiaj czujemy?”, albo jeszcze bardziej znienawidzonego: „Ruszyliśmy dziś jelitkami?”, po których następowała upokarzająca szamotanina z zimnym nocnikiem, prześcieleniem posłania oraz samym wodzem w roli głównej.

Ech, gdyby tylko starczyło mu siły, by ogłosić całemu wszechświatu obligatoryjny wyrok śmierci na całą tchórzliwą hołotę, która mieniła się opiekunkami.

Jednakże ich występkę – tak zwanych szamanów czy opiekunek – były niczym wobec podłości, której dopuszczała się wobec niego Lesa Przygasła.

Celowo, z samej tylko chęci zemsty za przypadkowy romans z przyjezdną kapłanką sandzraniańską, jego podstępna żona urodziła mu dwóch synów – w odwrotnej kolejności!

Jeśli chodzi o starszego, Elloniuma, to nazwanie go fajtłapą byłoby obelgą dla wszystkich fajtłap na Świecie. Tyczkowaty młodzieniec, jarosz o pociągłej twarzy i pryszczatym nosie, był najszcześliwszy, udając się na – bardzo krótkie – spacerzy z matką, aby zebrać kwiatki, którymi potem przystrajał swój namiot. Na początku, kiedy stary wódz przyłapał sześćo- czy siedmioletniego pierworodnego na głaskaniu kotka, podejrzewał go o upośledzenie umysłowe – każdy szanujący się przyszyły władca wyrzywałby raczej zwierzęciu łapki. Teraz, mimo że Ellonium został nieoficjalnie usunięty z najbliższego otoczenia ojca, wódz nadal słyszał niesione z

wiatrem słowa kołysanek, które syn wyśpiewywał swoim bukiecikom.

Młodszy syn to co innego! Mocnej budowy, całkowicie pozbawiony wyobraźni Thog zawłaszczył sobie całe miejsce w sercu ojca. Niekwestionowany zwycięzca dorocznych zawodów w zapasach i wyłupianiu oczu, był także mistrzem we władaniu każdą bronią prócz miecza – w wyniku niezrozumienia specyfiki stosowania tego ostatniego stracił w dzieciństwie dwa palce prawej dłoni. Thog Zwalisty, jak pieszczotliwie zwała go reszta plemienia, podobny raczej do ogolonego niedźwiedzia grizzly niż istoty ludzkiej, był oczkiem w głowie ojca.

A jednak według wszelkich praw ludzkich – a stary wódz, jako dziedziczny Władca Nieba oraz Wszystkiego, Co pod Nim, powinien wiedzieć o tym najlepiej – to właśnie Ellonium, nie Thog, miał zasiąść wkrótce na Tronie Mandragory. Jakże umierający przeklinał swe kunktatorstwo w młodości! Tylekroć postanawiał, że pierworodny powinien ulec niewyjaśnionemu, acz zachwycająco śmiertelnemu wypadkowi, lecz zawsze odkładał wykonanie zamysłu, ponieważ chciał przedłużyć sobie przyjemność oczekiwania... A teraz, teraz kiedy leżał na łożu śmierci, było już za późno na udaremnienie nikczemnych planów Lesy Przygasłej!

A może jednak nie?

Myślenie nie przychodziło staremu wodzowi łatwo. Usiłował jeszcze bardziej zmarszczyć i tak poorane czoło. Coś kiedyś słyszał o... Może istniał jednak sposób, by choć część terytoriów zostawić ulubionemu synowi...

Słabym głosem wezwał swojego doradcę, prawą rękę:

– Mikra–Maus! Mikra–Maus!

Czterech krzepkich wojowników po raz ostatni wyniosło wodza na zamglone słońce. Lesa Przygasła zalewała się łzami – pewnie udawanymi, drepcząc przy prymitywnych noszach, zaś starszy syn, Ellonium, mizdrzył się nieopodal. Thog z pewnymi trudnościami został odciągnięty od wyjątkowo ekscytujących zawodów walenia pięściami w brzuch, w których właśnie brał udział.

Kiedy Mikra–Maus z nabożnym szacunkiem położył na zapadniętej piersi łuk oraz strzałę przodków, iskra w błękitnych oczach starego woja rozpałała się gorączkowym płomieniem. Szponiaste palce odnalazły łączysko i zacisnęły się na drewnie.

– Według naszego prawa – wyrzeźbił wódz – po śmierci przywódcy jego schedę obejmuje pierworodny. Istnieje jednak przyzwolenie – zmyślał na poczekaniu – by ojciec pozostawił coś także młodszemu synowi, i z tego przyzwolenia zamierzam skorzystać. Thog, podejdz tu, mój chłopcze.

– A bo co? – burknął Thog bezmyślnie. Właśnie docierało do niego, że staruszek nie wygląda dzisiaj najlepiej. Właściwie to już od kilku dni wyglądał kiepsko. „Pewnie przesadził na którejś z bibek...”

– Nieważne, synu – wycharczał wódz. – Przekazuję ci tyle z ziemi, ile będzie leżało poza tym tu kręgiem, którego promień wyznaczy zasięg wypuszczonej przez ciebie strzały przodków. Masz, chłopcze, weź łuk i wystrzel!

Thog przez chwilę stał zdezorientowany – geometria nie była jego mocną stroną – w końcu jednak sięgnął po broń. Część o strzelaniu zrozumiał bez trudu. Kiedy na

brzękliwą cięciwę zakładał – grotem naprzód, tak jak mozolnie wbito mu to do głowy – straszliwie wysłużoną strzałę przodków, łuk wydał mu się żywym, drżącym stworzeniem.

Krąg wojowników odsunął się przezornie.

– Tylko nie celuj w stronę wschodzącego słońca – syknął Mikra–Maus, mrużąc oczy. – Ktoś tam jest.

Zdekoncentrowany ledwie słyszalnym szeptem Thog spojrział we wskazanym kierunku. Istotnie, kilkadziesiąt metrów dalej – akurat w zasięgu strzały – jakaś postać brnęła przez błocko, oddalając się od zebranych. Trudno było stwierdzić, czy patykowata sylwetka należy do kobiety, czy mężczyzny, tym bardziej że kształty skrywał rdzawy płaszcz sięgający aż do nagich kostek. Ponad kołnierzem szaty sterczała niechlujnie przystrzyżona strzecha miedzianych włosów. „Chłopak”, doszedł do wniosku Thog. Nie lubił chłopców. Dziewcząt zresztą też, co w sumie ułatwiło mu decyzję.

Napiął cięciwę.

– Tylko nie za daleko – dodał Mikra–Maus. – To słowa twojego ojca.

Thog łypnął na niego wrogo. Zausznik najwyraźniej chciał go wykiwać. Każdy przecież wiedział, że terytorium plemienia jest ogromne – co najmniej pięć zasięgów strzały z każdej strony – więc Thog powinien postarać się strzelić jak najdalej. Zmarszczył nos, zwątpiwszy naraz w swe obliczenia. W geometrii był znacznie lepszy niż w arytmetyce.

– Ojczy! – odezwał się nagle Ellonium, zapewne za namową matki. – Ojczy, nie rób tego!

Stary wódz warknął groźnie.

– Nie widzisz, jakie to niesprawiedliwe? – ciągnął Ellonium łamiącym się głosem. – Wstrętny Thog może po prostu upuścić strzałę u swych stóp, a tym samym pozbawić mnie schedy! Kim wtedy będę? Dziedzicem bez dziedzictwa?!

– Właśnie o to... – zaczął wódz, ale ugryzł się w język. – Co zatem proponujesz, żalosny młokosie?

– Żebym to ja wypuścił strzałę – rzekł Ellonium po kilkusekundowej gorączkowej szeptaninie z Lesą Przygasłą. – I żebym odziedziczył teren leżący wewnątrz okręgu wyznaczonego przez wbitą strzałę. – To nadal gwarantowałyby bratu lwią część spuścizny, ale i tak większość ziem plemiennych leżących dalej od osady stanowiły nic niewarte bagna. Ellonium wyszczerzył się w tak szerokim uśmiechu, na jaki pozwalała jego szczurza twarz.

Thog zrobił straszliwego zęza, usiłując nadażyć za rozumowaniem brata. Jeśli żaden z nich nie pospieszy się ze strzałem, okutany brązowym płaszczem cel umknie poza zasięg. W końcu wzruszył ramionami, niechętnie podając Elloniumowi starożytny łuk i poczerniałą, inkrustowaną w falliczne symbole strzałę.

– Niech ci się ręka powinie, braciszku – mruknął.

Ellonium obejrzał broń i odwrócił wzrok na Lesę. Kilkoma wymownymi ruchami palców matka pokazała mu, co robić. Kiedy nakładał strzałę, w nieudolnej karykaturze i tak dość niezręcznych poczynaniach brata, do jego uszu dobiegł szept.

– Jak już wspominałem twojemu bratu – szemrał Mikra–Maus – uważaj, żeby nie celować w stronę wschodzącego słońca. Nieznajomy nadal tam jest.

– Daj se siana, palancie – warknął Thog. – Nie psuj zabawy. Niech Ellonium zdmuchnie chłopaka, trochę się pośmiejemy. Szczególnie jeśli, choć marne na to szanse, temu chuderlawemu lewusowi się poszczęści.

Ellonium wzruszył ramionami i ostentacyjnie odwrócił się plecami do słońca. Przed nim rozciągały się bagniste jałowizny terenów plemiennych. Uniósł łuk i najmocniej jak potrafił napiął cięciwę, czując między palcami obcy kształt strzały. Starał się przy tym wyrównać i uspokoić oddech.

Na pierwszy rzut oka nie ulegało wątpliwości, że strzał jest kiepski. Z początku strzała leciała opornie, chybotąca się nierówno. Potem jednak coś – może wiatr – poniosło pocisk, prostując trajektorię i przydając pędu. Z pełną dynamizmu gracją strzała zatoczyła wysoki łuk ponad cuchnącą, omszałą ziemią. Kolejny poryw dodał jej prędkości i zmienił kierunek lotu pocisku tak, że zebrani, którzy obserwowali go z otwartymi ustami, musieli odwrócić się, aby dalej śledzić jego tor.

Lecąc prosto jak – cóż, prosto jak strzała – pocisk śmignął ku zakutanej postaci, która znajdowała się już dobrze ponad dwieście metrów od zgromadzenia.

Z głośnym szłuuup! – przypominającym, według Elloniuma, uderzenie topora w dojrzałego kantalupa – strzała wbiła się w plecy nieznajomego, dokładnie pomiędzy łopatki.

Zrozpaczony Ellonium zacisnął powieki. Że też to on właśnie, zagorzały pacyfista i wegetarianin, musiał nieumyślnie przyprawić człowieka o śmierć. Ogarnęły go mdłości. Od ostatniego takiego wypadku minęły całe tygodnie – wiele, wiele tygodni – ale czas nie zagłuszył wyrzutów sumienia.

– Patrz – szepnęła matka. – To cud!

Ellonium rozchylił odrobinę jedną powiekę.

Nieznajomy nie upadł – co więcej, mimo sterczącej z pleców strzały kontynuował wędrówkę jak gdyby nigdy nic.

– Zbroja – orzekł Mikra–Maus, aczkolwiek niezbyt pewnie. – Chłopak musi mieć pod płaszczem gruby skórzany pancerz. To jedyne możliwe wyjaśnienie. Ale przecież sama siła uderzenia powinna zbić go z nóg...

Dalsza część wypowiedzi zmieniła się w niezrozumiałe mamrotanie.

– Konia! – wrzasnął Thog radośnie. – Już ja go wykończę!

Kilku wojowników przyprowadziło mu posłusznie plemiennego wierzchowca. Thog ujął wodze i zaczął sprawdzać uzbrojenie – miecze, sztylety, topory, włócznie, kiścienie, maczugi...

– Nie! – krzyknęła Lesa Przygasła, ujrzawszy, co się święci. – To nieznajomy, a tym samym nasz gość. Sprowadźcie go tu, abyśmy mogli go należycie ugościć oraz wyleczyć ewentualne rany.

Thog zatrzymał się niepewny.

– Zabij – stęknął stary wódz. – Po mojemu wdarł się na nasze ziemie. Cwiartowanie to jedyny język, jaki rozumieją intruzi.

– Nie, ojciec – sprzeciwił się Ellonium dzielnie, odzyskując nareszcie głos. – Sam

go tu sprowadzę. Zasiądzie z nami do strawy, a matka wyjmie strzałę i opatrzy ranę.

– Strzeż się Bagien Thomasiny! – wykrzyknęła Lesa, mnąc szatę na obfitym biuście. – Hordy Mutantów należących do Mrocznych Panów, którzy tam żyją, zjedzą cię, gdy tylko twoja stopa dotknie ich ziem! A poza tym sam wiesz, że chorujesz, jak przemoczysz nogi.

Stary wódz stękał i kwękał, ale przykuty do łoża nic nie mógł działać. Zacerpnąwszy odwagi z niewiadomego źródła, Ellonium odepchnął brata, w kotłowaniu kończyn wdrapał się na wierzchowca przodków i ruszył z kopyta, gnany diametralnie odmiennymi okrzykami matki oraz brata.

Słońce stało już wysoko, a Ellonium nadal pędził za nieznajomym. To, że koń był stary i gruby, nie tłumaczyło przedłużającej się pogoni – nieważne, jak mocno starszy syn wodza wbijał pięty w beczkowate boki wierzchowca, młodzieniec w rudym płaszczu zawsze majaczył kilkaset metrów przed nimi. Ku jeszcze większej konsternacji Elloniuma wydawało się, że drobna postać idzie spacerkiem, a raz czy dwa przystanęła nawet, żeby obejrzeć uważnie jakąś grudę torfu. Ellonium zaczął się zastanawiać, czy obcy nie jest złudzeniem, duchem wysłanym przez bogów chcących sprawdzić męstwo następcy wodza oraz jego wytrzymałość i upewnić się, że godzien jest części ojcowizny.

Naraz zdał sobie sprawę, iż rzeczona część już jest ogromna, a z każdą chwilą staje się jeszcze większa. Obróciwszy się w siodle, popatrzył za siebie na drogę, jaką przebył. Okazało się, że minął już dwa szerokie trakty przecinające bagniska, nie wspominając o szeregu pagórków znajdujących się pomiędzy nimi. Wkrótce wraz z tajemniczym młodzieńcem, którego tak uparcie ścigał, dotrą do granic plugawych Bagien – wierzchowiec zapadł się z głośnym plaśnięciem – Thomasiny.

Wyciągając zwierzę na twardy grunt, kątem oka Ellonium dostrzegł obiekt pogoni stojący nie dalej jak kilka metrów od niego. Nieznajomy przypatrywał mu się poważnie. Wystarczył jeden rzut oka, by zrozumieć pomyłkę – wędrowiec nie był chłopcem, a dziewczyną.

Kiedy udało mu się wydostać konia z błota, przyjrzał jej się dokładniej. Nigdy wcześniej nie widział podobnej kobiety. W promieniach popołudniowego słońca jej krótkie, zwichrzone włosy wyglądały jak miedziane nici. Miała drobne stopy i dłonie, bardzo jasną karnację, a figurę tak szczupłą, że odnosiło się wrażenie, iż najłżejszy poryw wiatru może porwać dziewczynę ze sobą. Kiedy tak patrzyła na Elloniuma w skupieniu, wydało mu się, że jej zielonożółte, kocie oczy są wielkie jak cały Świat. Ledwie zwrócił uwagę na sterczące ponad jej ramieniem wystrzępione lotki ceremonialnej strzały.

– Zbieraj się i na koń – odezwała się kobieta. – Przed nami jeszcze spory kawałek, zanim zajdzie słońce.

– Przyjmij moje przeprosiny... – zaciął się Ellonium. Gardło miał jak zaklejone melasą. Spróbował jeszcze raz. – Wielka pani...

– Wielka? Sugerujesz, że jestem gruba?!

– Ależ skąd! Przeciwnie...

– Chcesz powiedzieć, że jestem za chuda?

– Nie! Nie to miałem na myśli! Jesteś, pani, normalna... Doskonale normalna... Na twarzy kobiety wykwitły dwie pąsowe plamy, po jednej na każdym policzku.

– To już lepiej brzmi „wielka” – stwierdziła kwaśno – ale uważaj sobie, bo i za mniej niż „normalna” całe kontynenty znikają pod wodą.

– Ale nie, nie o to... – jękał się Ellonium, gorączkowo gramoląc się z siodła. – Pozwól, że zaoferuję ci mojego wierzchowca, abyś mogła dać odpocząć swoim... „Zakochałem się!”. Jego umysł przekrzyczał jazgot rozspiewanego serca. „Ja, choć nie sądziłem, iż to czyste, cudowne uczucie mnie dotknie – nie licząc oczywiście miłości do matki, lecz to co innego – ja, Ellonium, pierworodny przywódcy plemienia bagiennego, ja, zakochałem się!”.

– Często tak działałam na mężczyzn – oświadczyła kobieta chłodno, a rumieniec zniknął z jej twarzy tak szybko, jak się pojawił. – Ale miło wiedzieć, że mój urok nie osłabł. Ha, życie zaczyna się po kilkuset mileniach. – W zadumie otaksowała swoje paznokcie. Uśmiech na jej twarzy świadczył, że ocena wypadła celująco. – A teraz wskakuj na siodło, chłopcze, i jedź za mną. Przed nocą musimy okrążyć jeszcze całe Bagna Thomasiny. Nie lubię podróżować po ciemku. No, dalej! Pozbądź się tych krążących nad głową niebieskich ptaszków i różowych serduszek, w drogę.

Odwróciła się nagle i błyskawicznie odsadziła go kilka setek metrów. Przystanąła na skraju bagien, czekając niecierpliwie, aż wgramoli się na konia.

„Miłość!”, pomyślał Ellonium, trzęsąc się na grzbiecie truchtającego nierówno rumaka przodków. „Czyż to nie cudowna rzecz? Już czuję się jak zupełnie inny człowiek – dwakroć silniejszy, dwakroć mądrzejszy, dwakroć... Dwakroć hojniej obdarzony przez naturę niż wcześniej!”.

Dostrzegł, jak ramiona majaczącej w oddali ukochanej zadrgały naraz, i przeraził się, że coś się stało. Jednak odzyskał spokój, widząc, jak równym krokiem idzie dalej.

„Poezja!”, pomyślał. „Oczywiście! To właśnie roznamiętnieni młodzi kochankowie powinni tworzyć ku czci obiektów swej adoracji. Tak! Tak! Ułożę romantyczną epopeję, pełną heroicznym afektów i sążnistych strof, w których splatać się będą dwie esencjonalne pasje mej egzystencji – wegetarianizm oraz tęsknota za miłością tej nadobnej damy! Spodoba jej się to, na pewno zdobędę jej względy! To druga najwspanialsza rzecz, jaką mogę jej ofiarować, prócz uschnięcia z nieodwzajemnionej miłości. »Jej śmiech niczym dzwonek me serce obudził« – tak, wspaniale, wspaniale! »Palący mlecze wzgardy rozorał mą duszę«. Taak, słowa same śpiewają mi w głowie! Jaki by tu znaleźć rym do »kąkol«...?».

II. Gasnąca Lesa

Zmierzchało, kiedy kobieta wkraczała ponownie na teren obozowiska. Depczącej jej po piętach Ellonium był przekonany, że zmrok powinien zapaść już chwilę temu – na oko jakieś półtora tygodnia temu. Nie widział jednak powodów do narzekań. Dzięki dziwacznej zachciance ojca oraz nieprawdopodobnym umiejętnościom

wędrownym krótkowłosej pani stał się pełnoprawnym władcą terytorium, o jakim żadnemu plemieniu nawet się nie śniło. Od dzisiaj Ellonium mógł się chlubić mianem autentycznego, w przeciwieństwie do ojca niekwestionowanego Władcy Nieba oraz Wszystkiego, Co pod Nim! Co więcej, stworzył już czterysta trzydzieści osiem strof dzieła, które w jego przekonaniu było istną wierszowaną bonanzą.

Stary wódz obrzucił nienawistnym spojrzeniem szczupłą kobietę, a następnie starszego syna, który w skomplikowanym procesie zsiadania z konia usiłował właśnie wyszarpnąć zaplątaną w strzemień stopę. Potem umarł.

Członkowie plemienia padli na kolana.

– Wiwat Ellonium! Oby żył długo i szczęśliwie! – zaintonował w imieniu wszystkich Mikra–Maus.

– Niech tak się stanie – rzekła niegłośnie nieznajoma, która stała z boku zapomniana przez wszystkich prócz nowego Władcy Nieba oraz Wszystkiego, Co pod Nim.

* * *

Nocą, kiedy pospieszny pochówek dobiegł końca, zaś niewystawne aprowizacyjnie uroczystości trwały w najlepsze, Ellonium, nieco podchmielony za sprawą różanej nalewki mamusi, odszukał kobietę, która całkiem dosłownie doprowadziła go na wyżyny władzy. Siedziała z dala od uczujących ludzi i buzujących ognisk, okryta tańczącymi cieniami, nucąc cicho pod nosem. W przytłumionym świetle jej niesamowite oczy zdawały się jarzyć.

– Przyjmij moje podziękowania, piękna pani – rzekł Ellonium, kłaniając się niezgrabnie.

– Przyjmuję – odparła. – Chodź tu, usiądź. – Klepnęła zaskakująco suche miejsce obok siebie. – Pewnie rozmyślasz, w jaki sposób zrewanżować mi się za tę wielką przysługę, którą ci wyświadczyłam. Cóż, możesz już przestać rozmyślać, zdejmę ten ciężar z twoich barków. Ożeń się ze mną.

Ellonium gapił się na nią oniemiały. Kochał ją – namiętnie i szczerze – przez cały długi dzionek, a to dłużej, niż darzył uczuciem cokolwiek wcześniej, nie licząc matki. I ewentualnie jej zapiekanki szpinakowej. Ale małżeństwo? Nawet nie przeszło mu to przez myśl. Według tego, co czytał oraz słyszał od wędrownych trubadurów, którzy czasem w pośpiechu przemierzali te strony, na kolejne kroki na ścieżce prawdziwej miłości składały się nieme tęsknoty, nieokreślone spojrzenia, nieprzewyciężone przeszkody, nieudane schadzki, nieuleczalne choroby, niezdrowe kolory oblicza i w końcu, po stosownym okresie usychania z żalu, tragiczna śmierć. Perspektywa małżeństwa z wyśnioną kobietą wydała mu się nieco niestosowna. Lecz zaraz Ellonium pomyślał o swej balladzie, o tym, że zamiast przemycać pojedyncze strofy w listach rzeczy do prania, będzie mógł wyrecytować ukochanej całość dzieła.

Jego szczęka powędrowała w górę, ustawiając się w pozycji znamionującej powzięcie stanowczej decyzji.

– Z radością otworzę dla ciebie podwoje mego serca, piękna pani – rzekł

wspaniałomyślnie, zataczając ramieniem krąg, jakby w myśl nowo nabytych praw chciał objąć Niebo oraz Wszystko, Co pod Nim. – Będę dzielił z tobą duszę, łożę i wszystko, co posiadam.

– Kwestię łoża rozwiążemy później, prawdopodobnie raz na zawsze – mruknęła kobieta i dodała głośniejszym głosem: – Przyjmuję twoje oświadczenia, królu Elloniumie. Królu, gdyż tak właśnie winni zwać cię ludzie. Nie ma potrzeby tracić czasu na długie zaloty, nie uważasz? Możemy od razu oznajmić nowinę twojej matce i mieć to z głowy.

Podniósłszy się, otrzepała płaszcz, mimo iż z niewyjaśnionych powodów błoto i szlam, które przywierały do wszystkiego innego, nie miały się ani jej, ani jej ubrań, po czym powiodła przysłego króla za rękę ku ogniskom.

– Umm, jak masz na imię? – wyjąkał Ellonium po drodze.

– Możesz sobie wybrać imię, jakim będziesz się do mnie zwracał.

– Lesa?

– Oprócz tego.

Ellonium potknął się i zaklął.

– Ładnie – uśmiechnęła się kobieta. – Możesz mnie nazywać Urgamat.

III. Lesa Zgasła

Ellonium płakał. Minęły dwa lata od ślubu, a skrawek terenu, którym rządził jego ojciec, stał się trzonem królestwa rozciągającego się wokół Bagien Thomasiny. Tego zaskakująco długiego dnia, kiedy pędził za Urgamat, niezauważenie objechał ogromne terytoria moczarów i dżungli, w większości jałowych, ale miejscami, szczególnie w dolinach rzeki i na północnych równinach poza bagnami, żyznych i urodzajnych. Niewielkie plemiona, które zamieszkiwały te rejony za czasów starego wodza, z większym lub mniejszym entuzjazmem uznały władzę Elloniuma, a ten w zamian dał im dobrobyt, jakiego dotychczas nie znały. Nawet Kindelwuersten Kindlybears, pokojowo nastawiony lud zamieszkujący obrzeża Bagien Thomasiny, oderwał się od rytuałów medytacyjnych na cześć bóstw Natury na czas wystarczający, by przyjąć do wiadomości zawarcie traktatu o współpracy z nowym władcą. W tajemnicy przed żoną Ellonium marzył nawet, że starożytna świątynia Ascidiana, wzniesiona w sercu moczarów przez lud, który opuścił to miejsce na długo przed zaraniem dziejów, znajdzie się kiedyś pod jego rządami. Jednak te wizje dotyczyły dalekiej przyszłości. Na razie, przynajmniej chwilowo, zmalowało zagrożenie ze strony Hord Mutantów z bagien. Ich mroczni szamani obwieścili nadejście straszliwych bestii zrodzonych w sercu grzęzawisk, potworów, które spróbują zagarnąć podmokłą krainę. Spełnienie tej przepowiedni zdawało się jednak tak odległe jak sprawa włączenia do królestwa świątyni Ascidiana, tymczasem zaś świeżo zaprojektowane proporce Posepnych Gór Harmadree furkotały radośnie na wieżyczkach nowej stolicy, Thog (populacja 1706), którą Ellonium zbudował na wybrzeżu, na południe od starej osady ojca. Nazwa miasta była niezbyt subtelnym,

acz skutecznym sposobem ostudzenia ewentualnych buntowniczych zapędów brata.

Co dzień słońce oblewało jasnością Posępne Góry Harmadree, jakby nie zamierzało zachodzić po wsze czasy.

Mimo to Ellonium płakał.

Brat obrzucił go beznamiętnym spojrzeniem. Siedzieli w królewskich apartamentach wieży północnej zamku Thog – budowli tylko odrobinę ustępującej wielkością swemu mianu. Wpadające wąskimi oknami promienie kładły się blaskiem na prymitywnie ociosanych kamiennych płytach podłogi. Z zewnątrz dochodziły słabe odgłosy miejskiego rozgardiaszu. Północny wiatr niósł słodkawy zapach zgnilizny i dymu z mokrego drewna.

– Masz wszystko – burknął Thog. – Królestwo, władzę, masz tę lafiryndę, choć fakt, że karłowata i chuderlawka. Czego się mażesz jak baba?

– Mam wszystko prócz tego, czego naprawdę pragnę – chlipnął Ellonium.

– He? – Brwi Thoga miały się wściekle, jakby ich właściciel nie mógł się zdecydować, czy chce je zmarszczyć groźnie, czy ściągnąć w zamyśleniu. – Lafiryndy, jak ją nazywasz. Urgamat!

Prawa brew założyła lewej klamrę, ale walka trwała nadal.

– Ale przecież związaliście się węzłem, no nie? Wychyliliście kielicha, tak? Myślałem, że jesteście nierozłączni, jak ogień i woda. Co znaczy, że nie masz lafiryndy? – Thog podniósł z inkrustowanego klejnotami stołu dzban miodu i osuszył go jednym haustem. Otarłszy usta, sięgnął po następny.

Ellonium wbił wzrok w podłogę, w zamyśleniu szarpiąc rąbek bogato haftowanej szaty.

Jego brat był ordynusem językowym, ale Ellonium wzdragał się przed wyrażaniem w tak wulgarny sposób. Jak więc miał ująć sprawę, żeby Thog go zrozumiał? Rozwichrzone myśli króla skierowały się na ulubione ścieżki.

Wyobraził sobie, że stoi na rynku. Wokół tłoczyły się kramy uginające się pod bogactwem płodów z farm i pól Gór Posępnych. Jednak w oczach Elloniumowej wyobraźni dojrzałe, kolorowe warzywa i owoce nabrały dodatkowego wymiaru – były metaforami, które przybrawszy różnorodne formy, aż się prosiły, by z nich wybierać. Podchodząc do pierwszego stoiska, czuł, jak jego niematerialne oblicze marszczy się w wyrazie niezdecydowania. Rumiany kramarz uśmiechnął się do niego szeroko.

Melony. Zważywszy na okoliczności, może lepiej nie. Władca uprzejmie odmówił rozczarowanemu wieśniakowi i ruszył dalej. Arbuzy... Nie, tym bardziej nie.

Oddychał głęboko, usiłując opanować ogarniającą go panikę. Plac był ogromny, nie musiał patrzeć, by wiedzieć, że rozciąga się setki metrów, jeśli nie kilometrów, w każdą stronę. Niestety, tak się składało, że był tu jedynym klientem. Oznaczało to, że wszyscy straganiarze z uwagą śledzili każdy jego ruch w nadziei, iż monarcha zakupi właśnie ich i tylko ich produkt. Ellonium poczuł się jak soczewka na pustyni, miał wrażenie, że jego skóra zwęgla się w palących promieniach ich spojrzeń.

Rozglądał się ukradkiem. Pory odpadały, podobnie jak banany, kolby kukurydzy, a tym bardziej bakłazany. Zatrzymał wzrok na truskawkach, rozważał przez moment

brukselkę, rabarbar, ale pospiesznie odwrócił głowę. Ogórki, kabaczki, mango, figi, brzoskwinie, nektarynki, morele, rzodkiew, salsefie i orzechy włoskie wzbudzały w nim niepokój. Na widok sterty szparagów otrząsnął się ze zgrozy.

Marchew, pasternak, śliwki, fenkuł, fasola, maliny, kiwi... Koszmar trwał. Ellonium lawirował pomiędzy kramami, biegając w hysterii po swym ogromnym wewnętrznym targowisku w takim pędzie, że kolorowe sterty owoców zdawały mu się rozmazanymi plamami jaskrawych kolorów. Wyraz oczu kramarzy złał się w jedno kilometrowe, najeżone kłami, pożądlive spojrzenie. Cykoria, ciecierzycyca, cukinie, chili, czosnek, cebula, czereśnie migwały mu przed oczyma jak w szalonym kalejdoskopie obfitości. Liczi, limy, limety, longany – z gardła Elloniuma dobył się krzyk – papaje, pigwy, pistacje, pomarańcze, pomidory... Granat huknął na niego, zderzył się z karambolą, napadły go hurmy i był pewien, że słyszy szloch męczennicy. Wężymord wpił mu się w łydkę niczym jadowita kobra, smaczliwka wdzięczyła się do niego bezwstydnie, a gruszka gruchnęła szaleńczym śmiechem. Król dyszał ciężko, rzeźił i charczał, gnając pędem ścigany grzmotem toczącej się za nim góry owoców i warzyw, którego złowrogie echo zwielokrotniały ściany Świata.

Własny krzyk sprowadził monarchę z powrotem do królewskich komnat i na drewniany tron. Thog patrzył na niego wystraszony.

– Co robiłeś?

– Rozmyślałem, w jaki sposób objaśnić ci mój problem – wydyszał Ellonium, czując, jak zimny pot spływa mu po wklęsłej klatce piersiowej. – Jest nieco... hm... natury intymnej.

– Wyduś to z siebie, brachu! – Thog cisnął kufel na piętrzącą się w rogu stertę innych naczyń. – Dam radę, jestem wojownikiem!

– Hmm, wiesz, co to... eee... kalarepka?

– Zielenina, nie?

– Tak, właśnie. Podobnie jak... um... gujawa. I jędrne jabłuszka w lukrze, i pomarańcze. Nie wspominając o winogronkach.

– No, babskie takie tam.

– Cóż, więc chodzi o to, że Urgamat nie pozwala mi z nich zrobić sałatki.

Thog zbladł.

– To zakrawa na sprośność, bracie!

– Nie wiedziałem, jak ująć to bardziej oględnie. Bo widzisz...

– Co, jak matka cię usłyszy?

Spłoszeni mężczyźni potoczyli oczyma po pozłacanych ścianach komnaty; jakby bali się, że lada moment Lesa Przygasła wypadnie zza którejś i zemdleje na środku sali. Po chwili, choć spokojniejsi, przysunęli się do siebie i zniżyli głosy.

– Tak jest od samego początku – podjął Ellonium. – Od pierwszej nocy, kiedy to liczyłem na... cóż, niezbyt wiele, bo sporo wypilem, ale miałem nadzieję na jakiś kabaczek, albo nawet może endywię...

– Znaczą przytulanki?

– Tak, skoro już musisz określać to tak wulgarnie. Ale ona powiedziała, żebym zapomniał i że nie po to za mnie wyszła. Poślubiła mnie, żebym objął tron i rządził

Posępnymi Górami Harmadree aż po kres naszych dni, który, jak dała do zrozumienia, nie nadejdzie zbyt szybko albo i wcale.

– Gulp – zagulgotało gardło Thoga, przepuszczając kolejną kwartę miodu. – Nie mogłeś... eee... potruflić?

– Truflilem, mało brakło, a zostałem zawodowym grzybiarzem! – wykrzyknął Ellonium, klepiąc się po udzie dla podkreślenia swych słów. – Truskaweczko, mówiłem, brzoskwinko ty moja, żonaty mężczyzna potrzebuje swojego groszku, swojej ketmii, cebulki. Odmówić mu tego to jak pozbawić jarzynówkę ziemniaczka. Ale ona rzuciła tylko: „Czarcikęs!”. Nie wiedziałem, co to znaczy, ale... – Rozplakał się znowu. – Teraz już wiem.

– A ja nie. – Prawa brew Thoga wyrzucona brutalnie z ringu pozbierała się i wszczęła mozolny powrót na miejsce.

– Tej pierwszej nocy poszedłem za nią do namiotu. W momencie, kiedy przekraczałem próg, Urgamat... zmieniła się. To było okropne! Okropne!

Thog milczał, wpatrując się ponuro w ostatni dzban miodu. Odnosił wrażenie, że uprzejmość nakazuje pozostawienie go bratu, jednakże miał też wrażenie, że uprzejmość to tylko głupie brednie. Sięgnął po naczynie.

– Tam, skąpana w księżycowym blasku – ciągnął Ellonium – z pęczka świeżutkich nowalijek, za którym podążałem przez cały dzień, zmieniła się w... w dziką jabłoń! Wyglądała tak staro, jakby od kilku tygodni leżała w grobie. Goła czaszka lśniła niezmacona najmniejszym włoskiem, za to kępy z nozdrzy kompensowały ten brak aż nadto. Podbródki... plamy... czyraki... Obdarzyła mnie ohydny, bezzębny uśmiechem i wtedy... wypadło jej szklane oko. Nie wstydzę się przyznać, bracie, że zemdlałem.

– Cienias.

– I tak już było każdej nocy. Aż w końcu nie mogłem dłużej tego znieść, poddałem się. Odtąd doskonałą moją epopeję zrodzoną z miłości do Urgamat. Ale ona nie chce jej wysłuchać. Cóż mam począć?

Zakończył naprawdę żałośnie. Wcisnął głowę w ramię i gorzko załkał.

„Niech szlag trafi uprzejmość”. Thog opróżnił dzban co do ostatniej kropelki.

– Nie myślałeś o sprawieniu sobie na boku jakiejś gruszeczki? – zapytał rozdygotanego ramienia brata. – Znam taką jedną soczystą sztukę...

– To na nic! Tylko jej pragnę! Nie chcę żadnego substytutu! Och, biada mi...

Thog poruszył się niespokojnie. Po ostatniej wymianie ciosów jego brwi zawarły rozejm.

– No, brachu – zaczął powoli. – Nie trza daleko szukać, zawsze możesz przecież zgasić światło. Jak mówi stare przysłowie plemienne, w nocy wszystkie pomarańcze są... no, tego ich koloru. Nie pamiętam w tej chwili dokładnie jakiego. Ale łapiesz, o co mi...

– Głupcze! – załkał Ellonium, wpatrując się w brata zaczerwienionymi oczyma. – To nic nie da!

– Czemu nie?

– Bo ona świeci w ciemnościach!

IV. Alyss Doskonała

„Kiedyś w końcu musi zasnąć”, pomyślał Thog ponuro, skradając się korytarzem zamkowym ze świeżo naostrzonym mieczem w dłoni. „Może i mój brat jest niewiele wart, ale jestem mu coś winien. W końcu nazwał moim imieniem całe wielkie miasto (populacja 1706), czyż nie? Uwolnię go od tej jego pomarszczonej śliwki, a wtedy będzie mógł znaleźć sobie jakąś dobrze ułożoną pigwę i żyć z nią długo i szczęśliwie”.

Królowa, która w rzeczywistości w ogóle nie sypiała, uśmiechnęła się, słysząc jego myśli. Thog nie wyobrażał sobie nawet, jakie będzie miał tej nocy – i każdej innej – kłopoty z odnalezieniem się w labiryncie zamkowych korytarzy. Następne pomieszczenie, do którego wpadnie, powinno być – o, już przeklina – zamkową kloaką.

Pozostawiwszy szwagra własnemu losowi, władczyni postanowiła zająć się bardziej palącymi problemami, a konkretniej, szczęściem Elloniuma. Bardzo przywiązała się do niezdarne go młodzieńca – w każdym razie na tyle, na ile mogła przywiązać się do zwykłego śmiertelnika – i nie chciała ranić go bez potrzeby. Myśl, by ulec jego pochlebstwom, wydała jej się przez moment kusząca – lubiła się pośmiać – jednak tylko przez moment. Nie, lepiej odkryć karty i wyjawić mu, dlaczego tak naprawdę tu przybyła i stworzyła naród, nad którym sprawował władzę. Powinna też w końcu poinformować go o planach, jakie co do niego miała na przyszłość.

Sformułowała bezgłośnie wezwanie i szybko poczuła, jak śpiący w swoich komnatach Ellonium wyrywa się z niespokojnej drzemki. Pół minuty później stał już w progu komnaty.

Wpatrywał się w małżonkę przerażony, widać było, jak drżą mu nogi.

– Och, wybaczone – rzekła. – Stare nawyki. – Błyskawicznie zmieniła pomarszczony, czyraczny wizerunek samej siebie, jaki wszczepiła mu w umysł. – Gotowe. Tak lepiej?

Wyraz jego oczu starczył za odpowiedź. Siedząca na łóżku kobieta – smukła, gibka, w chłopięcym stroju, a mimo to niezwykle ponętne – była tą samą pięknosć, jaką widywał za dnia. Machinalnie przeczesła palcami włosy, uśmiechając się do niego z czułością.

– Czas, abyśmy poważnie porozmawiali.

– Porozmawiali? O czym?

– O przyszłości, którą będziemy razem dzielić.

– Razem?

– Tak, razem. Oczywiście nie cały czas razem i nie tak, jak sobie wyobrażasz, ale będziemy ją dzielić.

– Urgamat...

– Na początek powinienes poznać moje prawdziwe imię. Jestem Alyss. Urgamat,

imię, które mi nadałeś, jest ładne i mogę je nosić. Jednak od zarania dziejów jestem znana pod imieniem Alyss. Jest to też imię, które sama sobie wybrałam. Zapewne nie jest ci obce – stwierdziła chępliwie.

– Eeee... Jest – przyznał Ellonium. – Posłuchaj, Urgamat, już raz wspomniałaś, że będziemy rządzić Posępnyimi Górami Harmadree bardzo długo. A dokładniej, jak długo?

– Kilka tysięcy lat – rzuciła lekko, ignorując jego minę. – Konkretnie, około trzech i pół tysiąca. Co najmniej. Później, jeśli zechcesz, będziesz mógł rządzić beze mnie. Ale muszę tu być, jako królowa Gór Posępnych, w roku 1500 pp.

– Jesteś nieśmiertelna? – wydusił po chwili Ellonium, zastanawiając się, co oznacza skrót pp. Założył, że nie to samo, co w sprośnych żartach jego piechoty.

– Zaskakuje mnie twoje zaskoczenie – stwierdziła spokojnie. – Musiałeś przecież zauważyć, że nie jestem... jak inne kobiety.

Kiedy nie odrywał od niej tępego wzroku, do Alyss dotarło, że wyłączając matkę, nie bardzo miał ją z kim porównywać. A to znaczyło... Zdała sobie sprawę, że przez te dwa lata wykazywała się wobec niego większym okrucieństwem, niż zamierzała.

– No wiesz – zaczęła łagodnie – przecież śmiertelniczki nie zmieniają postaci na zawołanie. I nie potrafią latać. Nie mogą też chodzić szybciej od galopującego konia ani sprawić, żeby jeden dzień trwał kilka tygodni.

Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że wszystkie te fakty są dla niego nowością. Matka co prawda nie potrafiła robić tych rzeczy, ale Ellonium nie postrzegał jej jako kobiety. Dotknąwszy delikatnie jego umysłu, Alyss odkryła, że owszem, uważał, iż wszystkie kobiety są magicznymi, nadnaturalnymi istotami, jak ona. Z tą tylko różnicą, że inne starzały się i umierały. Królowa zastanawiała się, jakim cudem jej mąż jest w stanie stworzyć w wyobraźni te zmysłowe obrazy z nią w roli głównej, które aktualnie wypełniały mu głowę.

– Właściwie to w ogóle nie jestem kobietą – westchnęła. – Na upartego istotą płci żeńskiej, o tyle, o ile określenia te można zastosować w odniesieniu do kogoś takiego jak ja. Ale moja kobieca forma jest tylko iluzją. Zwiodłam cię, przyznaję i przepraszam, ale było to konieczne. Za twoją zgodą chciałabym kontynuować ten układ. – Postanowiła nie dodawać, że z dziecinną łatwością mogłaby go zmusić do współpracy, i to w taki sposób, że nawet by o tym nie wiedział. Wolą, żeby partycypował w przedsięwzięciu z własnej woli.

– Ale dlaczego?

– Już ci mówiłam. Muszę być królową tej krainy w roku 1500 pp, kiedy to do Harmadree przybędzie pewien człowiek, aby wypełnić misję szczególnej wagi – tak istotną, że nie przesadzę, mówiąc, iż zależy od niej przyszłość Świata. Co więcej, przy twojej pomocy muszę pokierować losami tego narodu w taki sposób, aby stworzyć okoliczności zwiększające szanse tej osoby na osiągnięcie celu i ujęcie z życiem po wszystkim.

Oblicze Elloniuma odzwierciedlało obraz tłoczących mu się pod czaszką pytań. Alyss ponownie sięgnęła w głąb jego umysłu, wydobywając stamtąd ich pełną listę. Odgięła mały palec lewej ręki, przytykając do jego czubka wskazującą prawej.

– Po pierwsze – zaczęła. – Nie, nie mam nic przeciwko, żebyś od czasu do czasu skosztował na boku jakiejś soczystej gruszczyki, jak to elokwentnie ujął twój brat, bylebyś robił to dyskretnie. Myślę, że dobrze ci to nawet zrobi. W istocie, ponieważ mój plan przewiduje dłuższe okresy twojej nieobecności w stolicy, z powodzeniem możesz zakładać własne rodziny, niezależnie od naszego związku. Po drugie – odgięła następny palec – jeśli zależy ci na zachowaniu aparycji w stanie obecnym, unikaj myśli typu: „Skoro nie jest prawdziwą kobietą, czy nie oznacza to, że nasze małżeństwo jest puste i bezsensowne?”, byłoby to bowiem negacją mojej formy i osobowości, które są w tej postaci doskonałe. Zapewniam cię, potrafię być niebezpieczna, jeśli ktoś mnie rozdrażni.

Ellonium skurczył się w sobie. Widok ten tak rozweselił Alyss, że głos jej drżał lekko, kiedy podjęła:

– Po trzecie, żeby zapobiec buntowi poddanych przeciwko naszej, jak mogą mniemać, nekromanckiej władzy, zorganizujemy prostą szopkę. Na pozór będziemy się starzeć i umierać, a nasze miejsca zajmą potomkowie, uderzająco do nas podobni, którzy następnie zestarzeją się i umrą, i tak dalej. Rozumiesz?

Potaknęła głową.

– Czasem będziemy sprawować rządy wspólnie, a czasem osobno. Twój syn na przykład, Ellonium II, będzie nieustraszoną wojowniczką, który odzyska z rąk Hord Mutantów Bagna Thomasiny, czyli te tereny, które z kolei ja, jako słaba, pustogłowa wdowa, pozwolę sobie odebrać po twojej „śmierci”.

Uśmiechnęła się do niego.

– Po czwarte... rany, Ellonium, to strasznie głupie pytanie. Oczywiście, że obdarzę cię nieśmiertelnością. Nie postrzegaj tego jednak w kategoriach czystego błogosławieństwa. Posiadasz mózg śmiertelnika, a co za tym idzie – twój umysł ma pewne ograniczenia. Po pewnym czasie znudzą cię perspektywy nieskończoności, ponieważ będą znajdować się poza zasięgiem twojego pojmowania. Do czasu, kiedy Jol... Do czasu, kiedy osoba, o której mówiłam, przybędzie i odejdzie, zatęsknisz zapewne za łaską śmierci. Ale sam podejmiesz decyzję. Po piąte: nie, nie jestem bogiem. Gdybym nim była, wszystko odbywałoby się nieco inaczej. Nie potrzebowałabym żadnych misji i podstępów. Niestety, bogowie upierają się przy kierowaniu swoimi Wszechświatami na własne sposoby, a w tym konkretnym spodobał im się pomysł poddania biegu wydarzeń wolnej woli śmiertelników. Osły. Jestem w stanie tylko nieznacznie wpływać na rozwój wypadków, na podobieństwo nauczyciela, który pomaga dzieciom zrozumieć zagadnienie, nie mogąc go jednak zrozumieć za nich. Po szóste, bardzo mi to pochlebia, jednakże chyba wyraziłam się jasno w tej kwestii. I nie zmienię zdania, przynajmniej przez następne kilka tysięcy lat. Jeśli czujesz się tym urażony, przyjmij, że jednym z minusów nieśmiertelności jest u kobiet odpowiednio długotrwały ból głowy.

Po raz kolejny musnęła jego umysł, wyławiając kolejne nowo uformowane pytania.

– Tak, nie przesłyszałaś się, mówiąc „wszechświaty”, użyłam liczby mnogiej. Teraz znajduję się w tym, gdyż jednocześnie znajduję się w każdym z nich. I nie, nie

obdarzę twojej matki nieśmiertelnością, będzie musiała sobie radzić jak każdy inny.

Wpatrywał się w nią bez słowa. Większość ludzi już dawno uciekłaby w nadziei zachowania choć resztek zdrowych zmysłów, lecz w trakcie rozmowy Alyss manipulowała umysłem Elloniuma, sprawiając, że wszystko, co słyszał, zdawało mu się zbyt atrakcyjne, by odejść.

– Dlaczego – wydukał w końcu – dlaczego chcesz, żeby ta osoba wykonała swoje zadanie?

– Ponieważ w innym wypadku Świat, a po pewnym czasie cały twój Wszechświat ogarnie Zło. Ten ktoś jest istotnym czynnikiem w zachowaniu Dobra oraz w kwestii Podziału.

– Ale dlaczego...? – urwał. Alyss przypatrywała mu się z czułością, kiedy z wysiłkiem szukał odpowiednich słów. – Dlaczego stoisz po stronie Dobra? Jakie to ma dla ciebie znaczenie, czy Światem rządzi Dobro, czy Zło, albo czy dojdzie do tego Podziału, o którym mówiłaś?

Uśmiechnęła się.

– Mogłabym ci wmawiać, że to dlatego, iż jestem chodzącym dobrem, ale pewnie byś mi nie uwierzył. Posiadam cechy, do których z grubsza przystawałoby określenie „dobre” w twoim rozumieniu, nie do końca jednak, albowiem ich prawdziwa natura pozostałaby dla ciebie niezrozumiała. Mogłabym ci też powiedzieć, że bóg, do którego należy świątynia, Ascidian, prosił, abym przybyła do tego raczej zapomnianego Świątka. Ale to też mijałoby się z prawdą. Tak czy inaczej, byłoby to przypisywaniem głębszych motywacji mojemu postępowaniu, którym zwykle kierują kaprysy.

Rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– I wiesz co, mój kochany Elloniumie?

– Tak, skarbie?

Zachichotała.

– Powiem ci, co w tym wszystkim jest najgorsze. I wiedz, że taką samą odpowiedź uzyskałbyś od każdego boga wymachującego flagą cnoty i dobroci, jak od pierwszego lepszego Mrocznego Pana, czy nawet samego Diabła zapytanego, dlaczego tak usilnie stara się rozsiać po Świecie Zło.

To fundamentalna prawda, dla mnie, każdego demona i każdego boskiego bytu zamieszkującego nieskończone ilości Wszechświatów, które składają się na polikosmos...

Ta straszliwa prawda jest taka, że nie wiem dlaczego.

SMOCZE SMACZKI

Archibald Marshall

Jedną z wielu przyjemności podczas tworzenia tej antologii było odkurzanie starych, przysypanych prochem niepamięci historyjek. Jestem pewien, że wiele osób uważa, jakoby humorystyczna odmiana fantastyki pojawiła się zaledwie kilkanaście lat temu, zapominając, jak ogromną spuściznę tego typu literatury pozostawili dawniejsi autorzy.

Archibald Marshall (1866–1934) jest właśnie jednym z takich zapomnianych pisarzy. Jego prace były mało znane nawet za życia, u zarania dwudziestego wieku. Najlepszymi dziełami tego autora są humorystyczne opowiadania kłujące ostrzem satyry we współczesne mu społeczeństwo. Wśród nich wyróżniają się niewątpliwie Upsidonia (1915), Wodehousian Peter Binney, Undergraduate (1905) czy Richard Baldock (1906). Zamieszczone tutaj opowiadanie zostało wydrukowane po raz pierwszy w roku 1898 w „The Royal Magazine” i o ile mi wiadomo, później nigdzie się nie pojawiło.

Archibald Marshall

ELIJAH P. JOPP I JEGO SMOK

I

Elijah P. Jopp był Amerykaninem z „tamtych stron”. Jakich? Nieistotne. Pracował w branży rozrywkowej. W każdym razie odkąd wszedł w posiadanie prawdziwego eldorado wśród cyrkowych okazów – ni mniej, ni więcej, tylko smoka. Nie krokodyla czy pomalowanego zieloną farbą i pozłotą aligatora, ale autentycznego średniowiecznego, ziejącego ogniem, królewnożernego smoka o ryku grzmiącym na mile – w każdym razie jeśli gad aktualnie nie miał na paszczy kagańca – oraz apetycie godnym kartaczożnicy Gatlinga.

Elijah P. Jopp znalazł dziwne jajo zupełnie przypadkiem, podczas poszukiwania złota w niepoznanych rejonach kraju. Byłby szczęśliwszy, znajdując duży samorodek, ale to tylko dlatego, iż nie podejrzewał, że znalezisko okaże się pięciokroć cenniejsze od bryły złota. W pierwszej chwili miał zamiar je wyrzucić, ale czuwała nad nim jego osobista szczęśliwa gwiazda, pod wpływem której włożył jajo do kieszeni. Nie znał się na jajkach, więc pewnie nie zrobiłby z nim nic szczególnego, gdyby szczęsne ciało niebieskie nie zadziało znowu. Za jego to podszeptem, gdy w fatalnym nastroju spowodowanym niepomyślnym

zakończeniem wyprawy po złoto Elijah P. Jopp wrócił do domu, włożył jajo do inkubatora.

Jajo nosił w kieszeni przez cztery miesiące. Z tego, co wiedział, kolejne cztery miesiące mogło też leżeć tam, gdzie je znalazł, aczkolwiek – czego nie wiedział – było to raczej ponad tysiąc lat. Szanse, że inkubator spełni swoje zadanie, wydawały się więc nikłe, jednakże Elijah nie znalazł się na inkubatorach, inkubator zaś był podobnym laikiem w kwestiach smoczyczych jaj, więc eksperyment się udał i w odpowiednim czasie doszło do pomyślnego wyklucia.

Pierwszy posiłek noworodka składał się z kurczących współlokatorów. Potem smoczątko wypaliło dziurę w zastępczej mamie i wyszło na wolność. Elijah miał zamiar wymierzyć mu za te zniszczenia najwyższy wymiar kary i uczyniłby to zapewne, gdyby wiedział, jak się do tego zabrać. Podjął próbę zastosowania umyślonych sankcji z wykorzystaniem siekiery, ale niemowlę kichnęło i niedoszły kat umknął na poparzonych nogach, podtrzymując resztki spalonych spodni. Dochodząc do wniosku, że lepiej zachować bezpieczną odległość od potworka, Elijah pobiegł do domu po rewolwer. Pierwsza kula rozpląszczyła się na pancernych łuskach jaszczura, druga odbiła, znajdując docelowe miejsce w oku jednej z krów. Po tym wypadku Elijah postanowił wybaczyć smoczątku, które nie miało mu zresztą za złe morderczych zapędów. Co więcej, obdarzyło go jeszcze większą sympatią, przekonane, iż zamachy przy użyciu siekiery oraz rewolweru były jedynie zabawą, próbą rozpędzenia nudy.

Wkrótce smoczątko zaczęło biegać za mężczyzną niczym piesek. Elijah nie karmił go jednak z ręki, bojąc się, że szybko stałaby się przekąską dla pupila. Poza tym smoczątko piekło swoje jedzenie, nim zaspokoilo apetyt. Metodą prób i błędów Elijah ustalił, że najrozsądniej przeprowadzać karmienie podopiecznego z odległości co najmniej pięćdziesięciu jardów, co w efekcie zaskutkowało wydatnym podniesieniem sprawności w miotaniu na dystans.

Szczęśliwie smok przywiązał się do Elijah, w innym wypadku bowiem mógłby sprawiać niemałe kłopoty. Smoczek miał jednak przyjazne usposobienie i po jakimś czasie opiekun mógł robić z nim, co zechciał, nawet karać za pomocą łomu, kiedy nagły wzrost śmiertelności noworodków w wiosce zaczął przyciągać uwagę towarzystw ubezpieczeniowych. Tak było u zarania życia smoka. Z czasem Elijah nauczył się skutecznie temperować podopiecznego i kiedy za spore wynagrodzenie dołączyli do wędrownego trupy cyrkowej, wychowanek ustatkował się, stając się godnym członkiem świata zwierzęcego, z ukontentowaniem akceptując podawane pożywienie, miast zdobywać je we własnym zakresie.

Podczas krajowego tournée z cyrkiem Elijah odłożył niezłą sumkę. Dobre czasy skończyły się jednak wraz z tajemniczym zniknięciem właściciela trupy. Nikt nie potrafił znaleźć wyjaśnienia tej sytuacji. Interesy szły dobrze, a w zespole panowała rodzinna atmosfera, czegoż chcieć więcej? Teorię samobójstwa rozpatrywano dokładnie na wszystkie strony, pozostawało jednak pytanie, gdzie w takim razie znajduje się ciało? Smok Elijah przejął się niezmiernie niefortunnym wydarzeniem, odmawiając pożywienia i śpiąc bez przerwy przez dwa dni. Niedługo

później w kątce jego klatki znaleziono łańcuszek oraz zegarek należące do właściciela cyrku. Powiedziano wtedy wiele przykrych słów, padły też nieprzyjemne oskarżenia. Elijah w imieniu smoka poczuł się niezwykle nimi zraniony i zagroził wdowie, że o ile ta nie odwoła ohydnych insynuacji, odejdzie i założy własny cyrk. Wdowa odmówiła, a Elijah wprowadził swe groźby w czyn, zarabiając na tym więcej niż w całym życiu.

Jakieś pięć lat po wykluciu smoka Elijah P. Jopp był w trakcie objazdu Europy, przyciągając tłumy wszędzie, gdzie dawał ze swoim podopiecznym przedstawienia. Smok był teraz najlepszym jego przyjacielem i chętnie uczył się coraz to nowych sztuczek. Elijah nabijał sobie fajkę, smok zaś mu ją podpalał. Elijah trzymał przed nosem smoka sztabę, czekając, aż ta rozgrzeje się do czerwoności, a później przekuwał żelazo w podkowy, używając grzbietu pupila jako kowadła. Na scenę przynoszono żywą owcę, rozchodził się silny zapach obiadowy, a po chwili owca zniknęła. Smok kończył pokaz rykiem (za pozwoleniem burmistrza i radców miejskich), a lokalni laryngolodzy w przeciągu roku kupowali domek na wsi, przechodząc na zasłużoną emeryturę.

Elijah i smok wiedli szczęśliwe życie, gromadząc majątek, aż pewnego ranka, po udanym przedstawieniu w miasteczku Black Forest, gdzie właśnie przebywali, Elijah odkrył po przebudzeniu, że pupil zniknął. Zaniepokojony obiegł całe miasteczko, bijąc na alarm – herold miejski robił to samo, bijąc w dzwonek – nikt jednak nie wiedział, gdzie podział się smok. Jednemu z radców zaginęła żona, ale to wszystko. Radca zachował się jednakże po dżentelmeńsku, nie podniósł krzyku, choć nawet gdyby zgłaszał jakieś zastrzeżenia, nie było żadnego dowodu łączącego smoka z tym niefortunnym wydarzeniem. Z okolicy nie dochodziły żadne słyuchy pozwalające snuć jakiegokolwiek teorie – smok po prostu zapadł się pod ziemię.

Elijah pogrążył się w rozpacz. Nie bolała go nawet tak bardzo utrata źródła dochodu, bo z pomocą smoka zdążył się już wzbogacić, jak brak przyjaciela, długoletniego towarzysza, ogniska rodzinnego, można by rzec, najważniejszej istoty w życiu. Pod wpływem nieugiętej woli mieszkańców miasteczka Elijah udał się na poszukiwania pupila, robił to jednak z ciężkim sercem, bowiem w duszy tkwiła mu zadra ostrzejsza niż smocze kły, zadra, której przyczyną stało się odejście ulubieńca.

II

Smok tymczasem wędrował niespiesznie, poczynając sobie zresztą całkiem dobrze, aż w końcu dotarł do królestwa Dummeleutii, gdzie osiadł na przyjemnym bagnisku nieopodal stolicy, Putzenheimu. Sąsiedztwo jaszczura stało się szybko odczuwalne, a parcele budowlane w okolicy zaczęły tracić na wartości. Smok zaś, zerwawszy więzy łączące go z cywilizowanym światem ludzi, powrócił do nawyków przodków, dziesiątkując populację Dummeleutii w zastraszającym wręcz tempie. Zupełnie stracił poklask zdobyty pod światłym kierownictwem opiekuna, stając się nie lada kłopotem. W roli okazji cyrkowego odniósł niewątpliwy sukces. W roli

przyczyny śmierci oraz miejsca ostatniego spoczynku w jednym – zdecydowanie przeholował.

Przez pierwszy tydzień od pojawienia się smoka mieszkańców ostrzegano przed zbliżaniem się do bagien. Dwa tygodnie później zachęcano ich do spacerów w tej okolicy, bowiem pozbawiony towarzystwa smok poczuł się samotny i wybrał na wycieczkę do miasta, w efekcie oszczędzając kilku szanowanym członkom społeczności wydatków na pogrzeb. Po miesiącu doświadczenia na własnej skórze smoczego apetytu problem stał się poważny, dlatego też wysłano armię; aby zająć czymś jaszczura. Pewnego słonecznego poranka przy wtórze trąbek i furkotu proporców ze stolicy wymaszerowały zastępy żołnierzy. Dzięki wyteżonemu wysiłkowi dotarły na bagna w porze późnopołudniowej. Smok był zachwycony. Pozostawiony sam sobie na tak długi czas, nareszcie miał do kogo otworzyć paszczę. W procesie jej otwierania uczestniczyła połowa dzielnej armii Dummeleutii, zaś pozostałych sześciu żołnierzy, powróciwszy nocą do Putzenheimu, złożyło rezygnacje ze stanowisk.

Po konsultacji z doradcami król wydał następujące obwieszczenie:

Poszukiwany:

Św. Jerzy do zabicia smoka.

Nagroda:

Tradycyjnie – ręka córki oraz połowa królestwa.

Ferdinand R.

W ościennych królestwach zapanowało wielkie poruszenie, gdy wieść gruchnęła, a gruchnęła głośno i z impetem. Zastępy książąt zjechały do Putzenheimu, gdzie noc w noc pili i bawili się na wystawnych bankietach wydawanych przez króla. Jednakże pod koniec miesiąca kuchnia pałacowa powróciła do wydawania lekkich kolacyjek oraz zapewniania gościom standardowego wikt i opierunku. Niektórzy książęta ujrzeli na własne oczy bestię, inni – królową. W obu przypadkach rezultat był taki sam. Żaden z junaków nie posunął się zbyt daleko w zadzierzganym znajomości z budzącą respekt potworą. Po przelotnym zapoznaniu szybko tracili zainteresowanie i albo uciekali, albo przynajmniej próbowali. Szlachetni książęta zawiedli.

Nadeszła kolej różnego rodzaju oryginałów. Nie zależało im na ucztach, a utrzymanie ich nie było tak kosztowne. Jeden z nich twierdził, że jest magiem i mógłby wyegzorcyzmować smoka. Nikt nie wiedział, jak miałyby się to odbyć, ale już po wszystkim zainteresowani zgodzili się, że to smok załatwił gros egzorcyzmowania. Inny oświadczył, iż mógłby wywabić smoka z królestwa za pomocą gry na flecie. Możliwe, że by mu się udało, ale kiedy zabrał się do ćwiczeń przed decydującym spotkaniem, mieszkańcy postanowili oszczędzić mu fatygi, przy okazji pozbawiając smoka kolejnego posiłku.

Następnym delikwentem, który postanowił spróbować swego szczęścia, był przedsiębiorczy kupiec z trutką na szczury. Zrezygnował z praw do części nagrody, oświadczając, że ponieważ posiada już żonę, zadowoli się połową królestwa. Gotów był też dostarczyć porcję specyfiku za darmo, w ramach reklamy. Wysłał jednego ze

swoich komiwojazerów, polecając mu użyć do pierwszej próby stu puszek trucizny. Komiwojazer nafaszerował owcę specyfikiem, po czym zostawił ją nieopodal smoczego legowiska. Smok cierpiał kilka dni na lekką niedyspozycję żołądka, ale przeżył bliskie spotkanie z „zabójczą” owcą. Co więcej, ku ogromnemu rozgoryczeniu komiwojazera trucizna chyba pobudziła bestię, która stała się jeszcze bardziej uciążliwa. Sprzedawca posłał do magazynu po tysiąc puszek i ich zawartością naszpikował wołu. Smok ochoczo pochłonął zaprawioną wołowinę, po czym znalazł człowieka odpowiedzialnego za podkładanie bydłęcych świń, komiwojazer bowiem stał nieopodal, czekając na efekt, jaki wywoła przekąska. Kupiec zamiast reklamy musiał umieścić w gazecie ogłoszenie o poszukiwaniu nowego pracownika, a całe przedsięwzięcie kosztowało go jedenaście tysięcy puszek produktu plus miesięczną rentę dla wdowy. Dziwacy zawiedli.

Król zwołał następną naradę.

– Tak dalej być nie może – rzekł lord szambelan. – Straciliśmy połowę armii, rzemieślnicy zamykają warsztaty. Wasza Wysokość musi podjąć zdecydowane działania, i to szybko.

– Podjęliśmy działania – odparł król. – I nic z tego nie wynikło. Wyznaczyliśmy wysoką nagrodę – rękę córki i połowę królestwa. Zrobiliśmy, co w naszej mocy – władca zawsze mówił o sobie w liczbie mnogiej. Uważał, że to bardzo wytworne.

– Jest coś, co zwykle robi się w takich wypadkach, a co w tym zrobione nie zostało – zaczął lord szambelan.

– Co to takiego? – zapytał król.

– Należy złożyć w ofierze królową.

Król popadł w zadumę.

– Naprawdę myślisz, że to pomoże?

– Tylko to nam zostało.

– Pomysł nie wydaje się taki zły – orzekł król. – Nie wiemy jednak, jak przyjmie to Jej Królewska Wysokość.

– Wasza Wysokość może jej nakazać.

– Tak... Oczywiście, możemy... Sploschstein, podejdź tu na moment. Ty jej to powiesz, dobrze?

– Cóż, Wasza Wysokość, chyba lepiej będzie, jeśli to wyjdzie od ciebie.

– Och, Sploschstein, pomyśl o uczuciach ojcowskich...

– Jeśli dojdzie do najgorszego, w ostateczności możemy zmobilizować armię, która ją tam zawlecze, nieprawdaż?

– Myślisz, że ci, co zostali, wystarczą?

– Sześciu dzielnych wojaków, kwiat żołnierstwa Dummeleutii, to za mało, by zatargać jedną starą...

– Ekhm...?

– ...Odeskortować jedną dziewicę te kilka mil za miasto?

– Hm, przypuszczamy, że może wystarczy... Zorganizuj to wszystko, Sploschstein, zrób tak, żeby było dobrze. Musimy się teraz oddalić. Piechotą, że tak to ujmemy. Do zobaczenia.

Lord szambelan zebrał się w sobie, przygotowując na spotkanie z królową. Ku jego uldze od razu podchwyciła temat. Spodobała jej się wizja białej szaty, kwiatów, zawodzących płaczków i możliwości wyboru ostatniego posiłku. Jako sentymentalna kobieta była niemal pewna, że święty Jerzy przybędzie jej na ratunek, wyrwie z paszczy smoka, a potem weźmie za żonę. Ogólnie rzecz biorąc, nie było problemów, żeby przekonać ją do pomysłu.

Król początkowo wzbraniał się przed rzucaniem jej na szyję przy pożegnaniu – chciał sprawę załatwić jak najszybciej – ale po delikatnym napomnieniu, że bez tego zepsuje całe przedstawienie, ustąpił pod presją.

Ceremonia zrobiła duże wrażenie. Dyrektor Opery Królewskiej dopracował ją w szczegółach, za co otrzymał entuzjastyczne recenzje na łamach prasy. Zebrano tuzin dziewcząt, które sypały kwiaty, a mała córeczka naczelnika stacji wręczyła królowie wspaniałą bukiet szklarniowych róż. Orkiestra grała, lecz wysiłki muzyków lepiej przemilczeć. Królowa bawiła się jak nigdy.

Pierwszy raz otaczano ją taką atencją i poświęcano tyle uwagi. Całe Putzenheim wyległo, aby ją pożegnać, aczkolwiek korowód szczupłał wraz ze zbliżaniem się do celu. Smok jednak nie pojawił się w zasięgu wzroku.

Po dotarciu na skraj bagna procedurę nieco przyspieszono, ale do drzewa królową przywiązano jak należy – Jej Wysokość wolałaby głąz, gdyby takowy w okolicy się znajdował – po czym król zakasał szatę i wrócił do pałacu tak szybko, jak dał radę. Szambelan i reszta dworu zgodnie dotrzymywali mu kroku.

III

Król jako pierwszy dopadł wrót pałacu – kuchennych, bowiem miał bardzo ubłocone nogi. Kiedy lawirował pomiędzy piecami, służący przekazali mu, że w holu, przy stojaku na parasole, czeka na niego jakiś mężczyzna.

– Jak się nazywa? – zapytał król.

Wytarłszy ręce w fartuch, kucharka wręczyła mu wizytówkę z napisem *Święty Jerzy*.

– Przybył – rzekł król. – Wiedzieliśmy, że przybędzie. Zaprowadźcie go do najlepszego salonu i rozpalcie w piecu – nakazał.

Poszedł na górę zmienić buty, po czym udał się do salonu, aby podjąć honorowego gościa.

– Święty Jerzy, jak sądzimy? – powitał przybyłego, wchodząc do komnaty.

– Owszem – odrzekł nieznajomy. Wysoki, z kocią bródką, odziany był w szatę sukienną, zaś na stoliku obok leżał jego słomkowy kapelusz.

– Przybyłeś tu, jak mniemamy, w sprawie smoka?

– Tak, dobrze mniemacie.

– Jesteś gotów uwolnić nasze królestwo od tej potwory?

– Bezzwłocznie, warunki mi odpowiadają.

– Pragniesz zatem nagrody, tak?

– Jak najbardziej.
– Pomyśleliśmy bowiem, że skoro to twój zawód...
– Nie wymiguj się, Fredek. Gdzie panna?
– Cóż, niestety, właśnie wydaliśmy ją na śmierć, ale...
– Co ty nie powiesz? Cóż za pech. Co ta biedaczka zrobiła?
– Nic nie zrobiła. Jest ofiarą dla smoka. Pomyśleliśmy, że jeśli ją poświęcimy, to może smok sobie pójdzie.

– Ha, zobaczymy, co na to smok. No, okaże się, kiedy tam dotrę.

– Tak, ale nie ma pośpiechu, prawda?

– To zależy. Masz tu gdzieś jej buźkę?

– Mamy jej fotografię zrobioną przez wędrownego artystę.

– Dawaj ją tu.

Król opuścił komnatę, aby spełnić prośbę Świętego. Wróciwszy, podał gościowi dagerotyp królowny.

Przez pobladałą naraz twarz Świętego przebiegł bolesny skurcz.

– A więc to ta królowna, tak? No to w takim razie stary ogniomiot może poczekać do jutra. Dobra, teraz królestwo. Przyniosłeś księgi?

– Są u głównego księgowego – zapewnił król. – Jesteśmy pewni, że z przyjemnością ci je okaże. Myślimy, że będziesz kontent.

– No to chyba się wybiorę odwiedzić gościa – zdecydował Święty Jerzy. – Nie ma pośpiechu. Jeśli wszystko jest w porządku, kopsnę się jutro na bagna, załatwię kłapacza i zdejmę wam połowę problemu z głowy.

Król nie miał nic przeciwko. Wyjaśnił Świętemu, jak trafić do lokum głównego księgowego.

– Sauerkrautstrasse – powiedział. – Trzeci dom. Nazywa się Braeside.

– Dobra. – Święty nasadził kapelusz na głowę i pozwolił królowi odprowadzić się do wrót.

Księgowego niezwykle ucieszyła wizyta wytwornego gościa. Od wielu lat przechowywał księgi królestwa, a utrzymywał je w najlepszym porządku. Święty Jerzy był pierwszym pretendentem do nagrody, który postanowił oszacować trofeum, przeliczając je na funty, szylingi i pensy. Zagłębiając się w szczegóły, konferowali z księgowym aż do późnej nocy.

– No – podsumował Święty po zakończeniu analiz. – Można na tym zarobić. Ale najpierw trzeba popracować. Zaczynam jutro. Klient chce wyników, a ja mam mu je zapewnić.

Z tymi słowy pożegnał głównego księgowego i wrócił do hotelu. Nie przyjął królewskiej propozycji noclegu w pałacu, nie chcąc, by władca wykpił się tanim kosztem.

Nazajutrz rano rozpakował zbroję i założył ją na siebie. Od stajennego w liberii wypożyczył wierzchowca – pół korony za pierwszą godzinę i dwa szylingi za każdą następną. Mieszkańcy wylegli tłumnie, aby go pożegnać, ale wymówił się od towarzystwa i na bagna wyruszył sam.

– No, dam ja bestii do wiwatu za tę ucieczkę – mruczał pod nosem po drodze. –

Ale pewnie ucieszy się, widząc swojego pana. Zabić smoka? Nie. Ale dopilnuję, żeby mi już nigdy nie wyciął takiego numeru.

Zbliżywszy się do celu, ujrzał wielkie osmolone drzewo. Do tego właśnie pnia przywiązano królową. Po ofierze nie było ani śladu, ale pod drzewem wylegiwało się rozciągnięte smoczysko.

Elijah P. Jopp, bo to on właśnie był dzielnym Świętym Jerzym, podjechał do smoka z bijącym sercem, wołając pupila wszelkimi imionami, jakie nadał mu od małego smoczka. Bestia poruszyła leniwie łuskowatym ogonem, ale wbrew oczekiwaniom nie podbiegła. Elijahowi serce zamarło. Spiął konia do galopu i zeskoczył z siodła przy drzewie. Smok łypnął zaszłymi mgłą ślepiami i polizałby go po ręce, gdyby nie to, że nie wolno mu było tego robić. Elijah natychmiast zrozumiał, że życie pupila dobiega kresu. Zrozpaczony padł na kolana, tuląc łeb bestii.

Z szacunku dla głębokiej żałoby na te kilka dramatycznych chwil należy spuścić kurtynę milczenia.

Kwadrans później Elijah podniósł się i otarłszy oczy, ruszył w drogę powrotną do Putzenheimu, zostawiając za sobą martwego przyjaciela. Biedny smok mimo żelaznego żołądka zdechł na skutek ciężkiej niestrawności po zjedzeniu królowy.

Tłum wiwatował, gdy Święty Jerzy, wjechawszy do miasta w swej lśniącej zbroi, ogłosił, że potwór, zmora Dummeleutii, zginął z jego ręki. Nikt nie domyślał się prawdy, nikt też nie miał za złe bohaterowi, że ten nie zdążył na czas, by ocalić królową. Nie była szczególnie lubiana, a dopóki żyła, wszyscy kawalerowie w odpowiednim wieku trwali w lęku, nie znając dnia ani godziny. Teraz mogli odetchnąć z ulgą.

Akt ustanawiający współnictwo Elijah'a i króla został sporządzony i podpisany następnego dnia.

Charles Partington

(ur. 1940r.) zajmuje się najróżniejszymi aspektami science fiction i fantasy od prawie czterdziestu lat. W roku 1963 wraz z Harrym Nadlerem założył amatorskie czasopismo o nazwie „Alien”, które później, w roku 1966, spróbowali przekształcić w profesjonalną publikację „Alien Worlds”. Brak środków finansowych uniemożliwił im kontynuację, chociaż w roku 1980 Partington podjął kolejną próbę. Tym razem był to dość anarchiczny magazyn o nazwie „Something Else”, w którym próbował podjąć nurt rewolucji, rozpoczętej kilka lat wcześniej przez Michaela Moorcocka w „New Worlds”. Z zawodu Partington jest drukarzem, lecz w latach osiemdziesiątych osiągnął sukces w rozpowszechnianiu nowych gier komputerowych. Sprzedał również kilka opowiadań z gatunku science fiction i horror. Serię rozpoczął The Manterfield Inheritance w roku 1971. Poniższe opowiadanie zostało napisane specjalnie na potrzeby tej antologii.

Charles Partington

CZELADNIK SMOCZEGO DOKTORA

Kell był przekonany, że gorzej już być nie może. Pędził w dół wąskim żlebem, mając z jednej strony krytą śniegiem przepaść, a z drugiej stromą skalną ścianę. Od stromizny aż kręciło się w głowie, a wycie wilków za plecami stawało się coraz głośniejsze. Kell czuł, że wygłodniała wataha dopadnie go lada chwila.

Potem Liss sapnęła z przerażenia i wyhamowała.

– Spójrz! – wykrzyknęła, wskazując na rząd ogromnych, głęboko odcisniętych w śniegu śladów, które ciągnęły się dalej wzdłuż krawędzi uskoku. Każdy ze śladów otoczony był wianuszkami wgłębień, jakby pozostawionych przez długie szpony, świetnie przystosowane do rozdzierania ciała.

– Co to takiego? – zawołał Tullo, zerkając z niepokojem nad ramieniem kobiety.

– To Fo–Go – odparła, drżąc na całym ciele.

Tullo obrzucił ją pustym spojrzeniem, jakże powszechnym wśród członków jego rodziny.

– Co takiego?

– Fo–Go! Yeti!

Kell, który bardziej obawiał się nadciągających wilków, błagał, by się nie zatrzymywali, ale było już za późno. W tymże momencie stworzenie rodem z najgorszych koszmarów wyłoniło się zza skały.

Był to Fo–Go. Mierzył sobie przynajmniej dziewięć stóp wzrostu, a jego ogromne człekokształtne ciało pokryte było zjeżonym szczeciniastym białym futrem, lecz bezwłosy, kryty brodawkami łeb, wyłupiaste oczy i skrzywione, wąskie wargi przywodziły na myśl raczej ogromną ropuchę. Kell odniósł wrażenie, że dostrzega

pewne podobieństwo Yeti do Tullo.

Fo-Go wzniosł potężne ramiona i wydał serię donośnych skrzeków, które poniosły się w mroźnym powietrzu. Za plecami Kell usłyszał skrzyp pazurów na śniegu i ciche, lękliwe skomlenie wilków, które nagle zatrzymały się na widok potwora. Jeden po drugim, z sierścią zjeżoną ze strachu, rzuciły się do ucieczki, wyjąc głośno i wpadając jeden na drugiego. Po chwili nie było po nich śladu.

Fo-Go zaryczał raz jeszcze, opuścił ramiona i wyciągnął je ku Liss.

Tullo, który nagle uświadomił sobie, że jest następny w kolejce, zajęczał głośno i w przyptywie paniki odwrócił się i usiłował precyzyjnie przycisnąć obok Kella. Niestety, ścieżka, którą biegli, była na to zbyt wąska, a śnieg zdradziecko śliski. Tullo stracił równowagę i zachwiał się nad skrajem przepaści. W desperackiej próbie odzyskania równowagi uchwycił się Kella i przywarł do niego ze wszystkich sił, walcząc o życie. Kell usiłował się zaprzeć, ale również się poślizgnął. Szczepieni stoczyli się ze ścieżki.

– Nie! – wrzasnął Tullo.

Liss otworzyła usta do krzyku. Wszyscy byli związani liną i brakowało dosłownie sekundy, by poleciała w dół w ślad za towarzyszami.

W tymże momencie Fo-Go opuścił gigantyczną stopę na rozwijającą się linę. Spadający Tullo oraz Kell zatrzymali się z gwałtownym szarpnięciem, grożącym wręcz połamaniem kości. Liss odetchnęła z ulgą.

Bestia sięgnęła w dół, pazurzastymi łapami pochwyciła linę i zaczęła wciągać męczyznę oraz młodego chłopaka z powrotem na ścieżkę z łatwością, jakby byli jedynie dwoma workami wypchanymi pierzem.

Bełkocząc niczym dziecko, Tullo uniósł głowę i spojrzał na Fo-Go. Kell odniósł wrażenie, że na wykrzywionej gębie potwora z wyłupiastymi oczyma dostrzega grymas przypominający uśmiech, ale uwaga Tullo skupiła się głównie na ociekających śliną szczękach. Zanim Kell zdołał zaprotestować, przerażony męczyzna wyrwał zza pasa nóż i przeciął linę. W migotliwej chmurze śnieżnego pyłu obaj zaczęli zsuwać się w dół. Z każdą sekundą nabierali prędkości, to na plecach, to głową w dół, to obracając się wokół własnej osi. W miarę jak zjeżdżali po zboczu, a mgła zaczęła gęstnieć, Kell dostrzegł, że zbliżają się do zasypanej śniegiem przepaści. Pędzili teraz szybko jak na toboganach.

Tullo machał rękami, jakby chciał się wznieść w powietrze. Kellowi przed oczyma przemykały ogromne pnie drzew i skały o krawędziach ostrych niczym noże, które zwiastowały los gorszy niż śmierć. Na wszelki wypadek młodzieniec trzymał nogi razem. Niespodziewanie lina nadziała się na coś ostrego i pękła z przeciągłym brzęknięciem. Kell i Tullo przemknęli po niewielkim wzniesieniu i wtedy ziemia zapadła się pod nimi. Kell zamknął oczy, widząc przelatujące dookoła gałęzie. Drobniejsze witki pękały z trzaskiem, rwąc jego ubranie, ale nagle młodzieniec zawisł jakieś dwadzieścia stóp nad ziemią. Desperacko przyłgnął do rozkołysanego konaru. Płatki śnieżnego puchu opadały miękko wokół niego. Potem gałąź pękła i ku swemu zdumieniu chłopak łagodnie, niemalże bezboleśnie upadł na mech. Poruszając się ostrożnie, Kell zdołał się dźwignąć i ku swej bezbrzeżnej uldze odkrył, że nie licząc kilku powierzchownych zadraśnień, nic mu nie jest. Nie złamał żadnej

kości.

Liss już na niego czekała.

Wybałuszył oczy zdumiony.

– Co ty tu robisz? – zapytał.

– Fo–Go mnie tu przyprowadził – odparła.

– Co takiego?

– Tak. – Uśmiechnęła się. – Okazało się, że potrafi biegać szybko jak wiatr.

Dotarliśmy tu przed wami. Ten stwór jest doprawdy bardzo przyjazny.

Znów się uśmiechnęła, jakby naszło ją miłe wspomnienie.

– Chciał nam tylko pomóc. To dlatego przepłoszył wilki. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego Tullo przeciął linę, podczas gdy on próbował was uratować.

Kell uniósł oczy ku niebu, ale wciąż niepewny siebie, rozejrzał się niespokojnie.

– Gdzie teraz jest? – zapytał.

Liss zerknęła za siebie.

– Och! – oznajmiła z przygnębieniem. – Znikł. Szkoda, wielka szkoda. To było tak ciepłe, przyjemne stworzenie. Może zraził się do Tullo.

– A właśnie, gdzie Tullo? – zapytał Kell. Z lekkim zdziwieniem zauważył, że przez twarz Liss przemknął beztroski, błogi uśmiech.

Wskazała na głęboką zaspę, z której wystawały dwie machające wściekle nogi. Wyglądało na to, że Tullo utknął na dobre.

– O, tam jest – oznajmiła.

Widok Tullo, który usiłował wydostać się z zasy, rozbawił Kella do tego stopnia, że ledwie mógł złapać oddech. Śmiech chłopaka okazał się zaraźliwy i Liss zawtórowała mu głośno. Minęło kilka minut, nim pozbierali się na tyle, by w ogóle pomyśleć o wyciągnięciu towarzysza z opresji.

Oczywiście okazało się, że Tullo nie jest w najlepszym nastroju. Nie odzywał się prawie wcale, włókł się za nimi i aż kipiał z tłumionej wściekłości. Jednakże nawet on się ożywił, gdy wyszli spomiędzy drzew i nagle znaleźli się w pobliżu niewielkiego miasteczka otoczonego szachownicą klarownie wytyczonych pól. Dla Tullo światła oznaczały tylko jedno.

– Tawerna! – wymamrotał dobrze zbudowany mężczyzna, oblizując ociekające śliną usta. – Nawet tu czuć piwo.

W chwilę później jęknął głośno:

– Ale przecież nie mamy pieniędzy!

I jak zwykle wylądował całą swą złość na Kellu. Bez ostrzeżenia uderzył go z całej siły i chłopak wylądował w rynsztoku. Brudne szmaty, którymi Kell owinał sobie głowę, zsunęły się, odsłaniając jego oczy.

– Spójrz tylko! – warknął Tullo, masując kłykcie. – Oto prawdziwy powód, dla którego wyrzucono nas z Alboru! Ten cholerny dziwak, syn twojej siostry! Szkoda, że nie urodził się martwy. Moglibyśmy pochować go razem z matką, co zaoszczędziłoby nam trudów.

Liss westchnęła bezradnie i pomogła chłopcu się podnieść.

– Ty również ponosisz część winy za to, że nas wygnano, Tullo – przypomniła

mu. – Wyrzucono nas między innymi za twoje kradzieże i pijackie rozróby. Ostrzegałam cię, że pewnego dnia do tego dojdzie.

Tullo zaklął i uniósł dłoń, chcąc uderzyć również i kobietę, ale wtedy coś przykuło jego uwagę. Miał wymierzyć cios, chwycił Liss za ramię i przyciągnął do domu częściowo wbudowanego w zbocze wzgórza. Do drzwi przybito ogłoszenie.

– Co tu jest nagryzmolone? – zapytał.

Liss uwolniła się z uścisku. Było tu ciemno, tak więc pochyliła się nad ogłoszeniem, ze zmarszczonymi brwiami studiując nieznanne sobie słowa.

Pomocnik potrzebny natychmiast!

Doktor Augustus Vem zatrudni młodego człowieka do pomocy przy ziołowym leczeniu istot czerwio- i zmijopodobnych oraz gadzich.

Od pomocnika wymaga się zręczności i chyżości.

Pytać w środku.

Wynagrodzenie: 30 koron.

– Trzydzieści koron! – stęknął Tullo. – O rany, to przecież niemalże roczny zarobek!

Wycelował palec w Kella.

– Oto twoja szansa, by nauczyć się fachu, młody człowieku, i zarobić przy tym kilka monet dla mnie i pięknej pani. No, to zasłoń oczy i wyprostuj się. Masz zrobić dobre wrażenie, chłopcze.

Czując, że lada chwila zostanie sprzedany w swego rodzaju niewolę, przerażony Kell zaczął się wycofywać, ale Tullo złapał go mocno za ucho i załomotał w drzwi.

Po kilku minutach otworzył wysoki mężczyzna. Miał długą, kozią bródkę i białe, spływające do ramion włosy. Wyglądało na to, że jest ubrany tylko i wyłącznie w czerń.

– Tak? – warknął, zerkając na intruzów przez drucziane okulary o grubych soczewkach. – Czego chcecie?

– Doktor Augustus Vem, nieprawdaż? – zapytał Tullo, udając respekt.

– Tak... Tak, nazywam się doktor Vem. – Obrzucił trójkę przybyłych nieprzyjaznym spojrzeniem. – Czego?

– Mam asystenta, którego szuka pan przez ogłoszenie na drzwiach, panie. – Tullo wyszczerzył zęby. – Sprytny młody chłopak, chętny do roboty jak mało który. A uczy się piorunem, panie. Piorunem!

Staruszek wyjrzał w mrok, mrużąc oczy skryte za okularami.

– Asystenta? A gdzie? Nie mówisz chyba o tym małym wypłoszu, co mu żebra nawet przez kurtkę można policzyć?

– Och, łatwo się pomylić co do naszego Kella, panie – rozczulił się Tullo. – Nie ma ani grama tłuszczu, co do tego się zgodzę, ale twardy ten nasz młodzian jak skała.

– Zjeżdżaj, idioto. Na nic mi się nie przyda.

– Ależ, panie!

– Dobranoc.

Doktor Vem próbował zatrzaskać drzwi, ale Tullo zastawił je stopą.

– A może byśmy się umówili na, dajmy na to, piętnaście koron?

– Co takiego? – Vem spojrział na niego z niedowierzaniem.

– To może chociaż dziesięć? – zaproponował Tullo, którego już ogarniała desperacja. – Przycisnęło mnie, wezmę dziesięć, co mi tam.

Doktor Vem wpatrywał się z niedowierzaniem w cuchnącego obdartusa, który nie chciał odejść sprzed jego drzwi.

– Chcesz, żebym to ja zapłacił tobie?

– No... – parsknął Tullo. – Na tym ogłoszeniu stoi, że trzydzieści koron, panie.

– Ty głupku! Tyle to ty masz mnie zapłacić! To opłata za wykształcenie asystenta i jego utrzymanie! Chłopcy przecież jedzą, no nie? Dalej, bierz ten brudny kulas z mojego progu, bym mógł wrócić do pracy.

Tullo jęknął. Nie tak dawno żył w raju, gdzie cała jego egzystencja sprowadzała się do chlania i zbijania bąków, a teraz, po bolesnym rozstaniu, był już tylko wygnańcem. Jego twarz wykrzywiła rozpacz. Odwrócił się ku swojej żonie.

– Ten chłopak przynosi pecha – rzekł. – Nie powinniśmy go zabierać. On przynosi pecha! Cholerne go pecha!

Znów parokrotnie zdzielił Kella w głowę, nie szczędząc ręki, aż chłopak padł na kolana. Szmatki znów zsunęły mu się z oczu, gdy Kell upadł w błoto, wpatrując się niemo w swego dręczyciela.

Doktor Vem sapnął z niedowierzaniem.

– Oczy... Oczy tego chłopaka... – wykrztusił.

– Aha – rzucił Tullo z rezygnacją. – Paskudztwo, no nie? To pewno jakieś tam złe dziedzictwo. Pewnie zła krew ze strony dalszej rodziny, jeśli chodzi o mnie. Widzieliście kiedyś coś takiego? Jedno czerwone, drugie zielone... No i patrzcie, panie, świecą się w mroku. To dzieło Diabła. Nie ma wątpliwości.

Lecz doktor Vem grzebał gorączkowo w kieszeniach swego płaszcza, aż wyciągnął z nich garść ciężkich złotych koron.

– Masz! – warknął. – Bierz to! Bierz wszystko! Musi tu być przynajmniej sześćdziesiąt koron!

– Co? – zaskoczenie Tullo nie miało granic. – Jednak chcesz szczeniaka?

– Tak! – warknął Augustus Vem, wciskając monety w brudne dłonie Tullo. – Sześćdziesiąt koron! To wystarczy? Mamy zgodę?

– Zgodę? – Nieogolone, obwisłe policzki zaczęły się powoli rozciągać w uśmiechu zadowolenia.

– Nie! – zaprotestowała Liss ze złością. – To niesprawiedliwe! Oddaj mu te pieniądze, draniu!

Nim Kell zdążył zrozumieć, co się naprawdę dzieje, doktor Vem złapał go za nadgarstek, zerwał worek z jego pleców i wciągnął go do domu. Huk zatrzaskiwanych drzwi rozbrzmiał echem niczym odległy piorun i wypisane na kartce papieru ogłoszenie w sprawie zatrudnienia asystenta sfrunęło niezauważone na ziemię.

Odgłos zatrzaskiwanych drzwi przywrócił Kellowi przytomność na tyle, by zaczął

stawiać wściekły opór. Kopiając i drapiąc, usiłował wyrwać się z uścisku doktora Vema, ale okazało się to niemożliwe. Wola i instynkt przetrwania u chłopaka nadal były potężne, ale po wielodniowej wędrówce przez góry, podczas której nieomal nie zamarł żywcem i nie umarł z głodu, w jego mięśniach nie było już siły.

Doktor Vem powlókł go przez szeroką sień, oświetloną migotliwymi płomykami lamp naftowych. Otworzył kolejne drzwi, wrzucił Kella do niewielkiej komnaty, którą potem zamknął starannie na klucz. Następnie odkuszykał bez słowa.

Kell nie miał wątpliwości, że został uwięziony. Obejrzał swą celę dokładnie, ale od razu odgadł, że ucieczka jest niemożliwa. Ciężkie drzwi zostały zamknięte, ściany wzniesiono z mocnego kamienia, a jedynym źródłem światła były niewielkie dziury wysoko na ścianie, przez które wpadały resztki blasku lamp z sąsiednich pomieszczeń. Nawet gdyby udało mu się wspiąć aż tak wysoko, nie zdołałby się przez nie przecisnąć. Jedynym meblem był wypchany sianem materac, przykryty szorstkimi kocami z wełny.

Kell opadł na materac, usiłując odpędzić złowieszcze fale rozpacz i litości nad sobą, nie chciał ulec ponurym uczuciom. Nie było to jednak aż takie trudne. Przez całe swe krótkie życie padał ofiarą złego traktowania i maltretowania. W Alborze nie miał prawdziwych przyjaciół. Dorośli w wiosce unikali Kella, a dzieciaki w jego wieku dokuczały mu bez litości lub zbierały się, by spuścić mu lanie. Na skutek tego Kell stał się samotnikiem. Nauczył się żyć wbrew przeciwnościom losu, od życia i ludzi oczekiwał tylko najgorszych rzeczy. Jedynie Liss okazywała mu przyjaźń i współczucie. Była jedyną osobą w całym jego beznadziejnym życiu, na której naprawdę mógł polegać. Teraz jednakże znikła nawet ona, gdy Tullo sprzedał Kella na służbę. Jego przyszłość prezentowała się gorzej niż kiedykolwiek wcześniej.

Chudziutkimi ramionkami chłopca wstrząsnął szloch, jego dolna warga zadrżała, ale powstrzymał się od płaczu. Płacz nigdy mu nic w życiu nie dał. Położył się na materacu i zamknął oczy. Fale zmęczenia ogarnęły go niemal natychmiast.

Zanim jednak pogrążył się we śnie, Kell usłyszał głośny łoskot odciąganych zasuwek i drzwi się otwarły. W progu stanął doktor Vem, a pokoik momentalnie wypełnił się smakowitym aromatem, od którego aż ślina ciekła.

– Pomyślałem sobie, że może jesteś głodny – powiedział doktor i pochylił się, by położyć przed materacem drewnianą tacę. – Masz tu miskę potrawki i trochę chleba.

Kell pokiwał głową bez słowa.

Po zniknięciu Vema chłopak usiadł i zaczął pochłaniać przyniesiony posiłek. Nie baczył na to, że gorąca potrawka parzyła mu wargi, darł chleb trzęsącymi się palcami i wpychał go do ust. Nie podarował najmniejszemu nawet okruszkowi. W końcu opuścił głowę na materac i zawinął się w ciepłe koce. Kilka minut później, gdy znajdował się już na krawędzi snu nachodziły go pierwsze majaki, wydawało mu się, że słyszy echo straszliwych ryków dobiegających z otchłani podziemi, krzyki i skargi niepojętych, niemożliwych do wyobrażenia bestii. Kell zadrzał, obrócił się do ściany i zapadł w sen.

Przed świtem doktor Vem cicho otworzył drzwi i wsunął głowę do pokoju. Z trudem dostrzegł postać nowego domownika, który pochrapywał zdrowo na materacu.

Chłopiec nie był jednak sam. Wokół niego czuwały cztery małe smoki, które uniosły kryte łuską łby, by przyjrzeć się doktorowi, zatrzepotały skrzydełkami i wysyczały ostrzeżenie. Ich zielone i czerwone ślepie lśniły fosforycznie w mroku komnaty.

Doktor Augustus Vem cicho zamknął drzwi.

– Ale jaja – powiedział do siebie, chichocząc.

Kell nie miał bladego pojęcia, jak długo spał, ale miał wrażenie, że od chwili zaśnięcia upłynęło wiele godzin. Usiadł z trudem, z jeszcze większym rozprostował ręce oraz nogi i aż jęknął, gdy strzeliły zeszywniałe stawy i zaprotestowały mięśnie. Niespodziewanie jego oczy rozwarły się szeroko, a ciało oblał zimny pot strachu.

Wiedział już, co go obudziło. Coś było wraz z nim w łóżku.

Szczury? Kell w ostatniej chwili opanował krzyk, który byłby go zdradził. Instynktownie podciągnął kolana pod brodę i aż zadrżał, ujrawszy kształt poruszający się pod rozrzuconymi kocami. Wytrzeszczył oczy. Nie, nie jeden kształt. Pełzały tam trzy lub cztery! Zapewne przyciągnęło je ciepło ciała.

Kell żywił uzasadnioną i zrozumiałą nienawiść do szczurów. O pewnych porach roku w Alborze aż się roiło od tych przenoszących choroby stworzeń, dorównujących wielkością niewielkim psom i nieznających uczucia strachu. Zabijały kurczaki, małe wieprzki, a nawet cieleta. Pozostawione bez opieki dzieci też nie raz były atakowane przez rojące się gryzonie, a gdy któreś zostało ugryzione, bywało, że śmierć następowała w przeciągu paru godzin.

Kell wiedział, że szczura sprowokować może każdy gwałtowniejszy ruch. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby się obronić, gdyż przemieszczające się wybrzuszenia pod kocami były coraz bliżej jego zawiniętych stóp. Dostrzegł jedynie pustą metalową menażkę, w której doktor Vem przyniósł mu zupę. Gdy sięgał po nią powoli, ostrożnie, dostrzegł kątem oka, jak dwa stworzenia wynurzyły się spod koców i pomknęły po podłodze, by wspiać się po ścianie i wreszcie zniknąć w jednym z umieszczonych wysoko otworów. A zatem tędy się tu dostały.

Kell pochwycił ciężką misę i uniósł ją nad głową, nie spuszczać oczu z pozostałych dwóch intruzów. Te zaś beztrudnie buszowały wśród poszewek, wydając rozmaite dziwne pogwizdywania i trajkoty. Gdy nagle oba zamarły, Kell napiął mięśnie, gotów przyłożyć pierwszemu, który wystawi głowę spod koca.

W tym momencie jednak doktor Vem otworzył drzwi i utykając, wszedł do pokoiku. Jego ascetyczną twarz niespodziewanie wykrzywiła udręka, gdy ujrzał, do czego szykował się Kell.

– Nie! – wykrzyknął. – W imię Potrójnego Słońca, odłóż tę misę, chłopcze!

– Ale szczury... – zawołał Kell.

– Szczury? – powtórzył zdumiony Augustus Vem. – A gdzie?

– Tu! – Kell wskazał na wypukłość pod kocem, która na nowo rozpoczęła myszkuje.

Doktor Vem pochwycił za róg okrycia i ściągnął je z posłania jednym potężnym szarpnięciem.

– To nie szczury, chłopcze – oznajmił. – To smoki.

Kell był zdumiony bezgranicznie, aż mu szczęka opadła. Nie mógł uwierzyć w to,

co widział. U dołu materaca dostrzegł bowiem dwie kulące się drobne istotki, których istnienie wydawało się całkiem niemożliwe.

Nigdy nie widział czegoś takiego. Większe ze stworzeń mierzyło sobie jakieś dziewięć cali od czubka podłużnego pyska aż po końcówkę wijącego się wściekle najeżonego kolcami ogona. Mniejsze było mniej więcej połowy tych rozmiarów. Ciało obu stworzeń pokrywała zielona, opalizująca łuska. Miały po cztery pazurzaste łapy i skórzaste skrzydła podobne do nietoperzowych, przypominały Kellowi jaszczurki trawiaste lub wodne żółwie, które wygrzewały się na wysokich skałach w pełni lata w Alborze. Wtedy Kell dostrzegł ich oczy i to odkrycie doprawdy go zszokowało. Smoki miały po jednym zielonym i po jednym czerwonym oku. Po chwili doszedł do wniosku, że oba miały półksiężycowe fałdki, które zamykały się z boku i nawilżały oko jak powieki. Doprawdy nie różniły się niczym od oczu Kella.

Smoki?

Miska na zupę wypadła z jego zdrętwiałych, pozbawionych czucia palców i z głośnym brzękiem uderzyła w kamienną podłogę. Drobne stworzonka zeskoczyły z materaca i pognały ku ścianie. Ćwierkając na alarm, pomknęły w górę i znikły w jednym z otworów.

– Smoki – powtórzył Augustus Vem, a potem odkaszlnął. – Czy mam rozumieć, że ty jeden ze wszystkich ludzi na świecie nigdy nie widziałeś takich istot?

Oszołomienie na twarzy Kella było aż nadto wystarczającą odpowiedzią.

– Rozumiem – tym razem to doktor Vem nie mógł oprzeć się zdumieniu. – Czy możesz opowiedzieć mi coś o swoich rodzicach, Kell?

Kell skrzywił się z bólu.

– Mojej matki nie poznałem nigdy – odpowiedział z niechęcią. – Umarła krótko po moim urodzeniu. Wychowywała mnie ciocia Liss, która mówiła, że matka była piękną kobietą.

Vem pokiwał głową.

– A co wiesz o swoim ojcu? – zapytał.

Kell milczał przez moment.

– Nigdy go nie spotkałem, a Liss nie powiedziała ani słowa na jego temat. Ale ludzie we wsi mawiali...

Widać było, że niespodziewanie zaczął się czuć niezręcznie.

– Co takiego mawiali, Kell?

– Że ojciec był potworem. Że był inny od reszty ludzi. Mówili, że miał takie same oczy jak ja, ale nie była to jedyna różnica.

Doktor Vem odczekał chwilę, a potem rzekł:

– Ostatnie pytanie?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Czy wieśniacy wiedzieli, skąd pochodził twój ojciec?

Ramiona Kella obwisły.

– Mój ojciec żyje w niebie. Wszyscy w Alborze to wiedzą.

Krzaczaste brwi doktora Vema wygięły się, znamionując ogromne zaskoczenie. Pokiwał głową z mądrą miną, a potem, kładąc tobolek ubrań na łóżku, powiedział:

– Te ubrania są dla ciebie. Należały do Jeda. Nic szczególnego, ale przynajmniej lepsze są od szmat, które masz na sobie.

– Kto to jest Jed? – zapytał Kell, wpatrując się w ubrania podejrzliwie.

– Cóż – odkaszlnął doktor Vem. – Jed to mój były uczeń. Był uparty i miał bardzo silną wolę, bez przerwy dokuczał smokom, zawsze płatał im drobne psikusy, jak sam to nazywał. Ostrzegałem go, by tego nie robił, bałem się, że nie skończy się to dobrze, ale ten uśmiechał się jedynie i ani myślał przestać...

– I co się z nim stało?

Doktor wyglądał na zażenowanego.

– Obawiam się, że jeden z większych smoków... Cóż, jak by to ująć... No, zjadł go.

– Co takiego?

Doktor pokiwał głową.

– To było okropne. Na niebiosa, nie wiem, co powiedzą jego rodzice, jeśli kiedykolwiek po niego powrócą. Nie sądzę jednak, by przyszło im to do głowy. Pozbyli się syna z ulgą. Wątpię, czy w tej rodzinie było dużo miłości.

Z tymi słowami umieścił tobolek na łóżku.

– Możesz je nosić, Jed na pewno nie będzie już ich potrzebował. Będę w pracowni na końcu korytarza – dodał, zanim zamknął drzwi. – Gdy będziesz gotów, oprowadzę cię po domu i objaśnię niektóre z twoich nowych obowiązków.

Przez jakąś minutę po wyjściu doktora Kell nawet się nie poruszył. Jakiś chłopak został pożarty! Przecież to okropne! Z otworów dobiegło echo odległego ryku, od którego Kella przeszły ciarki. Chłopak uniósł spojrzenie i zadrżał. Postanowił sobie, że przy pierwszej nadarzającej się okazji ucieknie z tego domu wariatów.

Ubrania Jeda były ciepłe i nadawały się do noszenia, choć spodnie w pasie były odrobinę za szerokie. Kell zacisnął pasek aż po ostatnią dziurkę, dopiero potem uchylił drzwi i wyjrzał. Po prawej widział zamknięte, zaryglowane drzwi frontowe, po lewej otwarte drzwi pracowni doktora Vema. Kell ostrożnie wyszedł na korytarz i zaczął się skradać w kierunku drzwi frontowych. Jeśli uda mu się do nich dotrzeć, może też zdoła je jakoś otworzyć i...

– Jesteś tam, Kell? – Vem stanął za jego plecami i przywołał go kiwnięciem palca. – Jesteś gotów, by zacząć?

Tego pierwszego poranka Kell dopiero zaczął zdawać sobie sprawę, jak daleko dom doktora Vema wnikał w zbocze wzgórza. Schludny korytarz o ścianach krytych bogato zdobionymi panelami wkrótce przerodził się w ciemny, wilgotny tunel wryty w twardej skale, w którym niosły się słabe podmuchy wiatru. Kell usiłował zapamiętać wszystko, co widzi, każdy zakręt i każde skrzyżowanie, w nadziei, że pomoże mu to w realizacji planów ucieczki.

Doktor Vem jednakże wydawał się czytać w jego myślach.

– Nie zalecałbym samotnych wędrówek w tym miejscu, młody człowieku. Łatwo tu zablądzić. No i jeszcze te smoki...

Kilkakrotnie Kell odniósł wrażenie, że w cieniach coś się porusza i przemyka, wydawało mu się, że słyszy wściekle bicie skórzastych skrzydeł. Parę razy jakies stworzenie chyba przemknęło tuż nad jego głową.

– To tylko małe smoki – wyjaśnił doktor Vem. – Wygląda na to, że bardzo się tobą zainteresowały. Wieść o twoim przybyciu poniesie się błyskawicznie w całym stadzie.

Uniósł pochodnię wyżej, oświetlając ziejące mrokiem dziury w ścianach tuneli, stanowiące wejścia do większych komór.

– No, dotarliśmy na miejsce, Kell. Czas zabrać się do roboty.

– Co? – Kell skrzywił się z niedowierzaniem.

– Och, nie musisz się niczego obawiać – zachichotał doktor Vem. – Żadna z tych norek nie jest chwilowo zamieszкана. Moi pacjenci są zakwaterowani w innym skrzydle. Te jednak należy jak najszybciej odgnoić. Potrafisz się tym zająć, nieprawdaż?

– Odgnoić? – zawahał się Kell.

– Otóż to. – Doktor wcisnęła mu zardzewiałą łopatę do ręki. – Możesz zacząć od napelnienia tych tutaj.

Kell wybałuszył oczy. Doktor Vem wskazywał wielką stertę pustych worków, ułożonych w rozklekotanej drewnianej taczce. Wchodząc ostrożnie do komory, doktor zdjął lampę zawieszoną w ścianie. Wilgotny knot zaskwierczał i prychnął kilkakrotnie, ostatecznie zajmując się ogniem. W chwilę później płomień uspokoił się i rozjaśnił najbliższe otoczenie.

– O, proszę, mnóstwo światła – powiedział doktor Vem, odwieszając latarnię na miejsce.

Kell spojrzał niepewnie w mrok rozbrzmiewający najróżniejszymi odgłosami. Po ciasnym tunelu z niskim sufitem pomieszczenie, w którym się właśnie znalazł, wydawało się gigantyczne. Z wysoko sklepionego sufitu zwisały połyskliwe stalaktyty z przezroczystego kamienia, powoli ociekające kroplami wody. Podłoże pokrywała zaś gruba warstwa odrażającego czarnego szlamu. Jak okiem sięgnąć wszędzie widać było ślady pazurzastych łap, głęboko odcisnięte w cuchnącym gnoju. Tu i ówdzie seria ostrych maźnięć wskazywała miejsce, gdzie spoczywał ciężki, kolczasty ogon.

Kell przestał się wpatrywać w ślady i zerknął na własne stopy, próbując oszacować różnicę. Znów ogarnął go niepokój.

– Jak duże wyrastają te smoki? – zapytał w końcu.

– Och, są dość duże – odparł tamten.

– Bardzo duże?

– Taaak – kiwnął głową doktor Vem. – Bardzo duże.

Utykając, ruszył z powrotem tunelem.

– Do zobaczenia za godzinę.

– Za godzinę? – jęknął Kell.

– Nie wystarczy ci? – zapytał doktor, czym zdradził się, że kompletnie nie zrozumiał nut bólesci w głosie Kella. – No, w sumie to chyba masz rację. Gnój tu sięga na kilka stóp w głąb. Niech więc będą trzy godziny.

Gdy kroki doktora ucichły w oddali, Kell westchnął i na próbę przebił czubkiem łopaty twardą skorupę, która powstała na oborniku. Smród o niewyobrażalnej

wprost mocy zaatakował nozdrza chłopaka. Kaszłąc, Kell cofnął się przerażony. Z oczu popłynęły mu łzy. Nawet płomień latarni buchnął żywiej i na chwilę zmienił kolor na niezdrowy błękit. Kell rzucił łopatę.

Dobra, pomyślał. Dość tego.

Nie miał już zamiaru nawet dotykać tej przeklętej łopaty! Doktor Vem może sobie roić, że zadaniem Kella jest praca – głównym priorytetem chłopaka było jednak znalezienie drogi ucieczki z tego nieprzyjemnego miejsca.

Ledwie kilka kroków od latarni w tunelu rozlewała się atramentowa ciemność. Kell chciał uniknąć kolejnego przypadkowego spotkania z Vemem, zdecydował się więc zbadać idący w dół tunel prowadzący w przeciwnym kierunku niż do domu. W mroku chłopak wymacał ściany wąskiego przejścia. Zrobił zaledwie kilka kroków, gdy włosy na głowie zaczęły stawać mu dęba. Intuicyjnie wyczuł niebezpieczeństwo, wyczuł, że coś blokuje tunel przed nim. Coś tam czekało, przyciało się w mroku. Kell słyszał już powolny oddech przypominający ruch miechów. Potem otwarło się dwoje oczu, ogromnych niczym talerze, jedno czerwone, drugie zielone. Smok. Jego szczęki rozdziawiły się szeroko, lśniące kły odbiły słaby blask odległej latarni. Potem potwór wyrzycał ostrzeżenie.

W zamkniętej przestrzeni hałas był ogłuszający. Kell krzyknął z bólu, zatkał dłońmi uszy i rzucił się do ucieczki, a potwór pognął za nim. Łomot jego stóp wydawał się wstrząsać ścianami korytarza i Kell spodziewał się, że lada chwila poczuje, jak ogromne szczęki zaciskają się na jego ciele.

Wiedząc, że nie jest w stanie długo uciekać przed smokiem, chłopak uskoczył z powrotem do cuchnącej celi w desperackiej nadziei, że bestia nie zdoła na czas zwolnić i przebiegnie dalej. Próżne nadzieje. Smok zarył szponami w ziemię i ze zgrzytem zatrzymał się tuż przy wejściu.

Kell naraz uświadomił sobie, że utknął na dobre i że jego czas dobiegł końca. Pchnięty przerażeniem przebiegł po cuchnącej mazi aż pod przeciwległą ścianę. Smok jednakże pozostał na zewnątrz. Z głośnym sapnięciem rozparł się na brzuchu i ułożył swój jaszczurzy łeb między łapami z rozcapierzonymi pazurami, przyglądając się Kellowi z uwagą psa pasterskiego śledzącego zbłąkaną owcę lub lwa wodzącego wzrokiem za trzęsącą się ze strachu ofiarą. Starczyło, by chłopak choćby spróbował podejść do wejścia, a smok unosił łeb i wydawał niski, głuchy pomruk niezadowolenia, po czym obnażał straszliwe kły w groźnym grymasie.

Kell zrozumiał przekaz.

Smok nie miał zamiaru pozwolić mu gdziekolwiek iść.

Jak zwykle pragmatyczny, Kell ze zrezygnowaniem namacał drzewce łopaty, wyciągnął ją i zabrał się do pracy. Smród był przerażający. Smok na pół zamknął ślepią i zaczął wydawać pełne ukontentowania, chrapliwe sapnięcia. Kell mógłby przysiąc, że bestia mruczy jak kot.

Kiedy Augustus Vem powrócił kilka godzin później, Kell zdołał opróżnić celę z łajna aż po twardą kamienną podłogę. W trakcie pracy przesiąkł jednak smrodem i ubrudził się gnojem, przedstawiał więc sobą doprawdy smutny widok. Wypełnione wilgotnym łajnem worki tworzyły stos w jednym z kątów.

Doktor Vem podrapał smoka za uszami, a potem przegonił go z drogi. Uśmiechnął się do przemoczonego chłopaka.

– Dobrze, chodź już, Kell – powiedział z uśmiechem. – Teraz trzeba by cię wymyć.

– Gdzie idziemy? – spytał ze zmęczeniem Kell.

– Chodź po prostu za mną, pokażę ci drogę. – Doktor zakrył nos chusteczką. – Ale nie trzymaj się za blisko, dobrze?

Ruszyli tunelem wraz ze smokiem, który kroczył spokojnie za nimi.

Gdy szli wijącym się tunelem coraz głębiej do wnętrza wzgórza, usłyszeli chaotyczną mieszaninę odgłosów, z początku przypominającą szept, który z czasem przerodził się w prawdziwą wrzawę. Hałas sięgnął zenitu, gdy doktor i chłopak pokonali kolejny ostry zakręt i niespodziewanie weszli do wielkiej jaskini. Sklepienie owej stworzonej przez naturę komnaty znajdowało się na wysokości jakiegoś tysiąca stóp, a przez znajdujący się tam niewielki otwór widać było niebo i rozsypane odległe gwiazdy. W dole natomiast rozciągała się kamienista plaża oraz nieustannie wzburzone jezioro. Bąble gorących gazów, najróżniejszej wielkości, bez przerwy unosiły się ku powierzchni kotłującej się wody. Mniej więcej na środku tafli, dokładnie poniżej otworu w suficie, z głębin strzelały syczące języki ognia, śląc naokoło ogniste rozbłyski, a ku górze wijące się kolumny dymu.

Podziemne wulkaniczne jezioro w istocie było widokiem niespodziewanym, ale zaskoczony Kell skupił uwagę przede wszystkim na smokach, z których wiele pływało lub po prostu leniwie unosiło się w ciepłych wodach. Kolejne wypoczywały na pokrytym skorupą soli brzegu. Najwyraźniej nieporuszone ani buchającymi płomieniami, ani też niemalże wrzącą wodą, cztery ogromne bestie dryfowały na środku jeziora. Gdy jedna z tych bestii powoli rozpostarła skrzydła, Kell rozdziawił usta z jeszcze większego zdumienia. Dostrzegł bowiem wiele pomniejszych smoków, które nurkowały i wystrzeliwały z toni niczym zimorodki. Zauważył bestie rozmaitych typów. Niektóre wydawały się pokrewne wijącym się uskrzydłonym węzom, podczas gdy inne były ciężkie i potężnie umięśnione, uzbrojone w ostre pazury i straszliwe szpony. Niektóre odznaczały się jaskrawo ubarwioną łuską, inne zaś natura obdarzyła jałowymi odcieniami zieleni i szarości. Kell dostrzegł nawet jednego, który był olśniewająco biały, ale każdy z nich miał jedno oko czerwone, a drugie zielone. Zupełnie tak jak on.

Dwa mniejsze smoki, rozmiarów mniej więcej srok, sfrunęły ze skalnej półki, by się przyjrzeć chłopakowi. Wrzasnęły przenikliwie z podniecenia, przemykając na wibrujących skrzydłach zaledwie cale przed jego nosem. Potem zaaferowane przeleciały nad taflą, przekazując wieści o swoim odkryciu reszcie smoków. Powierzchnia jeziora wzburzyła się nagle – inne, większe smoki ruszyły bowiem ku wąskiemu odcinkowi plaży, gdzie stał Kell z doktorem Vemem, a powietrze aż zawirowało, gdy nadleciały pozostałe. W ciągu kilku raptem minut niemalże wszystkie smoki zgromadziły się na plaży, przepychając się, by możliwie najbliżej podejść do Kella. W obawie, że zostanie zmiążdżony, chłopak cofnął się, ale doktor Vem złapał go za ramię.

– Wszystko w porządku, Kell – wykrzyknął. – One są po prostu ciekawskie! Nie zrobią ci nic złego! Chodzi o twoje oczy, są nimi zdumione w tym samym stopniu co ja!

Cztery największe smoki nadal pływały na środku jeziora, jakby uczestnictwo w dzikiej przepychance było poniżej ich godności. Niespodziewanie jednak zaczęły wymachiwać ogromnymi skrzydłami, mknąc po powierzchni jeziora na podobieństwo kaczek czy łabędzi, usiłując poderwać swe ciężkie cielska do lotu. W końcu udało im się wznieść i sunęły przez moment bez wysiłku nad falami, po czym zataczając powolne kręgi, poszybowały ku otworowi w sklepieniu. Jeden ze smoków odwrócił łeb i spojrzał w dół, wydając upiorny, rozbrzmiewający echem ryk.

Smoki stłoczone dookoła Kella natychmiast uniosły łby i odpowiedziały wrzawą podekscytowanych ryków i gwizdów, a potem poderwały się do lotu niczym stado spłoszonych ptaków. Po upływie paru sekund wszystkie znikły w dziurze.

Na kamienistym brzegu pozostał tylko jeden smok. Osamotniony i smutny kołysał stareńką głową i z żalem spoglądał ku górze. Kell rozpoznał go w jednej chwili. Był to ten sam smok, który pilnował go przez całe rano.

– Dlaczego nie odleci wraz ze wszystkimi? – zapytał, niespodziewanie uświadamiając sobie, że współczuje zasmuconej bestii.

– Nie jest w stanie – odparł doktor Vem. – Olm dotarł tu z pozrywanymi ścięgnami skrzydeł ponad dwa lata temu. Udało mi się zaleczyć fizyczne obrażenia, ale z jakichś powodów nie kwapi się, by wzbić się do lotu. Zaczynam podejrzewać, że nigdy już nie skorzysta ze swoich skrzydeł.

– A reszta? Wróć tu? – zapytał Kell, spoglądając ku otworowi w skale.

Doktor Vem pokiwał głową.

– Gdy będą gotowe. Kilka z nich pewnie nie wróci, ale ich miejsce zajmą nowe.

– Dokąd lecą? – zastanawiał się na głos chłopak.

– Dość już tej gadaniny jak na jeden dzień, Kell – przerwał nagle doktor. – Mam pracę do wykonania. Olm zajmie się tobą, póki tu będziesz, ale najpierw chciałbym cię ostrzec. Gdy wejdiesz do wody, zawsze trzymaj się blisko brzegu. Już kilka kroków dalej temperatura i koncentracja minerałów może wzrosnąć do niebezpiecznego poziomu. Uważaj więc. Olm da ci znać, gdy nadejdzie czas powrotu.

Kell zaczekał, aż utykający doktor Vem znajdzie się wśród cieni tunelu, a potem zszedł nad samą wodę. Kopnięciami strącił buty z nóg, a potem wszedł do wody po kostki. Była ciepła. Bardzo ciepła. Od jego ostatniej kąpieli, która zresztą miała miejsce w lodowato zimnym górskim strumieniu, upłynęło już wiele dni, lecz ta woda wydawała się wprost wspaniała. Chłopak zanurzył się aż po klatkę piersiową, rozłożył ręce i zaczął unosić się na powierzchni. Czuł, jak po jego skórze przemykają przyjemne dreszcze. Zmęczenie stopniowo ustępowało z jego mięśni, masowanych wirującymi, bulgoczącymi prądami, a zastępowało je znakomite samopoczucie. Olm unosił się na powierzchni tuż obok, mrugając swymi tajemniczymi, zagadkowymi oczami i poruszając szczątkowymi uszami. Niespodziewanie zgiał ogromne cielsko i zanurkował tylko po to, by dla żartów wynurzyć się pod chłopakiem i wynieść go ponad powierzchnię na własnym grzbiecie. Kell wrzasnął z uciechy. Przez chwilę

baraszkowali w wodzie, aż Kell się zmęczył i wyszedł z jeziora. Na brzegu natknął się na skalną półkę, porośniętą dywanikiem miękkiego mchu. Rozłożył rzeczy, by wyschły, a potem wyciągnął się na półce. Nie minęło nawet kilka minut, a już zapadł w sen.

Z błogiej drzemki wybudziła go seria szturchnięć. Minęła dłuższa chwila, zanim ze zdumieniem chłopak uświadomił sobie, że stoi za nim Olm. Smok szturchał go pokrytym łuską nosem z taką energią, że niemalże zrzucił Kella z półki.

– Ejże, daj mi spokój – wymamrotał chłopak sennie, a wtedy smok rozwarł szczęki i upuścił ubrania u stóp młodzieńca. Przesłanie było oczywiste. Czas się zbierać.

Kell ubrał się, po czym niespokojny Olm popędził go korytarzem, parskając i pokazując kły za każdym razem, gdy chłopak próbował zajrzeć do któregoś z mijanych po drodze tuneli. Niewielkie podskakujące światełko, które ujrzeli w oddali, po chwili okazało się latarnią niesioną przez doktora Vema.

– Gdzieś ty się podziewał, Kell? Już zacząłem podejrzewać, że stało się coś złego! – zawołał doktor, najwyraźniej poirytowany, po czym z całej siły wymierzył Olmowi klapsa w pysk. Smok zasyczał groźnie, jakby chciał się na niego rzucić, ale w tejże chwili odwrócił się, przyciskając Kella do twardej ściany tunelu, i ruszył z powrotem do jeziora.

Doktora Vema nie poruszyło to wcale.

– Dobrze, chodź za mną, Kell. Praca na nas czeka.

– Jaka praca? – zapytał chłopiec, usiłując odzyskać oddech.

– Drobną kwestia związana z opanowaniem plagi robactwa – z rozdrażnieniem odparł doktor.

Kell usłyszał zawodzący ryk wysoko w górze.

– Myślałem, że wszystkie smoki, nie licząc Olma, odleciały.

– Parę zostało – odparł Augustus Vem. – Te, które najbardziej potrzebują leczenia.

W okrągłej celi z zapadłą kamienną podłogą oczekiwał na nich żałośnie wyglądający smok. Jego łeb w kształcie klina opadł bez sił na ziemię, a rozdwojony, krępy ogon przesunął się rozpaczliwie z boku na bok. Na oczach Kella smok zaczął się drapać. Tak naprawdę jednak to nigdy drapać się nie przestał. Zgrzyt pazurów pocierających o łuskę brzmiał niczym stukot gradu odbijającego się od liści drzewa *ticcari*.

– Co mu dolega? – zapytał chłopak.

– Pchły – padła odpowiedź. – Smocze pchły. Twoim zadaniem będzie się ich pozbyć.

– Jak?

– W pierwszej kolejności – rzekł doktor, podsuwając latarnię do czegoś, co przypominało zwój sieci rybackich zawieszonych na haku na ścianie – założysz to tutaj.

– Po co? – Na twarzy chłopaka pojawiło się zdumienie.

– Dla bezpieczeństwa.

Owe sieci rybackie okazały się koszulą z długimi rękawami, parą butów oraz hełmem, z tym że każdy z tych elementów ubioru wykonany był z kółek ze sztywnego drutu. Kółka były tak drobne, że w środek nie wszedłby nawet czubek ostrego noża. Kell z niechęcią przywdział dziwaczny ubiór. A chociaż miał na sobie grube wełniane spodnie i wełnianą koszulę, metalowy strój obcierał mu skórę i ograniczał ruchy. Był daleki od zachwytu.

– Czy to wszystko naprawdę konieczne, doktorze? – zapytał.

– Chcesz przeżyć ten zabieg, prawda? – odparł doktor Vem.

Na innym haku wisiał rdzewiejący nóż o szerokim ostrzu, który przypominał maczetę, oraz żelazny łom zakrzywiony na końcu. Doktor zdjął oba narzędzia i podał maczetę Kellowi. Podchodząc do smoka, który przyglądał im się mętnymi z bólu oczami, Vem powiedział:

– No, to miej ostrze w pogotowiu, Kell!

– Dlaczego? Co ma się wydarzyć?

– Sam zobaczysz.

Doktor podszedł do smoka z boku i wsunął zakrzywioną końcówkę łomu pod brzeg jednej z łusek. Pchnął mocniej i powoli uniósł łuskę. Przez sekundę czy dwie nic się nie działo, po czym spod łuski wyskoczyło coś wielkości tłustego karalucha, ale z większą liczbą odnóży.

– Zabij to! – wrzasnął doktor Vem.

Kell rąbnął pasożyta płazem. Z rozgniecionego insekta trysnęła krew i maź.

– Hej – rozpromienił się Kell, z zadowoleniem wpatrując się w rozgniecione resztki. – Nie było tak źle!

– To – pokręcił głową doktor Vem – była jedna z tych mniejszych.

– Z mniejszych? – powtórzył Kell z niedowierzaniem.

Doktor pokiwał głową.

– Największe sięgają rozmiarów kurczaka. Trzeba uważać na wszystkie, bez względu na rozmiar, ale te wielkie są najgorsze. Są zajadłe niczym małe tygrysy, sprytniejsze od łasic, szybsze od zajęcy. Musisz uważać, żeby cię nie pogryzły. Taka cholera jest w stanie wyssać z ciebie litr krwi w parę sekund, a w ciągu minuty wszystko, co w sobie masz.

Podał Kellowi żelazny łom.

– Dobra, jak już skończysz, dostaniesz obiad. Nie ociągaj się więc.

Z tymi słowami odwrócił się w stronę wyjścia.

Kell nabrał głęboko tchu. Nie podobało mu się to wszystko.

– A skąd będę wiedzieć, że już skończyłem? – zapytał. – Przecież ten smok pokryty jest setkami łusek. Jeśli będę musiał zajrzeć pod każdą, spędzę tu całe dnie!

Doktor Vem pokiwał głową, chcąc dodać mu otuchy.

– Smok da ci znać, gdy będzie po wszystkim. Sprawdź tylko te łuski, po których się drapie. To najbardziej podrażnione rejony. Mniejszymi pchłami smoki się raczej nie przejmują.

Po odejściu doktora Kell stał przez chwilę nadąsany. Odgnojenie wielkiej komnaty było już wystarczającym upokorzeniem, ale przecież jedyną

niedogodnością był smród. Teraz wyglądało na to, że dostał prawdziwie niebezpieczną robotę. Unikając kontaktu wzrokowego z cierpiącym smokiem, Kell powoli zaczął się wyślizgiwać z celi. Nie dotarł jednak daleko. Olm bowiem już powrócił. Jego wielkie cielsko blokowało jedyną drogę ucieczki.

Kell zmagał się z niewdzięcznym zadaniem niemalże przez całe popołudnie. Na ogół natrafiał na pomniejszych rodzaje pcheł. Zazwyczaj spod uniesionej łuski wymykało się jakieś pięć, sześć pasożytów i rozbiegało w najróżniejszych kierunkach, usiłując znaleźć schronienie pod najbliższą odpowiednią łuską. Kell nie był w stanie wybić wszystkich, ale zamieniał na miazgę przynajmniej trzy lub cztery. Wyglądało na to, że ostrzeżenia doktora co do zachowania ostrożności były przesadzone. W tej robocie nie było nic niebezpiecznego.

Potem natrafił na pierwszy z większych okazów.

Stworzenie wyprysnęło z ogromną prędkością, całkiem zaskakując Kella. Odbiło się, wyskoczyło i przywarło do jego lewej kostki. Chłopak poczuł ukłucie bólu, gdy pasożyt wbił trąbkę głęboko w jego skórę. W tejże samej chwili zaczął ssać i chłopak poczuł, jak z jego ciała ucieka krew. Wrzasnął z obrzydzenia i jednym ciosem lewara zamienił pchłę w bezkształtną masę.

Poradzenie sobie z jedną pchłą wielkości kurczaka było trudnym zadaniem, ale prawdziwym wyzwaniem było dopiero starcie z pięcioma dużymi pasożytami naraz. Chcąc oszczędzić sobie czasu i wysiłku, Kell opracował metodę wsuwania łomu pod kilka łusek naraz i otwierania wszystkich jednym szarpnięciem. Dzięki temu odsłonił jednak prawdziwe gniazdo na jednym z boków smoka, gdyż z odkrytych kryjówek jednocześnie wyskoczyło przynajmniej tuzin małych insektów i pomknęło w najrozmaitszych kierunkach. Bardziej niebezpieczne jednak były stworzenia, które wyłoniły się później. Kell wybałuszył oczy ze zdziwienia i z trudem opanował panikę. Wyglądało na to, że były to pchły innego rodzaju, gdyż ich nabrzmiące ciała pokryte były żółtymi i czarnymi paskami, a wpatrujące się w niego intensywnie oczy znajdowały się na drgających czułkach. Nie było wątpliwości, że są poirytowane, i Kell w jednej chwili przekonał się, że ich inteligencja dorównuje zaciekłości. Skoczyły prosto na chłopaka – Kell instynktownie się cofnął, a pasożyty wylądowały na kamiennej podłodze i zaraz rzuciły się na ludzkiego intruza. Cielsko drzemiącego Olma blokowało jedyną drogę ucieczki, a smok, którego skórę Kell oczyszczał, wpatrywał się w niego mętными, bezmyślnymi oczami, co oznaczało, że również i po nim nie można się spodziewać pomocy. Chłopak przebiegł na drugi bok smoka w nadziei, że pchły funkcjonują na podobnej zasadzie co złote rybki i zapomną o nim w chwili, gdy stracą go z oczu. Okazało się jednak, że są na to zbyt sprytne. Świergocząc ze złością, całą piątką ruszyły w pościg i Kell ledwie zdołał utrzymać bezpieczny dystans. Żelazny łom nadal był zaklinowany między smoczymi łuskami, a maczeta wypadła mu z ręki, gdy potknął się o smoczy ogon podczas szóstego okrążenia komory. Nie miał odwagi zwolnić, by poderwać ją z ziemi. Za każdym razem, gdy mijał Olma, wymierzał śpiącemu gadowi potężnego kopniaka i wrzeszczał głośno, próbując go obudzić, ale smok marszczył tylko lekko górną wargę i nadal chrapał przeciągle.

O tylną ścianę komnaty oparto dwie drewniane miotły. Kell pochwycił je w biegu, po jednej w rękę, i zaczął tłuc wściekle dookoła siebie, próbując powygniatać atakujące pchły. Pchły zwinęły się w kulki niczym jeże i odtoczyły na bok, by znów się rozwinąć i zaatakować. Chłopaka ogarnęło przerażenie, gdy jedna wskoczyła na miotłę i zaczęła ją pożerać, by dostać się do trzymającej trzonek ręki. Łamała drewno jak zapalkę. Kell upuścił obie miotły z wrzaskiem i próbował ucieczki, ale jedna z pcheł zdążyła już go obejść. Zaatakowała z furją, lecz jej trąbka utknęła w oczku drucianych nogawic. Nie mogąc ani się uwolnić, ani wbić głębiej, wleczony za nogą chłopaka pasożyt kwiczał z wściekłości.

Wtedy największa z pcheł wykonała ogromny skok prosto na głowę Kella. Niespodziewanie obok głowy chłopaka przemknęła struga czegoś mokrego i lepkiego. Strużka trafiła prosto w insekta, strąciła go na ziemię. Pokryta flegmopodobną, syczącą niczym kwas substancją pchła wiała się na kamiennej podłodze, piszcząc żałośnie. Zdechła kilka sekund później.

Kell odwrócił głowę ku miejscu, skąd nadeszła pomoc. Olm już się przebudził i przekonał, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się chłopak. W sekundę później Kell musiał się uchylić przed kolejnym zabójczym splunięciem.

Pozostałe pchły ogarnęła panika. Rozbiegły się we wszystkich kierunkach, wspinając na ściany, a nawet przebiegając po suficie w desperackiej próbie znalezienia drogi ucieczki. Na nic jednak się to zdało. W celi śmigwały kolejne strugi kwasowej śliny. Pac! Pac! Pac! W przeciągu kilku sekund wszystkie pchły znalazły się na podłodze, martwe lub konające, łącznie z tą, która utknęła w nogawicach Kella. Jej ciało skurczyło się i opadło, w metalowym oczku pozostała jedynie zwisająca luźno, bezużyteczna trąbka. Kell podniósł maczetę i odciął ją, a potem z obrzydzeniem odkopnął w kąt. Spojrzał na Olma, ale jego strażnik wydawał się znów spać, choć być może powieka kryjąca zielone oko nie była do końca zamknięta.

Po jakimś czasie odrobaczany smok zaczął okazywać zadowolenie z wysiłków Kella, gdyż przestał się drapać i podniósł wyżej łeb. Po chwili obrócił pysk ku chłopcu, szturchnął go żartobliwie, a potem rozwarł szczęki. Na dłoń Kella opadło coś, co błysnęło głęboką żółcią w blasku lampy. Z bezgranicznym zdumieniem młodzian odkrył, iż był to ciężki złoty pierścień znakomitej wprost roboty. Nigdy wcześniej nie widział niczego takiego, nawet Sagg, przywódca Alboru, nie nosił podobnego. Kell nie miał wątpliwości, że drobiazg jest wart niewielką fortunę. Chłopak wzruszył ramionami i wsunął go do kieszeni. Rzecz jasna, opowiedział o podarunku doktorowi, ale najbardziej chciałby podarować go Liss. Nie miała na własność niczego cennego.

Olm wraz z drugim smokiem pograżyli się w osobliwej rozmowie, na którą złożyły się niezwykle, wysoce dopracowane ruchy głów oraz niskie pomruki i warknięcia. Kell wyszedł na korytarz, który prowadził zapewne do domu, a serce aż podskoczyło mu z radości. Drzwi wychodzące na ulicę były uchylone. Do środka wpadały strugi światła wraz z tchnieniem świeżego powietrza, smakującym wprost cudownie po zgniłym, cuchnącym zaduchu tuneli. Kell nie mógł uwierzyć w swe szczęście. Całkiem pochłonięty myślami o ucieczce, nabrał głęboko tchu i rzucił się

do biegu.

Udało mu się zrobić pięć kroków, a potem coś wielkiego, potężnego i warczącego rzuciło się za nim z taką prędkością, że jego kształty niemalże się rozmyły. Kell został przygnieciony do ziemi. Pocierając stłuczony łokieć, uniósł głowę.

Olm przykucnął przed otwartymi drzwiami. Jego oczy lśniły, a z rozwartych szczęk ściekała ślina. W gardzieli rozbrzmiewały ostrzegawcze warknięcia. Ramiona Kella obwisły, chłopak zgarbił się z rozpaczą. Wzdychając z rezygnacją, wrócił i zastukał do pracowni doktora Vema. Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, ale drzwi uchyliły się ze zgrzytem zawiasów. Kell zajrzał do środka.

To ci dopiero! Nawet chata teurga w Alborze, pełna dziwacznych talizmanów i amuletów, nie mogła się z tym równać! Od sufitu aż po podłogę ściany pokryte były mocnymi drewnianymi regałami, a większość miejsca zajmowały ciężkie stoły. Na poplamionych półkach poupychano z trudem butelki, słoje i ceramiczne garnki najrozmaitszych kształtów i rozmiarów. Niektóre z nich zawierały niezidentyfikowane płyny, kilkanaście wypełnionych było kolorowymi proszkami, w jeszcze innych umieszczono osady mieniących się kryształów bądź lepkie mazie. Kell usiłował odczytać wyblakłe, niedbałe podpisy na etykietkach: pokrzyk, ostróżka, anion, olej świerkowy, kukurydza, modligroszek, gliceryna. Zmarszczył brwi. Niektóre zidentyfikował jako trucizny, inne jako lekarstwa. Znalazł tam jeszcze *collyrium*, fenobarbital i herbaciane mieszanki; wiele preparatów, o których nigdy nie słyszał, lecz które znajomo pachniały. Część pracowni przeznaczono całkowicie na pozrzucone bez ładu i składu pudła pełne pigulek i tabletek. Na stołach i luzem na podłodze piętrzyły się butle, dzbany, metalowe kubły i drewniane flaszki wypełnione egzotycznymi chemikaliami oraz substancjami. Kell obwąchał jedną z nich ostrożnie, lecz cofnął się momentalnie z obrzydzeniem, parszcząc i z trudem łapiąc oddech.

Z tyłu zagraconej pracowni znajdowały się jeszcze jedne drzwi, prowadzące do dobrze oświetlonego, wygodnego gabinetu, gdzie stały pięknie wykonane w drewnie biblioteczki wypełnione starożytnymi tomami, manuskryptami, podręcznikami oraz oprawionymi w skórę inkunabułami. Na ścianach wisiały gliniane tabliczki z odcisniętym pismem klinowym oraz liście papirusu zapisane hieroglifami, a obok nich wymyślne mapy i wyobrażenia Niezbadanych Krain. To był pokój badacza. Kell był pod wrażeniem, nie tyle książek czy map, ale pater z różnymi rodzajami mięsa, serów, pajd ciemnego chleba, ciast i słodkości, rozstawionych na stole pośrodku gabinetu. Kell nie jadł przez cały dzień, a doktor Vem powiedział, że posiłek będzie na niego czekał. Na widok tak kuszącej uczyty pociekła mu ślinka. Może, czekając na doktora, weźmie sobie tylko mały plasterek tej przepysznej szyneczki czy okruszek sera? Może nawet kęsek kurczaczka? Kell natychmiast zaczął wpychać sobie jedzenie do ust z szaleńczym pośpiechem człowieka, który umiera z głodu, zapijając je łąpczywymi łykami mocnego czerwonego wina ze zdobionych srebrem karafek.

Niespodziewanie drzwi stanęły otworem, a do środka przykusztukał Augustus Vem.

Kell z policzkami wypchanymi jak u chomika odwrócił się i oblał rumieńcem

winy.

– Już zabrałeś się za jedzenie, co, młody człowieku? – zapytał sucho doktor.

Kell miał usta wypchane do tego stopnia, że zdołał wykrztusić jedynie kilka pozbawionych znaczenia pomruków.

– Nieważne – doktor zamknął sprawę machnięciem dłoni. – Przecież to jasne, że musisz nabrać sił. Mamy jeszcze kilka zadań, zanim dziś wieczorem odleczę do Zellusar. Musimy wyrwać ząb. Co z tobą, chłopcze, głuchniesz? Tak, to właśnie powiedziałem. Będziemy wyrwać smoczy ząb!

– Co takiego? – Kell nigdy jeszcze nie był bardziej pewien, że Augustus Vem oszalał do reszty. Chłopak chciał się wycofać w jakieś bezpieczne miejsce, ale desperacka próba zakończyła się tylko zderzeniem z rozklekotanym regałem. Garnki zadrżały i zachwiały się, grożąc upadkiem. Zewsząd podniosły się kłęby kurzu.

– Och, dajże spokój – doktor Vem zbeształ go z rozdrażnieniem. – Przecież to tylko mało skomplikowany zabieg medyczny, który nie pociąga za sobą wielkiego zagrożenia. Nie mam pojęcia, dlaczego się tak unosisz.

Następnie doktor przyjrzał się liście, którą ze sobą przyniósł.

– Zaraz, co nam się jeszcze przyda... Oczywiście! Weź ten lewarek oparty o ścianę, dobrze?

– Lewarek? – powtórzył Kell i rozejrzał się, całkiem oszołomiony.

– Tylko mi nie mów, że nie wiesz, co to lewar! Jak bardzo zacofana jest wioska, z której pochodzisz, co? – Augustus Vem odmówił w duchu krótką modlitwę. – Spójrz, to jest lewar, ta machina z kołami zębatymi! Takimi kółkami, w których wycięto małe szczyrby! Nawet tylko minimalnie zaawansowane społeczeństwa używają podobnych narzędzi do podnoszenia ciężarów...

Doktor pokręcił głową, zrozumiałwszy, że traci tylko czas.

– Och, ma pan na myśli to tutaj! – Kell podniósł dziwaczne urządzenie i umieścił pod pachą obok zwoju sizalu oraz wielkich obcęgow.

– Tak, właśnie to, Kell – wymamrotał doktor z westchnieniem. – Dobra, to teraz najważniejsza rzecz i będziemy mieć wszystko.

Przeszedł wzdłuż półek i zatrzymał się naprzeciwko jednej wypełnionej buteleczkami o wąskich szyjkach, opisanymi jako *Środki nasenne*.

Ostrożnie przebiegł palcem wskazującym wzdłuż rzędu flaszeczek.

– Morfina? Laudanum? Nie... Wyciąg z kwiatu lotosu? Cóż, może... Kef? Hmmm, obawiam się, że chyba nie jest wystarczająco silny.

Wybrał w końcu niewielką fioletową buteleczkę, potrząsnął nią i przytrzymał przy lampie.

– Tak, tego właśnie szukałem. Esencja *nepenthe*. Powinno zadziałać.

Ruszył w stronę drzwi, ale w progu odwrócił się do Kella i oznajmił:

– Pospieszmy się, to nie powinno długo potrwać.

Smok był wielki. Bardzo wielki.

Miał gigantyczną paszczę.

Jego kły były monstrualnie wielkie.

I bez wątpienia bardzo cierpiał.

– To tylko hałas, Kell – Augustus Vem pouczył trzęsącego się chłopaka, po tym jak echo ryku agonicznego bólu smoka znikło wreszcie między wilgotnymi kamiennymi ścianami. – Ten smok to mięczak. Większość smoków to mięsożercy, co łatwo poznać po ostrej wypustce biegnącej wzdłuż ogona, trójkątnych grzebieniach, które rozrastają się i chronią głowę, oraz ogromnych, umieszczonych pośrodku i z boku siekaczach. Dzięki nim smoki wyglądają naprawdę groźnie. Ten tu okaz jest zdecydowanie roślinożerny. Nie ma się czym przejmować.

– Co to znaczy? – zapytał Kell, wciąż zastanawiając się, czy istnieje droga ucieczki, której nie pilnuje Olm.

– To znaczy, że odżywia się roślinami. To bardzo przyjazny i spokojny gatunek smoka, nie je mięsa pod żadną postacią, a już w szczególności nie tyka ludzi. A zatem sam widzisz, że nie ma się czego obawiać. Cóż może pójść nie tak?

Kell wpatrywał się w niego z niepokojem. Już po raz drugi doktor powiedział mu, że nie ma się czego bać. On zaś zaczynał bać się właśnie takich stwierdzeń.

Doktor Vem spokojnie wyciągnął butelkę *nepenthe* z kieszeni płaszcza, otworzył ją, podszedł do smoczego pyska i wylał połowę zawartości na koniec drgającego rozdwojonego języka.

– Świetnie, przygotuj teraz ten lewar, Kell. Musi znaleźć się w środku za – tu zerknął na zegarek kieszonkowy – dokładnie trzy i pół minuty.

Rozpoczęło się oczekiwanie.

Po dwóch minutach smok ziewnął sennie po raz pierwszy.

Pod koniec trzeciej minuty ziewnął po raz drugi. Jego ruchy stały się powolne, ślamazarne, wielki łeb odtoczył się na bok, a oczy się zamknęły.

– Szybko, Kell! – popędził go doktor Vem. – Podaj mi lewar!

Doktor stał teraz tak blisko potwora, że poły jego wystrzępionego czarnego płaszcza unosiły się i opadały poruszane podmuchami z drgających smoczych nozdrzy. Kell podszedł i wsunął lewar w dłoń doktora.

Dokładnie po upływie trzech i pół minuty smok, którego przypominające grzmot chrapanie zdawało się wprawiać w ruch każdy kamień w ścianie i każdą kość w ciele Kella, ziewnął po raz trzeci. Jego ogromna paszcza rozdziawiła się i w tym samym momencie doktor Vem sprawnie wepchnął lewar do środka i zaklinował go między zębami. W pośpiechu poruszał umieszczoną z boku narzędzia drewnianą dźwignią. Smok usiłował zatrzaskać paszczę, ale lewar wytrzymał napór i z każdym pchnięciem dźwigni na dół wypychał górną szczękę ku górze. Po upływie kilku sekund szczęki całkowicie uśpionego smoka były maksymalnie rozwarte.

Augustus Vem cofnął się i z podziwem przyjrzał swemu dziełu.

– Wspaniale! Najtrudniejszą część mamy z głowy. Właż teraz do środka, chłopcze, i znajdź ząb, który dostarczył temu biednemu stworzeniu tyłu trosk.

Z tymi słowy złożył dłonie, by utworzyć „krzeselko”.

– Co takiego? – spytał zduszonym głosem Kell, patrząc na doktora z niedowierzaniem. Instynktownie znów zaczął się cofać. – Mam tam wleźć? Chyba nie spodziewa się pan, że wejdem do jego paszczy!

– Ależ oczywiście, że tak! – odparł zdumiony doktor. – Przecież musisz wejść, by

wyrwać chory ząb. Z zewnątrz się tego nie robi, a ja wleźć tam nie potrafię, mam przecież problemy z nogą. To nie potrwa dłużej niż pięć minut, Kell – teraz doktor mówił tak, by dodać chłopakowi otuchy. – Posłuchaj, przecież to roślinożerca, a jego szczękę przytrzymuje lewar. Co więcej, jest nieprzytomny. Cóż złego może ci się stać? Będiesz całkiem bezpieczny, gwarantuję!

Uśmiechnął się pokrzepiająco i znów ułożył dłonie, chcąc pomóc chłopakowi.

– No, pospiesz się, zanim *nepenthe* przestanie działać.

Nie wierząc w to, co robi, Kell wpełzł ostrożnie na szczękę smoka, a potem przelazł nad jego ogromnymi zębami trzonowymi, aż stanął nieco pochylony w samej paszczy. Otaczały go teraz dwa zakrzywiające się rzędy lśniących zębów, z których każdy sięgałby dorosłemu mężczyźnie do pępka. Przypominające kły siekacze unosiły się niczym miecze gotowe do ciosu. Kell spojrzał na tchawicę, przyjrzał się wolno otwierającej się i zamykającej nagłośni oraz przesuwającej się tam flegmie. Nad jego głową ciągnęło się łukowate, wypukłe podniebienie, z którego tu i tam ściekały strugi śliny. Pod stopami chłopaka poruszał się niespokojnie miękki, pokryty błękitnymi żyłami rozdwojony język, który ani na chwilę nie przestawał drżeć. Z nagłym przyływem przerażenia Kell uświadomił sobie, iż stoi u bram piekła.

Wtedy dobiegł go niespokojny głos doktora Vema:

– Kell, szukamy przypuszczalnie ukruszonego lub zgoła pękniętego zęba trzonowego. Nie powinieneś mieć problemów z jego odnalezieniem.

Kell wzdrygnął się. Im szybciej stąd wyjdzie, tym lepiej.

– Co to za ząb? – zawołał.

– Jeden z tych szerokich, przeznaczonych do rozcierania! Jest gdzieś po lewej. Prawdopodobnie będzie nadgniły lub częściowo przebarwiony.

Kell przyjrzał się wszystkim zębom po kolei i zauważył coś białego, co utkwilo między dwoma z nich. Wyrwał ów przedmiot, przyjrzał mu się z przerażeniem, a potem rzucił doktorowi do stóp.

– Czy to jest to, co myślę? – zapytał.

Doktor przyjrzał się znalezisku z zakłopotanym wyrazem twarzy.

– Zdaje się, że jest to pogryziony piszczel zwierzęcia kopytnego – doszedł do wniosku.

– Co takiego? – wrzasnął Kell.

– Na pół zjedzona kość antylopy.

– A przecież zapewniał mnie pan, że ten smok żre rośliny! – jęknął Kell.

– Eee... Tak mi się wydawało – przyznał niewyraźnie doktor Vem.

– Wyłażę stąd! Uciekam stąd, i to w tej chwili! – wrzasnął Kell, usiłując przejść ponad najbliższym zębem, lecz kiedy oparł się o niego, ten wychylił się niespodziewanie. Kell przyjrzał się baczniej. W szklwie widniała dziura o poszarpanych brzegach od korony aż po odsłonięty częściowo korzeń. Sięgnął i wyprostował go, nie natrafiając przy tym na szczególny opór. Chłopak objął ząb i szarpnął ze wszystkich sił. Usłyszał wyraźnie miękkie cmoknięcie, gdy uszkodzony ząb trzonowy wysunął się nieco z dziąsła.

– Doktorze! – zawołał z podniecenia, natychmiast zapomniawszy o swych zmartwieniach. – Znalazłem ten chory ząb! Ledwie się trzyma! Chwieje się!

– Doskonale! – wrzasnął doktor Vem. – Wyrwiemy go zatem błyskawicznie! Łap no to tutaj i zamocuj dookoła zęba.

Z tymi słowami cisnął mu koniec liny. Kell złapał go i zauważył, że na sznurze zrobiono już pętlę. Założył ją na ząb i zacisnął.

– Gotowe! – krzyknął. – Niech pan ciągnie!

– Jeszcze nie! – ostrzegł go doktor Vem. – Ja będę ciągnął, a ty podważ ząb!

I podał mu długi żelazny pręt. Kell wsunął go aż do połowy pod ząb, a potem, wykorzystując koronę sąsiedniego zęba jako punkt oparcia, zaczął naciskać na wystającą część pręta.

– Dobra jest! – zawołał. – Proszę ciągnąć!

Augustus Vem popluł w dłonie i szarpnął.

Uszkodzony ząb trzonowy przy akompaniamencie nieprzyjemnych cmoknięć i mlaśnieć zaczął wysuwać się z dziąsła.

– Wychodzi! – wrzeszczał Kell. – Niech pan ciągnie, doktorze!

Pod poźółkłą nasadą zęba wyłoniły się trzy korzenie przypominające kły, ociekające krwią i limfą. Strzępy mięsa rozciągały się i darły. Kell naparł całym ciężarem ciała na pręt i ząb niespodziewanie wyskoczył z dziąsła. Stojący niżej doktor Vem rzucił się w bok, gdy wyrwany trzonowiec runął prosto na niego. Z otworu w dziąśle strzelił potężny strumień czarnej krwi, który popłynął kaskadami w głąb gardzieli. Kell, który nagle znalazł się po kolana w rwącym strumieniu, stracił równowagę na śliskim języku. Wymachując dziko ramionami i wrzeszcząc ze strachu, popłynął głową naprzód w ziejącą otchłań gardzieli.

Ogarnęła go dusząca ciemność, gdy mięśnie smoczego przełyku wycisnęły mu powietrze z płuc i otoczyły ciasno jego ciało. Nie mógł wykonać nawet najdrobniejszego ruchu, oczekiwało go już tylko powolne, nieubłagane zsuwanie się coraz głębiej.

Doktor Vem poderwał ramiona w autentycznym przerażeniu.

– Na bogów! – jęknął, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze, przypomniał sobie, co się przytrafiło Jedowi zaledwie tydzień temu. – Tylko nie to! Tylko nie znowu! – zawołał.

Złapał za smocze zęby i podźwignął się, by zajrzeć w rozwarte szczęki. Bojąc się najgorszego, zajrzał do zakrwawionej gardzieli.

– Jesteś tam, Kell? – zawołał słabo.

– Oczywiście, że jestem! – odparł Kell stłumionym głosem. – A co, do cholery, sobie pan myśli?

Z gardła dobiegł odgłos zmagania.

– Czy mógłby pan... Czy mógłby pan mnie jakoś stąd wyciągnąć?

– Tak! – zapewnił go doktor. – I to zaraz. Zamknij tylko oczy i zaciśnij nos.

– Dlaczego?

– Po prostu mnie posłuchaj! – zalecił Augustus Vem. – I to natychmiast!

Kell nabrał głęboko tchu i zrobił, co mu kazano.

Nagle smok zaczął się krztusić i nim Kell uświadomił sobie, co się dzieje, został wypluty na podłogę celi. Leżał tam w powiększającej się kałuży żółci, mrugając i kaszląc, próbując odzyskać oddech.

– Ty żyjesz! – wrzasnął doktor Vem.

– Szkoda, że nie dzięki panu – poskarżył się chłopak, ścierając plamy cuchnącego płynu z twarzy i włosów.

– Nie dzięki mnie? – Augustus Vem zmartwił. – Nie jesteś świadomy, młody człowieku, że gdybym nie zmusił smoka do wymiotów, byłbyś już bezkształtną masą tłuszczu rozpuszczającą się w kałuży soków trawiennych?

Kell pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Gdyby nie pan, nigdy bym się nie znalazł w smoczej paszczy – rzekł gorzko, usiłując wstać.

Doktor Vem pochwycił go za ramię i pomógł się wyprostować.

– Cóż, może i masz rację, Kell – przyznał niechętnie. – Ale przecież nie będziemy roztrząsać w nieskończoność jednego drobnego, nieprzewidzianego incydentu, prawda?

Kell przewrócił oczami.

– Dalej – zachęcił go doktor. – Chodźmy stąd. Musisz się wykapać i przebrać.

Smok za ich plecami wybudził się z wolna, gdy *nepenthe* przestało działać, zaryczał bełkotliwie i zatrzaskał szczęki z taką siłą, że lewar poszedł w drzazgi.

– Kolejny nieprzewidziany, drobny incydent? – zapytał Kell.

Doktor Vem wyglądał na przerażonego.

– Byłem przekonany, że lewar jest wystarczająco silny! – utrzymywał. – Och, pomyśl tylko, co by się stało, gdyby smok obudził się nieco wcześniej...

Kell nie miał zamiaru o tym myśleć.

Dwie godziny później, po tym jak Kell umył się już, przebrał w kolejne rzeczy, należące ongiś do jego nieszczęsnego poprzednika, po czym zjadł tyle gorących kiełbasek, iż był przekonany, że jego żołądek zaraz eksploduje, przypomniał sobie o pierścieniu. Wygrzebał go z kieszeni porzuconych spodni i podał doktorowi.

– Zatrzymaj go, Kell – rzekł Augustus Vem. – Przez długie lata smoki znosiły mi podarki w zamian za pomoc medyczną, jaką im oferowałem. Stałem się bogaczem, a wkrótce i tak odchodzę na emeryturę. Przez czas, jaki mi pozostał, chciałbym skupić się całkowicie na nurtujących mnie problemach naukowych. Właśnie dlatego potrzebuję ucznia. Chcę, by ktoś przejął po mnie obowiązki. Ty też możesz stać się bogaczem, Kell. Możesz mieć więcej bogactw, niż jesteś sobie to w stanie wyobrazić. To dla ciebie wielka szansa.

Kell słuchał, ale nie odezwał się ani słowem.

Dwadzieścia minut później paradował po pracowni, mając na sobie smoczy strój, który doktor Vem wyciągnął ze starej skrzyni.

Przebranie nie było wcale przekonujące. W spękanej lustrze wysokości dorosłego mężczyzny Kell przekonał się na własne oczy, jak komicznie wyglądał. W skład przebrania wchodziły skrzydła przymocowane do ramion, opadające aż do podłogi, trójpalczaste łapy z długimi pazurami, jednoczęściowa koszula pokryta

połyskliwą łuską i zwieńczone czerwonym grzebieniem nakrycie głowy z pyskiem.

– Dlaczego mam to nosić? – zapytał, czując się jak kompletny idiota.

Doktor westchnął cierpliwie.

– Chcę tylko, byś przeszedł w tę i we w tę przed całą Yarba – wyjaśnił.

Kell słyszał już plotki na temat Yarba. Samemu doktorowi wymknęło się swego czasu, że jest to smok humorzasty i niezmiernie porywczy.

– Ale po co? – nalegał Kell.

– Cóż, chcę, byś go wywabił z jaskini – wyjaśnił Vem. – Nie wytknął łąba z celi przez przynajmniej pięć dni i zaczynam się już o niego martwić. Pomyślałem więc sobie, że gdyby ujrzał smoczą damę przed wejściem, może przysłoby mu do głowy, by wyjść.

– Smoczą damę? – Kell ściągnął maskę. – Czy to ma sprawić, że będę wyglądał jak samica?

– Cóż, dla innego smoka tak...

– A skoro, jak to pan ujął, rzeczywiście przyjdzie mu do głowy, by wyjść... – Kell otworzył szeroko oczy. – Chodzi panu o to, że wyjdzie po to, by...

– No, mniej więcej właśnie po to – zgodził się doktor.

Kell zawirował, zderzając się z półkami, kilka butelek zleciało na ziemię.

– Nie! Nie zgadzam się! – zawołał. – Jest pan bardziej stuknięty, niż sądziłem.

Augustus Vem westchnął z powagą.

– Nie teraz, Kell, naprawdę nie ma potrzeby, byś się rzucał i protestował. Nie musisz się obawiać. Nie będzie ci grozić żadne niebezpieczeństwo. Gdy tylko Yarb wysunie głowę, znokautuję go tym.

I wskazał ciężki drewniany kij ponabijany ołowianymi ćwiekami.

– A jeśli pan chybi? – jęknął Kell.

– Jeśli chybię? – parsknął doktor Vem. – Ja miałbym chybić? Przecież to śmieszne. Nie chybię. Mam wszystko dokładnie przemyślane. A nawet gdyby tak się stało, to przecież umiesz biegać, nieprawdaż?

Kell umiał biegać. A tym razem pomimo niewygodnego stroju smoczej damy był nawet szybszy od Olma. Dopadł do swego pokoju, trzasnął drzwiami i zaklinował je, tuż zanim smok nielot z całej siły rąbnął w ciężkie drewno. Drzwi zatrzęsły się w posadach, ale wytrzymały zderzenie. Smok parsknął i wściekle chlasnął pazurami. Posypały się drzazgi, ale i tym razem drewno wytrzymało. Olm przysiadł, zamarłszy w oczekiwaniu.

Doktor Vem pojawił się po paru minutach. Oceniał sytuację, zerknął niecierpliwie na kieszonkowy zegarek, a potem zastukał do komnaty chłopaka.

– Kell? – zapytał. – Mogę z tobą porozmawiać?

– Nie mam zamiaru otwierać tych drzwi – ostrzegł go Kell.

– W porządku, rozumiem, nie gniewam się na ciebie – powiedział Vem. – Możemy porozmawiać o sytuacji z Yarbem po moim powrocie. Wyruszam do Zellusar za niecałą godzinę, ale moja nieobecność potrwa najwyżej dwa dni. Dasz sobie radę przez ten czas, nieprawdaż? Zostawiam ci mnóstwo jedzenia na wózku w korytarzu.

Zerknął na smoka.

– No, a Olm będzie się tobą opiekował.

– Dam sobie radę – rzekł Kell. Wiedział, że smok ani na chwilę nie spuści go z oczu.

Odczekał cierpliwie, aż rozlegnie się odgłos zatraskujących się za Augustusem Vemem drzwi. Gdy trzaśnięcie poniosło się echem po korytarzu, a zaraz po nim rozległ się szcęk ciężkiego mosiężnego klucza obracającego się w potrójnym zamku, Kell nie mógł już dłużej czekać. Wyszarpnął z kieszeni pełną do połowy butelkę oznaczoną jako „esencja *nepenthe*”, którą podwędził tuż pod nosem doktora Vema, gdy celowo zderzył się z półkami w pracowni. Ściskając mocno butelkę, puścił się w tan dookoła pokoju. Przepelniała go radość i wybuchnął głośnym śmiechem.

Kell odczekał jeszcze chwilę, a potem wyszedł na korytarz. Olm natychmiast się cofnął i umościł przed drzwiami frontowymi. Z jego gardzieli dobyło się niskie, przeciągłe warknięcie ostrzegawcze, szyja wygięła się w łuk, skrzydła zatrzepotały sztywno. Kell jednakże podszedł śmiało i wyciągnął lewą rękę, jakby miał zamiar dotknąć drzwi. Łeb Olma wystrzelił momentalnie do przodu, a jego szczęki zacisnęły się na ramieniu chłopaka. Ten jednak w drugiej ręce trzymał w pogotowiu butelkę. Odtrącił korek kciukiem i wlał jej zawartość między smocze kły. Rozległ się bulgot, gdy płyn spłynął do smoczej gardzieli. Kell patrzył i czekał. Potwór zlizął pęcherzyki z warg. Jego ślepia nagle stały się szkliste, Olm utracił ostrość widzenia. Jego łeb opadł, a napór szczęk na ramię zmalął. Pod potworem rozjechały się nogi. Prasnął na ziemię i nie minęły dwie minuty, jak chrapał, całkowicie nieprzytomny. Kell poklepał jego pokryty brodawkami łeb i wylał kilka ostatnich kropel prosto na drżący język smoka.

Kell zerknął ku górze. Nad drzwiami frontowymi znajdował się świetlik. Umieszczono go na wysokości przynajmniej ośmiu stóp, czyli poza zasięgiem chłopaka, ale gdyby wspiał się na grzbiet śpiącego smoka, zdołałby uchwycić się nadproża. Szkło było popękane i wyglądało na to, że bez trudu zdoła je rozbić. Kell podciągnął się i uderzył krawędzią dłoni w zakurzoną szybę. Szkło roztrzaskało się na bruku. Chłopak nabrał tchu, podciągnął się wyżej i wyczołgał przez pozbawioną szyby ramę. Wydostał się! Był wolny!

Nim jednak rzucił się do ucieczki, poczuł ostre ukłucie żalu, a potem nieoczekiwanie pojawiło się w jego głowie pytanie. Czy aby na pewno postępował teraz słusznie? Czy aby na pewno powinien wracać do świata ludzi, świata pełnego nieufności i nienawiści? A co ze smokami? Zaczął już przecież odczuwać coraz większą więź z tymi stworzeniami, swego rodzaju zrozumienie, którego nie umiał ująć w słowa. Poza Liss wszyscy ludzie, z którymi zetknął się w życiu, byli dlań obcy. Teraz zaczynało mu świtać, że wśród smoków nie czuł się już dłużej jak wyrzutek. Wreszcie znalazł miejsce, do którego należał. Opuszczenie go teraz byłoby aktem głupoty.

Spojrzał na świetlik. Wspięcie się z powrotem nie powinno być skomplikowane. Jeśli dobrze uchwyci się bluszczu porastającego ściany i oprze stopę na kłamec...

Ciężka dłoń opadła na jego ramię, a głos, aż nadto znajomy, wykrzyknął głośno:

– I co wy na to, chłopaki? Czy to aby nie ów młody człowiek, którego szukamy?

Kell poczuł, jak serce skuwa mu lód. Był to Tullo, a co gorsza, nie sam. Towarzyszyło mu dwóch nieogolonych, zapuszczonych współników. Wszyscy trzej byli tak pijani, że ledwie trzymali się na nogach, ale Tullo wzięił ramię chłopaka w żelaznym uścisku. Mężczyzna czknął głośno.

– Oszczędził nam pro... problemów z włamy... mywaniem się, nie, chłopcy?

Przysunął nieogoloną twarz do Kella.

– Chyba sprzedałem cię zbyt tanio temu staremu doktorkowi. Gadają, że chłopak ze smoczymi oczami – bo takie właśnie masz, no nie? – jest wart ku... kupę szmalu w tych stronach!

Kell wił się wściekle, kopał, usiłował wyrwać się na wolność, ale Tullo uśmiechnął się tylko pogardliwie i trzymał jeszcze mocniej.

– Mamy jednego klienta, który chce nam za... zapłacić małą fortunę za gówniarza z jednym okiem czerwonym, a drugim zielonym!

Kell nie zapamiętał już wiele więcej. Coś uderzyło go mocno w tył głowy, gwiazdy eksplodowały w głębi jego czaszki i osunął się na bruk. Świadomość raz na jakiś czas musiała mu powracać, gdyż zachował wspomnienia wiązania, kneblowania i wciskania w cuchnący, brudny worek. Gdzieś go niesiono, tego też był pewien, a potem porzucono na dłuższą chwilę. W głowie pulsował mu ból, włosy miał posklejane od zeschniętej krwi. Zebrało mu się na wymioty, a potem znów stracił przytomność.

Obudziły go rozmowy. Rozpoznał głos Tullo, lecz pozostałe były dlań obce. Słyszał jakąś kłótnię, najprawdopodobniej o pieniądze, usłyszał też kilkakrotnie własne imię. Usłyszał brzęk butelek i kieliszków, przekleństwa i rubaszny śmiech. Ile to jeszcze potrwa, zanim dobiją targu?

Ból głowy zelżał nieco, a między zardzewiałymi żelaznymi prętami okna zaczęło się sączyć blade światło. Kell był już w stanie dojrzeć, że leży na lepkiej od brudu podłodze w piwnicy. W skrępowanych mocno kończynach niemalże stracił czucie. Usiłował krzyknąć, ale z zakneblowanych ust wydobył się jedynie stłumiony, rozpaczliwy jęk.

Przez jakiś czas znajdował się na granicy między jawą a snem, gdy niespodziewany odgłos drapania kraty przywrócił mu pełną świadomość. Zerknął ku górze. Wschodziło słońce i na tle jaśniejszego nieba dojrzał kilka niewyraźnych sylwetek usiłujących precyzyjnie się między kratami. Szczury! Nie było innej możliwości, szczury! Kell był przerażony. Po jego czole spływały krople zimnego potu. Wiedział, że szczury tego gatunku zawsze wędrują w stadach, a dwa lub trzy wystarczały za wygłodniałą, niepowstrzymaną hordeę. Błyskawicznie rozerwą go na kawałki! Oczekiwała go więc straszna śmierć i nie mógł nic uczynić, by się przed nią uchronić. Wtedy jednemu ze stworzeń udało się precyzyjnie do piwnicy. Spadło na podłogę. Nie, nie spadło – rozłożyło parę drobnych skrzydełek i po prostu sfrunęło. Za nim podążyło kolejne, a Kell usłyszał znajome pogwizdywanie i świergotanie. W półmroku zabłysły zielone i czerwone oczy. To były smoki. Co więcej, przybyły mu na ratunek.

Przegryzienie więzów na rękach i nogach trwało ledwie chwilę. Kellstłumił jęk, gdy zdrętwiałe ścięga przeszył spazm bólu. Chłopak wiedział jednak, że nie ma chwili do stracenia, ruszył więc powoli, noga za nogą, w górę piwnicznych schodów, kurczowo przyciskając się do poręczy i desperacko usiłując nie narobić hałasu. Gdy w ścierpniętych kończynach znów żywiej zaczęła krążyć krew, Kellowi powracały siły. Niewielkie smoki trzepotały wokół niego skrzydłami, ponaglając go cichym, łagodnym popiskiwaniami.

U szczytu schodów natknął się na drewniane drzwi. Przez pęknięcia i szczeliny między surowymi, nieoheblowanymi deskami wpadały promienie światła z pomieszczenia znajdującego się po drugiej stronie. Kell zerknął przez jedną z owych szczelin i ujrzał czterech mężczyzn, rozwalonych na krzesłach dookoła niewielkiego stołu zastawionego pustymi butelkami po winie. Tullo wraz z jakimś łysaczem, zalani niemalże w trupa, przeliczali stos złotych monet na poplamionym winem stole, pozostali dwaj wyglądali na głęboko uśpionych. Jedynym źródłem światła była sycząca lampa naftowa, a kilka kroków od stołu, w kątach pomieszczenia, zalegały głębokie cienie. Zachowując maksymalną ostrożność, Kell uchylił drzwi od piwnicy na tyle, by się wyslizgnąć na zewnątrz. Potem z mocno bijącym sercem zaczął się czołgać ku kolejnym, źle zawieszonym i nieco uchylonym, a prowadzącym prosto na ulicę.

Był już w połowie drogi, gdy jego dłoń natrafiła na przeszkodę, butelkę po winie. Wystraszony wyciągnął rękę, by ją pochwycić, ale odtoczyła się za daleko i przeturlała przez pokój z serią melodyjnych brzęknięć.

– Co takiego? – warknął ochryple Tullo, przerywając rachowanie. – Hej, co to za hałas?

Butelka zatrzymała się tuż przy jednym z jego poplamionych błotem butów. Zdumiony przyjrzał jej się, a potem uniósł wzrok. I napotkał oczy Kella.

– Bierz go, Blant! – wrzasnął. – Młody się wyrwał! Nie daj mu uciec!

Poderwał się, przewracając stół. Monety i butelki potoczyły się we wszystkich kierunkach po podłodze, krzesła obu śpiących również runęły na ziemię. Lampa uderzyła o podłogę i zgasła, pokój zalała ciemność. Kell zerwał się na równe nogi i skoczył ku drzwiom. Dopadł wyjścia, o włos mijając dłoń Blanta. W powietrzu zafurkotało, gdy małe smoki skoczyły w ślad za nim. Znalazłszy się w alei, opromienionej blaskiem wstającego właśnie słońca, Kell zaczął biec, biec ze wszystkich sił, jakby jego życie od tego zależało. Daleko za sobą słyszał przekleństwa Tullo, Blanta i pozostałych. Ciszę w alei rozgonił łomot ich ciężkich butów.

Kell wiedział, że daleko nie dobiegnie. Nogi mu drżały, a zimne powietrze kąsało jak ogień jego płuca, chłopak nie rozstawał się jednak z nadzieją, że znajdzie kryjówkę. Za jego plecami małe smoki robiły wszystko, co w ich mocy, by spowolnić ścigających, pikowały, atakując twarze mężczyzn, drapały je pazurami, ostrymi ząbkami gryzły w pięty, piszczwały, wrzeszczały i nie marnowały żadnej okazji, by dopiec Tullo i jego kompanom. Ścigający przeklinali wściekle, wymachiwali ramionami i próbowali kopniakami odtrącić zwinnych, acz upartych prześladowców.

Dobytając ostatnich sił, Kell zdołał przetoczyć się nad niskim kamiennym

murkiem i wpełznąć w gęsty żywopłot. Nagle znalazł się na cmentarzu. Dookoła stały stare, nieznane nagrobki, ozdobione straszliwymi gargulcami, które pochylały się w różne strony nad czarną, porośniętą chwastami ziemią. Chłopak potknął się o częściowo zagrzebaną płytę, zdarł sobie skórę z kolan i podźwignął się z trudem. Dobywając resztek sił, Kell znowu pokonał niski kamienny murek, a potem gęsty żywopłot. W nagłym przypiływie rozpaczy uświadomił sobie, że na cmentarzysku nie ma gdzie się schować. Jego prześladowcy zaś już się wyłaniali z żywopłotu.

I wtedy Kell znalazł się w cieniu wielkiej istoty, która opadła ku ziemi na mocno bijących powietrze skórzastych skrzydłach. Zerknął ku górze i ujrzał opadającą ku niemu parę trójpalczastych łap, uzbrojonych w potężne szpony. W sekundę później łapy pochwyciły kołnierz jego koszuli i chłopak został poderwany jak piórko. Kell wyczuł ogrom smoczego cielska wiszącego nad nim, ale niespodziewanie opadł ku niemu znajomy, pokryty krostami łeb na łuskowanej szyi, przyglądając mu się z ciekawością. Smocze szczęki rozchyliły się w parodii uśmiechu. To był Olm! Nie wiadomo jak, ale zdołał odzyskać władzę w skrzydłach!

Gdy stopy Kella oderwały się od ziemi, z żywopłotu dobiegły zaskoczone okrzyki oraz kroki biegnących ludzi.

– Tak łatwo ode mnie nie uciekniesz, chłopcze! – wykrzyknął z udręką Tullo.

Kell obrócił się w smoczym uścisku. Ku swemu przerażeniu dojrzał, że Tullo pochwycił smoczy ogon i trzymał ze wszystkich sił, podczas gdy Olm usiłował wzbić się wyżej. Przelatywał właśnie nad oczkiem wodnym – desperacko bijąc skórzastymi skrzydłami, zdołał wzniesić się na tyle wysoko, że stopy Kella musnęły tylko lilie, ale ogon obciążony ogromną masą Tullo zanurzył się w lodowatej wodzie, pozostawiając bulgoczący kilwater.

Tullo parsknął, kaszłał i pluł, ale nie puszczał. Gdy przelatywali nad gruntami cmentarnymi, kierując się ku najbliższym zabudowaniom, zaczął kopać i szarpać z taką mocą, że smok wznosił się z wyraźnym trudem. Nie mógł też utrzymać kierunku, to leciał w tę stronę, to w drugą, i wydawało się, że zderzenie z ziemią jest nieuniknione. Kell zamknął oczy i oczekiwał na najgorsze, ale smok zdołał jakoś przemknąć nad dachem, mając zaledwie kilka cali rezerwy. Tullo wrzasnął przeraźliwie, wleczony po rzędzie poczerniałych nadstawek kominowych, które spadały i roztrzaskiwały się na opustoszałej ulicy. Stadko gołębi gnieźdzące się pod dużym okapem zerwało się do lotu w panice i pozostawiło po sobie tylko wirujące wolno piórka.

Tullo trzymał coraz słabiej, ale nie poddawał się, wrzeszcząc desperacko. W ostatniej chwili uniósł kolana aż po podbródek, unikając zderzenia z ostrą strzałką kompasu na wirującym wiatrowskazie. Kell nie mógł powstrzymać ponurego uśmiechu, widząc przez ramię pobladłą, przerażoną twarz swego dręczyciela.

Rozpoznawał już okolicę. Zmierzali w stronę domu doktora Vema. Olm zniżył lot nad długą, wąską uliczką i Tullo zaplątał się w kilka sznurów z praniem rozwieszonych między budynkami. Wilgotne prześcieradła, ociekające wodą koszule, bluzki i skarpety oklejały go jedna po drugiej i łopotwały za nim niczym całun. Jeden ze sznurków zaczepił się o klamrę jego pasa i napiął niczym cięciwa

łuku. Rozległo się głośnie brzęknięcie i Tullo spadł prosto na porzrzućane przez siebie pranie. Po obu stronach alejki zaczęły otwierać się okna, a w nich ukazały się twarze rozwścieczonych kobiet.

Skrzydła Olma były teraz mocniej. Kell patrzył oczarowany na ogromne wzgórza mające pod nimi. Czuł, że lada chwila smok zacznie nabierać wysokości, by minąć szczyt i opaść przez otwór prosto nad wulkaniczne jezioro. Kell znajdzie się w miejscu, w którym wszystko się zaczęło.

Wtedy targnęło nim przerażenie. Odgłosu drącego się materiału nie mógł bowiem pomylić z żadnym innym. Szew ustępował nieubłaganie z wyraźnym trzaskiem.

Kołnierz jego koszuli, pochwycony w smocze szpony, darł się coraz szybciej. Koszula pękała pod jego ciężarem!

– Nie! – wrzasnął, gdy kołnierz oderwał się całkowicie.

Runął w dół. Spadał w zimnym powietrzu, prosto ku dachom domu doktora Augustusa Vema...

...i prosto w komin.

Wrzeszcząc bezradnie, wpadł niczym pocisk w sam środek pocerniałego otworu, uderzając w jego ściany i odbijając się od nich, podnosząc tumany gromadzącej się od lat sadzy, kaszląc i parszcząc, aż wytoczył się i wylądował w chmurze pyłu na dywaniku rozłożonym przed kominkiem w gabinecie doktora Vema.

W tejże samej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich doktor.

– Na Hades, cóż się tu wyprawia, Kell? – zapytał z mieszaniną wściekłości i niedowierzania.

– Mogę to wszystko wyjaśnić, doktorze – wyjąkał Kell, trąc oczy i kichając.

– Cóż, mam nadzieję, że istnieje jakieś wytłumaczenie! Nie to spodziewałem się bowiem ujrzeć po powrocie do domu z moją siostrzenicą, dopiero co odebraną ze szkoły. Jeśli chcesz utrzymać posadę, będziesz musiał nieco opanować swoje dzikie wybryki! W rzeczy samej, opanować!

Kell zamrugał, gdyż powróciła mu już zdolność widzenia. Obok doktora Vema stała przepiękna młoda dziewczyna z długimi czarnymi włosami, błyszczącymi niebieskimi oczyma, satynowo gładką skórą i ponętnymi czerwonymi ustami.

– Pańska siostrzenica? – bąknął, czując, jak krew łomocze mu w żyłach coraz szybciej, a serce topnieje.

– Tak – odpowiedział doktor z rozdrażnieniem. – Lucinda zawsze przyjeżdża do domu w połowie semestru.

No, a teraz twoje wyjaśnienia, Kell. Słucham. I postaraj się, by zabrzmiały przekonująco.

Lucinda uścisnęła ramię doktora ze współczuciem, a potem uśmiechnęła się do Kella. Był to skromny, nieśmiały uśmiech, ale dodał chłopakowi otuchy.

– Och, jestem pewna, że potrafi wszystko wyjaśnić, wujku. Jeśli zaś chodzi o ten bałagan, to przecież drobnostka. Może się połóżysz? Nie powinienes nadweręzać swoich nóg. My to posprzątamy w okamgnieniu, nieprawdaż, Kell?

Chłopak pokiwał głową, bo odebrało mu mowę. Serce biło mu żywo, umysł

podsuwał nowe wizje przyszłości. Był pewien jak nigdy dotąd, że nie pali się już do opuszczenia Domu Smoków. W rzeczy samej, pomimo wszystkich tych nieszczęśliwych zdarzeń i pomniejszych katastrof, których ostatnio padł ofiarą, nie mógł się doczekać kolejnych wyzwań, które przyniesie mu nauka u doktora Vema.

Molly Brown

Choć urodzona w Chicago, Molly Brown mieszka obecnie w Londynie. Największą sławę zdobyła za swą historyczną powieść detektywistyczną Invitation to a Funeral (1995). Dzięki badaniom, które wykonała w trakcie przygotowań, stała się ekspertem w zakresie Londynu z czasów restauracji Stuartów. Założyła również stronę internetową www.okima.com. Jest również autorką powieści przerobionej z serialu telewizyjnego Cracker – To Say I Love You. Twentieth Century Fox w tej chwili zajmuje się filmem opartym na jej nagradzanej powieści Bad Timing (1991). W poprzednim tomie antologii zamieściłem jedno z opowiadań Molly o kapryśnej Królowej Ruelli. Oto kolejne z tego cyklu.

Molly Brown

ZASADY WALKI

Ruella, piętnastoletnia królowa Tanaloru, rozparła się na tronie, a karzeł w stroju błazna zabrał się do masowania jej bosych stóp. Do sali wkroczył herold.

– Wasza Wysokość! – Ukląkł przed nią z pochylonym czołem.

– No?

– Poseł z królestwa Hall czeka na zaszczyt ujrzenia Waszej Wysokości.

– Praca, praca, nic tylko praca. Dobra, wołaj go.

Młody człowiek z falistymi czarnymi włosami i wielkimi ciemnymi oczami, odziany w niebywale ciasne pończochy, wkroczył do sali i opadł na kolana. Ruella natychmiast się wyprostowała, wciągnęła brzuch i odkopnęła karła na bok.

– Zechciejcie powstać, panie – powiedziała, wsuwając stopy w wysadzone klejnotami pantofle. – Witajcie w moim pięknym królestwie.

– Zaprawdę piękne jest wasze królestwo, pani, ale wyznać muszę – co czynię bez lęku, iż ktoś mi zaprzeczy – że piękno tego królestwa nijak się ma do urody jego królowej.

Ruella pochyliła lekko głowę i uniosła palec do ust, przyglądając się młodemu posłowi spod półprzymkniętych powiek.

– Dobra. Co mogę dla was zrobić?

– Przynoszę wspaniałe, radosne wieści. Mój pan, król Hall, zasłyszawszy o waszej wielkiej urodzie i równie wielkim rozumie...

– ...chce, bym wyszła za jego syna – przerwała Ruella, przewracając oczyma. – Codziennie coś takiego słyszę.

– Jeśli wolno mi was poprawić, Wasza Wysokość, król Hall nie życzy sobie, by poślubił was jego syn. Onże sam, we własnej osobie, pragnie waszej ręki.

– Mówisz o królu Reynardzie z Hall, tak?

– Tak, pani.

– Tym siedemdziesięcioletnim dziadku bez zębów, któremu cuchnie z gęby i włosy wyrastają mu z uszu?

– Wasz opis razi swą brutalnością, pani, ale nie mogę negować jego precyzji.

– A więc to tak sobie wyobrażacie radosne wieści, tak? Przekażcie zatem królowi, że nie mam zamiaru za niego wyjść, bo: A. jest paskudnym staruchem, B. cóż, mając takie A., czy potrzebne jest jeszcze B.?

– Wasza Wysokość – rzekł posłaniec, patrząc jej prosto w oczy – zachęcałbym jednak do przemyślenia tej decyzji. Mój władca, król Reynard z Hall, jest niezmiernie majątnym człowiekiem, a jego bogactwo wielokrotnie przekracza to, co wy, pani, władczyni tego drobnego, biednego Tanaloru, możecie sobie wyobrazić. Mój pan może wam zaoferować życie w niewyobrażalnym luksusie.

– Niech no zgadnę, co dalej zawiera to poselstwo. Ja zaś będę musiała jedynie rzec się kontroli nad moim własnym, drobnym królestwem?

– I przespać się z królem przynajmniej raz.

Ruella wybuchnęła śmiechem. Nie mogła uwierzyć, że choć przez moment uznała tego tupeczaka za przystojniaka.

– Zjeżdżaj mi z oczu – oznajmiła.

– Aha, i jeszcze jedno, Wasza Wysokość – rzekł posłaniec. – Muszę was ostrzec, że jeśli odmówicie, królestwo może zostać zniszczone. A wam, pani, również może stać się krzywda.

– Założę się, że każdej to mówi.

– Wyznam wam wobec tego, że mój pan jest władcą ciemności – poseł ściszył głos.

– Czym?

– Ma władzę nad rzeczami, które nie pochodzą z tego świata.

– Jestem pod wrażeniem – skrzywiła się Ruella.

– Ostrzegam was, pani, wasze podejście nie przypadnie mojemu ojcu do gustu.

Ruella uniosła brew. Powiedział „mojemu ojcu”, co oznaczało, że ma przed sobą księcia Merrillera, następcę tronu halańskiego i spadkobiercę niemożliwej do oszacowania fortuny. Może książę nie był jednak taki beznadziejny?

– Wybaczcie mi moje pochopne słowa, książę, ale nie wiedziałam, kim jesteście. Chodzi mi o to, że nie co dzień dziewczyna taka jak ja otrzymuje propozycję małżeństwa...

– Wydaje mi się, że powiedzieliście coś przeciwnego – przerwał jej książę.

– Chodziło mi o to, że nie od tak wspaniałych mężów jak wasz ojciec.

Klasnęła w dłonie i pojawiło się dwóch strażników.

– Pokażcie księciu Merrillerowi drogę do komnaty odpowiedniej jego urodzeniu. Będzie naszym gościem przez jakiś czas.

– Ale... – zaprotestował książę, odprowadzany przez strażników, ale więcej powiedzieć nie zdołał.

* * *

W jaskini znajdującej się głęboko pod pałacem zakapturzona postać w długim

plaszczu pochyliła się nad kotłem. Wyprostowała się na widok Ruelli.

– Przeprowadziłam pewne badania w kwestii ostatniego absztyfikanta – wycharzczała.

– Czyżby?

– Czyżby – odparła tajemnicza istota, po czym otworzyła fiolkę z jasnym płynem, wlała jej zawartość do kotła i zamieszała powoli, a następnie zanurzyła pokrzywiony palec w bulgoczącej cieczy.

– Jeszcze soli – wymruczała.

Ruella sięgnęła po solniczkę.

– I czego się dowiedziałas? – zapytała.

Zakapturzona postać ujęła szczyptę soli i rzuciła nią przez ramię.

– A odkąd to królowa Przemądrzalska interesuje się tym, co mam do powiedzenia?

– Przekonaj się. – Ruella przewróciła oczami.

Zakapturzona istota zanurzyła kolejny paluch w wywarze.

– Idealnie – rzekła, zdejmując kocioł z ognia. Następnie podeszła do półek, by odkurzyć swój zbiór słoików opisanych jako „trucizny”. – Wygląda na to, że król Reynard rozpoczynał, mając bardzo niewielkie królestwo, niewiele większe niż nasze. Potem ożenił się z córką sąsiada, który umarł niedługo po weselu w niewyjaśnionych okolicznościach. Tydzień po tym, jak nowa żona Reynarda została ukoronowana, również zmarła, w podobnie niejasnych okolicznościach. Potem nasz Reynard poślubił kolejną księżniczkę, tym razem z innego sąsiadującego kraju, która niebawem umarła... Zgadnij jak?

– W niejasnych okolicznościach? – Ruella wydeła usta.

Zakapturzona postać pokiwała głową.

– Powtórzył ten manewr pięciokrotnie. Dzięki pięciu małżeństwom, z których żadne nie przetrwało roku, zdołał powiększyć swoje dominium, skarb i strefę wpływów czterokrotnie.

Podniosła słoik ze zdechłymi ropuchami i delikatnie wypolerowała szkło.

– Jak myślisz zatem, czego może chcieć od ciebie?

Ruella zaśmiała się.

– Mówiłam, że cię to nie zainteresuje – rzekła zakapturzona postać, odstawiając słoik.

– Nie – zaprotestowała Ruella z chichotem. – Chodzi o to, że sama już dobrze wiem. Sprawdzam Reynarda od miesięcy i dochodzę do wniosku, że czas już, by ktoś pokonał go w jego własnej grze. Co ty na to? Nie byłby to pierwszy siedemdziesięciolatek, który wyzionie ducha podczas nocy poślubnej. Nikt niczego nie będzie podejrzewał, a Halla jest tak przeogromnie bogatym krajem...

Przechyliła głowę i oblizwała wargi.

– Jak myślisz, kto wysłał mu mój portret?

– Nie powinnaś robić takich rzeczy bez konsultacji ze mną! – zazgrzytała zakapturzona postać z dezaprobatą. – Niektórzy z tych lokalnych czarowników mogą być niebezpieczni.

– Wątpię, czy znają się na czymś lepiej ode mnie. – Ruella machnęła ręką z lekceważeniem. – Spójrz tylko.

Stała pośrodku jaskini ze skupieniem na twarzy, a wtedy z jej palców wystrzelił snop płomieni.

– Co ty na to?

Zakapturzona postać ściągnęła kaptur, drapiąc łysą czaszkę, na której roiło się od robaków.

– Czymś takim to możesz bawić gości na przyjęciach. A może spróbujesz jeszcze wyciągać króliki z kapelusza, co?

– A co powiesz na to?

Ruella zamknęła oczy i zaintonowała serię osobliwych, twardo brzmiących dźwięków. Ziemia zaczęła drżeć, a kamienne ściany jaskini ociekać krwią. Rozległ się szloch, a potem ryk wściekłości. Powietrze zawirowało i zgęstniało, tworząc czerwoną mgłę cuchnącą siarką. Królowa otworzyła oczy. Ziemia naraz pękła, a z jej trzewi zaczęli wypełzać nieumarli. Ruella nagle urosła do niewyobrażalnych rozmiarów, zionęła ogniem, a legion nieumarłych żołnierzy ciemności, gotowych wielokrotnie zginąć w imię królowej, pokłonił się nisko.

– Lepiej – oznajmiła zakapturzona postać.

* * *

Książę Merriller wpadł do sali tronowej.

– Jesteście niepoprawni, pani! – wykrzyknął.

Królowa, jej strażnicy i wszyscy dworzanie nawet się na niego nie obejrzel, tylko jak na komendę przytknęli palce do ust, nakazując mu ciszę. Uwaga wszystkich skupiona była na dramacie rozgrywającym się pośrodku sali, wszyscy wytężali słuch. Książę próbował odezwać się po raz drugi, a wtedy jeden z pałacowych gwardzistów zatkał mu dłonią usta.

Na scenie aktor i aktorka mierzyli się spojrzeniami.

– W czym tkwi problem twój? – zapytał on. – Wiesz przecie, że potrzebuję swej wolności.

– Och, wiem to, jakże dobrze, i wiedząc to, zgodziłam się na luźny związek – rzekła ona. – Niechże więc będę przeklęta, po trzykroć przeklęta! Albowiem obawiam się, że jestem brzemienna.

Rozległ się dramatyczny akord muzyczny. Aktor z obawą zwrócił się ku widowni. Świece otaczające scenę naraz zgasły, aktor znikł w ciemnościach, a chór podjął:

– Chłopi, chłopci, dobrzy chłopci, warto o nich kruszyć kopie...

Książę wyrwał się w końcu gwardziście:

– Ruello!

Królowa wzruszyła ramionami, choć wyglądała na nieco zmieszana.

– Tak, wiem, że to badziewie. Ale wkręciłam się i nic na to nie poradzę.

– Nie możecie już mnie tu więzić! – oznajmił książę, unosząc hardo podbródek.

– Czemu nie? – Ziewnęła.

– Bo gdy gwardziści Waszej Wysokości sterczeli tutaj i oglądali te... – wskazał

scenę – te bezsensowne bzdety, ja wspiąłem się na dach zamku, skąd ujrzałem nadciągającą halańską armię! Mój ojciec prowadzi oddziały, by mnie ocalić!

Królowa aż podskoczyła z podekscytowania.

– Król Reynard tu zmierza? Och, to cudownie!

– Kiedy opowiem mu o wszystkim, czego byłem świadkiem i co usłyszałem, gdy się dowie, że trzymano mnie tu wbrew mej woli, gdy usłyszy, że królowa baraszkuje sobie z ożywionymi truposzami...

– Ech, zamknij się wreszcie! – rzuciła królowa, a potem podeszła bliżej.

– Jak sądzisz, komu twój stary uwierzy? – mówiła teraz cicho, tak że tylko on mógł ją usłyszeć. – Tobie? A może mnie, gdy opowiem mu, jak zakradłeś się do mojej komnaty w środku nocy i przysięgałeś, że zabijesz króla, by przejąć jego tron i samemu wziąć mnie za żonę?

Książę wybałuszył oczy tak, że niemal wyskoczyły mu z orbit. Pokręcił gwałtownie głową, bełkocząc:

– Ale ja nie... Ja nigdy...

Ruella mrugnęła do niego i szturchnęła lekko łokciem.

– Dobra, jak chcesz, zatrzymam to dla siebie.

Chór nadal rozwodził się w temacie dobrych chłopów.

– Chłopaki, możecie już się zamknąć?

Chór posłusznie wykonał polecenie.

– Jutro macie wolne. Wychodzę za mąż!

Ruella zachichotała, zakładając suknię ślubną.

Już planowała, kto zostanie jej drugim mężem. I trzecim. Ci jednak będą musieli poczekać na swoją kolej.

William Schwenck Gilbert

Łatwo jest zapomnieć, że William Schwenck Gilbert (1836–1911) – autor librett do oper pisanych przez Sullivana – był jednym z najlepszych autorów komediowych pod koniec dziewiętnastego wieku. Kilka z jego lekkich oper, które napisał z Sullivanem, to fantazje – Thespis (1871), The Sorcerer (1877), Iolanthe (1882) oraz Ruddigore (1887). Gilbert pisywał dowcipne poematy, ballady i artykuły dla wiktoriańskich periodyków od roku 1863. Stał się regularnym, żarliwym działaczem na rzecz Zabawy – w rzeczy samej, tworzył w jej imieniu w tym samym czasie co Ambrose Bierce, którego opowiadanie również znalazło się w tej antologii. Napisał także wiele sztuk scenicznych, z których kilka to komediowe fantazje, jak choćby jego pierwsza Dulcamara czy The Little Duck and the Great Quack (1866). Gilbert zawsze jednak cenił swe opowiadania bardziej od lekkich oper, przez co wielka szkoda, że nie zostały one należycie docenione. Wiele z nich pojawiło się w formie drobnych książeczek lub w czasopiśmie, a jedyny zbiór opublikowany za jego życia nosił tytuł Foggertys Fairy and Other Tales (1890). Peter Haining wykonał wspaniałą pracę, wskrzeszając wiele z jego opowiadań w tomie The Lost Stories of W.S. Gilbert (1981), z którego zaczerpnięto poniższe opowiadanie.

W.S. Gilbert

JAK ZATRYUMFOWAŁ WYSTĘPEK

Ze wszystkich dobrze urodzonych panien w Tackleschlosstein najszczodrzej obdarzoną wdziękiem i najuboższą, gdy chodziło o pieniądze, była pani Bertha von Klauffenbach. Jej papa, sam baron, był co prawda szczęśliwym właścicielem wielkiego zamczyska na szczycie strzelistej skały, ale na jego posiadłości ciążył niejeden dług i nie było najmniejszych szans, by baron kiedykolwiek uwolnił ją całkiem od wpływów miejscowego lichwiarza. W rzeczy samej, chciałbym tu nadmienić, że gdyby do owej wielce nieprawdopodobnej sytuacji doszło, za sprzedaż samego zamku wraz ze strzelistą skałą otrzymałby nie więcej niż co najwyżej sto osiemdziesiąt funtów szterlingów, więc baron von Klauffenbach nawet nie próbował udawać, że jest człowiekiem zamożnym.

Strzelista skała była miejscem wyjątkowo jałowym nawet jak na skałę, a baron był człowiekiem wyjątkowo splukanym nawet jak na barona, wkrótce zatem konieczne się stało podjęcie jakichś zdecydowanych działań, by zapasy chleba, mleka i kiszanej kapusty w zamku mogły zaspokoić naturalne apetyty barona von Klauffenbacha oraz przepięknej dorastającej Berthy, jego córki. Dlatego nieszczęsny zubożały dzentelmen z rezygnacją opuszczał co rano most zwodzony i wyruszał ze swej twierdzy, by zająć stołek skryby w biurze tegoż samego lichwiarza, o którym już

wspominałem. Krótko mówiąc, baron von Klauffenbach pracował u lichwiarza jako pisarz.

W tej opowieści mam się zająć jednakże nie tyle baronem von Klauffenbachem, co jego piękną córką. Muszę więc ją przedstawić. Była w istocie przepięknym stworzeniem. Liczyła sobie sześć stóp wzrostu i miała idealne proporcje, a jej cudowną królewską twarz okalały bujne jasne włosy. Miała wielkie błękitne oczy, wygięte, drobne usteczka (lecz z grubymi, mocnymi wargami) i nosek, który wedle panującej w tamtej epoce merkantylnej frazeologii wymykał się wszelkim porównaniom. Jej ogromna figura przywodziła na myśl heroiny z opowieści, a ciało jej, choć na pierwszy rzut oka twarde jak marmur, ustępowało miękko pod dotykiem. Bertha miała tylko jedną wadę – była niebywale próżna z powodu swej niezwyklej urody i żywiła niewysłowioną pogardę wobec każdego, obojętnie, mężczyzny czy kobiety, kto w tym aspekcie wypadł gorzej od niej. Była tematem toastów wszystkich młodych pisarzy w Tackleschlosstein, lecz młodzi urzędnicy w Tackleschlosstein byli dla panny Berthy niczym karzełki wobec olbrzymki. Irytowali ją, lecz nie na tyle, by zadać sobie trud i całkiem ich zniszczyć. Zatem młodzi urzędnicy wznosili tylko za piękną baronównę toasty, a ona nadal nimi gardziła.

W rzeczy samej jedynym absztyfikantem panny Berthy, który miał u niej cień cienia szansy, był hrabia von Krappentrapp. Hrabia miał pewną przewagę nad bandą wesołych pisarzy z Tackleschlosstein – nie dość, że przez cały czas obracał się w jej towarzystwie, to jeszcze był szlachetnego rodu. Zaszczytu obracania się w towarzystwie panny Berthy dostąpił zaś w następujący sposób.

Baron von Klauffenbach, który postanowił powiększyć swój majątek – lub, ściślej mówiąc, rozpocząć jego zbieranie – opublikował tenże manifest, który następnie porozwieszał po murach Tackleschlosstein:

Szlachcic i jego córka, władający większymi dziedzinami, niżli tego potrzebują, z radością przyjmą do swego grona młodego dżentelmena, który za dnia zajęty jest we wsi. Oboje lubią muzykę. Warunki nieistotne. Wnioski składać u barona von K., skrzynka pocztowa, Tackleschlosstein.

Jedyna odpowiedź nadeszła od hrabiego von Krappentrappa, a jedynym kryterium, którego ten nie spełniał, był brak zajęcia we wsi za dnia. Hrabia złagodził jednakże wszelakie sprzeciwy barona, wręczając mu z niewysłowioną wprost dwornością skrypt dłużny w wysokości dziesięciu funtów do wypłaty w przeciągu sześciu miesięcy, co zostało natychmiast potrącone przez pracodawcę barona. Obawiam się, że baron i hrabia tego się tego wieczoru wstawili, gdyż wiem, że zabawiali się przez całą noc, ciskając z murów kałamarzami w wieśniaków.

Łatwo też przewidzieć, że hrabia von Krappentrapp szybko, bez reszty i całkiem beznadziejnie zakochał się w Bercie, a ci z moich Czytelników, którzy znają się na niemieckich legendach, zapewne dojdą do wniosku, że Bertha równie szybko i równie beznadziejnie zakocha się w hrabim von Krappentrappie. W tym jednak aspekcie pomyłają się, i to bardzo. Otóż Bertha nie miała najmniejszego zamiaru rozkochiwać w sobie wesołego młodego hrabiego, a wręcz przeciwnie, odnosiła się

do niego z nieprzejednaną pogardą. W rzeczy samej, uczciwość przymusza mnie, bym przyznał, że hrabia był odrażający. Miał wielką głowę i krótkie nóżki, był niewysoki, przysadzisty i odpychający w każdym calu. Ratowało go jedynie to, że zawsze gotów był wsunąć dłoń do kieszeni i wyciągnąć z niej czek dla zacnego starego barona. Za każdym razem, gdy hrabia w ten oto sposób barona uhonorował, tego się tego wieczoru wstawiali i nieodmiennie spędzali noc na murach, ciskając kałamarzami w wieśniaków. Dla wioskowych sklepikarzy zaś deszcz kałamarzy oznaczał również mannę z nieba i ledwie pierwsze z nich roztrzaskały się o ziemię, a już wspinali się na strzelistą skałę, dzierżąc w garściach niewielkie czerwone książeczki z wytłoczonymi złotymi literami, w nadziei na natychmiastową zapłatę.

Nie upłynęło wiele czasu, nim hrabia von Krappentrapp zamieszkał u barona von Klauffenbacha, a potem oświadczył się jego córce. W kilkanaście sekund później jego oświadczyzny zostały bez litości odrzucone. Hrabia zmył się jak niepyszny do swej komnaty, mamrocząc i przeklinając w sposób tak niewyszukany, że wywołał całkowitą konsternację u Gretchen, zamkowej pokojówki, którą spotkał po drodze. Zaproponowała mu więc butelkę taniego perfumu oraz nieco miętówek, ale wtedy hrabia natarł na nią z taką wściekłością, że pokojówka od razu poszła do barona i złożyła u niego wypowiedzenie.

Tego dnia nic hrabiemu nie wychodziło. Nie dawało się podciągnąć żaluzji, drzwi się nie domykały, krzesła załamywały się, gdy na nich siadał, a zanim minęła mu złość, wykorzystał wszystkie znane sobie przekleństwa.

Hrabia był bowiem skrupulatny tylko w jednej kwestii, a były to właśnie przekleństwa. Za swój punkt honoru obrał, by nigdy nie używać tego samego przekleństwa dwa razy na dzień. Kiedy więc uświadomił sobie, że wyczerpał cały swój zasób – a w tymże momencie komin zaczął buchać dymem – usiadł bez sił i zasłochał.

Wnet jednak poderwał się na równe nogi, bo w środku niebywale wielkiego kłębu dymu ujrzał najdziwniejsze indywiduum, jakie kiedykolwiek na oczy widział. Mierzyło sobie dwie stopy wzrostu, a jego głowa była równie wielka jak ciało i nogi razem. Otaczała go przedziwna aura staroświeckości, ale właściwie nie licząc tego, że miało długi, sztywny ogon zakończony ostrzem jak u włóczni, nie było w nim nic niesamowitego. Jego włosy, które z kształtu przypominały koguci grzebień, kończyły się osobliwym kosmykiem, zadartym przy końcu i przewiązanym błękitną wstążką. Indywiduum miało bokobrody przypominające kotlety oraz wielki, płaski kołnierz, a jego ciało i zniekształcone nogi pokrywała zrogowaciała narośl przywodząca na myśl czarne żuki. Na swej czuprynie nosiło trójgraniasty kapelusz, wyprzedzając tym samym wynalezienie owego elementu garderoby o jakieś trzysta lat.

– Proszę o wybaczenie – rzekła zjawa. – Czy mógłbym z panem zamienić słów kilka?

– Jak widać, przeszkód nie ma – odpowiedział hrabia, który już odzyskał rezon.

– Wiem, ale miałem na myśli to, czy zechce mi pan poświęcić jakieś dziesięć minut? Albowiem mam panu wiele do powiedzenia.

– A to wszystko zależy, o czym będziesz mówił. I czym ty właściwie jesteś? –

zapytał hrabia.

– Jestem czymś na kształt gнома.

– Gnoma?

– No, czegoś w tym rodzaju. Nie będę się zagłębiał w szczegóły, bo to pana nie zainteresuje.

Gnom urwał, najwidoczniej licząc na to, że hrabia zaprzeczy w tym miejscu i zapewni go, że wręcz przeciwnie, fascynują go wszelkie szczegóły życia prywatnego gнома, ale ten powiedział jedynie:

– I słusznie, bo mało co interesuje mnie mniej.

– Jest pan ubogi – rzekł gnom.

– I to bardzo – odparł hrabia.

– Ha! – ucieszył się gnom. – W istocie, wielu ludzi cierpi na ubóstwo. A ja jestem bogaty.

– Czyżby? – hrabia nagle zaczął interesować się sprawą.

– Owszem. Pana również mógłbym uczynić bogaczem, musi mi pan tylko pomóc w sprawie żony.

– Co takiego? Odplącić dobrem za zło? Nigdy!

Nie miał oczywiście tego na myśli, ale przyszło mu do głowy, że w tej sytuacji dobrze to zabrzmiał.

– Sprawa ma się trochę inaczej – rzekł gnom. – Nie dam panu złota, dopóki pan nie znajdzie mi żony, a więc tak naprawdę to ja zapłacę dobrem za zło.

– Ta-ak – zadumał się nieco hrabia. – W pierwszej chwili inaczej to wszystko zrozumiałem. Dopiero teraz widzę sprawę z pańskiego punktu widzenia. Ale właściwie to czemu nie poszuka pan sobie żony sam?

– Cóż – gnom wykazał wielki brak wiary we własne siły. – Nie jestem tak całkiem... No cóż, pan rozumie. Jestem... eee... no... Jak się to mówi?

– Brzydki jak jasna cholera? – odpowiedział hrabia.

– Eee... Tttak – przyznał gnom zaskoczony. – Coś w tym stylu. Sam pan rozumie.

– Tak, rozumiem. Ale jak niby mam pomóc? Piękniejszym cię nie uczynię.

– Nie, ale dysponuję pewnymi mocami, dzięki którym mogę trzykrotnie przekształcić się w przystojnego młodego mężczyznę i zapomnieć o swojej gnomiej aparycji.

– Och! – mruknął hrabia chytrze.

– Otóż to. Cóż, skorzystałem już ze swoich mocy dwukrotnie, ale w kwestii żony sukcesu nie odniosłem. To moja ostatnia szansa.

– Ale jak mogę pomóc? Przecież potrafi pan się zmienić w przystojnego młodzieńca. Dlaczego więc nie ujmie pan sprawy we własne ręce? Jeśli chodzi o mnie, ja... Ja jestem...

– Odrażający? – odpowiedział gnom, sądząc, że udało mu się dopiec hrabiemu.

– Pospolitej urody – poprawił hrabia.

– Cóż, z moją ludzką powłoką związana jest pewna niefortunna przypadłość.

– Dalej, niechże pan to z siebie wykrztusi. Dość tych ceregieli!

– Dobrze, dobrze, już mówię. Z początku jestem przepięknym młodzieńcem,

który mierzy sześć stóp, ale co dzień po każdym myciu zmniejszam się ledwie dostrzegalnie, aż w końcu kurczę się do postaci... eee...

– Obleśnego paskudztwa?

– No... Cóż, tak. Dziękuję, sam pan przecież widzi. Próbowałem już dwa razy i za każdym razem udawało mi się znaleźć wspaniałą dziewczynę, która gotowa była mnie poślubić. W trakcie miesiąca, który upływał między zaręczynami a dniem wyznaczonym na ślub zmniejszałem się do tego stopnia – bo sam pan pewnie wie, że co jak co, ale podczas zalotów twarz myć trzeba – że panna młoda uciekała na mój widok z wrzaskiem. Teraz ujrzałem pannę Berthę i jestem zdecydowany podjąć trzecią próbę.

– Ty chcesz poślubić Berthę? Ha, ha, ha! Wybacz mi, ale... Ha, ha, ha!

– Tak. Sam pan jednak rozumie, że sprawą najwyższej wagi dla mnie jest to, by między chwilą, gdy zostanę jej przedstawiony, a ślubem, upłynęło jak najmniej czasu.

– Oczywiście, a moim zadaniem byłoby przygotować ją na spotkanie z panem i ślub bez chwili zwłoki.

– O to właśnie mi chodzi. Jeśli się pan zgodzi, podaruję panu kilka kopalni złota i tyle diamentów, ile będzie pan mógł unieść.

– Doprawdy? Och, mój drogi panie, zaprzestań, błagam cię! „Zemsta! Zemsta! Zemsta! Wykrzyknął Tymoteus” – hrabia zacytował słowa znanej piosenki. – A w jaki sposób udaje się panu zmienić powłokę?

– Mam taki pierścień, który pozwoli mi przybrać ludzką powłokę po raz ostatni w moim życiu. Muszę go tylko wsunąć na środkowy palec i transformacja gotowa.

– Rozumiem... Ale... Ale czy mógłby pan wyświadczyć mi uprzejmość i dać kilka talarów zaliczki?

– Hmm – zamyślił się gnom. – To wbrew zasadom, ale w sumie... Proszę, oto dwa.

– Dobra. – Hrabia sprawdził autentyczność waluty, nadgryzając każdą z monet. – Podejmę się tego zadania. Niech pan przybędzie pojutrze.

– O tej porze?

– O tej porze.

– Dobranoc.

– Dobranoc.

I gnom znikł w kominie.

Nie tracąc czasu, hrabia von Krappentrapp popędził do pięknej Berthy, by opowiedzieć o losie, jaki ją czeka.

– Panno Bertho – oznajmił – przybywam z niezwykłymi oświadczeniami.

– Niech pan nie będzie osłem, Krappentrapp – ostrzegła Bertha. – I zapamięta sobie raz na zawsze, nie wyjdę za pana.

– Nie mam na myśli siebie, przybywam w imieniu przyjaciela.

– Och, za żadnego z pańskich przyjaciół też nie wyjdę, jestem pewna – zaczęła Bertha uprzejmie.

– Bardzo dziękuję.

– Będę miała podobne obiekcje jak do pana. Ten przyjaciel na pewno jest obrzydliwy.

– Ależ to czarujący człowiek!

– Paskudny.

– Jest pełen cnót i przymiotów!

– Nikczemny zarówno z postawy, jak i z urodzenia!

– To księżę o idealnych wprost proporcjach!

– Straszliwie ubogi.

– Jest niewyobrażalnie wprost bogaty!

– Czyżby? – zapytała Bertha. – Zaczyna pan budzić moje zainteresowanie.

Bertha była doskonale zaznajomiona z niemieckimi melodramatami.

– No, proszę mówić dalej.

– Ów księżę – ciągnął Krappentrapp – usłyszał o pani, ujrzał panią i w konsekwencji zakochał się po uszy.

– No, niechże pan mówi dalej! – zachichotała Bertha, szturchając hrabiego kształtnym łokciem.

– Przejdźmy do faktów. Proponuje oddać pani Afrykę, Kryształowy Pałac, kilka układów słonecznych, Ren oraz Rosherville. Oto miejsce – dodał w zadumie – gdzie można spędzić szczęśliwy, jakże szczęśliwy dzień.

– Czy mówi pan ze mną szczerze, czy może – przy tych słowach obnażyła prawe ramię aż po bark – czy może jest to któryś z pańskich wymysłów?

– Na mój honor, mówię szczerze. Przyjaciel mój przybędzie tutaj pojutrze o tej porze, by poprosić panią o rękę. Jeśli przyjmie pani oświadczyzny, wówczas narzeczony zabierze panią do swych włości, gdzie się pobierzecie.

– Mam wyjechać z nim sama? Coś takiego nawet by mi do głowy nie przyszło! – rzekła Bertha, która była wzorem wszelkich cnót.

– Cóż – rzekł hrabia. – Ta kwestia w istocie wydaje się dość niezręczna. Aha! Mam pomysł! Zorganizujemy to inaczej. Najpierw go pani poślubi, a potem wyruszyście. Wiem jednakże, że gdy przybędzie tu za dwa dni, będzie się bardzo spieszyć, a więc wasz ślub musi się odbyć bezzwłocznie.

Sam widzisz, drogi Czytelniku, że gdyby hrabia zaproponował to rozwiązanie od razu, Bertha z zasady odrzuciłaby je z oburzeniem. W tej jednak sytuacji skwapliwie na nie przystała, a na dowód przyjaznego nastawienia opuściła rękaw.

– Skompletuję moją wyprawę ślubną za jakieś dwa dni. Wyjdę za niego, gdy tu przybędzie, oczywiście, jeśli okaże się taki, jak go przedstawiłeś. Jeśli zaś nie... – Znów wymownie podwinęła rękaw.

Tej nocy baron von Klauffenbach oraz hrabia godnie zainwestowali dwa talary wyciągnięte od gnoma. Baron był wprost zachwycony wizją księżęcego zięcia, stąd wioska u stóp zamku przeszła szczególnie ciężkie bombardowanie kałamarzami.

Dwa dni później gnom stawiał się przed hrabią von Krappentrappem.

– Jak się miewasz? – zapytał hrabia.

– Dziękuję, jakoś się trzymam – odparł gnom. – Żeniaczka może każdego wykończyć.

- Och, nie, proszę nie podupadać na duchu!
 - Ach, łatwo panu mówić, ale... Czy panna jest gotowa? – zmienił temat.
 - Tak myślę. Czeka w sali balowej, strojna w ślubną biel, z biciem serca oczekując na twoje przybycie.
 - Och! Wyglądam na zdenerwowanego?
 - Cóż, szczerze mówiąc, to tak – stwierdził hrabia.
 - Tego się obawiałem. Czy wszystko przygotowane?
 - Przygotowania nabrały niezwykłego tempa – odparł hrabia. – Wszędzie piętrzą się słodkie bułeczki i pomarańcza w niezwykłych wprost ilościach, zwieziono też takie morze gingerbierheimer i currantweinmilch, że popłynąłby na nim kajak Rob Roya. W chwili gdy rozmawiamy, Gretchen zajmuje się przygotowaniem kanapek z szynką, a baron zdjął napis *Pokoje do wynajęcia*, który od wieków wisiał na witrażu w sali balowej.
 - Rozumiem – rzekł gnom. – Chciał dodać chwili odpowiedniego nastroju.
 - Otóż to. Gdy wszystkie przygotowania dobiegną końca, świat ujrzy wspaniałą ceremonię.
 - Cóż – stwierdził gnom. – A zatem pora chyba się przebrać.
- Należy tu nadmienić, że nie przybrał jeszcze ludzkiej formy.
- Wsunął więc wielki pierścień na środkowy palec prawej ręki. Momentalnie pokój wypełnił się kłębam dymu z komina, a gdy ten wreszcie się rozwiął, hrabia ku swemu zdumieniu ujrzał przystojnego młodego mężczyznę stojącego tam, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się gnom.
- Jak pan widzi, nie oszukiwałem – oznajmił.
 - Brawo! Wspaniała robota! Cudowne! – zachwycił się hrabia.
 - Sprytne, no nie?
 - Wprost kapitalne, niezwykle pomysłowe. Ale jeszcze jedno – jak panu na imię?
 - Noszę dość dziwne imię. Nazywam się księżę Pooh.
 - Księżę Pooh? Puuu! Puuu? Nie, to chyba żart.
 - Niechże pan posłucha i przyjmie dobrą radę: proszę nigdy nie stroić sobie żartów z imion innych. Bez względu na to, jak udany będzie ów dowcip, może pan mieć pewność, że ktoś kiedyś rzucił mi nim prosto w twarz, i to wiele razy. Pański żart nie jest wyjątkiem. Powtarza go każdy idiota, gdy tylko zasłyszycie moje imię.
 - Proszę o wybaczenie. Przyznaję, kiepski był. Proszę udać się wraz ze mną do barona, poczynicie wstępne ustalenia.
- Udali się więc do barona, który był oczarowany przyszłym zięciem. Księżę Pooh ofiarował na rzecz Berthy całą Afrykę, Pałac Kryształowy, parę układów słonecznych, Ren oraz Rosherville, a samemu baronowi sprezentował Syberię i Wezuwiusza. Po tym mężczyźni zeszli do sali balowej, gdzie oczekiwała na nich Bertha wraz z księdzem.
- Pozwólcie mi dokonać prezentacji – rzekł baron. – Bertho, moja droga, oto księżę Pooh! Który zaszczycił nas swą hojnością – ostatnie słowa dodał szeptem.
 - Drogi księżę, oto moja córka Bertha – ciągnął. – Proszę wybaczyć ojcu, że nie potrafi znieść rozłąki jak mężczyzna.

I baron zaczął szlochać z powodu Berthy, księżę Pooh płakał wraz z hrabią Krappentrappem, a ksiądz z Gretchen, która skończyła już kroić kanapki. Nic więc dziwnego, że ceremonia zaślubin przebiegała wśród ogromnych emocji, a po jej zakończeniu wszyscy zgromadzeni zasiedli do eleganckiej kolacji, o której już wspominałem. Księżę ogłosił, że baron jest najzacniejszym kompanem, jakiego kiedykolwiek spotkał, zaś baron zapewnił księcia, że słowa go zawodzą za każdym razem, gdy próbuje wysławić swą radość z powodu przyjęcia do rodziny człowieka tak wyjątkowego jak Jego Wysokość.

Księżę i jego świeżo poślubiona małżonka zasiedli później w karocy i popędzili do posiadłości znajdującej się zaledwie pięćdziesiąt mil od Tackleschlosstein, a baron i hrabia tej nocy wstawili się mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Zeszli na tę okazję do miejscowego złotnika i wykupili od niego wszystkie kałamarze z oprawami. Nawalnica, która w konsekwencji runęła z murów zamku na głowy wieśniaków, była wydarzeniem bez precedensu w historii hulanki i pijatyki.

Bertha i księżę Pooh cieszyli się swym małżeństwem. Bertha miała właściwie tylko jeden powód do narzekania na męża i na szczęście nie było to nic ważnego – mimo usilnych starań nie udawało jej się namówić go, by mył twarz częściej niż raz na tydzień. Jak na Niemkę, Bertha była czystą dziewczyną i wykształciła w sobie nawyk dokonywania ablucji trzy, a nawet cztery razy na tydzień, stąd też wściekała się na osobliwe dziwactwo małżonka o wiele bardziej, niż na jej miejscu wściekałaby się większość damulek w Tackleschlosstein. A zatem, gdy tylko zapadał w sen, wycierała jego twarz starannie wilgotnym ręcznikiem, a kiedy tylko wychodził na spacer, zawczasu chowała jego parasolkę, by na wypadek deszczu został należycie wypłukany.

W ten oto sposób żyli szczęśliwie przez około dwa miesiące, kiedy to Bertha zaczęła zauważać pewną niezwykłą zmianę, nie tylko w wyglądzie małżonka, ale i we własnym. Ku swej zgrozie uprzytomniła sobie bowiem, że oboje z mężem gwałtownie się kurczą. W dniu ślubu mierzyli sobie po sześć stóp wzrostu, a teraz jej mąż liczył zaledwie pięć stóp dziewięć cali, a ona skurczyła się do pięciu stóp sześciu cali, na skutek częstszego korzystania z wody. Jej suknie stały się zbyt długie i zbyt obszerne. Zbierała w fałdy wszystko, co tylko zebrać się dało, wyciągała też kliny z każdej możliwej sztuki odzieży. Wydała fortunę na buty na obcasie, a nawet wtedy zmuszona była chodzić na palcach, by uniknąć komentarzy. Księżę zaś nie był ani trochę spokojniejszy od żony. Nosił najwyższe kapelusze z najdłuższymi piórami, a na nogi zakładał buty z najpotężniejszymi obcasami znanymi światu. Wydawało się, że oboje boją się napomknąć o tych modyfikacjach partnerowi, i miejsce niczym nieskażonej wesołości, która towarzyszyła im od chwili ślubu, zastąpiło pełne melancholii milczenie.

W końcu nastąpił kryzys. Księżę wybrał się pewnego dnia na polowanie i spadł ze szczytu wysokiej skały prosto w wody Renu. Pływał znakomicie, ale zmuszony był walczyć ponad dwie godziny z potężnym nurtem, nim przybyła pomoc. W konsekwencji, gdy go wyciągnięto na brzeg, skurczył się do tego stopnia, że służący ledwie go rozpoznali. Skrócił się, w rzeczy samej, do czterech stóp dziewięciu cali.

Powróciwszy do zamku, założył swój najwyższy kapelusz i buty z najwyższymi obcasami. Usiadł następnie przy kominku, by ogrzać zmarznięte ciało, i tak czekał zdenerwowany na powrót żony, która urządziła sobie ekspedycję po okolicznych sklepach.

– Charles – rzekła – dalsze próby maskowania tego, co się dzieje, są doprawdy żalotne. Nie jestem już w stanie ukryć przed sobą samą owego niezwykle nieprzyjemnego faktu, że oboje się kurczymy. Dwa miesiące temu byłeś wysokim mężczyzną, a ja jedną z najokazalszych kobiet w dziejach. Teraz ja jestem średniego wzrostu, a ty nagle stałeś się rozczarowująco mały. Co to wszystko ma znaczyć?

– Mężowie bywają pomniejszani w oczach własnych żon – rzekł książę Charles Pooh, usiłując obrócić wszystko w kiepski żart.

– Tak, ale żadna żona nie zniesie pomniejszenia w oczach męża.

– To tylko owoc twojej wyobraźni. Dla mnie jesteś równie piękna i wspaniała jak zawsze.

– Bzdura, Charles. Kliny, Klamry i Wszywki są Aż Nadto Realne! – odparła Bertha, celowo używając wielkich liter. – To Uparte, Nieznośne Fakty, którym nie można Zaprzeczyć, a ja Domagam się Wyjaśnień!

– Przykro mi – rzekł książę Pooh. – Ale nie umiem tego wytłumaczyć.

I nagle, przypomniawszy sobie, że jego koń nadal pływa po falach Renu, wypadł z komnaty jak burza, by go wyciągnąć.

Bertha przyjęła ów obrót wydarzeń ze złością. Zaczynała bowiem podejrzewać, że wyszła za jakiegoś potwora, a te wnioski obudziły w niej jeszcze większą złość. Zdecydowała więc, że napisze list do ojca i poprosi go o radę, co w tej sytuacji począć.

A trzeba dodać, że książę Pooh potraktował swego przyjaciela hrabiego Krappentrappa co najmniej niestosownie. Zamiast ofiarować mu obiecane kopalnie złota oraz diamenty, przysłał mu czek na dwadzieścia funtów do spieniężenia w ciągu sześciu miesięcy, około tuzina flaszek taniego wina i kilka setek kamieni brukowych, co bynajmniej nie zaspokoilo apetytów hrabiego i barona, którym dopiero co rozwinięte upodobanie do kałamarzy oprawionych w srebro nie dawało spać po nocach. Dlatego hrabia von Krappentrapp postanowił, że zemści się na księciu przy pierwszej dogodnej okazji, a list od Berthy okazję taką stworzył.

Pospiesznie von Krappentrapp osiodłał zamkowego osiołka i wyruszył do Poohbergu, gdzie rezydował książę. Przybył tam po dwóch dniach i wysłał Bercie swój bilet wizytowy. Po wpuszczeniu do księżnej hrabia opowiedział jej o prawdziwej tożsamości Pooha oraz straszliwym losie, który przypadnie jej w udziale, jeśli nadal będzie jego żoną.

– Ale cóż mam teraz począć? – jęknęła Bertha.

– Gdyby pani ponownie stała się samotna, za kogo by wyszła? – zapytał podstępnie hrabia.

– Och! – rzekła księżna. – Za pana, rzecz jasna.

– Akurat.

– A właśnie że tak. Proszę, oto moje oświadczenie na piśmie.

I podała mu pisemną obietnicę poślubienia hrabiego von Krappentrappa, jeśli coś przydarzy się księciu.

– A czy pogodzi się pani z faktem, iż sam jestem nikczemnego wzrostu? – zapytał hrabia.

– W porównaniu ze mną jest pan gigantem – rzekła Bertha. – Już wyleczyłam się z dumy z powodu mej wspaniałej postury.

– Dobrze – oznajmił hrabia. – A zwróciła pani uwagę na pierścień, który mąż... Mąż! Ha, ha, ha, ha! Dobra, nieważne. Na pierścień, który mąż pani nosi na środkowym palcu?

– Owszem.

– Ów pierścień jest źródłem jego mocy. Wystarczy zdjąć mu go z palca, gdy będzie spał. Zniknie wówczas, a pani stanie się wolną kobietą.

* * *

Tej nocy, gdy zegar wybił północ, księżniczka ściągnęła pierścień ze środkowego palca prawej ręki księcia Pooha. Księżę wydał straszliwy krzyk, a komnata wypełniła się dymem. Gdy kłęby dymu się rozwiały, okazało się, że na łożu spoczywa ciało gnoma, ale pozbawione życia, a co więcej – zwęglone na popiół!

Zamek Poohberg jednakże przetrwał wraz ze wszystkim, co się w nim znajdowało. Prochy potwora zakopano w ogrodzie, a w miejscu, gdzie spoczęły, z zaskakującą szybkością wyrósł straszliwy bezlistny krzew pokryty czarną, połyskliwą, zrogowaciałą korą, zdradzającą pokrewieństwo z czarnymi żukami. Rósł, rozrastał się i pęczniał, lecz nigdy nie wydał z siebie choćby listka. Ścinano go, lecz odrastał. Kiedy więc Bertha, która nigdy nie odzyskała swego poprzedniego wzrostu, poślubiła hrabiego Krappentrappa, okazało się, że ogród trzeba odciąć od świata, a w oknach zwróconych ku niemu założyć matowe szyby. Oczywiście nowożeńcy zabrali ze sobą starego, poczciwego barona, który niejedną jeszcze raz zafundował sobie z hrabią niezły ubaw. Hrabia zakupił zapas kałamarzy, który bez wątpienia wystarczyłby staruszkowi do końca życia, i wspólnie spędzili wiele szczęśliwych godzin na wiekowych murach Poohbergu. Bertha wraz ze swym mężem dożyli późnej starości i odeszli do lepszego świata jako zacni, szanowani ludzie.

Uwaga! Przedawkowanie grozi zerwaniem boków.
Na wszelki wypadek miej w pobliżu coś nudnego.



**GAIMAN · JONES · FOSTER
HOLT I INNI**

OPRACOWAŁ MIKE ASHLEY

DOBRE RADY

Peter Anspach

Czy kiedykolwiek podczas czytania powieści fantastycznej lub oglądania filmu zastanawialiście się, dlaczego czarny charakter zachowuje się tak idiotycznie? Peter Anspach owszem. Kilka lat temu zaczął spisywać listę tych bezsensownych działań na swojej stronie „The Evil Overlord”, później przyłączyli się do niego inni. Jeśli masz dostęp do Internetu i ochotę na zapoznanie się z pełną listą, wejdź na stronę www.eviloverlord.com. Poniżej znajdziesz pięćdziesiąt wybranych punktów.

Peter Anspach PIĘĆDZIESIĄT NAJISTOTNIEJSZYCH RZECZY, O KTÓRE ZADBAM, JEŚLI KIEDYŚ ZOSTANĘ MROCZNYM WŁADCĄ

Kariera Mrocznego Władcy zdaje się trafnym wyborem życiowym. Zajęcie jest dobrze płatne, gwarantuje wszelkie dodatki, świadczenia i nienormowany czas pracy. Jednakże każdy Mroczny Władca, o którym czytałem czy którego widziałem w filmach, niezmiennie zostaje na końcu pozbawiony władzy i zgładzony. Zauważyłem, że bez względu na to, czy jest barbarzyńskim wodzem, obłąkanym magiem, szalonym naukowcem czy najeźdźcą z kosmosu, zawsze wydaje się popełniać te same błędy. Mając to na uwadze, pozwólcie, że zaprezentuję wam...

Listę 50 rzeczy, które zrobię, jeśli kiedyś zostanę mrocznym władcą.

1. Swoje Legiony Terroru zaopatrzę w hełmy z przezroczystym wizjerem z pleksiglasu, a nie w całkiem zabudowane przyłbice.
2. Moje przewody wentylacyjne będą zbyt ciasne, by się przez nie przeczołgać.
3. Szlachetnie urodzonego przyrodniego brata, którego przemocą lub podstępem pozbawiłem tronu, zabiję od razu, zamiast przetrzymywać jako anonimowego więźnia w zapomnianej celi w lochach.
4. Strzelanie nie jest zbyt prostym sposobem na zabicie mojego wroga.
5. Artefaktu, który jest źródłem mojej mocy, nie umieszczę w Górach Rozpaczy za Rzeką Ognistą pod strażą Smoków Wieczności. Ukryję go w skrytce depozytowej (podobnie zresztą jak przedmiot stanowiący moją piętę achillesową).
6. Nie będę drwił z klęski pokonanego wroga przed zadaniem mu śmierci.
7. Gdy schwytyany przeciwnik powie: „Słuchaj, zanim mnie zabijesz, wyjaśnij

przynajmniej, o co w tym wszystkim chodzi”, odpowiem: „Nie” i zastrzelę go bezzwłocznie. Albo nie, najpierw go zastrzelę, a potem powiem: „Nie”.

8. Nie zamontuję mechanizmu samozniszczenia, chyba że będzie to absolutnie konieczne. W ostateczności przycisk uruchamiający sekwencję nie będzie dużym czerwonym guzikiem z napisem *Ostrożnie. Nie przyciskać*. Tak oznaczony czerwony guzik zasypie gradem kul każdego, kto okaże się na tyle głupi, by zlekceważyć ostrzeżenie. Dźwignia *Włącz/Wyłącz autodestrukcję* pozostanie w ogóle niepodpisana.

9. Każdego zgładzonego wroga poddam kremacji, a przynajmniej właduję w niego kilka magazynków amunicji. Nie zostawię żadnego przeciwnika, żeby dogorywał u stóp urwiska.

10. Bohater, mój antagonist, nie otrzyma prawa do ostatniego pocałunku, papierosa czy innej formy przedśmiertnego życzenia.

11. Nigdy nie wykorzystam żadnego urządzenia z cyfrowym odliczaniem. Jeśli jednak okaże się to niezbędne, nastawię go tak, by aktywacja nastąpiła, gdy licznik pokaże liczbę 117, a bohater właśnie zabiera się do realizacji swojego pomysłu na jego zatrzymanie.

12. Nigdy nie wypowiem kwestii: „Ale zanim umrzesz, powiedz mi...”.

13. Jeśli zatrudnię doradców, czasami będę służył ich rad. Jednym z moich doradców uczynię przeciętnego pięciolatka. Jakikolwiek wykryte przez niego wady planu skoryguję jeszcze przed podjęciem akcji.

14. Mimo dowodów, że diaboliczny śmiech pomaga rozładować stres, powstrzymam się przed korzystaniem z tej formy kontroli napięcia. W trakcie rechotania zbyt łatwo przeoczyć niespodziewany rozwój wypadków, który bardziej uważna osoba mogłaby obrócić na swoją korzyść.

15. Zatrudnię utalentowanego projektanta mody, który uszyje dla moich Legionów Terroru porządne mundury, a nie jakieś tanie podróbki, które upodabniałyby je do nazistowskich szturmówek, piechoty rzymskiej czy dzikich hord mongolskich. Tamte wojska poniosły klęskę, a ja chcę, żeby moje oddziały miały pozytywne nastawienie.

16. Będę posiadał tajny arsenał tradycyjnej broni i wyszkolę moje oddziały w posługiwaniu się nią. W ten sposób, nawet gdyby bohaterowi udało się odłączyć mój generator mocy i/lub unieszkodliwić standardową broń zasilaną energią, moje oddziały nie zostaną rozbite w pył przez bandę dzikusów uzbrojonych we włócznie i kamienie.

17. Bez względu na ogrom zalet nigdy nie skonstruuję maszyny, która jest w zasadzie absolutnie niezniszczalna z wyjątkiem tego, że posiada jeden jedyny mały i całkowicie ukryty słaby punkt.

18. Wszelkie arcyważne urządzenia zrobię w więcej niż jednym egzemplarzu. Krytyczne systemy zaopatrzę w dodatkowe panele kontrolne oraz rezerwowe źródła zasilania. Podobnie zawsze będę nosił przy sobie co najmniej dwie sztuki naładowanej broni.

19. Udomowionego potwora będę trzymał w odpowiednio zabezpieczonej klatce,

z której nie uda mu się uciec i w której przypadkiem się nie zatrzasnę.

20. Będę się ubierał w jasne i wesołe kolory, co zdezorientuje moich wrogów.

21. Wszyscy niewydarzeni iluzjoniści, niezdarni giermkowie, mierni bardowie i tchórzliwi złodzieje zamieszkujący moje ziemie zostaną przewencyjnie skazani na śmierć. Moi wrogowie zapewne porzucą swoje zamiary i zrezygnują z misji, jeśli pozbawię ich źródła kandydatów na wesółkowatych pomagierów.

22. Nie wpadnę w amok i nie zabiję posłańca złej wiadomości tylko po to, żeby pokazać, jaki to jestem straszny. Dobry posłaniec jest na wagę złota.

23. Nie przemienię się w węża. To nigdy nie przynosi żadnych wymiernych korzyści.

24. W razie absolutnej konieczności osobistego udziału w bitwie nie pojedę na czele moich Legionów Terroru, a już na pewno nie popędzę szukać mojego antagonisty pośród wrogiej armii.

25. Gdy pojmem bohatera, pochwycę także jego psa, małpę, fretkę lub inne obrzydliwie słodkie zwierzątko, które byłoby w stanie pomóc mu uwolnić się z więzów czy zwędzić klucz do celi.

26. Jeśli dowiem się, że istnieje jakiś jedyny artefakt, który może mnie zniszczyć, nie wyślę całej armii na jego poszukiwania. Oddeleguję wszystkich do szukania czegoś zupełnie innego, sam zaś cichcem zamieszczę drobne ogłoszenie w lokalnej gazecie.

27. Zatrudnię grupę dyplomowanych architektów oraz rzeczoznawców budowlanych, aby przeprowadzili szczegółową inspekcję mojego zamku i poinformowali mnie o wszelkich tajnych przejściach lub zapomnianych tunelach, o których mógłbym nie wiedzieć.

28. Jeśli schwytana przeze mnie piękna księżniczka oświadczy: „Nigdy za ciebie nie wyjdę! Nigdy, słyszysz? Nigdy!!!”, odpowiem: „No cóż, trudno”. I zabiję ją.

29. Wszyscy członkowie moich Legionów Terroru będą posiadali podstawowe umiejętności strzeleckie. Każdy, kto nie trafi do celu wielkości człowieka z odległości dziesięciu metrów, sam posłuży za tarczę ćwiczebną.

30. Zanim wykorzystam jakikolwiek zdobyczny artefakt lub mechanizm, uważnie przeczytam instrukcję obsługi.

31. Podczas ucieczki nigdy nie zatrzymam się, żeby przyjąć melodramatyczną pozę i rzucić jakiś błyskotliwy bon mot.

32. Nigdy nie stworzę sztucznej inteligencji inteligentniejszej ode mnie.

33. Odwiedzę kompetentnego psychiatrę, aby wyleczyć się ze wszystkich, nawet najrzadszych fobii oraz najdziwaczniejszych natręctw, które w różnych sytuacjach mogłyby okazać się dla mnie zgubne.

34. Gdy zajdzie potrzeba, żeby moi żołnierze rozproszyli się podczas poszukiwań intruza, zawsze będą chodzić w grupach, ostatecznie dwójkami. Zostaną też przeszkoleni, że na wypadek tajemniczego zniknięcia towarzysza reszta ma bezzwłocznie wszczać alarm i wezwać wsparcie, a nie w zdumieniu zaglądać za winkel.

35. Poinstruuję moje Legiony Terroru, że mają atakować bohatera hurmą, a nie

stać, przyglądając się, jak ich towarzysze walczą z nim pojedynczo lub dwójkami.

36. Jeśli bohater wybiegnie na mój dach, nie pognam za nim i nie będę się szarpał w próbie zepchnięcia go na ziemię. Nie będę z nim także walczył na krawędzi urwiska. (O potyczce na środku linowego mostu wiszącego nad rzeką płynnej lawy nie warto nawet wspominać).

37. Gdy podczas walki z bohaterem na ruchomej platformie uda mi się go rozbroić, a ten tuż przed zadaniem śmiertelnego ciosu padnie na płask, uczynię to samo, zamiast odwracać się, żeby sprawdzić, co też takiego zobaczył.

38. Nie będę strzelał do żadnego z moich wrogów stojących przed główną belką nośną ciężkiej, niebezpiecznej, niestabilnej konstrukcji.

39. Jeśli jedząc obiad z bohaterem, wsypię mu truciznę do kieliszka i nagle będę musiał odejść od stołu, po powrocie, zamiast zastanawiać się, czy się z nim nie zamienić naczyniami, zamówię nowe napoje dla nas obu.

40. Nie pozwolę więźniów jednej płci pilnować podwładnym płci przeciwnej.

41. Zarzucę każdy plan, którego ostatni etap wiąże się z szeregiem skomplikowanych czynności, na przykład. „Ustaw dwanaście Kamieni Mocy na uświęconym ołtarzu i aktywuj medalion w momencie całkowitego zaćmienia”. Pozostanę przy takich, których fazę końcową można zamknąć w zdaniu: „Naciśnij guzik”.

42. Poza godzinami pracy moje kadzie z niebezpiecznymi chemikaliami pozostaną przykryte. Na pewno nie zbuduję też wiszących nad nimi pomostów.

43. Jeśli grupa najemników zawali jakieś zadanie, nie zbesztam ich najpierw za niekompetencję, żeby potem wysłać ponownie w tę samą misję.

44. Nie zaprojektuję mojej głównej sterowni w taki sposób, że wszystkie stanowiska pracy będą zwrócone tyłem do wejścia.

45. Jeśli zdecyduję się na jednoczesną egzekucję bohatera oraz podwładnego, który zawiódł mnie lub zdradził, dopilnuję, by bohater został zgładzony w pierwszej kolejności.

46. Podczas pojmania moi strażnicy nie pozwolą zakładnikom zatrzymać się i zabrać ze sobą bezużytecznego świecidełka, które ma czysto sentymentalną wartość.

47. Do obsługi lochów zatrudnię własny zespół wykwalifikowanych medyków, którym przydzielę ochroniarzy. W ten sposób jeśli więzień zachoruje, a jego towarzysz z celi powie, że to nagły przypadek, strażnik nie będzie otwierał celi i sprawdzał, co się dzieje, tylko od razu wezwie ekipę ratowniczą.

48. W moich celach nie będzie żadnych przedmiotów o lustrzanych powierzchniach ani niczego, co można byłoby spruć czy rozedrzeć.

49. Każdy plik zawierający dane o krytycznym znaczeniu zostanie doładowany nieistotnymi informacjami do wielkości 1.45 Mb.

50. Na koniec celem utrzymania poddanych w permanentnym oglupiającym transie zapewnię każdemu stały, nieograniczony i bezpłatny dostęp do Internetu.

Elizabeth Counihan

Poniższa perełka, utrzymana w tym samym nurcie co poprzedni fragment, opowiada w zabawny sposób, jak się dostać do fantastycznej historii i jak ją opuścić. Elizabeth Counihan jest wydawcą swego własnego niskonakładowego czasopisma „Scheherazade”, które ukazuje się od roku 1991, a specjalizuje w opowiadaniach gotyckich oraz fantasy.

Elizabeth Counihan

JAK ZOSTAĆ BOHATEREM

Budzisz się. Leżysz na podłodze, twardej, zimnej, zasłanej słomą. Otacza cię mrok, ale przez umieszczone wysoko gotyckie okno z witrażem wpada trochę światła. Heraldyczne barwy kładą się na tobie niczym światła reflektorów. Próbujesz się poruszyć. Rozlega się szcęk metalu. Twoje dłonie są przykute łańcuchem do ściany. Wygląda na to, że popadłeś w niezłe tarapaty. Gdzie się właściwie znalazłeś? Kim jesteś? Czy to sen? A może jesteś bohaterem czyjegoś opowiadania?

Jak się o tym przekonać? Skąd masz wiedzieć, czy uda ci się żyć długo i szczęśliwie? Skąd wiadomo, czy w ogóle uda ci się przeżyć? ok, oto kilka rad, jak niektóre z tych problemów rozwiązać.

Po pierwsze, sprawdź swój gatunek. Jeśli jesteś małym futrzanym zwierzakiem albo puszystym obcym, odpręż się, ktoś przyjdzie i cię uratuje. Żaden autor nie pozwoli na to, byś tak po prostu umarł. Obrońcy praw zwierząt daliby mu popalić.

Następnie sprawdź swoją płęć. To zadanie nie powinno nastęrczać szczególnych trudności, nawet w tych okolicznościach. Przesuń się raz i drugi w tym pięknym świetle i sprawdź rozmiar buta. Rzecz jasna, jeśli masz grube, włochate nogi i buty czterdziestki, na pewno nie jesteś bohaterką tej historii. Jeśli poczujesz pulsujące bicepsy, możesz wybuchnąć śmiechem. Starczy, że się napniesz, a już jesteś wolny (wyjaśnienie poniżej).

Cóż... A zatem wszystko wskazuje na to, że jesteś kobietą. Ale jaką? Starą czy młodą? Przelicz szybko swoje zmarszczki.

(a) Zmarszczek brak. Jesteś prawdopodobnie dzieckiem, a to oznacza, że jesteś niemalże tak bezpieczna jak futrzak. Jeśli zaś jesteś młoda i do tego jesteś Amerykanką, nie umrzesz (chyba że znalazłaś się w Literaturze, wtedy nie jest to niewykluczone. Kiepska sprawa!).

(b) Mnóstwo zmarszczek. Złe wieści. Jesteś albo starą, paskudną wiedźmą i umrzesz tak czy owak, albo czyjąś leciwą mamuszką i nikomu na tobie nie zależy.

(c) Niezłe nogi. O, nie najgorzej. Istnieje spora szansa, że jednak jesteś główną bohaterką tej historii, ale wcześniej potrzebujesz jeszcze kilku informacji.

Co masz na sobie? Porusz się raz jeszcze. Być może określenie kolorów twego

stroju przy tym świetle, przesyconym lazurem, seledynem, purpurą i tak dalej, okaże się trudne, ale nie poddawaj się. To bardzo istotny element orientacyjny.

(a) Masz na sobie białą suknię z głębokim dekoltem i podszewką paskudnie rozdartą w kilku miejscach. Nie ma żadnego problemu, jesteś bezpieczna, chyba że zależy ci na adrenalinie. Jesteś bohaterką – damą w opałach – ale na dramatyczne przygody nie masz co liczyć. Znalazłaś się w staroświeckiej historii, gdzie damy jedynie wrzeszczą, a potem są ratowane.

(b) Masz na sobie skąpe czerwone szmatki wraz z oszałamiającym dekoltem oraz mało sympatycznymi rozdarciami w okolicach biustu i bioder. Cóż, wniosek z tego, że najprawdopodobniej zginiesz gdzieś między drugim a ostatnim rozdziałem (lub w ostatnich scenach filmu), ale na razie – ciesz się życiem. Masz już na pieńku z głównym czarnym bohaterem i jeśli rozegrasz to dobrze, będziesz miała jeszcze szansę na uwiedzenie głównego bohatera, nim dorwie cię ten zły.

(c) Masz na sobie krótką pofałdowaną tunikę z równie przepastnym dekoltem, skórzane pieszczochy i buty po uda. U pasa wisi również krótka pochwa (pewnie zabrali ci broń). Bingo! Jesteś bohaterką z krwi i kości, która nie tylko może wymachiwać zarąbistym mieczem, ale do tego kończy całą historię z niezłym facetem, furą kasy i królestwem na dodatek.

A zatem co dalej? Ktoś cię dorwał i przykuł do ściany zrujnowanego opactwa (najprawdopodobniej). Jak masz zamiar stąd uciec i dostać się do portu, gdzie – jak wiesz nie wiadomo skąd – piękny żaglowiec czeka na ciebie aż do przyływu i ani chwili dłużej?

Masz przy sobie coś magicznego? Jakiś amulet? Magiczny klejnot? A może pierścień, co byłoby już szczytem szczęścia? Nie masz? Trudno, szkoda. Poszukaj więc jakiegoś pilnika.

(a) Dobra, daj sobie spokój. Komu jak komu, ale tobie pilnik przyda się tylko do piłowania paznokci. Twoim zadaniem zaś jest sprawiać żalotne wrażenie. W oczekiwaniu na bohatera, który cię uratuje, możesz zająć się obłaskawianiem myszy.

(b) Zapewne został wsunięty w twój dekolt.

(c) Nosisz go w bucie.

Uchwyciwszy pilnik zębami, tniesz ogniwa łańcucha z furją, gdy niespodziewanie do twych uszu dobiega złowieszczy zgrzyt zawiasów. Portal otwiera się z wolna (w tej historii nie mają drzwi). Do środka wchodzi mężczyzna. W świetle kopnącej pochodni (elektryczności tu też nie mają) widzisz, że jest to wysoki, ciemnowłosy przystojniak w stylu Alana Rickmana. Kłania się i mówi z ironicznym uśmiechem i angielskim akcentem: „Cóż, dumna piękna pani, czy gościna w moim ubogim domostwie przypadła ci do gustu?”

Zauważasz, że wszedł do środka bez swych oprychów. Bez wątplenia zebrało mu się na dręczenie bez publiki.

Mówisz:

(a) „Nigdy nie dam ci tego, co chcesz! Nigdy!”

(b) Niczego nie mówisz. Po prostu wydymsz nadąsana wargi i wypinasz pierś.

(c) „Ach, a więc to ty tu mieszkasz. Też mi się wydawało, że czuję gdzieś szczura”.
Podchodzi bliżej, pochyła się i przysuwa ci pochodnię pod oczy. Gładzi twe:

- (a) złociste włosy,
- (b) kruczoczarne kędziory,
- (c) dredy,

a potem, z uniesioną brwią, ujmuje twój podbródek idealnie wypielegnowaną dłońią i mówi: „Wiesz, że jesteś piękną kobietą, moja...”

- (a) Księżniczko Księżycowy Kwiecie/ Kwitnąca o Świcie/ Coś–niewymawialnego–i–celtyckiego,
- (b) Delilah/ Lolito/ Magento,
- (c) Czerwona Sheilo/ Czarna Nino/ Tonkawoman”.

Śmieje się i wpija w twe usta, całując cię dziko.

A ty wówczas:

(a) Odpychasz go i ze łzami w oczach pytasz, co się stało z twym ukochanym Conanem/ księciem Kevinem/ Gwyddionem ap Llew Llaw Gyffup.

(b) Angażujesz się w pocałunek z takim entuzjazmem, że niemalże wpychasz mu głębiej migdałki.

(c) Zasadzasz mu kopa między nogi. To najłagodniejsza z kar za to, co zrobił twej rodzinie/ twemu psu/ z twoim rowerem.

Jego szydrczy śmiech niesie się echem pod gotyckim sklepieniem. Uderza cię w twarz.

Ty na to:

(a) Uśmiechasz się odważnie przez łzy.

(b) Uśmiechasz się rozpustnie i postanawiasz urznąć mu fiuta przy pierwszej nadarzającej się okazji.

(c) Kopiesz w jaja, ale tym razem mocniej. Potem ogłuszasz go doskonale wyćwiczonym ciosem z bańki, wyrywasz jego miecz... Hej, zaraz! Nie możesz go zabić przed ostatnim rozdziałem! Przecież to tylko on zna sekretny wzór matematyczny/ miejsce ukrycia twej młodszej siostry/ czar, który uwolni cię od straszliwej klątwy. Pamiętasz? Teraz nie ma na to czasu, masz dwadzieścia cztery godziny na uratowanie planety, a przecież musisz zdążyć przed odpływem. Łap klucze i biegnij do wyjścia. Idź za zapachem szczura.

Dobra, to wróćmy raz jeszcze do początku. Tym razem okazuje się, że masz włochate kolana i buty minimum czterdziestki. Ciekawe, czy jesteś bohaterem, czy może jedynie pionkiem, którego czeka eksterminacja za sprawą Alana Rickmana oraz Sił Ciemności? Podobnie jak w życiu realnym, masz szerszy wachlarz karier do wyboru niż kobieta, a także większą szansę na przedwczesną śmierć. A zatem po czym poznasz, kim naprawdę jesteś?

Rozpocniemy od sprawdzenia twego stylu.

(a) Masz białą brodę i nosisz szarą szatę, długi płaszcz oraz martensy. Niewykluczone, że masz też kapelusz o szerokim rondzie, być może z piórem. Przy odrobinie szczęścia strażnicy przeoczyli twą różdżkę. Nie? Cóż, a zatem okazali się mądrzejsi niż zwykle. Nie martw się, gólnij sobie z buteleczki, którą nosisz w

wewnętrznej kieszeni (tej oznaczonej *Wyłącznie dla celów medycznych*), by zyskać więcej mocy, a potem nakreślił w powietrzu parę runów. Powiedz coś niezrozumiałego w Dawnej Mowie. Strząśnij łańcuchy i przejdź przez ścianę. Port jest na prawo za pubem. Tawerną znaczy się.

(b) Masz na sobie skórzane buty oraz obcisłe slipki. Własne mięśnie przesłaniają ci widok. To obiecujące odkrycie, ale niekonieczne oznacza, że jesteś bohaterem. Możesz przecież być przypadkowym przygłupem zatrudnionym do pomocy i z tego powodu grozi ci bohaterska śmierć. Spróbuj powiedzieć: „Ja Conan, ty dupek”. Zabrzmiało, jakbyś był psychiatrą z zapaleniem krtani? Dobrze, czyli jednak jesteś bohaterem, i to bez wątpienia niezwyciężonym, a zatem wystarczy tylko zerwać łańcuchy, kopniakami wybić dziurę w ścianie i pójść po magiczny miecz (który zostawiłeś w stojaku na parasole w „Przytułku Włóczykija”). Potem odnalezienie portu będzie już błahostką. Nawet tobie powinno się to udać.

(c) Masz na sobie starą skórzaną kurtkę, zakurzone spodnie i płaszcz zniszczony od wielu lat wędrówki. Aha, tak – masz też i buty, ale w tej części świata wszyscy noszą buty. Twoje mięśnie nie prezentują się zbyt imponująco, ale nie martw się. Jeśli jesteś niski i bardzo młody, spróbuj powiedzieć: „Rany koguta, panie gubernator!”. Zabrzmiało przekonująco? A zatem jesteś złodziejem i dasz sobie radę. Powoli, ostrożnie zsuń łańcuchy, otwórz zamek wytrychem i daj dyla kanałem. W ten sposób dosłownie i w przenośni dostaniesz się do portu. Jeśli jesteś starszy i wyższy, nie trać nadziei, istnieje szansa, że nadal jesteś bohaterem. Oznacza to, że najprawdopodobniej jesteś Zaginionym Królem, a zatem jesteś też zmęczony, mądry i odrobinę cyniczny. Powinieneś mieć jakiś talizman. Przypuszczalnie nosisz go w portfelu (obojętnie, gdzie się teraz znajduje) lub za pasem. Może to złamany miecz? Połowa amuletu? Masz cokolwiek? Dobra. Teraz to tylko musisz...

Poczekaj! Uwaga! Portal znów zaskrzypiał. Ponownie pojawia się klon Alana Rickmana, tym razem draniowi towarzyszy dwóch osiłków. Przyszedł, żeby się podroczyć z więźniami, ale wobec bohaterów nie ryzykuje.

Mówi:

(a) „Wy głupcy, pozwoliliście mu uciec! Za nim!”. Strażnicy rzucają się do pościgu, ale moc twoich czarów ofensywnych sprawia, że zamierają i nie mogą się ruszyć. „-**-**-**-” wrzeszczy klon Alana Rickmana, wymachując ramionami. Potem uświadamia sobie, że jest już za późno. Zamiast wysłać swych ludzi na kurs „Jak poradzić sobie z prostym czarem”, przekłucha obu sztyletem (po to właśnie są strażnicy).

(b) „Wy głupcy, przecież on ucieka! Za nim!”. Strażnicy biegną niezdarnie za tobą, jeden z nich usiłuje wycelować z kuszy. Strzela i chybia z minimalnej odległości. Zamiast posłać swych ludzi na kurs „Jak poprawić umiejętności snajperskie”, klon znów zabija strażników (czarni bohaterowie nigdy się nie ucą).

(c) „A zatem... Wreszcie się spotykamy, Globtroterze. Czy może raczej powinienem się do ciebie zwracać królu Edelweissie Bottelbier?”.

Odpowiadasz:

(a) &

(b) Nic nie odpowiadasz, wiadomo. Przecież udało ci się wyrwać, a teraz pędzisz co sił w nogach do portu.

(c) „Wiedz, Sługo Ciemności, że nigdy nie zwyciężysz w starciu z Prawdziwym Królem... Droga moja była długa i męcząca... Moją prawą dłonią był Głód, a lewą Smutek... Gorzki był to wysiłek, lecz każda droga prowadzi w końcu do celu”, i tak dalej, i tak dalej. Deklamujesz słowa poematu *Jak to artefakt jest kaputt* napisanego dla ciebie przez Królową Elfów. Nie musisz jednak aż tak bardzo się starać. Alan i obaj jego beznadziejni strażnicy chrapią już cichutko na słomie. Wychodzisz na zewnątrz. Kieruj się zapachem ryb.

Ron Goulart

(ur. 1933r.) pisuje pomysłowe i często humorystyczne opowiadania fantastyczne od roku 1952. Dawno już się pogubiłem w jego twórczości, tym bardziej że nierzadko pisuje pod pseudonimem, ale jeśli ktoś chciałby się sam zapoznać z jego najlepszymi, nietypowymi książkami, powinien sięgnąć po After Things Fell Apart (1970), Whats Become of Screwloose? (1971), Ghost Breaker (1971) oraz Hello, Lemuria, Hello (1979). W poprzedniej antologii przedstawiłem jedno z opowiadań o Maksie Kearnym. Tym razem wybrałem coś niecodziennego, ale równie zwariowanego.

Ron Goulart

POCAŁUNKI HERSHEYA

Było za wcześnie, by stwierdzić, czy jego kariera i reputacja poważnie ucierpiały. Dobre kilka milionów widzów telewizji kablowej było świadkiem tego, co wydarzyło się w sypialni penthouse'u na Manhattanie; w rezultacie czego Bob Hershey na tę chwilę nie cieszył się dobrą sławą. Tymczasem powodem, dla którego w ogóle zainteresował się czarną magią i czarnoksięstwem, było coś niezmiernie prozaicznego, a mianowicie zwykłe ludzkie pragnienie, by zapewnić sobie stałą pracę.

Bob Hershey był mężczyzną średniego wzrostu, z lekką nadwagą, a liczył sobie trzydzieści sześć lat. Jego życie zaczęło się zmieniać pewnego wietrznego piątkowego poranka jesienią tego roku. Biuro, które mierzyło sobie jedenaście stóp mniej, niżby Bob sobie tego życzył, znajdowało się na najwyższym spośród trzech pięter zajmowanych przez wydawnictwo Ollendorf & Sons. Hershey piastował stanowisko redaktora przez prawie trzy lata. Gdyby wszystko ułożyło się dobrze, zostałby awansowany na stanowisko redaktora działu w styczniu, a dodatkowe trzy tysiące pięćset dolarów pomogłoby mu wyciągnąć się z finansowego dołka. Tymczasem, niestety, nic się dobrze nie ułożyło, firma została wykupiona dwa miesiące temu przez niemiecką korporację Blitzgarten.

Gdy Hershey siedział za biurkiem, rozmawiając przez telefon z mechanikiem w Brimstone w Connecticut, zauważył kątem oka była redaktor naczelną, kobietę, która obiecała mu awans. Szła powoli korytarzem, taszcząc w jednym kartonowym pudle z napisem Wina Maori Bros. wszystko, co zgromadziła w swoim biurze. Nie patrząc na Boba, pomachała mu ze smutkiem na do widzenia.

– Co takiego, Rosco? Czy nie powiedziałeś, że moja sportowa fura cierpi na chroniczną melancholię?

– Nie, nie, panie Hershey – w słuchawce znów rozległ się odgłos klaksonu. – Na ogólną afazję.

- Kiepsko cię słyszę. Powiedz mi tylko, na kiedy samochód będzie gotów.
- Lepiej, jak zadzwoni pan we wtorek po południu.
- Tyle czasu zabierze ci naprawienie tego cholernego samochodu?
- We wtorek to dopiero będę wiedział, ile naprawa potrwa.

Kilka sekund po tym, jak Hershey odłożył słuchawkę, telefon zaskrzeczał ponownie.

- Słucham?
- Dzwoni jakaś panna Bendix. Chciałaby...
- Zaraz, a ty kim jesteś? Gdzie jest moja sekretarka Rita?
- Rita została zwolniona, proszę pana. Ja mam na imię Nan i zastępuję ją do...
- Zaraz, przecież rozmawiałem z Ritą nie dalej jak piętnaście minut temu!
- To było dość ekspresowe zwolnienie, proszę pana. Ta panna Bendix pracuje dla Pancho LasVegas. Wie pan, to ta babka, która prowadzi program w kablówce, *Pogwałcenie prywatności*. Chce...

– Daj spokój, nie mam czasu na rozmowę z nią. Zapisz, o co jej chodzi.

Hershey westchnął, odkładając słuchawkę, i odwrócił się ku niewielkiemu oknu. Na zewnątrz przemknęło kilka kruchych złocistych liści targanych wiatrem.

„Dziwne”, pomyślał Bob. „Przecież z tego, co wiem, w tej części Nowego Jorku nie ma żadnych drzew”.

Telefon znowu zaskrzeczał.

- Słucham?
- Tym razem to jakiś pan Zipperly. Sądząc po głosie, chyba właśnie popadł w histerię. Zdaje się, że byłoby lepiej, gdyby...
- To jeden z moich autorów. Przełącz go.

Jak na siebie Egon Zipperly właściwie brzmiał dość spokojnie.

– To nie ja się wściekłem, Bob. To Archie – oznajmił. – Jeśli chodzi o mnie, cholera, to w sumie nie mam nic przeciwko temu, że nie wypłacicie mi moich ogromnych honorariów przez kolejny miesiąc, wy bando żalonych skur... kojaków. Archie jednak, jak sam wiesz...

– Archie siedzi w więzieniu o najwyższym rygorze na prowincji Kentucky, a więc nie jest w stanie...

– Zwiął. Zdobył nóż. Pociął dwóch strażników, pracownika opieki społecznej, który przeprowadzał wizytację, oraz jeszcze kogoś, kogo ciężko jest teraz zidentyfikować – wyjaśnił pisarz. – Policja sądzi, że zaszył się gdzieś w Ozarks. Włamał się do sklepu metalowego, zmasakrował właściciela i mężczyznę, który chciał rozmienić forszę na drobne do parkometru, a potem ukradł sześć największych siekier, jakie mieli na stanie. A pamiętasz, jakiego Archie ma joba na punkcie siekier.

– Egon, Archie nie może odebrać żadnych honorariów za swoją książkę. To prawnie zabronione.

– Nie, nie. Archiemu chodzi o moje honoraria i o to, że wy, parszywe hieny, wstrzymujecie się z ich wypłatą. Ten facet naprawdę poczuwa się do pomocy. Opowiadałem ci już, co zrobił mojemu poprzedniemu agentowi?

– Egon, wszyscy w Ollendorf są naprawdę zadowoleni ze sprzedaży paperbacku *Chlast: Historia szalonego mordercy z toporem*.

– Wiesz, co Archie powiedział, gdy mu o tym opowiedziałem? Powiedział, że to bzdura. A potem wydał ten zabawny dźwięk, który...

– Jesteś z nim w kontakcie?

– Cóż, zdarza się nieborakowi, że dzwoni do mnie z aparatów ulicznych.

– Ale nadal ukrywa się gdzieś w Ozarks?

– Przynajmniej z tego, co wiem. Wraz ze swoimi sześcioma siekierami.

– Pójdę i pogadam z księgowością – obiecał Bob i odłożył słuchawkę.

Znów zaskrzeczał telefon.

– Panna Bendix mówi, że robią program o Janine Warbler, a skoro kiedyś było między wami gorąco, czy zechciałby pan...

– Nigdy nie byłem z Janine, nie mówiąc już o tym, żeby kiedykolwiek było między nami gorąco. Ta babka jest kompletnie walnięta, stąd ubrdała sobie po prostu, że ja... Mniejsza o to.

– Słyszałam, że obsypał ją pan słynnymi pocałunkami Hersheya [*nieprzetłumaczalna gra słów; „Hersheys Kisses” – pocałunki Hersheya – to nazwa charakterystycznych, bardzo popularnych w Stanach Zjednoczonych czekoladek produkowanych przez The Hershey Company*].

Hershey nie odpowiedział i odłożył słuchawkę.

– Dziewięćdziesiąt dwa tysiące sześćset sześć – wymamrotał. Mniej więcej tyle razy, licząc od dzieciństwa, usłyszał dowcip oparty na zbieżności nazwiska i nazwy słynnego koncernu oraz produkowanych w nim batoników.

– Masz chwilę? – Kevin Mulrooney zajrzał przez uchylone drzwi, trzymając szkic rysunku na okładkę *Inwazji bioflawonoidów*. Był wysokim, łysym chudzielcem.

– Właż. – Hershey zaczął gmerać wśród stosów teczek, rękopisów, listów i innych papierzysk, którymi zasłane było jego biurko. – Mój samochód cierpi na chorobę psychiczną. Szalenciec z siekierą jest niezadowolony ze swoich honorariów. Nie takie życie sobie wyobrażałem, kończąc uczelnię.

– Ja zawsze żyłem w przekonaniu, że skończę jako uznany w wielu kręgach, wybitny dżentelmen z mnóstwem siwych włosów. Czego szukasz?

– O, już mam. To notatka od Oskara Hitlera, naszego nowego szefa.

– Widzisz? Noszenie nazwiska po batoniku to jeszcze nie najgorsza rzecz na świecie.

– Dziewięćdziesiąt dwa tysiące sześćset siedem. Zobacz, co tu jest napisane: „Jeśli chodzi o sprawy bieżące, cała linia sf zostaje wstrzymana. Wszystkie tytuły w fazie produkcji zostają zawieszono”. Dzięki za pomoc, Oskarze Hitlerze.

Mulrooney opadł na jedyne wolne krzesło w niewielkim biurze.

– Kurwa mać – wyjąkał.

– Otóż to. Zapomniałem ci powiedzieć wczoraj po południu, zaraz po tym, jak dostałem tę cholerną notkę.

Mulrooney ostrożnie oparł szkic o segregator.

– Nie widywałem ostatnio wielu ogłoszeń w sprawie pracy, w których

poszukiwano by wysokich, chudych grafików z łysymi łbami – wyjaśnił. – To jedyny powód, dla którego nie rzucę tej roboty.

– Beznadziejnie się układa od czasu przejścia wydawnictwa.

– Ty się nie masz czym przejmować, Robert.

– Co?

– Twoja stara, prawdziwa miłość zmierza tu, żeby zająć się całą operacją. Tak, nie żartuję. Usłyszałem to wczoraj na przyjęciu, na którym nie powtarza się nieprawdziwych plotek.

Hershey wyprostował się powoli na koślawym krześle.

– Mówiąc stara, prawdziwa, wierna miłość, miałeś na myśli moją pierwszą miłość? Nie sądzę, żeby to ona miała przejąć Ollendorf. Siedzi w jakimś tropikalnym rajku i jest zajęta wydawaniem forsy z alimentów na blichtr i tandetę...

– Miałem na myśli Janine Warbler. Plotki głoszą, że opuściła Mildmay Books, żeby zostać redaktorem naczelnym w naszym...

– O Boże... – Hershey przycisnęła dłonie do klatki piersiowej. – Chyba umieram. Właśnie całe życie przeleciało mi przed oczami.

Mulrooney wyszczerzył zęby.

– Miałem wrażenie, Robert, że ty i Warbler jesteście ze sobą dość blisko.

– Janine wyrzuciła mnie z Mildmay jakieś cztery lata temu. Zniszczyła moją reputację i nie mogłem znaleźć pracy przez prawie rok. Gdyby nie to, że istnieją ludzie, którzy nienawidzą jej równie mocno jak ja, przypuszczalnie nigdy nie znalazłbym posady na rynku wydawniczym.

– Czyli ty i Warbler nie byliście kochankami?

– Dobra, chcesz znać prawdę, to posłuchaj. Jakieś pięć lat temu w Village była impreza. Trochę się napiłem, nawet sporo, ale film mi się nie urwał. Pamiętam tylko tyle, że odbyłem z Janine krótką rozmowę w kuchni – chociaż przyznaję, że byliśmy tam sami – o powieściach Roberta Musila i Josepha Rotha. Janine twierdzi jednak, że przyciągnąłem ją do siebie, pieściłem i obsypałem pocałunkami po twarzy i całym ciele.

– Nie jest brzydka, więc...

– Przecież ja nie tknąłem tej kobiety! – przysiągł Hershey. – Tylko że jej odbiło, wmówiła sobie, że jestem bestią w ludzkiej skórze, kimś, kto pasuje do powieści Egona Zipperly'ego. Podjęła pracę w Mildmay i w przeciągu dwóch lat doszła do pozycji, z której mogła wiele zdziałać. Chociaż doskonale radziła sobie w poprzednim miejscu pracy, weszła do Mildmay tylko po to, żeby znaleźć się w tej samej firmie co ja. Potem gdy zarządzała już całością, zwolniła mnie.

– Dlaczego nie usiądziesz wraz z nią i nie przemówisz jej do rozumu?

– Ona działa emocjami. – Hershey pokręcił głową. – Z nią się nie da logicznie rozmawiać.

– No dobra, czyli co zrobisz, jeśli rzeczywiście stanie na czele naszego wydawnictwa?

– Pewnie coś brutalnego – odparł Hershey.

W sobotę padało, ale Hershey tak czy owak wybrał się na spacer. Odkrył, że samotne włóczęgi po Wiedźmim Lesie, liczącym sobie trzydzieści akrów rezerwacie przyrody niedaleko jego obciążonego ogromną hipoteką domu w Brimstone, sprzyjają rozmyślaniom. Wbił dłonie w kieszenie, postawił kołnierz kurtki, stary kapelusz ściągnął nisko na czoło i ruszył krętym, wąskim traktem w kierunku Stawu Samobójców.

Krople deszczu padającego w to szare popołudnie były zimne i twarde, niewiele brakowało, by przeszły w grad. Gryzły Hersheya w odsłonięte uszy i bombardowały zgarbione ramiona. Minęło dwadzieścia minut, a on nadal nie natknął się na żywego ducha. Wśród sztywnych, niemalże bezlistnych drzew nawoływały się gniewnymi głosami ptaki.

Hershey myślał o przyszłości, ale temat okazał się zbyt mroczny i ponury, więc skupił się na próbach oczyszczenia umysłu ze wszystkich myśli.

– Proszę o wybaczenie, drogi panie. Czy wolno mi będzie przedstawić prośbę, która z początku niechybnie wyda się panu osobliwa i dość niezwykła?

Hershey aż sapnął wystraszony. Zatrzymał się jak wryty na błotnistej ścieżce. Ze zmarszczonymi brwiami obrzucił wzrokiem mglisty las po prawej i po lewej, ale nikogo nie dostrzegł.

– Chciałbym również prosić, żeby nie wrzeszczał pan jak tuzin diabłów, gdy wreszcie mnie pan dostrzeże. Ponadto, jeśli to możliwe, proszę nie uciekać w mrok.

– Jeśli to jakiś żart, młody człowieku, wybrałeś sobie niewłaściwy obiekt – oznajmił Hershey otaczającym go drzewom. – Niedawno redagowałem powieść o mordercy z siekierą i zapamiętałem sobie kilka pożytecznych wskazówek, jak...

– Czy mógłby pan podejść nieco bliżej do klonu, dobry panie?

– Który to jest klon?

– Być może powinien pan rozejrzeć się za redakcją książki dla dzieci o lesie. Włóczy się pan po tym lesie od sześciu lat i najwidoczniej nie potrafi odróżnić klonu od topoli czy wierzby. Dobra, ułatwię to panu i pokażę się. Uwaga.

Krzaki wokół drzewa, które zapewne było klonem, zaszeleściły. Potem wyłonił się spośród nich niepozorny, zbolwały szop pracz, który wpatrywał się w Hersheya intensywnie.

– Chodziło mi o kogoś bardziej imponującego, ale wygląda na to, że będziesz musiał wystarczyć – powiedział zwierzak.

Hershey zrobił krok do tyłu i rozejrzał się.

– Dobra, dzieciaki, dosyć tego dobrego. Nie mam ochoty na pokazy brzuchomówstwa ani kawały z ukrytymi głóśnikami.

– Czy ja wyglądam jak kawał? Naprawdę sądzi pan, że ktoś podkłada mi głos? – zapytał szop, który stał teraz na tylnych nogach i stuknął drobnym paluszkim w futrzaną klatkę piersiową. – Dobra, to może przeszlibyśmy do interesów? Zaraz wytłumaczę panu, co mam na myśli, ale upraszam, żeby zachował pan otwarty umysł.

Hershey obrzucił spowity półmrokiem las baczniejszym spojrzeniem.

– To jeden z tych programów z ukrytą kamerą, nie? *Ludzie to idioci czy Największy głupek Ameryki?*

– Widzi pan, działa to, niestety, w ten sposób, że mogę się zwrócić tylko do jednego potencjalnego zbawcy na rok. To chyba pan, ale proszę mi wierzyć, że ja również nie jestem z tego powodu szczęśliwy.

Wydawało się, że to cholerne zwierzę naprawdę do niego mówi. Miało piskliwy głosik i lekki akcent brytyjski.

– Oczywiście może być i tak, że odbiło mi do reszty – oznajmił Hershey szopowi.
– To halucynacja, a ja...

– W najlepszym razie jest pan na pograniczu lekkiego świra. To wszystko dzieje się naprawdę – zapewnił niecierpliwie zwierzak. – A teraz zechce pan być tak miły i podejść tu wreszcie. Oszczędzi mi pan kolejnego roku emocjonalnej traumy i grzebania w koszach na śmieci, wyświadczając mi po prostu pewną niewielką – właściwie to można nawet rzec, drobnutką, wręcz miniaturową – przysługę.

– Poczekaj no. – Hershey podszedł bliżej i ukucnął, mierzając szopa bacznym spojrzeniem. – Nie powiesz mi chyba, że zostałeś zaczarowany?

– Bingo. Trafił pan za pierwszym razem.

– Ktoś rzucił na ciebie czar?

– I znów pan trafił. Pański wygląd w żaden sposób nie zdradza aż takiej bystrości.

– Jeśli zależy ci na wyciśnięciu ze mnie przysługi, zniewagi ci w tym raczej nie pomogą.

– W rzeczy samej, proszę o wybaczenie. – Szop wzruszył kudłatymi ramionkami z lekką skruchą. – Cóż, mój panie, oto sedno sprawy. Mój rywal czarodziej rzucił na mnie ten cholerny czar w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym i od tego czasu próbuję...

– Rywal? To ty też jesteś czarodziejem?

– W mojej prawdziwej, ludzkiej formie tak. W chwili obecnej jednak zostałem pozbawiony pełni magicznej mocy – przyznał szop. – Sposób, w jaki przyjdzie panu przełamać ten czar, może uderzyć pana swoją trywialnością, ale mój arcywróg nigdy nie słyszał z inwencji czy wyobraźni, za to jest zbrojeńcem. Coś mi mówi, że redagował pan również zbiór baśni ludowych, a więc jest pan zapewne świadom, iż...

– Zaraz, zaraz. Nie, po prostu nie i koniec. – Hershey wstał i rozejrzał się raz jeszcze. – To twój pomysł, Mulrooney? Czaisz się gdzieś między drzewami i chichoczesz do upadłego? – skierował pytanie do wilgotnego, ciemniejszego lasu.

– Mulrooney znajduje się póki co w Jersey, rozmawia z tym nowym zastępcą redaktora Działu Młodego Dorosłego – poinformował go szop. – ok, a zatem chciałbym, żeby, cóż... Żeby pan mnie pocałował.

– No, a więc nie mam już wątpliwości, że to jakiś kawał. Znów pocałunki Hersheya. Boże, to już razem dziewięćdziesiąt dwa tysiące sześćset jedenaście razy od owego feralnego dnia, kiedy przyszedłem na świat. Znowu jakiś przemądrzały dupek...

– Proszę posłuchać, Hershey, to nie ja tu ustalę zasady! Rzucono na mnie czar

i nic na to nie poradzę! Tak to cholera działa!

- Skąd znasz moje nazwisko?
 - Sam pan z nim przed chwilą wyskoczył. Poza tym nawet dla kogoś, komu odebrano większość mocy magicznych, odgadnięcie nazwiska i profesji nie stanowi większego problemu.
 - Jesteś czarownikiem facetem, tak? – zapytał Hershey. – Mężczyzną?
 - Nie jestem zaczarowaną księżniczką, przykro mi.
 - Sam nie wiem. Jeśli się rozejdzie, że całowałem jakiegoś faceta...
 - Szopa. Póki co jestem szopem praczem – podkreśliło zwierzę. – A poza tym kto ma się tego dowiedzieć? Ja nie mam zamiaru nikomu wypaplać.
 - Mogę dostać wścieklizny.
 - Zapewniam pana, że na nic takiego nie cierpię.
 - Tylko tak mówisz.
 - Nie musi pan całować mnie w usta. Wystarczy zwykłe cmoknięcie w łeppek.
- Hershey złapał za przemoczone rondo kapelusza.
- A co ja z tego będę mieć?
 - Możliwość wyświadczenia zwykłej ludzkiej przysługi powinno być nagrodą samą w sobie.
 - Pewnie tak. Ale wedle tradycji w podobnych sytuacjach pojawiają się korzyści. Garnek pełen złota, szkatułka z klejnotami, trzy życzenia, ręka księżniczki i tym podobne.

– Wiesz pan co, Hersh? Pomóż mi pan, a ja pokażę panu, jak najlepiej wykorzystać Janine Warbler.

- O niej też wiesz?
- Od czasu do czasu docierają do mnie mętne przekazy z otaczającej mnie rzeczywistości.

Hershey rozejrzał się po raz ostatni, tym razem dokładnie.

- OK – powiedział, a potem nachylił się i z czułością ucałował szopa w czoło.

* * *

Gdy wyczerpany do cna Hershey wrócił z pracy w poniedziałkowy wieczór, czarodziej nadal siedział u niego w pokoju gościnnym, rozparty na fotelu obitym imitacją skóry. Oglądał telewizję.

– Co porabiasz, Runcible? – zapytał. – Tak nawiasem mówiąc, nadal uważam, że to debilne imię.

– Sam go nie wybierałem, zostało mi nadane. A co do twojego pytania, panie, to grałem w gry wideo.

- Nie mam konsoli.
- Mag pierwszego kręgu nie potrzebuje ziemskich akcesoriów, by...
- Sądziłem, że wykorzystasz swoje moce, żeby znaleźć sobie miejsce do życia. Miejsce inne niż moje mieszkanie.

Runcible okazał się niskim, tłustym mężczyzną z jasną, kędzierzawą czupryną. Nosił pomiętą tweedową marynarkę, różową koszulę i krawat w kolorach tęczy, a na

to sięgający do ziemi jasnobrązowy płaszcz. Miał sześćdziesiąt parę lat i nigdy nie zdejmował swych wystrzępionych żółtych rękawiczek.

– Wciąż dochodzę do pełni mocy – odparł piskliwie. – Tyle lat spędzonych w ciele szopa praca musiało się odbić na mojej kondycji.

Hershey rzucił aktówkę pod drzwi i powlókł się do kanapy. Usiadł i popatrzył znacząco na czarodzieja.

– Musimy pogadać o Janine Warbler – rzekł.

– Za parę dni, i to jak się uda, drogi panie. Będę już wówczas wystarczająco silny, żeby poradzić sobie z pańskim problemem...

– Mam oficjalne wieści. Ona naprawdę przechodzi do Ollendorf. Obejmie stołek redaktor naczelnej i wicedyrektora spółki – przekazał Hershey z rozpaczą. – Moje dni są policzone.

– Nie zamartwiaj się, panie. Wykorzystam swoje imponujące moce czarnoksiężskie, żeby...

– Z pierwszym dniem następnego miesiąca, Runcible, wylecę z wydawnictwa na zbity pysk. A wszystko przez to, że Janine ubzdurzyła sobie pocałunki tamtej nieszczęsnej nocy w...

– Pocałunki! – Runcible nagle wyprostował się przez parę sekund przebierał krótkimi nóżkami. Machnięciem ręki wyłączył telewizor. – Zechce pan być cicho przez chwilę. Chyba odbieram wizję.

Wepchnął dłoń w rękawiczce głęboko do jednej z wypchanych po brzegi kieszeni długiego płaszcza.

– Muszę się skonsultować z moją kulą kryształową.

Gdy wreszcie wyciągnął kryształ wielkości piłki do baseballu, z jego kieszeni wyskoczyła niewielka jaszczurka. Pomknęła przez dywan koloru brzoskwini i wspięła się na zasłony.

– To ta twoja kula? Chyba jest w kiepskim stanie i aż się lepi od brudu.

– Zachowaj, panie, ciszę. Tak się składa, że to Święty Kryształ Sargonu.

Runcible przez moment polerował kulę lewym rękawem płaszcza, a potem uniósł ją na wysokość twarzy i skupił wzrok, robiąc mimowolnie zeza. Kula zaczęła emanować bladą zielenią.

– Janine Warbler... Tak, dobry panie, mam wizję Janine Warbler. Niech mnie, babka jest golutka jak ją pan Bóg stworzył i zaraz wejdzie do wanny.

– Pokaż! – Hershey zaczął się zbierać z kanapy.

– Nie podchodź, panie, możesz naruszyć strukturę czaru, który jest aż nazbyt delikatny. – Czarownik odpędził Boba machnięciem wolnej dłoni. – Och, mistyczni przewodnicy ze świata duchów, dlaczego pokazujecie mi zbliżenie tylnych części ciała tej zdziury? Aha, rozumiem. Mam zwrócić szczególną uwagę na żuka.

– Jakiego żuka? – Hershey zamarł na skraju sofy.

– Ach, rozumiem. Ów tajny znak wytatuowany na jej lewym pośladku... Święty skarabeusz... Co? Powtórzcie! Nie rozumiem, chłopaki! – Runcible zacisnął dłoń mocniej na kuli. – Jeszcze raz? Nie usłyszałem tych słów zaraz po... Co? Z czym on ma związek? Nie mówcie tak szybko. Aha. Ale co to właściwie da? Aha, rozumiem.

To...

I nagle jego ciało opadło bezwładnie, powieki się zamknęły. Palce skrytej w rękawiczce dłoni rozwarły się i kryształ, który nie emanował już zielenią, wysunął się spomiędzy nich, ze stuknięciem spadł na dywan i przetoczył się pod kominek.

Hershey doskoczył do Runcible'a:

– Hej, wszystko z tobą w porządku?

Czarodziej zamrugął.

– Rzucanie czarów to męcząca robota. Zwłaszcza gdy się wyszło z wprawy. Gdybym był w szczytowej formie, dowiedziałbym się dla ciebie o wiele więcej – wyjaśnił, oddychając ciężko. – Być może uda mi się skontaktować ponownie, chociaż najczęściej...

– Czego dowiedziałeś się o Janine?

Runcible wstał, wygładził płaszcz i znów usiadł.

– Cóż, drogi panie, nie zrozumiałem tak dokładnie, jak bym sobie tego życzył – powiedział, splatając palce. – Sęk w tym, o ile wszystko dobrze zrozumiałem, że ta młoda kobieta ma jakiś mistyczny tatuaż na tyłku. Na swój sposób jest on magiczny, ale nie załapałem, na czym miałyby to dokładnie polegać.

– A czemu ja niczego nie usłyszałem?

Runcible postukał się palcem w czoło.

– Moi duchowi przewodnicy kontaktują się ze mną telepatycznie i przedstawiają wizje w kuli. Mógłbyś mi ją podać?

Hershey podszedł do kominka, uklęknął i podniósł kulę. Była lepka.

– A jaki związek ma z tym tatuaż?

– Z tego, co zrozumiałem, dobry panie, należy teraz... O, dzięki. – Wziął kulę od Hersheya, przycisnął ją czule do serca i wsunął do wypchanej kieszeni płaszcza. – Jeśli chce pan uzyskać kontrolę nad ową damą, musi pan pocałować tatuaż, tego żuka. To...

– I znów całowanie.

– Pocałowanie żuka przekaże panu władzę nad Janine. Nie rozumiem jak ani dlaczego. Prawdę mówiąc, trzeba to zrobić trzykrotnie.

Hershey usiadł.

– Czyli jak mam to rozumieć? Zdaniem twoich informatorów ze świata duchów mam ułożyć wszystko tak, żeby trzykrotnie wycalować goły tyłek Janine? Nie ma innego sposobu, żebym utrzymał pracę?

– Wygląda na to, że nie.

– Czas chyba zabrać się za uaktualnianie mojego CV.

* * *

W czwartkowe popołudnie spadł śnieg. Hershey patrzył przez okno w biurze na tumany wirujących na wietrze śnieżynek. W końcu odwrócił się i znów skupił na przedmiotach w gabinecie, które można było wynieść. Potrzebny będzie więcej niż jeden karton, by zabrać stąd cały ten bajzel. Może Bob powinien po prostu zostawić wszystko, jego następcy mogliby tu urządzić sobie kapliczkę.

Oczywiście nadal istniała szansa, że nie będzie musiał się stąd wynosić. W przerwach między długimi sesjami gier wideo Runcible zapewniał, że magia, być może odrobinka czarnej magii, ocali Hersheya wraz z posadą, ale jak dotąd czarodziej nie wyjaśnił, jak by to miało się stać.

– Cześć – powiedział Hershey.

– Hitler nie skasował tej serii, co? – W progu stanął Mulrooney, trzymając szkic ilustracji na okładkę najnowszej powieści z cyklu *Szpital dla samotnych matek* – Literatura Młodego Dorosłego. – Między nami, to poczułbym ogromną ulgę na wieść, że tak się stało.

– I jeszcze czego. Nie ma szans. Co to jest, to na pierwszym planie?

– Sowa. To ta powieść, w której sowy żyjące w lasach za szpitalem znalazły się w niebezpieczeństwie i pielęgniarka Vicki wraz z internistą Billym ratują je przed zagładą. Nie pamiętasz?

– Ta sowa wygląda jak arbuza w okularach słonecznych. – Hershey rozparł się na krześle. – Zresztą co mnie to właściwie obchodzi? Dostaję kopa na wylot przed końcem roku.

– Może tak. – Mulrooney ujął ilustrację pod ramię, wszedł i usiadł. – A może nie.

– Co masz na myśli? Przecież tylko patrzeć, jak Janine przyjdzie do wydawnictwa i rozpocznie rządy żelazną ręką.

– Tak ma być, to prawda. – Mulrooney pochylił się ku Hersheyowi, mówił teraz ciszej: – Poznałem jednak pewną pannę Bendix, tę, która usiłowała się z tobą skontaktować. To asystentka Pancho LasVegas, jak pewnie pamiętasz. Powiedziała mi, że stacja planuje uczynić Janine Warbler główną postacią jednego z odcinków *Pogwałcenia prywatności* i pokazać, jak wdzierала się na szczyty świata wydawniczego i jak...

– Nie ma nic dziwnego czy godnego uwagi w tym, jak wspięła się na szczyt.

– Tak, ale chyba są dowody na to, że Warbler miała się najróżniejszych, nierzadko podejrzanych metod, żeby osiągnąć obecną pozycję. Słyszano również pogłoski o jej miłosnych przygodach.

– I co z tego?

– Odcinek ma zostać wkrótce wyemitowany. Mógłby co nieco zszargać jej reputację, a wtedy może Blitzgarten zastanowi się raz jeszcze nad jej kandydaturą.

– Nie sądzę. Gdyby kierownictwo Blitzgarten zwykle zastanawiać się nad czymś dwa razy, to na pewno by nas nie kupili.

– A ja sądzę, że powinieneś pogadać z tą Bendix. Ma świetne nogi, a *Pogwałcenie prywatności*, moim skromnym zdaniem, jest po twojej stronie.

– Nie, nie ma mowy.

– Mogą cię dopaść tak czy owak. Ten program słynie z tego, że jego dziennikarze zaczajają się na ludzi, wpadają do moteli, przerywają spotkania. Robią, co się da, byle tylko poznać prawdę.

– Ja nie jestem nikim na tyle ciekawym, żeby ktoś za mną łaził – zapewnił Bob Mulrooneya.

W piątkowy wieczór, kilka minut po jedenastej, Hershey stał z rękami wbitymi w kieszenie w nowojorskiej alei na East Sixties. Padał lekki śnieg i Hershey drżał z zimna, mamrocząc coś do siebie. Czekał przed Manhattańskim Muzeum Folkloru już od siedemnastu minut.

– Od osiemnastu – poprawił się po wyciągnięciu ręki z kieszeni i sprawdzeniu godziny.

– Wszystko gotowe, dobry panie. – U wylotu uliczki pojawił się Runcible w długim płaszczu zapiętym aż po szyję. – Chodźmy.

– Sądziłem, że twoje magiczne moce są w stanie wprowadzić człowieka w trans w przeciągu zaledwie...

– Czy mogę coś poradzić na to, że stróż w tym nieoświetlonym muzeum lubi się zdrzemnąć w miejscu pracy? Sporo czasu minęło, zanim udało mi się wyrwać tego gościa z drzemki. Z radością chciałem oznajmić, iż teraz możemy wślizgnąć się niepostrzeżenie. – Wykonał zapraszający gest.

– Budziłeś go przez osiemnaście minut?

– Nie można przecież rzucić na kogoś cholernego czaru w sekundę po tym, jak się go spotka! – wyjaśnił czarodziej, po tym jak gnali po zasypanych śniegiem stopniach ogarniętego mrokiem muzeum. – Potrzeba chwili na wstępną pogawędkę, żeby delikwenta zrelaksować i dobrze przygotować na czar. Po prostu trzeba wymienić kilka serdecznych słów.

– Pewnie sporo ich wymieniałeś przez te osiemnaście minut.

Runcible pchnął szerokie metalowe drzwi.

– Ów stróż nie był najwygodniejszym celem.

– Dlatego tyle to trwało?

– Tak, a potem jeszcze trzeba było go związać i zakneblować.

Mężczyźni znaleźli się w ciemnym korytarzu, który śmierdział kurzem, środkami do polerowania mebli i minionymi wiekami.

– Skoro wprowadziłeś go w trans, to czy wiązanie było konieczne?

– W końcu, mój dobry panie, musiałem rąbnąć go w łepetynę.

Hershey zatrzymał się przy gablocie wypełnionej naszyjnikami z paciorków.

– To napaść.

– Czasami zwyczajna, porządna napaść działa równie dobrze jak magia.

– Sam nie wiem. – Hershey pokręcił głową. – Nie tak to miało wyglądać...

– Lepiej będzie, jak się pospieszymy – poradził czarodziej. – Ekspонат, którego poszukujemy, znajduje się za tamtymi drzwiami po lewej.

– Jesteś pewien, że to zadziała?

– Tym razem przekaz był głośny i wyraźny.

Hershey przeszedł przez wskazane drzwi.

– Zastanawiałem się, czy ten cały Święty Pierścień Karnabahara naprawdę posiada owe magiczne moce, jak to twierdzą twoi mistyczni doradcy. Gdyby tak było, nie znalazłby się pewnie na wystawie w byle jakim, zakurzonym, malutkim

muzeum.

– Wiele okultystycznych artefaktów o wielkiej mocy zostało ukrytych przed ludzkimi oczami – przypomniał mu Runcible. – Nie mamy wiele czasu, trzeba się spieszyć. Oto ów posąg – wskazał coś w ciemnym pokoju.

– To Karnabahar?

Na niskim piedestale niedaleko wysoko umieszczonego, wąskiego okna znajdował się wielki, liczący sobie siedem stóp wzrostu drewniany posąg muskularnego mężczyzny z głową psa.

– W starożytnym Makkaristanie było to wielce szanowane bóstwo. Co rok składano mu w ofierze dziewice, co miesiąc byki i tym podobne.

– To było dawno temu. Tysiące lat temu! Czy istnieje niebezpieczeństwo, że magiczne moce pierścienia po prostu się wyczerpały?

– Magii nie trzeba podładowywać, dobry panie. No, to do roboty. Pocałuj ten pierścień.

– Jest coś jeszcze, co mnie dręczy. – Hershey stanął i popatrzył na rzeźbę starożytnego boga. – Całe to całowanie, które nie przestaje mnie prześladować. Wszystko zaczęło się, kiedy Janine uwierzyła...

– Pierścieniem, który nas interesuje, jest ten srebrny z fałszywym rubinem. Nie całuj tego złotego z fałszywym szmaragdem ani tego zrobionego ze zwierzęcego zęba. Dla najlepszego efektu cmoknij go prosto w kamień.

– Ile razy mam go pocałować?

– Wedle moich informacji tylko raz.

– A potem stanę się niewidzialny?

– To właśnie usłyszałem od moich mistycznych przewodników, gdy poprosiłem o podanie najlepszej, najbardziej niezawodnej metody dostania się niepostrzeżenie do buduaru Janine Warbler.

– Jest zimno.

– W rzeczy samej, drogi panie, ale o pogodzie porozmawiamy sobie, po tym jak...

– Żeby w pełni skorzystać z niewidzialności – przy założeniu, że to w ogóle zadziała – będę musiał rozebrać się do naga.

– Tak, to wzmocni efekt, oczywiście.

– Mam paradować na golasa w taką noc? Przecież odmrozę sobie dupsko.

– Odmrożone dupsko nijak się ma do zawałonej kariery – podkreślił czarodziej.

– Pocałuj pan pierścień, Hersh. Mam wrażenie, że stróż zaczął pojękiwać.

Hershey rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu, przesunął spojrzeniem po szklanych gablotach i mrocznych posągach. Kiwnął głową, nabrał tchu, wyprostował się i ucałował pierścień.

* * *

– Mam gęsią skórkę.

– Nie widać.

Hershey siedział na zimnym fotelu pasażera w swym zitrone 210s.

– Będę musiał oddać ten samochód do warsztatu i kazać mechanikom

popracować nad ogrzewaniem – stwierdził. Był nagi i niewidzialny.

Czarodziej siedział za kierownicą sportowego samochodu i przecierał zaparowaną szybę lewą dłonią i wystrzępionym mankietem płaszcza.

– O, widzę miejsce kawalek przed nami!

– Mieszkanie Janine znajduje się na Siedemdziesiątej Drugiej Alei Wschodniej, a to jest Siedemdziesiąta Trzecia! – Hershey zadrżał i zatarł niewidzialne dłonie, choć jedna trafiła w drugą dopiero za drugim razem. – Nie mam ochoty brnąć całą cholerną przecznicę przez pluchę i śnieg.

– Nie docenia pan tego, Hersh, że wielkie wyczyny wymagają wielkich poświęceń. Swego czasu na ten przykład...

Przerwał mu głośny zgrzyt.

– Zajebicie – oznajmił Hershey. – Czeka mnie kolejna wyprawka na karoserii.

Nie był to koniec zgrzytów i rąbnięć, ale w końcu Runcible zdołał zaparkować samochód.

– I proszę. Chirurgiczna precyzja – oznajmił.

– Jedno koło na krawężniku, zderzak wgnieciony w lampę – nie zgadza się to z moją definicją precyzji.

– Odprowadzę pana do wejścia – rzekł czarownik. – Zajmę uwagę ochroniarza, a pan wemknie się do budynku i zakradnie do mieszkania tej babki.

Otworzył drzwi samochodu. Do środka wpadł przeraźliwie zimny podmuch nocnego wiatru. Wychodząc na ulicę, Runcible ciaśniej owinął się ciężkim płaszczem.

– Przypuszczalnie nie ma jej nawet w domu. – Hershey bardzo ostrożnie postawił bosą stopę na ośnieżonym chodniku. – Kurna, ale zimno.

– Moje mistyczne źródła gwarantują, że jest w domu – zapewnił czarownik. – Sama, i do tego śpi.

– Jej mieszkanie jest pewnie lepiej zabezpieczone niż...

– Kryształ zdradził nam, że drzwi do jej kuchni są otwarte. Masz wejść drzwiami do kuchni, pamiętasz?

Hershey zaczął drżeć gwałtownie, jego niewidzialne stopy zdrętwiały.

– Zostawiam ślady w tej brei.

– Nic się na to nie poradzi. Przejdziemy tu przez ulicę i skręcimy za róg.

– A jeśli Janine obudzi się podczas pocałunków?

– To nie będzie miało znaczenia.

– Dlaczego?

– Ponieważ starczy pocałować tatuaż trzykrotnie, żeby, jak sądzę, zdobyć nad nią pewną władzę. Już przecież...

– Sądzisz?

– Zapewne pan pamięta, że część przekazu była dość niewyraźna. – Runcible zatrzymał się na zaśnieżonym chodniku. – A na dodatek istnieje prawdopodobieństwo, że niewidzialność zniknie po godzinie.

– Hej, powiedziałaś, że potrwa trzy! Zaklinałeś, że ten twój magiczny korespondent zagwarantował, że pocałowanie tego pieprzonego Świętego

Pierścienia Karnabahara uczyni mnie całkowicie, kompletnie niewidzialnym na przynajmniej trzy godziny.

– Tak naprawdę to był to właśnie jeden jedyny detal, który okazał się nieco niewyraźny, dobry panie – przyznał czarodziej. – Kiedy tak teraz sobie o tym myślę... Cóż, nie jestem całkiem przekonany, czy nie próbowali aby mi przekazać, że to będzie trwać jedną godzinę, a nie trzy.

– Pocałowałem tę cholerną rzecz dwadzieścia minut temu, co oznacza, że mam tylko...

– W każdym razie lepiej dać sobie spokój z czczymi pogawędkami – rzucił Runcible.

* * *

Piesek wbiegł do windy kilka sekund po tym, jak do środka wszedł niewidzialny Hershey. Był to malutki różowawy pudelek, który natychmiast się nim zainteresował.

Znużony siwowłosa dżentelmen, który właśnie wyprowadzał go na spacer, szarpnął za smycz.

– Uspokój się, dupo wołowa – poradził psu.

Pudel jednakże przystąpił do energicznego obwąchiwania niewidzialnych stóp Hersheya. W jego drobnutkiej piersi rozbrzmiało warczenie, znamionujące dezorientację i zdziwienie.

– Uspokój się, ale to już, wypłoszu! – Siwowłosa znów szarpnął za smycz.

Hershey stał sztywno, wstrzymując oddech i zastanawiając się gorączkowo, czy nie wymierzyć psu niewidzialnego kopa.

Winda zadygotała, zatrzymując się na dziesiątym piętrze, drzwi otworzyły się z szumem. Mężczyzna wyszedł, ciągnąc za sobą podekscytowanego pudła.

Wreszcie sam, Hershey odetchnął. Śnieg na jego bosych stopach zdążył już stopnieć i pozostawić niewielką kałużę na wykładzinie.

Hamująca winda znów zadygotała, a drzwi się rozsunęły. Znalazł się na trzynastym piętrze.

Potykając się, Hershey wyszedł na korytarz. Dopiero teraz zaczynał sobie uświadamiać, jak często przyglądał się swoim stopom, gdy chodził. Teraz gdy nie mógł ich dostrzec, chodzenie stało się nieco problematyczne. Zataczał się i chwiał.

Od windy do mieszkania Janine dzieliło go zaledwie piętnaście stóp, gdy drzwi po przeciwnej stronie korytarza uchyliły się na kilka cali. Hershey miał wrażenie, że ktoś stamtąd wygląda, ale wtedy drzwi zamknęły się cicho i szybko.

Zawahał się, nie spuszczając oczu z kuchennego wejścia do mieszkania Janine. Minęło kilka sekund, nim ruszył znowu. Okazało się, że drzwi do kuchni w istocie nie są zamknięte, ale otwarły się z głośnym, przeciągłym zgrzytem, chociaż Bob ze wszystkich sił starał się zachować ostrożność. Gdy wślizgiwał się do środka, drzwi po przeciwnej stronie znów się na chwilę otworzyły. Hershey już tego nie widział.

Nad zlewem paliła się pojedyncza lampka. Spore pomieszczenie, utrzymane w bieli i żółci, mocno pachniało zdrową żywnością.

Hershey zatrzymał się przy zlewie. Naszła go ogromna ochota na szklanę wody. Ujął kurek.

Gdy odkręcał go powoli, dostrzegł swoje palce. Najpierw trzy, po chwili pojawił się również kciuk i palec wskazujący.

– Matko Boska – wymamrotał, patrząc, jak materializuje się cała prawa ręka, a po niej nadgarstek.

Cofnął się, kręcąc z rozpaczą głową, a potem przysiadł na białym taborecie kuchennym. Nim wskazówka zawieszzonego na ścianie zegara wskazała trzy minuty, był znów całkowicie widzialny.

– I tak oto mamy sześć minut po północy, a ja siedzę sobie w kuchni Janine Warbler, widzialny i goły niczym święty turecki – oznajmił. – Nic dziwnego, że Karnabahar nie ma już dziś żadnych wyznawców.

Hershey uznał, że najlepszym rozwiązaniem byłoby wydostanie się z mieszkania, tyle że, niestety, nie miał ubrania. Pokonanie trzynastu pięter i korytarza, po czym wyjście na ulicę nie wyglądało na łatwe zadanie. Bob musiał pożyczyć jakiś płaszcz przeciwdeszczowy lub coś podobnego z szafy Janine.

Skoro jednak i tak musiał rozejrzeć się po mieszkaniu, mógł równie dobrze spróbować dokonać tego, po co tu przyszedł. Wedle zapewnień informatorów Runcible'a, którzy co prawda nie grzeszyli dokładnością, Janine miała spać snem sprawiedliwych w sypialni. Przy odrobinie szczęścia może uda się bezszelestnie wniknąć do środka i ucałować tatuaż.

Hershey już zaczął się podnosić, gdy znów opadł na taboret. Usłyszał szepty i ciche rozmowy na korytarzu. Skupiony wsłuchiwał się w ciszę. Minęła minuta bez żadnych odgłosów.

Zsunął się z taboretu, pchnął drzwi i zakradł się do wielkiej jadalni. W środku panowały ciemności i Hershey, trzymając się blisko ściany, przemknął bezszelestnie przez pomieszczenie i znalazł się w jeszcze większym pokoju gościnnym. Znajdowały się tutaj wysokie, ogromne okna, przez które widać było śnieżycę i pobliskie apartamentowce.

Przez jakąś minutę stał nieruchomo, zwrócony plecami do kominka, w którym wciąż żarzyło się kilka polan dających odrobinę ciepła. Wedle zapewnień Runcible'a drzwi do sypialni Janine znajdowały się zaraz na prawo od sięgającego po sufit regału z książkami. Bob podszedł, ujął mosiężną gałkę i obrócił ją powoli. Drzwi otwarły się cicho i Hershey przekroczył spowity cieniem próg.

Sypialnię oświetlała niewielka okrągła lampka nocna, podłączona do prądu tuż przy niskim, szerokim łóżku Janine. Hershey, nie wypuszczając powietrza z płuc, zatrzymał się przy wejściu.

Janine leżała w łóżku, jej długie ciemne włosy rozsypywały się na różowej poduszce. Oddychała równo, rytmicznie, a jej cichutkie pochrapywanie przywodziło na myśl mruczenie kota.

Najciszej jak potrafił Hershey zbliżył się do śpiącej redaktorki.

Leżała na brzuchu, dzięki czemu dostęp do jej pośladków był nieco łatwiejszy. Hershey z drzeniem serca nabrał tchu, a potem ujął koldrę. Ostrożnie jak nigdy

dotąd zaczął ją ściągać. Zgodnie z przewidywaniami czarodzieja Janine spała nago.

Hershey zmrużył oczy, nachylił się i przyjrzał uważnie lewemu pośladkowi. W żółtawym blasku lampki nocnej tatuaż żuka był ledwie widoczny.

Dziewczyna poruszyła się sennie, mamrocząc do poduszki.

Hershey wyprostował się, gotów do ucieczki. Rozejrzał się w panice i dostrzegł szafę, ale redaktorka na szczęście się nie przebudziła.

Hershey zebrał się na odwagę i znów się pochylił. Bardzo ostrożnie oparł dłonie na materacu, a potem pochylił głowę nad tatuażem.

Za pierwszym razem nie trafił. Pocałunek wylądował na górnej części prawego uda.

Janine znów zaczęła się poruszać i mamrotać przez sen.

Hershey zanurkował i zostawił na jej skórze trzy wymagane pocałunki, wszystkie w celu.

Przewróciła się na łóżku, usiadła i odetchnęła.

– Och, to ty, Bob – rozpoznała go od razu.

– Pozwól mi wszystko wyjaśnić, Janine. Wiem, jak to wygląda, wiem też, że może to wydawać się dziwaczne i nie na miejscu, ale...

– Nie musisz niczego wyjaśniać ani przeproszać, mój drogi – powiedziała z uśmiechem. – Spodziewałam się ciebie wcześniej czy później. Wiedziałam, że kiedyś się opamiętasz i zrozumiesz, co do mnie czujesz.

– Zrozumiem, co do ciebie czuję? Niech mnie kule biją, prześladowasz mnie od lat...

– Tylko dlatego, że ciągle mnie ignorujesz. To właśnie dlatego z początku rozsiewałam plotki o nas. Ty jednak, zamiast zacząć się ze mną wadywać, poślubiłeś inną. To mnie naprawdę wkurzyło i... Cóż, obmyśliłam zemstę. Wiesz, czasami miłość i nienawiść dzieli bardzo niewiele.

– Zgadza się.

Poklepała łóżko obok siebie.

– Siadaj, kochanie – zaprosiła. – Najpierw muszę ci coś wyznać. Uciekłam się do pewnego paskudnego fortelu, w którego skuteczność właściwie to nie wierzyłam, ale okazało się, że zadziałał wtedy, gdy zawiodły wszelkie inne sposoby, nieprawdaż?

– Chyba nie nadążam, Janine.

Chwyciła Hersheya za rękę.

– Pewnie to wszystko to dla ciebie jakiś idiotyczny bełkot – stwierdziła przepraszającym tonem. – Jakiś tydzień temu po imprezie na cześć jednego z naszych autorów trafiłam do Village. Nie wiem skąd, ale nagle poczułam impuls, żeby zafundować sobie tatuaż.

– Tatuaż – powtórzył Bob powoli. – A więc ten żuk to coś nowego?

– Tak, zrobiłam go pod wpływem impulsu – przyznała. – Czasami, gdy wypijam więcej niż dwa lub trzy kieliszki szampana, przytrafiają mi się takie niecodzienne pomysły. Sęk jednak w tym, że tatuażysta wyczuł chyba, że jestem nieszczęśliwa, i wyznał mi, że jest czarodziejem. Nigdy wcześniej nikomu nie udało się zrobić mnie w konia, więc uwierzyłam, ale gość był bardzo przekonujący. Przekonał mnie, że za

pewną opłatą może mi zapewnić to, czego pragnę. Jesteś teraz rozwiedziony, dlatego przyszło mi do głowy, że nic w tym złego, jeśli zażyczę sobie ciebie...

– Ten czarodziej ma siwe, kędzierzawe włosy?

– Owszem.

– I nosi długi jasnobrązowy płaszcz.

– Cóż, na kołku w jego salonie wisiał długi brązowawy płaszcz...

– A zatem wygląda na to, że my...

I dokładnie w tym momencie do sypialni Janine Warbler wtargnął Pancho LasVegas wraz z zespołem kamerzystów z programu *Pogwałcenie prywatności*.

Tom Holt

(ur. 1961r.) ma cudowny talent do tworzenia najrozmaitszych komediowych powieści fantasy. Pierwszą z nich była *Expecting Someone Taller* (1987), po niej pojawiła się *Who's Afraid of Beowulf?* (1988), *Flying Dutch* (1991), *Ye Gods* (1991), *Faust among Equals* (1994), *Djinn Rummy* (1995), *Paint Your Dragon* (1996), *Open Sesame* (1997), *Wish You Were Here* (1998), *Only Human* (1998) i wiele innych. W jego komediach nierzadko pojawia się gra emocji, a w niektórych z jego najlepszych i najzabawniejszych dzieł humorowi przeciwstawiony jest patos. Chociaż poniższe opowiadanie rozpoczyna się w dość zabawny sposób, dalej okazuje się niezwykle przejmujące.

Tom Holt

UCIECZKA Z PLANETY MISIÓW

Nigdzie nie jest powiedziane, że wszystkie straszliwe potwory muszą koniecznie napęłnić twe serce strachem. Demoniczne ważki na ten przykład mówią nieźle po angielsku i uwielbiają szwendać się po okolicy, a mantykory będą cię ciągnęły po błocie i bagnach. Jednak krew z ciebie wysię dopiero małe, kudłate stworzonka.

Frank Hayes *Little Fuzzy Animals*

Dziennik pokładowy, statek dalekiego zwiadu kosmicznego Zarathustra. Data i miejsce nieznane.

Slade zatrzymał się i zerknął. Daleko za nim na wodach zatoki tonął jego okręt. Wśród wirujących kłębow pary widać było jedynie gondolę silnika. Przypomniawsobie, jaki efekt da połączenie wody morskiej z zespołem neutronowych reaktorów, i błyskawicznie schronił się za pobliską skałą.

W samą porę. Ziemia zatrzęsała się jak galareta, gdy większa część zatoki po prostu wystrzeliła w powietrze, zawisała na ułamek sekundy i runęła w dół w miażdżącej, niszczycielskiej ulewie, która przemoczyła Slade'a do suchej nitki. Wychowywał się w Anglii, dlatego szczególnie mu to nie przeszkadzało, ale świadomość, że statek zniknął na zawsze w odmętach, wstrząsnęła mężczyznę tak bardzo, że zachwiał się i usiadł ciężko na przedstawicielu jakiegoś nieznanego gatunku meduzy.

(A pomyśleć, że przyczyną wszystkiego był automat do kawy. Dobrze, że Slade'owi starczyło rozumu na tyle, by jeszcze na orbicie wystrzelić rdzenie generatorów).

Nie miał pojęcia, gdzie się znalazł, ale planeta ta nagle stała się jego domem.

Szkoda, cholera jasna.

Rozejrzał się. Z jednej strony miał wielkie szczęście, że przynajmniej udało mu się wylądować awaryjnie na planecie, która na pierwszy rzut oka przypominała do złudzenia Ziemię. Większość planet, o czym Slade wiedział doskonale, z Ziemią nie miała nic wspólnego. Co więcej, to, że najwyraźniej tętniła życiem organicznym, również należało uznać za łut szczęścia. Rachunek prawdopodobieństwa mówił bowiem co innego. Wedle statystyk Slade powinien albo całkiem pograżyć się w żrących gazach, albo wylądować na czymś, co przypominało postindustrialne Cleveland. Tak, mogło być o wiele gorzej.

Ale z drugiej strony...

Cóż, okręt został stracony, a dojście stąd do domu pieszo raczej nie wchodziło w rachubę. Slade'owi przytrafiło się coś, co pojawia się w koszmarach każdego astronauty, zwłaszcza po późnym obiedzie składającym się z odmrożonej kormy z kurczaka – rozbicie na nieznaną planetę w skafandrze i z jednym jedynym awaryjnym zestawem narzędzi pod pachą. Oczywiście w Akademii Slade uczestniczył w szkoleniu, co począć w podobnych okolicznościach. Pamiętał dokładnie słowa prowadzącego: „Znajdź jakiś klif i skocz. Oszczędzisz sobie kłopotów”.

Odprawy w Akademii sływały ze zwięzłości. Wyglądało jednak na to, że w pobliżu nie ma żadnych klifów, a Slade, tak na marginesie, nie był jeszcze gotów, żeby się poddać.

„Dziennik pokładowy”, podyktował do przenośnego rejestratora. „Okręt utracony. Jestem rozbitkiem na nieznaną planetę. Reszta załogi najprawdopodobniej nie żyje. Nie byłem w stanie ocalić niczego z okrętu. Dupa z uszami. Koniec wpisu”.

Teren stopniowo stawał się coraz wyższy, a na szczycie wzniesienia wyrastał las.

„Schronienie”, pomyślał. „A więc przypuszczalnie żywność i budulec”.

Nie oglądając się za siebie, Slade ruszył naprzód.

Drzewa wydawały się bliźniaczo podobne do sosen ze starej, dobrej Ziemi, a zapach przyniósł falę wspomnień z dzieciństwa, z których większość wiązała się z deszczowymi piknikami, kłócącymi się rodzicami i błędzeniem po lesie. W jego sytuacji jednakże wyrażenie „błądzić” nie miało większego sensu i Slade jakoś nie potrafił się tym przejąć. Zupełnie jakby Joanna d'Arc na chwilę przed usmażeniem na stosie miała się przejmować tym, że jest na słońcu bez kapelusza. Szedł przez godzinę, rejestrując ze zdziwieniem, że w lesie brakuje jeżyn i poszycia. Z szacunków Slade'a wynikało, że las ciągnie się na przynajmniej sto akrów. Był jednakże niecodziennie cichy – astronauta nie słyszał śpiewu ptaków, nie dostrzegał też żadnych zwierząt. Jedyne źródłem ruchu były końce gałęzi kołyszące się na lekkim wietrze. Nie było nawet żuków. Bardzo dziwne.

A potem usłyszał kobiecy wrzask.

Rozejrzał się, usiłując ocenić dystans, i wtedy ją ujrzał. Była człowiekiem – wysoką, młodą jasnowłosą kobietą odzianą w skąpe szmatki. Nie miała butów, a mimo to biegła jak na szpilkach z trzycalowymi obcasami. Jej paznokcie u stóp miały idealnie owalny kształt, co w przyrodzie zdarza się tylko u kobiet żyjących w

odległości paru kroków od salonów kosmetycznych. Niespodziewanie zatrzymała się, żeby się obejrzeć, a potem wrzasnęła: „Eeek!” i przewróciła się o korzeń.

Slade przykucnął.

„Może mi się tu jeszcze spodoba”, pomyślał. „Bezwzględnie ewolucja na tej planecie przebiegała wedle innych zasad. Gdyby Charles Darwin urodził się na tej planecie, szybko dałby sobie spokój z biologią i otworzył interes z rogowymi grzebieniami. Gdzie jest jednak napisane, że wszystko wszędzie ma wyglądać tak samo? W świecie przygłupów i półgłówków...”

Potem do jego uszu dobiegł inny dźwięk, niewyraźny i odległy, choć zwodnicza akustyka lasu niejednego mogłaby wprowadzić w błąd. Slade miał jednak wrażenie, że odgłos przypomina strzelanie korków.

„Czas się ruszyć”, pomyślał.

Podniósł się i popędził ku kobiecie, dostrzegając po drodze, że jej włosy były proste i rozczesane, jakby ostatnie trzy godziny spędziła na fotelu fryzjerskim.

– Przepraszam, czy mogę pomóc... – zaczął, ale dziewczyna zatrzymała się jak wryta. Wpatrywała się w niego z rozwartymi ustami, a w jej oczach koloru fali oceanu pojawiła się bezgraniczna pustka.

„Jasna cholera”, pomyślał Slade. „Może to nie jest żadna obca planeta? Może po prostu umarłem i znalazłem się w Kalifornii?”

Wystrzały korków przybliżyły się szybko. Kobieta usłyszała i znów wrzasnęła: „Eeek!”. Usiłowała biec, ale znać było po niej, że kostka przysparza jej mnóstwo bólu.

– Pomogę ci, weź mnie za rękę! – rzekł Slade, ale kobieta nadal nie rozumiała. Nie chodziło jednakże o słowa, wyglądało na to, że nigdy nie spotkała się z konceptem języka. – To nie tyle Kalifornia, co obszar w promieniu kilku mil od Malibu – mruknął do siebie Slade. Stłumił uśmiech i ruszył ku nieznamym.

W tej samej chwili w odległości zaledwie dwudziestu pięciu jardów, na skraju martwej strefy, pojawiło się kilka ogromnych niedźwiedzi. Łagodnie rzecz ujmując, nie przypominały żadnych niedźwiedzi, które Slade widział do tej pory. Po pierwsze, były ogromne – liczyły sobie dziewięć czy dziesięć stóp wzrostu – i poruszały się na tylnych nogach, jak ludzie. Co więcej, miały na sobie krótkie, przyciasne czerwone kurtki (Slade miał wrażenie, że coś mu to przypomina, ale za cholere nie mógł sobie przypomnieć co) i dzierżyły coś, co wyglądało jak...

...pukawki na korki. Tak, te cienkie drewniane rury były z jednej strony, gdzie odpalało się korki, rozszerzone niczym przepychacze. Slade stał jak wryty i patrzył. A więc to większa impreza, nawet jak na standardy kalifornijskie.

A potem jeden z niedźwiedzi dostrzegł Slade'a, uniósł pukawkę do ramienia i wystrzelił. Może w ostatniej chwili drgnęła mu ręka, trudno ocenić, w każdym razie korek przemknął z gwizdem jakieś kilka cali obok głowy astronauty i wyrznął w drzewo, które pękło i przewróciło się.

Korek. Jasne.

Slade'owi starczyło bystrości umysłu, by paść na ziemię, co zresztą uczynił w samą porę, bo pozostałe niedźwiedzie również otworzyły ogień.

– Brać go! – ryknął jeden z nich, a wtedy pozostałe trzy potwory runęły ku mężczyźnie, w biegu wpychając nowe korki w lufy swoich strzelb.

„Jakie tam Malibu”, pomyślał Slade, zrywając się do ucieczki. „Wypisz, wymaluj Los Angeles”.

Korek rąbnął w ziemię jakąś stopę przed nim, obsypując mężczyznę zgniłymi liśćmi.

Na szczęście manewrowanie między drzewami niezbyt się niedźwiedziom udawało i Slade zdołał zgubić pościg lub też potwory znudziły się pogonią i dały sobie spokój. Gdy miał już pewność, że jest bezpieczny (względnie bezpieczny), wpelzył na wzgórze, z którego widać było miejsce, gdzie ujrzał ową dziewczynę, przywarł do złamanego pniaka i rozejrzał się ponownie.

To, co zobaczył, zdumiało Slade'a bez reszty. Widział teraz tłum ludzi, co do jednego ubranych w podobne szmaty jak jasnowłosa dziewczyna. Niektórzy wrzeszczeli – astronauta nie pochwycił żadnych słów, ale w chwilę później przypomniał sobie, że był w stanie zrozumieć zwierzęta. Ludzie pędzili naprzód, poganiani przez otaczające je kręgiem gigantyczne niedźwiedzie, które pokrzykiwały i strzelały w powietrze lub trzaskały z biczów. Przypominały uzbrojonych rebeliantów w fabryce Świętego Mikołaja.

Potem zmusili ludzi do wspinania się na drzewa.

„O co w tym, do jasnej cholery, chodzi?”, pomyślał Slade, a wtedy do jego uszu doszło niskie, złowieszcze buczenie, zupełnie jak gdyby uruchomił się jakiś podziemny generator. Różnica polegała na tym, że odgłos zdawał się dochodzić z koron drzew. A więc nie generator. Pszczoły.

Wyglądało na to, że cokolwiek by to było, ludzie mieli już w tym wprawę. Równie oczywiste było to, że nie sprawia im to przyjemności. Gdy dotarli do górnych gałęzi, wynurzyły się zza nich ogromne chmury pszczoł, owady przypominały nanomyśliwce. Całkowicie przesłoniły wspinaczy. Slade słyszał wrzaski, co chwila też rozlegał się łoskot, gdy któryś z ludzi tracił oparcie i spadał. Niedźwiedzie zupełnie się tym nie przejmowały, przyglądały się wspinającym i szczyrzyły zęby.

W swej strategii niedźwiedzie postawiły na ilość. Na trzech wspinaczy oblepionych przez pszczoły jeden docierał w miarę nietknięty do uli znajdujących się w wyższych partiach drzew, strącał je na ziemię, gdzie pękały od uderzenia.

„Miód”, uświadomił sobie Slade. „Czemu mnie to nie dziwi?”.

Nie obserwował już dłużej. Nie było to przyjemne widowisko i dość już się napatrzył. Bóg jeden wie co było przyczyną, ale na tej planecie ludzie byli jedynie przygłupimi zwierzętami, a dominujący gatunek stanowiły niedźwiedzie. Wielkie niedźwiedzie o jasnozłocistej sierści, odziane w zgrabne czerwone kubraczki.

Co gorsza, potwornie śmierdzące. Zresztą, co Slade uświadomił sobie po chwili, cała planeta cuchnęła. Wszędzie unosił się paskudny zapach fiołków, lawendy, wody różanej i świeżych igieł sosnowych. Pokręcił głową, raz jeszcze zerknął na niedźwiedzie z gładkim futrem i w czerwonych kurteczkach, a potem zakrył nos.

– Fuj – skrzywił się z odrazą.

Slade nie miał pojęcia, jak długo włóczył się samotnie po lasach. Nie wiedział właściwie, dokąd się udać, przez co taka włóczęga rozmijała się z celem – nie mówiąc o tym, że mogła okazać się bardzo niebezpieczna, jeśli grupy pościgowe niedźwiedzi dalej działały. Myśl o znalezieniu dla siebie kryjówki niezbyt jednak pociągała astronautę. Może w jego sercu, niczym ostatnia kropla miodu na dnie słoika, wciąż drzemała resztką nadziei.

Pułapkę zauważył dopiero wtedy, gdy było już za późno – gdy lina zacisnęła się wokół jego kostki, zgięta gałąź wyprostowała się gwałtownie, a Slade zawisł głową w dół.

„Cudownie”, pomyślał.

Wtedy krzaki rozsunęły się i wychyły z nich dwie istoty. Obie były mniej więcej wzrostu Slade’a, miały jasnoróżową skórę, sterczące małe uszka i zachowały pozycję pionową...

Prosiaczki?

Różnica polegała na tym, że miały na sobie ubrania – osobliwe jasnoczerwone wdzianka przypominające pieluchy owijające całe ciała. Co więcej, prosiaczki mówiły i bez trudu można było je zrozumieć.

– Cóż za dziwaczny okaz – powiedział jeden z nich. – Spójrz tylko na to, co ma na sobie.

„Weź, chłopie, przestań”, pomyślał Slade.

– I jego oczy – rzekł drugi, przyglądając się Slade’owi z przechyloną głową. – Wręcz można by sobie pomyśleć, że to istota czująca.

Drugi z prosiaczków zaśmiał się głośno.

– Jasne – rzekł. – Przecież ty masz fioła na tym punkcie. Dalej, popuszczę nieco liny, a ty przygotuj uśmierzacz.

– Hej! – wrzasnął Slade. Trudno jest zabrzmieć stanowczo, gdy łopocze się w powietrzu jak poła marynarki przedstawiciela handlowego z tyłu forda oriona, ale włożył w to mnóstwo wysiłku. W końcu to były tylko prosiaczki, czyż nie?

Wyższy z nich zatrzymał się zdziwiony.

– Niezwykłe – stwierdził.

– Zawsze twierdziłem, że niektóre z nich posiadały umiejętność naśladowania mowy – rzekł drugi. – Jestem przekonany, że odrobina cierpliwości włożona w szkolenie...

– Hej, wy dwaj! – wrzasnął Slade. – Wypuście mnie, dobra?

Prosiaczki wpatrywały się w niego, jakby właśnie wyskoczył z tortu urodzinowego.

– Niezwykłe – powtórzył ten wyższy.

– Mówiłem, nie? – odparł jego towarzysza. – To te oczy, sam rozumiesz.

– Czy moglibyście skończyć wygłupy i...

Więcej niczego powiedzieć nie zdołał. Rozległ się cichy syk uśmierzacza i ogarnęły go ciemności.

Był w klatce.

Jeśli chodzi o klatki, Slade mógł trafić na gorszą. Ta była wystarczająco wysoka, by mógł się w niej wyprostować. Ustawiono w kącie misę z wodą, miał też sporo miejsca, by chodzić. W porównaniu z mieszkaniem na przykład w Tokio była aż nadto wielka.

Ale wciąż była klatką, a zatem miejscem, gdzie trzyma się domowe zwierzątko. Albo – i tu Slade poczuł dreszcz – okaz laboratoryjny.

– Hej! – wrzasnął.

Klatka znajdowała się w jaskini, której jedynym mieszkańcem był przeklęty niedźwiedź. Uniósł łeb i spojrzał na astronautę.

– Zamknij ryj – warknął i powrócił do mruczenia melodii.

Slade dostrzegł, że na kolanach miał pukawkę na korki.

– Ja przepraszam – bąknął.

– Zamknij ryj! – powtórzył niedźwiedź, mierząc go złym spojrzeniem. – Kto powiedział, że wolno ci gadać?

Sposób, w jaki to z siebie wyrzucił, uświadomił Slade’owi coś nowego. Sama myśl, że ludzie mogą mówić, nie pasowała temu niedźwiedziowi jak jasna cholera. A choć klatka znajdowała się po drugiej stronie jaskini, Slade niemalże czuł napięcie.

– Tweep! – rzucił. – Tweep, tweep. Eeek.

Niedźwiedź odprężył się nieco, przeniósł spojrzenie gdzieś dalej i zaczął mruścić nieco głośniej.

– Tumpty–tum–tum, tumpty–tum–tum, tumpty–tumpty–tumpty–tum–tum...

Mruczał tak, aż gdzieś w mózgu Slade’a poruszyła się niespokojnie malutka, dawno zapomniana klapka pamięci. Odwrócił się od strażnika i usiadł nieruchomo, chciał się dokładnie przyjrzeć konstrukcji klatki. Wykonano ją z grubych bierwion, które na prosty, ale skuteczny sposób powiązano pasmami wyblakłej żółtej skóry – choć lepiej nie myśleć, skąd ją wzięto. Bez narzędzi...

Narzędzia, przypomniał sobie.

Awaryjny zestaw narzędzi zniknął, kieszeń była pusta. Jeśli brać pod uwagę stosunek niedźwiedzia strażnika do statystycznej istoty ludzkiej, był to prawdziwy powód do niepokoju. Nawet gdyby Slade’owi udało się wyjaśnić, że nóż plazmowy i klucz dźwiękowy to prymitywne elementy ubioru, już samo to, że potrafił mówić, przemawiało na jego niekorzyść.

– Człowieku.

Obrócił się instynktownie, zbyt późno przypominając sobie, że właśnie postanowił udawać głupka. Cóż, nie wyszło. Nie ma co udawać, że nie rozumie.

Były to prosiaczki, te, które go złapały.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię? – rzekł ten wysoki.

– Tweep – oznajmił Slade, nie wkładając w to jednak serca. – Tweep. Eeek?

– Człowieku? – Prosiaczek zmarszczył brwi.

Slade podjął decyzję. Myśl o komunikowaniu się, czego rozpaczliwie pragnął,

wyparła ostrzeżenia wywrzaskiwane przez instynkt.

– Tweep! – rzekł, wskazując ruchem głowy strażnika. – Tweep, tweep.

– Co? O, aha! – kiwnął głową prosiaczek. W jego oczach odbiło się zdziwienie. – Hej, ty! – wrzasnął. – A może byś skoczył sobie na dłuższy lunch, co? My możemy mieć oko na okaz.

– Mam swoje rozkazy – warknął niedźwiedź.

– Dobra, a więc oto kolejny! – Ton głosu prosiaczka mówił wiele o miejscowej hierarchii. Było to polecenie, ale Slade wyczuwał w nim obawę. Najwyraźniej prosiaczki zajmowały wyższą pozycję od niedźwiedzi, ale nadal się ich bały. – Idź, poszukaj sobie czegoś do jedzenia, przejdź się, zresztą gdzieś to mam. Znikaj stąd. Damy sobie radę.

Slade nie odwrócił się, ale usłyszał ciężkie człapanie odchodzącego niedźwiedzia. Pomimo powagi chwili nie mógł się oprzeć kolejnemu skojarzeniu:

„Przecież niedźwiedzie się tak nie poruszają! To zręczni myśliwi–zbieracze, którzy nie marnują ani jednego ruchu! Ich budowa ciała kształtowała się przez miliony lat prób i błędów! Te zaś człapią, jakby się bały, że każdy gwałtowniejszy ruch pozrywa im ścięgna”.

– W porządku – powiedział prosiaczek. – Poszedł sobie. Cóż, jesteś wyjątkowym okazem, człowieku. W całej mojej karierze...

– Slade. Nazywam się Slade.

– Slade – zastanowił się prosiaczek. – Słodkie to nie jest.

Slade poczuł się, jakby ktoś go właśnie zdzielił rybą przez łeb.

– Słodkie? – powtórzył.

– Słodkie – rzekł prosiaczek. – Wiesz, co znaczy „słodkie”, nieprawdaż? – ciągnął, a ton jego głosu wskazywał, że omawia niezwykle istotne pojęcie, być może nawet coś świętego. Wystarczy wyobrazić sobie ewangelistę opisującego swego boga lub księgowego objaśniającego wagę przechowywania wszelkich ważnych kwitków i paragonów, a będzie wiadomo, jak to wymówił.

– Taaa, wiem, co to znaczy „słodkie” – odparł Slade. – Ty jesteś słodki – dodał, tłumiąc dreszcz. – Nawet te cholerne niedźwiedzie są słodkie. Powiedziałeś to słowo tak, jakby było ważne.

Prosiaczki spojrzały po sobie. Były zszokowane.

– W porządku – powiedział ten niższy po długiej chwili milczenia. – Przecież to tylko człowiek. Nie sądzę, żeby zdawał sobie sprawę z tego, co mówi.

– Masz rację, a ty... – Drugi prosiaczek obrzucił Slade’a wściekłym spojrzeniem. – Ani się waż jeszcze raz wygadywać takie rzeczy, jasne? I bez tego będzie ci ciężko ocalić życie. Gadający człowiek, tylko tego brakowało. Przy nas możesz się odzywać, jesteśmy naukowcami, ale jeśli zaczniesz bluźnić przy innych ludziach, a oni to usłyszą...

Slade pokiwał głową.

– Przykro mi – westchnął.

– I powinno. – Prosiaczek potarł swój malutki ryjek zabawną małą łapką. Milion animatorów połączonych w megazespół przez tysiąc lat wspólnej pracy nie byłoby w

stanie wykreować bardziej uroczego i wzruszającego gestu. Slade poczuł się, jakby właśnie pochłonął cały słoik marshmallów.

– Nie sądziłem, że was to zdenerwuje – przeprosił Slade. – Zrozumcie, ja...

„Jak mam to ująć?”

– Ja tak właściwie to nie jestem stąd. Ja...

– Wiedziałem! – przerwał drugi prosiaczek z podnieceniem. – Oczywiście, on przybył z Rubieży! Z Rubieży, prawda, człowieku? Przebyłeś wielką pustynię, nie? Tam znajduje się inny, wielki kraj i stamtąd właśnie pochodzisz.

„Kurwa”, pomyślał Slade.

– No, właściwie to tak – skapitulował. – Słuchajcie, chłopaki, czy dałoby radę...

– Posłuchaj! – Małe, przypominające guziki oczka prosiaczka błysnęły nerwowo.

– Słuchaj, człowieku, czy tam, skąd pochodzisz... Czy tam są myszy? Myszy, które mówią?

– I takie zabawne jelonki? – dodał drugi prosiaczek, równie niespokojnie. – Takie, co to ślizgają się na lodzie i trącają noskami?

– I białe psy z czarnymi plamkami? I syreny? I latające słonie z ogromnymi uszami?

Z otchłani podświadomości Slade'a uwolniła się bardzo niepokojąca myśl i zaczęła z wolna unosić się ku powierzchni, ale zmusił się, by na razie ją zignorować.

– W pewnym sensie tak – odpowiedział. – Tak, to prawda, widziałem podobne rzeczy. Dawno temu – dodał, znów z dreszczem. – Ale to było w innym kraju, a poza tym...

Prosiaczki wymieniły spojrzenia.

– Wiem, że to potworne ryzyko – rzekł ten wyższy – ale nie możemy zachować tego dla siebie.

– A co, jeśli niedźwiedzie...

– Gdzieś to mam – przerwał mu ów wyższy. – Nie rozumiesz? To żywy dowód na to, że poza granicami tej dolinki istnieje życie! Gdy inni ujrzą to na własne oczy...

Niższy przytaknął skinieniem głowy, zupełnie jakby właśnie podjął wiekopomną decyzję dorównującą wagą odkryciu rozszczepienia atomu.

– Masz rację – rzekł. – Jasne. Musimy powiedzieć o wszystkim profesorowi Kłapouchemu.

* * *

Stary szary osioł przyglądał mu się przez kraty i krzywił się, jakby go coś parzyło. Czysta, niczym nieskażona wrogość w jego intensywnym spojrzeniu przypominała Slade'owi prawnika jego byłej żony, co oczywiście nie pokrzepiło go na duchu.

– Niezwykle – rzekł w końcu osioł. – Komu jeszcze o tym powiedzieliście?

– Nikomu. – Prosiaczki nie były w stanie spojrzeć osłu w oczy, a Slade domyślał się dlaczego. Było w tym stworzeniu coś nieskończenie niepokojącego, otaczał go nimb nieszczęścia i rozpacz, które łatwo mogły przejść w szaleństwo. Było też coś znajomego w jego imieniu... Coś, co przywodziło na myśl dawne czasy i wiązało się z zapachem igieł sosnowych.

– Przeprowadziliście już testy? – osioł mówił cichym, niemalże rozgorączkowanym głosem. – Unosi się na wodzie?

Prosiaczki spojrzały po sobie.

– Tak właściwie, profesorze... – odezwały się – tak właściwie to nie, jeszcze nie poddaliśmy go badaniom. Bardziej zaintrygował nas aspekt brakującego ogniwa, wie pan. Wielka pustynia, szansa na istnienie innych form życia...

Oba wiły się i kuliły. Spojrzenie osła zdawało się wsysać ich słowa jak ręcznik kuchenny wodę.

– A więc nie przeprowadziliście testów – powoli rzekł osioł, przewracając smutnymi oczyma. – Cóż, a zatem zabierzemy się za to teraz, nieprawdaż? Rzecz jasna, nie można się spodziewać, że ktoś wpadnie na coś tak oczywistego jak przeprowadzenie testów.

W oczach prosiaczek pojawiło się przerażenie.

– Ale, profesorze...

– Do roboty.

– Tak, profesorze.

Slade przyglądał się z niepokojem obu naukowcom, gdy otwierali drzwi klatki.

– O co mu chodziło z tym unoszeniem się na wodzie? – zapytał, ale prosiaczki uciszyły go natychmiast.

– Po prostu nic nie mów, dobra? – szepnął ten niższy. – Wszystko będzie dobrze. Chyba – dodał. – Bo któż może wiedzieć? Może potrafisz unosić się na wodzie.

Z pewnością nie były to najbardziej pokrzepiające słowa, które Slade usłyszał w swoim życiu, ale nie był to najlepszy moment, by to roztrząsać. Skoro prosiaczki otwierały klatkę, oznaczało to wyjście na zewnątrz, a gdy wreszcie wyjdą z jaskini... Cóż, jeśli Slade nie będzie w stanie wyrwać się dwóm prosiaczkom i staremu osiołkowi, nie zasługuje na miano mężczyzny, za jakiego się uważał.

(Choć właściwie to nie był już pewien, czy uważał się za mężczyznę. W rzeczy samej nie wiedział, czy kiedykolwiek naprawdę nim był).

Światło słoneczne niemal go oślepiło. Wciąż mrugał i potrząsał głową, gdy w pobliżu rozległy się głosy niedźwiedzi.

– Szef! – chrząknął jeden z nich.

– Hej, wy – w głosie osła, gdy zwrócił się do niedźwiedzi, nie było ani śladu skrępowania czy strachu. – Aresztować tych dwóch tutaj. To siejący nienawiść bluźniercy. Temu człowiekowi zaś założcie ciężkie łańcuchy. Nie życzę sobie, żeby uciekł.

Na to Slade nie mógł nic poradzić.

„Powinienem był to przewidzieć”, strofował się w myślach, gdy ciężkie żelazne obręcze zatrzasnęły się ze szczękiem wokół jego kostek. Wyglądały jak spod igły, tu i ówdzie połyskiwały. Nie było na nich ani plamki rdzy.

„I tak nic bym na to nie poradził”.

Niedźwiedzie popychały go i popędywały, aż astronauta dotarł do miejsca, które wziął za swego rodzaju osiedle. W każdym razie wysoko na gałęziach drzew wspierały się osobliwe, lecz rozklekotane, ledwie trzymające się kupy budowle, a w

pnich niektórych drzew znajdowały się również malutkie (i słodkie) drzewi z desek. Pomalowano je jednak na kolory, które w najlepszym razie można było uznać za dziwne – różne odcienie jaskrawej czerwieni oraz żółci wraz z żywą zielenią. Co gorsza, wszystkie aż kłuły w oczy. Nawet Lawrence Llewellyn–Bowen u szczytu swego twórczego gniewu nigdy nie wykorzystywał kolorów podstawowych o tak wścieklej jaskrawości. Na polanie aż się roilo od zwierząt – w większości były to niedźwiedzie, z których część snuła się bez celu, a inne kucały i zanurzały mordy w dzbanach z miodem. Tu i ówdzie zauważył kilka królików – ogromnych królików, dźwigających motyki i widły na ramionach i toczących piskliwymi głosami dyskusje o uprawach. W pewnym momencie on i eskorta zostali niemalże stratowani przez coś pasiastego i niezwykle szybkiego, ale Slade nie chciał nawet się zastanawiać, co to mogło być.

Był to długi, milczący marsz. Astronauta, prosiaczki, osioł i niedźwiedzie strażnicy opuścili lasy i znaleźli się u stóp otaczających je gór. Prowadził osioł, który narzucił reszcie ostre, trudne do wytrzymania tempo. Od obu prosiaczków było zniechęcenie i przygnębienie, niedźwiedzie również były nadąsane i Slade czuł, że w takiej sytuacji lepiej nie odzywać się ani słowem. Nie był na tak dołującej wycieczce w góry od czasów wakacji w Walii wiele lat temu.

Wspinali się przez godzinę stromym, kamienistym szlakiem, aż dotarli do głębokiej rozpadliny, dołem której mknęła z hukiem rzeka, otoczona wysokimi, poszarpanymi skałami. Brzegi przepaści spinał rozkołysany mostek linowy. Nawet z tej odległości widać było, że liny są przetarte. Osioł się zatrzymał.

– No, to teraz się przekonamy – powiedział.

Nawet niedźwiedzie wyglądały na poruszone.

– Mamy po tym przejść? – parsknął jeden z nich.

Osioł wyszczerzył zęby.

– Tylko do połowy – odparł.

I właśnie wtedy myśli Slade'a odpłynęły. Przez głowę przemknęły mu wspomnienia niezliczonych lat, swobodne skojarzenia przekazywane z pokolenia na pokolenie. Teraźniejszość wydała się Slade'owi całkowicie obca, bardziej obca niż gadający osioł czy misie w czerwonych kubraczkach, zaganiające ludzi na czubki drzew. Nadal nie miał jednak pojęcia, co to wszystko oznacza. Czuł się, jak gdyby wydobywał z głębin ziemi jakiś niezwykle starożytny artefakt, którego przeznaczenie już dawno zniknęło w mrokach dziejów i nigdy nie zostanie odtworzone. Skojarzyło mu się tylko jedno słowo.

– Misie–patysie – powiedział.

Osioł powoli uniósł łeb.

– Nie myliłem się zatem – powiedział powoli. – To prawda. Ty pochodzisz od Dziecka. Rozumiesz, co to oznacza? – pytanie skierował do jednego z prosiaczków, które drżały ze strachu i kulily się przed kamiennym, strasznym obliczem osła. – Nie, oczywiście, że nie. Nazywacie się naukowcami, wymyśliliście sobie piękny kraj daleko za rozgrzanymi piaskami, zaczarowane miejsce, gdzie pewien chłopiec nigdy nie przestaje się bawić ze swoim misiem.

Ostatnie stwierdzenie zszokowało zarówno prosiaczki, jak i Slade'a, ale osioł niezbyt się tym przejął.

– Gadający człowiek, pomyśleliście sobie – ciągnął osioł ze wzrokiem utkwionym w białych bryzgach strzelających wśród skał w rozpadlinie. – Jakie to wspaniałe. Być może któregoś dnia wszystkich ludzi da się nauczyć mówić, a wtedy zajmą swoje miejsce we wspólnocie istot rozumnych. Idioci – westchnął ciężko, a jego klatka piersiowa rozděła się przy tym do takich rozmiarów, że między szyją a łopatką pojawił się szew, z którego wystawał malutki strzęp pluszu. – Żartujecie z nich – wskazał ruchem łba na niedźwiedzie – gdy jesteście pewni, że nie patrzają, nazywacie ich misiami o bardzo małych rozumkach i powtarzacie te stare oszczerstwa, których nauczyliście się na kolanach dziadków, ale żadnemu niedźwiedziowi nigdy nawet nie przyszło do głowy, by wchodzić w komitywę w potomkami Dziecka i odwrócić się od tego, co Słodkie. To właśnie dlatego twierdzę – dodał, a jego czarne, guzikowate oczy nagle zapłonęły furią – że Słodkość może wam wybaczyć, ale ja nigdy.

– Przepraszam – odezwał się Slade.

Osioł odwrócił się, co z uwagi na fakt, że stał już na skraju mostu, okazało się sześćoetapowym manewrem.

– Co?

– Przepraszam, że zawracam ci głowę – rzekł Slade. – Ale czy mógłbyś mi to wszystko wyjaśnić? Zrozum, nie mam bladego pojęcia, o czym mówisz.

Osioł spojrzał na niego, a potem wybuchnął śmiechem.

– Wiesz co? – powiedział. – Mało brakuje, a naprawdę ci uwierzę. Czyż nie byłaby to zabawna ironia? Potomek Dziecka całkiem zapomniał Opowieść. Niestety, to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Poza tym właśnie udowodniłeś, że znasz Słowo.

– Masz na myśli misie–patysie? Hej, ja nawet nie wiem, dlaczego to powiedziałem, przysięgam! Tak naprawdę to było to raczej kichnięcie i...

– To płynie w twojej krwi – uroczyście stwierdził osioł. – Jesteś tym, czym jesteś. Ale powiedz mi prawdę, czy ty naprawdę nie znasz Opowieści? Dawno, dawno temu – ciągnął osioł – jeszcze zanim rzeka ukształtowała dolinę, istniał pewien człowiek, który umiał mówić, podobnie jak ty. Był jedynie młodym, szczenięciem, Dzieckiem, ale zwierzęta żyjące w lesie nie dość, że go oszczędziły, to jeszcze zaakceptowały i traktowały jak równego sobie. Wiem, że ciężko w to uwierzyć – stwierdził, gdy niedźwiedzie zaczęły wydawać wrogie pomruki – ale tak właśnie głosi Opowieść. Dziecko umiało mówić, a co więcej, zwierzęta słuchały tego, co mówiło, ponieważ nauczyło ich, co jest Słodkie. On to był i nikt inny. To właśnie Dziecko ubrało swojego niedźwiedzia w jego śliczny czerwony kubraczek i wymyśliło dla prosiaczka ów bezgranicznie idiotyczny strój, który wszyscy nosicie. To Dziecko zdecydowało, że Tygrysek ma skakać, a Królik ma go za to strofować. To Dziecko wymyśliło, że Kangurzyca będzie matką, a jej potomstwem będzie Maleństwo. Wszystko to, czym jesteśmy, nawet niedźwiedziowe upodobanie do miodu i mrużanek, mamy od Dziecka. Ono było naszym bogiem. Ono dało nam to, co Słodkie. Z tego względu –

ciągnął osioł – wszystko, co mówimy, wszystko, co robimy i czym jesteśmy, jest zawsze odrobinę nieprawidłowe. Z jego powodu sowa nie potrafi właściwie wymówić swojego imienia. Dlaczego tak jest? Z powodu Dziecka wierzymy, że biegun północny jest kawałkiem drewna wbitym w ziemię. Doskonale wiemy, czym naprawdę jest biegun północny, ale mimo to musimy wierzyć w patyk, bo w przeciwnym razie ginimy straszliwą śmiercią heretyka. Dlaczego? Z jego powodu musimy siedzieć na krzeselkach, na których się nie mieścimy, i jeść przy stołach, które nie są przystosowane do naszej anatomii, musimy nosić stroje, których nie potrzebujemy, i jeść rzeczy, które z wolna nas zabijają. Masz pojęcie – osioł niemalże zawył – jakim cierpieniem jest żywić się tylko ostem? To przez Dziecko życie nas wszystkich stało się jakimś potwornym szyderstwem, a przyczyn należy upatrywać w tym, czego nauczyło nas Dziecko. W Słodkości. Takie było owo Dziecko, ów gadający człowiek. I to z tego powodu – zakończył osioł, wpatrując się w Slade'a z tak niewysłowioną nienawiścią, że astronauta aż zakrył twarz dłońmi i odwrócił spojrzenie – ludziom nie powinno się nigdy pozwolić na to, żeby mówili. Chyba że – dodał nieoczekiwanie łagodnym głosem – że potrafią unosić się na powierzchni wody.

Slade odsłonił oczy.

– Co takiego? – spytał.

Westchnienie osła dobiegło z jego pęcín.

– Tak zostało napisane – powiedział po prostu. – Napisane jest, że pewnego dnia Dziecko rozzłościło się na swojego pierwszego osła i cisnęło go z mostu w wielką przepaść. Ale gdy osioł wpadł w wody rzeki, nie zatonął. Miast tego wypłynął na powierzchnię i dryfując na plecach, przepłynął pod mostem z nóżkami sterczącymi w powietrzu. Dziecko zaś przyglądało się temu i stwierdziło, że jest to Słodkie. A zatem Dziecko oszczędziło osła, pierwszego z mojego rodu, a my poprzysięgliśmy sobie, że jeśli kiedykolwiek potomstwo Dziecka wpadnie nam w łapy, okażemy mu dokładnie tyle samo miłosierdzia.

– Dobra – odpowiedział Slade, patrząc w wody rzeki przelewające się pod mostem i myśląc o modułach kontroli dryfu wbudowanych w jego skafander. – Nie sądzę, żeby był to jakiś wielki problem. Jak to rozegramy? Chcesz, żebym skoczył, czy może raczej mnie zepchniesz? Mnie to obojętne, wszystko zależy od...

– Nie! – zawołał wyższy prosiaczek. – Nie możemy na to pozwolić! To rozumna, czująca istota, profesorze! Ma umysł i rozum, może nawet i duszę. Z tego, co wiemy, wszyscy ludzie mają dusze. Nie możesz...

– Dobra, przecież wszystko gra – usiłował wtrącić Slade. – Naprawdę mi to nie przeszkadza. W rzeczy samej...

– Błóżnierca! – Osioł grzebnął łapą na skalistej ścieżce. – Jak śmiecie mówić takie rzeczy? Nie możecie sami dopatrzeć się w tym człowieku potworności?

– On nie jest potworem! – wykrzyknął mniejszy prosiaczek. – Ten człowiek... Cholera, mnie się wydaje, że jest Słodki! Chodzi mi o to – dodał szybko, widząc, że pozostałe zwierzęta, w tym drugi prosiaczek, wpatrują się w niego ze skrajnym przerażeniem – że jest fajny. Spójrzcie tylko na jego drobną twarzyczkę! I te małe,

śmieszne, pomarszczone różowe łapki. A jak ślicznie ma zadarty nosek...

– Dość tego! – Osioł ledwie nad sobą panował. – Nie chcę słyszeć ani słowa więcej! Niedźwiedzie, zrzuć mi to... to zwierzę z mostu!

– Nie!

– Och, nie, ty też? – jęknął osioł, gdy wyższy z prosiaczków wepchnął się między niedźwiedzie a swego mniejszego kolegę. – Dobra, tego też zrzućcie. Obaj polecą, ale w swoim czasie – dodał z rozdrażnieniem, gdy niedźwiedzie się zawahały. – Dalej, to rozkaz!

Niedźwiedzie wpatrywały się w osła.

– Ale, szefie... – rzekł jeden z nich.

– Co znowu?

– Nie można zrzucać prosiaczków z klifu, szefie. To nie w porządku.

– Prosiaczki też są Słodkie – rzekł inny. – Tak naprawdę to są zarąbiście Słodkie.

– Czy mógłbym nadmienić, że mnie tak naprawdę to nie przeszkadza... – usiłował powiedzieć Slade, ale nikt go nie słuchał.

Osioł wymachiwał wściekle ogonem, aż ten nagle odpadł. Któryś z niedźwiedzi błyskawicznie przytwierdził go na miejsce.

– Ja też myślę, że są Słodkie – wymamrotał.

– Posłuchajcie samych siebie! – zawył osioł. – Słyszeliście, co ten człowiek wygadywał, słyszeliście wszystkie te okropności, jakie padły z jego ust! Jak coś podobnego do tego człowieka może w ogóle chodzić po tym świecie! Na klif z nim, i to w tej chwili, chyba że chcecie do niego dołączyć!

– Jak by to wyglądało, gdybym skoczył, a reszta została tutaj? – upierał się Slade. – W ten sposób...

Niespodziewanie osioł zaszarżował z prędkością, o jaką Slade nigdy by go nie podejrzewał. Z całej siły grzmotnął łbem w wysokiego prosiaczka, który wpadł na liny. Z przeciągłym, mrozącym krew w żyłach okrzykiem: „Eeek!” zachwiał się i spadł.

– Och, nie! – krzyknął jego przyjaciel. – Zabiłeś Prosiaczka! Ty skur...

Osioł zaszarżował ponownie, ale wtedy prosiaczek zrobił dobrze wymierzony krok w bok, dzięki czemu Kłapouchy przemknął pod liną i runął w dół. W ostatniej chwili, zanim zniknął z oczu, zdołał jednakże smagnąć ogonem, owinąć go wokół nogi drugiego prosiaczka i ściągnąć go z krawędzi. Oba zwierzęta pomknęły w dół, a ich krzyki zlały się w jeden wrzask przerażenia i nagle ucichły. Niedźwiedzie przypadły do lin i wychyliły się, trudno powiedzieć, czy w ostatniej, beznadziejnej próbie złapania obu ofiar, czy może w nadziei na dobre widowisko. Bez względu na ich rzeczywiste intencje most zakołysał się pod niemałym ciężarem strażników. Oba niedźwiedzie runęły w dół i pomknęły ku otchłani. W sekundę później Slade usłyszał plusk.

Począł, aż most przestanie się kołysać, a potem ostrożnie wszedł na niego i spojrzął w dół. Prąd zgarnął pięć zwierząt i popchnął je ku szalejącej kipieli przewężenia. Slade od razu zauważył, że wszystkie płyną na plecach z łapami uniesionymi ku górze. Wyglądały...

Cóż, wyglądały słodko.

* * *

Szedł przez tydzień, może przez trzy tygodnie lub trzy miesiące. Nie wiedział, a zresztą – niezbyt się tym przejmował. Gdy dopadał go głód, szukał orzechów i jagód. Kiedy był spragniony, szukał odpowiedniego źródła lub oazy. Nie brakowało ich nawet w sercu pustyni – każda otoczona palmami jak z szablonu: o wymierzonej dokładnie wysokości i długości rzucanego cienia. Nie dziwiło go to wcale.

Za pustynią rozciągał się kolejny kraj. Tam również zastał gadające zwierzęta, różniące się nieco od tych pierwszych, ale w gruncie rzeczy takie same. Wszystkie były puszyste i miłutkie, co do jednego słodkie. Dalej znajdował się kolejny kraj i jeszcze jeden, każdy nieco inny od poprzedniego, ale wszystkie niemalże identyczne. Slade przebył kraj, w którym zwierzęta śpiewały zamiast mówić – była tam pantera, niedźwiedź, wąż i niezwykle irytujące małpy, a żadne z nich nie ucieszyło się na jego widok. Kiedy w końcu dotarł do morza, znalazł w nim gadające delfiny, gadające wieloryby, a nawet gadającego kraba, którego udało mu się rozdeptać, zanim zaczął Slade'owi poważnie grać na nerwach. Gdziekolwiek się udał, każda cholerna rzecz gadała, każda z wyjątkiem ludzi. Ci byli przygłupami, co do jednego. Ogromnymi przygłupami.

Pewnego dnia – trudno powiedzieć, czy miesiące po rozpoczęciu podróży, czy może nawet lata – Slade wędrował po zalanej blaskiem słonecznym plaży. Był sam, całkowicie sam, w pobliżu nie było ani jednej gadającej mewy czy skorej do rozmowy orki. Słońce wspinało się coraz wyżej i Slade zaczął się rozglądać za jakimś schronieniem przed palącymi promieniami. Wtedy wzrok mężczyzny padł na niewielki okrągły wzniesienie niedaleko ściany klifu. W jego cieniu panował przyjemny chłód i Slade przeleżał tam kilka godzin na plecach z zamkniętymi oczami. Zapadł w końcu w drzemkę, aż słońce przesunęło się dalej i zmiana temperatury zdradziła mu, że pora ruszać w dalszą drogę.

Otworzył oczy i po raz pierwszy dostrzegł w owym wzniesieniu pewien kształt. Slade nie wiedział, dlaczego przyciągnął jego uwagę, gdyż ledwie kojarzył się z czymś znajomym, ale gdy już go dostrzegł, nie mógł powstrzymać się od tego, by nie zbadać obiektu dokładniej. Astronauta podniósł kawałek drewna wyrzuconego przez morze i zaczął odgarniać luźny piasek. Po chwili przerwał i przyjrzał się swemu znalezisku dokładniej, a potem znowu zaczął wściekle odgarniać piach, jakby zależało od tego jego życie.

Godzinę później stał przed tym, co odsłonił, ściskając w dłoni zapomniane drewnienko. Było to wielkie plastikowe wyobrażenie mysiej głowy z okrągłymi uszami, oczkami i nosem, i ze szczerym, szerokim uśmiechem odsłaniającym zęby.

Tysiące lat przemknęło jak sekunda.

Slade opadł na kolana i uderzył w niepowstrzymany szloch. W końcu padł i przykrył sobą roztrzaskaną tablicę, na której odczytał słowa: „Witamy w Stanach Zjednoczonych Dis...”.

– Wy idioci! – wykrzyczał ku obojętnemu niebu. – Udało wam się! Wreszcie

wam się udało!

Leżał na twarzy w piasku, szlochając niczym dziecko. Nad nim górowała wielka plastikowa głowa i uśmiechała się swym niewzruszonym uśmiechem.

Sue Anderson

(ur. 1946r.) jest z zawodu nauczycielką. Od zawsze hodowała w sobie ambicję, by zostać pisarką, ale dopiero po wyjściu za mąż i założeniu rodziny powróciła do swego marzenia, co skończyło się dojściem do finału konkursu na powieść zorganizowanego przez „Mail on Sunday” w roku 1991. Jej pierwsze opowiadanie, Watched, ukazało się w roku 1994. Poniższe opowiadanie zostało napisane dla tej antologii.

Sue Anderson

ZADANIE

Rozległo się walenie do drzwi, a potem nieziemskie wycie, które aż zatrzęsło domem.

– Któż to może być, kochanie? – zapytał sennie Hendrath.

– Pytaj się mnie – odparła Cindramel, dorzucając kolejną kupkę gnoju do ognia.

– Nie miałam czasu, żeby odczytać dziś przyszłość z bobków.

Z kominka buchnęły wielkie tumany kurzu i Cindramel napomniała się, by w przyszłości używać suchego gnoju.

Znowu rozległo się walenie do drzwi, tym razem głośniejsze.

– To pewnie znowu te cholerne krasnoludy – powiedziała ze złością Cindramel.

– Zawsze przyłazą w porze podwieczorku i wkurzają Dozorka.

– A mogłabyś stworzyć, śmierdziuszkę mój kochany? – Hendrath zakopał się głębiej w poduszki ze szczurzych skór. – Ja jestem nieco zajęty.

Rzecz jasna, nie było szans, by ruszył swoje cztery litery. Cindramel westchnęła, wsunęła pantofle ze smoczej skóry, owinęła się ciaśniej płaszczem ze szczurzego futra i ruszyła przez smagany przeciągami korytarz, próbując nie potknąć się na nierównej podłodze. Świece znów pogasły – szczurzy łój był do niczego, chociaż krasnoludy wychwalały go pod niebiosa.

Otwór, w którym niegdyś znajdował się judasz, był zabity deską. Goście uzbrojeni w laseczki z trupimi czaszkami lub kije zakończone smoczymi zębami grzmocili w kryształ bez litości, przez co bez reszty utracił precyzję i zamiast ukazać tego, kto czekał przed drzwiami, przedstawiał rozmazane wyobrażenie sprzedawcy magicznych ścierek do kurzu z ubiegłego tygodnia. Dozorek, paskudnie wyglądająca bestia z sześcioma łapami i płaskim łbem, podskakiwał nerwowo, śliniąc się obficie.

– Siad, piesku – rzekła Cindramel. Zdjęła zardzewiałą zasuwę i wyjrzała zza grubych drewnianych drzwi. Wiatr dmuchnął jej w twarz, zmuszając do zmrużenia oczu. Było dość wcześnie, ale mimo to panowały ciemności, a na nocnym niebie nie było widać gwiazd. Dopiero po chwili dostrzegła postać stojącą na schodach. Udało jej się stwierdzić tylko tyle, że była samotna i zdecydowanie zbyt wysoka jak na

krasnoluda.

Nie zdążyła zadać żadnego pytania. Nieznajoma postać przemknęła obok Cindramel, poklepała Dozorka po łbie, co zszokowało go do tego stopnia, że aż zamilkł, a potem syknęła:

– Zarygluj drzwi! Obawiam się, że jestem śledzony. Wokół kręcą się ćworki, widziałem też przynajmniej jednego geldorfa na trakcie.

– Ale kim...

– Szybciej!

A zatem najprawdopodobniej był to mężczyzna. Cindramel ruszyła za nim korytarzem, nawijając na palec lok, który umknął grzebieniowi ze szczurzego zęba. Wyglądało na to, że intruz dobrze wie, którądy ma iść.

Miał na sobie długi błękitny płaszcz wyszywany srebrnymi gwiazdami i osobliwymi, zakrzywionymi symbolami przypominającymi cążki do paznokci u stóp. Gdy wkroczył do salonu, jego wysoki, spiczasty kapelusz zahaczył o nadproże i niemalże spadł, ale zaraz w tajemniczy sposób się wyprostował. Przez krótką chwilę spod szaty wyjrzały dwie pazurzaste łapy. Cindramel bynajmniej nie była pod wrażeniem. Animowany ubiór, cóż, już dawno wyszedł z mody.

Hendrath tymczasem zdołał się zwlec z kanapy i stał teraz w rogu pokoju, z zadumą wpatrując się w magiczne lustro. Umieszczono je na rozklekotanym drewnianym stojaku pod raczej mało udaną reprodukcją walki ćworków, a w chwili obecnej pokazywało kilka mało wyraźnych runów. Hendrath kopnął w stojak, który aż się zakołysał, ale obraz się nie przejaśnił.

– Mamy gościa – oznajmiła Cindramel.

– Tak? – Hendrath odwrócił się, marszcząc brwi. Wysoki przybysz nie wyglądał znajomo i w pierwszym odruchu gospodarz wziął go za inspektora przysłanego w ramach nowego elfickiego programu zapomogowego. Hendrath od dawna pobierał dodatkowe racje żywności, tłumacząc się problemami zdrowotnymi.

– To ja, Hen – rzekł przybysz. – Wiem, że nie widzieliśmy się od wieku, ale jestem pewien, że rozpoznasz starego przyjaciela.

– Cóż, mamy tu beznadziejne światło, a ta broda nieco... Zaraz! – Hendrath zerwał się na równe nogi z rozpromienioną twarzą. – Nigdy w życiu... Przecież to nie...

Tajemniczy przybysz ściągnął swój kapelusz i uklonił się nisko. Spod nakrycia głowy wyfrunęła niewielka czarna wrona, która wylądowała na kredensie i zaczęła dziobać resztki smażonego szczura.

– Jestem Alfred Gann. Czarodziej elektroniczny. Do usług!

– Alf, staruszkule! Nie poznałem cię! Nigdy nie nosiłeś takiej szaty ani tych wszystkich innych bambetli.

– Awansowałem.

– Cóż, chodź tu i siadaj! Dokładnie ciebie mi potrzeba. Cin, zaparzysz nam herbatki ze smoczjej krwi? Jesteś prawdziwym skarbem.

Cindramel, mamrocząc coś niepoehlebnego pod nosem, wyszła z pokoju, powłócząc nogami, po drodze spędzając wronę z kredensu. Ptak polatał chwilę, aż w

końcu przysiadł na gzymsie kominka.

– Wybacz mi ten moduł – rzekł Alf. – Jest nieco upierdliwy, ale bardzo się przydaje, gdy trzeba wołać o pomoc.

Widok starego przyjaciela uradował Hendratha do tego stopnia, że przez dłuższą chwilę nie mógł mówić o niczym innym.

– Słuchaj, a może udałoby ci się postawić to dymiące cholerstwo? – spytał w końcu, wskazując lustro. – Od rana próbuję ściągnąć wyniki Carnage League, ale udaje mi się ujrzeć jedynie statystyki Potworów.

Alf obrzucił magiczny sprzęt pogardliwym spojrzeniem.

– Nie mam teraz na to czasu, stary. Przydzielono mi Zadanie.

– Co takiego?

– Nie wiesz? – zapytała Cindramel, wyłaniając się z kuchni z pełną tacą. – Zadanie. Niczym innym się nie zajmują. Jak nie trąbią o tych swoich Zadaniach w reklamach w magicznym lustrze, to rozsyłają wolontariuszy zbierających na nie datki. Zwariować można.

Postawiła tacę i znów wyszła.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Daj nam chwilę, dobrze? – Alf rozsiadł się na wyściełanym barłogu, jednym z bardziej stabilnych mebli, i wydobyl z fałdów szaty srebrne pudełko, z którego wyciągnął wszystko, co potrzebne, by zrobić skręta.

Hendrath patrzył z zafascynowaniem, jak czarodziej ujmuje patyczek zanurzony uprzednio w jakimś eliksirze, pociera o cholewę i wciąga głęboko powietrze.

– Tutaj chodzi o coś innego – rzekł Alf. – Patrz.

Gdy wypuścił powietrze, pokaślując lekko, pokój wypełniła chmura błękitnego dymu. Cindramel, która weszła z imbrykiem z herbatą, zmuszona była machnąć kilkakrotnie ręką, by rozpedzić opary. Już miała wygłosić jakąś kąśliwą uwagę, gdy w pokoju zaczęły zachodzić zmiany. Po chwili dym przed ich oczami rozwiął się i ujrzeli coś, czego wcześniej tam nie było. Patrzyli na grupę ludzi, która zasiadła w jasno oświetlonym pomieszczeniu, na wygodnych fotelach, wokół wypolerowanych stołów. Stały na nich miski z egzotycznymi owocami i słodyczami. W kominku płonął jasny ogień, który nie buchał kłębamii cuchnącego dymu. W centrum pokoju znajdowało się zaś wielkie czarne pudło z okienkiem, w którym widać było twarz jakiegoś mężczyzny.

– Są tacy czyści – wyszeptała Cindramel. – A te zasłonki są doprawdy gustowne.

Zawsze marzyło jej się życie w wyższych sferach. Swego czasu odrzuciła oświadczyzny pewnego elfa i zamiast tego wyszła za Hendratha, o czym nigdy nie pozwoliła mu zapomnieć. Był wówczas zupełnie innym człowiekiem, nie grzeszył co prawda wzrostem, ale całkiem ją oczarował. Snuł wówczas wiele planów na przyszłość, pielęgnował też wiele marzeń. A teraz? Wylegiwał się całymi dniami, tył na potęgę i wciąż narzekał na stopy. Może sama też nazbyt sobie folgowała, ale czy było w tym coś dziwnego?

– Wydają się tacy szczęśliwi – westchnął Hendrath. – A spójrz tylko na to jedzenie...

Z jego brzucha dobiegło zazdrosne burczenie.

– Co to za miejsce? – spytał. – Jakiś nowy kurort wakacyjny? Możemy tam pojechać?

– To jest moje Zadanie – rzekł Alf, który zaciągnął się po raz drugi. I znów zakaszłał.

Na zewnątrz zbierał się coraz gęstszy mrok. W ciemnościach poruszały się jakieś ogromne stworzenia. Gdzieś zawył myszołak. Nawet drzewa w Starym Lesie czuły nadchodzące zimno i kilka z nich zdecydowało, że wyruszą na południe tak szybko, jak się da. Grupa mrocznych jeźdźców bez przekonania wysłała zwiadowcę, powrzeszczała co nieco i zdecydowała o powrocie do wieży na gorące koktajle.

– Cóż, tak naprawdę – rzekł Alf po wypiciu kilku kubków herbaty i zjedzeniu kanapki ze szcurem – wszystko sprowadza się do tego.

Z tymi słowy wpakował dłoń do innej kieszeni i wyciągnął okrągły złocisty przedmiot.

– Nazywają je Dyskami Czarodziejów – objaśnił.

Cindramel i Hendrath jak zahipnotyzowani pochyłili się ku migoczącemu przedmiotowi. Hendrath nieświadomie wyciągnął ku niemu dłoń, ale Alf błyskawicznie zabrał dysk.

– Ostrożnie! – powiedział. – Starczy jeden odcisk palca i już nie będzie działać! Poza tym w niewłaściwych rękach wywoła tylko chaos i zniszczenie.

Przybrał zadumany wyraz twarzy i zaczął śpiewać:

*Jeden rok, by wszystko zacząć,
Jeden dysk, by to zatrzymać,
Zdebugować program,
By sprzętu nie zarzynać.*

* * *

Wrona kilkakrotnie obleciała pokój i znów przysunęła się do szcurzego ścierwa. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Dawno, dawno temu – opowiadał Alf – w dalekim kraju panowały złote czasy, kiedy to można było jeść rybę z frytkami. I oglądać piłkę nożną w sobotę. Kobiety sprzątały i prały, nie martwiąc się o smocze odchody czy wróżenie, a popołudniami, zamiast wymieniać się na szcurze steki na targu mięsny, wybierały się do sklepów i tam kupowały wszystko, co potrzebne im było do przyrządzenia pysznych posiłków. Były to czasy, kiedy mężczyzna był naprawdę mężczyzną i nie musiał zajmować się odpędzaniem potworów, ani też podlizywać się krasnoludom.

Hendrath i Cindramel patrzyli na niego zadziwieni. Nie rozumieli ani połowy z tego, co wygadywał, ale w sercu Hendratha coś drgnęło, zupełnie jakby gołnął sobie wina ze szcurzego ogona, ale nie poczuł smaku.

– Wtedy ludzie mieszkający w owej krainie zaczęli bawić się czasem – ciągnął Alf. – Nauczyli się go obliczać, mierzyć, mieszać i z powrotem układać, a czynili to na sposoby zupełnie nieznanne w naszym świecie, gdzie czas dzieli się na światło i ciemność, a jedyną jednostką pomiaru jest długość świecy. Sformułowali nawet

pewną teorię głoszącą, że sprawą największej wagi jest przetrwanie pewnego punktu w czasie i że należy stosować najrozmaitsze mroczne urządzenia, żeby uchronić społeczeństwo od upadku. Pojawiły się przepowiednie wojen i zniszczeń. Wiele mówiło się o Nowej Erze i o Przejściu. Pewien człowiek, który uznał sam siebie za Władcę Czasu, postanowił wykorzystać chaos i przejąć dzięki niemu władzę nad ludzkością. Tak więc sfabrykował dziesięć złotych dysków, za pomocą których w decydującym momencie miałyby zmienić świat. Uświadomił sobie bowiem to, o czym reszta całkiem zapomniała – że czas jest względny i tak na dobrą sprawę stanowi kolejny, czwarty wymiar. Zbudował maszynę, magiczną maszynę, która wykorzystywałaby dyski jako paliwo. Ukrył ją w Najciemniejszej Jaskini w samym sercu Najczarniejszych Gór. I podczas gdy wszyscy ludzie nadal interesowali się czasem jako czwartym wymiarem, świat z wolna ześlizgnął się do piątego, szóstego i siódmego wymiaru, a potem prosto w mrok.

Alf upił głęboki łyk herbaty, otarł usta rękawem szaty i nim Hendrath i Cindramel zdołali cokolwiek powiedzieć, pociągnął historię dalej:

– Zmiany zachodziły powoli i z początku trudno je było dostrzec, ale nic nie mogło ich powstrzymać. Niespodziewanie ryba i frytki stały się nieosiągalne, a podstawą diety stało się mięso szczura. Sklepy nieuchronnie znikwały jeden po drugim, a co najgorsze, mężczyźni zapomnieli zasad piłki nożnej. Świat przechodził w kolejne wymiary z coraz większą prędkością, a wtedy na Ziemi pojawiły się potwory i zgasł księżyc.

– Na Ziemi? – wyszeptał ochryple Hendrath. – A więc to wszystko wydarzyło się tu? To miejsce, o którym mówisz, to nasza Ziemia?

– Nie tak do końca – odparł poirytowany Alf. – Co, nie słuchałeś? Przecież mówiłem, że wszystko się działo w innym wymiarze. Najważniejsze jest to... – urwał, by podkreślić wagę swych słów – najważniejsze jest to, że dzięki owemu dyskowi, który zaginął całe wieki temu, a teraz znalazł się w moim posiadaniu, możemy powrócić do naszego wymiaru. To część programu. Pozostałe zaginęły lub zostały ukradzione, ale to dysk startowy, ten, który rządzi pozostałymi.

Nagle poderwał się, wyrzucił ramiona w powietrze, przez co kilka przedmiotów wypadło mu z kieszeni, i oznajmił:

– Oto jest cel mojego Zadania!

Cindramel wyglądała na nieprzekonaną. Hendrath zaś na oszołomionego.

– Wchodzisz w to? – zapytał Alf. – Czeka cię długa, ciężka droga, ale warto podjąć taki wysiłek.

– Brzmi świetnie – szepnął Hendrath. Nie miał pojęcia, czym są frytki i ryba, ale na pewno musiały być lepsze od szkurzego mięsa. Co do piłki nożnej, intuicja podpowiadała mu, że to coś magicznego. Był oczarowany do tego stopnia, że całkiem zapomniał o dolegliwościach stóp. – To kiedy zaczynamy?

– Drużyna już się zbiera przy dębie zwalonym uderzeniem pioruna. Kilku wieśniaków wydawało się zainteresowanych, zwerbowałem również ćworka wojownika, który odszedł na wczesną emeryturę, kilku tropicieli smoków, coś na kształt krasnoluda i pewnego tajemniczego gościa, który utrzymuje, że jego

przeznaczeniem jest zostać premierem Nowej Ery. Jeśli zgodzisz się wyruszyć z nami, zostaniesz Powiernikiem Dysku, będziesz go nosił w specjalnym opakowaniu ochronnym. Gdy dotrzesz do Najciemniejszej Jaskini w Najczarniejszych Górach, będziesz musiał wsunąć dysk w Najgłębszą Kieszeń.

– Nie wydaje się to szczególnie skomplikowane – rzekł Hendrath, który już czuł się, jakby mu odjęło dziesięć lat, ale Alf uparł się, by uświadomić mu pełną powagę sytuacji:

– Nie decyduj tak pochopnie. Te rzeczy mają być rzekomo niezniszczalne, ale tak naprawdę to trzeba się o nie troszczyć jak o niemowlęta.

W tymże właśnie momencie wrona przysiadła na ramieniu czarodzieja i zakrakała mu do ucha.

– Muszę lecieć – rzekł Alf. – Znosi się na kłopoty. Ktoś wykopał toster i właśnie planuje wepchnąć w niego nóż. Wkrótce znów wpadnę.

I znikł.

Hendrath nie marnował czasu. Odnalazł swe szczęśliwe skarpetki, zarzucił na ramię spakowaną mu przez Cindramel torbę, w której znajdowały się kanapki ze zgađnij–czym, cmoknął żonę w policzek na pożegnanie i już go nie było.

Za zakrętem zatrzymał się na moment i odwrócił, by spojrzeć na swój niewielki domek wtulony w zbocze wzgórza. Był obskurny, ale był jego domem. Przez długą chwilę Hendrath zastanawiał się, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy dom bądź żonę.

Cindramel siedziała z Dozorkiem przed dogasającym żarem i szlochała cicho. Nie minęło jednak wiele czasu, a wstała, wygładziła szatę, upięła włosy, posłała Dozorka, by przyniósł smycz, i wraz z nim wyruszyła przez Mgliste Wzgórza, by spotkać się z Sharaną, swoją starą przyjaciółką ze szkoły wróżbiarstwa. Znosiło się na długą wędrówkę, ale Cindramel miała wprawę.

* * *

Hen na skraju Najczarniejszych Gór od skał odbijały się iskry wyładowań elektrycznych, wysoko nad nimi grzmiał piorun, a myszy wyły. Pogoda była wprost przerażająca. Mroczni jeźdźcy odpuścili sobie po ostrzeżeniu ze strony czarodzieja specjalizującego się w ruchu powietrznym i znów udali się do domów.

Podróż zaiste okazała się długa i uciążliwa. Pokonywali przełęcze górskie tak wysokie, że wędrowców aż bolały zęby, i szli tunelami jak z koszmarów, gdzie w złowieszco cuchnących jamach kryły się najobrzydliwsze spośród gigantycznych szkodników ogrodowych. Prześladowali ich dzicy sprzedawcy kryształu i pozbawieni celu w życiu fani sportu. Jadali w przydrożnych knajpach, gdzie śmierć w konwulsjach czyhała na każdym talerzu.

Ataki smoków i potyczki z ćwórkami przetrzebiły niewielką drużynę. Niektórzy padli podczas walki, innych skusiła gościnność lokatorów drzew albo robota w krasnoludzkich firmach. Jeden z nich nie potrafił sprostać zagrożeniu, jakie przedstawiały gigantyczne szkodniki ogrodowe.

Pozostało ich tylko dwóch. Poturbowani i posiniaczeni, wlekli się po półce skalnej ku miejscu, które było ich punktem docelowym. Wiatr targał nimi

nieprzerwanie, po plecach płynęły strużki zimnego deszczu. Hendrath ugiął się pod ciężarem odpowiedzialności, a stopy bolały go jak jasna cholera.

– Alf mówił, że to właśnie do tej jaskini mamy dotrzeć – szepnął do towarzysza.
– Gdzieś w jej wnętrzu znajduje się pewna gigantyczna machina, a w niej wielka czarna kieszeń.

Wspomnienie Alfa, którego utracili wiele dni temu w kopalniach Wielkiej Forsy, sprawiła, że oczy wezbrały Hendrathowi łzami. Przełknął jednak wielką, włóchatą kulę w gardle i ruszył dalej.

Jaskinia była mroczna i głęboka. Przybysze dostrzegli niewyraźne błękitnawe światło, które, jak się zdawało, dochodziło z wielkiego kwadratowego panelu znajdującego się na tylnej ścianie. Pod panelem ciągnął się cienki czarny pasek.

– Idź więc – odezwał się towarzysz Hendratha. – Rób, co do ciebie należy. Ale zanim wsadzisz ten dysk do maszyny, dotknijmy go raz jeszcze, na szczęście, mój klejnotku.

Był doprawdy żalostną kreaturą, bladą i trapiącą wieloma chorobami z powodu nadmiernej ilości ćwiczeń na siłowni. Hendrath natknął się na niego, gdy ten włóczył się na pustkowiach. Nazywał się Gloom. Niejednokrotnie już błagał, by pokazać mu dysk, ale nigdy do tego nie doszło. Sam Hendrath, pomny ostrzeżeń Alfa, nigdy nawet nie otwierał pudełka, w którym umieszczono cenny przedmiot.

– Nigdy w życiu, mój drogi – rzekł. – Tylko gdzie ja go, na ścierwo ćworka, posiałem... O, jest.

Sięgnął na sam spód torby i wyciągnął z niej kwadratowe, płaskie opakowanie.

Gloom był znużony, ale spięty i gotowy na wszystko. Marzył o tej chwili od lat i nie mógł się już dłużej opanować. W jego oczach zalśniła chciwość – rzucił się na Hendratha, by wyrwać mu dysk.

Hendrath trzymał jednak zawzięcie i nie puszczał. Obaj zwalili się na ziemię i walcząc, przetoczyli aż na sam koniec jaskini. Zmagali się, gryząc i drapiąc, tłukąc pięściami i kopiąc, ale oślizgłe palce Glooma powoli, cal za cal, przybliżały się do dysku. Druga dłoń zacisnęła się na gardle Hendratha i usiłowała wydusić z niego życie. Ten był zmęczony i słaby – kanapki skończyły się już dawno, a ów obrzydliwy stwór był przyzwyczajony do głodu i niewygód, spędził przecież całe lata w tajnej podziemnej siłowni, gdzie rozciągał i torturował swe ciało. Nie było wątpliwości, że zwycięstwo pisane było jemu.

Hendrath aż jęknął z rozpaczy, gdy blade palce Glooma rozwarły opakowanie. Obaj wejrzeli do środka. Obaj westchnęli.

– O kurwa – powiedzieli jednocześnie.

* * *

Przy imbryku z herbatą i paterą ze szczerzymi mózdzkami z imbirem Cindramel opowiedziała starej przyjaciółce historię o Zadaniu.

– I co o tym sądzisz? – zapytała. – Trzeba przyznać, że wyszło z tej całej kabały trochę dobrego. Hendrath znów wziął się w garść, ale...

Sharana zmarszczyła długi nos.

– To typowo męski sposób myślenia. Za rogiem zawsze jest coś ciekawszego. Jeśli dojdzie do przejścia w inne wymiary, w naszej sytuacji, moja droga, nic się nie zmieni. Dalej czeka nas sprzątanie, gotowanie, chodzenie na rynek, wszystko po dawnemu, chociaż nie bez odrobiny ulgi, bo nie będziemy się już musiały zajmować wróżbiarstwem. Mężczyźni, rzecz jasna, nie widzą tego w ten sposób. To, co jest naprawdę ważne, dla nich nie ma znaczenia. Przykładowo ani do głów im nie przyjdzie, że jeśli zmienimy wymiary, nasze imiona staną się dziwaczne. Mogę się założyć, że ja skończę jako Sharon, a ciebie pewnie będą nazywać Cindy.

Aż się wzdrygnęła przy tych słowach.

– Tak właśnie mi się wydawało – rzekła Cindramel. – A ta cała sprawa z piłką nożną wydaje mi się nieco podejrzana. Nie potrzeba magicznego lustra, żeby dojrzeć tu problem.

– Wiem, co masz na myśli, moja droga – oznajmiła Sharana. – Ale cóż możesz na to poradzić?

Cindramel wsunęła dłoń do torebki ze szczurzej skóry i wyciągnęła przedmiot, który zalśnił w blasku ognia.

– Jak zwykle zrzucił pakowanie na moje barki. No i cóż, zapomniałam coś zapakować.

Sharana patrzyła na przedmiot przez dłuższą chwilę. Widziała całkiem nowy świat.

– Kochana, wrzuć to do ognia – powiedziała w końcu. – Na cholerę nam to wszystko.

Avram Davidson

(1913–93) był jednym z najbardziej specyficznych talentów w dziedzinie science fiction oraz fantasy. Najlepiej się czuł, pisząc opowiadania, i nawet jego dłuższe dzieła mają epizodyczny posmak. Wśród tych, które warto polecić, są Peregrine: Primus (1971) i jego kontynuacja Peregrine: Secundus (1981) oraz zbiór opowiadań o czarodzieju–detektywie The Enquiries of Doctor Esterhazy (1975). Jego najlepsze dzieła zostały zebrane w The Avram Davidson Treasury (1998). Wraz ze swą żoną, Granią Davis (ur. 1943), napisał Marco Polo and the Sleeping Beauty (1988).

Grania Davis

z kolei pisze fantastykę od roku 1971, a większość jej powieści sięga do starożytnych mitów i legend, przykładowo The Rainbow Annals (1980) oraz Moonbird (1986). Poniższe opowiadanie jest doskonałym przykładem wybitnego talentu małżonków.

Avram Davidson i Grania Davis WZGÓRZA ZA HOLLYWOOD HIGH

To, że za Hollywood wznoszą się wzgórza – chodzi, rzecz jasna, o tereny za Hollywood Boulevard oraz Hollywood High School – przypuszczalnie nie jest powszechnie znanym faktem. Często bowiem przesłania je smog, a turyści nie mają żadnego powodu, by ich szukać, nie mówiąc już nawet o zwiedzaniu. Nie zauważają ich również ci, którzy przemierzają dolinę dwukrotnie w ciągu dnia w drodze do pracy. Jak mówi powiedzenie, ryba nie widzi wody, w której pływa, a ptaki nie dostrzegają wiatrów, które je niosą.

Pod koniec lat trzydziestych, wedle magazynu „Life”, wszechwiedzącego obserwatora wszystkiego, co działo się pod słońcem, uczniowie Hollywood High School należeli do najpiękniejszych ludzi na świecie. Byli bowiem potomkami wszystkich tych pięknych mężczyzn i kobiet, którzy przybyli do Hollywood w latach dwudziestych w poszukiwaniu filmowej sławy i chociaż im się nie udało – bo nie było wątpliwości, że się nie udało – pozostali już w Hollywood, zajmując się Czymś Innym. Czymkolwiek.

Skąd ten wniosek? Albowiem gdyby odnieśli sukces, przenieśliby się do Beverly Hills lub Brentwood. Porażka zaś wykluczała plany powrotu do Cowpat w Kansas, Absalom w Alabamie czy Pretty Bird w Idaho. („No, coś, kurna, nie wyszło z tą karierą, co, Jeff? Co, Jean? He, he, he!”). A zatem zostawali, by smażyć hamburgery na Hollywood Boulevard, nalewać benzynę lub pakować produkty spożywcze w Vine, robić trwałe lub fale na włosach w Cahuenga, przycinać żywopłaty albo kosić

trawniki w Selma. Lub, jeśli dopisało im wyjątkowe szczęście, pracować w studiach po drugiej stronie kamery. Teraz Hollywood było ich ojczystym miastem, podobnie jak kiedyś Cowpat, Absalom czy Pretty Bird. Może nie dawało się tyle zarobić, co na starych śmieciach, ale na pewno było tu o wiele ciekawiej. Wszyscy ci piękni i urodziwi przegrani spotykali innych pięknych i urodziwych przegranych, łączyli się w pary, wstępowali w związki małżeńskie i doczekiwali się pięknych, urodziwych dzieci. I nigdy nie porzucali nadziei, że może ich dzieci zostaną Gwiazdami Kina. Staną się Kimś Wielkim.

– Co? Telewizja? A co to takiego?

Wydarzyło się to w połowie lat pięćdziesiątych. Ogromne czerwone tramwaje nadal toczyły się ulicą z pierwszeństwem przejazdu. Restauracja „Vibi” nadal reklamowała się hasłem: „Podajemy śniadania 24 godziny na dobę!”, lecz milczała na temat pytania, które starzy bywalcy zadawali sobie od niepamiętnych czasów: czy „Vibi” to Vilma Bankey, czy też nie? A jeśli nie, to kim jest? Bo starzy bywalcy wiedzieli, że Vibi jest gwiazdą filmową z dawnych czasów.

Co do tego, kim była owa drobna starsza pani w krótkiej czarnej aksamitnej tunice i wysoko zawiązanych sandałach, kończących się w połowie jej wychudłych łydek, nikt nie znał odpowiedzi. Nikt też nie wiedział, dlaczego nosiła laseczkę przypominającą srebrną różdżkę. Przywodziła na myśl wróżkę staruszkę w pierwotnym znaczeniu tego słowa. Stapała swobodnie w swym fantastycznym świecie, nie przyciągając niczyjej uwagi, ani też nikomu nie dokuczając.

Dorothy, Angela i Luanne chichotały na jej widok, ale dopiero wtedy, gdy przeszła dalej. Podobnie chichotały, mijając wielki, ciemny dom otoczony bujną roślinnością, w którym mieszkała dziewięćdziesięcioletnia wdowa po L. Franku Baumie, prawdziwym czarodzieju z Krainy Oz. W ich śmiechu mieszało się zakłopotanie z szacunkiem i podziwem, bo w tym oto domu L. Frank Baum snuł swe niezwykle – i niezwykle zyskowe – marzenia.

Czasami trzy dziewczyny przychodziły, by kupić coś na ząb w otwartym całą dobę sklepie Ranch Market w Vine, czasami przychodziły, by przyglądać się dziwakom, którzy z kolei przychodzili, by gapić się na innych dziwaków. Raz usłyszały następujący dialog między pewną mamuszką przy kości, wyglądającą, jak gdyby właśnie przeszła przez casting i zdobyła rolę Mamy Czajnik w kabarecie, i jej Mężem Farmerem (który również nie odbiegał od stereotypu):

– Na litość boską, mężu, co to takiego? – zapytała, unosząc kryty łuską zielony owoc z drzewa cherimoya.

– No, dla mnie wygląda jak jajo pancernika, zono! – odparł Mąż Farmer.

Za hotelem Hollywood, prawdopodobnie wzniesionym jeszcze w czasach hiszpańskich konkwistadorów, a blisko Chińskiego Teatru Graumana, zbudowanego w stylu orientalnej kaplicy (w betonie przed wejściem wielkie gwiazdy odciskały swe stopy i dłonie, by pobożni pielgrzymi mieli co czcić), działał Angelo, karłowaty sprzedawca gazet. Czasami dziewczęta widziały, jak przebiegał przez Hollywood Boulevard, by zabrać paczkę gazet, machając przy tym kawałkiem kartonu do kierowców, uświadamiając im w ten sposób, że nie jest liściem gnany przez wiatr.

Angelo również grywał w filmach.

Piskiem i machaniem dłoni powitały Roberta Cummingsa, który przejechał wraz z rodziną w kabrioletcie, a ten pomachał do nich z szerokim uśmiechem. Pisku z jego strony nie usłyszały.

Przynajmniej raz zbiły się w kupkę na widok Portera Halla, czarnego charakteru z wielu filmów, który jak gdyby nigdy nic szedł sobie chodnikiem. Bynajmniej nie wyglądał też na złego bohatera, wyglądał bardzo wytwornie i miał zaróżowione policzki. Uniósł też swój równie wytworny kapelusz i oznajmił:

– Witam, piękne panie!

Piękne panie!

Do aktorów jeszcze słynniejszych (cóż, o wiele słynniejszych) od Roberta Cummingsa czy Portera Halla Dorothy, Angela i Luanne nie miały aż tyle szczęścia. Nieczęsto widywały gwiazdy we własnej osobie. Zdarzało się, choć niezmiernie rzadko i zazwyczaj po długiej przerwie, że któraś z Największych Gwiazd sunęła majestatycznie ulicą, wyjątkowo się nie spiesząc. Manifestując swoją obecność, jasna sprawa. Tyrone. Lana. Lauren i Bogie. Bette. Ava. Joan. Clark.

W mieście, którym rządzi Firma, ludzie oczywiście mają nadzieję, że Firma da im pracę. W Hollywood nie ma jednak czegoś takiego jak jedna firma – jest natomiast Przemysł. A chociaż żadne z rodziców trójki dziewcząt nie zostało nawet gwiazdeczką pomniejszego formatu, Dorothy, Luanne i Angela nadal skrycie marzyły, że mimo wszystko każda z nich dołączy kiedyś do Tych Wielkich.

Przybysze spoza miasta, którzy kiedykolwiek zadali sobie trud zbadania okolicy przysadzistych palm o łuskowatych pniach i pseudohispańskich, krytych stiukiem domów w Hollywood Foothills, gdzie smog ściera się z wiatrem znad oceanu, mogliby zwrócić uwagę na trzy całkowicie zwykłe, normalne nastolatki, noszące kłaczaste, obszerne spódniczki z filcu oraz równie kłaczaste, tapirowane fryzury lub kolarki i fryzurę na pazia. Jedna z nich miała wielkie ciemne oczy oraz drobną, niepozorną figurę (Dorothy), druga, chuda i wysoka, była blondynką z piegowatą, pryszczatą buzią (Angela), a trzecia wyróżniała się śliczną cerą i niegorszym biustem, lecz miała krótkie, masywne nogi (Luanne).

Dziewczęta jednakże uważały, że daleko im do przeciętności. Były Córkami Hollywood. Do Świata Filmu miały prawo należne z tytułu urodzenia, a przeszkody w postaci niedoskonałego wyglądu uważały za tymczasowe. Takie problemy nietrudno było pokonać. Wciąż uczęszczały do Hollywood High School, tak, ale z trudem wytrzymywały nudną szkolną rutynę (zajęcia z angielskiego, dobre sobie! Zupełnie jak gdyby były cudzoziemkami!). Całą energię i entuzjazm przeznaczały na zajęcia z aktorstwa.

Gdy uczono o dietach, Luanne stosowała każdą. Gdy natrafiały na kremy do cery, Angela wcierała je wszystkie. Gdy mogły ćwiczyć, zabierały się do tego razem – Luanne zależało na biodrach i nogach, a Angeli i Dorothy na biustach.

I jak... Pomogło?

Cóż.

Luanne w końcu załapała się na jednorazową robotę jako modelka, ale pokazano

ją powyżej bioder.

Angela raz dostała rólkę w scenie filmu o zlocie młodzieżowym. (Polityka? W 1953? Na jabłko Adama, skądże znowu! Młodzieży w filmie chodziło o nowszy i większy stadion).

Drugi raz przed podobnymi szansami nie stanęły. Nie miały jednak powodów do narzekania, bo Dorothy nie dostała od losu nic.

(Westchnienie...).

Czara goryczy przelała się, gdy Dorothy ujrzała plakat w witrynie sklepowej: „Wciąż trwa nabór do udziału w Wielkim Przedstawieniu na Świeżym Powietrzu! Poszukujemy Stu Nastolatek! Dziewczęta, Dziewczęta, zapisujcie się!”. Weszła do środka z przekonaniem, że jeśli poszukują całej setki, na pewno...

– Nie – usłyszała.

– Ale dlaczego nie?

Kobieta za stołem zawalonym wnioskami zgłoszeniowymi wzruszyła ramionami.

– Ponieważ, kochanie, wiesz, kto chodzi na takie przedstawienia? Mężczyźni – ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby miała na myśli wszy łonowe. – Moja droga, przeciętny Amerykanin nigdy nie został odstawiony od cycka. Jeśli dziewczyna nie wyróżnia się biustem, jeśli nie ma tego, co się nazywa „pełną figurą” – choć można w tym momencie zapytać „pełną czego?” – cóż, pan Przeciętny może uznać, że nie otrzymał tego, za co zapłacił, debil jeden z drugim!

Niespodziewanie Dorothy uświadomiła sobie trzy rzeczy: po pierwsze, ta kobieta sama miała drobną figurę, po drugie, w jakiś sposób udało jej się pochwycić dłoń Dorothy, ramię Dorothy, a teraz ciągnęła, by pochwycić jeszcze więcej Dorothy, i po trzecie, dziewczyna zapragnęła wyjść, i to jak najszybciej.

I zrobiła to.

Może powinna była zostać? Nie, chyba nie.

Wybiegła ze sklepu, jakby się paliło, a potem ruszyła naprzód szybkim marszem. Po chwili przyspieszyła, a w końcu znowu biegła. Niedługo to trwało, potknęła się raz i drugi, zatrzymała i zaczęła szlochać. Nie wybuchła płaczem, po prostu szlochała.

I łkała.

W tymże momencie Dorothy dostrzegła odbicie swej smukłej, drobnej sylwetki w witrynie sklepowej. Nawet pomimo rozpaczliwej uświadomiła sobie, że gdyby życie było filmem, ktoś stanąłby za nią i zapytał:

– Dlaczego płaczesz?

I tak właśnie się stało.

– Dlaczego płaczesz?

To była doprawdy ekscytująca chwila, ale pomimo fali zachwytu, jaką przyniosła, obudziła też w dziewczynie czujność. Głos, który usłyszała, nie należał do zdrowego, przystojnego Amerykańskiego Chłopaka, który olśniewa bielą zębów za każdym razem, gdy się uśmiechnie. Nie, bezwzględnie krył się w tym głosie Obcy Akcent.

Dorothy uniosła spojrzenie. Czy mężczyzna, który do niej zagadnął, był wysoki, ciemnowłosy i przystojny? Szczerze powiedziawszy, niezbyt. Był dość niski, włosy

miał ciemnawe, jego cerę można by nazwać ziemistą, a oczy miał duże i lśniące. Nie, w jego wyglądzie nie było niczego, co mogłoby wystraszyć lub zniechęcić. Poza tym Dorothy już dawno nauczyła się, że nawet najprzystojniejsi, najsympatyczniejsi Amerykańscy Chłopcy myślą głównie o tym, by jakimś sposobem zawlec ją do starego, rozpadającego się, cuchnącego smarami nasha, chevy'ego czy studebakera, a potem spróbować ją przelecieć. Czujnie wzięła głębszy oddech. Nie, ten mężczyzna nie pachniał smarem samochodowym. Pachniał czymś innym. Czym? Czymś dziwnym, ale nie nieprzyjemnym.

– Dlaczego płaczesz? – powtórzył mężczyzna. Nie dało się odgadnąć jego wieku.

– Przez moją figurę – powiedziała Dorothy z żalem. – Jestem zbyt chuda i niepozorna.

W tej sytuacji ów dziwny nieznajomy powinien rzec: „Nonsens, z twoją figurą jest wszystko w porządku! Problem tkwi tylko w tym, jak to postrzegasz, bo przecież figurę masz wspaniałą”.

Ona z kolei, usłyszawszy taką wypowiedź, wiedziała, że czas się odwrócić i ruszyć w dalszą drogę. Zarówno mężczyźni, jak i chłopcy nieraz już ją okłamywali i z jakimi rezultatami? Doprawdy nie ma o czym mówić.

Tymczasem ów dziwny mężczyzna powiedział:

– Hmm, tak, nie ma co do tego dwóch zdań. Zdecydowanie jesteś zbyt szczupła i niepozorna. Powinnaś coś z tym zrobić.

A pewnie.

– Muszę odwiedzić lekarza – zaszlochała Dorothy.

– Ja jestem lekarzem – powiedział nieznajomy. W dłoni trzymał niewielką, lśniącą od wilgoci buteleczkę wypełnioną brązowym płynem. Przełożył ją do drugiej ręki, by wyciągnąć portfel, a z niego wizytówkę. Podał ją dziewczynie.

„Songhabhongbhong Van Leeuwenhoek”, odczytała. „Dr Filosof. Batavia”.

Słowo „Batavia” zostało przekreślone cienkopiszącym wiecznym piórem, a nad nim napisano słowo „Dżakarta”, które z kolei zostało wydrapane grubiej piszącym wiecznym piórem, a pod nim pojawiło się słowo „Hollywood”. Wypisane ołówkiem.

* * *

– Przyjechałem tu, żeby kupić butelkę tego toniku selerowego w delikatesach. Pewnie nieraz o nim słyszałaś, to amerykański napój. Chciałbym, żeby znalazł się w moim Reistafel. Wy byście nazwali to „Ryżowym Stołem”. To mieszana potrawa, podobnie jak ja sam. Połowa Holender, połowa Indonezyjczyk. Podoba ci się?

Dorothy nie miała pojęcia, co ma się jej podobać, a co nie. Miała przeczucie, że ów doktor z dziwnym nazwiskiem sam też jest dziwny. Nawet bardzo dziwny. Nadal istniała jednak nadzieja, że będzie w stanie jej pomóc. Owo niespodziewane spotkanie dało dziewczynie odrobinę nadziei tam, gdzie wszystkie inne rzeczy zawiodły.

– Ma pan gabinet gdzieś w pobliżu? – zapytała.

Bez wątpienia gabinet ów nie przypominał żadnego innego gabinetu, jaki Dorothy w życiu widziała. Był pełen rozmaitych zabawnych przedmiotów, jak

czaszki, wypchane zwierzęta, jakieś reliefy, różne substancje w butelkach. Nigdy też się nie zdarzyło, by lekarz uraczył swoją pacjentkę ostro przyprawionym posiłkiem. Podobało jej się? A może nie? No, ale teraz już rozumiała kontekst.

– A więc... Jaki rodzaj medycyny ma pana zdaniem mi pomóc?

Doktor, który od jakiegoś czasu wpatrywał się w nią intensywnie, wydawał się zaskoczony pytaniem:

– Co? Aha, medycyna. Z pewnością całkowitą. Medycyna. Hmmm!

Wstał i otworzył kilka szuflad, aż wreszcie znalazł zabawnie wyglądającą buteleczkę z równie zabawnym proszkiem w środku.

– Na mojej ojczystej wyspie Sumatrze – wyjaśnił – bardzo interesowałem się historią naturalną, botaniką, zoologią i farmakologią, a także polowaniem i łowieniem ryb. A zatem oto. Ale. Szczegóły.

Dorothy przyjrzała się proszkowi.

– Jak to się zażywa, doktorze? Łyzeczkami czy w kapsułkach?

Znów przyjrzał się Dorothy swymi dziwnymi, lśniąco-ciemnymi oczami.

– Zażywać... Och, ale przecież muszę najpierw cię zbadać! – rzekł.

Cóż, to, co robił z Dorothy przed badaniem, w jego trakcie i po nim, nie było gorsze od tego, co robili przed nim inni, a nie wszyscy byli lekarzami, choć dziewczyna musiała przyznać, że ten dość śmiało i swobodnie przesunął dłoń. Jego badanie było... Cóż, interesujące. Kanapa również była wygodniejsza niż tylne siedzenie starego gruchota, a przyprawy i kadzidełka pachniały o wiele lepiej od smarów.

– Gnumph – powiedział, pomagając Dorothy założyć ubrania. – Wygląda na to, że jesteś w świetnej formie fizycznej, nie licząc chudej, niepozornej figury, oczywiście. Ta substancja medyczna oddziałuje na gruczoły, a przygotowałem ją z... Szczegóły ci się nie spodobają. Rozcieńczę ją wodą – dodał, podchodząc do zlewu. Odkręcił kurek, ale usłyszeli tylko głuchy zgrzyt, a potem pociekła rdzawa strużka.

– Aha, byłem zapomniałem. Naprawy. Powiedzieli mi byli. Póki co nie ma wody. Więc. Dolejemy czegoś innego. Innego napoju. Nie alkoholowego. Co? Ho!

Z tymi słowy wydobył niewielką butelkę toniku z selera, nadal w połowie pełną. Zdjął dziwaczny korek z wręczonej dziewczynie butelki, zalał proszek gazowanym tonikiem, zakręcił, wstrząsnął kilkakrotnie i podał Dorothy.

Cóż! Mikstura z pewnością była tańsza od produktów z apteki i lepsza od zastrzyku! Dorothy zamknęła oczy i przełknęła. Jak smakowało? Dało się wyczuć seler i z pewnością płyn nie był gorszy, niż dziewczyna się spodziewała. To o wiele łatwiejsze od ćwiczeń.

– Ile jestem panu winna? – zapytała.

– Winna? – Znów obrzucił ją tym dziwnym spojrzeniem – Och. Najlepszą zapłatą będzie przyjemność, jaką sprawisz mi, słuchając muzyki z moich rodzinnych stron. Oto gramofon. Puszczę trochę gamelanu.

Po chwili słuchania owej niecodziennej muzyki doktor zapytał, jak dziewczyna się czuje. Odparła, że czuje się dość zabawnie, a on na to, że zbada ją jeszcze raz. Dorothy powiedziała, że najpierw musi udać się do toalety. Tam ściągnęła buty i

trzymając je w ręku, bezszelestnie opuściła gabinet Songhabhongbonga Van Leeuwenhoek, Dr Filosof., i poszła do domu.

* * *

Po nocy przepelnionej osobliwymi, niespokojnymi majakami, w których unosiła się w jakimś zielonym miejscu pełnym traw, drzew i dość dziwacznych ludzi, Dorothy obudziła się z mdłościami i bólem głowy. Czyżby to... Nie, do miesiączki trochę jeszcze brakowało, a poza tym inaczej się wówczas czuła. Znow zapadła w sen, tym razem ciemny sen bez marzeń i majaków, po czym znowu się obudziła. Poruszyła się w łóżku, a wtedy dotarło do niej, że czuje się cięższa niż zwykle. To owo lekarstwo! Czyżby już zaczęło działać? Popędziła do łazienki i wskoczyła na wagę. Zerknęła między nogi i uświadomiła sobie dwie rzeczy jednocześnie. Po pierwsze, bez wątpienia przybrała na wadze. Po drugie, jej stopy pokrywało ciemne futro.

– O Boże – szepnęła, ściągnęła koszulę nocną i obróciła się do lustra.

Tu nie chodziło tylko o stopy.

Cała porosła futrem.

Z tego, co Dorothy widziała, a nawet w lustrze nie mogła obejrzeć siebie w całości, zamieniła się w goryla.

Cóż, zawsze mogło być gorzej, bo przecież mogła zamienić się w gigantycznego karalucha. Była to jednakże jedyna okoliczność łagodząca, która przychodziła jej do głowy.

* * *

Walenie w drzwi ciągnęło się już długo. Oczywiście nie mogła dopuścić do tego, by ktokolwiek ją ujrzał. Cóż za szczęście, że ojciec Dorothy akurat teraz podłapał jedną z tych nieregularnie wpadających fuch, dzięki którym mógł utrzymać dom. Przebywał właśnie daleko, w bliżej nieznanym miejscu, i brał udział w budowie dekoracji. Nie było innego wyjścia, jak porozmawiać z przybyszem przez zamknięte drzwi. Tymczasem to ktoś przemówił w ten sposób do niej!

– Hej, wiem, że tam jesteś, Hairy! – wykrzyknął ów ktoś.

Hairy? Kudłata? Zaraz, czyżby skądś wiedział? Ale jak? Ale kto?

Wyjrzała ostrożnie zza firanek w oknie sypialni, uważając, by ich nie poruszyć, ale na próżno! Nieznajomy w tym samym momencie zaczął stukać w szybę! Przerazona Dorothy odskoczyła i czmychnęła, ale w tejże samej chwili zdała sobie sprawę, kogo właściwie ujrzała. Ten człowiek nie wołał „Hairy”! Wołał „Harry”! Wołał jej ojca!

Matka Dorothy zniknęła z życia córki i męża już wiele lat temu, woniejąc whisky i perfumami, ale pozostawiła im nieco długów. Właściwie to mnóstwo długów. Tato zaciągnął parę pożyczek, by je spłacić, a potem musiał zaciągnąć kolejne, by spłacić to, co sam pożyczył.

Sprawa z pożyczkami rozrastała się coraz bardziej, aż w końcu wpadła w szpony

Wielkiej Agencji Windykacyjnej w Los Angeles. W rzeczy samej, gdy Dorothy cichutko wślizgnęła się do pokoju, stąpając na czubkach palców, ujrzała jedną z dobrze sobie znanych kart wsuwanych w szczelinę pod drzwiami. Łup! Łup! Łup!

– Wiem, że tam jesteś, Harry! Otwieraj i wpuść mnie do środka, musimy pogadać! Nie możemy już dłużej czekać, Harry!

Na karcie wydrukowano imię Hubbarda E. Glutta, Przedstawiciela Rejonowego. Dorothy dobrze poznała pana Glutta. Nosił koszulę, która niegdyś była biała, i garnitur, który w dawnych czasach był szary. Zarówno koszula, jak i garnitur nosiły ślady po keczupie, których nie dałoby się już wywabić żadnym środkiem. Co więcej, Glutt miał niezwykle bujne owłosienie w nozdrzach, a jego oddech cuchnął. Nawet przy ogromnej dozie dobrej woli nie można było go nazwać atrakcyjnym mężczyzną.

– Proszę odejść! Niech pan sobie pójdzie! – powiedziała Dorothy przez zamknięte drzwi. Dziękowała losowi, że przynajmniej jej głos wciąż pozostał taki sam. Była to jedyna rzecz, za którą mogła być wdzięczna. – Mojego taty nie ma...

– Nie obchodzi mnie, czy jest, czy go nie ma! – zawył Glutt. – Zapłacisz coś czy nie?

– Ale ja nie mam pieniędzy!

Glutt wydał odgłos pomiędzy parsknięciem a prychnięciem.

– Znów ta sama śpiewka. Mojego taty nie ma, a ja nie mam pieniędzy. Co, dalej go nie ma? Dobra, to mam pewną sugestię – teraz mówił ciszej, a jego głos stał się jeszcze paskudniejszy. – Wpuść mnie, mała, a ja ci powiem, jak możemy uciąć jakieś dwadzieścia dolców z rachunczku, he, he, he...

Dorothy nie mogła już tego znieść. Gwałtownie pchnęła drzwi i wciągnęła Glutta do środka. Zatopiła kły w jego gardle, nim zdążył wrzasnąć.

Jak w malignie wciągnęła bezwładne ciało do kącika, w którym jadła z ojcem śniadania, i rozpoczęła ucztę.

Czas płynął.

Mgła odpłynęła. O Boże, cóż ona zrobiła? Ano, najpierw zabiła, a potem częściowo zjadła człowieka, to właśnie zrobiła. Ale jak? Przecież goryle nie jedzą ludzi, goryle jedzą banany... No nie?

A zatem nie była nawet gorylem. Była potworem. Może wilkołakiem? Goryłolakiem? Wstrząśnięta, trzęsąca się ze strachu Dorothy stanęła przed swoim odbiciem w wielkim lustrze wiszącym w korytarzu... I pisnęła z przerażenia. Pokrywające ją włosy stały się ciemniejsze, twarz brutalniejsza, paznokcie przemieniły się w szpony, choć tu i ówdzie przebijały jeszcze odpryski lakieru do paznokci Pearly Peach. Dziewczyna wrzeszczała ze strachu, a gdy jej krzyk w końcu ucichł, dostrzegła, że jej paszcza jest pełna żółtych kłów. Zaczęła szlochać.

Jak to możliwe, że przytrafiło jej się coś podobnego? Takie pytanie co prawda najczęściej zadają sobie dziewczyny, które ku swemu zaskoczeniu i przerażeniu odkrywają, że są w ciąży. Jasne, tak jakby nie wiedziały, skąd ciąża się bierze. Tymczasem to, co przytrafiło się Dorothy, było o wiele gorsze od ciąży, milion razy gorsze. Poza tym wszyscy wiedzą, co wywołuje ciążę. Co do przypadku Dorothy, nie miała bladego pojęcia, co jest jej przyczyną.

Wtedy olśniła ją niespodziewana myśl, rozbrzmiewająca echem niczym uderzenie pioruna, oślepiająco jasna niczym błyskawica. To... to dziwne lekarstwo, ten ekstrakt gruczołowy, który wypła wczoraj. Zażyła je po to, by zyskać pełniejszą figurę. Och, i dopięła swego, bez dwóch zdań! Ale za jaką cenę! Nie pozostawało nic innego, jak tylko zadzwonić po doktora i ściągnąć go tutaj, by jakoś odkręcił to, co wywołał. Tylko... tylko że... Czy doktor umawia się na wizyty domowe? Cóż, to właśnie należało sprawdzić.

Tylko że, niestety, nie było takiej możliwości. Dorothy dokładnie sprawdziła wszystkie książki telefoniczne Los Angeles i okazało się, że w żadnej z nich nie figuruje człowiek zwany Van Leeuwenhoek, bez względu na pisownię. Dziewczyna nie przypominała sobie też, by w jego niewielkim biurze znajdował się telefon. Bała się opuścić dom pod obecną postacią, przynajmniej w świetle dziennym. A w nocy? Może. Jeśli ktokolwiek dowie się, co zrobiła Gluttowi, Dorothy trafi do więzienia. A może zostanie zabita? Może zamknięta w wariatkowie? Musiała ukryć ciało, musiała uciekać i schować się w lasach Griffith Park, wysoko na Hollywood Hills, gdzie będzie się włóczyć bez celu i zabijać jak dzika bestia, aż zostanie w końcu odkryta i zabita srebrną kulą.

Myśl ta sprawiła, że dziewczyna znów jęknęła, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Szlochając, Dorothy starła mopem krew z utrzymanych w hiszpańskim stylu płytek w korytarzu, a potem skrupulatnie ułożyła szczątki windykatorka w wielkim plastikowym worku, który umieściła w lodówce. Zamierzała dojeść go później. Co za szczęście, że ojca nie będzie w domu przez kolejny tydzień! Przez ten czas musiała zdecydować, co począć. Cóż, przynajmniej miała wystarczająco dużo jedzenia.

Tymczasem w przerwach między kolejnymi atakami szlochu, słuchaniem Jacka Benny'ego, The Whistlers i Stelli Dallas w radiu oraz oglądaniem Wujka Milтона Berle'a oraz Kukli, Fran i Olliego brykających w nowym, wspaniałym telewizorze Dorothy znów poczuła głód. Uświadomiła sobie jednak, że nie ma w ogóle ochoty na resztki pana Hubbarda E. Glutta. Najwidoczniej pożarła go jedynie w ataku furii. W ponurym nastroju Dorothy zjadła porcję lasagne.

* * *

I tak upłynęła reszta tygodnia w pewnym utrzymanym w pseudohiszpańskim stylu domu w Hollywood Foothills. Angela, Luanne i kilkoro innych przyjaciół pukali do drzwi, dwukrotnie dobijali się akwizytorzy grup religijnych, roszcących sobie pretensje do poznania Prawdy, Dorothy odebrała również kilka telefonów. Wszystkim mówiła, że zapadła na niebezpieczną, bardzo zaraźliwą grypę. Tę samą wymówkę przedstawiła roznosicielowi gazet, konsultantce Avonu oraz mocno zmieszanej babce z organizacji Welcome Wagon.

Nadszedł w końcu weekend, a jedynym pomysłem Dorothy nadal była ucieczka do lasu. Zaczynała z wolna popadać w szaleństwo. A potem, pewnego pięknego poranka, okazało się, że jej kudły znikły, a zęby i paznokcie powróciły do normalnych rozmiarów. W pośpiechu zabrała się do malowania ich lakierem Pearly

Peach Polish.

Zaraz, a czy aby nie miała czegoś jeszcze do zrobienia? Przypomniała sobie dopiero na sam koniec weekendu. Przygryzła język ze złości na siebie i swe zapominalstwo, nałożyła ubranie na nieprzyjemnie drobne i niepozorne, ale za to ludzkie ciało, wyciągnęła dobrze zmrożone szczątki pana Hubbarda E. Glutta w plastikowym worku i wyrzuciła je późno w nocy do miejskiego śmietnika.

* * *

Tato Harry wrócił zgodnie z planem, spalony słońcem i wyczerpany, i z progu zażądał piwa oraz smażonego kurczaka. Potem zwałił się do łóżka, a Dorothy, znów mając na sobie wypchany stanik, ciasny sweterek, bufiastą sukienkę i buty na bardzo wysokich obcasach, poszła do szkoły. Czowała ulgę, ale jednocześnie dręczył ją niepokój. Odwiedziła miejsce, gdzie urzędował Doktor z Zabawnym Nazwiskiem, ale ujrzała jedynie puste okna i napis: *Do wynajęcia*. Czy owa straszna przypadłość mogła kiedyś powrócić? Och, dziewczyna miała nadzieję, że nie. Już lepiej pozostać chudą i niepozorną przez resztę życia. Pies trącał przemysł filmowy!

Luanne i Angela ucieszyły się na jej widok. Pograżyły się w wymianie plotek o tym, co wydarzyło się w Hollywood High podczas jej nieobecności, raz na jakiś czas przerywanej głośnym piskiem Dorothy. Jej zachwyty nie zawsze był szczery, bo umysł dziewczyny pochłaniały inne myśli. Czy to kiedyś wróci?

Pewnego wieczoru, jakiś miesiąc później, Dorothy niezbyt dobrze się czuła, ale mimo to wybrała się na spacer. Jej złe samopoczucie pogorszyło się i przyszło jej do głowy, by skoczyć do damskiej toalety, lecz przybytek w parku był już zamknięty. Nie miała wyboru, musiała schować się za krzakami. Gdy unosiła sukienkę, jej dłonie dotknęły kudłatego futerka. Jęknęła z przerażenia i udręki, a potem zemdląła.

* * *

Na szczęście taty znowu nie było. Tym razem, jak co miesiąc, wybrał się na cały tydzień do dziewczyny, która mieszkała w niemodnej, mało interesującej części Malibu, czym jak zwykle skłonił matkę owej dziewczyny do złożenia comiesięcznej wizyty jej drugiej córce w Chula Vista.

Dorothy nie była już w stanie wcisnąć się w swoje ciuchy, więc zwinęła je w tobolek i wrzuciła do mijanego pojemnika na śmieci. Jak teraz dostać się do domu? Wyglądało na to, że jedyną metodą pozostaje bezszelestne przekradanie się z miejsca w miejsce, ale gdy zaczęła wybierać co ciemniejsze uliczki, okazało się, że nie przybliżyła się do domu, ale oddala. O nie! Czyżby właśnie ogarniał ją głód? Z rozpaczą zwalczała w sobie żądzę natychmiastowego napchania sobie żołądka, ale ten burczał coraz groźniej, coraz bardziej złowieszczo. Cóż, dobrze zdawała sobie sprawę, jak rozrzutna była przeciętna amerykańska rodzina. Dorothy uniosła więc pokrywę pojemnika na śmieci przy jednym z domów z zamiarem wgryzienia się w zawartość kubłów na odpadki.

Ledwie uniosła pokrywę i nachyliła się, by sprawdzić, co znajdowało się w

środku, gdy z cienia wyłoniła się nagle postać dobrze odżywionego mężczyzny w średnim wieku, z niewielkim wąsikiem. Trzymał wielką torbę z brązowego papieru, w której zapewne znajdowały się śmieci do wyrzucenia. Jego zaskoczenie było ogromne, podobnie jak Dorothy. Dziewczyna pisnęła i z trzaskiem upuściła pokrywę.

– *Gewalt!* – wrzasnął mężczyzna i upuścił papierową torbę, ale natychmiast ją podniósł.

Dorothy uciekłaby, ale za nią wznosił się wysoki płot. Teoretycznie mogła zaatakować i przerobić nieznanego na miazgę, ale w przeciwieństwie do pana Glutta ten człowiek nie wydawał się szczególnym zagrożeniem. Był skrajnie zaskoczony, a mimo to Dorothy odniosła wrażenie, że mężczyzna ma dość miłą twarz.

– Przez chwilę myślałem, że naprawdę jesteś gorylem – powiedział. – Lepszego kostiumu w życiu nie widziałem. Co, zażenowana? Daj spokój, skoro grzebiesz po koszach na śmieci, to pewnie nie masz co jeść?

Pokręcił głową i westchnął ciężko, ale nie bez współczucia.

– To nie kostium! – wykrzyknęła Dorothy.

Tym razem nieznanomy pokręcił głową ze sceptycyzmem.

– Posłuchaj – rzekł. – To, że Los Angeles ma rąbnięte środowisko naturalne, nie jest dla mnie tajemnicą. Mamy tu oposy, kojoty, pytony, którym udało się zwiać i inne dziwne zwierzęta, które ludzie trzymają, bo od innych ludzi nie mogą liczyć na sympatię. W porządku. Ale goryle? Nie. Co więcej, goryle nie mówią. Goryle cmokają, zdarza im się warknąć głucho, zdarza im się wrzasnąć piskliwie. Przed chwilą sama pisnęłaś. Zrób to raz jeszcze.

Dorothy wiedziała, że ów człowiek nie jest ani wrogo nastawiony, ani też przerażony. Zrozumiała też, że cokolwiek zrobi, spotka się to z aprobatą, tak więc spełniła jego życzenie.

– Nieźle. Nie najgorzej. Doprawdy. Może. Być. Podoba mi się. Podoba mi się. Słuchaj, mam taki pomysł. Wejdz do domu, wrzucimy coś na ruszt. Szykuję gołąbki ze sklepu, masz ochotę? Właśnie podgrzewam w kuchence. Miffanwy uciekła ode mnie, nie mam za grosz szczęścia do kobiet, ale nadziei jak dotąd nie porzuciłem. Kiedyś znajdę odpowiednią partnerkę. Nadzieja nigdy nie gaśnie w ludzkim sercu.

Z tymi słowy łagodnie popchnął Dorothy w kierunku domu.

– Sandra wierciła mi dziurę w brzuchu dzień i noc, Shelley robiła awantury, aż para z uszu szła, no i zszedłem się z Miffanwy. No, coś sobie przekazaliśmy, pogadamy trochę o interesach, bez żadnych zobowiązań. To, co ci podam, będzie na pewno lepsze od tego, co znajdziesz w śmietniku, choć mistrzem gotowania nie jestem... Słuchaj, wiesz co to siksy? Ano młode nie-Żydówki. Chciałabyś się czegoś o nich dowiedzieć? Ano nie wiercą dziury w brzuchu, nie robią awantur, nie psioczą w miejscach publicznych, aż człowiek pali się ze wstydu, nie, skądże. One tylko oszukują. Patrz, gdzie idziesz.

Dorothy widywała już lepiej urządzone kuchnie, widywała też gorsze. Wystrój wnętrza nie był jednak dla niej najważniejszy, najbardziej liczył się teraz kontakt z

innym przyjaznym człowiekiem. Oraz jedzenie. Gospodarz, który przedstawił się jako Alf, napełnił talerz Dorothy gołąbkami i wpychał w nią mandarynki, zapytał, czy woli mleko, czy napój waniliowy, wskazał miskę pokrojonych surowych warzyw, nadmieniając, że to najlepszy sposób na zapobieganie skorbutowi, a na końcu zaproponował szeroki wybór chleba: z ziarnami, pumpernikla i białego.

– Tam, gdzie nie ma jedzenia, nie ma religii. Tam, gdzie nie ma religii, nie ma jedzenia. Tak mawiał mój teść. To ale był złodziej. Zajadaj, moja kudłata przyjaciółko. Jedz, jedz.

Minęło trochę czasu. Oboje jedli aż się uszy trzęsły i, co tu dużo mówić, głośno. Alf bekał z wdziękiem.

– Jeszcze trochę, a przegapiłbym wiadomości na wideo! – wykrzyknął nagle. – W końcu się przełamałem i kupiłem. Niejeden wielki film to urządzenie wykopie z interesu, jak mówią, ale mnie nie wykopie. Wybacz, że siedzę do ciebie tyłem – rzucił, obracając się ku niewielkiemu ekranowi.

Dorothy nie miała nic przeciwko temu. Nie dość, że wieczór ułożył się nadszpiewanie dobrze, to jeszcze miała okazję pooglądać to, co wielu ludzi nadal nazywało wideo. Miało bowiem upłynąć jeszcze wiele czasu, nim wynalazek ten stał się w domach równie powszechny jak popielniczka.

Zarówno czarno-biały ekran, jak i dźwięk należało wyregulować i Alf manipulował przez chwilę anteną w kształcie króliczego ucha, aż w końcu dało się usłyszeć głos:

– ...a w międzyczasie trwają poszukiwania tak zwanego Potwora z Hollywood Hills.

– Ja im dam Potwora z Hollywood Hills! – warknął Alf. – Co oni wyrabiają z wartością gruntów, co? Komuniści! Hochsztaplerzy! No, zamknij się, Alf – upomniał sam siebie.

Na ekranie dwóch mężczyzn siedziało w sąsiedztwie znanego prezentera wiadomości. Za nimi widać było zdjęcia w ogromnym powiększeniu oraz gipsowe odlewy.

– Cóż, a oto doktor William Wumple z Wydziału Badań nad Naczelnyimi Uniwersytetu Południowego Los Angeles oraz komisarz Oscar Opdegroof z Krajowego Policyjnego Biura Zoologii Sądowej. Czy zechcą panowie podzielić się swoim zdaniem na temat owego stworzenia?

– Te fotografie oraz gipsowe odlewy wskazują na osobnika z coraz rzadszego gatunku sumatrzeńskiego goryla górskiego...

– Przyznaję, profesorze – przerwał mu Superintendent Opdegroof – że bez wątplenia istnieje pewne podobieństwo. Niemniej ów coraz rzadszy sumatrzeński goryl górski, mieszkający na wyspie Sumatra należącej do Indonezji, w swoim środowisku naturalnym jest wegetarianinem. Nie ma dowodu, jak sam pan doskonale wie, by jakikolwiek przedstawiciel gatunku coraz rzadszego sumatrzeńskiego goryla górskiego, zamieszkującego Indie Wschodnie lub Sumatrę, kiedykolwiek zabił i częściowo pożarł przedstawiciela firmy pożyczkowej, po czym ukrył jego kości w plastikowym worku. Na dietę owego nieszkodliwego zwierzęcia

składa się dziki seler, który w wielkiej obfitości porasta zbocza każdej góry archipelagu sumatrzeńskiego.

– Istnieją przykłady na zaburzenia apetytu w każdym gatunku – rzekł na to profesor Wumple. – Pozwoli pan, że odświeżę jego pamięć w kwestii słoniowatych, które również są roślinożerne, a tymczasem znany jest klasyczny przykład słonia o imieniu Bubi z zoo w Zurychu, który stratował na śmierć i następnie zjadł młodą kobietę Annę O. Ofiara nieostrożnie karmiła zwierzę niedojedzonym kummelbrotom, wziętym ze stołu jej pracodawcy o nazwisku Schultz, handlarza obudów do tanich zegarków.

Prezenter wiadomości otworzył szeroko usta, ale jego postać naraz skurczyła się i znikła, po tym jak Alfę wyłączył odbiornik.

– Dobra, to przejdźmy do interesów. Zaraz, jak ty właściwie miałaś na imię? Niechętnie odzieram cię z anonimowości, której chcesz się trzymać, ale wolałbym je znać. Dorothy, tak? Dziewczyna w kostiumie goryla, tego to jeszcze w kinach nie grali – powiedział ze zdumieniem, ale szybko podjął: – Moja matka, niech spoczywa w spokoju, powiedziała mi, że za jej młodych lat wystarczyło tylko, żeby kobieta zapaliła papierosa na ulicy wśród ludzi, a już mogła pakować rzeczy i wyjeżdżać do Atlantic City z wędrownym komiwojażerem. Ale my na szczęście żyjemy w bardziej oświeconych czasach. Dobra, to wrzaśnij.

– Mam wrzasnąć? – zapytała Dorothy, którą z wolna zaczęła ogarniać senność.

Alfa skinął głową.

– Tak, wrzaśnij. Użyj wyobraźni! Powiedzmy, że idziesz przez swoją ojczystą dżunglę i nagle, dajmy na to, widzisz piękną młodą kobietę skuloną pod drzewem i śpiącą twardym snem, ponieważ gdzieś zgubiła swoich towarzyszy. Nigdy kogoś takiego nie widziałaś! Tak więc z natury rzeczy wydajesz wrzask zaskoczenia. No, dalej.

Dorothy, nie zastanawiając się zbyt długo, dlaczego to robi, wydała z siebie wrzask. Miała nadzieję, że tak brzmi zaskoczenie.

– Pięknie – rzekł Alfa.

Dorothy obrzuciła go spojrzeniem pełnym powątpiewania.

– To naprawdę było piękne! – zapewnił ją. – Przysięgam! Na grób mojej drugiej teściowej, oby się rychło w nim znalazła. Hipokryzja jest obca mojej naturze, a chociaż nigdy nie ukończyłem żadnego ogólniaka, to zostałem wychowany pośród kipiących życiem magistral, które nazywam dżunglą, dżunglą ulic wielkiego miasta. Nie mam jednak zamiaru cię nudzić, Dotty. Znów użyj wyobraźni. Wraz z ową młodą kobietą idziecie ścieżką wiodącą przez dżunglę w poszukiwaniu tajemniczej Zaginionej Świątyni Złota. Jej chłopak, szef ekspedycji, dostał właśnie w głowę spadającym kokosem i pada na ziemię. W tym samym momencie uświadamiasz sobie – jako jedyna! – że przez krzaki podkradają się wrogo nastawieni tubylcy, gotowi do ataku. Chciałbym teraz posłuchać, jak przekażesz tę informację twojej nowo poznanej ludzkiej przyjaciółce serią inteligentnych wrzasków.

Dorothy znów dała z siebie wszystko. Zaangażowała się tak dalece, że zaczęła uzupełniać występ gestami. Alfa nie posiadał się z radości.

– Nagramy to, nagramy! – wykrzyknął.

Dorothy była podekscytowana do tego stopnia, iż nagle odkryła, że podskakuje i drapie się po skórze.

Alfy, który dotąd przyglądał jej się z życzliwością, nagle się zatroskał.

– Pocisz się nawet przez ten swój kostium – rzekł. – Przyniosę ci coś zimnego do picia.

Polewając wodą staromodną metalową tacę do robienia kostek lodu, odwrócił się i spytał:

– Dlaczego nie zdejmiesz kostiumu, Dotty? Nie będzie ci wygodniej?

Już otworzyła usta, by odpowiedzieć, że nie ma na sobie kostiumu, gdy nagle dostrzegła nieznaną kobietę, która wpadła do słabo oświetlonej jadalni znajdującej się przy kuchni.

– Ja ci zaraz dam „zdejmij kostium”! – wrzasnęła w biegu. – Ja ci dam Dotty, dam ci Shelley, dam ci Miffanwy!

– Sandra, jeśli znowu zaczniesz mi wiercić dziurę...

Dorothy zareagowała na Sandrę równie instynktownie jak na Hubbarda E. Glutta. Zerwała się na równe nogi, wyciągnęła ramiona, rozcapierzyła pazurzaste łapy i obnażyła kły, jednocześnie wrzeszcząc z czystą, niczym nieskażoną furią.

Sandra zaś ani na moment nie dała po sobie poznać, iż jej zdaniem ma naprzeciwko siebie kogoś w kostiumie goryla. Odwróciła się i rzuciła do ucieczki, wrzeszcząc przeraźliwie.

Dorothy puściła się za nią w pogoń po ulicy, to biegnąc na tylnych nogach, to gnając na wszystkich czterech, dopiero światła nadjeżdżającego samochodu sprawiły, że dziewczyna wspięła się na najbliższe drzewo. Stamtąd przeskoczyła na dach sąsiedniego domu, potem na inne drzewo i na kolejny dach. Skakała tak, aż uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, gdzie się znalazła.

Niechący wypłoszyła gromadkę włóczęgów z ich meliny, po czym w ponurym nastroju wypila ich gorzką czarną kawę i przespała noc na spleśniałym materacu w rurze, niedaleko ognia. Znalazła sporo ilustrowanych czasopism z gatunku tych, które czytują żyjący w samotności mężczyźni, by jakoś poradzić sobie z tęsknotą, po czym z obrzydzeniem wrzuciła je w płomień.

* * *

Większą część następnego dnia Dorothy spędziła w zagajniku eukaliptusów, który niebawem czekała totalna zagłada. Miała więc sporo czasu, by zastanowić się nad swoją sytuacją. Nie było wątpliwości, że tonik selerowy, do którego ów niekompetentny znachor Songhabhongbhong Van Leeuwenhoek wlał ów tak zwany wyciąg gruczołowy, był częściowo niezwykle podobny do dzikiego selera jedzonego przez coraz rzadsze górskie goryle z Sumatry, a mikstura spowodowała przemianę. Tego Dorothy była pewna.

Przemiany nie zbiegały się jednakże ani z jej cyklem miesięcznym, ani z fazami księżycy – do pełni było daleko – zaczęła się więc zastanawiać, czy mają coś wspólnego z jej znakiem zodiaku, Baranem w ascendencie. Wydawało jej się, że

przypomina sobie o pewnym drogim astrologu, o którym wspominała matka, nim uciekła do Anaheim i została konsultantką Avonu (tak przynajmniej twierdził ojciec. Dorothy po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie próbował przed nią ukryć tego, że rodzicielka podjęła mniej szacowne zajęcie).

Jej rozmyślenia nagle przerwało pojawienie się kolejnej małopodobnej postaci w zagajniku, która wydawała się równie wystraszona jak Dorothy. Przez długą chwilę oba małpoludy stały jak wryte, przyglądając się sobie. Czyżby był to kolejny okaz coraz radszego gatunku górskich goryli sumatrzańskich? A może kolejna ofiara toniku selerowo-hormonalnego? Nie. Był to po prostu mężczyzna w starym, pogryzionym przez mole kostiumie goryla. Co więcej, trzymał butelkę w brązowej papierowej torbie.

– Posłuchaj no – powiedział. Jego głos, choć nieco bełkotliwy, z pewnością należał do mężczyzny – W dawnych czasach, słonko, gdy byłem znaną gwiazdą kina i teatru, nie pijałem nic poza najlepszą maderą, a szczególnym upodobaniem darzyłem sercial. Ale gdy człowiek złąduje na samym dnie, można się pożegnać ze wszystkimi importowanymi markami. Starczy zwykły jabol. No, dalej, słonko. Dalej, golnij sobie.

Jego sztuczny pysk przybliżył się do twarzy Dorothy tak bardzo, iż od razu odgadła, że nie jest to jego pierwszy drink tego dnia.

Była gwiazda kina i teatru wysunęła butelkę z torby na tyle, by ją otworzyć i pociągnąć łyka, a potem szybko ją schowała. Wielu ludzi mogłoby się bowiem oburzyć na widok człowieka, który bez skrupowania obnosi się ze spożywaniem alkoholu w miejscach publicznych – nawet w zagajniku eukaliptusowym, który jeszcze zeszłej nocy służył jako melina – gdyż było to wbrew prawu.

Choć jeszcze przed chwilą mężczyzna uprzejmie zaproponował jej łyka, teraz odwrócił się nieco od Dorothy, wsunął łapę za kostium i wyciągnął drugą butelkę, mniejszą i zawierającą jakiś przejrzysty napój. Szybko pociągnął łyka i równie szybko na powrót wsunął butelkę do kieszeni. Następnie golnął sobie porządnie z flaszki z tanim winem. Gdy zaproponował dziewczynie łyka raz jeszcze, zawahała się, zastanawiając nad taktowną odmową.

– Nie proponując, wyszedłbym na prostaka – oznajmił człowiek w małym kostiumie. – Nalegając, wyszedłbym na jeszcze większego.

I wychylił resztę.

Jego głos stał się jeszcze bardziej bełkotliwy. Gdy chwiejąc się i zataczając, ruszył swoją drogą, Dorothy zadała sobie w duchu pytanie, czy ów przejrzysty napój nie był przypadkiem wódka. Starczyło jednak, by odwrócił ku niej lekko głowę i stał tak przez moment, jak gdyby chciał zachęcić Dorothy, by za nim poszła, a ta nie zawahała się ani chwili. Z natury rzeczy dziwaki lgną do siebie, a dziewczyna uświadomiła sobie, że przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by mu towarzyszyła. Nie miała przecież pomysłu, co ze sobą począć. A więc poszła za byłą gwiazdą kina i teatru.

Od czasu do czasu oboje przyciągali spojrzenia przechodniów, ale nikt nie przyjrzał im się baczniej. Nie chodziło nawet o to, że znaleźli się w Hollywood, ale

na słynnym Gower St. Gulch, jak zwali to miejsce wtajemniczeni przybysze. Dla miejscowych było to po prostu The Gully [*Gower Gulch znajdowało się na skrzyżowaniu ulic Sunset Boulevard i Gower Street; w czasach kina niemego znajdowało się tam kilka wytwórni filmowych kręcących głównie westerny, stąd często gromadzili się tam kowboje szukający pracy*].

Przybysze spoza miasta, których nie wtajemniczono w miejscowe arkana, mogliby odnieść wrażenie, że znaleźli się w środku przygotowań do corocznego spędu bydła do Dodge City. Liczba mężczyzn w strojach kowbojskich przyprawiała bowiem o zawrót głowy. W ich szeregach zapanowało niespodziewane lekkie poruszenie wywołane przez ciemnowłosego mężczyznę z zaczerwienionymi oczami, ubranego w poplamioną koszulę khaki, wyblakłe ogrodniczki oraz mokasyny, który stał na chodniku i krzychał:

– Skośnoocy, Meksykanie i kolorowi, wynocha z Gully! – darł się, kierując słowa ku kilku ludziom, którzy nosili barwy wojenne i pióra. – Pozostawcie role Rdzennych Amerykanów prawdziwym, autentycznym Rdzennym Amerykanom! Ty tam! Ty! Marcusie Garveyu Doothit, który sam się nazywasz Marco Grzmiący Rumak, do ciebie mówię! Nie wciskaj mi kitu, że twoja babka była Czirokezką pełnej krwi!

M.G. Doothit alias Marco Grzmiący Rumak prychnął z pogardą.

– Mogę ci powiedzieć tylko tyle, Amosie Mały Ptaku – kije, kamienie, strzały i kule z muszkietów mogą połamać moje kości, ale epitety co do przynależności etnicznej krzywdy mi nie czynią. Pokazują jedynie głupotę tych, którzy nimi ciskają.

Ledwie wymiana zdań ucichła za ich plecami, gdy Dorothy i jej zataczający się towarzysz natknęli się na groźnie spoglądającego młodego człowieka z transparentem głoszącym: „Twórcy tak zwanych filmów science fiction! Przestańcie oczerniać ludzi nauki! Przestańcie szafować wizerunkiem tak zwanego szalonego naukowca! Nauka jest nadzieją ludzkości!”.

* * *

Do lat sześćdziesiątych wiele jeszcze brakowało, ale wiatr już unosił żdźbła trawy. Wkrótce Dorothy i jej kompan dotarli do kompleksu budynków przypominających koszary, otoczonych wysokim ogrodzeniem z siatki. Człowiek przebrany za goryla zatrzymał się, osuszył obie flaszki i wyrzucił je daleko. Potem podszedł do bramy, po raz pierwszy od chwili ich poznania naśladowując małpi chód. Z budki wyszedł siwowłosy, rozpromieniony mężczyzna.

– Rany julek, dzień dobry, panie Bartlett Bosworth! – zawołał. – Niech pan sobie wyobrazi, nie dalej jak zeszłej nocy mówię do swojej żony: „Nigdy nie uwierzysz, kogo dziś ujrzałem w WAESS!”. A ona na to: „Kogo?”. A ja mówię: „A pamiętasz Barta Boswortha, który grał chłopaka Grety Garbo, a potem wyrośniętego, przystojnego syna Mree Dressler?”. A ona na to: „Pewnie! Co u niego słyhać?”. No to powiadam: „Udaje goryla dla Alfa Smatza, Króla Filmów Klasy D”. No i słyszę: „O rany, ale szkoda...”.

Skryty za maską goryla Bart Bosworth rzucił ochryłym głosem:

– Możecie sobie wasze współczucie podzielić na pół, a potem w dupy sobie powsadzać.

I wszedł przez bramę. Siwowłosy mężczyzna, z którego twarzy uśmiech znikł w jednej chwili, wskazał palcem Dorothy i zapytał:

– A to kto?

– A kogo ci przypomina? Może Myrnę Loy, co? To moja zmienniczka.

Strażnik przy bramie zwrócił uwagę na kolejnych przybyszów. Przed Dorothy i Bartem wisiał ogromny napis obwieszczający: *Wytwórnia Alfred Emmanuel Smith–Smatz. Przystępna rozrywka za przystępne ceny. Droga naprzód.* Wydawało się, że droga za bramą nie ma końca, ale Bartlett Bosworth najwidoczniej znał ją dobrze.

* * *

Wkrótce dotarli do polany w dżungli. Dorothy nie zdążyła wyrazić swego zdumienia choćby jednym piśnięciem, gdy Bart Bosworth, czknąwszy donośnie i nad wyraz obrzydliwie, zwałił się na syntetyczny mech i zaczął chrapać.

Ów powtarzający się, rytmiczny odgłos niespodziewanie przerwany został przez ostre plaśnięcie. To mężczyzna w stroju reżysera, jaki już dawno uznano za staroświecki i niemodny (nie zapomniał nawet o czapce odwróconej daszkiem do tyłu), uderzył się otwartą dłonią w czoło.

– Znowu! – wrzasnął. – Znowu! Wczoraj nachlany, przedwczoraj nachlany, ja nie wytrzymam... Podnieść go! Gorąca kawa, amfa, jeśli ktokolwiek trochę ma, i lód, lód do tego! Postawcie go na nogi, niech ten drań wytrzeźwieje!

Wyschnięty koleś w wieku przedemerytalnym, wyglądający na niespełnionego klakiera, zawirował niczym derwisz, wrzeszcząc piskliwie:

– Tak jest, szefie! Słusznie, szefie! Gorąca kawa! Amfetamina! Lód!

Pozostali jednak nie wyglądali na przekonanych.

– On jest do niczego, panie Smatz – powiedziała sekretarka planu.

– To nic nie da, Alfy – zawołał z góry kamerzysta.

– Nie udało się go otrzeźwić ani wczoraj, ani przedwczoraj – oświadczył jasnowłosy, młodo wyglądający mężczyzna w krótkich spodniach khaki i hełmie korkowym.

Podobnie ubrana biuściasta blondynka oznajmiła wysokim, oburzonym głosem, że ma już dosyć tego zamieszania – choć tak naprawdę to użyła o wiele dosadniejszego słowa – i za minutę uda się do swej przebieralni.

– Ściągnijcie kogoś innego – poradził człowiek z ekipy filmowej. – Niech ktoś inny zagra rolę małpy.

Mężczyzna w czapce z daszkiem do tyłu zawył z udręką przez megafon.

– Nawet w filmie niskobudżetowym nikogo nie stać na utrzymanie zwykłego goryla! Co więcej – spojrzal przy tym na blondynkę z wrogością – niezbyt podobają mi się efekciarskie pokazy emocji! To film niskobudżetowy, nie ma tu miejsca na wysokobudżetowe fochy! Co, mam ściągnąć kogoś innego? A gdzie mam niby kogoś takiego szukać? Skąd mam go wytrzasnąć? Odgrywanie małp to rzadka sztuka,

kostium goryla kosztuje majątek, a czy gdybym miał majątek, kręciłbym filmy klasy D? Nie – odpowiedział sam za resztę.

I zaraz zrobił dziwną minę. Jedną dłoń przytknął do ucha, drugą osłonił oczy.

– Czekajcie. Posłuchajcie. Zaraz, zaraz. Słuchajcie, zanim ten żul stracił kontakt z rzeczywistością, czy ja aby nie słyszałem przenikliwego wrzasku, który bez wątpienia zwiastował zaskoczenie i niepokój? Tak, nie ma co do tego dwóch zdań. Cóż, w porządku. A więc kto to wrzasnął?

Tu i ówdzie kilka osób odezwało się, że bynajmniej nie oni. Inni również nadstawili uszu i osłonili oczy. Nie trzeba było długo czekać, gdy kilkanaście palców wskazało w jednym kierunku. Dorothy, uświadomiwszy sobie, że nie ma co dłużej się chować, nieśmiało wyszła z ukrycia.

Alfred Emmanuel Smith–Smatz – Alfy (bo to był on) – klasnął radośnie.

– Dotty! – wykrzyknął. – Nie dość, że przegoniłaś tę jędzę Sandrę, to jeszcze dziś rano odebrałem telefon od mojego przyrodzonego trzydziestoletniego syna Sammy’ego, który to, skubaniec jeden, odezwał się w te słowa: „Mama jest tak przerażona, że przysięga, iż nigdy więcej nie wyjedzie z Desert Hot Springs!”. A ty wciąż wydajesz te swoje inteligentne wrzaski... Ile w nich ekspresji! Bartlett Bosworth nigdy nie zdołał przekazać ekspresji w swoich wrzaskach. Tak to już jest z gwiazdami kina niemego, pisać to jeszcze potrafią, ale wrzasnąć już nie. Szybko się uczysz, Dotty? Tak? Dobra! To przejrzyj sobie następną scenę, masz jakieś sześćdziesiąt sekund... Już? Dobra! Dobra! Światła! Kamera! Wszystkie oczy na Dotty, naszą wspaniałą gorylą damę! Akcja!

* * *

A reszta jest historią, oczywiście Historią Kina, nawet jeśli większość musi zostać zatajona przed fanami, kolumnami towarzyskimi i w ogóle całym światem. Oczywiście Alfy Smatz (Król Filmów Klasy D) był nieco wyprowadzony z równowagi, gdy dowiedział się, że Dorothy nie jest w stanie grać roli goryla tydzień w tydzień, ale tylko wtedy, gdy nad centralną Sumatrą stoi księżyc w pełni.

Jednakże w miesiącu jest więcej niż tylko jeden tydzień. Przez pierwszy tydzień Dorothy w swej normalnej postaci (z wypchanymi biodrami i biustem) grała w filmie science fiction córkę szalonego naukowca (pomimo mało zdecydowanego protestu społecznego). W drugim tygodniu była porywana z jednego konwoju wozów do innego przez odpowiednio Marco Grzmiaącego Rumaka i Amosa Małego Ptaka. W trzecim tygodniu Dorothy najpierw stawała w obliczu bandy niebezpiecznych Arabów, którzy już dawno nie widzieli kobiety, a potem ratowana była przez odpowiednio Amosa lub Marco strojnych w dżelabije. Na czwarty tydzień jednakże przypadały jej zdjęcia w WAESS. Hurra!

* * *

W czwartym tygodniu każdego miesiąca Dorothy grywała w coraz to kolejnych częściach Wspaniałej Jeannie z dżungli, najmilszej małej gorylicy świata.

Filmy te przyciągały tłumy fanów we wszystkich kinach dla zmotoryzowanych w Ameryce Północnej i były rekordy sprzedaży od Tampa po Tahiti. A forsa z tego? Rany boskie, w głowie się nie mieści...

Dorothy spłaciła długi swego ojca i przydzieliła mu sympatyczną emeryturę wraz z kilkoma skromnymi przywilejami w pałacach pokerowych w Gardenii.

Raz na jakiś czas brała blondyna, który akurat grał główną rolę, i wskakiwała w cytrynowy kabriolet Pighafetti–Zoom, by odwiedzić Luanne i Angelę. Te zaś zieleniały z zazdrości. Nie przestawały też się zastanawiać, każda z osobna i we dwójkę, co jest sekretem sukcesu Dorothy. Bo przecież nie wygląd. Na pewno też nie figura. A więc co? Co? Co, u licha?

Cholerny show biznes.

Doktor Songhabhongbhong Van Leeuwenhoek zniknął bez śladu.

I na złe mu to nie wyszło.

John Kendrick Bangs

(1862–1912) jest kolejnym z wielkich humorystów minionego stulecia, którego opowiadania zostały w znacznej mierze zapomniane, nie licząc często wznawianego The Water Ghost of Harrowby Hall (1891), najprawdopodobniej jednego z najbardziej znanych humorystycznych opowiadań o duchach. Za życia szczycił się wielkim talentem w demaskowaniu i parodiowaniu dobrze znanych książek i osób. Jego największym sukcesem okazała się powieść A Houseboat on the Styx (1895), w której duchy wielu postaci, zarówno literackich, jak i istniejących w realnym świecie, spotykają się w drodze do Hadesu. Jego najzabawniejsze historie zostały zebrane w The Water Ghost and Others (1894), Ghosts I Have Met and Some Others (1898), Over the Plum–Pudding (1901), The Inventions of an Idiot (1904) oraz w dłuższych dziełach: Alice in Blunderland (1907) i The Autobiography of Methuselah (1909).

John Kendrick Bangs

DOLEGLIWOŚĆ

HUMPFELHIMMELA

BARONA

Wszyscy mówili, że był to niezwykle romans, i przynajmniej tym razem mieli rację. Sam baron Humpfelhimmel nie wypowiadał się na ten temat z dwóch powodów. Po pierwsze, nikt nie ośmielił się spytać, co baron o tym sądzi, a po drugie, był człowiekiem zbyt dumnym, by wypowiadać się na jakiegokolwiek tematy, chyba że go wypytywano. To, że zawsze się śmiał, bez względu na to, co się wydarzyło, wynikało z jego melancholii, a cierpiał na nią od najmłodszych lat. Urodził się, śmiejąc. Śmiał się w kościele, śmiał się w domu, ryczał ze śmiechu, gdy ojciec sprawiał mu lanie, nie mógł powstrzymać swej wesołości nawet wtedy, gdy zapadł na odrę.

Sytuacja ta wydawała się o tyle dziwna, że Rupert von Pepperpotz, poprzedni baron Humpfelhimmel i ojciec Barona Chichota, jak go nazywano, zapamiętany został jako człowiek skrajnie ponury, który nie uśmiechnął się od chwili narodzin aż po dzień śmierci. Najdziwniejsze zaś było to, że pomimo wrodzonej powagi był człowiekiem o wiele sympatyczniejszym niż obecny wesoły baron.

– Co to wszystko, twoim zdaniem, oznacza? – Frau Ehrenbreitstein zapytała pewnego razu Hansa Pumpnickela, osobistego sekretarza jej męża.

– Nie mogę powiedzieć. Mam swoje powody, żeby tak twierdzić – dodał Hans znacząco.

– Cóż to za powody, Hans? – zainteresowała się dobra pani, gdyż słowa chłopaka pobudziły jej ciekawość.

– Chodzi o to, że – głos Hansa przeszedł w szept – że nie mogę powiedzieć, bo... Bo nie mam pojęcia!

Pozwolę sobie w tym momencie nadmienić, że to właśnie z tego względu Hans Pumpnickel uważany był przez wszystkich za człowieka mądrego. Zawsze miał powody, by robić to, co robił, i zawsze z chęcią je zdradzał.

– Mówią – ciągnęła dobra pani Ehrenbreitstein – że kości i żebra, które baron złamał ostatniej zimy, gdy spadł z konia podczas polowania na dziki, nie mogą się należycie zrosnąć z powodu konwulsji, jakie wywołuje jego śmiech. Ja ze swojej strony nie pojmuję jednak, dlaczego złamanie nogi i żeber wywołuje taką wesołość.

– Ja też nie! – stwierdził Hans. – Zawsze wychwycę dobry żart. W wielu rzeczach dostrzegam powód do śmiechu, ale złamanie paru kości jest dla mnie powodem do łez, a nie śmiechu.

Wszystko to było prawdą. Zgodnie z tym, co usłyszała Frau Ehrenbreitstein, baron Humpfelhimmel w istocie złamał nogę i dwa żebra – choć nie podczas polowania na dziki, a na wilki – a gdy cesarski lekarz, który również brał w tym polowaniu udział, podszedł do leżącego na ziemi szlachcica, usłyszał, jak ten wprost ryczy ze śmiechu.

– Świetnie! – wykrzyknął lekarz, nachylając się nad baronem. – Cieszę się, że nic się panu nie stało. Już się bałem, że odniósł pan jakieś obrażenia.

– Alez odniosłem obrażenia – zaśmiał się baron głośno. – Moja noga... ha, ha, ha!... boli tak, że zaraz... ha, ha, ha! Głowa mi pęknie! I o ile się nie myślę... ha, ha, ha! Moje serce albo... ha, ha, ha! Moje żebra... Hi, hi, hi! Są połamane w dziewiętnastu miejscach!

Po tymże wyznaniu nastąpiła taka eksplozja wesołości, że przez dobre pięć, sześć minut nie był w stanie wyartykułować ani słowa.

– Odnoszę wrażenie, że nie rozumiem dowcipu – rzekł lekarz, podczas gdy śmiech barona odbijał się wielokrotnym echem po lesie.

– To... Hi, hi, hi, hi! To nie jest dowcip! – śmiał się baron. – Czyżby uszło pańskiej uwadze... Ha, ha, ha! Oho, ho, ho! Nie widzi pan, że cierpię?

– Widzę, że się pan śmieje – odparł lekarz. – Chichocze pan jak podczas czytania gazety pełnej dowcipów. Można wiedzieć, co pana tak bawi?

– Ha, ha, ha! Ja... Ja nie mam pojęcia! – wyjąkał baron, bezskutecznie usiłując poskromić swą wesołość. – Tak naprawdę to nie mam na... Na to ochoty... Hi, hi, hi, hi! Ale nic nie mogę poradzić!

I znów wybuchnął śmiechem. Lekarz usiłował go uciszyć, by nastawić popękane kości, ale jego starania spełzły na niczym. Pomimo wysiłków doktora baron nie mógł lub nie chciał przestać rechotać. Gdy w końcu zdołał się podnieść, okazało się, że może się przemieszczać, jedynie utykając, ale nawet to go śmieszyło. Za każdym razem, gdy pojawiał się na ulicach lub gdy sam burmistrz pofatygował się do niego, by wyrazić współczucie z powodu nieszczęśliwego zdarzenia, baron znów zaczynał rechotać i z rozbawieniem poprosił go, by mer zajął się własnymi sprawami.

Potem przypomniano sobie ów pożar dziesięć lat temu, w którym to zniszczeniu uległ słynny zamek Von Pepperpotz. Posłaniec, który przyniósł owe wieści, zastał

barona w gabinecie.

– Baronie! – zawołał posłaniec. – Baronie, chateau płonie! Płomienie już zniszczyły zbrojownię i dotarły niemal do sali bankietowej.

Baron przez chwilę patrzył posłańcowi w oczy, a potem jego twarz wykrzywił uśmiech.

– Mój zamek płonie, co? Ha, ha, ha, ha! – Zerwał się w pośpiechu zza biurka i zataczając ze śmiechu, popędził do pożaru, gdzie z energią zaangażował się w podsycanie niszczycielskich płomieni.

– Wydaje się pan zadowolony – powiedział pewien człowiek, który zauważył uciechę barona.

Ten odpowiedział ciosem w twarz, zwalając go na ziemię, a potem zdzielił go laską przez plecy i odszedł, mamrocząc do siebie:

– Zadowolony! Ha, ha, ha! Czy zniszczenie może kogokolwiek ucieszyć? Hi, hi, hi, hi! Gdyby te prostaki... Hi, hi, hiii! Gdyby tylko te prostaki wiedziały... Ha, ha, ha, ha!

* * *

O to właśnie chodziło! Gdyby tylko wiedzieli! A sprawa wyszła na jaw, po tym jak baron umarł, nie pozostawiający spadkobiercy – nigdy bowiem się nie ożenił – a cały jego majątek i wszystkie papiery stały się własnością Skarbu Państwa. Dopiero dzięki tym dokumentom rodzina ze Schnitzelhammerstein nad Zugvitz poznała długo skrywany sekret baronowego śmiechu, a dzięki nim i ja ów sekret poznałem. Opowiedział mi o nim sam Hans Pumpernickel, gdy wyniesiono go do jakże nobliwej rangi burmistrza Schnitzelhammerstein nad Zugvitz, co było honorem przynależnym jedynie prawdziwie uczciwym i godnym obywatelom. Z tego też właśnie względu mocno wierzę, że historia ta jest prawdziwa co do słowa.

– Przykro mi to mówić, ale niewielu ludzi opłakiwało śmierć barona Humpfelhimmel – mówił Hans, gdy razem szliśmy przepiękną leśną ścieżką, ciągnącą się wzdłuż brzegów rzeki Zugvitz. – Człowiek, który często się śmieje, cieszy się wielką sympatią, ale taki, który śmieje się nieprzerwanie, bez względu na sytuację, robi sobie wrogów. Łatwo jest pokochać tego, kto śmieje się z twoich dowcipów, ale ten, który rechocze na pogrzebach, pęka ze śmiechu na widok pożogi czy żebraków, chichocze z ludzi w biedzie, nie staje się ulubieńcem tłumów. Tak to właśnie było z Fritzem von Pepperpotzem, ostatnim baronem Humpfelhimmel. Gdybyś opowiedział mu zabawną historię, nikt nie śmiałyby się głośniej, ale równie głośno baron rechotałby, gdybyś zdradził mu, że dręczy cię ból głowy. Gdybyś zaś wyjawiał mu, że zapadłeś na ciężką chorobę, jego radość nie miałaby granic. Uśmiechał się i chichotał nawet podczas największych napadów wściekłości, ale popularność, której należałoby się spodziewać u kogoś o tak wesołej naturze, była ostatnią rzeczą na świecie, na którą mógłby liczyć. Nie przesadzę, jeśli powiem, że gdyby rozpisano powszechne wybory, baron Humpfelhimmel nie zostałby wybrany na gońca kancelarii burmistrza, nawet gdyby nie było kontrkandydata. Teraz jednak, gdy poznaliśmy już prawdę, wszyscy zmieniliśmy zdanie na jego temat. Już kilkuset

obywateli dorzuciło parę groszy do funduszu na rzecz budowy pomnika ku pamięci Barona Chichota. Fritz von Pepperpotz, mój przyjacielu – wyjaśniał mi Hans – śmiał się dlatego, że nic nie mógł na to poradzić, co wyczytaliśmy z papierów znalezionych po jego śmierci. Znajdował się tam opis całej sytuacji, który ze względu na kilka szczegółów można chyba nazwać smutnym. To, że Fritz nie mógł się powstrzymać od śmiechu, było winą jego dziadka. Dziada też należy winić o to, że jego wnuk umarł bezzennie i że nazwisko von Pepperpotz znikło z powierzchni ziemi, chyba że ktoś gdzieś postanowi je przybrać na nowo, chociaż powątpiewam, żeby ktokolwiek był na tyle szalony. Może majątek barona mógłby kogoś do tego skłonić, jednak teraz, gdy wszystkie ziemie przeszły na własność rządu, zamek stracił swój powab, chociaż nadal był przytulnym miejscem do zamieszkania. Nazwisko Pumpernickel brzmi beznadziejnie, ale przy von Pepperpotz to istna poezja.

Przy tych słowach Hans westchnął, a ja oznajmiłem, że moim zdaniem Pumpernickel jest dobrym, mocnym nazwiskiem, choć uczyniłem to głównie po to, by pokrzepić przyjaciela, bo odczucia miałem inne.

– Tak – rzekł Hans z uśmiechem zadowolenia. – Na pewno jest mocne. Noszę je od dwudziestu pięciu lat, a nie widać po nim żadnych śladów zużycia. Jest równie dobre jak wtedy, gdy je wymyślono. Dobrze, ale powróćmy do rodu von Pepperpotz i jego tajemniczej dolegliwości. Wedle opisu z dokumentów, podczas gdy baron nie był w stanie powstrzymać wesołości bez względu na samopoczucie, jego ojciec, Rupert von Pepperpotz, nie potrafił się uśmiechać, chociaż był człowiekiem dobrego serca. I tak jak Fritz przyszedł na świat, szczerząc się niczym ser z Cheshire...

– Kot – poprawiłem odruchowo.

– Kot? Naprawdę? Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to powiedziałaś. Zawsze sądziłem, że w tym wyrażeniu chodzi o ser, i przekonany o tym spędziłem wiele bezsennych nocy, próbując sobie wyobrazić uśmiechający się ser. W końcu dałem sobie spokój, przyjmując wyrażenie jako kolejną osobliwość języka angielskiego. Jeśli to kot z Cheshire, a nie ser z Cheshire, wszystko nagle stało się jasne jak słońce. Ale o czym to ja? Aha, i tak jak Fritz urodził się z uśmiechem jak u kota z Cheshire, jego ojciec Rupert przyszedł na świat, marszcząc brwi, przypuszczalnie z gniewu. Wedle kroniki rodowej nikt wcześniej nie widział bardziej pochmurnego, gniewnego dziecka. Nic go nie cieszyło. Gdy ktoś stanął nad jego łóżeczkiem i zaczynał gruchać, Rupert von Pepperpotz marszczył czoło, a jeśli wierzyć opowieściom jego niani, zmarszczki były tak głębokie, że można było listy w nie wsuwać. Pomimo to rzadko kiedy wpadał w złość i zawsze słuchał opiekunów, co było najdziwniejszą rzeczą pod słońcem. Oto dziecko, które zawsze miało pochmurną minę, nigdy się nie śmiało, ale było grzeczne jak aniołek. W miarę jak przybywało mu lat, Rupert stawał się coraz bardziej przyjazny, chociaż mars na jego czole stawał się coraz bardziej złowieszczy. Baron z wiekiem nabrał też mądrości. Gdy chodził ulicami Schnitzelhammerstein nad Zugvitz, był zawsze pogodny, chociaż nikt by tego po nim nie odgadł. Miał miły, przyjemny głos i wszyscy sąsiedzi zarzekają się, że mało co przerażało ich bardziej od kontrastu między wesołym,

śpiwnym głosem a jego strasznym właścicielem. Nikt nie ma pojęcia, w jaki sposób Rupert skłonił Wilhelminę de Grootzenburg do poślubienia go, ponieważ przez swoją nieprzemijającą powagę wydawał się brzydki jak noc. Przypuszczalnie to współczucie pchnęło tę kobietę w jego ramiona, rzeczywiście może fascynacja brzydota barona. Sam Rupert twierdził, że bynajmniej nie chodziło tu o współczucie, że nie potrafi się śmiać czy uśmiechać, bo takiego współczucia nie potrzebował. Nie czuł się źle sam ze sobą. Nigdy się nie uśmiechał, przez co nie znał przyjemności, jaka z tego wynika. Z tego też względu nigdy za tym nie tęsknił. Twierdził, że uśmiech jest tak czy owak idiotycznym sposobem wyrażania przyjemności. Nie rozumiał, dlaczego człowiek powinien rozciągać swoje usta tylko dlatego, że właśnie przyszło mu do głowy coś zabawnego. Nie pojmował też, dlaczego należy wyrażać uznanie dla czyjejs opowieści przez potrząsanie brzuchem i wydawanie odgłosu: „Ha, ha, ha!”. Utrzymywał, że tak w ogóle to jest zadowolony z życia. Potrafił przecież mówić i umiał powiedzieć ludziom, że podobają mu się ich opowieści bez konieczności trzęsienia się czy krzywienia ust. Gdy urodził się Fritz, który nie umiał nic poza śmiechem, nawet gdy dręczyła go kolka, poważny jak zawsze Rupert uznał, że dziecko tylko potwierdza jego teorię. „Cóż z niego za osiołek!”, wykrzyknął. „Dlaczego zniekształca swoją piękną buzię i rozciąga usta tak bardzo, że zaczynam się bać, żeby mu uszy do niej nie wpadły? A te dzikie podrygi, które nazywacie śmiechem, na co one komu? Skoro mu się coś podoba, nie rozumiem, dlaczego po prostu łagodnie nie powie: Podoba mi się to i owo? Zamiast tego ryczy tak głośno, że zaczynam głuchnąć. Doprawdy śmiech nie jest tym, czym być powinien”. „Ach, mój drogi Rupercie”, mówiła Wilhelmina, jego żona. „Przecież nie wiesz, o czym mówisz! Gdybyś chociaż raz zakosztował śmiechu, tęskniłbyś za tym do końca życia”. „Nonsens”, odparł baron. „Mój ojciec nigdy się nie śmiał, a zatem czemu ja miałbym za tym tęsknić?”. I tu właśnie – ciągnął Hans – zdaniem dokumentu Fritza von Pepperpotz Rupert popełnił błąd. Siegfried von Pepperpotz wiedział, czym jest śmiech, ale nie wiedział, kiedy należy się śmiać, co było przyczyną, dla której ród von Pepperpotz został obłożony klątwą. Przerwać ją mogła dopiero śmierć ostatniego z członków rodu. I tu właśnie kryje się rozwiązanie naszej tajemnicy. Wygląda na to, że Siegfried von Pepperpotz, dziadek Fritza i ojciec Ruperta, był za młodu człowiekiem wolnym i nieokiełznanym, który śmiał się i marszczył brwi w zależności od swojego nastroju, a nie od sytuacji. Wygląda też na to, że zdarzyło mu się w pewnej sytuacji uśmiechnąć nieco zbyt szeroko. Któregoś bowiem dnia w wiosce Schnitzelhammerstein nad Zugvitz pojawił się niepozorny, żałośnie wyglądający człowieczek, który sprzedawał cukrowe ludziki i inne słodczyce. Siegfried i jego kompania szybko doszli do wniosku, że warto by się zabawić kosztem nieszczęśnika. Okłamali go, że dwie mile od wioski mieszka bogata hrabina, która kupi cały jego asortyment, chociaż w rzeczy samej nie mieszkał tam nikt. Staruszek nie zorientował się jednak w kłamstwie i przebył długą drogę, co wywołało u niego ogromne bóle. Kompania nie miała jednak pojęcia, że starzec był czarodziejem, a w owych czasach czarodzieje potrafili dokonać dosłownie wszystkiego. Rzecz jasna, oszustwo wprowadziło go w złość. Powrócił do

Schnitzelhammerstein nad Zugvitz, przywołał młodych dowcipnisiów i zażądał, żeby go przeprosili, a potem kupili jego towary. Wyjątkiem był Siegfried, który nie tylko nie chciał go przeprosić i kupić słodczy, ale miał również czelność roześmiać mu się w twarz. Opowiedział również sprzedawcy o zamożnym starym księciu, który mieszkał dwie mile po drugiej stronie wsi, w czym stary czarodziej momentalnie wykrył kolejny podstęp. „Dość tego, Siegfriedzie von Pepperpotz!”, wykrzyknął rozwścieczony. „Śmieję się, póki jeszcze możesz! Bo od jutra już nie będziesz się uśmiechał, a po tobie twój syn, zaś jego syn chcąc nie chcąc będzie musiał wyrazić całą radość, której wam we dwóch się nie uda! I tak to będzie aż po wsze czasy! Każde trzecie pokolenie będzie musiało wyśmiać cały śmiech, który odebrany został obu poprzednim!”. Słowa tej klątwy sprawiły, że Siegfried śmiał się jeszcze głośniej, bo jak już nadmieniałem, nie miał pojęcia, że staruszek jest czarodziejem, przez co nie bał się go wcale. Następnego dnia jednak zmienił zdanie. Odkrył bowiem, że nie umie się już śmiać. Nie potrafił nawet się uśmiechnąć. Chociaż próbował ze wszystkich sił, usta go nie słuchały. To zaś zniszczyło jego usposobienie. Siegfried von Pepperpotz całkiem się rozchorzał. Wezwano najwybitniejszych medyków, ale ich talenty na nic się zdały. Gdyby klątwa miała zakończyć się na Siegfriedzie, być może nie przejąłby się nią aż tak bardzo, ale gdy odkrył, że jego syn Rupert od chwili narodzin okazuje równie mało wesołości co on sam obecnie, zaczął dumać nad ową przypadłością i wkrótce umarł ze zgryzoty. Fritz odnalazł ów dokument w skrytce w starym kufrze i przeczytał go. Dowiedziawszy się, na czym polega klątwa – bo Siegfried nigdy nie zdradził niczego synowi i zachował tajemnicę dla siebie – postanowił, że nie będzie potomstwa, któremu przekaze chateau. I oto jest historia przypadłości barona Humpfelhimmel – zakończył Hans.

– Dość osobliwa historia – przyznałem. – Chociaż nie wiem, czy kryje w sobie jakiś morał.

– Ależ tak! – zawołał Hans. – Ma morał, i to całkiem niezły.

– A jak on brzmi? – zapytałem.

– Nie śmieję się z własnych dowcipów – odpowiedział. – Gdyby Siegfried von Pepperpotz nie śmiał się, po tym jak staruszek wrócił do wsi, nigdy nie zostałyby przeklęty, a ta historia nigdy nie zostałaby opowiedziana.

GANGSTERSKA GADKA

Neil Gaiman

(ur. 1960r.) zyskał największą sławę jako autor komiksowej serii Sandman, ale równie dobrze radzi sobie z dłuższymi formami. Spośród jego ostatnich powieści wymienić można Nigdziebądź (Neverwhere, 1996), opartą na jego własnym serialu telewizyjnym, czarującą baśń Gwiezdny pył (Stardust, 1998) oraz antologię Angels and Visitations (1993) i Dym i lustra (Smoke and Mirrors, 1998). Poniższe opowiadanie jest jednym z najwcześniejszych i pierwszym, które uznał za godne wskrzeszenia. Idealnie też otwiera gangsterską część tej antologii.

Neil Gaiman AWANTURA Z DWUDZIESTOMA CZTEREMA KOSAMI

Siedziałem w biurze, to obracając w palcach szklanekę bimbrową, to znów bez celu czyszcząc automat. Na dworze, jak zwykle w naszym wspaniałym mieście, ciągle padał deszcz, gdzieś mając zapewnienia miejskiej izby turystyki. Ja też miałem to gdzieś. Nie jestem przecież urzędnikiem z tej izby. Jestem prywatnym detektywem, i to jednym z najlepszych, choć nikt by się tego nie domyślił. Moje biuro waliło się bowiem w oczach, czynszu nie płaciłem od dawna i właśnie wysączałem resztki bimbrową. Nie ma lekko.

Na domiar złego jedyny klient, który zawitał do mnie przez cały zeszły tydzień, nie stawiał się na umówione spotkanie na rogu. Powiedział, że zanoszą się na większą robotę, ale nigdy się nie dowiem, czy nie przesadzał. Wygląda bowiem na to, że miał wcześniej umówioną wizytę w kostnicy i tam akurat stawiał się na czas.

Kiedy więc do mojego biura weszła dama, od razu stwierdziłem, że pech chyba mnie opuścił.

– Co pani sprzedaje?

Obrzuciła mnie spojrzeniem, od którego nawet dynia by się zasapała. Mój puls przyspieszył trzykrotnie. Miała blond włosy i figurę, na której widok Tomasz z Akwinu momentalnie zapominałby o swoich ślubach. Ja też zapominałem o swoich. Zwłaszcza tych, by nie brać zleceń od dam.

– Co by pan powiedział na zieleninę? – zapytała zachrypniętym głosem, przechodząc od razu do sedna sprawy.

– Proszę dalej, siostrzyczko – rzuciłem. Nie chciałem, by się zorientowała, jak bardzo zależy mi na kasie, więc szybko zasłoniłem usta. Niedobrze, gdy klient widzi,

jak się ślinisz.

Otworzyła portfel i wyciągnęła fotografię na błyszczącym papierze, o rozmiarach osiem na dziesięć.

– Rozpoznaje pan tego człowieka?

W moim fachu człowiek zawsze wie, kto jest kim.

– Uhm.

– On nie żyje.

– To też nie jest tajemnicą, skarbie. Sprawa się ryła jakiś czas temu. To był wypadek.

Jej spojrzenie stało się tak lodowate, że można było pokruszyć je na kosteczki i wrzucić do drinka.

– Śmierć mojego brata nie była żadnym wypadkiem!

Uniosłem brew – w moim fachu trzeba się wyuczyć wielu podobnych tajemnych sztuczek – i powiedziałem:

– Twój brat? Serio?

Może to śmieszne, ale nie odebrałem jej jako takiej, która może mieć braci.

– Nazywam się Jill Dumpty.

– A zatem twoim bratem był Humpty Dumpty?

– Tak. I nie spadł z tego muru, panie Horner. Został z niego zepchnięty.

Ciekawe, o ile to prawda, rzecz jasna. Dumpty maczał paluchy w większości podejrzanych interesów w tym mieście. Bez trudu mogłem ułożyć listę nazwisk przynajmniej pięciu kolesi, którzy woleliby go ujrzeć martwym.

Bez większego trudu w każdym razie.

– Rozmawiałaś już z glinami?

– Gdzie tam. Ludzi Króla nie interesuje nic w związku z jego śmiercią. Utrzymują, że zrobili wszystko, co było w ich mocy, żeby pozbiierać go po upadku.

Rozparłem się na krześle.

– A więc jaki ma to związek z tobą? Do czego jestem ci potrzebny?

– Chcę, żeby znalazł pan zabójcę, panie Horner. Chcę, żeby odpowiedział za to, co zrobił. Chcę go usmażyć jak jajko. Aha, i jeszcze jeden drobiazg – dodała od niechcienia. – Tuż przed śmiercią Humpty nosił niewielką kopertę z abaki zawierającą zdjęcia, które miał zamiar mi wysłać. To zdjęcia medyczne. Jestem pielęgniarką na stażu i potrzebuję zdjęć, żeby zdać egzaminy.

Przyjrzałem się bacznie moim paznokciom, a potem spojrzałem jej w twarz. Jill należała do tych kobiet, które dokładają wszelkich starań, by dobrze wyglądać, choć jej śliczny mały nosek był trochę garbaty.

– Biorę się za to. Siedemdziesiąt pięć na dzień i dwieście jako premia za rozwiązanie.

Uśmiechnęła się, a mój żołądek obrócił się wokół własnej osi i zaczął orbitować.

– Jeśli przyniesie pan zdjęcia, dostanie pan jeszcze dwie stówy. Naprawdę chcę zostać pielęgniarką.

Powiedziawszy to, rzuciła trzy pięćdziesiątki na moje biurko.

Wtedy to pozwoliłem sobie, by na moją zniszczoną życiem twarz wypłynął

zuchwały uśmieszek.

– Słuchaj, siostrzyczko, a może dałabyś się wyciągnąć na obiad? Właśnie wpadło mi trochę forsy.

Przeszedł ją mimowolny dreszcz i wymamrotała coś o obowiązkach związanych z maluchami, dzięki czemu nabrałem pewności, że jestem na dobrym tropie. Potem obdarzyła mnie krzywym uśmiechem, przez który Albert Einstein zapomniałby o znaku dziesiętnym.

– Najpierw niech pan znajdzie zabójcę mojego brata, panie Horner. I moje fotografie. Potem możemy się zabawić.

Wyszła, zamykając drzwi. Może nadal padało, ale nie zwróciłem już na to większej uwagi. Gdzieś to miałem.

* * *

Są takie miejsca w moim mieście, o których miejscowa izba turystyczna nigdy nie wspomina. Miejsca, do których gliniarze wyprawiają się trójkami, jeśli w ogóle to robią. W moim fachu trzeba odwiedzać je częściej, niż zdrowie na to pozwala. Bo korzyści dla zdrowia nie kończą się nigdy.

Czekał na mnie przed knajpą Luigiego. Stałem za jego plecami, moje buty z podeszwami z gumy nie wydawały żadnych dźwięków na lśniącem od deszczu chodniku.

– Siema, Kogut.

Podskoczył i zawirował jak fryga. Nagle uświadomiłem sobie, że patrzę prosto w lufę czterdziestkiptki.

– O, Horner – powiedział i schował broń. – Nie nazywaj mnie Kogut! Dla ciebie jestem Bernie Robin, Krótki, i nie zapominaj o tym.

– A mnie się akurat Kogut „Cock” Robin podoba, Kogut. No dobra, kto zabił Humpty’ego Dumpty’ego?

Jak na ptaka wyglądał bardzo osobliwie, ale w moim fachu nie wolno wybrzydzać. Był moją najlepszą wtyczką w światku przestępczym.

– A jakiego koloru masz pieniądze?

Pokazałem mu pięćdziesiątkę.

– Ja cię pieprzę – mruknął. – Zielone. Dlaczego nikt choć raz nie wyprodukuje forsy w kolorze ciemnego fioleto czy fiołków?

Mimo to skwapliwie wziął banknot.

– Wiem tylko tyle, że Grubas macza paluchy w wielu sprawkach.

– I co w związku?

– Jedna z tych spraw to dwadzieścia cztery kosy.

– Co?

– Co, mam ci to przeliterować? Ja... Ughh...

Niespodziewanie osunął się na chodnik. Z jego pleców sterczała strzała. Kogut Robin skończył ćwierkać raz na zawsze.

* * *

Sierżant O’Grady spojrział na ciało, a potem na mnie.

– Piekło i szatani, przecież to nie Mały Jack Horner we własnej osobie.

– Nie zabiłem Cocka Robina, panie władzo.

– A ów telefon, który odebraliśmy dziś wieczorem na posterunku, jakoby masz zamiar załatwić świętej pamięci pana Robina, tak naprawdę nie miał miejsca, co?

– Skoro jestem zabójcą, to gdzie moje strzały? – Otworzyłem kciukiem paczkę gum i zacząłem żuć. – Ktoś chce mnie zrobić.

Sierżant pyknął z fajki z pianki morskiej, po czym odłożył ją, a potem zagrał od niechcienia na oboju kilka taktów z uwertury do *Wilhelma Tella*.

– Może tak. Może nie. Tak czy owak, nadal jesteś podejrzany. Nie wyjeżdżaj z miasta. I jeszcze jedno, Horner...

– No?

– Śmierć Dumpty’ego była wypadkiem. Tak twierdzi koroner. Ja też tak twierdzę. Daj sobie spokój z tą sprawą.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę, po czym przypomniały mi się pieniądze i dziewczyna.

– Nie ma szans, panie władzo.

Wzruszył ramionami.

– Prosisz się o własny pogrzeb – oznajmił z przekonaniem, że tak właśnie będzie. Mnie zaś ogarnęło przeczucie, że może sierżant się nie myli.

– To nie twoja liga, Horner. Grasz teraz z dużymi chłopcami, a to szkodzi zdrowiu.

Pamiętałem szkolne czasy i wiedziałem, że się nie myli. Gra z dużymi chłopcami zawsze kończyła się tym, że dostawałem w dupę. Ale O’Grady? Skąd O’Grady mógł to wiedzieć? Przypomniałem sobie dopiero po chwili.

Przecież to od O’Grady’ego obrywałem najbardziej.

* * *

Nadszedł czas na to, co w moim fachu nazywamy „pedałowaniem”. Obleciałem całe miasto, zasięgnąłem języka tu i tam, ale nie dowiedziałem się na temat Dumpty’ego niczego, czego wcześniej nie wiedziałem.

Humpty Dumpty był jajkiem zepsutym aż po żółtko. Pamiętałem go z czasów, gdy dopiero co przybył do miasta. Z początku nie zapowiadał się źle – młody, sprytny treser zwierząt, który osiągał wielkie sukcesy, trenując myszy w nakręcaniu zegarów – ale zwabiły go hazard, chlańsko i dziewczynki, wciąż ta sama stara historia. Każdy młody, sprytny dzieciak twierdzi, że ulice Żłobkowa są wybrukowane złotem, a zanim się przekona, że sytuacja wygląda zupełnie inaczej, jest już o wiele za późno.

Dumpty zaczął od wymuszeń i napadów na niewielką skalę – wytrenował bandę pajaków, by straszyły małe dziewczynki. Te rzucały się do ucieczki, zupełnie zapominając o zsiadłym mleku czy serwatce, które Humpty zbierał i sprzedawał na czarnym rynku. Następnie przerzucił się na szantaże, najpaskudniejszą ze

wszystkich rozgrywek. Nasze ścieżki raz się przecięły, gdy zostałem wynajęty przez pewnego znanego dzieciaka – nazwijmy go Georgie Porgie – by odzyskać obciążające go zdjęcia, na których Porgie całuje dziewczyny, aż te zaczynają płakać. Odzyskałem fotki, ale nauczyłem się wówczas, że niezdrowo jest zadzierać z Grubasem. A ja nie mam w zwyczaju popełniać dwa razy tych samych błędów. Kurde, w moim fachu nie stać mnie nawet na to, by popełnić je choć raz.

W trudnym świecie przyszło nam żyć. Pamiętam, gdy do miasta przybyła Mała Bo Peep... Ale dość o mnie. Na pewno nikt nie chce słuchać o moich kłopotach. Jeśli sam jeszcze żyjesz, to bez wątpienia masz dosyć własnych.

Sprawdziłem w gazetach artykuły na temat śmierci Dumpty'ego. Siedział sobie na płocie i w sekundę później leżał pod nim, rozgnieciony na miazgę. Wszystkie Konie Króla i Ludzie Króla przybyli błyskawicznie na miejsce zdarzenia, ale Humpty był w poważnym stanie. Wezwano lekarza nazwiskiem Foster, rzekomo przyjaciela Dumpty'ego z czasów, gdy obaj mieszkali w Gloucester, choć doprawdy nie mam pojęcia, co łapiduch mógłby zrobić dla martwego.

Zaraz, zaraz... Doktor Foster!

Ogarnęło mnie owo silne uczucie, tak typowe w moim fachu. Dwie komórki mózgu zetną się ze sobą we właściwy sposób i w sekundę później w dłoniach płonie dwudziestoczyterokaratowy płomień zrozumienia.

Pamiętasz tego klienta, który się nie pojawił? Tego, na którego czekałem na rogu ulicy? Ponoć poniósł śmierć na skutek wypadku, a mnie się nawet nie chciało tego sprawdzać. Nie stać mnie przecież na to, by marnować czas na niewypłacalnych klientów.

A zatem oto w sprawie pojawiają się trzy trupy, nie jeden.

Sięgnąłem po telefon i zadryndałem na posterunek.

– Tu Horner – powiedziałem dyspozytorowi. – Rzuć mi na drut sierżanta O'Grady'ego.

Na linii rozległy się jakieś trzaski, po czym odezwał się sam policjant:

– O'Grady.

– Tu Horner.

– O, Mały Jack. Cześć.

Oto stary, dobry sierżant O'Grady. Nabijał się z mojego wzrostu od czasów chłopięcych.

– Już doszedłeś do tego, że śmierć Dumpty'ego nastąpiła na skutek wypadku?

– Nie. W tej chwili prowadzę dochodzenie w sprawie trzech zabójstw. Grubasa, Berniego Robina i doktora Fostera.

– Fostera? Tego chirurga plastycznego? Przecież on zginął w wypadku.

– Jasne. A twoja matka wyszła za twojego ojca.

O'Grady zamilkł na moment.

– Horner, jeśli zadzwoniłeś po to, żeby wygadywać świństwa, to wiedz, że mnie to jakoś nie bawi.

– Dobra, mądralo. Skoro śmierć zarówno Humpty'ego Dumpty'ego, jak i doktora Fostera nastąpiła na skutek wypadku, to powiedz mi jedno. Kto zabił Koguta

Robina?

Rzadko słyszę, by ktoś mi zarzucał, że mam zbyt wiele wyobraźni, ale tym razem mógłbym przysiąc, że facet uśmiecha się przez telefon.

– Ty go zabiłeś, Horner. I postawię swoją odznakę na to, że to ty.
I przerwał połączenie.

* * *

Moje biuro jest zimnym i samotnym miejscem, więc zszedłem na dół do baru Joe'ego w poszukiwaniu towarzystwa i drinka. Jednego, góra trzech.

Dwadzieścia cztery kosy. Martwy doktor. Grubas. Kogut Robin... Jasna cholera, w tej sprawie było więcej dziur niż w porcji szwajcarskiego sera i więcej urwanych wątków niż luźnych nitek w dziurawym sweterku. W którym momencie weszła w to wszystko przepyszna panna Dumpty? Jack i Jill – będzie z nas dobrana para. Gdy wszystko dobiegnie końca, może uda nam się urwać do tego słodkiego przybytku Louie'ego na wzgórzu, gdzie nikt nie pytał o akt ślubu. Miejsce to nazywało się „The Pail of Water”.

Zawołałem barmana.

– Hej, Joe.

– Tak, panie Horner? – zapytał, polerując szklanekę szmatką, która za swych lepszych czasów służyła jako koszula.

– Widziałeś kiedyś siostrę Grubasa?

Podrapał się po policzku.

– No, chyba nie. Siostrę, co? Zaraz, przecież Grubas nie miał siostry!

– Jesteś pewien?

– Mowa, jasne, że jestem pewien. Kiedy moja siostra urodziła pierwsze dziecko, pochwaliłem się Grubasowi, że zostałem wujkiem. A ten powiedział: „Fajnie masz. Ja nigdy nie będę wujkiem, Joe. Nie mam braci ani sióstr. W ogóle nie mam rodziny”.

Skoro owa tajemnicza panna Dumpty nie była jego siostrą, to kim była?

– Słuchaj no, Joe, a czy kiedykolwiek widziałeś Grubasa z jakąś panną? Mniej więcej takiego wzrostu, taką wiesz... – Zakreśliłem kilka łuków dłońmi, opisując jej sylwetkę. – Wygląda jak blond bogini miłości.

Barman pokręcił głową.

– Nie, nigdy go nie widziałem z babami. Tuż przed śmiercią trzymał się z jednym takim doktorem, ale jedyną rzeczą, na której naprawdę mu zależało, były te jego walnięte ptaki i zwierzęta.

Pociągnąłem tęgi łyk, aż mi podniebienie zapłonęło.

– Zwierzęta? Myślałem, że dał sobie z tym spokój.

– Gdzie tam. Kilka tygodni temu był tu z całym rojem pieprzonych kosów, które właśnie ćwiczył. Chciał, żeby śpiewały *Wasn't that a dainty dish to set before Mmm Mmm*.

„Cóż to za smakołyk, którym uraczono Mmm Mmm?”, pomyślałem, a na głos zapytałem:

– Kto to jest Mmm Mmm?

– Nie mam bladego pojęcia.

Odstawiłem drinka, aż na kontuar padła kropelka. Patrzyłem, jak przeżera się przez bejcę, którą pociągnięto drewno.

– Dzięki, Joe. Bardzo mi pomogłeś – z tymi słowy podałem mu banknot dziesięciodolarowy. – To za informację. Nie przeputaj wszystkiego na raz.

W moim fachu tylko dzięki takim żarcikom człowiek nie dostaje w łeb.

Miałem jeszcze jeden kontakt do sprawdzenia. Znalazłem budkę telefoniczną i wykreciłem numer.

– Sklepek Mamuśki Hubbard. – Ciastkarnia i Zupodajnia z licencją.

– Cześć, Mamuśka, tu Horner.

– Jack? Rozmowa z tobą może ściągnąć na mnie kłopoty!

– Pomnij na stare czasy, skarbie. Jesteś mi winna przysługę.

Swego czasu dwa tanie dranie obrobiły Kredens do gołych desek. Wytropiłem obu i zwróciłem Mamuśce ciastka oraz zupę.

– No dobra. Ale nie podoba mi się to wcale.

– Wiesz o wszystkim, co się dzieje w mieście, a ma związek z jedzeniem, Mamuśka. Słyszałaś o placku z dwudziestoma czterema wyszkolonymi kosami?

W słuchawce usłyszałem długi, przeciągły gwizd.

– Naprawdę nic o tym nie wiesz?

– Nie pytałbym, gdybym wiedział.

– Następnym razem, gdy kupisz sobie gazetę, przeczytaj również kronikę kryminalną, aniele. Jasny gwint. To nie twoja liga.

– Skończ owijać w bawełnę, Mamuśka. O co chodzi?

– Chodzi o to, że ta właśnie potrawa została podana Królowi kilka tygodni temu... Jack? Jesteś tam jeszcze?

– Jestem, droga pani – powiedziałem cicho. – Niespodziewanie wiele spraw naraz zaczęło mieć sens.

I odłożyłem słuchawkę.

Wyglądało na to, że mały Jack Horner właśnie wyciągnął z owego placka wisienkę.

Nieprzerwanie padał zimny deszcz.

Zadzwoniłem po taryfę.

Jakiś kwadrans później samochód wychynął z ciemności.

– Spóźniłeś się.

– Napisz skargę do izby turystycznej.

Wlazłem na tylne siedzenie, spuściłem szybę i zapaliłem papierosa.

Jechałem na spotkanie z Królową.

* * *

Drzwi do prywatnej części pałacu były zaryglowane na głucho. Zwykli zjadacze chleba nigdy tu nie docierali, ale też ja nigdy się do nich nie zaliczałem, a takie błahostki jak zamki w drzwiach rzadko kiedy mnie spowalniają. Drzwi do osobistych

apartamentów Królowej, na których wymalowano wielkie czerwone serce, nie były zamknięte na klucz, więc bezceremonialnie wtargnąłem do środka.

Królowa Kier była sama. Stała przed wielkim lustrem, w jednej ręce trzymając talerz z ciasteczkami z konfiturą, a drugą pudrując sobie nos. Usłyszała mnie. Odwróciła się błyskawicznie i z krzykiem upuściła talerz.

– Cześć, Królowo – powiedziałem. – A może powinienem nazywać cię po prostu Jill, co?

Nawet bez blond peruki wyglądała wspaniale.

– Zjeżdżaj stąd! – syknęła.

– Ani mi się śni. – Usiadłem na łóżku. – Zamiast tego chciałbym ci wyłuszczyć kilka spraw.

– No dobra, wal – powiedziała, jednocześnie sięgając za siebie w stronę ukrytego przycisku alarmowego. Nie przeszkodziłem jej. Włamując się do jej komnat, przeciąłem odpowiednie przewody. W moim fachu nie ma czegoś takiego jak nadmierna ostrożność.

– Chciałbym ci wyłuszczyć kilka spraw.

– Powtarzasz się.

– A opowiem ci o wszystkim po mojemu, droga pani.

Zapałem papierosa. Cienka smużka błękitnego dymu uniosła się ku niebu, czyli tam, gdzie przyjdzie mi się udać, jeśli moje przeczucie okaże się błędne. W moim fachu nauczyłem się jednak ufać przeczuciom.

– Posłuchaj choćby tego. Dumpty, zwany również Grubasem, nie był twoim bratem. Nie był nawet twoim przyjacielem. W rzeczy samej gość cię szantażował. Wiedział wszystko o twoim nosie.

Pobladła bardziej od tłumy truposzy, które widywałem w mojej karierze. Instynktownie dotknęła świeżo upudrowanego nosa i zasłoniła go dłonią.

– Widzisz, znałem Grubasa od lat, stąd wiem, że dawno temu prowadził dość lukratywny interesik związany z trenowaniem zwierząt i ptaków do wykonywania pewnych nieprzyjemnych rzeczy. To zaś skłoniło mnie do dalszych przemyśleń. Ostatnio zgłosił się do mnie pewien klient, który nie stawił się na drugie spotkanie, głównie dlatego, że ktoś go w międzyczasie załatwił. Doktor Foster z Gloucester, chirurg plastyczny. Oficjalnie podaną przyczyną śmierci było to, że usiadł zbyt blisko ognia i się roztopił. Wyobraźmy sobie jednak, że został zabity po to, żeby nie wygadał czegoś, o czym wiedział. Połączyłem fakty i trafiłem w dziesiątkę. Pozwól, że opiszę ci całą scenę na twój użytek. Oto jesteś w ogrodzie, przypuszczalnie rozwieszając pranie, gdy nagle nadlatuje jeden z wyćwiczonych przez Dumpty'ego szpaków i jednym dziobnięciem rozwała ci nos. Stoisz w ogrodzie, zakrywasz twarz, aż tu oto nadchodzi Grubas z propozycją, której nie można odrzucić. Utrzymuje, że mógłby cię skontaktować z pewnym chirurgiem plastycznym, który naprawi twój nos, ale nie za darmo. Oczywiście utrzymanie wszystkiego w tajemnicy jest wliczone w cenę. Czy gdzieś się pomyliłem?

Skinęła głową, wciąż otumaniona i oszołomiona, a potem, odzyskawszy głos, mruknęła:

– Mniej więcej. Tylko że po ataku uciekłam do salonu, by zjeść nieco chleba z miodem. To tam mnie znalazł.

– W porządku – ciągnąłem. Zauważyłem, że jej policzki zaczynały odzyskiwać kolor. – A zatem Foster przeprowadził operację i nikt nie miał się o niczym dowiedzieć. Dopóki Dumpty nie powiedział ci, że ma zdjęcia, które cyknął podczas operacji. Musiałaś się więc go pozbyć. Kilka dni temu spacerowałaś sobie po ogrodach pałacowych i niespodziewanie ujrzałaś Humpty’ego, który siedział na murze i patrzył w dal. Ogarnęła cię furia i pchnęłaś go z całej siły. A Humpty Dumpty przywalił w ziemię aż miło. Znalazłaś się jednak tym samym w wielkich tarapatach. Nikt nie podejrzewał cię o morderstwo, ale gdzie znajdowały się fotografie? Nie miał ich Foster, chociaż zaczął już coś podejrzewać, więc trzeba było pozbyć się również i jego, zanim się ze mną spotka. Nie wiedziałaś jednak, ile mi powiedział, i nadal nie miałaś tych zdjęć, a więc wynajęłaś mnie, żebym je odszukał. I tu właśnie popełniłaś błąd, siostrzyczko.

Jej dolna warga zadrżała, a moje serce zatrzepotało.

– Nie oddasz mnie władzom, co?

– Siostrzyczko, dziś po południu próbowałaś mnie zrobić! Nie przepadam za takimi sztuczkami!

Drżącymi dłońmi zaczęła rozsypywać bluzkę.

– Może uda nam się jednak wypracować jakieś porozumienie?

Pokręciłem głową.

– Przykro mi, Wasza Wysokość. Pani Horner nauczyła swojego małego synka, żeby trzymał łapy z daleka od wszystkiego, co królewskie. Szkoda, ale tak to właśnie wygląda.

Na wszelki wypadek opuściłem jednak wzrok, co okazało się błędem. W dłoni Królowej niespodziewanie znalazł się drobny, zgrabny pistolecik dla dam, wycelowany prosto we mnie. Rozmiarami nie grzeszył, ale krył w sobie wystarczająco dużo ołowiu, by wyeliminować mnie z gry na zawsze.

Ta babka była śmiertelnie niebezpieczna.

– Proszę odłożyć broń, Wasza Wysokość. – Sierżant O’Grady wkroczył przez drzwi do sypialni, ściskając policyjny pistolet oraz odznakę w dłoni wielkiej niczym udziec barani. – Przykro mi, że cię podejrzewałem, Horner – powiedział suchym głosem. – Twoje szczęście, że tak się stało, piekło i szatani. Kazałem cię śledzić i przez to usłyszałem tę waszą gadkę.

– O, witam, panie władzo. Fajnie, że pan wpadł, ale nie skończyłem jeszcze rekonstrukcji wydarzeń. Jeśli zechce pan sobie klapnąć, dokończę w te pędy.

Kiwnął głową i usiadł przy drzwiach. Lufa jego broni nawet nie drgnęła.

Ja zaś wstałem z łóżka i podszedłem do Królowej.

– Wiesz co, skarbie? Nie powiedziałem tylko jednej rzeczy, a mianowicie tego, kto miał fotki z operacji na twoim nosku. Otóż miał je Humpty, gdy go zabiłaś.

Jej idealne, perfekcyjne wprost brwi wygięły się czarująco.

– I tu się pogubiłam... Skąd ten wniosek? Przecież kazałam przeszukać jego ubranie.

– Pewnie, ale to było nieco później. Jako pierwsi do Humpty’ego przypadli Ludzie Króla. Jeden z nich zauważył kopertę i wsadził sobie do kieszeni. Zanosiło się na kolejny mały szantaż zaraz po tym, jak ucichnie zamieszanie, ale tym razem już nie wiedziałabyś, kogo zabić.

Nachyliłem się, by zawiązać sznurowadło.

– Dlaczego?

– Oskarżyłem cię o to, że dziś po południu próbowałaś mnie wrobić. Cóż, pomyliłem się. Ta strzała należy do chłopaka, który był najlepszym łucznikiem w mojej szkole. Powinienem był od razu rozpoznać te charakterystyczne lotki. Myle się może – z tymi słowy odwróciłem się ku drzwiom – panie „Sparrow” O’Grady?

Zawiązując sznurowadła, namacałem kilka ciasteczek z konfiturą. Uchwyciłem mocniej jedno z nich i jednym celnym rzutem rozwaliłem żarówkę w pokoju.

Opóźniło to strzelaninę ledwie o kilka sekund, ale więcej nie potrzebowałem. Podczas gdy Królowa Kier i sierżant „Sparrow” O’Grady z ulgą i radością grzali do siebie, najnormalniej w świecie dałem dyla.

W moim fachu trzeba o siebie dbać.

Pogryzając ciasteczko, wyszedłem z terenów pałacowych i znalazłem się na ulicy. Zatrzymałem się przy koszu na śmieci, gdzie spróbowałem spalić pełną zdjęć abakową kopertę, którą ukradkowo wyciągnąłem z kieszeni O’Grady’ego, ale łało tak bardzo, że papier nie chciał się zająć ogniem.

Wróciłem więc do biura i zadzwoniłem do izby turystycznej, by złożyć skargę. W odpowiedzi usłyszałem, że deszcz pomaga rolnikom. Powiedziałem im wówczas, gdzie to mam.

Człowiek, z którym rozmawiałem, odparł, że nigdzie nie napisano, że będzie lekko.

Trudno się było nie zgodzić.

Od tłumacza:

Piszę te słowa w uznaniu dla pomysłowości autora tego opowiadania i w trosce o Czytelnika, który ze względu na różnice kulturowe może owej pomysłowości nie docenić. Otóż Humpty Dumpty, pamiętany zapewne z Alicji po drugiej stronie lustra L. Carrolla, nie jest jedyną postacią zaczerpniętą z angielskich rymowanek dla dzieci, która pojawia się w opowiadaniu. Kogut Robin pochodzi z wierszyka Who Killed Cock Robin, wedle którego zabija go z łuku niejaki Sparrow (vide sierżant „Sparrow” O’Grady), a Jill z Jack and Jill. Jack (w którym należy się domyślać postaci Homera) i Jill w wierszyku taszczą na wzgórze „a pail of water” – wiadro wody – co w opowiadaniu wykorzystane zostaje jako nazwa lokalu, dokąd Jack chciał zabrać Jill. Pozostałe postacie również wywodzą się z rymowanek dla najmłodszych, jak doktor Foster (Doctor Foster), Mała Bo Peep (Little Bo Peep has lost her sheep), Mamuśka Hubbard (Old Mother Hubbard) i Georgie Porgie, który rzeczywiście straszył dziewczyny buziakami (Georgie Porgie). Tytułowe szpaki pochodzą z piosenki Sing a song of sixpence, a owa smakowitość ma zostać postawiona przed królem.

E.K. Grant

utrzymuje, że nie istnieje i że tak naprawdę jest kimś zupełnie innym. To, kim niby jest, raczej ciężko ustalić. Mogę tylko powtórzyć to, co sam mi kiedyś powiedział. E.K. Grant twierdzi, że jest pseudonimem literackim mało znanego amerykańskiego autora scenariuszy, a o tym, że zajmuje niewiele znaczącą pozycję w Wielkim Porządku Rzeczy, najlepiej świadczy fakt, że utrzymuje się głównie ze swych zarobków jako elektryk i informatyk. Co więcej, powiedział mi również, że „jako dziecko został porzucony w Serengeti i na skutek owego zdarzenia wychowany przez stado pawianów wegetarian”, że „od przynajmniej dwóch tysięcy lat jest mężem tajemniczej kobiety, którą spotkał w słupie ognia” i że „analiza dna wykazała, że jest jedynym znanym synem Anastazji Mikołajewny i przez to pretendentem do tronu carskiej Rosji”. Wszystko to raczej budzi moją wątpliwość, choć poznawszy go, jestem skłonny uwierzyć w te wegetariańskie pawiany.

E.K. Grant CZŁOWIEK, KTÓRY NIENAWIDZIŁ CADILLACÓW

Klienci i inkasenci pukają.

Płatne oprychy wpadają i prują z kilku luf.

Kiedy więc ktoś wpada niezapowiedziany, i to z pustymi rękami, jest albo gliniarzem, albo kimś, kto pomylił moje biuro z męską toaletą (kibel jest kilka kroków dalej w korytarzu, drzwi po lewej, jeśli cię to interesuje. Główna różnica polega na tym, że drzwi do kibla zostały niedawno wykończone i staranniej wymalowano na nich znaczek. Zapach w środku też jest miłszy).

Mój gość nie zapukał, przyszedł też z pustymi rękami.

Garnitur, starannie ogolona twarz i fryz typowy dla przeciętnego amerykańskiego chłopaka, a także wybrzuszenie pod pachą aż nader wyraźnie zdradzały jego profesję. Oto jeden z federalnych zapuścił się w moją część miasta.

Wszedł tak szybko, że nie zdążyłem nawet ostrzec go przed luźnym kawałkiem wykładziny.

Jedno muszę przyznać. Byłem pewien, że wyrznie w ziemię z takim impetem, że kark sobie połamie, a tymczasem bez trudu złapał równowagę. Błyskawicznie rozstawił nogi z wprawą typową dla kogoś, kto długie lata ćwiczył balet lub football. Postawiłbym na football. Podszedł do mojego biurka już ostrożniej, od czasu do czasu łypiąc na podłogę. Ogromny niczym skała, pochylił się i wbił we mnie groźne, nieustępliwe spojrzenie.

– Można by cię zaskarżyć za tę wykładzinę! – warknął.

Na moje szczęście niełatwo mnie wystraszyć. Uśmiechnąłem się więc tylko i oznajmiłem:

– Pewnie, że można. A gdybyś zapukał, do czego zachęca napis na drzwiach, zawołałbym, żebyś uważał.

Pokazałem mu ścianę za moimi plecami.

– Widzisz te dziurki? To ślady po kulach z pistoletu maszynowego. Ten chłopczek z emerytowanym schmeisserem rozwałkowałby mnie bez trudu, gdyby się nie poślizgnął na wykładzinie. Już wolę zaryzykować proces, co mi tam.

Federalny przybrał obojętny wyraz twarzy. Wyciągnął portfel z legitymacją i lekceważąco machnął mi nią przed oczami. Wyjąłem mu legitymację z dłoni, nim się zorientował, że w ogóle się poruszyłem, i wskazałem mu gestem jedyne z rozklekotanych krzesel, które wciąż stało przed moim biurkiem, chwając się w rytm kapryśnych podmuchów z działającej nierównomiernie klimatyzacji. Przez twarz gliniarza przemknęła fala arcyciekawych, ledwie zauważalnych mikroekspresji, lecz ostatecznie zdecydował, że nie naskoczy na mnie i nie wyrwie legitymacji siłą.

Z równą ostrożnością rozsiadł się na krześle, a ja podniosłem słuchawkę telefonu i wcisnąłem kilka klawiszy. Rozmówca po drugiej stronie odezwał się zaraz po pierwszym sygnale, lecz nie było się czemu dziwić. Ludzie w tym biurze zawsze szybko działają. W przeciwieństwie do mnie są nieźle opłacani.

– Cześć, Harvey – powiedziałem. – Tu Jake Larsen. Przyszedł do mnie albo jeden z waszych, albo ktoś, kto ma jego legitkę. Mógłbyś mi opisać Rodneya Z. Bevansa?

Harvey Lemnitz prowadził miejscowe biuro federalne, dla którego od czasu do czasu wykonywałem drobne robotki. Opisał mojego gościa co do szczegółu, nie zapominając o jego wyglądzie typowym dla skauta na emeryturze, a potem rzekł:

– Ma ci przekazać szczegóły pewnej roboty. Znowu brakuje mi ludzi, bo wszyscy poszukują kontaktów, których uwolniłeś po akcji ze Scorpionim w zeszłym miesiącu. Nie poinformowałem cię, bo wiedziałem, że i tak zadzwonisz, żeby go sprawdzić. Przy twojej paranoi nie miałem co do tego wątpliwości.

– Nie mam paranoi – odparłem. – Po prostu ktoś bez przerwy do mnie strzela i tyle. Dzięki za dobre słowo.

Odłożyłem słuchawkę i z backhandu rzuciłem Bevansowi jego legitkę. Wylądowała idealnie na jego kolanie.

– Co oznacza owo Z przed twoim nazwiskiem?

Starannie włożył legitymację do kieszeni i powiedział:

– Zebulon.

Potem z wewnętrznej kieszeni płaszcza wy dostał kopertę o wymiarach osiem na jedenaście i również z back handu rzucił mi ją na biurko, przypuszczalnie by pokazać, że też tak potrafi. W tymże momencie krzesło trzasnęło pod jego ciężarem i niemalże się załamało, co totalnie zepsuło wrażenie, które chciał uzyskać.

– O krześle nic już nie będę mówił – rzekł. – Jak rozumiem, ktoś próbował cię rozwalić, siedząc na nim?

Pokazałem mu poryty sufit.

– Ślady po kulach kalibru dziewięć milimetrów. Poruszył się zbyt gwałtownie, a krzesło... Cóż, niespodziewanie wyparowało.

Rzuciłem to od niechcienia, gdyż moją uwagę przyciągnęła całkowicie koperta, która otwarła się, ukazując znane mi zdjęcie.

– A więc chcecie, żebym przyjrzał się doktorowi Frayleyowi – powiedziałem. – Raczej nic trudnego.

Wbiłem w Bevansa najbardziej lodowate spojrzenie, na jakie mogłem się zdobyć, choć nie wywarło to na nim szczególnego wrażenia, a potem zapytałem stanowczo:

– Jakie są szanse, że wszystko skończy się tak jak poprzednio? Miałem jedynie odnaleźć jednego z kurierów Scarpioniego, gościa o nazwisku Scammer. Nikt mi nie powiedział o jego dziewczynie.

Bevans utrzymywał uprzejmą minę, choć widać było, że jest znudzony. Dorzuciłem więc kilka szczegółów:

– Nie więcej niż siedemnaście lat, ale nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś szybciej i celniej walił z magnum czterdzieści cztery.

Nagle zainteresowanie sprawiło, że federalny porzucił obojętną pozę.

– Pan Lemnitz mówił mi o niej. Wierz mi, był naprawdę przekonany, że to Scammer we własnej osobie zabija tych wszystkich ludzi. Mówił też, że jest ci bardzo zobowiązany za rozwiązanie tej sprawy.

Wyraz jego twarzy informował mnie, że przeprosiny powinny mnie udobruchać i zrobić na mnie wrażenie. Nie zadziałało.

Federalny zorientował się i stwierdził:

– Ta sprawa nie powinna okazać się trudna. Chcemy tylko, żeby ktoś śledził doktora, a potem złożył raport. Zrobilibyśmy to sami, gdyby nie brakowało nam ludzi, ale wielu z nas musiało się ostatnimi czasy wziąć za nowe zadania. Pokrywamy wszelkie koszty, a jeśli dowiesz się, skąd dobry doktor Frayley czerpie zyski, prawdopodobnie czeka cię również premia za ukończenie sprawy.

Potarłem palcami miejsce, w którym nos łączy się z czołem. Bevans zauważył to natychmiast.

– Dobrze się czujesz?

– Wszystko w porządku – odparłem. – Dokucza mi brak snu, to wszystko. Okolice, w której mieszkam, ma problem z pieprzonym dzieciakiem o imieniu Nigel. Otóż Nigel ma starego cadillaca bez tłumika, którym uwielbia jeździć po ulicy w środku nocy. Zazwyczaj przez całą noc. A wracając do tematu, co kogo obchodzi, skąd Frayley bierze szmal?

Bevans wzruszył ramionami.

– Musimy go przygotować na nową robotę, a tymczasem według skarbowki facet zawsze wykazuje w sprawozdaniu rocznym dobre dwadzieścia kawałków więcej, niż zarabia na uniwerku. Nazywa to zyskami z gier hazardowych.

Skrzywił się, co nie pasowało do człowieka o tak powściągliwym usposobieniu.

– A zatem uprawianie hazardu jest nielegalne, nawet jeśli deklaruje się przychód i opłaca podatki?

– Tak, jeśli facet nigdy nawet nie zbliża się do granic Nevady, nie odwiedza

żadnych jaskiń hazardu w mieście i nie obstawia przez telefon. Skarbówka ma gdzieś, skąd pochodzą pieniądze, oczywiście pod warunkiem, że zapłaci się od nich podatek. My jednak musimy to wiedzieć. Bez tego nie możemy stwierdzić, czy jest czysty, czy nie.

– A możesz mi powiedzieć, do jakiej roboty go szykujecie?

Uśmiechnął się, jakby wreszcie zdobył pierwszy punkt.

– Nie – rzekł. – Powinno ci wystarczyć, jak powiem, że ma to związek z jego profesją, a jest fizykiem. Kropka. Twoim głównym zmartwieniem jest jednak źródło dodatkowego dochodu doktora.

– Dobra – powiedziałem. – Nie muszę ci chyba mówić, że ostatnio kiepsko mi się wiedzie.

Cholera, starczyło zerknąć na ową szcurzą norę, którą eufemistycznie nazywam biurem, i każdy by się pokapował. Przetrawiałem do tej pory jedynie dzięki Ustawie o Działalności Pomocniczej, która pozwala agencjom rządowym zatrudniać prywatnych detektywów z odpowiednimi uprawnieniami. Razem z liberalizacją praw rozwodowych klientela przeciętnego detektywa skurczyła się raptownie, wbrew temu, co głosi telewizja, nadal utrzymująca, że grzebanie w rozwodach to dla nas główne źródło dochodów.

Bóg jeden świadkiem, że tęskniłem za czasami, gdy zajmowałem się głównie sprawami rozwodowymi. Była to brudna robota wymagająca nieczystych zagrań, jak resztą większość moich zajęć, ale przynajmniej nikt do mnie wówczas nie strzelał.

Zamknąłem kopertę, którą rzucił mi Bevans, i wsunąłem ją do prawej wewnętrznej kieszeni mego płaszcza, gdzie znalazła się po przeciwnej stronie wysłużonego colta czterdziestkiptki, którego noszę pod lewą pachą. Federalny pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „A więc to wszystko”, i wyszedł bez słowa. Efekt końcowy zepsuło lekko kolejne potknięcie o skraj wykładziny. Słyszałem, jak mruczał coś do siebie półgłosem, idąc korytarzem.

Zamknąłem biurko na klucz, nastawiłem pułapki i wybiegłem z biura, omijając po drodze zdradliwą wykładzinę. Wszystko to zabrało mi jakieś trzydzieści sekund – gdy jestem splukany i poczuję zapach grosza, nawet zając nie jest w stanie mnie dogonić.

* * *

Doktor Thaddeus Frayley, właściciel dwóch wielce zasłużonych tytułów doktorskich i kilku honorowych, mieszkał w schludnym, zacnym domu z brunatnego piaskowca, rzut beretem od zabudowań miasteczka studenckiego. W mojej nieco zagmatwanej karierze studenta – oczywiście zanim wydalono mnie za kilka trywialnych przygód z dziewczętami, które (dziewczeta, nie przygody, rzecz jasna) okazały się, niestety, spokrewnione z pozbawionymi poczucia humoru członkami uniwersyteckiej administracji – uczestniczyłem w kilku kursach fizyki prowadzonych przez Frayleya. Należał do nielicznej grupki nauczycieli, których nadal darzyłem prawdziwym szacunkiem i sympatią.

Gdy szedłem po ścieżce wyłożonej płytami chodnikowymi, pojałem wreszcie,

dlaczego doktor zaczął martwić Wuję Sama. Posiadłość była warta przynajmniej trzysta kawałków na wolnym rynku. Z bliska dom okazał się o wiele większy niż z ulicy, a wymyślnie zaplanowany ogród z egzotycznymi krzewami dodawał jakieś trzydzieści kawałków do ogólnej wartości posesji. Z boku znajdowało się wielkie podwórko otoczone płotem oraz żywopłot z oleandrów. W tej okolicy ceny gruntów były wysokie, a ja miałem wrażenie, że przypominam sobie podobny dom. Byłem niemalże pewien, że Frayley kupił go i częściowo wyburzył, by dobudować więcej pomieszczeń. Człowiek ten z każdą chwilą intrygował mnie coraz bardziej.

Drzwi otworzyła mi platynowa blond piękność z kryształowymi błękitnymi oczyma i twarzą anioła. Reszty nie widziałem, bo miała na sobie grubą flanelową podomkę. Gdy udało mi się oderwać od niej spojrzenie, zerknąłem do wnętrza domu. Był gustownie, bogato umeblowany, choć widywałem bogatsze wnętrza. Znow zwróciłem uwagę na blondynkę.

– Tak? – spytała.

Jej głos przypominał muzykę wiolonczeli, był ciepły i bogaty. Zakochałem się po raz trzeci w tym tygodniu, tym razem tak bardzo, że nie pamiętałem już, komu oddałem swe serce we wtorek. Powinienem być usłyszeć dzwon alarmowy w głowie – szczyć się przecież tym, że jeśli chodzi o kobiety, mam pamięć godną słonia.

– Powiedz coś jeszcze, proszę – rzekłem. – Po prostu uwielbiam ton twojego głosu. Co robisz dziś wieczór?

Odwróciła głowę i zawołała w głąb domu:

– Tato! Przyszedł jeden z twoich studentów!

Wciąż trawiłem w sobie emocje, gdy pojawił się doktor Frayley, trzymając książkę. Miejsce, gdzie przerwał czytanie, założył palcem. Na nosie miał okulary. Jego łysina powiększyła się od czasów, gdy chodziłem na jego wykłady, ale wyglądał zdrowo, a jego błękitne oczy lśniły równie intensywnie jak za dawnych lat. Otaksował mnie spojrzeniem.

– Nie, to nie mój uczeń – oznajmił. – Skądś go znam, ale żaden z moich studentów nie nosi kabury operacyjnej. Powiedz mu, żeby sobie poszedł.

Już miał wyjść z pokoju, ale zaraz błyskawicznie odwrócił się ku mnie znowu. Jego oczy rozbłysły nagłym zainteresowaniem.

– Czy pan aby nie jest jednym z tych ludzi, którzy snują się za mną od kilku tygodni? Jeśli tak, to proszę do środka. Mam nadzieję, że zechce mi pan to wszystko wytłumaczyć. Dręczy mnie ciekawość.

Nie czekając na odpowiedź, podszedł, uprzejmym gestem ujął mnie pod ramię i delikatnie, lecz stanowczo powiodł do gabinetu, pełniącego również rolę biblioteki. Znałem dobrze rozkład pomieszczeń na parterze po przeciwnej stronie domu (kuchnia, łazienka, kilka pokojów gościnnych, ale dajmy sobie spokój z osobistymi dygresjami historycznymi), ale gabinetu nigdy jeszcze nie widziałem. Znajdowało się tam kilka gablot z odznaczeniami z europejskiego teatru wojennego z czasów drugiej wojny światowej, a do tego Brązowa Gwiazda i Srebrna Gwiazda. Byłem przekonany, że jedno ze zdjęć przedstawia o wiele młodszego Frayleya w towarzystwie generała „Dzikiego Billa” Donovana i doktora Stanleya Lovella. Na

honorowym miejscu nad kominkiem znajdował się portret postaci z kreskówki *Zwariowane Melodie*, Marsjanina Marvina, podpisany przez Chucka Jonesa. Człowiek nigdy nie przestaje się uczyć, jak sądzę.

Zanim zdążyłem wykrztusić choć słowo, Frayley nalał mi brandy – dobrej, porządnej brandy – i pchnął w moim kierunku pudełko z drogimi cygarami. Nie chcąc okazać braku uprzejmości, wychyliłem brandy i nadstawiłem szklanekę w oczekiwaniu na kolejną porcję.

– No więc? – zapytał. – Złamałem prawo? A może jest pan wścibskim typkiem szukającym jakiegoś datku? Zapewniam, że mam bardzo niewiele pieniędzy.

– I tu dotykamy sedna sprawy – powiedziałem. – Jestem prywatnym detektywem.

Pokazałem mu identyfikator.

– Dzięki moim uprawnieniom mogę prowadzić pomocnicze działania śledcze zlecone przez niektóre agencje rządowe. Może i sądzi pan, że posiada niewiele pieniędzy, ale wielu ludzi jest głęboko zatroskanych tym, skąd udaje się panu wyciągnąć dwadzieścia tysięcy kawałków dodatku do pensji na rok.

– Chodzi panu o moje przychody z gier hazardowych?

– Otóż to – odpowiedziałem. – Ludzie Scarpioniego trzymają łapę na hazardzie w całym stanie i nie pogodziliby się z tym, że ktoś tak konsekwentnie wygrywa. Już dawno temu zabraliby pana na przejażdżkę i zasadzili w polu kukurydzy. Poza tym wydaje mi się, że pamiętam pańskie wykłady na temat hazardu. Nie jest pan hazardzistą, chyba że przez ostatnie piętnaście lat coś panu odbiło.

Spojrzał prosto na mnie i rzekł:

– Dopiero teraz połączyłem pana z odpowiednim wspomnieniem. – Zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu. – Przeczytałem nazwisko Jake Larsen na pańskiej legitymacji, ale nie skojarzyłem w pierwszej chwili. Cóż, rzecz jasna, zmienił się pan, i to mocno.

– Ale wciąż w dobrym zdrowiu – powiedziałem. – W znacznie mierze dzięki temu, że ktoś kiedyś nauczył mnie, że nie warto mieszać się w hazard.

Doktor kiwnął głową, wyraźnie zadowolony.

– A więc – podjąłem – opowie mi pan o tej dodatkowej forsie czy mam wziąć ostrzejszy kurs i węszyć wokół pana całymi tygodniami?

Taktyka, którą obrałem, może wydawać się śmieszna, ale byłem świadkiem zdecydowanie zbyt wielu dochodzeń, które ciągnęły się tygodniami lub nawet miesiącami, podczas gdy człowiek stanowiący ich cel z chęcią by wszystko wyjaśnił, gdyby tylko ktoś go o to poprosił. Potrząśnięcie drzewem, by sprawdzić, czy coś nie zleci, często okazuje się skuteczną techniką dochodzeniową, która tylko czasami bywa niebezpieczna.

Frayley zmarszczył brwi. Pamiętałem ten wyraz twarzy z jego wykładów. Nie był rozdrażniony, tylko nie mógł znaleźć prostej odpowiedzi. Naraz rozpromienił się.

– A co mi tam. Mam nadzieję, że nie popełnię wielkiego błędu, jeśli zaproszę pana do bawialni, tam pokażę panu wszystko.

Przeszedł przez pokój sprężystym krokiem i poprowadził mnie na dół schodami,

które skrywały się za rzędem roślin w doniczkach, na tyle bujnych, że mogły uchodzić za żywopłot.

Bawialnia była oświetlona jak pustynia Mojave w samo południe i jeśli rzeczywiście pomieszczenie to służyło jako bawialnia, to ja noszę majtki w kolorze lawendy. To, że zostałem wywalony ze studiów przed ukończeniem pierwszego roku, nie oznacza, że jestem na tyle głupi, by nie rozpoznać laboratorium. Mikroskop elektronowy oraz spektroskop magnetycznego rezonansu jądrowego wzbudziły mój podziw, ale gdy ujrzałem komputer do poboru danych z innych urządzeń laboratoryjnych, zrozumiałem, że facet jest o wiele zamożniejszy, niż sądzili federalni. Widywałem już g-7 Micro-Cray i wiedziałem, po co są sprzedawane.

Nie pasował mi tylko ten pentagram na podłodze ułożony z płytek innego koloru. Miałem w życiu kilka co bardziej odjechanych panienek i podobne pentagramy też widywałem.

Doktor dostrzegł moje spojrzenie i aż się rozpromienił.

– Otóż to. Czarna magia. Lub przynajmniej magia.

Podszedł do stanowiska pracy i podniósł połyskujące urządzenie, którego nie mogłem zidentyfikować. Próbowałem ocenić, czy facet robi mnie w konia, czy może planuje w bliskiej przyszłości pobyt w najbliższym wariatkowie.

Frayley pochylił się nad stertą różnych przedmiotów, z której wyciągnął zegar o dwóch cyferblatach, taki, jakich używa się na turniejach szachowych. Podszedł do środka pentagramu i postawił chronometr, cofnął się i wycelował w niego owym dziwnym instrumentem.

Zegar zachwiał się.

Nie znam lepszego sposobu, by to opisać. Po prostu się zachwiał. W chwilę później powietrze wokół niego zaczęło migotać i falować, a potem zegar zniknął. W jego miejscu pojawił się stosik banknotów, najnormalniejszych w świecie zielonych, obciążonych kilkoma monetami parocentowymi.

Doktor uśmiechnął się i zachęcił mnie gestem, bym podniósł pieniądze.

Banknoty były nowe, czyściutkie i niepozaginane.

– To nie żadne sztuczki jarmarczne, a prawdziwa magia – oznajmił Frayley. – Prosty przykład zastosowania potencjalnej ekwiwalencji. Ów zegar – wskazał trzymane przeze mnie pieniądze – nie był więcej wart niż dwadzieścia dolców. Za moją sprawą stał się bezpośrednio, a nie potencjalnie ekwiwalentny. To bagatela, gdy wiadomo co i jak. Pewnie mógłbym pana nauczyć tego w kilka godzin. Oczywiście – przy tych słowach zmarszczył na moment brwi – czasami uzyskuję Certyfikaty Srebra sprzed tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego oraz srebrne pieniądze. Nadal jest wiele rzeczy, których nie rozumiem.

Pochyliłem się i spróbowałem poruszyć płytki ułożone pośrodku pomieszczenia. Mocno trzymały. Dobra, tylko się upewniałem. Przecież wiedziałem, że to żadna iluzja. Było tu zbyt dużo światła.

– Nie wydaje mi się, żeby było to takie proste – rzekłem. – Inaczej już dawno ktoś by na to wpadł.

Srebrzyste brwi Frayleya wygięły się w łuk, przez co doktor przez moment przypominał uśmiechającego się tajemniczo cherubinka.

– W rzeczy samej, ktoś na to wpadł. „Jeśli widzę dalej, to tylko dlatego, że stoję na ramionach olbrzymów”.

Nadal cytował Newtona. Zawsze idealizował tego człowieka.

– Chce pan dać do zrozumienia, że Isaac Newton wynalazł...

– Oczywiście, że nie! – warknął. – Gdyby Newton odkrył to wszystko, na pewno nie omieszkałby określić ilościowo zasad magii, podobnie jak to uczynił z fizyką i matematyką. Nie, wskazówki odnalazłem w pewnym rękopisie autorstwa mało znanego alchemika, który pracował pod patronatem Fredericka z Würtzburga.

– Owego słynnego Fredericka? Tego, który wieształ każdego alchemika, który odważył się ujawnić?

Frayley skinął głową.

– Tego samego. Wydaje mi się, że to właśnie związek z tym alchemikiem wywołał u Fredericka uczulenie na jego kolegów po fachu. Najprawdopodobniej człowiek zatrzymał się na samym efekcie końcowym, nie dostrzegając zasady ekwiwalencji potencjalnej. Za każdym razem, gdy zamieniał ołów wartości dziesięciu dolców w złoto dla swego patrona, otrzymywał złoto wartości dziesięciu dolców, a w ten sposób ciężko cokolwiek zarobić.

Podał mi ów srebrny gadżet, bym mógł mu się przyjrzeć.

– Pierwszy model, który naprawdę działa – objaśnił. – Nie działa jednak bez pentagramu i nie można na nim polegać podczas niektórych faz księżyca. Spróbowałem raz go wykorzystać podczas zaćmienia i uzyskałem lustrzane odbicie srebrnych rubli z końca dziewiętnastego wieku.

Ująłem przyrząd delikatnie, uważając, by go przypadkiem nie uruchomić. Nie odkryłem na nim jednak żadnych ruchomych elementów – przyrząd w moim odczuciu przypominał chaotyczny zlepek srebrnych metalowych wihajstrów sterczących pod dziwnymi kątami.

– Nie musi pan aż tak uważać – powiedział. – Czar jest częściowo oparty na działaniu umysłu, a poza tym nie zadziała na zewnątrz pentagramu.

– Rozumiem już teraz, dlaczego utrzymywał pan, że wygrywa forszę w grach losowych – powiedziałem. – A czy powie mi pan, co też pan wrzucał w ów pentagram, żeby zarobić aż tyle?

Nagle utracił swą śmiałość i uśmiechnął się jak zawstydzony uczeń.

– Cadillaki.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Zdaje sobie pan sprawę, ilu gliniarzy biega po mieście jak z pęcherzem w poszukiwaniu śladów grupy przestępczej, która kradnie i opycha cadillaki? To nieduże miasto, a w zeszłym roku ktoś rąbnął ich przynajmniej pięćdziesiąt sztuk. To pan?

– Tak – rzekł. – Nie lubię ich. Są wielkie, ostentacyjne i mało ekonomiczne. Za jednego cadillaca można zbudować trzy, cztery volkswageny, a świat nie może już sobie pozwolić na rozrzutność. Czy zdaje sobie pan sprawę – gniew zaczął nagle

wypierać obronny ton w jego głosie – że przeciętny cadillac zamienia się na niecałe trzysta dolców? To chyba najlepiej udowadnia, ile naprawdę są warte te samochody!

– A co z kosztami, na które naraża pan firmy ubezpieczeniowe? Nie wydaje mi się, żeby pańskie postępowanie należało do etycznych.

Frayley nie miał już zamiaru się bronić.

– Śmiechu warte. Towarzystwa ubezpieczeniowe opłacą wszystkich polityków potrzebnych do przegłosowania nowej ustawy o obowiązkowych ubezpieczeniach komunikacyjnych za każdym razem, gdy zamarzy im się zmiana wysokości składki. Przy założeniu, że moja działalność rzeczywiście je coś kosztowała, odrobiją sobie straty przez podwyższenie składek o ułamek centa na rok. Ja jedynie podwyższam swoje dochody kosztem publicznym, a przecież większość klientów firm ubezpieczeniowych to ci sami idioci, którzy od trzydziestu lat głosują przeciwko podwyżkom pensji dla nauczycieli. Ponadto nie wypłacam sobie więcej, niż zarobiłbym jako konsultant przemysłowy, który pracuje na te pieniądze o wiele mniej niż ja.

Przypuszczam, że nie wyglądałem w tym momencie na całkiem przekonanego, gdyż Frayley ciągnął dalej:

– Chciałem, żeby moje córki skończyły szkołę, chciałem też spłacić dom, czyli coś, co jest w zasięgu możliwości każdego kompetentnego mechanika samochodowego czy hydraulika, ale nie uczciwego wykładowcy! Gdyby Karla nie ukończyła studiów z wyróżnieniem i nie załapała się na stypendium nauczycielskie, zacząłbym pewnie rozglądać się za chryslerami.

Zbyłem jego wyjaśnienia wzruszeniem ramion.

– Czyli dysponuje pan zapewne przenośną wersją tego gadżetu?

Wyciągnął płaską skórzaną torbę, przypominającą przerośnięty pokrowiec na zegarek, ozdobioną kilkoma frędzlami z węzełkami.

– A jakże – rzekł. – Całkowicie przenośny. Działa niezależnie od obecności pentagramów, koniunkcji planetarnych czy stanu umysłu.

– Powoli, doktorze, przecież ja nie chcę tego kupić. Nie wiem nawet, dlaczego mi go pan pokazuje.

– A komu by pan o tym powiedział? – prychnął doktor Frayley. – Gdyby przyszło panu do głowy rozreklamować mój wynalazek, proszę bardzo. Obiecuję, że wykorzystam wszystkie moje wpływy, żeby zapewnić panu możliwie najwygodniejsze wariatkowo w stanie.

Frayley przerwał nagle i spojrzał mi prosto w oczy. Na jego ustach znów pojawił się ów rozbrajający, nieśmiały uśmiech.

– Głównym powodem, dla którego mówię panu to wszystko, jest jednak co innego. Chodzi o to, że potrzebuję pomocy. Muszę bowiem wymyślić jakąś historyjkę, która wyjaśniłaby moje dodatkowe przychody, a pan się do tego dobrze nadaje. Doskonale pamiętam pańskie poczucie humoru, osobliwe nawet jak na studenta pierwszego roku.

Jak mógłbym odmówić, usłyszawszy taki komplement? Doktor odprowadził mnie do samochodu, a po drodze rozmawialiśmy o możliwych wyjaśnieniach. W

głębi duszy zastanawiałem się jednak, jak sprawdzić i zweryfikować jego sensacje z pentagramem. Musiałem mieć pewność, czy facet mnie nie nabiera.

Był ciepły wieczór, jeden z tych, jakich można się spodziewać pod koniec lata, a ja pozwoliłem sobie na jedną sekundę zadumy za długo. Problem zmaterializował się pod postacią pisku opon, serii wystrzałów i dłoni Frayleya, która chwyciła mnie za kołnierz marynarki i szarpnęła w kierunku zaparkowanego tuż obok samochodu, stanowiącego w tej chwili jedyną osłonę. Padłem na lewe ramię, przetoczyłem się i poderwałem z coltem w prawej ręce, krzywiąc się z bólu. Wychyliłem się zza maski samochodu w samą porę, by ujrzeć gościa z karabinem maszynowym, wychylonego przez okno pędzącego samochodu. Skądś go znałem. Bez namysłu nacisnąłem spust, facet zwiśł bezwładnie w oknie. Samochód przyspieszył, skręcając ostro, lecz zdołałem jeszcze oddać kilka strzałów w jego kierunku, przebijając obie opony z jednej strony. Był to wielki, lśniący czarny cadillac, zdążyłem też rozpoznać tablice rejestracyjne. Chłopaki Scarpioniego. Samochód wpadł w poślizg, obrócił się wokół własnej osi i walnął bokiem w inny, zaparkowany dalej przy ulicy. Wycelowałem już w drzwi po stronie kierowcy, gdy samochód niespodziewanie zamigotał, rozbłysnął wielokolorowym światłem, a potem zmienił się w stertę pieniędzy leżących na ulicy.

Opuściłem broń i spojrzałem przez ramię na Frayleya, który prostował się właśnie za następnym zaparkowanym samochodem, wsuwając do kieszeni swój magiczny pokrowiec na zegarek. Podeszliśmy, by przyjrzeć się temu, co pozostało po samochodzie. Było to o wiele więcej niż nieszczęsne trzysta dolców, pewnie samochód miał drogi silnik lub sporo cennych bajerów. Niedaleko kupki pieniędzy leżało ludzkie przedramię z dłonią wciąż zaciśniętą na rękojeści pistoletu maszynowego Thompson. Rozpoznałem pierścionek z rubinem na małym palcu. „Paluch” Fuller lubił się chwalić tym, jak zabrał go swej pierwszej ofierze.

– „Paluch” Fuller. Jeden z bardziej pieprzonych oprychów Scarpioniego. Nie wiem, kto prowadził, przypuszczalnie Gruby Buford. Ci dwaj zawsze pracują razem.

Frayley westchnął ze zdziwieniem i znów wyciągnął swój gadżet. Obejrzał się, czy nikt nie patrzy, i wycelował. Thompson wraz z odciętym ramieniem zachwiał się, rozjaśnił i zniknął, przeobrażając się w bloczek banknotów. Znikła nawet niewielka kałuża krwi.

– Fatalna sprawa. – Doktor pokręcił głową ze smutkiem. – Dużo bym dał, żebym nie musiał tego robić. Ten Thompson mógł być zabytkowy.

Dostrzegł moje spojrzenie i dodał:

– Nie zauważył pan? Miał dźwignię napinania zamka Zrobiono go przed tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym. Ciekawe, jak dotąd nie miałem pojęcia, jak to działa na ludzi, nigdy nie miałem okazji wypróbować mojego wynalazku na żywym organizmie. Scarpioni? – spytał, patrząc prosto na mnie.

– Pomniejszy lokalny mafioso – wyjaśniłem. – Chce mnie zabić i bez przerwy wysyła do mnie ludzi.

Przerwałem, bo na ulicę wyległa spora grupa uzbrojonych po zęby sąsiadów, chcących poznać powody strzelaniny. Samochody, które wykorzystaliśmy jako osłonę, stanowiły własność przynajmniej kilku z nich.

Na szczęście Frayley był w dobrych układach z sąsiadami i zdołał ich przekonać, że przedstawimy odpowiednie protokoły, w których nie pojawi się nawet wzmianka o pospiesznie rozdzielonych funduszach znalezionych na ulicy. Dał wizytówkę dwóm rodzinom, których samochody zostały postrzelone, a na ich odwrocie zapisał nazwisko i numer telefonu zaufanego blacharza i lakiernika.

– Jeśli ubezpieczenie nie pokryje wszelkich kosztów, proszę się nie martwić, sam za to zapłacę. Gdyby nie wasze samochody, ja i mój przyjaciel bylibyśmy teraz martwi. Biorę więc osobistą odpowiedzialność za przywrócenie ich do idealnego stanu. To najlepszy blacharz w mieście i mój dobry znajomy. Było nie było, wychowałem trzy córki, z których każda ma ciężką nogę. Gdyby nie styl jazdy moich córek, dzieciak tego blacharza nie miałby za co skończyć college’u.

Spontaniczna impreza całej przecznicy przeszła do fazy przedstawiania się sobie, ściskania dłoni i wspólnego kręcenia głowami nad kwestią: „Do czego to doszło”. Dopiero późnym wieczorem udało nam się umknąć do domu Frayleya.

– Tato, gdzie ty... Och! – Na mój widok córka Frayleya pospiesznie ściągnęła w pasie flanelową podomkę. Jej dobór garderoby był doprawdy zachwycający – przykrótki ciuszek prześwitywał, a jej nogi okazały się równie idealne jak reszta zestawu.

– Nie ma się czym martwić, kochanie – rzekł Frayley. – Niepożądane elementy opuściły już okolicę, a policja zostanie poinformowana. Na twoim miejscu bym się położył. My wrzucimy sobie coś na ruszt w kuchni, postaramy się być cicho.

Córka nie wydawała się szczególnie przekonana, ale znikła w korytarzu.

Poszedłem za doktorem do kuchni. Ten działał z zaskakującą szybkością – nastawił już czajnik, na blacie stały dwie szklaneczki z brandy, a w chwili obecnej Frayley rozbijał jajka na patelni.

– Jakie pan chce jajka? – zapytał rzeczowo.

Był idealnie opanowany, zupełnie jakby codziennie miał do czynienia ze strzelaninami w sąsiedztwie. Dopiero po chwili dostrzegłem ślady wilgoci w pustej szklance przy kuchence oraz świeżo zerwany lak na butelce brandy. Brakowało w niej zawartości przynajmniej trzech szklanek. Doktor był szybszy, niż mi się wydawało.

Wychyliłem zawartość jednej ze szklanek i powiedziałem:

– Obojętnie. Zjem wszystko.

Była to ta sama doskonała brandy co wcześniej. Nieźle paliła, co łagodziło ból barku potłuczonego w zderzeniu z chodnikiem. Gdy zasiedliśmy do posiłku, czułem się już na powrót człowiekiem i pozwoliłem sobie wygłosić myśl, która nie dawała mi spokoju:

– To pańska córka Karla, prawda? Nie do wiary, jak wyrosła.

Uśmiechnął się, smarując grzanek masłem z niską zawartością tłuszczu.

– Zawsze lubił pan moje córki. Przypominam sobie moment, w którym chodził pan z dwiema jednocześnie. Im pan też się podobał.

Zacząłem protestować, ale uciszył mnie machnięciem dłoni z nadgryzioną grzaneką. Przełknął to, co miał w ustach, i dodał:

– Nie miałem nic przeciwko. Szczerze powiedziawszy, stokroć wolałbym, żeby któraś z nich skończyła z panem niż z tymi palantami, za których wyszły. Karla to moja najmłodsza córka, ale jest wystarczająco dojrzała i inteligentna, żeby zatroszczyć się o siebie. Przyznam jednak, że niezbyt mi się podoba pomysł umawiania się z kimś, kto najwyraźniej jest celem zorganizowanej grupy przestępczej.

Niespodziewanie zmienił temat:

– Dlaczego rzucił pan uczelnię? Minęło już sporo czasu, ale przypominam sobie, że był pan jednym z moich lepszych uczniów.

Zaśmiałem się. Wspomnienie to właściwie nie sprawiało już bólu.

– W tamtych czasach, jak ktoś wylatywał z uczelni, trafiał do wojska. Wypadłem z obiegu na dobre parę lat, potem załapałem się na inną posadę i przez następne parę lat pracowałem dla jednej z nawiedzonych band Wuja Sama, ponieważ nauczyłem się nienawidzić kilku rzeczy. Gdy moja twarz stała się zbyt rozpoznawalna, stanąłem przed wyborem: biurko w Langley albo powrót do domu i poszukanie sobie jakiejś uczciwej roboty.

Wzruszyłem ramionami.

– Jedyńm, na czym się naprawdę znałem, było węszenie i poszukiwanie informacji, więc zdobyłem licencję prywatnego detektywa. Powodziło mi się w miarę dobrze, póki nie zliberalizowano prawa rozwodowego. Teraz nie stać mnie nawet na biuro z klimą. Za każdym razem, gdy pochwycę jakąś większą sprawę, depczę po piętach Scarpioniemu, który w odpowiedzi wysyła ludzi, żeby mnie załatwili.

Doktor uniósł brew pytająco.

– Edward Scarpioni – wyjaśniłem. – Potomek starej, zacnej włoskiej rodziny mafijnej. Uczęszczał do najlepszych szkół, udało mu się nawet poślubić kobietę z bogatych kręgów. Uparł się, żeby któregoś dnia objąć w posiadanie cały stan i mieć wyłączność na działania na swoim terenie, ale kiepsko mu idzie i za wszystko wini mnie.

Doktor Frayley patrzył na mnie z należytyym współczuciem. Dolał mi brandy i rzekł:

– Nie życzę sobie, żeby znalazł się pan w sytuacji, w której oskarżono by pana o konflikt interesów. Jednak, podobnie jak większość pracowników akademickich, jestem dłużnikiem społeczności, otrzymuję pensję z podatków i mam wrażenie, że usunięcie owego pana Scarpioniego z obiegu najprawdopodobniej okazałoby się Dobrym Uczynkiem. Tym bardziej że on chyba nie ma skrupułów i nie waha się urządzić strzelanin na osiedlach mieszkaniowych, w tym na moim. Jak najlepiej się do niego dobrać?

– Cóż – zastanowiłem się. – W zeszłym miesiącu za moją sprawą Scarpioni stracił fundusze operacyjne i nie jest w stanie przekupić polityków, żeby zdobyć kontrakt na budowę tamy, a niezmiernie zależy mu na tym zleceniu. Póki co jest niemalże splukany, a skoro nie ma legalnego prawa własności do rezydencji i majątku swojej żony...

- Powoli – przerwał mi Frayley. – Proszę mi to wyjaśnić.
- Owa wywodząca się z bogatych kręgów żona znikła kilka lat temu. Scarpioni wciąż czeka, aż w świetle prawa uznana zostanie za martwą, żeby mógł przejąć posiadłość, ale rodzina zaginionej nie chce mu na to pozwolić i zasłania się prawem, w myśl którego należy czekać pełne siedem lat, aż osoba zaginiona zostanie uznana za martwą. Jak do tej pory Scarpioniemu udało się wyciągnąć kilka pożyczek pod zastaw posiadłości, ale ma problemy ze spłatą, ponieważ federalni siedzą mu na ogonie za hazard i machloje z narkotykami.
- Doskonale – powiedział doktor Frayley. – Na początek zabierzemy mu posiadłość. Wyczyścimy ją do zera, może nawet przerobimy na pieniądze. Jeśli stanowi ona zabezpieczenie dla jego kapitału operacyjnego, zobaczymy, czy uda nam się skłonić bank, żeby zażądał spłaty pożyczki. Potem może uda nam się ustalić, gdzie znajdują się nielegalne aktywa tego przestępcy, i też mu je rozwalimy. Wspaniale byłoby przerobić na forszę całą ciężarówkę narkotyków. Potrzebna byłaby druga, żeby wywieźć pieniądze.

* * *

Posiadłość Scarpioniego otoczona była przez strażników, płot i sforę mięsożernych dobermanów oraz owczarków niemieckich. Nie wyglądało na to, by w ogóle zawracał sobie głowę alarmami antywłamaniowymi, skoro wszyscy włamywacze w stanie i tak pracowali dla niego.

Było około trzeciej nad ranem, gdy wraz z doktorem podpełzliśmy do płotu mierzącego sobie dziesięć stóp wysokości. Frayley zaskakiwał mnie coraz bardziej. Liczyłem sobie trzydzieści pięć lat, a on miał przynajmniej trzydzieści więcej, ale mimo to poruszał się jak komandos, a podczas biegu nawet się nie zasapał. Ja sam sapałem jak zziajany pies, choć ze wszelkich sił starałem się nie wydawać żadnych dźwięków. Zakarbowałem sobie w pamięci, by zapytać go, w jaki sposób utrzymuje formę, ale potem postanowiłem o tym zapomnieć. Najprawdopodobniej nie chciałem znać odpowiedzi na to pytanie.

Miał przy sobie jakieś elektroniczne urządzenie testujące, którym właśnie badał płot.

– Jest pod wysokim napięciem, być może też wywołuje alarm. Ani śladu urządzeń aktywnego skanowania, brak sonaru czy podczerwieni. Banalne. Czy to możliwe, żeby był aż takim idiotą i zakładał, że jego publiczny image utrzyma ludzi na dystans?

– Możliwe – powiedziałem cicho. – Możliwe też, że właśnie szykujemy się do wejścia w bardzo głupią pułapkę. Proszę pamiętać, zawsze istnieje możliwość, że kryje się tam wraz ze wszystkimi możliwymi gadżetami wykrywającymi ruch, światło, temperaturę ciała i cholera wie jeszcze co. Po tym jak nie wrócił ten cadillac z jego oprychami, Scarpioni mógł albo wysadzić cały stan w powietrze, albo równie dobrze zaszyć się u siebie. Proszę pamiętać, że chociaż mój kontakt powiedział, że Scarpioniego nie ma w rezydencji, wcale nie musi to być prawdą. Co więcej, w środku może na nas oczekiwać dodatkowa obstawa, bez względu na to, co nam

powiedziano.

Frayley wyciągnął z plecaka rolkę cienkiej gumowatej płachty, rozwinął ją tuż przed płotem i uklęknął. Następnie przeciął kilka drutów, zatroszczywszy się uprzednio o przedłużenie obwodu. Każdy z rozciętych przewodów wsunął w wąską plastikową tuleję, by uniemożliwić przypadkowe uziemienie.

Wślizgnęliśmy się na teren posesji, wiążąc druty w płocie tak, by na pierwszy rzut oka wyglądały na nietknięte.

Po dziesięciu minutach skradania się dotarliśmy w pobliże domu. Na drzwiach i oknach nie było ani śladu systemów alarmowych, nie było też dodatkowych strażników. Scarpioni lubił ciszę i wszyscy jego ochroniarze pilnowali bramy w płocie otaczającym posiadłość. Nie było ich stąd widać, ale znajdowali się niedaleko i gdybyśmy tylko poczynili jakiś hałas, przybiegliby niemal natychmiast. Przy odrobinie szczęścia nie zauważyliby, że ktoś porozrzucił wzdłuż płotu ochłapy mięsa nasączone środkiem nasennym. Najprawdopodobniej nie wyeliminowaliśmy z gry wszystkich psów, ale trzeba było mieć nadzieję.

W posiadłości paliło się światło.

Gadżet, w który wyposażył mnie Frayley, idealnie leżał w dłoni, co dodało mi nieco otuchy. Była to niewielka skórzana sakiewka, zawierająca podstawowe elementy czaru równowartości: kilka wypisanych na pergaminie diagramów pełnych najrozmaitszych symboli, garść losowo dobranych półprzewodników związanych razem w obwód, w którym nie dostrzegałem sensu, oraz kilka pokolorowanych, sklejonych ze sobą kamieni.

Oczyściłem umysł, skupiłem uwagę na wielkim, obitym grubą tapicerką krześle, wycelowałem amulet i dotknąłem wszystkich symboli w kolejności, której wyuczył mnie Frayley. Odczekałem chwilę, tak naprawdę nie spodziewając się wiele, ale nagle pojawił się stosik ponad sześciuset dolców. Krzesło zapewne obito prawdziwą skórą.

Frayley wyszczerzył zęby z dumą. Rozdzieliliśmy się i zaczęliśmy przerabiać na forszę wszystko w zasięgu – meble, dywany, obrazy, klamki od drzwi, same drzwi – i z dziką radością wpychaliśmy forszę do plecaka Frayleya. Monet nie braliśmy, niech się gangsterzy głowią, co to wszystko oznacza. Nie ruszaliśmy też zasłon, by nikt nas nie dostrzegł z zewnątrz.

W ciągu dwudziestu minut wysprzątailiśmy parter do czysta z wyjątkiem kolekcji rzadkich książek pani Scarpioni. Pospiesznie naradziliśmy się szeptem co do pierwszego wydania *Principia mathematica* Newtona. Frayley nigdy by się nie zgodził na przerobienie czegoś takiego na forszę, tak więc ostatecznie książka wylądowała w plecaku obok banknotów.

Gdy znalazłem się na pierwszym piętrze, od razu zwróciłem na siebie uwagę ochroniarza, który okazał się mistrzem w wyciąganiu spluwy na czas. To tyle w temacie braku ochrony w domu.

Gdy lufa rewolweru wymierzyła dokładnie między moje oczy, zakarbowałem sobie w pamięci, by po śmierci nawiedzać mojego informatora. Tak, nawiedzać go albo zrobić mu coś jeszcze gorszego, o ile będę w stanie. Jak zwykle w chwilach, gdy

się wie, że nadchodzi śmierć, czas nagle zaczął płynąć wolniej. Patrzyłem, jak kciuk ochroniarza powoli odciąga kurek.

A wtedy zarówno on, jak i jego rewolwer zafalowali, zamigotali łagodnie i przeistoczyli się w zaskakująco sporą kupkę zielonych.

Odwróciłem się ku Frayleyowi, który właśnie opuszczał swój przerabiacz gotówkowy.

– Pewno nie był tyle wart – szepnąłem. – Nawet przy uwzględnieniu inflacji substancje chemiczne, z których składa się człowiek, są warte ledwie parę dolców!

– Trudno się nie zgodzić – odszepnął doktor, zgarniając forszę. – Nie spodziewałem się tego, bo nigdy nie przerabiałem żywych organizmów. Być może koszt podniesiony jest o czarnorynkową cenę jego nerek czy rogówek, potencjał zarobkowy przez resztę życia lub nawet ogromny spadek po cioteczce Phoebe. Zaczynam jednak rozumieć niecodziennie wysoki zysk z tego cadillaca, którego przerobiłem dziś wieczorem. Z chęcią zbadam tę sprawę. Może odnajdziemy jakąś prawidłowość w pozyskiwanych sumach, używając standardowych tabel śmiertelności. Hmm... Trzeba żeby przerobić sporą grupę ludzi, by uzyskać statystycznie wiarygodny wynik. W sumie to nawet mam listę... – mruknął, ruszając dalej i nucąc cichutko *I've got a little list...* Gilberta i Sullivana.

Wymietliśmy pierwsze piętro i dostaliśmy się na drugie. Nie znałem rozkładu pomieszczeń, nikt z moich znajomych nigdy nie wszedł tak wysoko. No, może Sylvia dostąpiła tego zaszczytu, ale ona nigdy nie opowiadała o klientach. Na drugim piętrze było równie cicho i ciemno jak niżej.

Wyczyściliśmy kilka pomieszczeń, aż natknąłem się na pokój, który przypominał główną sypialnię. Wkradłem się tam z nadzieją, iż znajdę sejf. Kiedy rozjarzyły się światła, odwróciłem się błyskawicznie tylko po to, by ujrzeć Scarpioniego patrzącego na świat przez celownik nieruchomego Smith and Wesson model 39. Nie zauważył natomiast doktora, który również wślizgnął się do sypialni i stanął za Scarpionim. Wycelował przerabiacz i nagle okazało się, że mafioso celuje we mnie garścią forsy.

Jego reakcja była dość komiczna. Nigdy jeszcze nie widziałem, by w tak krótkim czasie przez czyjąś twarz przemknęło tyle emocji. Ruszył w moim kierunku, nadal wymachując banknotami.

Nie mam pojęcia, co chciał zrobić, może przyszło mu do głowy, by zatłuc mnie na śmierć plikiem banknotów. Z miejsca, w którym stał Frayley, mogło to wyglądać, jakby Scarpioni chciał mnie zaatakować. A może Frayley po prostu nie potrzebował powodu?

Uniósł przerabiacz i Scarpioni zadrzał w pół kroku. Powietrze zajaśniało i pojawiła się duża sterta banknotów, wysokości jakichś czterech, pięciu stóp.

Dość dziwnych banknotów.

Wydrukowano je białym tuszem na zielonym papierze, łopotwały też i trzepotały, jakby poruszał nimi wiatr. Ale w sypialni nie było wiatru.

Spojrzałem na Frayleya w nadziei, że mi to wyjaśni, ale doktor wyglądał na równie zaskoczony jak ja.

Nagle jego twarz pobladła. Wycofał się pospiesznie na korytarz.

– Uciekaj! – zawołał piskliwym, łamiącym się głosem.

Rzuciłem się do ucieczki, wpadając na ścianę. W tym samym czasie owe dziwne pieniądze zaczęły rozplýwać się po pokoju i ruszyły strugą w moim kierunku. Wskoczyłem na biurko, ale nadal znajdowałem się pięć, sześć stóp od drzwi.

– Niektóre z moich obliczeń wykazały, że coś takiego jest możliwe! – zawołał Frayley z korytarza. – To antypieniądze. Krótki półokres rozpadu, trzeba je połączyć z normalnymi pieniędzmi, żeby znikły. Zdezintegruje się w kontakcie z czymkolwiek, co ma wartość dodatnią!

Nie do końca rozumiałem, o co chodzi Frayleyowi, dopóki jedna z fal owych dziwnych pieniędzy nie przetoczyła się przez dywan i nie dotarła do nogi kanapy. Ujrzałem łagodny fioletowy rozblýsk i niespodziewanie część kanapy przestała istnieć, jakby niewidzialny drapieźnik wygryzł w niej dziurę o poszarpanych, nierównych brzegach. Pozbawiony jednej z nóg mebel zachwiał się i obsunął na strugę antypieniądzy. Przechylał się coraz bardziej, a ja odnosiłem wrażenie, że pogrąża się w stosie antybanknotów i antymonet. Wreszcie zniknął całkiem, lecz ilość antypieniądzy przelewająca się na podłodze wcale nie zmalała znacznie. Pozostałe meble również zaczęły się zapadać i znikać, wydawało mi się też, że tu i ówdzie wśród owych banknotów prześwituje goła podłoga. Moje biurko przechyliło się i opadło nieco. W nagłym przypływie rozpaczyci rzuciłem z niego wszystko, co tylko mogłem, a przedmioty spadały i znikwały pośród drobnych fioletowych rozblýsków w wijącej się masie antypieniądzy.

Biurko zakołysało się raz jeszcze. Wepchnąłem przerabiacz do kieszeni i skoczyłem na żyrandol. Na pewno była to współczesna reprodukcja, gdyż żadnego porządnego żyrandola nie przymocowano by za pomocą takich beznadziejnych, drobnych śrubek, które natychmiast zaczęły odłazić. Wisząc nad masą antypieniądzy, słyszałem, jak śrubki ze zgrzytem wysuwają się z otworów. Na moją głowę sypały się okruchy gipsu.

Spojrzałem w dół i natychmiast pożałowałem swej decyzji. Dostrzegłem bowiem ostatni skraj blatu dębowego biurka, który był pamiątką rodową pani Scarpioni, a teraz znikał na zawsze ze świata doczesnego. Antypieniądze zakotłowały się z wściekłością, szukając kolejnych celów do zaabsorbowania.

Niespodziewanie do pokoju wpadły rolki zwykłych dolarów – stojący w korytarzu Frayley ciskał je do pokoju garściami. Antypieniądze zakotłowały się i ruszyły wezbraną falą, by je pochłonać, ale tuż pod moimi stopami garść magicznych banknotów nadal wiła się ze złością niczym stado niedożywionych piranii. Przypomniałem sobie odcięte ramię „Palucha” Fullera i nagle oczyma wyobraźni ujrzałem własne ramiona, nadal zwisające z żyrandola, lecz pozbawione korpusu i głowy Antypieniądze przez cały czas szeleściły złowieszczo, wciąż wzbierając, wciąż usiłując mnie dotknąć. Uniosłem nieco kolana, co nagrodzone zostało kolejnym zgrzytem nad głową. Spadły następne śruby.

– Rozkołysz się! – wrzasnął Frayley. – Rozkołysz się i skacz, póki większość tego cholerstwa dalej jest tutaj!

Pomysł rozkołysania żyrandola nie przypadł mi szczególnie do gustu, ale szelest

dobiegający z dołu ponaglił mnie do działania. Niech to szlag, Errolowi Flynnowi się udało. Machnąłem nogami w przód i w tył i skoczyłem w chwili, gdy ostatnie śruby puściły. Żyrandol runął za moimi plecami i przysięgam, że znikł przy akompaniamencie mlaskania antypieniędzy.

Nie przeskoczyłem przez próg, ale Frayley złapał mnie pod ramię i dosłownie wyszarpnął na korytarz, zatrzasnął za sobą drzwi. Te wytrzymały zaledwie ułamek sekundy i natychmiast znikły w fioletowym rozbłysku. Na zewnątrz wylała się fala antypieniędzy przypominająca niszczący język lawy, która zapomniała, że lawa jest tak naprawdę innego koloru.

Frayley biegł jako pierwszy ku schodom, niczym profesjonalny sprinter opierając ciężar ciała na przedniej części stóp. Kilka co szybszych antybanknotów dziesięciodolarowych przemknęło obok mnie niczym myśliwskie psy próbujące osaczyć uciekającego jelenia, ale chyba skupione były na plecaku doktora. Uświadomiłem sobie, że tyle forsy musi działać na antypieniędzy jak główny atraktant, jak ładunek elektrostatyczny o przeciwnej wartości.

– Rzuć pan plecak! – wrzasnąłem.

Jedyną reakcją doktora było podciągnięcie plecaka wyżej i przyspieszenie. Osaczające go antybanknoty były w stanie doskoczyć na tyle wysoko, by zneutralizować siedzenie jego spodni, ujawniając tym samym okropne upodobanie Frayleya do majtek w grochy. Przyspieszył jednakże na tyle, by dopaść szczytu schodów, a wolniej poruszające się jedno- i pięcioantydolarówki zapadały się w wykładzinę, z fioletowymi rozbłyskami wyzerając w niej okrągłe dziury.

Sam również znalazłem się na schodach, usiłując utrzymać to samo tempo co Frayley. Wypadłem z rezydencji i pędziłem już w stronę naszej dziury w płocie, gdy uświadomiłem sobie, że doktora nie ma ze mną. Odwróciłem się, by ujrzeć, co go zatrzymało. Posiadłość zapadała się z niezgrabną, ociążałą godnością, przy akompaniamencie rozlicznych trzasków i zgrzytów. Szarpnąłem towarzysza za kurtkę i pociągnąłem w kierunku płotu, ale doktor ani drgnął, nadal wpatrując się w rezydencję, aż ta zapadła się wśród nielicznych, lecz przyprawiających o ciarki fioletowych rozbłysków.

W końcu rezydencja zamieniła się w nicość.

– Imponujące – szepnął Frayley. – Tak ogromny efekt negatywny oznacza, że facet musiał być po uszy w długach. Może też być tak, że antyforsa była odbiciem jego wartości dla ogółu.

Wzruszył ramionami.

– Bezwzględnie muszę zgromadzić więcej materiału eksperymentalnego.

Słyszeliśmy, jak wystraszeni strażnicy przeklinają w oddali, próbując dowiedzieć się jeden od drugiego, co właściwie miało miejsce. Ja i doktor Frayley zaś wyslizgnęliśmy się przez dziurę na zewnątrz ogrodzenia. Profesor zgrabnie załatał otwór, a pół godziny później weszliśmy w ciszy do jego domu.

Światła zapaliły się, zanim Frayley namacał przełącznik, i znów ujrzeliśmy Karłę. Jej koszula nocna była mocno związana w pasie, ale była też o wiele cieńsza od poprzedniej podomki i idealnie wprost dopasowana. Zmarszczka na czółku

dziewczyny była przecudowna.

– Tato, nie wiem, kim jest ten człowiek, ale wiem, że pakujesz się w tarapaty! Po raz kolejny!

Doktor podał mi plecak, podszedł do dziewczyny, ujął ją za ramiona, ucałował w czoło i odwrócił, by wyprosić z pomieszczenia lekkim klapssem.

– Ja nigdy cię nie pytam, co porabiasz, gdy nie ma cię przez całą noc. Bądź więc tak dobra i wyświadczyć mi tę samą przysługę.

Zerknęła na mnie, wychodząc. Ewidentnie chciała ujrzeć moją reakcję na słowa ojca, dostrzegłem też, że się rumieni. Poczułem się wyróżniony, ba, polectało mnie to! Nie poznałem wielu kobiet, które miałyby choć blade pojęcie, jak to się robi. Ciekaw byłem natomiast, jak Karla zareagowałyby na sytuację z mojego punktu widzenia – stamtąd, gdzie stała, nie było widać owych wstrętnych majtek w grochy.

Kilka minut później bezpiecznie rozsiedliśmy się w kuchni. Frayley zabrał się do przygotowywania ekspresowego posiłku składającego się z gofrów i kielbasek.

– Myślę, że przypadł pan Karli do gustu – rzekł, nakładając potrawę na talerze. – Jeśli moje zdanie ma tu jakiegokolwiek znaczenie, nie mam nic przeciwko. Zamierzam również złożyć hojny datek na Fundusz Stypendialny Jake’a Larsena. Wydaje mi się, że połowa naszego dzisiejszego zysku powinna wystarczyć?

Patrzyłem na niego przez chwilę.

– Stypendium?

Doktor nie był człowiekiem zdolnym do wygłaszania eufemizmów, ponadto pamiętałem jego uwagę odnośnie konfliktu interesów.

Zamrugnął zaskoczony, że nie załapałem, o co mu chodzi.

– Wydawało mi się, że to oczywiste. Wyrzucono pana z uczelni z powodu błahych, rozdmuchanych przesadnie powodów. Wątpię też, żeby pana sprawa została osądzona bezstronnie, wystarczy przyjrzeć się składowi ówczesnej rady uczelnianej. Dlaczego nie powrócił pan do szkoły za pieniądze zarobione w wojsku?

Nalałem sobie kolejną brandy i spojrzałem na stertę gotówki na stole. Działalność prywatnego detektywa nigdy nie przyniosłaby mi takiego zysku, bym mógł odejść na emeryturę, oczywiście przy założeniu, że przeżyję tak długo. Pokiwałem głową.

– Dobrze – powiedział Frayley. – Tak na marginesie, tylko dla pańskiej wiadomości, istnieje szansa, że otrzymam posadę rządową. Jeśli moja kandydatura zostanie zaakceptowana, stanę na czele nowej sekcji Departamentu Stanu, pozornie stworzonej po to, żeby współpracować z rosyjskim programem kosmicznym w wyszukiwaniu informacji. Tak naprawdę to będziemy zbierać dane o ich satelitach szpiegowskich na obszarach wspólnych interesów. Będę musiał spędzić mnóstwo czasu w Rosji, pełniąc rolę dyplomaty, i chciałbym, żeby w tym czasie ktoś miał oko na dom. I na Karłę.

Przerwał na moment i dodał:

– W przyszłości będziemy rozbudowywać departament i byłoby mi łatwiej uzasadnić decyzję o przyjęciu pana do pracy, gdyby ukończył pan jakiś kierunek techniczny lub nawet dwa. Będę potrzebował ludzi z pańskim doświadczeniem i

szczególnymi uzdolnieniami. Nauczył się pan posługiwać przerabiaczem w trzydzieści minut. Mnie zajęło to całe miesiące, chociaż to ja go przecież wynalazłem.

Moje doświadczenie? O rany. Zakarbowałem sobie w pamięci, by w przyszłości szyderczo podchodzić do każdej oferty pracy ze strony doktora Frayleya.

Cholera, nawet wymyślenie takiego sposobu na wytłumaczenie jego dodatkowych dochodów, byśmy obaj przy tym nie wylądowali w więzieniu, było wystarczająco niebezpiecznym zajęciem.

Gdy odprowadzał mnie do drzwi, napomniął surowo, bym traktował pieniądze zdobyte tej nocy jako przychód z gier hazardowych.

– Niech pan je wykaże co do centa na swoim rocznym sprawozdaniu. Nie chcę, żeby zainteresowali się panem urzędnicy ze skarbówki. Oni potrafią być straszni! – zakończył, opanowując dreszcz.

– Zmiana w pańskim życiu ma swoje dobre strony – powiedziałem. – Rosyjskie samochody są równie śmieszne i paskudne jak pancerniki z Detroit. Jeśli przerobi pan jakiegoś ziła czy moskwicza, otrzyma pan ruble czy dolce?

Gdy odchodziłem, doktor nadal stał zadumany, ale z uśmiechem na twarzy.

Zachichotałem i ruszyłem szybszym krokiem. Trwała właśnie owa idealna, wspaniała pora dnia, kiedy nadal jest ciemno, ale ptaki zaczynają się już przygotowywać na nadchodzący świt. Powietrze pachniało cudownie. Nagle ujrzałem sylwetkę, ledwie widoczną w półmroku odchodzącej nocy. Karla.

– Proszę mi wybaczyć, ale słuchałam pańskiej rozmowy z ojcem. Wydaje mi się, że nazwał pana Jake Larsen? – zapytała z niedowierzaniem.

– Trudno zaprzeczyć. Tak, jestem sobą. Czy to ma jakieś znaczenie?

Nerwowo skubała pasek, którym przewiązała koszulę nocną.

– Myśleliśmy, że pan nie żyje.

– Mnie kilka razy też się to zdarzyło. Zwłaszcza gdy Wietkong pojmał wszystkich, którzy ocaleli z mojego oddziału. Na szczęście NVA nie pilnował nas wystarczająco dokładnie i którejs nocy udało nam się wyrwać na wolność i wrócić do kraju. Trochę to potrwało, ale udało się.

– Och – westchnęła cicho. – Jutro ojciec ma spotkanie w klubie szachowym, a ja przygotowałam się już na zajęcia piątkowe. Nie mam nic do roboty, a nienawidzę telewizji. Wpadłby pan na obiad?

Zmarnowałem jakieś dwanaście tysięcznych sekundy na obmyślenie odpowiedzi i przyszło mi do głowy tylko:

– O której?

Dziewczyna wślizgnęła się do domu, a ja odszedłem, napawając się coraz jaśniejszym porankiem. Przeczuwałem zmiany na lepsze, i to na wielu frontach.

Po pierwsze, czekała mnie krótka, miła rozmowa z moim kontaktem, który utrzymywał, że Scarpioniego nie będzie w domu, a w rezydencji nie trzyma się ochrony. Podekscytowany potarłem kłykcie.

Potem należało wykonać pewien drobny eksperyment z parafizyki. Hałaśliwy Nigel, Problemowy Dzieciak bez Tłumika, jeździł przecież cadillakiem, a ja

wiedziałem, gdzie zwykł parkować.

A doktor Frayley nie poprosił o zwrot swego gadżetu.

Seamus Cullen

(ur. 1927r.) jest amerykańskim autorem mieszkającym na stałe w Irlandii. Napisał mnóstwo sprośnych powieści fantastycznych, z których najlepiej znaną jest przypuszczalnie Astra and Flondrix (1976). Napisał również dwie powieści osadzone w realiach arabskiej nocy: A Noose of Light (1986) oraz The Sultans Turret (1986). Poniższe opowiadanie zostało przez autora wyodrębnione z fragmentu TheSultans Turret, a później poddane licznym przeróbkom.

Seamus Cullen

OSTATECZNOŚĆ

W trzynastym wieku Hiszpania wciąż była podzielona między chrześcijan i muzułmanów. Człowiek zwany Salomon ha-Levi służył sułtanowi Granady jako doradca oraz lekarz. To właśnie on doprowadził do porozumienia między sułtanem i San Fernando z Kastylii celem obalenia okrutnych muzułmańskich władców Sewilli.

Wnuczka Salomona, przedwcześnie rozwinięta Dinah, bawiła się magią w laboratorium swego dziadka, gdy nieostrożny błąd niemalże uwolnił potężnego demona, uwięzionego ongiś przez króla Izraela Salomona.

Historia rozpoczyna się w chwili, gdy Dinah planuje uwolnienie swego ojca, Mojżesza, i dwóch kuzynów, którzy zostali pojmani, gdy wracali z karawaną z Kitaju. Poniższy fragment opowiada o przygodach drużyny ratunkowej. Dinah wzywa rozkochanego w niej gнома, Bubbiego, wlewając kilka kropel specjalnego wina w usta wyrzeźbionej żaby.

– Momo, dlaczego jesteś taka uparta? Ja nigdy bym nie powiedział, że mam dużo pracy w ogrodzie, gdybym jej nie miał! Po co niby miałbym to robić?

Kapelusz Bubbiego leżał na niewielkim stoliku na środku pokoju. Bez nakrycia głowy Bubbi wyglądał beznadziejnie młodo, jak uważała jego żona, Momo, zwłaszcza z tymi krótkimi, prostymi włosami, które sterczały niczym igły jeżozwierz. Uwielbiała jego wesołe brązowe oczy i krótki, niewielki nosek, który zawsze robił się jaskrawoczerwony, gdy męża coś podekscytowało.

Momo uniosła spojrzenie znad kaftana z przedzonej domowym sposobem wełny, który wyszywała złotymi i srebrnymi nićmi. Pomimo iż na pewno nie było gorąco, zdjęła bluzkę bez rękawów i siedziała na krześle jedynie w spodniach od piżamy. Bubbi poczuł się nieco niezręcznie, gdy dostrzegł, że jej drobne sutki przechyliły się ku niemu zalotnie, kusząc go i wabiąc.

„Zaraz nabrzmieją”, powiedział do siebie w duchu.

Ho, ho, no bo właściwie po co Momo miałyby zdejmować bluzkę? Bubbi doszedł do wniosku, że stanął w obliczu czystej prowokacji.

– Po co miałbyś to robić? – powtórzyła w końcu. – Żeby uciec od codziennych

obowiązków, nie ma innego powodu. Tylko marzysz, żeby zwać do Dinah, tej małej rozpuszczonej jędzy. Pewnie uważasz, że jest ładniejsza ode mnie.

– Dinah? – rozdziawił usta, udając wstrząśniętego oskarżeniem. Sposób, w jaki zareagował, w tej samej chwili napełnił go przestachem. Zorientuje się, czy nie? Uda jej się przejrzyć jego pełen oburzenia protest? – Momo! – próbował przemówić jej do rozumu. – Przecież to mała dziewczynka, niech Pan wybaczy ci tak straszne myśli!

– Aha! – wybuchnęła gnomka, rzucając robótkę na niewielki stolik obok krzesła. – Mała dziewczynka, co? Niech Pan ci wybaczy, co? – przedrzeźniała męża. – Pozwól, że ci przypomnę, mój drogi mężu, mędrce ponad mędrkami, że Abiszag Szunemitka również była małą dziewczynką. Młodziutką dziewczynką. Pamiętasz, kim była Abiszag, mój mędrce?

Bubbi zdrapał kawałek zeschniętego błota ze skórzanych, sięgających kolan bryczesów. Bez namysłu, z przyzwyczajenia podniósł kapelusz.

– Odłóż ten kapelusz, jak do ciebie mówię, mój mężu ogrodniku! – wrzasnęła na niego Momo. Kapelusz upadł na stół, a ręka cofnęła się błyskawicznie, jak gdyby nakrycie głowy najeżone było żmijowymi kłami. Momo chrząknęła z satysfakcją, a potem zmrużyła oczy. – Dobra, a więc kim ona była?

– Kto? O kim mówisz? – zapytał żałośnie Bubbi, drapiąc się gniewnie po tym, co jego żona nazywała jeżozwierzowymi igłami.

– Abiszag Szunemitka! O Abiszag mówię! A co, może mówiliśmy o kimś innym, co, mój ty mężu, co nigdy niczego nie zapominasz! – Zerwała się z krzesła i stanęła przed mężem. – Abiszag Szunemitka!

Ryczała teraz jak dziki zwierz.

Bubbi zasłonił bardziej narażone ucho.

„O co jej chodzi z tą Szunemitką?”, zastanawiał się. „Co ta kobieta usiłuje mi udowodnić?”.

Wzruszył ramionami, w obronnym geście unosząc dłonie.

– Przyprawdzono ją przed oblicze króla Dawida, gdy ten się zestarzał! – Momo zarechotała, machając oskarżycielsko palcem przed nosem męża. – A wiesz po co?

Pokręcił energicznie głową, zaprzeczając tym samym, że wiedział cokolwiek na temat biblijnych historii.

– Żeby na powrót roznieciła ogień w jego starym sercu! Pamiętaj jednak, że pisma biblijne bywają mylące, gdy chodzi o anatomię. Przyprawdzono ją, żeby obudziła ogień młodości w ciele starca... Rozumiesz, moja ty zakłopotana twarzyczko?

– O co ci chodzi, Momo? Niby od kiedy jestem starcem? – Bubbi okazał pierwsze oznaki emocji. Znać było po nim, że z wolna wyczerpuje się jego cierpliwość. Momo jednak była wytrawnym strategiem.

– Powinieneś znać Torę, czyż nie? Studiujesz Talmud, czy się mylę? Cóż, dobry uczeń nie zapominałby o Abiszag. Tak, ale ty się starzejesz – stwierdziła, znów grożąc mu palcem. – A dlaczego? Bo zawsze zaniedbujesz obowiązki. Jestem smutną kobietą, nie widzisz tego, Bubbi? Jestem jedyną gnomką w tym wieku, która

nie ma jeszcze dzieci! Wiesz, kim jestem w oczach innych? Dziwadłem? Wybrykiem natury! Jak długo, twoim zdaniem, mam jeszcze żyć we wstydzie?

– Dlaczego zawsze utrzymujesz, że to moja wina? – zaszlochał Bubbi. Jego nos czerwieniał powoli, lecz nieubłaganie, co Momo zauważyła między jedną falą łez a drugą. – Rozejrzyj się! – nakazał jej. – Czy miałybyś taki dom, gdybym był złym mężem? – zatoczył przy tych słowach szeroki łuk ręką. – Znalazł się w nim nawet mały pokójek czekający na naszą niespodziankę...

– A czy ktoś mówi, że jesteś złym mężem? – Momo uniosła brwi, jakby wyzywała go, by powiedział, że kiedykolwiek mówiła coś podobnego. – Twoja żydowska księżniczka andaluzyjska obdarzyła nas wspaniałym ogrodem, który ma odzwierciedlenie tu, w naszym wymiarze... Proszę, nie myśl, że jestem niewdzięczna. Zbudowałeś nam dom z marzeń, nasi sąsiedzi pokonują wiele mil, żeby patrzeć na niego i żółknąć z zazdrości.

Urwała na chwilę, by nabrać głęboko tchu, jednocześnie nakazując mu gestem, by nie przerywał.

– Bubbi, rodzina to najważniejsza rzecz na świecie, pamiętasz? Obowiązki ogrodnika księżniczki mogą odrobinę zaczekać.

Momo ujęła jego dłoń, nim Bubbi zdołał zaprotestować lub rzucić się do ucieczki. Pociągnęła go ku otwartym drzwiom sypialni. Bubbi niemalże stracił równowagę, próbując sięgnąć po swój stary kapelusz.

Nie puszczając jego dłoni, Momo wykazała się zaskakującą siłą. Szarpnięty mąż wykonał pełne salto i wylądował na plecach na środku łóżka. Westchnął, jakby godził się z porażką, po czym zdjął skórzany kaftan i wyciągnął się na posłaniu aż po skraj swojej połowy, trzymając lewe ramię nad głową. Momo skuliła się u jego boku z nogami u wezglowia. Krok po kroku dopasowywali ułożenie ramion i klatek piersiowych, aż Bubbi skinieniem głowy dał znać, że osiągnęli idealną pozycję. Uniesione lewe ramiona zaczęły się splatać, aż ich pachy przyłgnęły ściśle do siebie.

– Och, Bubbi! – szepnęła Momo z zachwytem. – Jakie to cudowne... Robisz to tak doskonale, tak czule, z taką pasją... Ja już jestem w niebie... Dobrze ci?

– Idealnie – zabulgotał ochryplym głosem. Ze wszelkich sił próbował skupić się na chwili obecnej, choć nie było to łatwe. Dinah, owe wspaniałe miecze, które znalazł z nią, młody Józef, sekretna komnata w domu Salomona, trudności w skontaktowaniu się z Muzą, demon... I jeszcze ten szalony Dżin, ojciec Muzy... Wszystkie te obrazy wirowały dziko w głowie Bubbiego, co rusz rozprasząc jego koncentrację...

– Bubbi, Bubbi, czujesz, jak to narasta? To będzie najbardziej fantastyczne zbliżenie, jakie kiedykolwiek mieliśmy, oboje doczekamy się Błogosławieństwa, wiem to, jestem tego pewna! Już nie będę bezdzietna, mówię ci, czeka nas coś wielkiego!

Gwałtowny rozbłysk niemalże oślepił Bubbiego. Momo leżała z zamkniętymi oczami. Nieoczekiwanie w jej miejscu pojawiła się rzeźba ogromnej żaby z rozdziawioną gębą, do której spływało wspaniałe czerwone wino. W plusku każdej kropli, głośnym niczym grzmot pioruna, pobrzmiwało imię.

– Wzywa mnie Dinah! – wykrzyknął Bubbi. Wykorzystując siłę lewitacji, podpłynął do sufitu, wciągając na siebie kaftan i wciskając na głowę kapelusz. Nie słyszał nawet owego obrzydliwego odgłosu wywołanego gwałtownym rozdarciem ich zassanych pach. Jego kapelusz przebił się przez sufit niczym rozgrzany do czerwoności nóż przez kostkę masła. Bubbi usłyszał jednak błagalny głos Momo, który płynął za nim, chociaż sufit zamknął się już, a gnom mknął między wymiarami.

– Bubbi, Bubbi, nie opuszczaj mnie teraz! Nie teraz! Już dochodzę! To jest naprawdę to, na co czekałam... Nie opuszczaj mnie...

Słyszał słowa żony, nawet gdy dotarł na powierzchnię ziemi w pałacowym ogrodzie Dinah.

– Wszystko w porządku? – słodko spytała Dinah, zamykając skrzynię, w której znajdowała się rzeźbiona żaba oraz niewielka flaszeczka wina. – Spałeś sobie spokojnie, gdy cię wezwałam?

– Cóż, nie do końca – odparł Bubbi wymijająco. – Ja... Eee... Hmmm...

Urwał nagle i przeskoczył z jednej bosej nogi na drugą.

– Gdy znów będziesz mnie wzywać, może wystarczy ci jedna drobna kropelka wina, co? Mała, malutka kropelka, a potem poczekasz chwilkę, dobrze? Mało brakowało, a zapomniałbym kapelusza.

– Przepraszam, wciąż nie mam wyczucia – odparła i ze zdziwieniem strzepnęła kilka grudek ziemi z jego ramienia. Potem zachichotała.

– Kapelusz? Jest tak gorąco, a ty martwisz się o...

– Bez kapelusza bym się tu nie dostał – przerwał jej Bubbi i wskazał miejsce między dwoma rzędami marchewek, z którego właśnie się wyłonił. – Kapelusz przenika przez wszystko. Nie widziałaś, jak się pojawiłem?

– Najpierw cię nie było, a potem już byłeś. Pojawiłeś się znienacka, ale nie potrafiłabym wskazać miejsca, z którego się wydostałeś. – Dinah wzruszyła ramionami. – Wydaje mi się, że nadal nie znam zbyt dobrze magicznych szczegółów.

Wstała z dywanu i podeszła do gnoma, lecz ten ją zignorował, nie spuszczał oczu z pięknej jedwabnej tkaniny.

– A jak sądzisz, skąd przybyłem? – zapytał znienacka, podchodząc znów do marchewek. Wcisnął bosy palec w miękką ziemię i wyłoniły się dwa piękne miecze. Dinah westchnęła zaskoczona. Gnom wskazał ziemię.

– Przebyłeś tu przez ziemię... Spod ogrodu? Mieszkasz gdzieś tam w dole? W jakiejś dziurze?

– W domu! – Bubbi podskoczył z parsknięciem. – I to w ładnym domu! Nawet moja żona Momo zgadza się, że to piękny dom!

– Ale... ale... – zająknęła się Dinah. – Jak znalazłeś dom pod ziemią? Czym oddychasz? Co się dzieje z dymem?

– Dinah, bierzesz wszystko zbyt dosłownie! Tylko ludzie tak bardzo czepiają się szczegółów. Góra, dół, ta strona, tamta... Ja mieszkam w innym wymiarze, tylko że znajduje się on pod nami. I wierz mi, gdybyś wykopała głęboką dziurę, nie dotarłabyś do mojego domu. Gdybyś kopała ją przez kilka stuleci, dotarłabyś pewnie

do Kitaju, ale nadal nie do mojego domu.

– Jak to możliwe? – jęknęła. Zaczęła boleć ją głowa.

– Nie przejmuj się, niczym się nie przejmuj – poprosił gnom, poklepując małą rączkę. – To wszystko możliwe dlatego, że Ziemia jest okrągła... Dobrze, już dobrze, nie zadawaj więcej pytań. Ziemia jest... – urwał i rozejrzał się, po czym pochyliwszy się, podniósł pomarańczę. – Ziemia jest okrągła, możesz mi wierzyć. Tu jest Granada – wskazał punkt na powierzchni owocu, po czym odwrócił go i dodał: – A tu jest Kitaj. To proste, a ja jakoś po prostu zagłębiam się w ziemię i jestem w domu. Dobra, zawińmy w coś te miecze, tracimy tylko czas.

Zawinięcie wspaniałych mieczy i związanie ich rzemieniami, które Dinah przyniosła ze sobą, zabrało mu tylko chwilę. Zdjął kapelusz i ułożył sobie zawiniątko na głowie, a dziewczynie polecił, by trzymała ramię obejmujący środek pakunku. Po czym gnom i księżniczka przeszli razem przez wspaniałe ogrody, mijając sterty gruzu, wokół których uwijali się jak w ukropie robotnicy. Sułtan zażyczył sobie, by w centrum miasta wznieść dla niego kolejną rezydencję. Miała się nazywać Alhambra ze względu na czerwone kamienie, z których ją budowano.

Gdy dotarli do bram, czekała na nich ochrona. Dziadek Dinah oraz sułtan nie mieli zamiaru pozwolić na to, by komuś udało się kolejne porwanie. Rzecz jasna, gwardziści nie widzieli ani podłużnego zawiniątka, które Bubbi wciągnął na siodło Dinah, ani też jego niezwykłego, przeczącego zasadom grawitacji skoku na koński zad.

Tylko Dinah była bowiem w stanie ujrzyć swego oddanego pomocnika.

– A gdzie młody Józef? – szepnął Bubbi.

– Masz na myśli Czarnego Maura mojego dziadka? – zapytała wyniośle.

– Przemawia przez ciebie ignorancja – ofuknął ją i uraczył tak płynnym wykładem na temat definicji słów, że niemalże natychmiast pogubiła się w labiryncie kwiecistej, akademickiej hebrajszczyzny.

– Czy mógłbyś to ująć w jakiś prostszy sposób? Na przykład w miejscowym języku, którego używamy na co dzień? Zupełnie jakbym słuchała komentarzy do babilońskiego Talmudu.

– Doprawdy? Zaintryguje cię zapewne, moja droga księżniczko, że w Babilonii mówili po aramejsku. Ja natomiast powiedziałem, że Czarny Maur to pojęcie błędne. Maurowie pochodzą z północno-zachodniej Afryki i nie są wcale czarni. Józef zaś pochodzi z ziem leżących daleko na południe od pustyni, nawet bardzo daleko.

Gdy Dinah zerknęła na niego ponad ramieniem, ujrzała, że Bubbi obraca kapelusz na jednym palcu. Co więcej, przybrał minę kogoś, kto właśnie okazał wyższość i jest z tego powodu bardzo z siebie zadowolony.

– Na brodę Proroka! – sapnęła ciężko, z rezygnacją. Po arabsku. – Afryka to Afryka, czyż nie? Jeśli zaś chodzi o owego wspaniałego Czar... Józefa, to został on wysłany jakiś czas temu do pałacu, żeby spakował moje rzeczy do kufra.

Gdy przybyli na miejsce, drzwi na ulicę były uchylone.

„To dopiero ciekawe”, pomyślała Dinah. „Nikt nie dba o bezpieczeństwo z

wyjątkiem chwil, gdy się wchodzi lub wychodzi”.

Żołnierze z ochrony zeskoczyli z siodeł, a ich kapitan pomógł zejść Dinah. Już miał sięgnąć po zwinięty dywan leżący na łąku, gdy ujrzał, jak wślizguje się pod niego muskularne czarnoskóre ramię.

„A skąd ten człowiek się tu wziął?”, zaintrygował się kapitan, spoglądając ku drzwiom, które były już otwarte na oścież.

Dinah powiedziała kapitanowi, że poczuje się bezpieczniej, gdy rozstawią się wzdłuż uskołu nad jej domem. Obiecała też, że gdy będą gotowi do wyjazdu, wyśle któregoś ze służących.

Wewnątrz tajnego magicznego i alchemicznego laboratorium Salomona Dinah wskazała władczo środek ostatniego okręgu, który wyrysowała kredą na środku kamiennej podłogi. Józef wzgardliwie rzucił tam swój ciężar, poirytowany sposobem, w jaki się do niego odnosiła. Rozległ się głośny szczęk metalu.

– Uważaj! – przykazała mu dziewczyna.

– Ile ty masz lat, żeby wydawać mi polecenia? – wycedził Józef przez zaciśnięte zęby.

– Wystarczająco wiele, żeby rozkazywać niewolnikom. Mam trzynaście lat! Bubbi, nauczysz tego niewolnika podstawowych manier? – zapytała, nim Józef zdążył zripostować, wpatrując się w jakiś punkt podłogi.

– Ho, ho, lepiej bądź ostrożna, księżniczko. Józef piastuje teraz funkcję pomocnika nadwornego lekarza, a także ma tytuł mistrza Świętej Kabały i przypuszczalnie najlepszego szermierza w całej Andaluzji.

– Może sobie nawet być królem Czarnych Maurów...

Nikt jej jednak nie słuchał, ani Bubbi, ani Józef. Ten ostatni przysiadł na piętach i z radością ścisnął dłoń gnoma.

– On jest w stanie cię dostrzec? – Dziewczyna aż się zatrzęsła z oburzenia.

– Jasne. – Bubbi obdarzył ją uśmiechem przeznaczonym dla opóźnionego w rozwoju dziecka. – Jak moglibyśmy razem pracować i walczyć, gdyby mnie nie widział?

Dinah otworzyła usta, by zaprotestować. Przecież Bubbi był jej osobistym gnomem! Jak ten... ten... Ten zarozumialec... Podniesione ramię Bubbiego powstrzymało jednakże rodzącą się tyradę.

– Mamy wiele rzeczy do zrobienia, a czasu coraz mniej. Skończmy już tę cczą gadaninę, wyjaśnicie sobie resztę, gdy będzie po wszystkim.

Dinah z pomocą Józefa zabrała się do pracy nad magicznym kręgiem. Była tak zdumiona wiedzą i zręcznością towarzysza, że podziw szybko zastąpiła wściekłość.

Gdy krąg został zakończony i poświęcony Yesodowi, we właściwym miejscu znalazł się żelazny kosz z płonącym węglem drzewnym i fiolką kadzidła. Bubbi rozwinął dywan i wyciągnął oba zaklęte miecze. Józef aż westchnął z zaskoczenia i padł na kolana. Dotknął nieśmiało jednego z nich, a potem z rozpierającą go radością pochwycił drugi.

– Czy to właśnie ten wybierasz? – zapytał go Bubbi spokojnie. – Odrzucasz ten drugi?

– Och, nie, ale wydawało mi się, że jest dla Dinah. Wyczułem w nim kobiecą naturę. Czy on jest naprawdę dla mnie? – Józef nie mógł uwierzyć we własne słowa.

– Dinah? – mruknęła dziewczyna. – Dinah... Kogo on ma na myśli...

– Dla ciebie! – ryknął gnom, udając ból. – Miecz został ukradziony z królewskiego skarbcza w Bagdadzie, a ludzie kalifa przetrząsają cały świat, kamień po kamieniu, żeby go znaleźć! Jak myślisz, co zrobią złodziejowi, u którego go znajdą? Rozszarpia go na kawałki, nawet jeśli okaże się zwykłym gnomem. Tak, Józefie, póki co miecz jest twój, ale nie przywiązuj się do niego zbyt mocno.

Bubbi nie skończył jeszcze go napominać, a Józef już uformował z rzemieni dwa zaczepy do pochew. Z dumą zawiesił swój miecz na jednej, a drugą podał Dinah. Dziewczyna przyjęła dar i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Serce jej zamarło. Uśmiechnęła się bowiem do Józefa po raz pierwszy w życiu i jeszcze nie wiedziała, że jest w nim beznadziejnie zakochana.

W chwilę później Dinah wyjaśniła swym towarzyszom, jak poważne jest ich zadanie. Jej drogi ojciec i dwóch kuzynów przygłupów, jak ich nazwała, wracali z pogranicza Indii i Kitaju z najbogatszą karawaną w swej karierze. Wracali do domu z pośpiechem, a ostatnią wiadomość wysłali gdzieś między Baktrią i Bagdadem. Intuicja podpowiadała dziewczynie, że zostali napadnięci, obrabowani i uwięzieni, ani chybi w nadziei na okup. We trójkę musieli więc ocalić Mojżesza, jej ojca.

– I to natychmiast! – zakończyła.

– Hoooo! Hoooo! – jękliwy odgłos sprawił, że ogień w koszu buchnął żywiej. Bubbi – bo to był on – podskoczył i podpłynął do sufitu. Przycisnął do niego palce i trwał w tej pozycji przez sekundę czy dwie, a potem powoli opadł na podłogę.

– Bubbi, jak ty to zrobiłeś? – zawołał Józef. – To było wspaniałe, mógłbyś mnie tego nauczyć?

Bubbi zignorował Nubijczyka i wbił spojrzenie w Dinah.

– Co to było? – zapytała. Pod jego spojrzeniem czuła się naga.

– Jesteś dziewczyną! – wypalił oskarżycielskim tonem, zupełnie jakby miało to wszystko wyjaśniać.

– Nigdy dotąd tego nie zauważyłeś? – szepnął Józef do siebie. – Panie, te ogniście rude włosy, te nieziemsko zielone oczy, to... te... no, wiadomo... Pewnie, że to dziewczyna!

– O co ci chodzi? – zapytała Dinah, nie zwracając uwagi na peany Józefa.

– Nie rozumiesz? – Bubbi znów dotknął sufitu, lecz tym razem natychmiast powrócił na ziemię. – Jest nas tylko trójka, a mamy uwolnić grupę więźniów. Nie dość, że nie mamy pojęcia, gdzie są trzymani, to jeszcze jedno z nas jest piękną dziewczyną! Co z tego wynika? Ano to, że każdy potwór, zboczeniec, gwałciiciel i Bóg jeden wie kto będzie się za tobą uganiał, Dinah! Będziemy musieli cię bronić na każdym kroku i pojęcia nie mam, jak ocalimy twojego ojca i przygłupów, jak ich nazwałaś.

– Nie zostawicie mnie tutaj! Niedoczekanie! – Dinah założyła ramiona na piersi i odpowiedziała gnomowi twardym spojrzeniem.

– Nie zabieramy cię pod postacią dziewczyny! Niedoczekanie twoje! – odpalił

gnom.

– Mam nosić męskie ubranie?

– Otóż to! – odpowiedzieli chórem Józef i Bubbi.

– W porządku. Pójdę się przebrać.

– Zaraz, momencik! – Józef uniósł dłoń z uśmiechem. – Masz tak piękną i tak kobiecą twarzyczkę, że łachmany żebraka w żadnym wypadku nie ukryją twojej płci.

Uśmiechnęła się nieśmiało i zarumieniła, wzruszając ramionami.

– Każ którejs ze służących, by obcięła te twoje piękne włosy, na tyle, żeby zrobić z nich dla ciebie brodę i wąsy. O, tu i tu – rzekł Bubbi, wodząc dłonią po własnej twarzy, z artyzmem ilustrując swój pomysł. – Każ je mocno przykleić. Nie możemy sobie pozwolić, żeby ci odpadły. Ho, ho, z tym będzie problem.

Gdy Dinah wyszła, Józef zaczął podskakiwać z nogi na nogę, nieświadomie naśladowując Bubbiego.

– To, co zrobiłeś przed chwilą... Co to było? – zapytał błagalnie. – Wiesz, ten skok... Wyglądało to, jakbyś w ogóle nic nie ważył... Jak to się nazywa? Jak ty to...

– Cicho sza! – napomniął go Bubbi. – Ranisz moje uszy. Owa sztuczka nazywa się Szappo i wszystkie gnomy muszą ją opanować, jeśli w ogóle mają zamiar odwiedzać planetę ludzi. Nie da się jej wykonać wszędzie, potrzeba silnego pola magnetycznego... – wskazał przy tych słowach na drzwi, jakby obawiał się, że ktoś podsłucha i skradnie tę informację. – Dostrajasz się do pola magnetycznego, dostrajasz swoje wibracje, pole unosi cię i puszcza, gdy tego chcesz. Dosyć pytań. Spróbuję cię tego nauczyć, gdy wrócimy. O ile wrócimy. Póki co żadnych pytań. Sprawdźmy nasze magiczne przygotowania krok po kroku.

Właśnie zakończyli staranną inspekcję, gdy powróciła Dinah. Obaj aż podskoczyli, a miecz Józefa niemalże wysunął się z pochwy, nim młodzieniec rozpoznał dziewczynę. Miała na sobie długą szatę z kapturem, spod którego widać było tylko ogiście czerwoną brodę.

– Ruszamy! – syknęła. – Czas ucieka. Zresztą nie chodzi tylko o to. Jeśli dziadek wróci przed naszym powrotem... No, powiedzmy, że będzie niezadowolony, i to bardzo.

– Na twoje życzenie, księżniczko ha-Levi – zaintonował Józef, lecz w jego głosie pobrzmiwała wesołość.

Księżniczka wyciągnęła swój miecz i podała czarnoskóremu. Ten zaś stanął dokładnie za nią i skrzyżował jej i swoje ostrze przed dziewczyną, na wysokości jej piersi. Dinah poleciła towarzyszom, by wyobrazili sobie cztery stworzone przez nią pentagramy, wyznaczające cztery strony świata. Połączyła je błękitnym płomieniem. Gdy tylko rytuał odejścia dobiegł końca, dziewczyna zaintonowała inwokację, mającą przenieść ich na plan astralny. Józef zaś poczuł, jak jego percepcja rozrasta się we wszystkich kierunkach z prędkością światła.

Wszyscy troje poczuli, że jakaś ogromna siła podrywa ich i wynosi w inną rzeczywistość. Niespodziewanie z ust Bubbiego wyrwał się przerażający jęk. Chłopak i dziewczyna ujrzeni, jak tuż obok materializuje się straszliwa brązowa istota przypominająca stopę. Z trzech palców potwora jęły wysuwać się długie smocze

pazury. Stopa naraz uniosła się i błyskawicznie przydepnęła bosą, bezbronną stopę Bubbiego. Szpony zatopiły się w ciele gнома.

Miecz w prawej dłoni Józefa błysnął z oślepiającą prędkością, ale nim zdołał dosięgnąć potwora, pojawił się Muza. Demon w okamgnieniu zdeintegrował obcą formę. Józef rozejrzał się, laboratorium znikło, a on, księżniczka i gnom stali na wielkim polu fioletowej trawy. Wokół leżało kilkanaście żdźbeł, ściętych przez miecz młodzieńca.

Owa dziwna kraina wydawała się rozciągać w nieskończoność. Niebo przybrało kolor wyblakłej lawendy, a mimo to emanowało światłem, jak niebo w ich świecie. Dinah zmrużyła oczy. Gdzieś w oddali strzelały w górę wodą wielkie fontanny, skrzące się niczym diamenty. Za nimi wyrastały niezliczone drzewa, które również wydawały się błyszczeć i skrzyć. Dinah miała poczucie osobliwości i niecodzienności, które objawiało się ścisaniem w żołądku, i wiedziała, że wywołuje je niemożność zrozumienia wszechświata pozbawionego ograniczeń czasu i przestrzeni.

– To nie czas na rozmyślania, mała – upomniał ją Muza.

Zaskoczona Dinah uniosła spojrzenie. Jej wzrok znacznie się polepszył, podobnie jak słuch. Zielony demon trzymał w objęciach Bubbiego. Twarz gнома wykrzywił dziki grymas, warczał niczym oszalały pies. Gdy próbował się wyrwać z jego objęć, Dinah zauważyła, że nieprzyjemnie wyglądające czerwone ślady na jego stopie zaczynają nabierać niezdrowego zielonego koloru.

– Tak – Muza najwidoczniej bez najmniejszego trudu odczytywał jej myśli. – To Azazel próbował wrócić do twojego laboratorium. Ponownie zresztą. Pamiętasz, jak podjął pierwszą próbę? Nasza dumna, nieostrożna mała czarodziejka niemalże uwolniła go i zapewniła swojemu dziadkowi mnóstwo atrakcji. Azazel wie o tym, że magiczny warsztat Salomona jest wrażliwym punktem na granicy między światami. Potężny Salomon, król starożytnego Izraela, uwięził go i skazał na wygnanie. Teraz Azazel chce, żeby Salomon go uwolnił. On lub jego nieostrożna wnuczka.

Dotknięta do żywego i zawstydzona słowami Muzy Dinah nie odpowiedziała ani słowem. Zwiesiła głowę i z całej siły próbowała powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Nagle poczuła silną dłoń Józefa na ramieniu. Nubijczyk próbował dodać jej otuchy.

– Józefie, pobiegnij do tej fontanny i wystaw miecz, żeby kryształowe krople wody opadły na jego czubek. Pod karą śmierci uważaj jednak, żeby jej nie rozlać – oznajmił Muza, wskazując fontannę po lewej.

Kilka chwil później Muza przygwoździł Bubbiego do ziemi, a Józef przytknął do puchnącej stopy gнома swój zmoczony miecz niczym rozpalone żelazo, którym wypala się ranę. Błysnęło, na sekundę poniósł się zapach płonącego mięsa, ale rana znikła. Nubijczyk wsunął miecz do pochwy, a Muza płynnie poderwał się na równe nogi, ujął oszołomionego Bubbiego na rękę i kazał mu chwycić się jego włosów i nie puszczać pod żadnym pozorem. Gdy Bubbi zaczął krzykiem dopominać się o wyjaśnienia, Muza klepnął go w nogę i kazał się uciszyć. Gnom w towarzystwie demona mógł się prześlizgnąć niespostrzeżenie, ale Dzin, do którego należał ów wymiar, był w stanie wykryć obecność ludzi z wielkich odległości.

Demon przykazał więc dziewczynie i młodzieńcowi, by stanęli po obu stronach i mocno objęli go w talii.

– Trzymajcie się! – zawołał.

Oczy zapiekły ich tak, że musieli je przymknąć. Nagle odczuli, że wznoszą się, a potem mkną coraz szybciej, aż niewyobrażalnie. Dinah miała wrażenie, że niespodziewanie znaleźli się w pozbawionej dźwięków próżni, lecz mimo to świadoma była, że z każdą chwilą poruszają się coraz szybciej. Niespodziewanie ogarnęła ją przemożna ochota, by wrzeszczeć ze wszystkich sił, a potem uświadomiła sobie, że nie jest w stanie wydać żadnego dźwięku. Gwałtowny zawrót głowy sprawił, iż przez dłuższą chwilę księżniczka walczyła z przeświadczeniem, że jej wnętrzości próbują się przepchnąć przez gardło. Wraz z demonem ona i Józef pikowali w dół niczym płonący meteor.

W jednej chwili Dinah wirowała w powietrzu wraz z towarzyszami, lecz w sekundę później klęczała na twardej ziemi z mieczem w dłoni. Wylądowała gdzieś, ale gdzie? Nie miała czasu do namysłu, bo zaalarmował ją nowy odgłos. Ktoś nadbiegał.

– Pamiętaj, czego cię uczyłem – szepnął Józef, który przyklęknął u jej boku, na próbę tnąc mieczem powietrze. – Obserwuj ich oczy, a nie ich miecze. Gdy zwiążę ich walką, tnij po łydkach lub kostkach, to wyeliminuje ich ze starcia. Nie potrzeba nam zbędnego rozlewu krwi.

– Ty mnie uczyłeś? – wykrzyknęła zaskoczona, ale było już za późno, bo oto pojawiło się pierwszych dwóch strażników. Bubbi odwrócił się w stronę muru, zaparł o niego i gwałtownie wysunął stopę. Rozpędzony strażnik potknął się i runął na ziemię, a Józef rąbnął go płazem, błyskawicznie pozbawiając przytomności. Drugi strażnik runął prosto na Józefa, a wtedy Dinah uderzyła atakującego płazem w kostkę. Głośny brzęk jej ostrza zlał się z wrzaskiem bólu, który przerwał Józef, ogłuszając zbrojnego równie sprawnie jak poprzedniego.

Zza rogu wybiegło czterech kolejnych żołnierzy. Bubbi wiązał właśnie ręce i dłonie obu ogłuszonych za pomocą ich turbanów, nadbiegającą czwórkę musiał zaskoczyć widok dziwnie podrygujących towarzyszy – nie mogli wszak widzieć gнома.

– Tu są! – zawołał Bubbi, pokonawszy chwilę wahania. – Brać ich, nie dajcie im uciec! Kadi szczerze nas wynagrodzi!

Z wrzaskiem uniesienia żołnierze rzucili się naprzód, wznosząc miecze.

Ciężkie drewniane drzwi do lochu, znajdujące się na końcu ciemnego korytarza, z przerażającym rykiem wyskoczyły z zawiasów, rozplaszczyły czwórkę nacierających i uderzyły w przeciwległą ścianę, roztrzaskując się w drzazgi. Niespodziewanie z ciemnego lochu wypełzła winorośl przypominająca bicz i z czterema głośnymi trzaśnięciami oplotła kostkę każdego z powalonych, zwijających się z jękiem strażników. W okamgnieniu poderwała ich z ziemi i wciągnęła do pozbawionego drzwi otworu z taką szybkością, że aż rozmazali się w oczach. Jęki i wrzaski nagle ustały.

– Co to było? – Józef oddychał nierówno.

– To chyba znów Muza – odparła Dinah z dreszczem.

– Cieszę się, że mamy go po swojej stronie – dodał Bubbi.

Przejdźcie nagle załało jasne światło. Przepiękna, skrząca się istota lekko przekroczyła próg, chyląc głowę pod niskim sufitem. Bubbi jęknął i schował się za Dinah, z przerażeniem tuląc się do jej kolan.

– I znów ład, młoda księżniczko – powiedziała zjawa. – W rzeczy samej, pomyłki wynikające z twojej lekkomyślności stają się z wolna twoim sposobem na życie. Nie jestem Muzą. Jestem jego ojcem. Pozwólcie, że się przedstawię... Nazywam się Hutti, do usług. A owemu żalostnemu robakowi, który kurczowo trzyma się teraz kobiecych – o, przepraszam, męskich – portek, możecie powiedzieć, że nie jestem po jego stronie.

– Nazywam się Dinah ha-Levi – wyprostowała się księżniczka, usiłując odzyskać godność, co nie było proste z gnomem, który kurczowo trzymał się jej kolan.

– Czyżbyś była wiary żydowskiej? – Oblicze dzina zajaśniało zachwytem, podczas gdy oczy dosłownie pożerały ciało dziewczyny.

Dinah przytaknęła kiwnięciem głowy.

– Nie dość, że Żydówka, to jeszcze wspaniała, młoda dziewica... Nawet bardzo młoda, rzekłbym – uśmiechnął się Hutti i uklonił z uznaniem. – Obstawiałbym, że masz dwanaście, już prawie trzynaście lat, a ja się nigdy nie myślę. Znajomość z tobą przyniesie mi wiele radości, moja droga.

– Słuchaj no, ty, kimkolwiek jesteś! – wykrzyknął Józef z mieczem wyciągniętym do połowy z pochwy. – Dotkniesz choćby włosa na jej głowie, a odpowiesz za to przed...

Dzin odwrócił się i wbił spojrzenie w Józefa. Psotne iskierki w jego oczach naraz przygasły, tęczówki stały się żółte niczym topazy, zimne i przepełnione gniewem.

– Po pierwsze, nie mówiłem do ciebie. Po drugie, musiała cię dotknąć nieuleczalna głuchota. „Posłuchaj no, ty, kimkolwiek jesteś”? Nie słuchałeś? Wielka szkoda, bo takie rzeczy bardzo mnie irytują. Nazywam się Hutti. H-u-t-t-i!

Dzin nie mówił szczególnie głośno, lecz mimo to jego słowa dla Dinah i Bubbiego rozbrzmiały bolesnym echem. Józef natomiast opadł na kolana, zgiął się i przycisnął dłonie do uszu. Dzin urwał i Józef powoli opuścił ramiona, choć jego ciało nadal zauważalnie drżało.

– No, dosyć – oznajmił dzin już spokojnym, uprzejmym tonem. – Może to pomoże. Poczekamy, zobaczymy. Słyszycie to szuranie? Dobiega z tej niewielkiej dziurki tuż nad podłogą!

Wskazał ją, lecz w korytarzu było zbyt ciemno i nie dało się jej dostrzec.

– Wygląda na to, że jesteście niedorozwinięci nawet jak na ludzi – oznajmił dzin, jakby mówił do siebie. Wskazał na Józefa, a chłopak natychmiast zakrył jedną dłonią oczy, a drugą nos. – A teraz? Widzisz już dziurę? – zapytał Hutti.

Nieco oszołomiony Nubijczyk potwierdził skinieniem głowy.

– Słyszysz, co tam się wyprawia?

Kolejne skinienie.

– Zapach czujesz?

Józef zacisnął palce na nosie. Wyglądał, jakby miał za chwilę zwymiotować.

– A więc teraz nie tylko słyszysz, jak te myszy kopulują, ale i je czujesz. Dzięki tym zdolnościom będziesz bardziej przydatny podczas niebezpiecznych przygód. Nadasz się lepiej do... Cóż, do obrony naszej uroczej młodej księżniczki, czyż nie?

Oszołomiony Józef znów skinął głową.

– Czy to nie jest zabawne? – Dżin skierował pytanie do Dinah, uśmiechając się szeroko. – Dajesz człowiekowi cenny dar, a ten tylko kiwa głową. Doprawdy większość ludzi tak robi. Czy któryś z was słyszał frazę: „Dziękuję”? Moja droga, jeśli znajdziesz kiedyś wolną chwilę, wbij temu młodzieńcowi do głowy trochę manier, dobrze?

Nim zdumiony Józef odzyskał zdolność mówienia, Hutti wskazał obu strażników skrepowanych przez Bubbiego, a potem kciukiem machnął w kierunku pozbawionego drzwi otworu prowadzącego do lochu. Józef dźwignął jednego z żołnierzy, a potem, przy wydatnej pomocy Dinah i Bubbiego, uniósł również drugiego. Następnie ruszył za dżinem, prowadząc swych towarzyszy.

Było zbyt ciemno, by dostrzec cokolwiek, ale dżin wykonał gest wyprostowanym palcem wskazującym i z mroku wyłoniła się linia, na zbiegu sufitu ze ścianą. Wszędzie pojawiały się i gasły ogniki. Jeden z nich oświetlił sześciu nieprzytomnych strażników, zwalonych na środku pomieszczenia. Naprzeciw drzwi zamajaczyły trzy apatyczne, nieruchome postaci przykute do ściany. Dinah podbiegła do nich z płaczem. Jej ojciec i obaj kuzyni siedzieli ze zwieszonymi głowami, całkiem bez życia. Ich języki były niebieskawe i uschnięte z braku wody.

Hutti wcisnął jej w ręce dzbanek i drewnianą nabierkę.

– Powoli – rzekł łagodnie. – Bo się pochorują.

Pojawiło się jedzenie i wino, strażnicy zostali obdarci z odzienia i więźniowie mogli sobie wybrać to, co pasowało im najbardziej. Mojżesz i obaj kuzyni szybko odzyskiwali siły. Dinah pomyślała sobie, iż może mieć to związek z migotliwym, przejrzystym napojem, który niekoniecznie był winem, jak z początku sądziła.

Hutti wysłał Józefa i Bubbiego na rozpoznanie, a sam stanął na środku lochu, wsparłszy podbródek na dłoni.

Dinah odniosła wrażenie, że towarzyszy jej tylko ciałem, bo jego umysł komunikuje się właśnie z całkiem inną sferą. Przyjrzała się bacznie dżinowi, ściskając zimną, nieczułą dłoń ojca.

Połyksliwe miedziane włosy Huttiego spływały w lokach i falach na jego ramiona. Znad brwi wyrastały dwa okazałe złote rogi. Dżin miał ciało o perfekcyjnych proporcjach, a skórę niemal przezroczystą, szmaragdowej barwy, znaczoną złotymi liniami. W sieci owych linii co chwila rozbłyskiwały jasne srebrne punkciki, może dlatego Hutti emanował niezwykłą energią.

Niespodziewanie w przejściu pojawiła się doskonale widoczna, wysoka i niezwykle szczupła postać w obszernej szacie, kaptur zasłaniał jej twarz. Kiwnęła na Dinah długim, kościstym palcem, który wysunął się z rękawa. Hutti zachowywał się, jakby tego nie widział. Księżniczka zastanawiała się nawet, czy dżin przestał oddychać, tak nieruchomo stał, gdy przechodziła obok niego. Jego oczy nawet nie

drgnęły.

Nie zdawała sobie sprawy również i z tego, że kilka ostatnich metrów przebiegła. Przewróciła się, gdyby nie złapały jej w porę mocne dłonie. Poczowała, że płynie w powietrzu, coraz dalej od drzwi na korytarz. Uniosła głowę i odkryła, że kaptur nieznajomego się zsunął. Spoglądała teraz w najbardziej niezwykłą twarz, jaką w życiu widziała, w subtelnie piękne oblicze z długą brodą, kiedyś barwy kasztanowej, teraz spłowiałą od promieni tysiąca słońc. Dinah nie mogła oderwać oczu od tej twarzy emanującej spokojem i wewnętrznym blaskiem. Ów niezwykły, niemalże boski mężczyzna zamknął jej drobne dłonie w swoich.

– Jestem Isa ben Maryam – szepnął. – Przybyłem tu, żeby ci pomóc. Albowiem niebawem będziesz pomocy potrzebować.

– Isa ben Maryam? – wydyszała z trudem księżniczka. – Ten sam, który jest mesjaszem narodów nieżydowskich, ten, o którym się mówi, że jest synem...

– Nie, skądże – uśmiechnął się mężczyzna. Jego usta ledwie się poruszyły. Mówił za pośrednictwem umysłu i tak też był odbierany. – Masz na myśli Yehoshuę ha-Mashiah, który po arabsku nazywa się rzeczywiście Isa ben Maryam. Ja jestem innym Isą, moją duchową matką jest inna Maryam.

– Jesteś więc muzułmaninem? – szepnęła księżniczka.

– Jestem prawdziwym wyznawcą Boga, podobnie jak ty, Dinah. Wierz mi, że nic nas nie różni. Mojemu ojcu chrzestnemu, który jest wielkim świętym, bardzo zależy na twoim bezpieczeństwie. Przypominasz mu wielce jego wnuczkę, gdy była w twoim wieku. Została ona zgwałcona przez dzina, w rezultacie czego narodził się Muza. Życie dziewczynki legło jednak w gruzach i ojciec chrzestny Anwar nie chce, żeby to samo przytrafiło się tobie.

– Czy... Czy to był... Ten dzin? – Dinah wskazała kierunek, z którego przyszli. Nadal nie odzyskała władzy nad głosem. Isa skinął głową. Brwi dziewczyny uniosły się wysoko.

– Och... – wydusiła. Niespodziewanie opadła z sił i gdyby nie silne ramię Isy, osunęłaby się na podłogę.

– Masz. – Włożył jej do ręki malutki przedmiot. Przyjrzała mu się baczniej i ujrzała sześć drobnych heksagramów, które łączyły się wierzchołkami, tworząc niewielki wzór o idealnych proporcjach. W środku połyskiwało coś efemerycznego, bezkształtnego, Dinah wyobraziła sobie, iż jest to jakaś forma mocy magicznej uwięzionej między heksagramami. Miała też wrażenie, że artefakt tętni własnym życiem.

– To żyje, podobnie jak skóra Huttiego – szepnęła.

– W istocie, obie rzeczy są do siebie podobne ze względu na swoją strukturę – zgodził się Isa. – Ale naturą różnią się diametralnie. A to, co stanowi ową różnicę, ochroni cię, gdy nadejdą decydujące chwile.

– Chwile? – zapytała nerwowo. – Czy to znaczy, że będzie ich więcej niż jedna?

– Muza, który jak dotąd okazywał się istotą bardzo dobrą i rozsądną, zważywszy na fakt, że jest przecież demonem, doszedł do wniosku, że uwolnienie twojej rodziny przewyższa jego potencjał intelektualny i możliwości. Wezwał więc

Huttiego, swojego ojca. Oznacza to, że obaj zażądają zapłaty w postaci wdzięków młodej dziewicy. Czyli twoich – westchnął z żalem Isa.

– Och, och... – Dinah wzdrygnęła się i zadrżała. – I co teraz? Co mam począć?

– Gdy nadejdzie odpowiednia chwila – oznajmił Isa – wsuń sobie to pod język i trzymaj, aż zrobi się niewiarygodnie gorące. Wtedy przesunij amulet między zęby i zaciśnij mocno usta, żeby powietrze mogło uciekać tylko przez heksagramy.

– I co mi to da? – Oszłomiona dziewczyna potrząsnęła głową tak gwałtownie, aż jej włosy załopotwały.

– Wiesz, gdzie się teraz znajdujesz? – zapytał łagodnie Isa.

Dinah zaprzeczyła.

– Znajdujemy się w podziemiach pałacu kalifa w Bagdadzie. Dość daleko od Granady, nieprawdaż? Jeśli chcesz wrócić do domu równie szybko, jak się tu dostałaś, zmuszona będziesz przebyć ten sam plan astralny. W drodze powrotnej twój duch zostanie uprowadzony. Ani Hutti, ani Muza nie zorientują się nawet, że jesteś nieobecna.

– Kto to robi? Znaczący się kto uprowadzi mojego ducha? – Dinah z trudem układała zdania.

– Anwar, mój święty ojciec chrzestny, lub Aysha, najgroźniejsza dzinnija. Hutti boi się jej jak mało kogo. Aysha jest również matką pełnoprawnego dzina i... I anioła stróża Anwara. Tak, ona będzie umiała się tobą zająć.

– Ale... Ale...

– Ciii... – uspokoił ją Isa. – Znajdź bezpieczną kieszeń i ukryj w niej talizman. Zatroszczcie się też z Józefem o bezpieczne schowki dla waszych mieczy. Zostały dla was ukradzione z tego właśnie skarbcza przez dzielnego, niezmiernie dzielnego gнома Bubbiego. Co więcej, na pewno mają magiczne właściwości.

Nim udało jej się ująć w słowa kolejne pytanie, Isa rozpląnął się i znikł, a dziewczyna uświadomiła sobie, że siedzi na twardej ławie w pozbawionym drzwi lochu. Jej ojciec i kuzyni wciąż wydawali się pogrążeni w transie, a Hutti nawet nie drgnął.

Usłyszała jakieś odgłosy i odwróciła się błyskawicznie. Jej oczom ukazał się Józef i Bubbi, dźwigając naręcza drogiej odzieży.

– W porządku – warknął Hutti, wracając nieoczekiwanie do życia. – Przebierzcie uratowanych więźniów w najdostojniejsze szaty.

Dinah i jej towarzysze przystąpili do pracy, uwijając się gorączkowo wedle wskazówek i rozkazów wielkiego dzina. Wkrótce Mojżesz i jego siostrzeńcy zostali odziani, Dinah, Józef i Bubbi zmienili też ubrania nieprzytomnym strażnikom.

– Co się dzieje z moim ojcem i kuzynami? – zawołała Dinah, wbijając nieprzyjazne spojrzenie w Huttiego. – Wyglądają jak lunatycy!

– Otóż to – zgodził się Hutti. – Jeśli chcemy wyciągnąć ich stąd tak, żeby nikt ich nie rozpoznał, nie możemy pozwolić sobie, żeby padło choć jedno nierozważne słowo. Gdy wydestaniemy się z Bagdadu i ruszymy w drogę powrotną, ich stan się poprawi.

Hutti oparł pięści na biodrach i zaśmiał się szyderczo, mierząc dziewczynę

spojrzeniem pełnym wyższości.

– Chyba chcesz, by bezpiecznie ukończyli swą podróż, nieprawdaż? Z całym tym bogactwem, które wieźli do Granady?

– Oczywiście, że tak... Przybyłam tu tylko w tym celu.

– A zatem wyobraź sobie, co się stanie, jeśli tych dwóch twoich kuzynów półgłówków wypaple, kim naprawdę są. Nietrudno się domyślić, że wrócą do lochu w kajdanach.

– Co więc masz zamiar zrobić? – szepnęła. Jej irytacja z wolna przechodziła w nabożny lęk.

– Zamierzam skorzystać z pokusy. Będziemy kusić tego małego sędziego służącego kalifowi. Oślepiemy kadiego wizją skarbu, którego nie sposób sobie wyobrazić, a potem uczynimy go nowym kalifem Bagdadu. Zresztą mniejsza o to, po prostu bądź cicho i przyglądaj się. Sądzę, że czeka cię niezłe widowisko.

Hutti uśmiechał się, zadowolony z siebie i ze swego mistrzowskiego planu. Następnie wydarł łańcuch z kamiennej ściany, bez trudu rozwarł żelazną obrozę, wsunął sobie na szyję i rzucił drugi koniec łańcucha Mojżeszowi. Wbił spojrzenie najpierw w niego, potem w kuzynów.

– Zrozumiano? – spytał głośno.

Cała trójka kiwnęła głowami.

Mojżesz pochwycił koniec łańcucha i szarpnął z gniewem. Hutti padł na kolana, płaszcząc się i korząc. Trzech mężczyzn odeszło, odprowadzając ze sobą istotę przypominającą teraz błazna.

Bubbi podskakiwał to na jednej stopie, to na drugiej, za każdym razem niemalże uderzając o sufit.

– Dlaczego Muza to zrobił? Dlaczego wezwał ojca? – pytał, załamując dłonie. – Muza jest mi wiele winien, nie ośmieliłby się przecież zażądać od Dinah, żeby... eee... żeby zapłaciła cenę! Ho, ho, i co my teraz zrobimy? Przecież Hutti będzie obstawał przy swoim!

Dłoń Józefa opadła na rękojeść miecza. Dłoń Dinah wsunęła się pod szatę, prosto do kieszeni, w której spoczywał talizman.

Nim ktokolwiek zdołał się odezwać, niespodziewanie wybuchła ogromna wrzawa. Księżniczka i jej towarzysze słyszeli ciężkie kroki, szcęk broni ocierającej się o ściany i przekrzykujących się ludzi, a wszystko to przybrało na sile, gdy grupa wyszła zza zakrętu korytarza.

Dinah usiadła na ławce obok Józefa i wprowadzonych w trans strażników. Oboje zastygli w bezruchu, starając się nie wyróżniać spośród żołnierzy kalifa, a Bubbi skulił się pod ławką, ściskając rąbek szaty dziewczyny.

– ...co zresztą ujrzycie na własne oczy – oznajmił Mojżesz, kończąc swe tryumfalne wejście do komnaty. Dinah wpatrywała się w niego z podziwem. Zauważył to, mrugnął do niej niemalże niedostrzegalnie i ciągnął swój wywód.

„Wygląda jak król”, pomyślała. „Jest równie wysoki jak jego ojciec, Salomon, a w jego czarnej brodzie tu i ówdzie znać już nieco siwizny”.

Do lochu wkroczył niski, opasyły człowieczek, wokół którego kłębili się dworzanie,

rozkładając przed nim dywany, poduszki i niskie stoliki ze słodyczami.

– O kadi! – zwrócił się do niego Mojżesz, o wiele od niego wyższy. – Jeśli zgodzisz się zaakceptować naszą propozycję i przejmiesz dopiero co opustoszały tron kalifa, jeden z największych skarbów tej ziemi stanie się twoją własnością.

Następnie Mojżesz oczarował swych słuchaczy opowieścią o splądrowaniu świątyni króla Salomona, w której podziemiach znajdowały się nieprzebrane, z niczym nieporównywalne bogactwa. Gdyby kadi zgodził się objąć tron, wszystko to przypadłoby jemu. W zamian za to miał jedynie uwolnić owych nieszczęsnych pojmanych do niewoli kupców i oddać im zrabowane złoto. Mojżesz wskazał dostojnym gestem siedzących na ławie.

W tymże momencie z tryumfem wkroczyli obaj kuzyni, Abraham i Ichabod, ciągnąc na łańcuchu Huttego.

Kadi zadrżał i cofnął się na widok potwora.

– Czy jesteś całkowicie pewien, że kalif, poprzedni kalif znaczy się, został poddany procesowi sądowemu i skazany za herezję? – zapytał piskliwie.

– Widziałem to na własne oczy... Został pojmany w łodzi płynącej z Mekki i zawleczony w kajdanach do Basry – odparł Mojżesz, ujmując łańcuch i przyciągając Huttego bliżej. – A teraz, panie, musimy natychmiast podjąć naszą podróż, nie ma chwili do stracenia. Czy możemy poznać twoją odpowiedź?

Kadi obliznął nerwowo usta i spojrzał na dzina. Ten wydał głośny pomruk i wypluł rubin wielkości średniego melona, który potoczył się po ubitej polepie. Po ścianach przemknęły czerwone rozbłyski. Kadi pochylił się, a jego twarz aż zajaśniała chciwością. Pokiwał szybko głową.

– A teraz, bestio, którą pojmałem i ujarzmiłem dzięki odziedziczonej przeze mnie mocy Salomona, daj mi to, co dać przysięgałeś w zamian za wolność. Zrób to natychmiast, rozkazuję ci!

Hutti podpełzł bliżej, kiwając i kręcąc nisko pochyloną głową. Jego jęzor groteskowo zwisał z pyska. Niespodziewanie zaczął nabierać tchu w płuca. Rósł, rósł coraz bardziej, wypełniał sobą coraz większą przestrzeń, zmuszając dworzan do wyjścia na korytarz. Potem rozległ się ryk, jakby tysiąc gromów uderzyło z poczerńałego nieba. Przeciwnie ściana zadygotała i runęła, tworząc stertę gruzu.

Wszyscy obecni jęknęli ze zdumienia, gdy do lochu wtargnęła wielka fala złota, klejnotów, koron i srebrnych naczyń. Ludzie rzucili się do zbierania, a sięgająca sufitu sterta bynajmniej nie malała. Nowy kalif zasiadł na poduszce, do piersi przycisnął ogromną koronę wysadzaną szmaragdami i diamentami. Strażnicy przebrani za kupców wyszli rzędem z pomieszczenia, a za nimi wymaszerowali Dinah i Józef, którzy wcześniej zdołali ukryć swe cenne miecze pod szatami, oraz Bubbi.

Mojżesz stanął w drzwiach i z wielką powagą i namaszczeniem ostrzegł, że jeśli ktokolwiek spróbuje pogwałcić porozumienie, bestia powróci, wielki skarb zniknie i wszyscy zostaną zamienieni w kamień.

Gdy Mojżesz dołączył do Dinah i reszty grupy przy najbliższej bramie pałacowej, nadciągnęło stado wielbłądów i koni obładowanych skarbami, które przebiegły kadi

zebrał bez wiedzy kalifa. Dinah uzmysłowiła sobie, że siedzi na grzbiecie wielbłąda, choć nie miała zielonego pojęcia, jak się tam znalazła. Postanowiła w duchu, że najlepiej będzie, jak przestanie się czemukolwiek dziwić i cokolwiek kwestionować, a po prostu przyjmie, że tam, gdzie chadzają dziny i demony, nic nie wygląda tak, jak powinno.

– Gotowa?

Uniosła głowę. Hutti nadal górował nad nią z siodła, jak gdyby oboje stali na ziemi.

– Twój ojciec i kuzyni są wolni, ogromny skarb na powrót znalazł się w rękach rodziny, u boku stoi zaufany Nubijczyk z magicznym mieczem, gotów chronić cię podczas długiej drogi powrotnej... Czegóż więcej można by sobie życzyć, moja smakowita księżniczko? – Uśmiechnął się niczym kot na widok kanarka.

– A dlaczego nie możemy wrócić do domu wszyscy w ten sam sposób, w jaki się tu dostaliśmy? – Dinah mówiła do Huttiego, ale patrzyła na Józefa.

– Tylko ci, którzy przebyli już tę nieziemską drogę, mogą nią powrócić. Mogłabyś zabrać ze sobą Józefa, ale kto zatroszczyłby się o twoją rodzinę? – zaśmiał się dobrodusznie Hutti. – Biedna Dinah. Na pewno uda im się znaleźć jakiś szybki statek i dotrzeć do domu za niecałe dwa miesiące.

Księżniczka wiedziała, że sporem niczego nie wskóra. Wyraźnie czuła, że Hutti nią manipuluje.

– A co z owym ogromnym skarbem, który twoim zdaniem pochodzi prosto ze świątyni w Jerozolimie? Czy już znikł?

– Czyżbyś była tak naiwna jak twój nubijski bohater? Skarb zniknie dopiero jutro o północy. Muza otrzymał instrukcje, żeby odnieść go tam, gdzie... hmmm... Tam, gdzie zawsze leży. Do tego czasu będziecie już bezpieczni. Żaden pościg wam nie zagrazi.

– A ów mały człowieczek, ów kadi? Nie wierzę w historyjkę o kalifie, którą opowiedział mój ojciec. To musiał być twój pomysł. Co się z nim stanie?

Hutti dostrzegł, że jej troska bynajmniej nie jest udawana.

– Masz główkę pełną pestek po daktylach, moja droga – oznajmił oschle. – Ów mały człowieczek, jak go pięknie nazwałaś, za plecami kalifa pojmał twojego ojca i jego karawanę. Bynajmniej nie zasługuje na twoje łzawe współczucie. Ale nie martw się, zostanie ostrzeżony, i to na tyle wcześnie, by zdążył zapomnieć o swoich aspiracjach przed powrotem al-Abbasiego, prawdziwego kalifa. Ten chciwy, mały sędzina otrzyma lekcję, której nigdy nie zapomni.

– Och. – Dinah poczuła rozpacz. Spojrzała na Huttiego raz jeszcze, a na jej twarzy pojawiło się skrajne zmieszanie. – No dobrze, to co teraz?

– Cierpliwości – odpowiedział dzin enigmatycznie. – Bez względu na to, co się wydarzy, nie mogę się jednak doczekać naszego kolejnego spotkania.

Następnego pytania dziewczyna nie zdążyła już zadać. Ujrzała ostry rozbłysk błękitnego światła i Hutti znikł, lecz w powietrzu poniosły się jego słowa, tym razem skierowane do Józefa.

– Posłuchaj mnie uważnie, Józefie! – wykrzyknął demon. – Jedźcie prosto przed

siebie, nie róbcie żadnych niepotrzebnych postojów, wasze zwierzęta są dobrze nakarmione i napojone. Jedźcie na południe, aż dotrzecie do Hit, i tam przekroczcie rzekę. Dalej skierujcie się do oazy Ghadir as-Sufi, gdzie możecie się zatrzymać na krótki popas, a potem jedźcie do następnej oazy, zwanej Bir Sejri. Omińcie Damaszek od południa i skierujcie się prosto do Tyru, gdzie będzie was oczekiwał bardzo szybki statek. Ci strażnicy przebudzą się kilka godzin po waszym wyjeździe. Wielbłąd Dinah odprowadzi ich prosto do Bagdadu.

Kolejny błękitny rozbłysk i tajemnicza siła porwała Dinah i Bubbiego. Z zawrotną prędkością oboje pomknęli ku niebu.

* * *

Całkowicie nowa sceneria, odurzająco wprost piękna, rozpostarła się przed oczami Dinah z taką gwałtownością, że dziewczyna na moment oślepla. Tak, otaczała ją ta sama purpurowa trawa, te same migotliwe drzewa rodzące klejnoty zamiast owoców, to samo lawendowe sklepienie, dające jednak mnóstwo światła. Widok był zbyt oszałamiający, by teraz przyswoić go jednym spojrzeniem. W drodze do Bagdadu dziewczyna przebyła ów wymiar z taką prędkością, że nie zdołała dopatrzeć się żadnych szczegółów. Z oszołomienia wyrwał ją okrzyk protestu Bubbiego.

Niespodziewanie ujrzała Mużę, który przyciskał szamocącego się gnoma mocno do piersi. Demon wybił się wysoko, a jego głowa wycięła szczelinę w ciągnącej się nad ich głowami tkaninie. Tkaninie? A może materii czy substancji? W każdym razie demon zanurzył się w powstały otwór i nim Dinah krzyknęła i zerwała się na równe nogi, by złapać go za kostki, zniknął całkiem. Dziewczyna opadła na ziemię i syknęła z bólu, a wtedy usłyszała cichy chichot.

– Aż tak się palisz, żeby się stąd wydostać? – zadrwił Hutti, który wyszedł zza najbliższego drzewa z naręczem migotliwych owoców. – Nawet nie próbuj iść za Mużą. Jesteś tu o wiele bezpieczniejsza. Mój syn jest wciąż młody i impulsywny. Ja się tobą zaopiekuję.

Dinah odskoczyła i dobyła miecza, mierząc w genitalia dżina.

Hutti wyrzucił ostatni klejnot i klepnął się w uda z uciechy.

– Przerąbiesz mnie na pół? A może odrąbiesz mi głowę? Moja droga, dlaczego wy, kobiety rodzaju ludzkiego, zawsze jesteście takie męczące? Wiesz, czym jest dziewictwo? Dziewictwo jest jedynie pewnym brakiem i niczym ponad to. A my właśnie zmierzamy do tego, żeby ów brak usunąć. Rozbieraj się.

– Za nic w świecie! – rzuciła Dinah wyzywająco, celując mieczem w serce dżina.

Tkanina, którą owinęła sobie dłonie, uleciała jakby porwana podmuchem cyklonu. Koniec pasma niczym żywa istota wydarł dziewczynie miecz z dłoni i zerwał pochwę, szata wierzchnia i bielizna uleciały w powietrze. Zarówno broń, szaty, jak i zdradziecki zawój wylądowały na drzewie nad głową Huttiego, tworząc zgrabny stosik.

Odkrywszy, że jest całkiem naga, dziewczyna aż sapnęła z zaskoczenia, a potem zaczęła krzyczeć. Gwałtownie przykucnęła i pochyliła się, zasłaniając miedzianorude

włosy łonowe i drobne, lecz pięknie ukształtowane piersi. Jej krzyk przeszedł w żalostny szloch, a dżin zakołysał się i wybuchnął śmiechem.

Dinah w końcu uniosła wzrok. Niewyraźny jeszcze kształt materializował się na drzewie, tuż nad konarem, gdzie leżało jej ubranie. Hutti nie widział niczego, jego płonące pożądaniem oczy wbijały się w księżniczkę. Nagle ramię pozbawione ciała wysunęło się, dłoń dzierżyła niewielki dzbanek. Drobne kropelki przypominające małe brylanciki zaczęły skapywać na głowę dżina, lecz ten niczego nie dostrzegając. Zmianę odczuło natomiast jego ciało, a ściślej mówiąc, kolana. Zaczęły drżeć, a potem się ugięły. Kilka sekund później gigantyczny demon zwałił się na ziemię i legł nieruchomo. Powietrze wypełniło ciche, zadowolone chrapanie.

Obok pierwszego ramienia pojawiło się drugie i oba zaczęły się wyciągać, aż łagodnie ujęły Dinah, uniosły i usadziły na konarze. Tuż obok niej zmaterializował się migotliwy anioł. Klasyczny, prawdziwy anioł z idealnymi skrzydłami.

– Wysłał mnie Anwar – oświadczyła majestatyczna zjawą. – Mam ci pomóc w zmaganiach, a wiele jest do zrobienia, czasu natomiast niewiele. Te kilka kropel z Fontanny Niepamięci nie zatrzymają mojego kumpla na długo w krainie snów.

Dinah uświadomiła sobie, że jej ciało przepelnia niezmierna błogość, zupełnie jakby pobłogosławił ją Bóg. Wtedy poczuła, że w jej dłoni leży drobny przedmiot przypominający perłę.

– Musimy umieścić to we wnętrzu największego z twoich sekretów, moja droga. Anwar, który jest ojcem chrzestnym Isy ben Maryam oraz pradziadkiem Muzy, utrzymuje, że trzeba oszczędzić ci losu jego ukochanej wnuczki. Musisz mieć to przy sobie przez cały czas z wyjątkiem dni księżycowych. Tak, Hutti jest moim kumplem, ale wedle ziemskich standardów można go uznać za naprawdę niebezpiecznego. Kobieta, która urodzi demona, nigdy nie znajdzie dla siebie miejsca w społeczeństwie.

Dinah próbowała protestować, ale ruchy Ayshy – gdyż tak się ów anioł nazywał – były tak lekkie i delikatne, iż dziewczyna nie poczuła zgoła nic. Następnie anioł wyciągnął niewielkie heksagonalne pudełeczko, które zostało ukryte we wnętrzu szaty Dinah. Nim dziewczyna zdążyła się dobrze nad wszystkim zastanowić, była już pewna, iż nie ma takiej rzeczy, której Aysha nie potrafiłaby osiągnąć.

W chwilę później znaleźli się na polanie daleko od śpiącego Huttiego.

– Kiedy powrócimy, a Hutti się zbudzi, będzie próbował cię zgwałcić. Ty zaś wykorzystasz jedyny znany sposób, żeby do tego nie dopuścić. Odprawisz Ostateczność – oznajmiła Aysha i uśmiechnęła się do dziewczyny, chcąc dodać jej otuchy i uśmierzyć panikę.

– Ostateczność? Ja? Co... co to takiego? – wyjąkała Dinah.

– Tak, ty. Nauczę cię wszystkiego. Nie ma słów w żadnym znanym języku, które mogłyby opisać Ostateczność, ale kiedy to przeprowadzisz, ujrzysz rezultat na własne oczy i tak naprawdę tylko to musisz wiedzieć.

Z głębi gardła Ayshy wydobył się niezwykle odgłos, który Dinah próbowała przyrównać do śpiewu ptaków, peanów czy muzyki wykonywanej na strunach najrozmaitszych instrumentów, ale żadne z owych porównań nie wydawało się

adekwatne. Potem Aysha pogładziła lekko gardło dziewczyny koniuszkami palców i niespodziewanie Dinah poczuła, jak jej krtań się napina. Nieświadomie otworzyła usta i zabrzmiał dźwięk identyczny z tym, który wcześniej wydał anioł.

– Żeby osiągnąć maksimum mocy – tłumaczyła Aysha – musisz umieścić talizman od Isy ben Maryam w ustach i sprawić, by dźwięk przechodził przez heksagramy i wokół owej efemerycznej sfery. Teraz pora na element taneczny.

Dinah miała wrażenie, że spędziły razem wieczność, ale Aysha zapewniła swą uczennicę, że wedle czasu ziemskiego upłynęły ledwie minuty. Dziewczynę przepelniało jednak zwątpienie. Ciało Ayshy było zbyt doskonałe, by można je było opisać. W jaki sposób więc ona, chudziutka dziewczynka o niewykształconych jeszcze wdziękach, ma wiarygodnie odtworzyć owe czarujące erotyczne ruchy?

– Cudownie, moja droga – zapewniła dzinnija wyczerpaną dziewczynkę. – Hutti nawet się nie zorientuje, co go trafiło. Nigdy nie zapomni tego, co ujrzy. Spędzi całą wieczność na marzeniach o tym, by znów cię posiadać. Sama zobaczysz.

– Och, Aysho, jeśli to prawda, nigdy nie będę bezpieczna! – jęknęła Dinah.

– Ależ będziesz! – odparła Aysha i wyjaśniła, że jeśli Hutti kiedykolwiek będzie chciał ją zaatakować, wystarczy ostrzeżenie, że Ostateczność może się odbyć jedynie podczas nowiu po nocy przesilenia letniego, a wykonać je może jedynie dziewica, która nigdy nie była dotykana w najbardziej intymnych miejscach. To z całą pewnością pomiesza mu szyki. Tak czy owak, roztropność nakazywała nigdy nie zapominać o ochronnym amulecie, który znajdował się teraz w owym intymnym miejscu.

W jednej chwili znalazły się za nieruchomym, bezbronnym ciałem Huttiego. Aysha zaczęła się rozmazywać i znikać, a Dinah wzięła głęboki oddech i spojrzała tęsknie w górę, tam gdzie leżało jej ubranie. Wtedy poczuła mocnego klapsa w pośladki i aż podskoczyła.

– Co z tobą, Hutti? Jesteś gotów? Nie lubię, gdy każe mi się czekać, ty mój wspaniały jurny byczku! – powiedziała. Jej ubranie opadło na ziemię, nadal starannie poskładane.

Hutti usiadł wystraszony, mrugając i przecierając oczy.

– Tutaj – ciągnęła, poklepując stosik ubrań. – Złóż głowę tutaj, na moich słodko pachnących rzeczach, żebym mogła nasycić się każdą pyszną częścią twojego ciała, żebym ci mogła pokazać, jak bardzo cię pragnę, mój drogi kochanku.

Jego ciało wystrzeliło w powietrze i wylądowało zgrabnie tak, że głowa znalazła się dokładnie na ubraniach. Dinah zaś przeciągnęła się zalotnie, kołyszając się przy tym i wijąc. Przez jej talizman przemknęły pierwsze dźwięki, z początku ciche i łagodne, lecz drżące, wibrujące i przenikliwe, które zmuszały dzina, by przyglądał się tańcowi dziewczyny.

Już po chwili jej oszalałe ruchy i dźwięki niezrównanego piękna sprawiły, że ryknął bezradnie, domagając się więcej i więcej. Dinah śpiewała coraz głośniejsze, aż na niebie pojawiły się żyłki błyskawic. Jej głos stawał się coraz mocniejszy, coraz potężniejszy, aż zyskał taką moc, iż zdawało się, że cały plan astralny zostanie lada moment rozdarty na strzępy.

Ciało Dinah wznosiło się ku niebu, podrygując chaotycznie, zupełnie jak gdyby podciągano ją na niewidzialnych sznurkach. Ciało Huttiego znalazło się tak wysoko, iż niemal stało się niewidoczne, aż uderzyło w ziemię dokładnie w miejscu, w którym znajdowało się przed chwilą. Jego członki były poskręcane, drżące z bólu, ale nim Dinah poczuła ukłucie rozpaczy, ujrzała na jego twarzy bezbrzeżną ekstazę.

– Bierz ciuchy pod pachę, musimy teraz pędzić do Muzy i spłacić mu twój dług – poleciał jej bezcielesny głos Ayshy. Obok niej stał Bubbi, prosto jak kij, z zamkniętymi oczami. Cichy chichot Ayshy dał Dinah do zrozumienia, że gnom jest pogrążony w transie, z którego nie wyjdzie do chwili powrotu do domu.

– Och, Aysho, nie dam rady zrobić tego po raz drugi! Jestem wyczerpana! – wykrzyknęła Dinah. Wtedy poczuła dotyk ust na czole i przepływającą przez ciało falę energii.

– Dalej – ponagliła Aysha. – Coś mi się wydaje, że druga część bardziej mi się spodoba.

Dinah wsunęła ubranie pod pachę, po czym objęła Ayszę. W okamgnieniu księżniczka znalazła się w wielkiej komnacie.

„Pałac”, oceniła, widząc dywany, meble i dekoracje. Dopiero po chwili dojrzała również demona, który przylegał plecami do sufitu. Serce jej zamarło, gdy dostrzegła, że znajdował się w stanie skrajnego erotycznego podniecenia.

– Dlaczego to tyle trwało? – ryknął niecierpliwie. – Czyżby mój ojciec okazał się nienasycony jak zawsze, moja piękna już–nie–dziewico?

– Przestań tyle gadać! – wrzasnęła w odpowiedzi Dinah. – Złaż tu do mnie, żebym mogła wreszcie wpić się w ciebie moimi pożądliwymi dłońmi, mój ty zieloniutki, smakowity brutalu!

Jej kuszące ruchy i dźwięki płynące przez talizman tylko podkreśliły namiętą obietnicę zawartą w jej słowach.

* * *

Dinah usiadła nagle i uzmysłowiła sobie, że znajduje się we własnym łóżku. Uplynęła dobra chwila, nim powróciły wspomnienia. Bubbi został porzucony w ogrodzie i znikł pod powierzchnią ziemi, mrużąc coś o Momo, która wypruje mu flaki. Dinah próbowała sobie przypomnieć cokolwiek na temat Ayshy, ale w to miejsce potrafiła jedynie przywołać uczucie ekstazy, wrażenie ekspansji ciała i ducha oraz świadomość, że na kilka krótkich chwil rzeczywiście weszła do rajy. Wtedy usłyszała skrzypnięcie drzwi prowadzących do komnaty jej dziadka... Na Boga! Była w domu, a nawet nie pomyślała, by...

Wsunęła jedwabną koszulę na nagie ciało, wypadła z pokoju i popędziła w dół schodów do sypialni Salomona. Zatrzymała się przy drzwiach, gdyż dobiegły ją osobliwe, nieznanne odgłosy. Wtedy jej łokcia dotknęła niematerialna dłoń.

– Twój ukochany dziadek przybył do domu tego wieczora po długiej, uciążliwej podróży. Hepzie wykąpała go w gorącej kadzi, a teraz twoja służąca Farida namaszcza jego utrudzone wiekowe członki gorącymi olejami, żeby uśmierzyć ból. Zasłużył na każdą drobną przyjemność, jaka z tego płynie. Bądź więc tak dobra i

zaczekaj do ranka, niech się porządnie wyśpi przez noc.

I Aysha znów znikła. Dinah zawahała się. Tęskniła za spotkaniem z Salomonem, ale w końcu wróciła do swego pokoju.

* * *

– O co chodzi w tym szaleństwie z Abiszag Szunemitką? – wychrypiał Salomon, wreszcie rozluźniony dzięki działaniu gorących olejków aromatycznych.

– Była piękną, powabną dziewczicą, którą przywiedziono królowi, żeby sypiała na jego piersi i obudziła w nim ogień młodości – wyjaśniła Farida. Nim Salomon zdążył zaprotestować, wślizgnęła się do jego łóżka i usiłowała ułożyć się na jego ciele.

– Adonai, zbaw mnie – sapnął Salomon.

– Schudłam tak bardzo tylko po to, by wydać ci się atrakcyjniejszą! – zaprotestowała Farida.

– I komu jeszcze oprócz mnie? – zapytał z nutką sarkazmu.

– Czyż nie wydaję ci się piękna i powabna? – wymruczała mu do ucha i wyprężyła się kusząco.

– Jesteś piękna, tu się zgodzę. Ale musimy dać sobie spokój z tym, jakobyś była dziewczicą.

– Cóż, z praktycznego punktu widzenia jestem dziewczicą! No, prawie! – jej głos zadrżał lekko, jakby lada chwila miał się przerodzić w jęk rozpacz.

– Już dobrze, dobrze, zostań jeszcze przez chwilę, przynajmniej póki nie obeschną ci łzy – zgodził się Salomon. Sięgnął, by poklepać ją po plecach dla pocieszenia, lecz źle wycelował i musnął jej pośladek. Ciało mężczyzny zareagowało jak należy, co go zdumiało, sądził bowiem, że jego czasy już dawno minęły. Farida uniosła tyłeczek zapraszająco i dłoń Salomona wślizgnęła się między jej uda.

– A to co? – zapytał ze zdumieniem. – Jesteś chrześcijanką w żydowskim domu, a golisz włosy łonowe niczym muzułmanka?

– Nie bij mnie, panie. W tym zwariowanym miejscu kobieta musi być przygotowana na każdą ewentualność – wyznała, dość pomysłowo jak na prawie dziewczicę.

– Cóż – upomniał ją surowo Salomon, choć dłoni nie cofnął. – Mam nadzieję, że nie musiałaś okazywać gotowości wobec zbyt wielu mężczyzn, albowiem istnieją dolegliwości, których nawet ja nie jestem w stanie wyleczyć.

SZCZYPTA BAJEK

Terry Jones

(ur. 1942r.) będzie zawsze pamiętany jako członek grupy Monty Pythona, chociaż ma w dorobku wiele dzieł, od całkowicie akademickiej pozycji, jaką jest Chaucers Knight (1980), po wspaniałe zbiory bajek: Fairy Tales (1981) oraz FantasticStories (1992). Poniższa bajka jest jedną z jego ulubionych z drugiego zbioru.

Terry Jones **GWIAZDA PODWÓRZA**

Pewnego razu żył sobie pies, który potrafił wykonać najbardziej niezwykle sztuczki. Potrafił stać na głowie i wyszczekać psi refren, zonglując ośmioma piłeczkami tylnymi nogami i grając na skrzypcach przednimi. To była jedna z jego sztuczek. Inna polegała na tym, że zagryzał własny ogon i przetaczał się po całym podwórzu niczym koło, utrzymując w pionie dwie długie tyczki – na jednej z nich balansowała Krówka Daisy, a na drugiej Stary Lob Koń Pociągowy – i opowiadając wymyślane na bieżąco, zabójczo śmieszne dowcipy.

Pewnego dnia Kogut Karol powiedział do Stanisława (bo tak brzmiało imię psa):

– Stan, niczego nie osiągniesz, wykonując te zadziwiające sztuczki tutaj, na starym podwórzu. Powinieneś udać się do Wielkiego Miasta lub wstąpić do cyrku.

– Może i racja, Karolu – odparł Stan.

I tak oto pewnego słonecznego wiosennego poranka Pies Stanisław i Kogut Karol ruszyli traktem na spotkanie losu w Wielkim Mieście.

Nie uszli daleko, a natrafili na jarmark, gdzie ludzie sprzedawali wszystko, co tylko można było sobie wyobrazić. Znajdowała się tam również scena, na której występowała grupa wędrownych kuglarzy.

Kogut Karol wkroczył na scenę, podszedł do kierownika trupy i rzekł:

– Widzisz, mój dobry człowieku, to zaiste twój szczęśliwy dzień, ponieważ właśnie patrzysz na najbardziej utalentowanego i zdumiewającego zonglera, akrobatę, brzuchomówcę, komika i wszechstronnego artystę w całej historii naszego podwórza. I wszystkich innych również, nawiasem mówiąc. Oto Pies Stanisław!

A Stanisław, który w trakcie tej przemowy spoglądał skromnie na swe łapy, uklonił się nisko.

– Nie umiesz czytać? – zapytał kierownik trupy. – Żadnych psów!

I bez zbytnich ceregieli Kogut Karol i Pies Stanisław zostali wykopani ze sceny.

– Ha! – rzekł Karol, podnosząc się i strzepując z siebie pył drogi. – I tak jesteś zbyt dobry jak na wędrowną trupe.

Stanisław wyczołgał się ze znużeniem z rowu. Był brudny od błota i patrzył na przyjaciela żałośnie.

– Jestem zmęczony – rzekł. – I chcę wracać do domu, do mojego pana.

– Uszy do góry, przyjacielu! – odparł Kogut Karol. – Zmierzamy do Wielkiego Miasta, gdzie piękne panie i wspaniali panowie aż lśnią od diamentów, gdzie lordowie i książęta obnoszą się z rubinami i szmaragdami, gdzie ulice wybrukowane są złotem. Z twoimi talentami weźmiemy ich szturmem. Zbijemy fortunę!

I tak oto kogut i pies raz jeszcze wyruszyli długą, zakurzoną drogą wiodącą do Wielkiego Miasta.

Tak się złożyło, że po drodze minęli cyrk. Kogut Karol podszedł do tresera, który zajmował się właśnie uczeniem lwów, jak stanąć na tylnych nogach i skoczyć przez obręcz.

– Hej, hej, mój dobry człowieku! – oznajmił. – Nie musisz się już zajmować tymi bzdurami! Pozwolisz, że przedstawię ci wybitnego gimnastyka i akrobatę, który nie tylko potrafi stanąć na tylnych łapach, ale i skoczyć przez pięćdziesiąt takich obręczy, do tyłu, i to balansując jednym z twoich lwów na nosie... I to na wysoko zawieszanej linie! Bez siatki zabezpieczającej!

– Ale ja zajmuję się jedynie tresurą lwów – rzekł treser.

– Ale Pies Stanisław ma więcej talentu w prawej tylnej łapie niż wszystkie te lwy razem wzięte!

– To najlepsze lwy w całym interesie! – krzyknął treser. – I pożarłyby ciebie wraz z twoim psem na kolację bez mrugnięcia okiem! A właściwie to czemu czekać na kolację?

I z tymi słowami złapał Koguta Karola. Pies Stanisław ujrzał jednak, co się działo, i dziabnął tresera w kostkę.

– Uciekaj, Karolu! – wrzasnął.

I Kogut Karol rzucił się do panicznej ucieczki, a Pies Stanisław skakał dookoła i gryzł ludzi po nogach, aż cały cyrk zaczął ich ścigać.

– Pomocy! – pisnął Karol, widząc, jak cyrkowcy są coraz bliżej i z wolna go osaczają. Kilka rąk wyciągnęło się, by złapać go za szyję.

Ale Pies Stanisław smyrgał między nogami ścigających i przewracał jednego po drugim, a potem krzyknął do Karola:

– Wskakuj mi na plecy! Mogę biec czterokrotnie szybciej od tych klaunów!

I tak oto udało im się uciec, a Kogut Karol trzymał się grzbietu Psa Stanisława.

* * *

Tej nocy spali pod żywopłotem. Kogut Karol był bardzo niespokojny, ale Pies Stanisław owinał się wokół przyjaciela, by go chronić. Sam jednak też nie był najszcześliwszy.

– Jestem głodny – mruknął. – I chcę wracać do domu, do mojego pana.

– Uszy do góry! – oznajmił Karol. – Jutro dotrzemy do Wielkiego Miasta, gdzie

twoje talenty zostaną należycie docenione. Zapomnij o tych wsiowych prostakach. Mówię ci, czeka na nas sława, bogactwo i...

Lecz jego przyjaciel spał już snem sprawiedliwych.

* * *

Cóż, następnego dnia pies i kogut przybyli do Wielkiego Miasta. W pierwszej chwili przeraził ich zgiełk i hałas. Co rusz musieli wskakiwać do rynsztoka, by uniknąć nadjeżdżającego powozu lub dorożki, a raz z okna wylano na nich zawartość nocnika.

– Och, jak ja tęsknię za naszym gospodarstwem – rzekł Pies Stanisław. – Nikogo tu nie interesujemy.

– Raźniej, chłopie! – wykrzyknął Karol. – Już wkrótce nastąpi przełom w naszym życiu! Znajdziemy się na szczycie!

I z tymi słowy zapukał do pałacu arcybiskupa.

Tak się zdarzyło, że arcybiskup we własnej osobie stał właśnie w korytarzu i przygotowywał się do wyjścia. Kiedy służący otworzył drzwi, ujrzał koguta i psa na progu.

– Wasza Eminencjo – Karol ukłonił się nisko przed służącym – pozwól, że przedstawię wam Najwybitniejszego Cudotwórcę Wszech Czasów, samego Psa Stanisława! Wykonuje on sztuki, w które zaiste trudno uwierzyć. W rzeczy samej, to prawdziwe cuda...

– Spadać! – warknął służący, któremu zdumienie tylko na moment odjęło mowę, i już zaczął zamykać drzwi.

Ale Kogut Karol niespodziewanie stracił panowanie nad sobą.

– Słuchaj mnie! – wrzasnął i skoczył na służącego, mierząc w niego ostrogami.

Niespodziewany atak zaskoczył służącego do tego stopnia, że przewrócił się na plecy, a Kogut Karol wylądował na jego piersi, wrzeszcząc:

– Ten pies jest geniuszem! Świat nigdy dotąd nie widział kogoś takiego jak on! Daj mu szansę, choć jedną szansę!

I Pies Stanisław, który niepewnie wślizgnął się do korytarza, rozpoczął występ. Zaczął od podskakiwania na własnym ogonie i jednoczesnego żonglowania cennymi wyrobami z porcelany (które zgarnął z kredensu). Wykonując tę sztuczkę, szczekał powszechnie znaną Piosenkę Podwórzową, która cieszyła się szczególnym uznaniem wśród świń.

– Moja porcelana! – wrzasnął arcybiskup. – Zatrzymać tego psa w tej chwili!

Kilku innych służących duchownego rzuciło się na Psa Stanisława, lecz ten zręcznie uskakiwał im z drogi, po czym pochwycił infułę, wbił sobie ją na głowę i zaczął balansować na niej rzadką wazą z czasów dynastii Ming.

– Czyż on nie jest wspaniały? – zawołał Kogut Karol.

– Brać go! – krzyczał arcybiskup i służący zwalili się na Karola.

– Ale spójrzcie tylko na psa! – zakwiczał kogut. – Nie widzicie, jaki jest wspaniały? Czy znacie kogokolwiek, kto potrafiłby tak żonglować?

Ale wtedy pech chciał, że wszyscy lokaje, pokojówki, kucharki i ogrodnicy, którzy

usłyszeli zamieszanie, wpadli na korytarz pałacowy. Przez chwilę aż zamarli, przerażeni do granic, zapatrzeni w poszczekującego psa, podskakującego na własnym ogonie i zonglującego drogocennymi elementami najdroższej porcelanowej zastawy arcybiskupa.

– Powstrzymać go! – znów ryknął arcybiskup. Bez chwili wahania wszyscy obecni rzucili się na biednego Stanisława, pies zniknął w gąszczu wijących się ramion i nóg. W wyniku nagłego natarcia najdroższa porcelana arcybiskupa roztrzaskała się na podłodze w drobny mak.

– Spójrzcie tylko, coście zrobili! – wrzasnął Karol.

– Nie, to ty popatrz! – wykrzyknął arcybiskup. – I posłuchaj mnie! Wyglądacie, jakbyście spali w żywopłocie, i cuchniecie, jakby ktoś nocnik na was wylał, a mimo to ośmielacie się wdrzeć do mojego pałacu i niszczyć moją najlepszą porcelanę! No, dobrze! Zapłacicie mi za to! Wrzucić ich do najciemniejszych lochów!

Służący arcybiskupa już mieli przystąpić do wykonania rozkazu, gdy niespodziewanie nad ich głowami rozległ się głos. A nawet Głos.

– Cisza! – powiedział Głos. – Cisza, wszyscy!

Służący zamarli, a Głos ciągnął:

– Nie wiecie, kim jestem? Arcybiskupie, toż to wstyd! Jestem Głosem Boga!

Arcybiskup padł na kolana i wymamrotał modlitwę. Wszyscy pozostali poszli za jego przykładem.

– No, o wiele lepiej – skwitował Głos Boga. – Teraz wypuście Psa Stanisława. Nie chciał zrobić nic złego.

I tak też się stało.

– A teraz wypuście Koguta Karola!

Posłuchano go i tym razem.

– A teraz zamknijcie oczy i czekajcie, aż powiem wam, że możecie je otworzyć – przykazał Głos Boga.

Nikt nie ośmielił się sprzeciwić i tak oto Pies Stanisław i Kogut Karol uciekli z pałacu arcybiskupa najszybciej jak potrafili.

* * *

Nie wiem, jak długo arcybiskup i służba klęczeli na korytarzu z zamkniętymi oczami, ale pewien jestem, że Głos Boga nigdy nie kazał im otworzyć ich ponownie. Nie był to bowiem, rzecz jasna, Głos Boga, a głos Psa Stanisława.

– Nie myliłem się, mówiąc, że jesteś bardzo utalentowanym psem – rzekł Karol, gdy biegli drogą. – Ale prawie zapomniałem, że jesteś brzuchomówcą!

– Na nasze szczęście – odparł Stan. – Ale zrozum, Karolu, moje talenty nigdy mnie nie opuszczą. Czuję, że zawsze będą mi towarzyszyć, po prostu taki już jestem. Wolałbym jednak korzystać z nich tam, gdzie są one w pełni doceniane, a nie tam, gdzie pakują nas tylko w kłopoty.

– Być może masz rację, Stanisławie – przyznał Karol.

I tak obaj przyjaciele powrócili do gospodarstwa, gdzie Pies Stanisław nadal robił sztuczki ku uciesze innych zwierząt na farmie i widownia ta nigdy nie przestała go

uwielbiać. A choć Karol marudził od czasu do czasu i dogadywał mu, że marnuje tylko swój talent, Pies Stanisław nawet nie myślał o podjęciu kolejnej wyprawy i zawsze cieszył się z tego, że jest Gwiazdą Podwórza.

Anthony Armstrong

to pseudonim, pod którym kryje się brytyjski autor George Willis (1897–1976), ostatni pisarz minionej epoki, którego wybrałem do tej antologii, i kolejny z całego grona niesprawiedliwie zapomnianych humorystów. Armstrong był w najlepszej formie w latach dwudziestych minionego wieku, kiedy to powstało najwięcej spośród jego dzieł. W niczym nie ustępował P.G. Wodehouse'owi, który został (całkiem słusznie) dobrze zapamiętany, podczas gdy Armstrong uległ (całkiem niesłusznie) zapomnieniu. Zbiory The Prince Who Hiccapped (1931) oraz The Pack of Pieces (1942) – z opowiadaniem wybranym z „The Strand”, „Pearson’s”, „Punch” i innych popularnych wówczas czasopism – zawierają najlepsze bajki autora, jakie można przeczytać. Oto jedna z nich.

Anthony Armstrong

O DIAMENTACH CZARNYCH I BIAŁYCH

Dawno, dawno temu żyła sobie kobieta, która mieszkała w chatce niedaleko lasu. Miała męża, który przydawał się w rzeczach takich, jak rąbanie drewna, noszenie wody i odpędzanie wilków od drzwi, co osiągał, wystawiając podobizny z drewna, które własnoręcznie rzeźbił, by sprzedać je podróżnym. Wiele z tych rzeźb było tak koszmarnych, że watahy wołały trzymać się z daleka od gospodarstwa. Kobieta miała również starszą córkę o imieniu Grummilla, która pochodziła z jej pierwszego małżeństwa, i młodszą o imieniu Nada. Synów nie miała, ale w ich miejsce trzymała kocura zwanego Rumpelstiltskin, odziedziczonego po odległym kuzynie, a w poniedziałki przychodziła do niej dziewczyna zwana Squab, by zająć się praniem. W obejściu mieszkał jeszcze szczeniaczek Joseph, ale w tej historii nie odgrywa on większej roli. To chyba wszystko.

Obie córki bardzo różniły się od siebie, zarówno wyglądem, jak i usposobieniem, jak to zwykle bywa z siostrami przyrodnimi. Grummilli, wysokiej, o kruczoczarnych włosach, urody nie odmawiano, lecz była dziewczyną leniwą i opryskliwą. Jej ojciec przed śmiercią mianowany został Strażnikiem Królewskiego Dzika (albowiem ostał się tylko jeden) w nieodległym lesie, co mu zdecydowanie uderzyło do głowy.

Nada natomiast miała bardzo słodkie usposobienie i była miła dla wszystkiego, co żywe, łącznie z Rumpelstiltskinem, który był najpaskudniejszym zwierzęciem w promieniu jednego dnia marszu od gospodarstwa. Miała platynowe, lśniące włosy. Matka nigdy za nią nie przepadała i zawsze wywyższała jej starszą siostrę. Tak to już jest, że panie wolą brunetki. Niechęć matki i lenistwo Grummilli sprawiły, że na Nadę spadały wszystkie brudne prace w domu.

W czasie gdy rozpoczyna się moja historia, w domostwie zapanowało wielkie ożywienie. Dotarły tam bowiem wieści, że niedaleko domu ma przejeżdżać w drodze

powrotnej do ojczyzny nikt inny jak tylko syn wielkiego wezyra. Został tam wysłany, jak wszyscy doskonale wiedzieli, by przywieźć żonę dla młodego księcia pana. To niełatwe zadanie powierzono wezyrowi, ponieważ był człowiekiem bystrym i mówiono o nim, że miał smykałkę do wyszukiwania dobrych okazji, bez względu na to, czy chodziło o jedzenie, meble czy żony.

– I – rzekła Mushla (tak bowiem brzmiało imię owej kobiety) do swego męża – być może słyszał już o twoich artystycznych zapędach i zatrzymaj się u nas, żebyś wyrzeźbił jego popiersie.

– Mps! – stwierdził mąż, co miało oznaczać: „I co niby miałyby z tego dla nas wyniknąć?”. Nie był bowiem człowiekiem, z którym łatwo toczyło się niezobowiązujące pogawędki. Zapomniałem nawet, jak miał na imię, bo wszyscy zwali go po prostu mężem Mushli.

– Może też, eee... zwrócić uwagę na Grummillę – ciągnęła Mushla, która była ambitna i dobrze wiedziała, że syn wezyra nie był żonaty. W jej oczach błysnęło owo odległe, zamglone spojrzenie kobiety, która dostrzega potencjalnego dobrze urodzonego zięcia, zanim ów zięć zrozumie, że ma zostać zięciem.

– A może zwróci uwagę na Nadę – zaproponował mąż Mushli, który zazwyczaj brał stronę młodszej córki, po części dlatego, że była to jego własna córka, ale głównie dlatego, że jego żona miała inne zdanie.

– Równie dobrze może też zwrócić uwagę na Squab! – prychnęła poirytowana Mushla i trzasnęła drzwiami od kuchni. I rozmowa się urwała.

W kuchni Mushla zaczęła rozważać bardzo poważne i ambitne kwestie. Dobrze wiedziała, że mężczyźni w owych czasach nierzadko wybierali sobie nietypowe, a nawet niezwykle żony. Nie byłoby więc nic dziwnego, gdyby syn wezyra zakochał się od pierwszego wejrzenia w córcie rzeźbiarza, a potem ją poślubił. W rzeczy samej, była to wręcz powszechna praktyka. Mushla uśmiechała się pod nosem i znów myślała o Grummilli.

Wkrótce po owej rozmowie do domostwa Mushli zawitał goniec z wieścią, że syn wezyra zgodnie z oczekiwaniami rzeczywiście zamierza złożyć im wizytę tego właśnie wieczoru. Co więcej, jego życzeniem jest, by mąż Mushli wyrzeźbił jego podobiznę w drewnie – lub przynajmniej coś maksymalnie do podobizny zbliżonego.

Ambicje Mushli rozgorzały jak ogień. Oczami wyobraźni ujrzała Grummillę, która jeszcze tej nocy zaręcza się z księciem i wraz z nim wraca na dwór, a choć przepadała za swą starszą córką, wiedziała, że rozłąka jej nie zasmuci. Dość kłopotliwa na co dzień niechęć Grummilli do jakiegokolwiek pracy na dworze byłaby jak najbardziej na miejscu. Mushla zakrzętała się po obejściu.

W pierwszej kolejności zmusiła męża, by znalazł swój kołnierzyk, uprał go i nawet założył. Następnie podzieliła się wieściami z córką Grummillą, która nie wydawała się szczególnie zainteresowana do chwili, gdy matka przypomniała jej, że synowie wezyra, którzy byli bogaci i pochodzili z wysokich rodów, często okazywali się dobrymi mężami dla dziewczyn z niższych klas. Grummilla pokraśniała i zapytała matkę, co ma na siebie włożyć.

Kobiety odbyły długą dyskusję na temat metod oraz środków i naradziły się, czy powinny skrócić błękitno-srebrną sukienkę, czy przystroić Grummillę w różową tkaninę workową bez żadnych przeróbek. Mushla bardzo poważnie podchodziła do zbliżającego się wieczoru. Z przejęciem zaproponowała nawet, by starsza córka specjalnie umyła się na tę okazję, i to cała, nie wyłączając uszu, chociaż był dopiero czwartek.

Grummilla wyraziła gwałtowny sprzeciw. Na jej linię obrony złożyło się wiele argumentów, po pierwsze to, że w chacie nie było wody, a najbliższa studnia znajdowała się daleko, a po drugie to, że jej uroda nie zda się na wiele, skoro dziewczyna musi się myć nieregularnie w ciągu tygodnia, nawet jeżeli zrobi to dla nieżonatego syna wezyra.

Jednak Mushla w końcu nakłoniła córkę do podjęcia wyzwania, obiecawszy, że pośle Nadę do studni po wodę. Uzmysłowała ponadto Grummilli, że gdy już zostanie synową wezyra, nie będzie musiała w ogóle się myć. Zamiast tego będzie mogła stosować zimne kremy w nocy i pudry za dnia, nazywając te zabiegi Troską o Skórę.

Tak zatem biedna Nada, która już została zapędzona przez Mushlę do sprzątanía chatki, została również posłana po wiadro wody wraz z zaleceniami, by przyłożyła się do tego, bo jak nie, to sama wie co.

Dziewczyna właśnie wciągała wiadro do góry, gdy zawiązany przez nią supeł rozsypał się, jak to zwykle czynią supły, a wiadro spadło do studni. Przeraziło to Nadę bezgranicznie, gdyż było to ulubione wiadro matki, więc po krótkim namyśle opuściła się w dół, by je wyłowić.

W owych starych, dobrych czasach działa się cała masa rozmaitych niezwykłych rzeczy. W rzeczy samej, każda era, w której po ziemi szwendają się wróżki, czarodzieje i więdźmy, musi aż obfitować w niecodzienne incydenty. Dlatego Nada nie była szczególnie zdziwiona, gdy dotarła tuż nad powierzchnię wody i ujrzała w ścianie studni drzwi. Były to drzwi obrotowe, na których napisano: *Ciągnąć!* Nada, jak to kobieta, pchnęła. Drzwi, które były magiczne, otwarły się. Nada weszła.

Za progiem ujrzała ścieżkę i zaciekawiona ruszyła przed siebie. Szła przez dłuższą chwilę, aż natknęła się na staruszkę z dwoma pogniecionymi pudełkami zapalek, ściskanymi w brudnych łapach.

– Rzuć miedziaka, dobra pani, dla biednej staruszki, której potrzeba tylko dwóch pensów, żeby zdobyć łóżko na noc! – jęknęła staruszka, która, jak bez wątpienia już można odgadnąć, była zakamuflowaną wróżką. Wróżka robiła od czasu do czasu podobne numery, gdy czarodziejska kraina zaczynała ją nudzić. Co więcej, raz na jakiś czas udawało jej się też w ten sposób zarobić parę groszy, które następnie upychała w swej wróżkowej skarpetce.

Nada nie miała wielu miedziaków, a już z pewnością nie miała ochoty się z nimi rozstawać, ale ponieważ regularnie czytywała książki o wróżkach i miała własne podejrzenia, zamiast pieniędzy obdarowała staruszkę błogosławieństwem. Było to bardzo mądre rozwiązanie problemu, a przy tym nie naruszyło budżetu Nady. Słyszając słowa dziewczyny, staruszka natychmiast zamieniła się z powrotem we wróżkę, a Nada oczywiście grzecznie udała okropne zaskoczenie połączone ze

skrajnym zakłopotaniem, co zakończyła dygnięciem.

– Drogie dziecko! – mruknęła z zachwytem wróżka. Uwielbiała prostych, nieskomplikowanych ludzi. Świat jej zdaniem był aż nadto zatłoczony coraz liczniejszymi bystrymi przedstawicielami młodego pokolenia, którzy potrafili przejrzeć jej kamuflaż, co stawało się nieznośnie irytujące. – Czy mogę ci pomóc, moja śliczna? – zapytała łaskawie.

– Ulubione wiadro mojej matki wpadło mi do studni – rzekła Nada. – No i próbuję je znaleźć.

– Och, tylko o to chodzi? – odparła wróżka i machnęła różdżką. – Będzie na ciebie czekało na górze. A teraz, ponieważ okazałaś się tak dobrego serca i przemówiłaś tak łaskawie do kogoś, kto twoim zdaniem był tylko biedną staruszką, dam ci prezent.

Zastanawiała się przez chwilę, eksperymentalnie machnęła różdżką, a potem powiedziała do siebie:

– Nie, to nie zadziała.

Machnęła jeszcze kilkakrotnie i oznajmiła z dumą:

– Gdy wrócisz na ziemię, za każde wypowiedziane przez ciebie słowo z twoich ust wypadnie migotliwy jasny diament barwy twoich lśniących włosów. No, nieźle. Co ty na to?

Urwała, by przyjrzeć się, jakie wrażenie jej słowa wywarły na dziewczynie.

– Dość nowatorski pomysł, nie sądzisz, moja droga? – zapytała z lekkim niepokojem.

– Bardzo – zgodziła się Nada, która w rzeczy samej uznała, iż podobny układ wydarzeń przypadłby do gustu każdemu człowiekowi szukającemu wiadra. Pożegnała się więc z wróżką bardzo uprzejmie.

Kiedy powróciła do domostwa (odnalazłszy wiadro na cembrowinie), matka natychmiast zaczęła strofować ją o spóźnienie. Nada próbowała się usprawiedliwić, lecz ledwie otworzyła usta, a wypadło z nich kilka białych diamentów. Opowiedzenie całej historii zabrało jej sporo czasu, albowiem rodzice wraz z Grummillą przypadli do podłogi i warowali na czworakach, czekając na choćby monosylabę z ust Nady, a ojciec co chwila powtarzał: „Co? Co takiego?” w nadziei, że wyskoczy z nich jakiś większy klejnot. Potem okazało się, że szczeniaczek Joseph – bo wszyscy wiedzą, jakie są szczeniaki – połknął rezultat szczególnie długiego słowa, przez co dokończenie historii zabrało jeszcze więcej czasu.

Gdy Mushla w końcu zrozumiała mniej więcej, co się wydarzyło, natychmiast popędziła Grummillę, by ta założyła fartuszek, wcisnęła jej w rękę wiadro (stare) i kazała córce pędzić do studni, a tam zrobić to samo co Nada. Instykt macierzyński podpowiedział bowiem Mushli, że w obecnej sytuacji nawet zwykły syn wezyra, tym bardziej, jeśli jest tak bystry, jak głoszą plotki, z pewnością wybierze Nadę, a nie Grummillę. I choć matka nie miała nic przeciwko temu, by Grummilla opuściła domostwo – o ile znajdzie sobie odpowiedniego męża – ani myślała puszczać Nadę. Dziewczyna była bowiem zbyt pożyteczna, by się jej pozbyć. Potrafiła przecież gotować, szyc i sprzątać, a nawet częściowo wyręczyć Squab, która nie nadawała się

do niczego poza praniem pończoch.

Grummilla rzuciła się zatem do biegu i dotarła do studni w nieco mniej niż pięćdziesiąt sekund. Ledwie wiadro plusnęło o lustro wody, a starsza córka już ześlizgnęła się na dół i pełzła przez magiczne drzwi, na których, nawiasem mówiąc, znajdował się teraz napis: *Pociągnij i puść!* (bo to były magiczne drzwi).

Pognała tą samą ścieżką co Nada, aż natrafiła na staruszkę, która poprosiła o kilka miedziaków. Grummilla była jednak wyniosłą, dumną dziewczyną i nie czytała bajek, a Nada w ogólnym zamieszaniu nie zdołała przekazać rodzinie wiele ponad to, że spotkała wróżkę. Grummilla zatem spodziewała się ujrzeć kogoś zwiewnego, ulotnego, ubranego w biały szyfon, trzymającego różdżkę i machającego skrzydełkami. Parsknęła więc gniewnie:

– Nic dla ciebie nie mam! Z drogi!

Oczywiście wystraszyła się nie na żarty, kiedy staruszka nagle przybrała swą prawdziwą postać. Grummilla próbowała zatuszować gafę, rzucając kilka luźnych uwag na temat pogody i pospiesznie szukając portfela. Wróżka jednakowoż nie była głupia.

– Czego chcesz? – zapytała z rozdrażnieniem.

– Cóż, szczerze mówiąc – odparła Grummilla, która zrozumiała jej słowa jako zachętę – niczego nie pragnę tak bardzo jak tego, żeby... eee... żeby coś wyskakiwało mi z ust za każdym razem, gdy powiem jakieś słowo. Na przykład, dajmy na to... No, drobne, błyszczące kamienie – dodała zręcznie, czując, że lepiej będzie nie zdradzić się ze zbyt wielką wiedzą na temat tego, co się przytrafiło siostrze.

Wróżka machnęła różdżką z grymasem, który uznać by można za złośliwy, nawet jak na wróżkę.

– Mówisz i masz – powiedziała, bo mimo wszystko miała dobre maniery. Ale spojrzała przy tym badawczo na kruczoczarne włosy Grummilli i zachichotała cichutko pod nosem.

Grummilla pomknęła do domu jak strzała. Matka już wyczekiwała jej w progu.

– I co? – zawołała.

– Wszystko w porządku, matko, mam to! – odpowiedziała Grummilla. Z tymi słowy z jej ust wypadło pół tuzina błyszczących kamieni, ale ku zdziwieniu obu kobiet były one czarne niczym krucze włosy Grummilli.

Mushla spojrzała podejrzliwie na córkę, a potem podniosła kilka kamieni, które wypadły z ust dziewczyny, i przyjrzała im się bacznie. Nie wiedziała, czym są, mało ją to zresztą obchodziło, ale na pewno nie były diamentami.

– Hej, a co to takiego? – zapytała ze złością.

– Mnie się pytasz? – warknęła Grummilla, równie zła jak jej matka. Z jej ust momentalnie wypadły trzy kolejne kamienie, tak czarne jak poprzednie.

Kłótnia, jaka wyniknęła w konsekwencji, wywabiła na zewnątrz męża Mushli, który do tej pory przebywał w izbie, przysłuchując się młodszej córce uważniej niż wcześniej, wskutek czego jego kieszenie były już wypchane. To, co się przydarzyło Grummilli, zaskoczyło również jego, ale w skrytości ducha wcale nie żałował, że starsza córka nie ma tego, co młodsza. Nie przepadał za nadętą pasierbicą.

– Są dość ładne – powiedział w końcu, chcąc rozproszyć zły nastrój. Podniósł jedną z czarnych bryłek i obrócił ją ostrożnie w palcach. – Podobają mi się!
– Gdzieś mam to, że są ładne! – warknęła Mushla. – Nie są diamentami!
– No nie – bezstronnie przyznał mąż. – Lecz z drugiej strony...
– To zwykle kamienie!
– Oczywiście...
– Zamknij się!
– Mps! – oznajmił mąż i się zamknął. Wszedł z powrotem do domu, zostawiając obie kobiety na progu, nadal pogrążone we wścieklej kłótni i już po kostki w czarnych kamykach.

Gdy w końcu okazało się, że nic się nie da zrobić, na głowę nieszczęsnej Nady spadły kolejne gromy. Starsza siostra wyzwała ją od chciwych, knujących na boku egoistek, a Mushli niemal pękła żyła, gdy próbowała jednocześnie oskarżyć Nadę o kradzież lepszego daru i przekonać samą siebie, o ile lepszy był dar Grummilli. Za każdym razem, gdy Nada otwierała usta, by odpowiedzieć na zarzuty, wypadały z nich kolejne diamenty, co uwalniało kolejną tyradę, a za każdym razem, gdy ojciec otwierał usta w obronie córki, kazano mu się zamknąć.

W końcu w domu nastał spokój. Uzgodniono, że gdy syn wezyra zawita do domostwa, Grummilla nie będzie się odzywać, o ile będzie w stanie się opanować. Ociekający sarkazmem chichot, który rozległ się w reakcji na te słowa, został przypisany mężowi Mushli, który następnie przeżył gehennę, próbując wytłumaczyć żonie, że musiał odkaszlnąć. Potem Grummilla przywdziała najpiękniejszą spódniczkę – tę błękitno-srebrną – którą matka skróciła tak bardzo, że Grummilla przypominała w tym stroju damę do towarzystwa. Nada zaś, nadal w swych łańchmanach, została posłana do najcięższych prac, które specjalnie na tę okazję wymyśliła matka. Przede wszystkim Nada miała wygarniać z podwórza komentarze, które jej siostra uznała za stosowne wygłosić.

Syn wezyra przybył przed wieczorem, powitany ukłonami przez męża Mushli i zaproszony do środka przez samą Mushlę, olśniewającą w futrzanej pelisie, którą wygrała dziesięć lat temu na loterii. Za matką stała Grummilla, która wyglądała pięknie, ale zawzięła się, by nie odezwać się ani słowem. Nadę wygoniono do kuchni, gdzie musiała się zająć szczeniakiem Josephem, który wykazał wielkie upodobanie do wywodów jej siostry, a teraz miał atak niestrawności.

Syn wezyra był wysoki i ciemnowłosy, miał wydatne usta, spory nos i bystre, bardzo bystre czarne oczy. Jak już wspomniano, cieszył się reputacją inteligentnego młodzieńca i tak też wyglądał. Towarzyszył mu jeden służący.

– Doszły mnie słuchy, jakobyś nie miał sobie równych w rzeźbieniu drewnianych podobizn – zaczął protekcjonalnie syn wezyra.

Mąż Mushli zmiął w dłoniach kapelusz i wymamrotał odpowiedź, zagłuszoną potokiem słów żony, która zdążyła już sprawnie wykopać na podwórze Rumpelstiltskina, gdyż ten, jak na kota przystało, zajął najlepsze krzesło.

Syn wezyra, który miał na imię Baran, usiadł i zaczął przyjemną pogawędkę o pogodzie, osmoku, którego widział podczas przeprawy przez puszcę, o mnogości

czarodziejów w tej części kraju i innych sprawach lokalnych. Mushla starannie wybrała dla Grummilli miejsce, w którym światło najbardziej podkreślało jej urodę. Córka zaciskała mocno usta, ale kiwała głową i uśmiechała się za każdym razem, gdy syn wezyra wygłosił jakąś uwagę, dając mu tym samym w kobiecy sposób sygnał, iż jako partnerka do rozmów nie ma sobie równych. Jej matka zauważyła z satysfakcją, że Baran wydawał się co najmniej zainteresowany, jeśli nie zauroczoney. Gratulowała sobie w duchu, że bezpiecznie zamknęła Nadę w kuchni, by ta nie mogła paplać i rozsiewać diamentów przed nosem dostojnika. W bystrych oczach młodzieńca pojawiłby się błysk typowy dla człowieka interesu, z kształtu nosa syn wezyra przypominał bowiem Mushli domokrażcę, który swego czasu sprzedał jej mężowi rzekomo magiczną, a w rezultacie całkiem bezwartościową różdżkę. Wiadomo przecież, że każdy inteligentny młody człowiek nie podejmowałby się tym, kim jest jego żona, gdyby ta, mówiąc, umiała produkować diamenty.

Mushla wciąż gratulowała sobie powziętej decyzji, a jej mąż właśnie otrząsnął się z nerwowego zażenowania na tyle, by pochwycić za nóż i nie skaleczyć się przy tym, gdy drzwi od kuchni stanęły otworem i wpadł Joseph, ścigany przez Nadę.

Wściekła Mushla naskoczyła na młodszą córkę.

– Nie kazałam ci aby zostać w kuchni i wymyć do czysta podłogi? – warknęła. W tej samej chwili dostrzegła, że Baran wpatruje się w Nadę z zainteresowaniem, więc opamiętała się pospiesznie i dodała: – Ani słowa!

Za późno jednak. Ledwie Nada zaczęła się tłumaczyć, kilka dużych diamentów sturlało się z jej ust. Syn wezyra aż podskoczył, nieco zaskoczony i wystraszony, bo nawet w owych magicznych czasach było to nieoczekiwane zdarzenie. Opanował się jednak mężnie i uprzejmie udawał, że niczego nie zauważa. W rzeczy samej, stał się niedawno mistrzem w niezauważaniu, a to przez to, że uszy jednego z jego przyjaciół na dworze jakiś czas temu zamieniły się w ośle i nikt nie radził sobie lepiej od Barana z niezauważaniem owej ułomności, choć przyjaciel we wszystkich kapeluszach wykroił sobie dziury na owe uszy.

Mushla spróbowała zatuszować niefortunne zdarzenie.

– Biedaczka! – szepnęła głośno do Barana. – Co za nieszczęście... To kawałki szkła – dodała fałszywie, zaciekle walcząc o szansę dla Grummilli. – Żeby to jeszcze było coś warte.

Odwróciła się błyskawicznie w chwili, gdy jej mąż już otwierał usta i za pomocą super groźnej zmarszczki na czole, uzyskanej przez połączony efekt działania obu brwi, sprawiła, że mężowi protest utknął głęboko w gardle.

– Co za szkoda! – uprzejmie rzekł Baran, lecz z zaciekawieniem przyjrzał się słowu, które podtoczyło się blisko jego krzesła.

Mushla raz jeszcze natarła na Nadę i zagnała ją z powrotem do kuchni, tryumfując w duchu, ponieważ tak zręcznie udało jej się wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Gdy Mushla powróciła do izby, okazało się jednak, że Baran podniósł ów diament i przyglądał mu się ze znanstwem przez malutki mikroskop, wyciągnięty z kieszeni.

– To tylko szkło, drogi panie – rzekła z lekkim niepokojem.

– Och, tak, tak... Jasne – odparł nieprzytomnie syn wezyra i udał, że odrzuca kamień z pogardą, ale powstrzymał się i dodał jeszcze bardziej nieprzytomnie: – Ale jaki niezwykły!

I z jeszcze większą pogardą wsunął go do kieszeni.

– Chciałem powiedzieć, że... – zaczął mąż Mushli, ale wystarczyło, by napotkał spojrzenie żony, a urwał i znów skupił się na rzeźbieniu. Wzrok Mushli mógłby teraz zatrzymać szarżującego smoka.

Zapadła ciężka cisza.

– Masz doprawdy czarującą córkę – rzekł w końcu Baran, spoglądając w kierunku kuchni. – Powinna znaleźć się na dworze. Na dziewczynę z jej, khm... talentami czeka tam wiele ciekawych perspektyw.

Mushla uznała jego słowa za zagrożenie.

– Tak piękne czarne włosy jak jej, dobry panie, to w istocie marnotrawstwo – odpowiedziała głośnym szeptem, uznając za oczywiste, którą córkę młody człowiek uważa za czarującą.

– Och, tak, tak, jasne – rzekł syn wezyra, nieco zakłopotany, i rozejrzał się, aż jego wzrok padł w końcu na Grummillę. – Och, tak, tak, jasne – powtórzył całkowicie innym tonem, który nie miał nic wspólnego z entuzjazmem. Potem raz jeszcze wbił wzrok w drzwi kuchenne. – Niech no się przyjrzę – dodał po chwili, ku rozdrażnieniu Mushli. – Nazwałaś to kawałkiem szkła, tak?

– Tak – odparła, czując, że lepiej się trzymać pierwotnej wersji.

Syn wezyra uśmiechnął się do niej z sympatią, ale i z niedowierzaniem. Z całą pewnością był bystrym człowiekiem. Mąż Mushli nie powiedział ani słowa. Coraz bardziej angażował się w swoją pracę, a w tej chwili zafrapowała go kwestia nadzwyczaj wielkiego nosa jego klienta. Zastanawiał się, czy powinien oddać jego naturalną wielkość, czy może ulec pokusie pochlebstwa. W końcu zdecydował się na pochlebstwo, głównie dlatego, że oddanie prawdziwej wielkości nosa potrwałoby zbyt długo i wymagałoby użycia zbyt wielkiej ilości drewna.

– Kawałek szkła – zaczął syn wezyra raz jeszcze, zupełnie jakby nie był w stanie porzucić tego tematu. – Zawsze interesowały mnie kawałki szkła.

Mushla uświadomiła sobie, że syn wezyra zaczyna wyraźnie zaniedbywać Grummillę na rzecz młodszej córki, więc zdecydowała, że czas podjąć kolejne kroki.

– To w gruncie rzeczy nic takiego, dobry panie. Problem z moją córką Nadą polega na tym, że... Cóż, jak by to ująć... Nie bardzo ma w głowie poukładane, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Wyglądało na to, że Baran rozumie, co kobieta ma na myśli. Ku swemu zadowoleniu Mushla zauważyła, że wyznanie wstrząsnęło nim do głębi.

– Jej siostra natomiast – ciągnęła radośniejszym tonem – jest doprawdy czarująca.

– Och, tak, tak – zgodził się zamyślony Baran.

– Gdyby tylko ktoś szukał żony... – ciągnęła Mushla, z każdą chwilą coraz odważniej.

– Cóż – odpowiedział Baran z chytrym błyskiem w oku i po raz pierwszy zerknął

na służącego, który stał pod ścianą, pilnując kufra. – Szczerze powiedziawszy, to ja...

Mushla była tak zaskoczona jego odpowiedzią, że opadła ciężko na krzesło. Długo jednak nie posiedziała – zerwała się natychmiast i zabrała do przepędzania Rumpelstiltskina, który wślizgnął się niepostrzeżenie i wskoczył na krzesło jako pierwszy.

– Co takiego? – wyjąkała matka, odzyskawszy wreszcie głos. Obrzuciła przy tym Grummilę spojrzeniem, które oznaczało tylko i wyłącznie: „Trzymaj gębę na kłódkę, a jest twój”.

– Muszę znaleźć żonę, i to do jutra – kontynuował Baran. – Racja stanu i tak dalej. Widzisz, to...

W tejże chwili rozległy się cztery głośnie uderzenia rękojeścią miecza w drzwi. Tak naprawdę to owych uderzeń było pięć, ale służący Barana, który usiłował być służącym sprawnym i wydajnym, otworzył drzwi tak szybko, że przyjął ostatnie na własne czoło, a zanim na powrót złapał równowagę, Baran wymierzył mu gniewnego kopniaka za głupie zachowanie. Niełatwa była dola służącego w owych czasach.

W drzwiach stał pięknie odziany człowiek, który natychmiast wkroczył dumnie do chatki. Ku zdumieniu Mushli Baran aż podskoczył wystraszony i wykonał głęboki ukłon.

– Wasza Wysokość! – powiedział, a na jego twarzy błyskawicznie rozlała się śmiertelna bladość.

– Ach, Baranie! Nie spodziewałeś się mnie tu, nieprawdaż? – rzekł przybysz władczo. – Przyjechałem do twojego obozu, żeby się z tobą spotkać, i dowiedziałem się, że jesteś tutaj!

Wyglądało na to, że dopiero teraz dostrzegł Mushlę i jej męża, gdyż dodał protekcyjnie:

– Możecie usiąść, dobrzy ludzie, i powrócić do swoich obowiązków.

Nie było wątpliwości, że mają przed sobą Księcia.

Mushla była tak zaskoczona jego nagłym przybyciem, że nie była w stanie uczynić nic poza bezwładnym kłapnięciem na krzesło. Tym razem Rumpelstiltskin, który uczył się drogą doświadczeń, zdołał uciec na czas.

– A więc, Baran – rzekł Książę, siadając na najlepszym krześle – co z tą żoną, której dla mnie szukasz? Gdzie ona?

Baran zaczął jąkać się i bełkotać.

– Tylko nie mów, że jeszcze żadnej nie znalazłeś! – warknął Książę.

Baran zawahał się, a potem zaczął nieśmiało:

– Wasza Wysokość, to doprawdy długa historia...

W tym właśnie momencie służący, do tej pory mściwie pocierający miejsce ostatniego kontaktu ze swym panem, niespodziewanie, ze złośliwym uśmiechem podał Księciu trzymaną dotychczas skrzynię. Baran aż się cofnął.

– Jesteś zwolniony! – syknął, blednąc jeszcze bardziej niż przed chwilą.

Książę otworzył skrzynię, a wtedy ze środka wypełzła wielka purpurowa ropucha i wbiła w niego spojrzenie.

– Hej, a to co? – wykrzyknął Książę, odwróciwszy wzrok ze wstrętem, po czym

natychmiast zaczął wysilać pamięć w poszukiwaniu dobrego egzorcyzmu.

Baran desperacko zebrał się na odwagę.

– Szczerze mówiąc, to Jej Wysokość Księżniczka Slovo–Carmanii...

Książę rozwarł szeroko usta i ze zdumieniem przyjrzał się zwierzęciu. Purpurowa ropucha wyglądała na nieco zawstydzoną.

– To owa dama, którą wybrałeś mi na żonę? – zapytał kategorycznym tonem.

– Tak. Cóż, wczoraj przytrafił się jej... eee... wypadek – ciągnął syn wezyra, nerwowo przygryzając spory fragment swej wielkiej wargi. Miał nadzieję, że uda mu się uniknąć nieprzyjemnej sceny, ale nie spodziewał się, że ujrzy swego pana tak szybko, nie przewidział też zdrady służącego. – Przechodziła nieopodal nas zezowata wiedźma, co Jej Wysokość uznała za powód do wielkiej radości...

– O czym ty, u licha, bredzisz! – zagrział Książę i potrząsnął ropuchą, która wydawała się teraz mocno naburmuszona. Spróbował zatuszować swój wybuch uśmiechem satysfakcji, ale bez sukcesu. – Czy próbujesz właśnie insynuować, żebym poślubił to coś? – ciągnął, a na policzki wystąpił mu rumieniec.

W swych butach myśliwskich Książę mierzył sobie sześć stóp i dwa cale wzrostu, powszechnie cieszył się reputacją wojownika, który najlepiej w całym królestwie włada toporem wojennym, więc syn wezyra pospiesznie zapewnił, że absolutnie nie próbował niczego takiego insynuować, w rzeczy samej, do głowy mu nawet nie przyszło, bo tak naprawdę to...

– A zatem w porządku – odparł Jego Wysokość ułagodzony i podał uśmiechającą się sztucznie ropuchę służącemu, który pilnował się teraz, by pozostawać poza zasięgiem swego poprzedniego pana. – A więc o co chodzi?

– Z łatwością. wszystko wytłumaczę. – Baran rozejrzał się w panice, szukając wyjaśnienia. – Widzisz, mój panie, ja...

I w tym właśnie momencie jego spojrzenie padło na Grummillę.

– Wygląda to tak – odezwał się nagle swobodniej. – Po owym zdarzeniu zmuszony byłem poczynić inne ustalenia. Oto przyszła żona Jego Wysokości!

I wskazał Grummillę, która natychmiast uśmiechnęła się i pokiwała głową z nadzieją.

Mushla nabrała głęboko tchu i zapomniała się do tego stopnia, że poklepała nawet Rumpelstiltskina, który w trakcie rozmowy raz jeszcze wdrapał się na krzesło. Jej mąż był również tak zaskoczony, że wyrznął na swej podobiznie porządny kawałek czoła, przez co ta stała się szczególnie szpetna, żeby nie powiedzieć złowieszcza.

– No, no, no. – Książę przyjrzał się Grummilli z wielkim zainteresowaniem. – To już lepiej. Jak ci na imię, skarbie?

Grummilla nierozważnie udzieliła odpowiedzi i z jej ust natychmiast wypadł czarny kamyk.

– Na Wielkie Topory Bojowe! – wykrzyknął Książę, a Baran tym razem nie był już w stanie ukryć swego zaskoczenia. Udało mu się opanować, gdy ujrzał konwersacyjny wyczyn Nady, ale teraz, gdy okazało się, że nie tylko ona ma tę niezwykłą umiejętność... To zakrawało na epidemię! Syn wezyra z obawą przesunął

dłońmi po ustach, chcąc sprawdzić, czy też już to złapał.

– Och, to tylko drobna niedyspozycja – wymamrotała Mushla, która już doszła do siebie i próbowała jednocześnie uśmiechnąć się do Księcia, skarcić spojrzeniem Grummillę i zgromić męża, który nadal nieprzytomnie dziabał kawał drewna z rozdziawionymi ustami.

Księżę również opanował zaskoczenie i najwyraźniej jeszcze bardziej zainteresował się dziewczyną, choć uprzejmie udawał, że nie zauważa skutków ubocznych konwersacji. Wciągnął Grummillę do rozmowy, a ona, wiedząc, że to, czego obawiała się najbardziej, i tak wyszło już na jaw, odpowiadała coraz chętniej, aż podłoga zaczęła przypominać plażę. Baran zaś podniósł dwa lub trzy słowa (w tym jedno, które spadło mu na stopę, a że było niezrozumiałe, bolało jak diabli) i przyglądał im się bacznie, obrzucając również Mushlę zaintrygowanym spojrzeniem.

– Oczywiście – powiedział w końcu Księżę, próbując uciszyć Grummillę, bo produkcja kamieni zaczynała go już męczyć. – Rozumiem cię, Baranie, ta dziewczyna to z pewnością wielka nowość, ale sam musisz przyznać... Zrozum, że trzymanie jej na dworze byłoby ogromnie niewygodne. Pomyśl tylko o dywanach. Te jej kamienie nie są ani do niczego potrzebne, ani nawet dekoracyjne. Przykro mi – ostatnie słowa skierował do Mushli – ale taka jest moja decyzja.

Baran, który, jak zapewne można się domyślić, w istocie był bardzo bystrym młodym człowiekiem, zgodził się i dodał szybko:

– Oczywiście chciałem w ten sposób jedynie Waszą Wysokość przygotować.

– Na co?

– Cóż! – wykrzyknął Baran, jakby przygotowywał się na swój życiowy moment. – A co powiecie, panie, na to?

Ku zgrozie Mushli pchnął drzwi do kuchni i wywłókł stamtąd Nadę.

– Oto żona, którą naprawdę widziałbym dla was, panie. Posiadła identyczną... eee... umiejętność, lecz jej wytwory są zarówno pożyteczne, jak i dekoracyjne. Po prostu powiedz kilka słów, dobrze? – rzucił nerwowo do Nady.

Dziewczyna spełniła jego prośbę i słysząc jej pierwsze słowo, Księżę, jak to później ujął, zakochał się po uszy.

Wszystko zostało ustalone w parę minut – nie przesadzi się, mówiąc, że w tych czasach to ludzie dopiero mieli tempo – a gość królewskiej krwi przygotował się do odjazdu. Przedtem łaskawie przyjrzał się jeszcze resztkom dzieła męża Mushli i rzucił, może mało taktownie, że w przeszłości również marzył o tym, by rzeźbić gargulce.

Odejście Nady nie wprawiło matki w zachwyty, ponieważ oznaczało, że będzie musiała wszystkim zajmować się sama, na domiar złego mając na głowie Grummillę.

– A co z Grummillą? – zapytała niespokojnie Barana. – Nie powiedziałeś aby przed chwilą, że szukasz żony?

– Bo tak też było – rzekł młodzieniec niedbale. – Ale już pewnie sama się domyśliłaś, że nie dla siebie, a dla niego.

– Ale... Ale...

– Posłuchaj, dobra kobieto – szepnął Baran, nadal utrzymując niedbałą pozę prawdziwego człowieka interesu, który nie zaprzęta sobie głowy szczegółami. – Powiem ci, co chcę zrobić. Jeśli wyszykujesz dla tej dziewczyny porządny posag, sam ją poślubię. Tu i teraz!

Mushla przemyślała sprawę. Skoro Nada opuszczała dom, matka nie miała najmniejszej ochoty niańczyć Grummilli, która mogła jedynie przysparzać pracy w obejściu, ponieważ nie miała się żadnych zajęć.

– W porządku – rzekła.

– A co z posagiem?

– Dawajcie torbę – rzuciła Mushla, sprytnie jak na siebie. – A ja poproszę Nadę, żeby przed odejściem wyrecytowała *The Wreck of the Hesperus*.

– Nie, lepiej coś z dłuższymi słowami – sprzeciwił się syn wezyra.

I tak oto kończy się ta historia. Jak już nadmienilem, Baran był bardzo sprytnym młodym człowiekiem. Szybko zdał sobie sprawę, że diamenty produkowane w tak długich zdaniach tracą na wartości, a węgiel zawsze będzie węglem. Mushla i jej mąż nie wiedzieli bowiem, że węgiel w ich królestwie nie dość, że był rzadki, to jeszcze bardzo cenny i praktycznie nieznanymi wśród niższych klas.

Syn wezyra poślubił więc Grummillę najszybciej jak się dało i założył Koncern Paliwowy Baran Ltd., który doskonale prosperował. W mroźne zimy wracał do domu jak najpóźniej, by żona mogła go zasypać setkami skarg, żalów i pretensji, dzięki czemu zawsze miał obfite zapasy po przystępnych cenach, a z rosnącym popytem radził sobie wybornie.

IMPONUJĄCE IMPY

Eliot Fintushel

(ur. 1948r.) jest nauczycielem i mimem, dwukrotnie uhonorowany nagrodą Amerykańskiej Fundacji Narodowej za Występy Solowe. Jego eseje i opowiadania ukazują się w amerykańskich czasopismach literackich i science fiction od roku 1993. Poniższe opowiadanie to nowość.

Eliot Fintushel **MALOCCHIO**

Jestem idealnym pacyfistą, ale raz obrzuciłem Joe'ego Galucciego Złym Okiem. Stało się to latem, zanim rozpocząłem naukę w college'u, i pracowałem podówczas w Przedsiębiorstwie Nasiennym Mandrake & Kinsey (dziś już nieistniejącym). Siadywałem sobie wówczas obok Joe'ego i zastanawiałem się, ile nasturcji i portulak trzeba wysłać do Spend'n'Saves w Jasper w Illinois, i pogwizdywałem wybrane losowo fragmenty z *Le Sacre du Printemps*. Chcąc oddać osobliwe solo na oboju, które tylko on mógł usłyszeć, musiałem układać usta w ciasny dzióbek.

– Wiesz co, Joe? – gruchałem sobie. – Co dzień młodzi ludzie umierają gwałtownie z nieznanego powodu.

I znów wracałem do gwizdania.

Pewnego razu podczas przerwy na kawę Joe zadzwonił do swej matki. Meyer, mój jedyny przyjaciel w firmie, podsłuchiwał całą rozmowę.

– Malocchio, Mama! Złe Oko! – szepnął Joe, co przekazał mi Meyer. Poprosił ją o przygotowanie owej maści ziołowej, którą chciał wetrzeć sobie w czoło, by odpędzić mój zabójczy wzrok. – Przyjdę do domu zaraz po pracy – dodał. – Nie mów ani słowa tacie. Po prostu wszystko przygotuj, dobrze?

Drań skończył robotę szybciej ode mnie – wydajność, jaką umożliwia brak szarych komórek, to naprawdę cud – i przechwalał się tym przede mną bez końca. Co gorsza, nie przestawał gapić się pożądliwie na Helen Wojtczak, choć tego dnia zgodziła się zjeść ze mną lunch. Miał nawet tupet podejść do nas, przedstawić się jej i usiąść między nami, jakbym był powietrzem.

Na parterze przy automatach wydających słodkości – gorącą czekoladę, ciasteczka Sara Lee, kawę, batoniki Beechies i Life Savers – Joe zwykł gawędzić sobie ze stałymi pracownikami o osiągnięciach graczy baseballowych i modelach samochodów (z facetami) lub o tym, czyj ukochany zwiślał z którego klifu w jakim serialu (z dziewczynami). Śmiali się, flirtowali, poklepywali po plecach, a w przerwie

na lunch wymykali się na piwko do Slims. Ja nie mogłem im towarzyszyć. Miałem siedemnaście lat, do pełnoletności brakowało mi roku. Joe miał osiemnastkę.

– O, witaj, Al! – rzucił, wylawiając Life Savers o smaku tropikalnym ze szczeliny automatu. – Spadaj na drzewo, facet. Nie ma takiej opcji, żebyś kiedykolwiek sterczał tu z nami jak równy z równym, kapujesz? Spadaj stąd.

Nagle zapragnąłem, by moja dłoń w kieszeni obejmowała kastet, a nie garść ćwierćdolarówek. Zacisnąłem i rozwarłem pięść.

– Nie bądź świnia, Joe! – ktoś go ofuknął, ale pozostałe równiachy zarżały głośnym śmiechem, gdy odwróciłem się i wróciłem do mojej grubaśnej kanapki i partyjki szachów z Meyerem. Pies trącał Beechies. *Pax in terra*.

Gdy Joe był w nastroju, lubił mnie strzelić w ucho. Pracowaliśmy razem przy jednym stole i sprawdzaliśmy wartości w tych samych tabelach, ale czasami zniecka obrywałem w tył głowy. Gdy się odwracałem, Joe zawsze przeglądał swego totka z chytrym uśmieszkiem. Oczywiście kierownik zmiany nigdy niczego nie widział.

Zostałem wychowany w niechęci do przemocy, więc gdy Joe mnie zaczepiał, obrzucałem go jedynie gniewnym spojrzeniem. Albo pogwizdywałem.

Myślę, że to właśnie wtedy nawiedził mnie imp i obdarzył mocą, mnie, a nie Joe'ego Galucciego. Kiedy człowiek uparcie trzyma się od czegoś z daleka – tak jak ja od walki na pięści – w jego mózgu powstaje szczególny potencjał, tajemnicza moc, która wyzwala się w formie impów i poltergeistów. Tak przynajmniej sobie to wszystko wytłumaczyłem.

Imp podkradł się do mnie o jedenastej czterdzieści pięć, gdy jak zwykle kimałem w toalecie, co stanowiło mój codzienny rytuał. Najpierw go usłyszałem, dopiero później zobaczyłem.

– Ten Galucci to imbecyl, no nie?

– Meyer, to ty? – Obudziłem się tak nagle, że minęła dobra chwila, zanim przypominałem sobie, co właściwie robię na kiblu z podciągniętymi spodniami.

– Gdzie tam Meyer – pobrząkiwał jak zepsuty tłumik. – Wyłaż z tego sracza. Mam dla ciebie propozycję.

Otworzyłem drzwi, pchnąłem je i wyslizgnałem się z toalety. A potem oparłem się o nie plecami i aż gwizdnałem.

Imp skrzywił się.

– Przestań!

Mierzył trzy stopy wzrostu i przypominał ząbek czosnku, do tego stopnia, że jego oblicze wydawało się uformowane z pęknięć w powłoce. Oczy były drobnymi szczelinkami z małutkimi kwiatkami anyżku w środku, a z dziury będącej ustami wystawał pieprz angielski pełniący funkcję języka.

– Nienawidzę tego! Nie mogę znieść tego waszego przeraźliwego popiskiwania!

Jego ubranie, od pantofli aż po pompon na czubku czapeczki, było brudne, obsikane i pełne plam. Jako ramiona służyły dziwakowi dwie pomarszczone pletwy, przylegające do ciała, a przynajmniej tak mi się wydawało. Jeśli miał jakieś dłonie, schowane były w kieszeniach.

– Tylko mi się tu nie porzygaj, piękniśiu – powiedział. – Masz ochotę mdleć, to proszę bardzo. Są tacy, którzy się nie krępują. Chcę ci pomóc rozwałkować starego Galucha, o, w tym jestem dobry, facet, o ile nie jesteś na tyle spękany, żeby dać se pomóc.

Naraz odbił się i przysunął bliżej niczym rozpędzony ślimak. Niezła sztuczka, gdyby nie ów automat z kondomami na ścianie, pewnie uznałbym, że jestem w samym środku rewii na lodzie.

– Czym... Czym ty jesteś?

– Weź mnie do Slims na dzin z tonikiem, co? Usiądziemy sobie, pogadamy i wszystko ci opowiem.

I jak za machnięciem magicznej różdżki rozległ się dzwonek oznaczający przerwę na lunch. Czuję, że umysł mam równie przejrzysty jak kupka brudnego śniegu. Zamknąłem usta i poprowadziłem to coś do Slims.

Weszliśmy do środka, usiedliśmy. Nikt mnie nie legitymował. Imp mrugnął porozumiewawczo, a potem zamówił dzin z tonikiem dla każdego z nas.

– Ho, ho, a co to za laska! – Tuż obok precisnął się Galucci ze swoimi neandertalskimi kumplami. – To ci dopiero!

Kilku z nich mrugnęło lub przesłało w powietrzu pocałunki, a imp uśmiechnął się słodko. Banda Galucciego wybuchła śmiechem, a potem potoczyła się do baru po lunch.

– Oni widzą cię jako dziewczynę! – wydusiłem zaskoczony.

– Bystry jesteś – rzekł. – Czuję, że interesy z tobą sprawią mi sporo przyjemności.

Pojawiły się drinki. Imp pochwyił oba i wyżłopał do dna, połykając też mieszadelka do koktajli.

– Możesz nazywać mnie Buck. Jestem impem. Widziałem, czym obrzucasz tego Galucciego. Przypatrzyłem się temu twojemu Złemu Oku i pomyślałem sobie: „Amatorszczyzna, ale gość ma potencjał”. Otóż to, Al. Masz potencjał. Jestem zainteresowany przyjęciem ciebie.

– Przyjęciem?

– Sęk w tym – niech stracę, zdradzę ci to gratis – sęk w tym, że aby Złe Oko naprawdę zadziało, trzeba dobrze poznać gościa, w którego wbijasz lampy. Każda ludzka dusza uwiązana jest na trzech węzłach. Jeśli myślisz o skutecznym Złym Oku, musisz poznać przynajmniej dwa z nich.

– Węzły?

– Chcesz jeszcze drinka? – Wykrzyczał zamówienie na kolejne dwa dziny z tonikiem. – Dobra, dam ci przykład. Ty. Węzeł numer jeden: zawsze sobie myślisz, że jesteś mądrzejszy od innych, chociaż sam masz IQ rzepy. Bez urazy. Węzeł numer dwa: chociaż należysz do najbardziej napalonych dwunogów na planecie Ziemia – bo to Ziemia, nie? – umrzesz jako prawiczek.

Uniósł głowę i obliznął usta. Kelnereczka, od której byłem mądrzejszy i za której dziewictwo oddałbym wszystko, postawiła szklanki Bucka na stole. Imp wlał zawartość obu do gardła, wepchnął pałeczki do swej malutkiej paszczy i zagryzł

wszystko trzema lub czterema kartonowymi podkładkami z czerwono-niebieskim napisem *Bass Ale*.

– Oto dwa z twoich trzech węzłów. Masz pecha, młody, ale każdy człowiek związany jest na tych węzłach. Wasza rasa ma przerąbane. Impy rządzą! Zdrówko!

I z tymi słowy wepchnął sobie szklanę do gęby, chrupiąc głośno i mlaskając.

– Impy rządzą – mruknął, czując, jak gaśnie we mnie optymizm.

Po pierwsze, to wcale nie myślę sobie, że jestem mądrzejszy od innych ludzi, pomyślałem sobie. Ja jestem mądrzejszy i nic na to nie poradzę. Po drugie, co do tego napalenia. Och tak, jestem napalony, ale nie umrę jako prawiczek. W rzeczy samej, przeszedłem już do fazy drugiej z Helen Wojtczak, a mamy jeszcze siedem tygodni, nim wyjadę do college'u.

– To nie są moje węzły – wygłosiłem swe przemyślenia.

Obdarzył mnie leciutkim uśmiechem, który zgasł, ledwie się pojawiał.

– Jasne, jasne, pewnie myślałem o kimś innym. Jasne, Al. Aleś mnie przyparł do muru, ni cholery nie mogą cię zagiąć. Tak czy owak, młody, mam nadzieję, że już wiesz, o czym mówię. Jeśli chcesz potraktować Galucciego malocchio, to musisz poznać jego węzły, kapujesz?

– Co jest moim trzecim węzłem?

– Niech mnie szlag, jeśli nie jesteś krzyżówką Einsteina z Salomonem, młody! „Co jest moim trzecim węzłem?”. No kurna, znokautowałeś mnie! Leżę i kwiczę! Ty to masz łeb! Słuchaj no, zabierz się za tego Galucciego. Wyczaj jego węzły, co? Poddaj go porządnym badaniom! Sprawdź swoje możliwości. A wtedy udzielę ci pełnego, darmowego dostępu do zasobów mojego umysłu. To oferta wstępna. Ale tylko raz. Hej, ślicznotko, jeszcze dwa dziny z tonikiem!

– Zaraz, zaraz. Słuchaj, przecież ja tak naprawdę to nie chcę nikomu wyrządzić krzywdy!

Imp wydmuchnął sproszkowane szkło na obrus.

– I znowu mnie pobiłeś. Wypij moje drinki, ja się zadowolę tym proszkiem. Jak odrobisz pracę domową, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Ale ja mówię serio. Nie nienawidzę tego gościa, Buck. Ja nikogo nie nienawidzę.

Coś błysnęło, równie mało istotne jak znak przestankowy. Chyba ujrzałem też cień uśmiechu. W każdym razie Buck znikł.

Kelnerka przyniosła mi dwa drinki i rachunek. Obdarzyłem ją moim niemożliwym do odparcia, seksownym uśmiechem, na co ta skrzywiła się i odeszła. Zerknąłem na rachunek. Dokładnie tyle miałem na lunch i autobus.

* * *

Tego wieczora grałem sobie w szachy z Meyerem. Kucaliśmy niedaleko stawu, między żłobkowanymi kolumnami budynku Zarządu Wód, dokładnie pośrodku kompasu wygrawerowanego na portyku. Ja zasiadałem tam, gdzie wypadał wschód, a Meyer rozsiadł się na zachodzie. Niebo poróżowiło od chylącego się nad widnokretem słońca. Stąd, ze szczytu wzgórza Webera, można było się przyjrzeć,

jak ciemniejże miasto pod nami, o ile któremuś z nas chciałoby się unieść wzrok znad szachownicy.

– Jesteś walnięty, Al – rzekł Meyer, przesuając wieżę wzdłuż mojego pierwszego szeregu. – Ale co do twoich dwóch wężłów, to muszę przyznać, chłopie, ma to sens. Szach.

– Głupie posunięcie – rzekłem i zdjąłem jego wieżę.

– Szach – powtórzył, przesuając drugą wieżę ze strony królowej.

– Palant – oznajmiłem i zbiłem również drugą figurę. – Gość się pomylił jak mało kto. Jesteś niemal równie inteligentny jak ja, Meyer, jestem tego pewien. Zaś co do seksu... Stary, zapomniałeś o Helen?

– Szach mat – powiedział.

Nie zauważyłem, kiedy przesunął tego skoczka. Wróciłem pieszo do domu z Mandrake & Kinsey i byłem wykończony, to dlatego przegrałem. Nigdy dotąd nie przegrałem z Meyerem, chyba że zasypiałem na stojąco. Co więcej, nie przestawałem myśleć o Helen.

– Tak czy owak, Al, nie rób niczego głupiego. Mamy połowę lata, niedługo wyjeżdżasz na uniwersytet, a Joe będzie zasuwał w biurze do końca swoich dni. Olej gościa. Przecież nie nienawidzisz go, co?

– Oczywiście, że nie. Nie ma człowieka, którego bym nienawidził. Ale co by było, gdybym naprawdę potrafił obrzucić kogoś Złym Okiem? Nie warto poeksperymentować, żeby się dowiedzieć?

– Nie. O, idźcie Helen. Trzy osoby to już tłum, spadam. Trzym się!

Zgarnął figury do torby, złożył szachownicę, wcisnął ją sobie pod pachę i ruszył biegiem.

Pognałem w dół zbocza, oświetlonego promieniami zachodzącego słońca, w kierunku Helen. Wyglądała pięknie. Niebieska koszula, którą nosiła do pracy, i dzinsy z przyciętymi nogawkami wyglądały na niej jak szaty balowe Kopciuszka. Kędzierzawe blond włosy unosiły się niczym aureola wokół anielskiej głowy jak z obrazów Botticellego. Jej nos być może był nieco większy od nosa Wenus, ale i tak mi się podobał. Helen Wojtczak była królową moich snów i marzeń od imprezy noworocznej, kiedy to nieomal ją pocałowałem, a ona prawie mi na to pozwoliła.

Podeszliśmy razem do kamiennych schodów prowadzących do Zarządu Wód, minęliśmy północ, północny zachód, zachodnio-północny zachód, a wtedy ją pocałowałem.

– Nie rób tego – rzekła.

Zmarszczyłem brwi. Helen ujęła moją dłoń z siostrzanym uczuciem, które obudziło we mnie niepokój, i poprowadziła mnie ku chodnikowi biegnącemu wokół stawu.

– Muszę ci coś wyznać – powiedziała, patrząc na nasze długie cienie.

A ja sobie wymyśliłem, że spędzimy tę noc razem w motelu. Chciałem jak najszybciej udowodnić impowi Buckowi, że jest kłamcą.

– Al, mam kogoś.

Puściłem jej dłoń i zatrzymałem się. Spojrzałem na drugą stronę stawu, tam

gdzie za rozciągniętymi łańcuchami wznosiła się fontanna. Tryskające strugi wody były coraz mniej widoczne w przygasającym świetle.

– Kto to jest?

– To nie ma znaczenia, Al.

– Owszem, ma. Powiedz mi, kto to.

– Taki gość, z którym pracujesz. Pamiętasz ten dzień, kiedy mieliśmy razem zjeść lunch?

* * *

– Wiedziałem, że przyjdiesz, Al. No, to bierz się do roboty, musisz znaleźć dwa węzły Galucciego. Pamiętaj, mógłbym ci je zdradzić, mógłbym ci powiedzieć, na czym polega pierwszy, na czym polega drugi i tak dalej, ale po co? Nic byś na tym nie skorzystał, bo musisz, chłopie, sam je ujrzeć! Musisz je zobaczyć na własne oczy! Są wyraźne jak diabli, konkretne jak pieprzony węzeł gordyjski, wystarczy, że będziesz miał oczy szeroko otwarte! Schowaj się w krzakach i gap mu się w okna, śledź jego życie, Al. Łaż za tym dupkiem! Gdy zobaczysz, że gość się gdzieś spina, to już go masz! Cztery dni maks i będziesz miał jego węzły... To co, może wpadniemy do Slims na parę kielichów?

– Nie, Buck, dzięki. A powiedz mi, co ty będziesz z tego miał?

– Co ja będę miał? Chłopie, ja gram w pierwszej lidze. Robię to dla zabawy, żeby mieć się czym szczyścić, kapujesz?

– Co to za liga?

– Słuchaj, nienawidzisz tego Galucciego czy nie? – zapytał Buck, marszcząc swą małą twarz. Błady nabłonek skurczył się i przedarł, obie połowy zwinęły się niczym strużki drewna. W miejscu pęknięcia błysnął karmazyn wewnętrznej warstwy.

– No dobra, nienawidzę go.

– No to co się pytasz o jakieś ligi, co? Powiem ci wszystko jak leci, pod warunkiem, że dowalisz Sralucciemu.

Znów rozległ się dzwonek. Buck wybrał sobie nowy sposób na znikanie – po prostu zapadł się w sobie niczym kremowe ciasteczko. Kapelusz złożył się i wniknął w czaszkę, głowa wsunęła się w szyję, ta w korpus i tak dalej, aż po impie zostały jedynie pompony na czubkach butów. Wtedy jego stopy implodowały i zassały pompony z głośnym młaśnięciem. Jediną pamiątką po impie był słaby zapach siarki w powietrzu. Zniknął też automat z kondomami.

Gdy wracaliśmy do domu autobusem numer 66, Meyer próbował mnie pocieszyć w sprawie Helen.

– Stary, jest jeszcze mnóstwo innych rybek w morzu – powiedział.

– W ogóle mnie to nie obeszło, serio – zapewniłem. – Ale dajmy sobie dzisiaj spokój z szachami, co? Mam lekcje do odrobienia.

– Myślisz sobie, że jestem głupkiem, co? Wiem, co ci chodzi po głowie. Chcesz zrobić to, co ten cholerny imp ci kazał. Będziesz śledził Galucciego.

Meyer pokręcił głową i przeniósł się na inne miejsce.

Nie wysiadłem na przystanku Meyera, nie wysiadłem na własnym i tak oto

dojechałem do centrum, gdzie przesiadłem się na inny autobus, jadący do dzielnicy, w której mieszkał Joe Galucci.

Pierwszy węzeł okazał się prosty. Usłyszałem hałas już w połowie przecznicy. Przechodnie wydawali się zażenowani, matki idące przed domem Galucciego popędzały dzieci, a sąsiedzi zamykali okna.

Mnie to jednak nie zraziło. Szedłem prosto w kierunku domu Galucciego, by schować się w krzakach i gapić w okna. By śledzić życie Joe'ego Galucciego.

* * *

Następnego dnia Buck odebrał ode mnie raport przy zlewie w kiblu.

– Jego stary to żul i pijak, tak? – oznajmiłem.

– No i?

– No i leje jego matkę. Słyszałem jej płacz. Słyszałem też jego wrzask.

– No i? – Buck wbił palec w dziurę, którą uznałem za nozdrze, i wyciągnął z niej mały diament. Obejrzał go pobieżnie, a potem rzucił na podłogę, gdzie klejnot zamienił się w grudkę brudu i odtoczył do kąta.

– Co „no i”?

– Co z Joe'em?

– Joe powrzeszczał na ojca, próbował mu przeszkodzić. Rozległo się kilka ciosów i brzęk tłuczonych naczyń, a potem pan Galucci wyszedł. Podśluchiwałem przy oknie z tyłu domu. Joe próbował namówić matkę, żeby rzuciła tego żula. Oboje płakali. Jego ojciec bije ją bez przerwy, Buck. Joe ze wszystkich sił próbuje to przerwać.

– Ale nie może! – zapał Buck. – Mamy węzeł. Chce ją ocalić, ale nigdy mu się to nie uda, bo ona nie chce zostać ocalona. Piękne, prawda? Oto mamy węzeł numer jeden!

– Myślę, że to dość smutne.

– Tylko nie wciskaj mi takich kitów! – Buck zaczął falować od dołu do góry. Za każdym razem, gdy fala docierała do czubka jego stożkowatego kapelusza, buchał z niego kłąb dymu. – Chcesz, żebym ci powiedział, czym się zajął po twoim wyjściu? Jej inicjały to HW...

– Sukinsyn!

– Otóż to! Dobrał się do niej, facet, przeleciał ją, wydymał!

– Dobra, dokopię mu!

– To ci dopiero duch walki! No, to jeszcze jeden węzeł!

Jak na filmie Cocteau, Buck rozpląnął się w lustrze nad umywalką, pozostawiając po sobie falującą powierzchnię. Patrzyłem, jak staje się coraz mniejszy i wreszcie znika w owym dziwnym świetle, gdzie imp grywał w pierwszej lidze, a ja dopiero starałem się o miano nowicjusza.

Rozległ się dzwonek na lunch. Byłem głodny jak cholera.

* * *

– Pokonam cię w tej partyjce – oznajmił Meyer, sadowiac się obok mnie w autobusie linii 66. Z tymi słowy wyłowil z kieszeni podręczne szachy – drobne, płaskie figury ze skóry na szachownicy z dziurkami.

– Możesz sobie pomarzyć – powiedziałem i przesunąłem króla.

– Galucci kiepsko dziś wygląda. Był jakiś cichy. To twoja sprawka, Al? Obrzuciłeś go Złym Okiem?

– Nie. Ale zrobię to, gdy tylko rozgryzę jego pozostałe węzły.

– Umówił się z Helen o szóstej przed wejściem do głównej biblioteki. Słyszałem, jak rozmawiał przez telefon. Pilnuj swojej królowej, Al.

– Przecież pilnuję. Ty pilnuj swojej. Biblioteka? Cóż Galucci miałby do roboty w bibliotece?

– „Dylematy dilerów samochodów”? Któż może wiedzieć. I proszę bardzo, Al. Właśnie przegrałeś.

Przesunął wieżę w pobliże mojej królowej, tak że nie mogłem już jej nigdzie ruszyć.

– Nie mam już ochoty na grę. – Zamknąłem szachownicę. – Muszę sobie coś przemyśleć.

Meyer zmarszczył brwi.

– Wiesz, co jest twoim trzecim węzłem, Al?

– Nie, nie wiem. A skąd niby ty miałbyś to wiedzieć?

– Wiem i już. – Wstał i podszedł do tylnych drzwi, gdzie zczekał na swój przystanek. Ja jechałem aż do biblioteki.

Zauważyłem ich w sekcji „Business i Finanse”. Podkradłem się wzdłuż półek, aż odnalazłem miejsce między podręcznikiem do prawa rzymskiego i tomami XYZ encyklopedii prawniczej, skąd miałem dobry widok. Siedzieli przy stole obok okna wychodzącego na rzekę. Helen wyglądała piękniej niż zwykle, tak jak zawsze wyglądają dziewczęta, gdy siedzą przy swoim wybranym, zupełnie jakby ci opromieniali je jakimś wewnętrznym światłem.

Widziałem, jak jej obsypane pryszczami kolana przylegają mocno pod stołem do kolan Galucciego. Buzowało we mnie tak, że mógłbym teraz zapłodnić Helen z sekcji „Filozofia, Religia i Edukacja”, odległej o pięćdziesiąt jardów. Galucciemu zaś przywaliłbym z „Geografii i Historii” na drugim piętrze.

Joe założył okulary. Nigdy przedtem nie widziałem, by nosił okulary. Wpatrywał się w grubą książkę i robił notatki w kołonotatniku leżącym obok. Helen coś mówiła, odwracała dla niego strony i gładziła go po włosach. W pewnym momencie Joe zatrzasnął książkę, ściągnął okulary i wściekły podszedł do okna. Helen udała się tam za nim i objęła go w talii, on zaś ułożył głowę na jej ramieniu. Oboje zniknęli w przejściu wiodącym do „Sportu i Rekreacji”.

Podkradłem się do ich stołu, by dowiedzieć się, w co wpatrywał się Joe. Książka nosiła tytuł *Zasady księgowości* autorstwa Warrena i Beasleya.

* * *

– Oto węzeł numer dwa! – Buck stał w rozkroku nad progiem, przycinając palce

– palce, a nie paznokcie – aż do środkowego stawu. Była to nonszalancja nawet jak na impa. Patrzyłem, jak czubki palców padają na podłogę, a tam błyskawicznie zwijają się i schną niczym marchewki na przyspieszonym filmie. – Gdzie tam księgowość, ten gość jest na to za głupi. Ten facet umrze przeświadczony, że sam jest błędem w rachunkach. Nigdy nie skuma, czym jest chociażby podwójna księgowość. Beznadziejna rasa! Impy rządzą!

Ciach! Ciach!

– Co za głupek!

– Powiedz mi jeszcze raz, co oni robili w części „Sport i Rekreacja”?

Miałem ów obraz wypalony w pamięci. Helen i Joe spleceni niczym pasma dna – Boże ucho! – między oprawionymi egzemplarzami „Sports Illustrated”.

– Dobra! – powiedziałem. – Malocchio!

– Mój chłopak! To teraz wbijaj w niego te swoje śliczne gały! Węzły są niczym punkty orientacyjne na mapie bombardiera!

Ciach!

Po raz pierwszy od wielu tygodni zostałem przy moim biurku, gdy nadeszła pora lunchu. Joe siedział przygnębiony obok mnie. Nie uderzył mnie od wielu dni. Mało brakowało, a można by go wziąć za istotę ludzką, gdy tak siedział i wodził ołówkiem po formularzach zamówień.

Doszedłem do wniosku, że pora skłonić go do jakiegoś popisu chamstwa, bym przypomniał sobie, dlaczego w ogóle w to wszedłem.

– Hej, Sralucci! Jak tam dzisiaj przyszyły mgr?

Uśmiechnął się słabo. Przez moment myślałem nawet, że zaraz się rozplacze, ale wtedy rozbrzmiał dzwonek na lunch. Ludzie ruszyli ku wyjściu, ale Joe nawet nie drgnął.

– Hej, Joe – odezwałem się. – Nie wybierasz się do Slims z przyjaciółmi?

– To nie są moi przyjaciele. Ludzie mają mnie głęboko w dupie, Al. Mam już dość tej gry.

I oto miałem węzeł numer trzy. Joe nie był równiachą. Nie gadał z resztą jak równy z równymi.

* * *

Kiedy wyszedłem na rampę załadunkową, by sobie zapalić po lunchu, dostrzegłem tam Bucka, który wysysał powietrze z opon zaparkowanych samochodów. Rozdymał się przy tym niczym opaska do mierzenia ciśnienia, a gdy przysysał się do kolejnego wentylu, jego drobne nóżki zaczęły lewitować. Puszczając wówczas i ciskany siłą odrzutu miotał się po parkingu, zanosząc szalonym śmiechem.

Po przerobieniu w ten sposób czterech czy pięciu samochodów podpłynął do rampy załadunkowej i usiadł przy mnie. Przesypywał zatyczki do wentylów z dłoni na dłoń, jakby to był różaniec.

– No to co? Gotów do akcji czy nie?

Patrzyłem na żar swego papierosa.

– Odnalazłem jego trzeci węzeł.

Buck aż wystrzelił. Czarny dym buchnął z jego porów.

– Ty głupi człowieku! Niech szlag trafi ciebie i twoją rasę! Powiedziałem ci, że masz znaleźć dwa! Dwa!

– Nie mogłem nic na to poradzić, Buck. Po prostu mi się pokazał...

– Ani słowa! Nie chcę tego słuchać! – Wbił sobie palce w uszy aż po czwarty staw. Zatycki do wentyli stoczyły się na ziemię. – Wiem o wszystkich, niech to szlag. Znam wszystkie węzły wszystkich ludzi, ty głupi człowieku! Impy rządzą! No to dował mu! Wykonaj malocchio, na co czekasz! Nie myśl o niczym, Al, zrób, co do ciebie należy! Dalej!

– Nie zakończę tego, Buck.

– Co takiego? – Imp nagle przestał czkać. – Wiedziałem! Niech szlag trafi twoją rasę!

Jego oczy rozszerzyły się nagle niczym pokrywy miniaturowych wyrzutni pocisków międzykontynentalnych. Zapach siarki przybrał na sile. Powietrze między nami wydawało się żółknąć.

– Posłuchaj, Buck. Doceniam twoją pomoc, ale teraz, gdy naprawdę już znam Joe'ego, gdy ujrzałem wszystkie trzy węzły, nie potrafię już go nienawidzić. Nie mam zamiaru obrzucić go Złym Okiem.

Z pompona na czubku kapelusza impa uniosła się cienka smużka czarnego dymu.

– Wiesz, co się staje z ludźmi, których obrzuca się Złym Okiem? Po prostu dzieją im się złe rzeczy, Al, ale te złe rzeczy nie są niczyją winą, kapujesz? A drobne rzeczy mogą wiele znaczyć, Al. Pół sekundy różnicy podczas przechodzenia przez jezdnię. Niewłaściwy przycisk na kuchence. Łapiesz, o co mi chodzi, Al? Popatrz tylko...

Buck wycelował spojrzeniem w gołębia szybującego w kierunku rampy. Ten nagle zatrzepotał chaotycznie skrzydłami, uderzył w betonowy filar i runął w dół ze złamanym karkiem.

– Widzisz? – oznajmił Buck. – Ludziom też się to może przydarzyć. Tobie też się to może przydarzyć, Al, jeśli nie będziesz uważał. Dajmy na to, gdy będziesz próbował mnie wykiwać. Chociaż nie sądzę, żebyś był aż tak głupi.

– Jezu, Buck, czy tobie nigdy nie robi się kogoś żal? Impy nie mają węzłów czy co?

– Tak, ale tylko jeden, a nie trzy. I nikt nigdy nie wie, co to takiego. Nigdy! Impy rządzą. A teraz posłuchaj – albo Galucci oberwie z malocchio, albo ty. Zastanów się, Al. Do zobaczyska.

Zdusiłem peta i wepchnąłem między podwójne drzwi do ładowni. Stał tam Meyer. Szachownica niemal wypadła mu z ręki, trzymał ją za róg. Figury rozsypały się u jego stóp.

– Widziałem go! Wszystko słyszałem! Nie mogę w to uwierzyć! To rzeczywiście imp! Najprawdziwszy imp!

Szachownica upadła.

– No, imp. I co teraz? – Minąłem go, idąc w kierunku korytarza z automatami.

– Poczekaj! – Meyer popędził za mną, zostawiając figury tam, gdzie leżały. Złapał mnie za ramię. – Impy nie rządzą, Al! Załatwiłeś go! Nie widzisz? Gość jest całkiem bezradny!

– Jesteś walnięty, Meyer. Jeśli nie zrobię tego, czego ode mnie chce, urządzi mi malocchio. Skończę jak ten gołąb. Co mam niby zrobić? Nakłonić matkę Galucciego, żeby wtarła mi trochę oleju we włosy? Muszę obrzucić Joe’ego Złym Okiem i tyle – zakończyłem, oswabadzając ramię.

Meyer przemknął do przodu i zatarasował mi przejście. Słyszałem już rozmowy przy automatach. Spojrzałem nad Meyerem w poszukiwaniu Joe’ego.

– Nic nie kapujesz, Al? Nie wiesz, dlaczego nie chciał, żebyś mu powiedział o trzecim węźle Joe’ego?

– Zejdź mi z drogi, Meyer. – Przez drzwi widziałem ciężkie buciory Joe’ego, wystające spod krzesła przy automacie z colą. Odepchnąłem Meyera i podszedłem. Joe spojrzał w dół. Ja też.

Uderzył mnie, pomyślałem. Nabija się ze mnie. Myśli sobie, że jest ode mnie mądrzejszy i szybszy. Ukradł mi dziewczynę.

Skupiłem się i wbiłem do jego wnętrza przez oczy. Wszystko stało się ciemne i zamglone niczym słońce dla nurka pod powierzchnią wody. Oczy Joe’ego Galucciego otwierały tunel, w którym ujrzałem neonowe postacie – jego rozszalałego, pijanego ojca i zapłakaną, posiniaczoną matkę. Przemknąłem obok wyobrażenia samego Joe’ego, który wali pięściami w ścianę tunelu i wrywa niezrozumiałe strony z grubej książki. Na końcu tunelu widziałem mały jasnoczerwony punkcik, niczym cel wymalowany na manekinie używanym na strzelnicy.

Zawahałem się. Gdzieś za sobą słyszałem głos Meyera wołającego: „Nie, Al! Nie rób tego!” i przez króciutką, ulotną chwilę ujrzałem ów trzeci węzeł – Joe Galucci zamknięty w sobie, dręczony samotnością i wywołaną przez nią rozpaczą, tęskniący za tym, by być kimś równym, kimś w porzo, kimś z ekipy. Oni pękali ze śmiechu, popijając Seven–and–Sevens w Slims, a on pozostał w tyle.

– Czego chcesz, Al? – zapytał. Przez jego twarz przemknął grymas bólu.

– Możesz mi rozmienić dolca? – zapytałem. Nie, nie mogłem tego zrobić.

Cola w butelce Galucciego nagle wezbrała i wylała się na jego kolano. Gęsty, bulgoczący żółty napój popłynął, sycząc, po jego nogawce na podłogę. Joe zaczął wstawać.

– Uciekaj, Joe! – szarpnąłem go za łokieć. Z kałuży na podłodze buchnęły gryzące opary. Troje lub czworo ludzi, którzy pogryzali coś przy automatach ze słodyczami, wypadło biegiem na zewnątrz. Pchnąłem Joe’ego, by uciekał razem z nimi, nie stawiał oporu. Meyer jednak się nie ruszył – stał za mną i patrzył, jak opary, zagęszczając się, tworzą ząbek czosnku wzrostu małego dziecka.

– No i się doigrałeś! – Buck wbił we mnie spojrzenie swych buchających dymem czerwonych ślepi, a ja poczułem, że cały mój świat zaczyna krwawić. Wszystko stało się złe i odpłynęło.

– Nie! – wykrzyknął Meyer. – Nie, to ty się doigrałeś, imp! Ty jeszcze nie poznałeś mojego przyjaciela Ala, ty jeszcze nie znasz jego charakteru! Dobrze go

ukrywa, nie ma co! Wszystkich zrobił w konia, nawet siebie zrobił w konia! Myśli sobie, że jest pacyfistą, wyobraź sobie! Myśli sobie, że nie potrafi nienawidzić! Ale ty się lepiej miej na baczności, panie imp!

Buck zachwiał się i cofnął chwiejnie o krok, jego twarz przeszył skurcz. Spojrzał na mnie, a potem zasłonił oczy łapą ze świeżo poobcinanymi palcami. Wyglądało na to, że zapada się w sobie, podczas gdy mój świat na nowo nabrzmiał i powrócił do normalnych rozmiarów.

– Przeklęta rasa! – parsknął, ale tym razem ze współczuciem, jakby był w stanie dostrzec ucho igielne, przez które nigdy nie uda mi się precyzyjnie, ponieważ okazałem się jałowym, przepelnionym nienawiścią egoistą. Moje trzy węzły!

Zresztą pal licho węzły, przecież wciąż potrafiłem gwizdać. Dobrze pamiętałem, jak go to zabolalo. Zagwizdałem glissando, zaczynając tak nisko, jak tylko się dało, i płynnie przechodząc do dźwięków coraz wyższych, aż kryte tynkiem ściany i betonowa podłoga zaczęły rezonować. Automaty ze słodyczami i lampy jeszcze wzmocniły efekt i całe pomieszczenie stało się jednym wielkim kamertonem. Twarzyczka Bucka skurczyła się niczym spalona rodzynka.

– Ludzie rządzą! – zapał Meyer.

– Dość! Dość już tego! – Buck wirował, wtapiając się w kałużę niczym tornado puszczane od tyłu. Kałuża wreszcie zamarła, zatrzęsła się i znikła.

* * *

Siedzieliśmy z Meyerem w autobusie linii 66.

– I już Bucka nie zobaczymy – westchnął Meyer. – Znaleźliśmy jego węzeł, kapujesz? Obowiązują go te same zasady co ciebie. Żeby rzucić na kogoś Złe Oko, musi poznać swoją ofiarę, ale im bardziej ją zna, tym mniej chce ją skrzywdzić. Na tym polega jego trudne położenie. Wystarczą mu dwa węzły, żeby zakończyć robotę. To dlatego tak się uniósł, gdy chciałeś mu opowiedzieć o trzecim węźle Joe’ego.

– Tak samo było z moimi węzłami. Buck tylko udawał, że zna mój trzeci.

– Wreszcie łapiesz.

– Dawno już się wszystkiego domyśliłem, Meyer, ty ćwoku.

– Kiedy wydałem Buckowi twój trzeci węzeł, gość był skończony. Nie miał już serca, żeby wyrządzić ci krzywdę. Nawet impy mają uczucia, Al.

– Mam nadzieję, że to małe gówienko jeszcze kiedyś powróci. Zafunduję mu tyle uczuć, że hej!

Meyer otworzył kieszonkową szachownicę i przesunął białego piona o dwa pola naprzód.

– Lepiej się z tym pospiesz – powiedział. – Bo jeszcze go poznasz.

* * *

A jak to wszystko się skończyło? Byłem drużbą na ślubie Joe’ego Galucciego. Bóg jeden wie co Helen w nim widzi! Wszelkimi sposobami usiłuję ją nakłonić do cudzołóstwa, ale jak dotąd nie pochwyliła przynęty. Mieszkam samotnie w

sąsiednim miasteczku niczym pomnik lokalnego rozdziału Braterstwa Pojednania. Pracuję dla Meyera, którego nadal regularnie pokonuję w szachach. Jego i jego synów, chyba że gnojki oszukują.

Nie robię już interesów z impami. Czasami się zastanawiam, czy to zdarzenie w ogóle miało miejsce. Przecież te wszystkie moje niby-węzły okazały się całkiem wyssane z palca. W rzeczy samej, byłbym człowiekiem naprawdę szczęśliwym, gdyby tylko ten tajemniczy gość, który co rano spuszcza mi powietrze z opon, dał sobie z tym, kurna, spokój.

Alan Dean Foster

W poprzedniej antologii zamieściłem jedno z opowiadań z Szalonym Amosem Malone'em autorstwa Alana Deana Fostera (ur. 1946r.). Foster jest autorem tak płodnym i piszącym tak zróżnicowane utwory, że z jego dorobku trudno coś wybrać. W końcu zdecydowałem się na tytułowe opowiadanie z jego kolekcji The Metrognome and Other Stories (1990). Przez jakiś czas Foster był przypuszczalnie najbardziej znany z powieści na podstawie scenariuszy sławnych filmów SF i fantasy, jak na przykład Ciemna Gwiazda (Dark star, 1974) czy Obcy (Alien, 1979), ale udowodnił, że stać go na oryginalność w popularnej serii Spellsinger – Spellsinger at the Gate (1983), The Day of the Dissonance (1984), The Moment of the Magician (1984), The Path of the Perambulator (1985), The Time of the Transference (1986), Son of Spellsinger (1993) oraz Chorus Skating (1994). Był również redaktorem antologii humorystycznych opowiadań fantasy Smart Dragons, Foolish Elves (1991) oraz Betcha Can't Read Just One (1991). Być może Czytelników również zaciekawi Szalony Amos (Mad Amos Malone, 1996) czy Jed the Dead (1996).

Alan Dean Foster

METROGNOM

Charlie Dimsdale wpatrywał się w stojącego przed nim człowieka. Wpatrywałby się w niego nawet w normalnych okolicznościach, lecz ta konfrontacja miała miejsce na najniższym poziomie stacji metra pod Pięćdziesiątą Drugą Ulicą Bronksu, szmat drogi od powierzchni ogarniętego codzienną histerią Manhattanu. W rzeczy samej, Charlie nie miał wyboru. Musiał się gapić.

Człowiek ów bowiem mierzył sobie nieco ponad metr wzrostu, a jego ciało urągało wszelkim proporcjom. Głowa na przykład była większa od głowy mężczyzny normalnego wzrostu. Najbardziej uwagę przyciągała pokaźna trąba, dla której określenie „bulwiasty nochal” byłoby komplementem. Wielkie, atramentowo czarne oczy kryły się w cieniu ciemnych brwi, z których byłby dumny nawet niedźwiedź. Gigantyczne, zwiędłe uszy kształtu i koloru zbliżonego do wyschniętych moreli to zwisały po obu stronach głowy, to znów prostowały się, okazując imponujące rozmiary.

Czubek głowy był równie gładki i okrągły jak spód porcelanowej filiżanki. Sporą jego część zakrywał берет, zawadiacko przesunięty na lewo. Wielkie czarne bokobrody ciągnęły się przez twarz niczym ogromne gąsienice.

Ramiona owego osobnika, porośnięte obficie czarnym włosiem, wydawały się zdecydowanie za długie jak na tak małą klatkę piersiową i króciutkie, grube palce. Oprócz беретu miał na sobie dwurzędową prążkowaną marynarkę i dopasowane do

niej spodnie. Jego czarne sznurowane buty na niskim obcasie były idealnie wypolerowane.

Gdyby ta konfrontacja miała miejsce gdziekolwiek indziej, a miejsce Dimsdale'a zająłby ktoś inny, najprawdopodobniej zemdlałby niemalże natychmiast. Charlie Dimsdale jednak przełknął jedynie ślinę i zrobił krok do tyłu.

Było nie było, znajdował się przecież w Nowym Jorku.

Człowieczek oparł kosmate dłonie na biodrach i wbił spojrzenie w Charliego. W jego wzroku kryło się niczym niemaskowane obrzydzenie.

– No dobra, widziałeś mnie. Co masz teraz zamiar z tym zrobić?

– Widziałem pana? Naprawdę? Proszę posłuchać, ja jestem tylko... Nazywam się Charles Dimsdale i jestem drugim asystentem podkomisarza do spraw konserwacji i napraw metra. Biegnie tu niewłaściwie wyregulowana linia. Na górze (był to oczywiście oficjalny slang) musieliśmy wykonać trzy komputerowe wytyczenia trasy pod rząd dla trzech różnych składów. Zszedłem tu, żeby odnaleźć przyczynę błędu i usunąć go, to wszystko.

Charlie był młodym, niewyróżniającym się człowiekiem o dość miłej aparycji. Można by go nawet uznać za przystojnego, gdyby nie zachowanie jak szarej myszki i oczywiście okulary tak grube, że mogłyby służyć jako osłony reaktora.

– Eee... Czy ja aby właśnie nie widziałem, jak wychodzi pan z tej ściany?

– Z której ściany? – zapytał mężczyzna.

– Z tej za panem.

– A, z tej.

– Tak, z tej. Nie wiedziałem, że znajdują się tam drzwi inspekcyjne, ale...

– Bo ich nie ma. Wyszedłem ze ściany.

– To niemożliwe – rzekł Charlie z przekonaniem. – Ludzie nie umieją przenikać przez ściany. To niewykonalne. Nawet pan Broadhare tego nie umie.

– Nie wątpię.

– No to dlaczego utrzymuje pan, że przeszedł przez ścianę?

– Bo nie jestem człowiekiem. Jestem gnomem. Metrognomem, jeśli chodzi o ścisłość.

– Aha, to chyba w porządku.

I w tym momencie Charlie, chociaż był nowojorczykiem, po prostu wziął i zemdlał.

* * *

Gdy doszedł do siebie, ujrzał parę czarnych jak smoła, lekko świecących oczu, które się w niego wpatrywały. Niemalże zemdlał ponownie, ale wtedy pochwyciły go i podtrzymały zaskakująco silne ramiona.

– Nie rób mi tego więcej – rzekł gnom. – To było bardzo nieuprzejme, a nawet zaskakujące. Przecież mogłeś uderzyć głową w szynę i zrobić sobie krzywdę.

– Jaką szynę? – wybełkotał Charlie.

– W tę tutaj. Tę, co idzie pośrodku.

– Och! – Charlie szybko wszedł na chodnik. – Ma pan rację. Mogłem sobie zrobić

krzywdę. Nie będę już mdłał, obiecuję.

Z tymi słowy spojrział na gнома z niechęcią.

– A pan, że się tak wyrażę, nie ułatwia mi życia. Dlaczego pan po prostu nie zniknie? Przecież nie ma czegoś takiego jak gnomy. Nawet w Nowym Jorku. Zwłaszcza w Nowym Jorku.

– Ha! – chrząknął gnom, co zabrzmiało tak, jakby dawał do zrozumienia wszystkim zebranym, że jest wśród nich ktoś, kto ma tyle rozumu co zeschnięty precelek. Charlie bez trudu pojął, kogo gnom miał na myśli.

– Posłuchaj! – powiedział błagalnie. – Przecież ty po prostu nie możesz istnieć!

– Więc jak to jest, u licha, że tu stoję? – Gnom wyciągnął włochatą łapę. – Nazywam się Van Groot.

– Zaszczycony. – Charlie z oszołomieniem uścisnął wyciągniętą dłoń.

„Oto stoję sobie trzydzieści metrów pod ziemią”, pomyślał, „w samym środku Manhattanu i ściskam dłoń jakiemuś indywiduum, które utrzymuje, że wyskoczyło z baśni braci Grimm i nosi kostium braci Brooks”.

Ale przecież widział, jak ów osobnik wychodzi ze ściany.

To zaś sugerowało dwie możliwości – albo to wszystko działo się naprawdę i rzeczywiście istniały takie stworzenia jak gnomy, albo Charlie zbyt długo wdychał spaliny metra i działał obecnie na pół gwizdka. W tej chwili był skłonny przychylić się do drugiej teorii.

– Wiem, jak się czujesz – rzekł Van Groot ze współczuciem. – Przejdź się ze mną kawalek. Trochę ruchu pomoże ci dojść do siebie. Poukładasz sobie wszystko w głowie, chociaż pewnie, de Puyster jeden wie, nie ma w niej wiele.

– Pewnie. Czemu nie. Zaraz, proszę poczekać. Muszę znaleźć i odblokować jedną wajchę.

– Która to zwrotnica? – zapytał gnom.

– Cztery–sześć–trzy. Wysłała sygnał, że mamy zablokowany tor, i komputer automatycznie...

– Wiem.

– ...kilka kolejnych programów... Wiesz?

– Jasne. Bo to ja ją nastawiłem.

– To pan ją nastawił? Przecież nie można tego robić!

Van Groot znów powiedział: „Ha!” i Charlie uświadomił sobie, że bynajmniej nie powala tej istoty precyzją własnych myśli.

– No dobra. Czemu ją pan przestawił?

– Przeszkadzała w swobodnym przetaczaniu moich wózków kopalnianych.

– Wózków kopalnianych! Przecież tu nie ma żadnych ko... – młodzieniec zawahał się nagle. – Dobra, kapuję. Przeszkadzała pana wózkom.

Van Groot pokiwał głową z aprobatą. Szedł tak szybko, że Charlie co chwila musiał podskakiwać, by go dogonić.

– Eee... A dlaczego te wózki nie mogły po prostu przejechać przez zwrotnicę, gdy była należycie ustawiona?

– Ponieważ wtedy – powiedział gnom powoli i cierpliwie, jakby tłumaczył coś

dziecku – metal szeptał co chwilę: „Zablokowane! Zablokowane!”. Irytowało to górników. Przez cały czas pracują w metalu i są bardzo na niego wyczuleni. Po przestawieniu zwrotnicy szyny mruczą: „Otwarte! Otwarte!” i chłopaki czują się lepiej.

– Z tego, co pan mówi, to przecież jakiś mało istotny drobiazg.

– Owszem – odparł Van Groot.

– Ale takie przestawianie zwrotnicy to mało uprzejme z waszej strony.

– A niby dlaczego mamy być uprzejmi? Czy choć raz słyszałeś, żeby ktoś powiedział: „Zróbmy zrzutkę na gnomy w potrzebie!”? Czy istnieje Liga Pomocy Gnomom? Albo Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwom wobec Gnomów? Kiedy po raz ostatni słyszałeś, żeby ktoś zrobił cokolwiek dla gнома? Jakiegokolwiek gнома? – z każdym słowem Van Groot ekscytował się coraz bardziej, jego uszy łopotały, a bokobrody aż się jeżyły. – Nawet kanarki i ci goście, co robią doświadczenia na owocówkach, mogą dostać od rządu forszę, a my? My żądamy jedynie niezwywalnych praw do życia, do wolności, do bójek i chlania!

„Niczego się w ten sposób nie dowiem”, pomyślał Charlie z rezygnacją.

– Przyznaję, że to wszystko wydaje się niesprawiedliwe – westchnął. Wyglądało na to, że Van Groot uspokoił się nieco. – Ale tak czy owak byłbym wdzięczny, gdyby pozwolił mi pan ustawić zwrotnicę tak, jak należy.

– Już ci mówiłem, byłoby to bardzo niewygodne! Wy, ludzie, nigdy się nie uczycie. Ty jednak wydajesz się miłym i przyjemnym osobnikiem, jak na człowieka, oczywiście. Okazujesz też należyty szacunek. Być może to rozważę. Ale nie obiecuj sobie zbyt wiele. Powiedziałem „rozważę”.

– To bardzo miło z pana strony. Eee... (Do licha, o czym się gawędzi z gnomem dla zabicia czasu?). Eee, dobrą mamy ostatnio pogodę, nieprawdaż?

Na torach leżała puszka po piwie, wyrzucona z okna wagonu metra. Charlie podszedł i podniósł ją.

– Nie sędzę.

– Zawsze mi się wydawało, że tacy jak pan mieszkają w Irlandii i tego typu miejscach.

– Irlandia, mój krótkowzroczny przyjacielu, jest krajem zimnym, mokrym, deszczowym, nieucywilizowanym i pełnym stukniętych emigrantów ze Stanów. Jediną rzeczą, którą można tam wydobywać w dużej obfitości, jest torf. Jako górnik powiem ci tyle, że cholernie ciężko jest odczuwać dumę ze swojej profesji, gdy jedyną rzeczą, którą się wydobywa, jest torf. Widziałeś kiedyś naszyjnik z torfu? Albo tiarę królowej? No i szlifować się tego nie da. Irlandia! Daj spokój. Jesteśmy przede wszystkim górnkami i kowalami.

– Dlaczego?

– To chyba najgłupsze pytanie, jakie w życiu słyszałem.

– Przepraszam.

– Sądzisz, że zignorowalibyśmy cały Nowy Świat i pozostawili go ludziom? Gdy twoi hałaśliwi, niechlujni, lecz prawi i cnotliwi przodkowie pokonali ocean, przybyliśmy w ślad za nimi. Po cichu oczywiście, nie przeszkadzając nikomu.

Słuchaj, gnomy były nawet z Waszyngtonem pod Valley Forge! Z Jonesem na...

– Tak, doskonale potrafię to zrozumieć – pospiesznie przerwał gnomowi Charlie.
– Ale sądziłem, że wolicie życie wiejskie.

– Na ogół tak, ale wiesz, jak to jest. Ten świat staje się jedną wielką miejską społecznością. My również musimy się zmienić. Chociaż... mam krewnych rozsianych na północy stanu i wielu z nich nadal myśli, że mogą żyć jak za czasów Washingtona Irvinga. Reakcyjniści.

Charlie spróbował wyobrazić sobie gnoma reakcjonistę, ale mu się nie udało.

– Poza tym na prowincji coraz trudniej znaleźć dobre kopalnie diamentów. Te znajdujące się tuż pod powierzchnią stają się jedna po drugiej pułapkami na turystów. Ciężko już nawet znaleźć dobre miejsce na nocleg, bo co chwila któryś z inżynierów naftowych rozpoczyna próbne wiercenia. Nawet idiota mógłby stwierdzić, że nie ma ropy w dziewięćdziesięciu procentach miejsc, w których jej się szuka. Ale czy ludzie wyciągną z tego wnioski? Nie. A zatem łup, łup, łup dzień za dniem. W porównaniu z takimi miejscami linie metra są przyjemne i uporządkowane.

– O rany. Chce mi pan powiedzieć, że gnomy zajmują się górnictwem? Tu, na Manhattanie?

– Pod Manhattanem. O, znaleźliśmy tu kilka doskonałych miejsc. Starczy zejść odrobinę w dół, a skał bogatych w diamenty znajdzie się bez liku. Poczytaj sobie o historii Nowego Jorku. Ludzie prowadzący wykopy nieraz natrafiali na kamienie doskonałej jakości, ale nikt nawet nie myśli, by ryć głębiej, bo ma *deadline* na budowę swojego szklanego grobowca, piramidy czy czegoś tam. W fundamentach niektórych słynnych budowli odnajdowano turmalin, beryl i kryształy kwarcu, ale rzadsze i cenniejsze kamienie zakopane są głębiej. Mimo to kiedyś o mały włos Empire State Building stałby się kopalnią. Na szczęście w porę dorwaliśmy odwiertnika, który znalazł diamenty.

Charlie przełknął ślinę.

– No i znajdujemy też mnóstwo złomu, który przetapiamy na berła i inne takie. Głównie po to, żeby nie wyjść z wprawy. Nie ma dużego zbytu na berła z żelaza.

– Mogę sobie to wyobrazić – rzekł Charlie ze współczuciem.

– Chociaż z drugiej strony któż może wiedzieć kiedy przyda się dobre berło. Lub porządnie zrobiony pierścień Flagana.

– Proszę wybaczyć moją ignorancję...

– Robię to od jakiejś półgodziny.

– Ale co to takiego pierścień Flagana?

– Och, wykorzystujemy je, żeby przyciągać... Nieważne. Co do złomu, to wiesz, że bardzo przejmujemy się kwestiami ekologii. Gnomy są przyjazne dla środowiska.

– Aha – powiedział Charlie, odtwarzając w głowie możliwy scenariusz zakończenia tej przygody. Widział w nim siebie przed obliczem podkomisarza Broadhara'a, jak mówi: „Naprawiłem tę zaciętą zwrotnicę, sir. Przetawiły ją gnomy, bo utrudniała przetaczanie wózków z urobkiem. Nie chcę jednak, żeby występował pan na drogę sądową, bo gnomy są przyjazne dla środowiska”.

– No, Dimsdale. Zatrzymaj się tu. Wszystko będzie dobrze.

Jasne.

– Ale wyobrażałem sobie... – Machnął niepewnie w kierunku Van Groota. – Cóż, no niech pan tylko spojrzy na siebie!

Gnom spojrział na siebie.

– A coś ty sobie wyobrażał, co? Zielone liście, spodnie ze skóry i czapkę z piórkami? Sam dobrze wiesz, że Manhattan jest jednym z tych miejsc na świecie, gdzie od czasu do czasu kilku z nas może się wymknąć na powierzchnię i wmieszać w tłum, nie wywołując przy tym zamieszek. Oczywiście zawsze w nocy. Jesteś pewien, że nigdy żadnego z nas nie widziałeś? Łatwo się na nas natknąć w okolicach Times Square i dzielnicy teatralnej.

Charlie zastanowił się. Pod Flatiron Building około pierwszej w nocy? Na ławce na Washington Square? To mgnienie zauważone kątem oka, to odbicie w oknie... Kto tak naprawdę zwracałby na to uwagę?

Był przecież Nowy Rok.

– Rozumiem. Czy wszystkie miejskie gnomy...

– Metrognomy – poprawił go uprzejmie Van Groot.

– Czy wszystkie metrognomy tak się ubierają?

– Zarąbiste wdzianko, no nie? Sporo mnie kosztowało, nie powiem. Robione na miarę i podwójnie zszywane, rzecz jasna. Nie mogę nosić byle czego. Nie, styl ubierania zależy od stanowiska. Ja jestem kimś w rodzaju administratora. Ty byś pewnie powiedział pracownik na szczeblu kierowniczym. Strój również zależy od tego, gdzie się mieszka. Gnomy pracujące pod Dallas lubują się w stetsonach i kowbojskich butach. Te mieszkające pod Miami mają słabość do szortów i wielkich okularów przeciwsłonecznych. A byś widział te, co mieszają pod miejscem nazywanym Sunset Strip w Los Angeles! – Pokręcił swą łysiną rodem z obrazów Boscha. – A my mieszkamy pod Nowym Jorkiem.

Zatrzymali się przed zwrotnicą. Charlie widział czerwoną lampę ostrzegawczą skierowaną w głąb tunelu, przypominała nienawistne, krwawe oko.

Ciszę przerwał niespodziewanie niski pomruk jak zbliżający się grzmot. Z początku cichy, narastał równomiernie, aż osiągnął moc ryku, od którego aż się ziemia trzęsła.

Niezdarnie wyglądający, ogromny, staroświecki wózek kopalniany, tyle że połowę mniejszy od spotykanych w świecie ludzi, wypadł z przeciwległej ściany. Pchały go dwa gnomy, a trzeci ciągnął i zabezpieczał przód. Gnom na przedzie miał siwe włosy i brodę długości trzech stóp, która łopotiała za nim niczym proporzec.

Wózek zakręcił szaleńczo i wychylony pomknął po torach, grożąc przewróceniem się za każdym razem, gdy stykał się z ziemią. Wydawało się bowiem, że jakimś cudem płynie nad torami. Trzy gnomy miały na sobie brudne kombinezony, a na głowach kaski górnicze z karbidowymi lampkami. Sam wózek zaś wyładowany był błyszczącymi, nieobrobionymi jeszcze klejnotami, na których leżało coś, co przypominało staroświecką pralko-suszarkę. Gnom na przedzie zdążył pomachać do Charliego i jego towarzysza, zanim wózek zniknął w ścianie po ich stronie tunelu.

Jazgot toczącego się wagonika z wolna ucichł. Charliemu skojarzył się z dźwiękami, które wydawał jego kuchenny rozdrabniacz odpadków, gdy nie był w dobrym nastroju.

– No, to na co czekasz? Przystaw ją z powrotem!

– Co? – zapytał oszołomiony Charlie. – Znaczy się, że mogę?

– Tak. I lepiej się pospiesz, zanim zmienię zdanie.

Charlie, potykając się, podszedł do zwrotnicy i pchnął przełącznik manualny. Ruchomy element zwrotnicy przesunął się ociężale na miejsce, a światelko ostrzegawcze zmieniło kolor na uspokajającą zieleń. Na głównym pulpicie centrali również zapłonęło zielone światło.

– No! – rzekł Van Groot tak energicznie, że Charlie aż się wystraszył. – No, to teraz jesteś mi winien przysługę!

– Pewnie. Jasne. Znaczy się o co ci chodzi? – zapytał Charlie z obawą. Przed jego oczami pojawiły się wizje krwawych ofiar składanych diabłom.

– Muszę ci powiedzieć, że od jakiegoś czasu panuje tu na dole dość napięta atmosfera. To przez te drapacze chmur, które wyrastają jeden po drugim. A do tego jeszcze znów rozbudowujecie linie metra. Nie mam pojęcia, co się może zdarzyć w niedalekiej przyszłości. Któregoś dnia możecie dowiercić się prosto do jednego z naszych szybów i kolejny strajk gotów.

– Strajk?

– Chłopie, ty to dopiero jesteś wygadany. Cóż, sam pewnie wiesz, że gnomy nie słyną z łagodnego usposobienia. Gdy gnomy urządzają strajk, nie mają nic do roboty, więc biorą się za psoty. Ostatni strajk mieliśmy... Zaraz...

Wymamrotał datę, która w pierwszym momencie nie wywołała żadnych skojarzeń. Dopiero po chwili Charlie spojrział na gnoma i wykrzyknął:

– Hej, czy to nie ten tydzień, kiedy w całej północno-wschodniej części miasta nie było prądu?

– Cóż, sam pewnie dobrze wiesz, jak szybko rozprzestrzeniają się strajki. Chłopaki robiący pod Pittsburghiem i Bostonem dogadali się z kilkoma gnomami, które zajmują się elektrowniami, i... No i mieliśmy straszne zamieszanie! Aż szkoda gadać!

– Szkoda gadać? Boże, jeszcze parę dni bez prądu i...

Van Groot pokiwał głową z powagą.

– Otóż to. Kilku z nas w końcu przemówiło chłopakom do rozumu, odwołało się do ich poczucia moralności i dobrego serca, a gdy to nie zadziałało, podrzuciliśmy im alkohol. Pochlali się wzorowo, a tymczasem nasz sztab kryzysowy naprawił mnóstwo uszkodzeń.

– Nic dziwnego, że inżynierowie nigdy nie wpadli na to, co było przyczyną awarii.

– Och, wymyślili kilka wymówek, ale nie powstrzymało ich to przed przypisaniem sobie zasług za naprawienie szkód – powiedział Van Groot. – Lecz z drugiej strony kto by się spodziewał wdzięczności po ludziach?

– A zatem spodziewa się pan, że coś takiego znów może się przydarzyć? To byłoby straszne!

Gnom wzruszył ramionami.

– Wszystko zależy od punktu widzenia. – Ostrożnie strzepnął popiół z cygara. – W rzeczy samej, tak się składa, że ów nowy dodatek do twojego systemu...

– To nie jest mój system!

– Racja. Tak czy owak, mamy pewną zasobną kopalnię chryzoberylu i szmaragdów...

– Kopalnię szmaragdów!

– ...dokładnie pod skrzyżowaniem Szóstej Alei i Szesnastej Ulicy. Mówi ci to coś?

– Skądże, przecież... Zaraz, chwilkę. To przecież tam, gdzie... – Charlie wybałuszył oczy na Van Groota.

– Aha. Nowy tunel łączący Bronx z Manhattanem będzie przechodził dokładnie na południe od kopalni, ale to akurat problemu nie stanowi. Problemem jest nowa stacja ekspresowa, która ma zostać wybudowana...

– Dokładnie nad kopalnią – wyszeptał Charlie.

– Chłopaki są tym nieźle wkurzeni. Wiesz, czytamy tu „Timesa”. To niebezpieczna sytuacja, Dimsdale. Bardzo niebezpieczna. – Gnom spojrzał twardo na Charliego.

– Ale czego się pan po mnie spodziewa? Ja jestem tylko drugim asystentem podkomisarza do spraw konserwacji i napraw metra. Nie mam głosu w sprawach takich, jak lokalizacja stacji czy przebieg tras.

– To już nie jest mój problem – rzekł Van Groot.

– Ale przecież... Ale przecież niedługo będą podkładać ładunki, żeby zrobić miejsce na stację... Na Boga, to już pojutrze!

– Takie też słuchy mnie doszły – westchnął Van Groot. – Kiepska sprawa. Nie mam pojęcia, jak to się tym razem skończy. Pojawiły się plotki o sojuszu z gnomami z Vermont i New Hampshire. Planuje się, żeby nalać syropu klonowego do wszystkich kabli telefonicznych i przekaźników między Great Neck i Ottawą. Lepka sytuacja, mówię ci!

– Ale przecież nie możecie...

Van Groot spojrzał na Charliego wzrokiem naukowca badającego szczególnie gatunek dżdżownicy.

– Tak, możecie – zrozumiał Charlie.

– O, już lepiej – rzekł Van Groot. – Posłuchaj, zrobię wszystko, co w mojej mocy. Nie apróbuję metod moich chłopaków, ale rozumiem ich sentymenty. Znaleźli tam pewnego razu szmaragd, który był... – urwał. – Daję ci dwadzieścia cztery godziny. Jutro o północy bierzemy się do dzieła.

– Dlaczego o północy? – zapytał Charlie mało inteligentnie.

– To tradycja. Jeśli uda ci się coś zdziałać, spotkamy się tu na dole. Jeśli nie, idź do diabła.

– Proszę posłuchać, przecież powiedziałem panu, że jestem jedynie drugim asystentem...

– Pamiętam. Nie obwiniaj mnie za swoją niedoskonałość. To twój problem, nie mój.

– Ale jutro jest sobota! W sobotę zawsze dzwonię do mamy w Greenville! Jeśli pozalepiacie łącza telefoniczne, to nie będę w stanie tego zrobić!

– Prezes rady General Computers, który zazwyczaj w niedzielne poranki dzwoni do swojej pani w Genewie, będzie miał ten sam problem – rzekł Van Groot. – To będzie bardzo demokratyczny kryzys. Nie zapomnij, jutro o północy.

Wydmuchując potężne kłęby dymu i całkowicie ignorując błagania Charliego, gnom kierownik zniknął w ścianie tunelu.

* * *

Poranek był chłodny, lecz nie padało. W sobotnie poranki Charlie zazwyczaj w pierwszej kolejności udawał się do Muzeum Historii Naturalnej, a potem szedł do Guggenheim, by zobaczyć, czy w ciągu tygodnia pojawiło się coś nowego. Stamtąd wybierał się do Village, gdzie składał krótką wizytę w księgarni Heimackers Acres of Books. Następnie udawał się do domu i fundował sobie jakiś droższy obiad z mikrofalówki zamiast zwykłego smażonego kurczaka czy steku po szwajcarsku, a wieczorem szedł do kina lub na koncert.

Tego dnia jednakże jego rutyna uległa znaczącym zmianom. Udał się do muzeum jak zwykle, ale nie sprawiło mu to żadnej przyjemności. Nawet przyglądanie się dżubankom północno-zachodnich Indian nie podekscytowało go tak jak zwykle. Nie umiał już wyobrazić sobie, jak czai się na dziobie z uniesionym harpunem, gotów rzucić nim w wieloryba. Przed oczami otworzyła mu się inna wizja, w której widział siebie skulonego na rufie, wiosłującego z rozpaczą, by uciec przed hordami wściekłych gnomów, ścigających go w łodziach z kory brzozy. Gdy zaś patrzył na imponujący jak zwykle szkielet tyranozaura i w szczerzącej zęby czaszce dopatrywał się podobieństwa do skwaszonej gęby podkomisarza Broadhare'a, uzmysłowił sobie, że czas wyjść.

Ułożył w głowie treść przemówienia. Postanowił, że wejdzie prosto do biura komisarza Feely'ego, stanowczy i przeświadczony o własnej racji, i powie: „Niech pan posłucha, Feely. Będzie pan musiał przesunąć tę nową stację pod Szóstą Aleją na południową stronę torów, bo w przeciwnym razie gnomy zniszczą naszą sieć telefoniczną syropem klonowym i...”.

Charlie jęknął.

Wciąż jęcząc i potykając się o własne nogi, wyszedł z muzeum. Kamienne lwy strzegące frontowych drzwi odprowadziły go wzrokiem. Z przyzwyczajenia skierował się do Guggenheim, ale nagle uświadomił sobie, że bez celu włóczy się po Central Parku.

Zastanowił się raz jeszcze. Mógł włamać się do biura planowania i spalić projekty stacji. Nie, to na nic. Z pewnością zrobiono wiele kopii. Sam przecież musiał wypełnić trzy formularze, by otrzymać pudełko spinaczy.

Mógł wkraść się na miejsce budowy stacji i spróbować dokonać sabotażu na maszynach, co na pewno opóźniłoby prace. Problem jednak w tym, że Charlie nie znał się na tyle na maszynach, by mieć pewność, iż trwale wyłączy je z akcji. Nigdy nie interesował się specjalnie maszynami. W rzeczy samej, z techniki w szkole

ledwie wyciągał oceny pozytywne. Obojętnie, co sobie umyślił, zawsze wychodził mu stojak na chusteczki.

A może zorganizować na placu budowy wiec poparcia dla przyjęcia nacjonalistycznych Chin do ONZ? Takie pomysły zawsze przyciągały hałaśliwe, kłótniwe tłumy. Być może protestujący sami z siebie zniszczyliby maszyny? Charlie miał przyjaciela, który kręcił się przy John Birch Society i mógłby... Ale zaraz, to też nie wypali. Trudno przecież, żeby prawicowi radykałowie próbowali zatrzymać jakąkolwiek budowę.

Poza tym wszystkie jego pomysły, gdyby wypaliły, nie rozwiązałyby problemu, a jedynie go odwlekły. Co więcej, każdy mógł się skończyć dla Charliego więzieniem, co urządziło go jeszcze mniej od utraty szansy na cotygodniową niedzielną pogawędkę telefoniczną z mamą w Greenville.

Nadeszła pora obiadowa, a on wciąż nie wpadł na żaden pomysł. O otaczającym go świecie przypomniał sobie, dopiero gdy uświadomił sobie, że odgrzewana cielęcina *cordon bleu* zaczyna się przypalać. Po niewielkim salonie rozszedł się lekki swąd. Mało zachęcające rezultaty jego działań kulinarnych bynajmniej nie poprawiły Charliemu nastroju, zwłaszcza że od dłuższego czasu nastrój ten graniczył z rozpaczą.

A potem Charlie zrobił rzecz niezwykłą, wręcz niesłychaną. Otworzył kredens i zabrał się do poszukiwań. Wniknął głęboko w trzewia szafy, brnął coraz głębiej i głębiej, przedostał się za mur niezliczonych puszek z orzeszkami Mr Planters, odsunął na bok shaker, którego nie używał od czasu zakupu trzy lata temu, przebił się przez rzeczy, o których lepiej nie mówić, aż natrafił na psi włos.

Alkohol, którego butelki zawsze przyrównywał do psów, odgrywał w życiu Charliego niewielką rolę. Pijał tylko w towarzystwie, co miało miejsce najczęściej na oficjalnych przyjęciach firmowych, ale teraz był przekonany, że kilka łyków wyostri jego koncept. Wyglądało na to, że staremu Agentowi x-14, którego przygody oglądał w każdy piątkowy wieczór na kanale trzecim, alkohol w małych ilościach pomaga w myśleniu. Charlie popijał więc powoli i ostrożnie, dla urozmaicenia zmieniając butelki. Psy okazały się przyjazne, w rzeczy samej, z początku ciepłe i puszyste niczym maltańczyk, by wkrótce upodobnić się do zabawnych, wesołych bernardynów, a później młodzieniec osiągnął stan, w którym wymyślanie dalszych analogii było już niemożliwe.

Tak naprawdę Charlie nie zamierzał się upić, ale okazało się to nieuniknionym efektem ubocznym jego niecodziennego pomysłu. Wypił swój zapas w nieprzyzwoicie szybkim tempie.

Zarzucił na ramiona płaszcz przeciwdeszczowy. „Co prawda nie pada, ale ktoś tam może wiedzieć”, pomyślał wojowniczo i wyruszył na poszukiwanie kolejnych ras. Całe szczęście, że nie skierował się do schroniska dla zwierząt.

Po drodze miał szczęście i nieszczęście natknąć się w korytarzu na pannę Overshade, która zajmowała mieszkanie naprzeciwko Charliego, po tej dobrej stronie budynku. Była kimś w rodzaju lokalnej sławy, gdyż zapowiadała pogodę w porannym dzienniku na kanale ósmym. Kiedyś nawet została wybrana Miss Szelfu

Kontynentalnego przez Zarząd Portu Miasta Nowy Jork, a w chwili obecnej piastowała tytuł Miss Obszaru Wysokiego Ciśnienia, przyznany przez Nowojorską Radę Meteorologiczną.

W rzeczy samej wyglądała, jakby składała się ze szczególnie estetycznie dobranych cumulusów. Dostrzegła Charliego, a przynajmniej tak się wydawało.

– Dobry wieczór, panie... eee... Panie...

– Dimsdale – wymamrotał Charlie. – Dimsdale.

– Tak, oczywiście! Jak się pan miewa, panie Dimsdale? – rzuciła głośno, jakby starała się przekrzyczeć monsun, i znikła w drzwiach swego mieszkania, nie zatrzymując się ani na chwilę. Gdyby Charlie znajdował się na skraju straszliwej śmierci, nawet by tego nie zauważyła.

„Dla niej równie dobrze mógłbym być... Mógłbym być gnomem”, pomyślał Charlie i popędził w dół po schodach, śmiertelnie urażając tym windę.

* * *

Punktualnie o siódmej Charlie przyglądał się urokom pewnego starego i bynajmniej nie szacownego przybytku noszącego nazwę „Bar Wielkiego Swacka”. W chwili obecnej znajdował się w stanie rozkosznego upojenia, w którym piekło od nirwany oddzielała bardzo wąska granica. Jak dotąd, nirwana przeważała.

Rozważał właśnie pewną myśl, którą podsunęło mu jedno ze stwierdzeń Van Groota. Marszczył brwi, obracał w głowie pomysł, szukał w nim luk bądź pułapek, usiłował go przejrzeć i przeniknąć, a pomysł wił się, płonął, próbował umknąć. Charlie zachowywał ostrożność, ponieważ tej nocy widział już rzeczy, które nie były prawdziwe, ale jego pomysł wydawał się istnieć naprawdę.

Wyszedł tak szybko, że zapomniał nawet zabrać resztę za ostatniego drinka, co tak zdziwiło Wielkiego Swacka, który tak naprawdę nazywał się Hochmeister, że od tej chwili długo o niczym innym nie mówił.

* * *

– Jonson, Jonson! Bill Jonson! – Charlie walił chaotycznie w drzwi.

Bill Jonson był młodym geologiem o piaskowych włosach i podobnej cerze, który od czasu do czasu zjadał z Charliem mizerną kanapkę w równie mizernym barku Zarządu Metra. Od razu zauważył, że jego kolega nie jest tym samym niewyraźnym i nieciekawym człowiekiem co zawsze. Od razu zauważył zmianę.

– Charlie? Co się, u licha, z tobą dzieje?

W drodze do mieszkania kolegi Charlie zdążył już w miarę dojść do siebie. Starczyło mu bowiem rozumu, by wypić trzy płyny trzeźwiące sober-up i popić je kolejno wodą, połową pepsi i napojem pomarańczowym słodkim do tego stopnia, że byłby w stanie zniszczyć każdy szanujący się ząb trzonowy w przeciągu miesiąca. W efekcie owych zabiegów umysł Charliego oczyścił się kosztem żołądka, który zaczynał się robić niebezpiecznie ciężki.

– Posłuchaj, Bill, czy możesz przeprowadzić jakiś... jakieś sondowanie, odczyt,

no, sam wiesz! Żeby ustalić, czy w ziemi jest coś szczególnego! Na przykład wielka pusta jama?

– Wyczuwam w pobliżu wielką pustą jamę, bynajmniej nie w ziemi. Może byś przyszedł z tym jutro, co, Charlie? Nie jestem sam, rozumiesz chyba?

Przy tych słowach spróbował ni to uśmiechnąć się, ni to mrugnąć, przez co przez moment przypominał człowieka cierpiącego na atak galopującej kolki.

– Bill, musisz zrobić to sondowanie! Proszę, możesz się tym zająć? Wydaje mi się, że kiedyś o tym mówiłeś! Posłuch... hyp! mnie, człowieku! To ważne! Pomyśl tylko o sieciach telefonicznych!

– Dziękuję, może innym razem. Dwa dni temu dostałem rachunek. Charlie, bądź dobrym człowiekiem i zmykaj. To na pewno może poczekać do poniedziałku, a ja mam towarzystwo.

– Po prostu daj mi odpowiedź! – Charlie był zdesperowany. – Możesz coś takiego zrobić?

– Chodzi ci o test podłoża? Taki, jakie wykonuję dla Zarządu Metra?

– Tak! Właśnie o taki! – Charlie niemal tańczył podekscytowany, przez co Bill bynajmniej nie zaczął go postrzegać z większą życzliwością. – Musisz dla mnie jeden zrobić!

– Odczyt? Jesteś pijany!

– Skądże znowu!

– To dlaczego niby znosi cię teraz na lewo?

– Bo zawsze byłem liberałem. Posłuchaj, kojarzysz tę nową stację, którą zaplanowano dla rozbudowanej linii między Bronksem i Manhattanem? Tę na skrzyżowaniu Szóstej i Szesnastej?

– Słyszałem o niej. Ale to bardziej twoja działka niż moja.

– Nie do końca. Musisz zejść na dół i wykonać odczyt! I to teraz, zaraz! Ja... Ja mam powody przypuszczać, że ziemia w tym miejscu jest niestabilna.

– Jesteś nienormalny. Nie ma niestabilnych gruntów w całym Manhattanie, chyba że masz na myśli kilka knajp w Village. Wszędzie mamy twarde granit. A tak na marginesie, wiesz, która godzina? – Bill spojrzał znacząco na swój zegarek. – Boże, już prawie ósma trzydzieści!

Ta mało subtelna uwaga nie wywarła na Charliem zamierzonego efektu.

– Boże! – powtórzył, patrząc mniej więcej tam, gdzie powinien się znajdować jego własny zegarek. – Już prawie ósma trzydzieści! Musimy się spieszyć! Mamy czas tylko do dwunastej!

– Ja zaś zaczynam myśleć, że zostało ci go jeszcze mniej – rzekł Bill.

– Z kim rozmawiasz? – odezwał się słodki głos zza drzwi.

– Kto to? – zapytał Charlie, próbując zerknąć nad ramieniem kolegi.

– Telewizor. Posłuchaj, idź teraz do domu, a ja zrobię wszystko, czego ode mnie żądasz, ale w poniedziałek, dobra? Proszę?

– Bzdura, Bill – słodki głos zabrzmiał ponownie i drzwi otworzyły się szerzej. Za młodym geologiem ukazała się dziewczyna w obcisłych spodniach i swetrze. – Może zaprosisz swojego przyjaciela do środka, co? Jak miałeś na imię? Charlie, tak?

– Wciąż mam – odparł Charlie.
– Nie przychodzi mi do głowy ani jeden sensowny powód – rzekł Bill tonem, którym zapewne mógłby garbować świeżą skórę. Z wielką niechęcią otworzył drzwi i Charlie wślizgnął się do wnętrza.
– Cześć! Mam na imię Abigail! – zaćwierkała dziewczyna.
– Abigail? – zapytał Charlie z niedowierzaniem.
– Abigail – odparł Bill, kiwając powoli głową.
– A ja mam na imię Charlie – rzekł Charlie.
– Wiem.
– Serio? Spotkaliśmy się już?
– Przejdź do sedna – uciał Bill.
– Abigail, pomóż! Muszę wykorzystać bezdenną studnię wiedzy naukowej Billa w przedsięwzięciu, które ma kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa miasta Nowy Jork!

Oczy Abigail otworzyły się szeroko. Oczy Billa zaśniły stałą, niczym pociski dum–dum.

– Mam powody, żeby uważać – ciągnął Charlie konspiracyjnym tonem – że ziemia między Szóstą Aleją a Szesnąstą Ulicą jest niestabilna. Jeśli nie zostanie to dowiedzione dzisiaj, ludzkie życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Najpierw jednak muszę podeprzeć moją teorię fak... faktami!

– Nie przeklinaj. Rany, to fantastyczne! Czy to nie fantastyczne, Bill?
– Jasne – odparł Bill. Doprawdy niewiele brakowało, by dostarczył Abigail kolejnych fantastycznych doznań, dusząc kolegę na jej zafascynowanych oczach.

Charlie zaczął myszkować po salonie, jego oczy strzelały na prawo i lewo.

– Nie stój tak, Bill! Musimy zebrać twój sprzęt! I to szybko! Co ty na to, Abigail?
– Och, tak! Szybciej, Bill! Szybciej, do roboty!
– Jasne – wymamrotał geolog przez zaciśnięte zęby. – Wezmę tylko czapkę i płaszcz. Pada? – Obrzucił kolegę jeszcze jednym niechętnym spojrzeniem.
– Czy pada? – odparł pytaniem Charlie, który na czworakach zaglądał pod kanapę. – Na głowę ci padło? Oczywiście, że nie! Skąd ten pomysł?
– Ja tak tylko. Nie wiem, skąd mi to do głowy przyszło.

* * *

Skrzyżowanie między Szóstą Aleją i Szesnąstą Ulicą nie należy do bardzo zakorkowanych miejsc, zwłaszcza w sobotę późnym wieczorem, tym bardziej że częściowo zostało zablokowane przez ogromne maszyny budowlane. Do najciemniejszych zakątków w mieście również się nie zaliczało. Żule pochowani w swoich przytulnych kąciach nie stanowili większego problemu, ale w pobliżu kręciło się tylu przechodniów, że Bill, obciążony wielką walizką, czuł się niepewnie i na widoku.

– A dlaczego nie możemy wejść tam? – zapytał, wskazując skupisko ciężkich koparek.
– Ponieważ teren budowy otoczony jest trzymetrową drucianą siatką z trzema

zędami drutu kolczastego, z potrójnym alarmem przy bramach, a od środka pilnowany jest przez paskudne psy z długimi kłami. Dlatego.

– Och – rzekł Bill.

– A czy nie można tego zrobić tu i teraz? – zapytała Abigail.

– Właśnie, przecież nie masz chyba zamiaru spowodować jakiejś potężnej eksplozji, co? – wypalił Charlie.

Nadal wyrażał się zrozumiale, ale efekt trzech wypitych sober-upów zaczynał z wolna wygasać, przez co Charlie mówił głośniejszym głosem niż zwykle. W ten oto sposób słowo „eksplozja” zadziało tak, jak powinno, i przegnało kilka par przechodniów na drugą stronę ulicy, dzięki czemu teren się oczyścił.

– A mógłbyś się powstrzymać od wrzasków na temat eksplozji? – szepnęła Bill. – Chcesz, żebyśmy wylądowali za kratkami?

Obrócił się, by przyjrzeć się drewnianemu płotowi, który zagrażał drogę.

– Na pewno jest tu jakaś luźna deska albo furka. Nie myśl jednak, że gdy dostaniemy się do środka, zrobię wszystko, co sobie wymyślię. Wykonam najkrótszy odczyt z możliwych i basta!

W końcu odnaleźli deskę, którą można było poruszyć. Bill i Charlie zasłonili ją plecami, a Abigail wślizgnęła się na budowę. Za nią wskoczył Charlie, a potem Bill, przepchnąwszy uprzednio walizkę przez szparę. We trójkę stanęli na pustym parkingu.

– Och, czy to nie jest ekscytujące? – szepnęła Abigail.

– W istocie, to jedna z najbardziej ekscytujących nocy w moim życiu – warknął Bill, który już dawno pogodził się z tym, że jedynym sposobem pozbycia się kolegi, nie licząc morderstwa, jest jak najszybsze zakończenie tej idiotycznej eskapady.

– Tylko bądźmy gotowi, żeby uciec stąd jak najszybciej, dobra? Nie mam ochoty tłumaczyć się przed żadnym z miejskich decydentów, dlaczego wykonuję pomiary sejsmiczne na opuszczonym parkingu o dziewiątej w sobotni wieczór.

– To już tak późno? – krzyknął Charlie, który zapomniał o wcześniejszych przestrożach, by zachował ciszę. – No to szybciej! Szybciej!

– Dobra, tylko się zamknij! – jęknął nerwowo Bill. Charlie zamilkł i wraz z Abigail przyglądali się, jak geolog wykopuje za pomocą saperki niewielką dziurę. Następnie wyciągnął coś z walizki i wsunął do otworu, a potem zasypał go ziemią, przyklepując łopatą. Wrócił do towarzyszy, rozwijając dwa cienkie druty.

– To naprawdę ekscytujące – oznajmiła Abigail. Bill obrzucił ją spojrzeniem pełnym cierpienia, a Charlie niemalże podskoczył z niecierpliwości.

Bill wcisnął przycisk na drobnym urządzeniu, z którego wychodziły oba druty. Rozległ się stłumiony łoskot i ciepłe powietrze nowojorskiej nocy przeszyły wyrzucone eksplozją grudy ziemi, lądując kilkanaście metrów dalej. Tuż obok upadł but i kilka dawno opróżnionych puszek po tuńczykach.

– No i? – zapytał Charlie. Ponowił pytanie kilka razy, aż uświadomił sobie, że Bill, który miał na uszach słuchawki, nie słyszy nikogo ani niczego. Poklepał go więc po ramieniu.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Za długo – odparł Bill, wpatrując się bezmyślnie w Abigail, która przyglądała się miniaturowemu kraterowi. – Była to bardzo mała eksplozja. Muszę dwukrotnie wzmocnić odczyt, a potem poczekać na odpowiedni wydruk z komputera. Godzina, może dwie.

– Ale to przecież zbyt długo! – jęknął żałośnie Charlie.

– Bardzo–mi–przykro! – wycedził Bill, którego cierpliwość z wolna się kończyła.

– Cóż, w porządku, ale pośpiesz się, dobra?

Bill zmełł w ustach przekleństwo.

* * *

– Własnym oczom nie wierzę! – zawołał ze zdumieniem młody geolog.

– Co się dzieje? – zapytała Abigail. – Co się stało?

Bill odwrócił się powoli od instrumentów i spojrzał na Charliego.

– Miałeś rację. Ty sukinsynu, miałeś rację! Nie mogę w to uwierzyć, ale rzeczywiście, grunt jest niestabilny! Jezu, przecież tam jest cała jaskinia!

– Będzie miała wpływ na tunel?

– Nie, na sam tunel nie, ale lokalizowanie tam stacji... Mogłaby się zawalić przecznica. A co do kruszenia skał materiałami wybuchowymi, nie mam pojęcia, czym by się to zakończyło. Nie sądzę, żeby ktokolwiek został poszkodowany, ale zwiększone koszty... Tak, żeby zapewnić bezpieczeństwo dla operatorów dźwigów i całej reszty...

– Tak, to komplikuje sytuację – rzekł Charlie. – Słuchajcie, która jest godzina?

– Coś koło za dwadzieścia dwunasta – odparł Bill, zerknąwszy na zegarek.

Charlie spojrzał z niedowierzaniem na własny.

– Na Boga, rzeczywiście! Za dwadzieścia dwunasta! Muszę lecieć! Zobaczymy się niebawem, Bill!

– Nie sądzę – mruknął geolog.

– I dzięki, tysiącrotne dzięki! Przekażesz te wyniki do biura komisarza, dobrze?

– Tak, jasne! – wykrzyknął Bill, gdy jego kolega prześlizgnął się przez dziurę w płocie. Nie było właściwie powodów, dla których nie miałyby tego robić. Mógł się spodziewać pochwał za przezorność i umiejętność wykrycia niebezpiecznego rejonu, może nawet artykułu w gazecie czy czasopiśmie. Zasłużył sobie po tym, przez co przeszedł tego wieczoru.

– No, nie bądź taki zgorzkniały – szepnęła Abigail, całując go to tu, to tam. – Byłeś wspaniały! Przecież to wcale nie było takie trudne. Poza tym doskonale się bawiłam. Wreszcie trafiło się coś nowego. Nigdy wcześniej nie zapraszano mnie na pomiary sejsmiczne.

Bill skrzywił się i zmrużył oczy, gdy padło na nie ostre światło.

– I będziesz też pierwszą dziewczyną, którą z tego powodu aresztowano – westchnął, odwzajemniając pocałunek.

* * *

– Van Groot! Hej, Van Groot! – Charlie miał wrażenie, że godzinami biegnie przez ciemne tunele, potykając się i obijając o ściany. To przemierzał chodniki, to zeskakiwał i pędził po torach, nie pamiętając, że lada chwila z ciemności mógł z rykiem wypaść pociąg i rozgnieść go niczym robaka. – Hej, gnomie! Gnomie!

Nie, to zabrzmiało jeszcze gorzej. Gdyby wpadł na któregoś z nocnych inspektorów, może wyłgałby się jakoś z „Van Groot!”. Nie sądził jednak, by dał radę wymyślić łgarstwo uzasadniające nawoływanie za gnomami.

Dałby radę? Co, udałoby mu się?

– De Puyster! – rozległ się znajomy głos. – Przestań wrzeszczeć! Dobrze cię słyszę.

– Van Groot! Wreszcie pana znalazłem!

– Eureka – odparł oschle gnom. – Byłbym doprawdy szczerze zmartwiony, gdybyś mnie znalazł, a ja okazałbym się kimś innym.

Tego wieczoru gnom administrator miał na sobie błękitną kurtkę z połyskliwej skóry. W miejscu beretu nosił spizowo-niebieski turban, a z kieszeni marynarki wystawała złocista jedwabna chustka, pasująca do złocistych butów ze skóry bawołu.

– No i?

Charlie nie mógł złapać tchu. Nagle uświadomił sobie, że styl życia oparty na chwiejnej równowadze między pijaństwem i wysiłkiem fizycznym, który to wdrożył tej nocy, nie służy mu równie dobrze jak dieta złożona z herbatników w czekoladzie i ciasteczek.

– Wszystko gra! Wszystko będzie dobrze! Może pan przekazać swoim krewniakom z północy, żeby lepiej zapomnieli o syropie klonowym i żeby dali sobie spokój z wysadzaniem miejskich elektrowni! Waszej kopalni nie stanie się krzywda.

– O, to dopiero wesołe wieści! – rzekł Van Groot. – Jak zdołałeś tego dokonać? Przyznaję, że nie pokładałem w tobie zbyt wielu nadziei.

– Mój... mój kolega przedstawi odpowiednie dowody Komisji Planowania Metra, które przekonają ją, że obszar, w którym miałyby się znaleźć stacja, jest niestabilny. Nie nadaje się do prowadzenia wykopów. Komisja zaś będzie wolała przenieść stację na południową stronę tunelu, niż wydać na budowę choćby pięć dolców więcej. Żeby uzyskać dowody, postanowiłem po prostu wykorzystać waszą kopalnię, a nie udawać, że jej tam nie ma. Oczywiście nikt się nie dowiedział, że to kopalnia.

– Wykonaliście badania sejsmiczne?

– Aha. Skąd pan wiedział?

– To logiczne. Trzech najlepszych z moich górników skarżyło się tego wieczoru na migrenę.

– Przykro mi.

– Nie przejmuj się. Nie zaszkodzi im. – Van Groot zachichotał z satysfakcją.

– Tak czy owak – ciągnął Charlie – Zarządu Metra Miasta Nowy Jork nic by nie powstrzymało, ani ludzkie życie, ani też czas czy trudności, ale pieniądze... Tak, myślę, że wasza kopalnia jest bezpieczna.

– Tak jak wasze linie telefoniczne. Prezesa rady General Computers również.

– To będzie i tak stacja ekspresowa. Nie powinien się pan nią przejmować – dodał Charlie. Z każdą chwilą czuł się gorzej, zarówno żołądek, jak i głowa dawały o sobie znać.

– Znakomicie ci poszło, w rzeczy samej, chłopcze. Jestem zaskoczony. Minęło wiele czasu, odkąd człowiek wyświadczył przysługę gnomom.

– Jasne. Założę się, że sam pan ustawił to wszystko. Poza tym, jeśli mam być całkiem szczerzy, nie zrobiłem tego dla pana. Nie zrobiłem tego również dla siebie! Ja... – Charlie wyprostował się nagle z dumą i patriotycznym uniesieniem. – Ja zrobiłem to dla firm telekomunikacyjnych!

Z trudem powstrzymał się od salutów.

– Bravo! Szkoda, że nie mogę cię niczym nagrodzić. Może chociaż jakiś drobiazg na pamiątkę... Fajna korona raczej ci się nie przyda, co?

– Obawiam się, że nie. Przynajmniej w tym miesiącu nie spodziewam się koronacji. Mam bowiem zamiar zostać abstynentem.

– Wielka szkoda. No dobra, zatrzymaj więc to.

– Dobra – powiedział przyjaźnie Charlie, a gnom wcisnął mu coś do kieszeni płaszczka przeciwdeszczowego. – No to do zobaczenia, Veen Grat! Miło było pana poznać. Proszę do mnie kiedyś wpaść! Gin będzie... będzie czekał!

– W sumie czemu nie? – odpowiedział Van Groot. – Wpadnę którejs nocy. Dżina wezmę własnego.

Charlie był już w połowie tunelu, gdy nagle stanął jak wryty, porażony nową myślą.

– Hej, Van Greet! – zawołał.

– Tak? – słabo słyszalny głos gnoma wypłynął z ciemności.

– Co ja od pana dostałem?

– Co? No, pierścień Flagana, rzecz jasna.

* * *

Rozmyślając o zdarzeniach tej nocy, Charlie zaczął chichotać. Chichotał, chichotał, nie mógł się uspokoić. Bo przecież nie było z czego się śmiać. To odkrycie sprawiło, że spoważniał i zdenerwował się, a chichot sam ucichł. Młodzieniec już miał powrócić do symbiotycznego związku ze swoim materacem, gdy ktoś zapukał do drzwi. Charlie czekał, ale pukanie nie ustawało, stawało się tylko bardziej natarczywe.

Przeklinając pod nosem, poczłapał do drzwi i wyjrzał przez judasza – nikt przecież nie jest tak głupi, by bez namysłu otwierać drzwi o drugiej nad ranem w Nowym Jorku. Niespodziewanie uświadomił sobie, że najprawdopodobniej udał się spać parę godzin wcześniej, a teraz po prostu śni. Drzwi jednak otworzył.

Stała za nimi Miss Obszaru Wysokiego Ciśnienia.

Spod szlafrocza widać było podomkę z siatki o oczkach tak dużych, że żaden szanujący się pająk nigdy by się do niej nie przyznał. Jej cumulusy były niepokojąco zauważalne.

– Czy mogłabym wejść, panie... Eee...

– Dimsdale – wymamrotał Charlie. – Charlie Dimsdale.

Cofnął się o dwa kroki, ale nie puścił przy tym klamki, przez co drzwi otworzyły się szerzej.

Miss Obszaru Wysokiego Ciśnienia przestąpiła próg. Poły jej szlafroka rozchyliły się jeszcze bardziej. Oczy Charliego również. Wprost proporcjonalnie.

– Pewnie sobie pan pomyśli, że jestem okropna – co było oczywiście rażącą nieprawdą – ale...

Wpatrywała się w niego jak żadna kobieta wcześniej.

– Nie potrafię tak naprawdę... Nie potrafię tego wyjaśnić. Ale, cóż... Gdyby mógł pan po prostu...

Podeszła szybko i zarzuciła mu ramiona na szyję. Jak na kogoś, kto już dawno wyszedł z wprawy, Charlie zareagował właściwie. Panna Overshade wyszeptała mu do ucha coś, co nie było raportem pogodowym.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała miękko. – Mój chłopak myśli, że jestem w Genewie.

Charlie wprowadził ją więc do mieszkania i zatrzasnął kopnięciem drzwi. Nie miał zamiaru lekceważyć jej słów.

Wreszcie poznał sekret pierścienia Flagana.

L. Sprague de Camp

Choć Władca Pierścieni bez wątpienia również ma z tym wiele wspólnego, nie będzie wielką przesadą, jeśli powiem, że współczesny nawrót zainteresowania literaturą fantasy sporo zawdzięcza L. Sprague'owi de Campowi (ur. 1907r.). Karierę twórcy fantastyki rozpoczął, pisząc opowiadania dla legendarnego czasopisma „Unknown” Johna W. Campbella w latach czterdziestych ubiegłego wieku. To na tych łamach ukazały się drukiem jego opowiadania o Haroldzie Shea (napisane wraz z Fletcherem Pratterem), później zebrane w antologii The Incomplete Enchanter (1941), oraz inne. De Camp redagował również i poprawiał wiele z opowiadań o Conanie Barbarzyńcy Roberta E. Howarda, przyczyniając się do powstania pierwszej serii o Conanie. Wiele z solowych prac de Campa napisanych zostało w duchu komediowego fantasy, a z tych gorąco poleciłbym The Goblin Tower (1968), The Clocks of Iraz (1971), The Unbeheaded King (1980), The Fallible Friend (1975), The Incorporated Knight (1987), The Pixillated Princess (1991) oraz The Purple Pterodactyls (1979). Ostatnia pozycja to zbiór „przygód W. Wilsona Newbury'ego, zaczarowanego finansisty”. Poniższe opowiadanie jest jedną z najwcześniejszych historii fantastycznych, które już dawno zasłużyło na wskrzeszenie.

L. Sprague de Camp **OKO TANDYLII**

Pewnego dnia – a było to tak dawno temu, że w międzyczasie góry zdążyły się wypiętrzyć, a wokół nich wyrosły miasta – Derezong Taash, czarodziej służący królowi Vuarowi Kapryśnemu, zasiadł w swej bibliotece, czytając *Zebrane Fragmenty* Lontanga i popijając zielone wino z Zhysk. Był spokojny, pogodzony ze sobą i z całym światem, gdyż od jakichś dziesięciu dni nikt nie próbował go zabić, ani na naturalne sposoby, ani na żadne inne. Gdy zmęczył się rozgryzaniem tajemniczych glifów, Derezong spoglądał znad krawędzi naczynia na parawan, na którym wielki Shuazid (zanim król nie obraził się na niego) uwiecznił demoniczną stadninę Vuara, od najmniejszych duszków powolnych jego wezwaniu aż po straszliwego Feranzota.

Poznawszy Derezonga, można było zacząć się zastanawiać, dlaczego choćby duszkom chce się przybywać na jego wezwanie. Derezong Taash był bowiem pucułowatym małym człowieczkiem (małym jak na Lorskanina, ma się rozumieć), a jego okrągłą młodą twarz okalały jasne kosmyki. Poddając się kuracji zompur, czarodziej zapomniał bowiem wymienić włosy na tych częściach ciała, które miały zachować wieczną młodość, co dało jego kolegom po fachu powód do wielu rubasznym żartów.

W takiej oto chwili Derezong Taash, uznawszy, że jest należycie pijany, postanowił dźwignąć pulchne cielsko z fotela, na którym czytał, i poczłapać na obiad ze swoim pomocnikiem Zhamelem Sehem. Czarodziej miał wielu wrogów, dlatego w ramach środków ostrożności jedzenie podawało mu czterech spośród jego własnych synów, a Zhamel Seh kosztował potrawy jako pierwszy, co stanowiło kolejne zabezpieczenie. Po wypiciu kilku dzbanów wina Derezong wybierał trzy spośród swoich najpiękniejszych konkubin i zataczając się, szedł do łóżka. Nieszkodliwe przyzwyczajenie, można by rzec. W rzeczy samej, Derezong Taash już dawno dokonał wyboru trójki konkubin, pozostawało mu tylko wyznaczyć ich kolejność.

Potem rozległo się pukanie do drzwi, a po nim głos najbardziej bezczelnego z królewskich paziów:

- O wielki czarodzieju, król życzy sobie natychmiast cię ujrzeć.
- O co chodzi? – burknął niechętnie Derezong Taash.
- A czy ja wiem, gdzie bociany odlatują zimą? Czy zostałem wtajemniczony w sekrety żywych trupów z Sedo? Czy Północny Wiatr zdradził mi w zaufaniu, co znajduje się za murami Riphai?
- Pewnie nie – ziewnął Derezong i poczłapał do władcy. Zerknął tylko, by się upewnić, czy Zhamel idzie za nim. Nawet w korytarzach pałacu królewskiego czarodziej obawiał się skrytobójczego ciosu nożem w plecy.

Światło lampy załśniło na łysym łbie króla Vuara, gdy spojrzał na Derezonga Taasha spod ciężkich, krzaczastych brwi. Władca siedział na tronie w sali audiencyjnej, a nad nim wisiał na ścianie myśliwski róg wielkiego króla Zynaha, Vuarowego ojca.

Na drugim tronie zasiadała Ilepro z Lotoru, ulubiona konkubina królewska. Była pękatą Lotryjką w średnim wieku, kudłatą i włochatą, i nikt nie wiedział, co król w niej widział. Być może, osiągnąwszy wiek średni, znudził się urodą i szukał podniety w jej przeciwieństwach. Być może też po tym jak Wielki Wódz Lotoru, Konesp, właściwie zmusił Vuara do poślubienia swej świeżo owdowiałej siostry – jej mąż zginął w wypadku na polowaniu – monarcha po prostu się w niej zakochał.

Albo też za tymi osobliwymi zdarzeniami należało się dopatrywać machinacji kapłana–czarownika Lotoru. Tylko czarna magia lub inna równie potężna moc mogłaby bowiem wyjaśnić to, że król Vuar uczynił młodego syna Ilepro swoim dziedzicem, o ile zataczająca coraz szersze kręgi plotka była prawdziwa. Derezong poczuł ogromną wdzięczność, widząc, że młodziana nie było w pobliżu, choć wokół stóp Ilepro zasiadały cztery inne Lotryjki, okryte bujnymi futrami.

Derezong był pewien, że na jego oczach rozgrywa się coś, czego nie rozumiał, wiedział też, że gdy w końcu zrozumie, o co chodzi, wcale bardziej mu się to nie spodoba. Pomimo obowiązującego traktatu pokojowego między Lotorem a Lorską raczej wątpił, by Lotryjczycy zapomnieli o prześladowaniach, jakie urządził im król Zynah w odwecie za najazdy.

Derezong Taash przeprowadził wstępny rytuał płaszczenia się przed władcą, przy czym dostrzegł to, co wcześniej umknęło jego uwadze – na niewielkim stoliku przed

tronem, na którym z reguły stał wazon z kwiatami, znajdowała się obecnie srebrna taca, a na niej głowa ministra handlu. Na twarzy ministra zastygł ów bezradny, pusty wyraz charakterystyczny dla głów oddzielonych od właściwych im ciał.

Najwyraźniej król Vuar nie był w najweselszym nastroju.

– Tak, panie i władco? – Derezong Taash nerwowo przesunął wzrok z głowy byłego ministra na głowę obecnego suwerena.

– Moja konkubina Ilepro – odezwał się Vuar – którą, jak sędzę, poznałeś, ma życzenie, które tylko ty możesz zaspokoić.

– Tak, panie? – Derezong Taash, który natychmiast wyciągnął niewłaściwe wnioski, wybałuszył oczy niczym ropucha na wiosnę. Po pierwsze, król Vuar bynajmniej nie służył z ochoty do dzielenia się kobietami, a po drugie, z całego haremu królewskiego Ilepro była absolutnie ostatnią kobietą, którą Derezong chciałby się dzielić.

– Życzy sobie bowiem klejnotu, który tworzy trzecie oko bogini Tandylii – ciągnął król. – Znasz tę świątynię w Lotorze?

– Tak, panie. – Derezong zdołał uśmiechnąć się najbledszym ze swoich uśmiechów, ale jednocześnie serce opadło mu w okolice kolan. Takie zadanie było jeszcze mniej zabawne od intymnego kontaktu z Ilepro.

– Ten oto nikkzemnik o podłej duszy – Vuar wskazał głowę ministra – gdy złożyłem mu odpowiednią propozycję, powiedział, że klejnotu nie można kupić. Z tej też przyczyny kazałem go ściąć. Żałuję teraz owego pochopnego czynu, ponieważ wydaje mi się, że minister miał rację. A zatem jedynym wyjściem z sytuacji jest kradzież.

– T-tak, panie.

Król oparł długi podbródek na pięści, a jego agatowe oczy wpatrzyły się w rzeczy odległe. Światło lampy odbijało się w pierścieniu z szarego metalu na jego palcu. Pierścień ów wykonano z serca spadającej gwiazdy, a jego moc ochronna była tak wielka, że nawet wysłannicy czarodziejów z Lotoru nie czuli się na siłach, by skrzywdzić tego, co go nosił.

– Możemy przejąć go otwarcie, co oznacza wojnę, lub ukraść po cichu. Jestem w stanie uczynić wiele, żeby zaspokoić kaprysy Ilepro, ale w moich planach nie ma wojny z Lotorem. Przynajmniej na razie, póki nie wykorzystamy wszystkich innych metod. Tobie więc chciałem niniejszym zlecić misję udania się do Lotoru i uzyskania klejnotu.

– Oczywiście, panie – odpowiedział Derezong ze, skromnie mówiąc, nieco wymuszonym entuzjazmem. Wszelkie argumenty przeciwko podejmowaniu takiej misji, które w innej sytuacji z pewnością by zaprezentował, rozpiezchły się na widok głowy nieszczęsnego ministra.

– Oczywiście – ciągnął Vuar przyjaznym tonem – gdybyś uznał, że twoja moc nie wystarcza, jestem pewien, że król Zhysku wypożyczy mi swego czarodzieja dla wsparcia twoich starań.

– Nigdy w życiu, panie! – wykrzyknął Derezong, prężąc swoje całe pięć stóp i pięć cali wzrostu. – Ten próżniak w niczym by mi nie pomógł! Stanowiłby jedynie

kamień u mojej szyi!

Przez usta Vuara przemknął wilczy uśmiech, choć Derezong nie widział ku temu powodu.

– A zatem niech tak będzie.

* * *

Powróciwszy do komnat, Derezong Taash zadzwonił po pomocnika. Zhamel Seh wpadł po trzecim dzwonku, balansując wielkim mieczem z brązu na środku dłoni.

– Któregoś dnia – rzekł Derezong – oberzniesz jakiś paluch, popisując się tą sztuczką. Pozostaje mi tylko nadzieja, że ów paluch będzie należeć do ciebie. Jutro ruszamy z misją.

Zhamel Seh błyskawicznie cofnął dłoń i pewnie pochwycił miecz za rękojeść, po czym uśmiechnął się dziko, spoglądając na szefa.

– Świetnie! Dokąd się wybieramy?

Derezong Taash przedstawił mu szczegóły.

– O, to tym lepiej! Akcja! Podniecenie! – Zhamel przeciął powietrze ze świstem.
– Od czasu gdy obrzuciłeś klątwą matkę królowej, siedzimy w tych komnatach niczym pączki w maśle i nie robimy nic, żeby zasłużyć sobie na choć odrobinę bogactw króla Vuara.

– I co w tym złego? Ja nie dręcę nikogo i nikt nie odpłaca mi tym samym. A teraz nadchodzi zima, a my musimy telepać się aż na krańce skalistego Lotoru, by gwizdnąć bezwartościowe świecidełko, którego zażyczył sobie ulubiony królewski futrzak o mózdzku wielkości orzecha.

– Ciekaw jestem, po co jej to – zainteresował się Zhamel. – Jest przecież Lotryjką z urodzenia. Tak naprawdę to powinna bronić religijnych symboli swojego kraju, a nie zlecać ich kradzież dla własnej uciechy.

– Cholera wie. Nasze własne są równie nieprzewidywalne, a co do Lotryjek... Dobra, weźmy się lepiej za planowanie trasy i wybieranie ekwipunku.

Tej nocy Derezong Taash wziął do łóżka tylko jedną konkubinę.

* * *

Czarodziej i jego pomocnik jechali na wschód, chcąc dotrzeć do żyznych ziem Zhysku, leżących na brzegach Morza Trytońskiego. W mieście zwanym Bienkar Derezong odszukał starego przyjaciela, Goshapa Tuzha zwanego Lapidarnym, od którego uzyskali kilka informacji mających uchronić ich przed niebezpieczeństwem.

– Ów klejnot – rzekł Goshap Tuzh – jest rozmiarów drobnej piąstki. Nie został oszlifowany – zachował idealnie owalny kształt – i jest ciemnopurpurowej barwy. Gdy spojrzeć na niego z jednego końca, widać, jak rzuca promienie niczym szafir, ale siedem zamiast sześciu. Tworzy źrenicę środkowego oka posągu Tandylii, a w miejscu utrzymują go ołowiane ząbki. Jeśli chodzi o inne metody, zarówno naturalne, jak i magiczne, za pomocą których kapłani bogini chronią swój skarb, nic o nich nie wiem poza tym, że są skuteczne i nieprzyjemne. Przez ostatnie pięć

stuleci miały miejsce dwadzieścia trzy próby zrabowania klejnotu i wszystkie skończyły się śmiercią złodziei. Ostatnie ciało złodzieja, które ja, Goshap Tuzh, widziałem na własne oczy...

W trakcie jak Goshap opowiadał, w jaki sposób wykorzystano ciało pechowego złodzieja, Zhamel rozdziawił szeroko usta, a Derezong spojrział w wino z obrzydzeniem, jakby do środka naczynia wpłynęło jakieś wielonogie stworzenie, choć ani czarodziej, ani jego pomocnik na pewno nie należeli do ludzi łagodnego usposobienia.

– A jego właściwości? – zapytał Derezong Taash.

– Na pewno godne uwagi, choć raczej wyolbrzymione plotkami. Jest to najsilniejszy na świecie talizman antydemoniczny, który jest w stanie przegnać nawet samego Trlanga, najgroźniejszego ze wszystkich demonów.

– Jest silniejszy nawet od pierścienia z gwiazdowego metalu noszonego przez Vuara?

– O wiele. Niemniej jednak ze względu na naszą starą przyjaźń pozwolisz, że udzielę ci kilku rad. Po pierwsze, zmień imię i zaproponuj swoje usługi mniej wymagającemu władcy. Próba podwędzenia Oka naprawdę nie ma sensu.

Derezong Taash przeczesał palcami jedwabiące białe włosy oraz brodę.

– To prawda, wielce mnie uraził podejrzeniami co do moich kompetencji, które wyraził w tak brutalny sposób. Niemniej zdobycie takich luksusów, jakimi cieszę się teraz, nie było łatwe. Gdzież indziej będę miał dostęp do bezcennych ksiąg i zachwycających kobiet na każde skinienie? Nie, król Vuar jest bardzo dobrym władcą, z wyjątkiem chwil, kiedy ulega kaprysom.

– Właśnie to mam na myśli. Skąd wiesz, że jego notoryczna kapryśność nie obróci się kiedyś przeciwko tobie?

– Nie wiem. Bywają chwile, gdy dochodzę do wniosku, że lepiej byłoby służyć jakiemuś królowi barbarzyńców. Barbarzyńcy, skrupowani zwyczajami i rytuałami równie ciasno jak mumia bandażami, są bardziej przewidywalni.

– No to czemu nie dasz nogi? Po drugiej stronie Morza Trytońskiego leży zacny Torrutseish, gdzie wkrótce pojawi się ktoś godny twoich usług...

– Całkiem zapomniałeś, że król Vuar trzyma zakładników – przerwał mu Derezong. – Wśród nich znajduje się moja całkiem niemała rodzina, składająca się z czternastu konkubin, dwunastu synów, dziewięciu córek i paru wrzaskliwych wnuków. To dla nich muszę jakoś to wszystko przetrwać, póki Zachodnie Morze nie połknie całej krainy Pusaad, jak stoi w przepowiedniach.

– Twoja sprawa – wzruszył ramionami Goshap. – Chciałem jedynie zaznaczyć, że jesteś jednym z tych niezdarnych przeciętniaków. Mógłbyś stać się znakomitym szermierzem, ale jesteś na to zbyt gruby. Mógłbyś osiągnąć najwyższy stopień czarodziejskiego wtajemniczenia, ale nigdy tego nie dostąpisz, ponieważ nie masz zamiaru wyrzec się rozkoszy swojego zenana.

– Dziękuję ci, dobry Goshapie – rzekł Derezong, popijając zielone wino. – Pomnij jednak, że ja żyję nie po to, żeby osiągnąć doskonałość w jakiejś surowej, ascetycznej dyscyplinie, ale po to, żeby cieszyć się życiem. Powiedz mi lepiej, czy

znasz w Bienkarze jakiegoś godnego zaufania aptekarza, u którego mógłbym nabyć paczkę proszku syr najwyższej klasy i największej czystości?

– Dualor powinien mieć wszystko, czego zażądasz. Jaką postać pragniesz przybrać?

– Pomyślałem sobie, że udamy się w dalszą drogę jako para kupców z Parsku. Kiedy więc usłyszysz o dwóch takich, którzy przemierzają Lotor, wywołując wrzawę i zamieszanie, nie zapomnij okazać należytego zdziwienia.

* * *

Derezong Taash kupił proszek syr za kawałeczki złota z odciśniętą pieczęcią króla Vuara, a potem powrócił do gospody, gdzie rozłożył pentagramy, sygnął proszkiem i wyrecytował Inkantację Dziewięciu. Nim ta dobiegła końca, obaj z Zhamelem leżeli półprzytomni na podłodze. Ich wygląd uległ ogromnym zmianom – przypominali teraz dwóch ciemnowłosych mężczyzn z sokolimi nosami i kolczykami w uszach, którzy ubrani byli w powłóczyste, łopoczące na wietrze szaty z Parsku.

Gdy odzyskali siły, wyruszyli w dalszą drogę. Przemierzali pustynię Odkształtu, nie ucierpiawszy zbyt wiele z powodu pragnienia, ukąszeń jadowitych żmij czy ataków duchów pustkowia. Pokonali Puszczę Antro nie niepokojeni przez bandytów, mieczozębne koty, ani też Wiedźmę Antro. Wreszcie znaleźli się na szlaku wijącym się między żelaznymi wzgórzami Lotoru.

Gdy nadeszła pora na nocleg, Derezong powiedział:

– Wedle moich rachub i tego, co mówili napotkani podróżni, owa świątynia znajduje się najwyżej o jeden dzień podróży. A więc czas nastał, byśmy sprawdzili, czy uda się zlecić zadanie pełnomocnikowi, zamiast narażać na niebezpieczeństwo siebie.

I zaczął kreślić na ziemi pentagramy.

– Czyżbyś chciał wezwać Feranzota? – zapytał Zhamel Seh.

– Otóż to.

Zhamel zadrżał.

– Któregoś dnia zapomnisz zamknąć jeden z kątów pentagramu i sprowadzisz na nas koniec.

– Bez wątpienia. Ale sam pomysł wślizgnięcia się do owej twierdzy chtoniańskiej mocy bez udziału najpotężniejszych sojuszników to jeszcze pewniejsza zguba. Zapal świece i zaczynajmy.

– Nie mogę sobie wyobrazić nic bardziej niebezpiecznego od igrania z Feranzotem – burknął Zhamel. – Gorsze może być tylko wezwanie samego straszliwego Trlanga.

Zrobił jednak to, o co go proszono.

Przystąpili do Inkantacji Brtonga, zrekonstruowanej przez Derezonga na podstawie Fragmentów Lontanga, i na zewnątrz głównego pentagramu pojawił się ciemny kształt Feranzota, na razie niewyraźny, rozchwiany i falujący. Derezong czuł, jak ciepło z jego ciała umyka, zasysane zimnem daev, poczuł też przytłaczającą depresję, zawsze wywoływaną przez obecność istoty. Zhamel Seh pomimo swej

tężyzny skulił się.

– Czego żądasz? – szepnął Feranzot.

Derezong Taash zebrał resztkę sił i odpowiedział:

– Ukradniesz klejnot ze środkowego oka posągu bogini Tandylii, stojącego w nieodległej świątyni tejże, po czym przyniesiesz mi go.

– Nie wykonam tego zadania.

– A dlaczegoż to?

– Ponieważ kapłani Tandylii roztoczyli wokół świątyni tak potężny krąg ochronny, że żaden posłaniec, żadna istota ani demon, z wyjątkiem wielkiego Trlanga, nie jest w stanie go przekroczyć. Poza tym Oko jest spowite tak złowieszczą aurą, że ani ja, ani nikt z mego rodzaju, ani nawet sam Trlang nie zdoła dotknąć klejnotu na tym planie. Czy mogę powrócić do mojego wymiaru?

– Powróć więc, wróć, wróć... Cóż, Zhamel, wygląda na to, że będziemy zmuszeni wykonać owo niewdzięczne zadanie osobiście.

* * *

Następnego dnia czarodziej z pomocnikiem kontynuowali podróż. Wzgórza wokół nich rosły, aż stały się górami o niespotykanej dzikości, zaś droga zamieniła się w wąziutką ścieżynę wyciętą w niebywale stromych klifach. Koniom, bardziej przyzwyczajonym do smaganych wichrami równin Lorsku, po których wędrowały ogromne stada bizonów, nowa sceneria nie przypadła do gustu. Próbując trzymać się możliwie najdalej zdradliwych krawędzi klifów, stąpały możliwie najbliżej skalnych ścian, przez co nogi jeźdźców były boleśnie poobcierane.

Niewiele słońca docierało spoza masy czarnych skał i niedługo po południu zaczęło się ściemniać. Słońce skryło się za chmurami, a skalne ściany zaczęły lśnić zimną mgłą. Szlak przecięła przepaść, której brzegi spinał wąziutki mostek linowy. Konie cofnęły się ze strachu.

– Nie żebym je winił – oznajmił Derezong Taash, zeskoczywszy z siodła. – Na rozgrzane do czerwoności szpony Yrazh, gdyby nie wspomnienie mojej najpiękniejszej konkubiny, nigdy bym się nie zdobył na odwagę, żeby przejść po czymś takim.

Derezong uwiązał oba konie i pociągnął je za sobą, a Zhamel naparł na ich zady. W ten oto sposób oba wierzchowce, choć niechętnie, ruszyły. Ciągący je Derezong obrzucił przelotnym spojrzeniem spienioną rzekę, z tej wysokości wyglądającą jak cieniutka nitka, i obiecał sobie, że więcej tego nie robi. Stukot kopyt na deskach mostu niósł się daleko i odbijał echem od ścian klifu, a wiatr grał na linach niczym na strunach ogromnej harfy.

Po drugiej stronie przepaści droga wiła się ku górze. Wędrowcy natknęli się na dwoje podróżnych, mężczyznę i kobietę, którzy jechali szlakiem w dół – okazało się wówczas, że muszą się cofnąć za ostatni zakręt, by mogli się wyminąć. Napotkana para przeszła obok w milczeniu, wbijając ponuro wzrok w ziemię. Ledwie odmruknęli w odpowiedzi na radosne pozdrowienie Derezonga.

Nagle szlak skręcił ostro i czarodziej z pomocnikiem wniknęli w wielką

rozpadlinę w skalnej ścianie, gdzie stukot kopyt rozbrzmiewał trzykroć głośniejszy niż gdzie indziej i ledwie było widać, dokąd się zmierza. Dno owej rozpadliny wznosiło się ku górze, gdzie zalegały stosy osypanych kamieni i rosło kilka karłowatych drzew. Droga znikła wśród osypisk i wylaniała się u stóp schodów, które z kolei wiodły do samej świątyni Tandylii. Góra owianego złą sławą przybytku nikła wśród chmur i podróżni widzieli jedynie jej dolne partie, czarne, lśniące, strzelające ku ostrym szczytom gór.

Derezong pamiętał o nieprzyjemnych atrybutach przypisywanych bogini i jeszcze bardziej nieprzyjemnych zwyczajach jej kapłanów. Mówiono na przykład, że kult Tandylii, niewątpliwie wyróżniającej się złowieszczą naturą w pusaadiańskim panteonie, był jedynie przykrywką dla mrocznych rytuałów ku czci demona Trlanga, który swego czasu sam był bogiem. Miało to miejsce, zanim potężni Lorskianie, wygnani z kontynentu przez zwycięskich Hauskirików, całymi tysiącami przebyli Morze Trytońskie i dotarli do Pusaad, na długo przed tym, gdy kraina zaczęła złowróźnie opadać.

* * *

Derezong Taash zapewnił sobie w duchu, że bogowie i demony nie bywają tak straszliwe, jak kapłani ich przedstawiają, groźne wizerunki bóstw powstają bowiem zazwyczaj z kapłańskiej chęci zysku. Napomniał się także, że przerażające opowieści o kapłańskich zwyczajach również okazywały się cokolwiek przesadzone. Czarodziej nie do końca wierzył we własne zapewnienia, ale z braku lepszych musiały mu wystarczyć.

Derezong Taash zatrzymał się u stóp częściowo skrytej świątyni, zsunął się z konia. Z pomocą Zhamela przygniótł wodze ciężkimi kamieniami, by uniemożliwić wierzchowcom ucieczkę.

Ruszył w kierunku schodów, gdy Zhamel wykrzyknął:

– Panie!

– Cóż tam znowu?

– Spójrz tylko na nas!

Derezong się przyjrzał. Wygląd kupców z Parsku wyparował i na powrót pojawił się nadworny czarodziej króla Vuara i jego pomocnik. Zapewne przekroczyli ów krąg, przed którym przestrzegł ich Feranzot. Derezong przyjrzał się bystro wejściu do świątyni, słabo widocznemu w przygasającym świetle, i zobaczył dwóch mężczyzn, którzy pilnowali wrót. Dostrzegł też błysk wypolerowanego brązu. Nie miał jednak pojęcia, czy strażnicy zauważyli zmianę w wyglądzie przybyszów, gdyż nie dali tego po sobie w żaden sposób poznać.

Przebierając krótkimi nogami, Derezong Taash podszedł do lśniących czarnych schodów. Widział teraz wyraźnie obu strażników – byli to przysadziści, krępi Lotryjczycy z krzaczastymi brwiami. Mówiono, że byli spokrewnieni z dzikimi zamieszkującymi Ierarne na odległym Północnym Wschodzie, którzy nie opanowali sztuki obłaskawiania koni i walczyli za pomocą zaostrzonych kamieni. Ci dwaj stali nieruchomo niczym posągi, zwróceniem do siebie twarzami. Derezong i Zhamel

przeszli między nimi.

Znaleźli się w westybulu, gdzie pojawiły się dwie młode Lotryjki i powiedziały:

– Poprosimy o wasze obuwie i broń, panowie.

Derezong podniósł swój pendent i oddał go najbliższej dziewczynie, do tego miecz w pochwie i całą resztę broni. Potem ściągnął obuwie i stanął boso – żdźbła trawy, którą wyścielił wewnątrz butów, by nie poobcierać stóp, wystawały mu teraz spomiędzy palców u nóg. Pod koszulą czarodziej ukryty miał drugi miecz – ciążył Derezongowi na szyi i przynosił ogromną ulgę.

Zhamel powiedział coś cicho do drugiej dziewczyny, całkiem niebrzydkiej jak na Lotryjkę, przynajmniej zdaniem Derezonga, oczywiście jeśli nie liczyć jej pulchnej figury i buzi okrągłej niczym księżyc.

– Chodźmy – rzekł czarodziej i ruszył do świątyni.

Wnętrze przybytku nie różniło się specjalnie od wielu innych świątyń – wielkie prostokątne pomieszczenie przepelnione zapachem kadzidła i przegrodzone w jednej trzeciej balustradą. Tam wznosił się ogromny, czarny, krępy posąg Tandylii. Gładki bazalt, w którym go wykonano, odbijał słabo blask nielicznych lamp, a wysoko, gdzie głowa bogini nikła wśród cieni, widać było purpurowy punkcik. Klejnot osadzony w czole posągu łapał promienie światła.

Para Lotryjek klęczała przed balustradą, mamrocząc modlitwy. Naraz z mroku wyłonił się kapłan, który przeszedł wzdłuż balustrady. Derezong już oczekiwał, że przybyły zwróci się do niego i do Zhamela z żądaniem, by udali się za nim do sanctum najwyższego kapłana, lecz ten nawet nie zwolnił i zniknął wśród cieni po drugiej stronie pomieszczenia.

* * *

Derezong Taash wraz ze swym towarzyszem podeszli bliżej. Szli powoli, krok za krokiem, w kierunku balustrady. Tymczasem Lotryjki zakończyły modły i wstały. Jedna z nich upuściła coś, co brzęknęło w sporym pojemniku w kształcie baryłki, po czym obie wyszły.

Przez chwilę Derezong i Zhamel byli całkowicie sami w ogromnym pomieszczeniu, choć w ciszy, która zapadła, wydawało im się, że słyszą głosy z innych części świątyni. Derezong wyciągnął pudełko i rozsypał proszek syr, pospiesznie nucąc Inkantację Ansuanu. Gdy skończył, między nim a Zhamelem stanęła replika czarodzieja.

Derezong Taash przeszedł nad balustradą i stąpając na czubkach pulchnych palców, okrążył posąg. Pośród cieni ujrzał kilkoro drzwi. Między plecami posągu a ścianą było wystarczająco dużo miejsca, by sprawny człowiek, oparłszy się plecami o posąg i zaparłszy nogami o mur, mógł się wspiąć na samą górę. Derezong był co prawda człowiekiem sprawnym tylko we własnej dziedzinie, ale mimo to wślizgnął się w szczelinę i wpił w fałdkę kamiennej szaty okrywającej boginię. Zastygł tam bez ruchu, niemalże nie oddychając, dopóki nie usłyszał, że Zhamel wychodzi.

Ich plan polegał na tym, że Zhamel wyjdzie ze świątyni w towarzystwie sobowtóra Derezonga. Strażnicy, sądząc, że wszyscy goście opuścili świątynię,

odprężą się i przestaną czuć. Derezong ukradnie wówczas kamień, a Zhamel rozpocznie na zewnątrz zamieszanie, wzywając strażę, by przyszły mu jak najszybciej z pomocą. Odwróciwszy w ten sposób ich uwagę, umożliwi Derezongowi ucieczkę.

Derezong odczekał jeszcze chwilę. Usłyszał miękkie kroki kolejnego przechodzącego kapłana i odgłos zamykania drzwi. Gdzieś zaśmiała się Lotryjka.

Derezong rozpoczął mozolną wspinaczkę, opierając się to o posąg, to o ścianę. Dla kogoś jego postury było to niełatwe wyzwanie i spod futrzanej czapki czarodzieja ściekały na twarz krople potu. Nadal nikt mu nie przeszkodził. Dotarł aż do ramienia bogini i wspinał się na nie, przytrzymując się dla bezpieczeństwa prawego ucha. Śliski kamień chłodził białe stopy. Przekrzywiwszy maksymalnie głowę, Derezong ujrzał złowrogą twarz bogini z profilu, a wyciągnąwszy maksymalnie rękę, był w stanie sięgnąć klejnotu w jej czole.

Derezong Taash wyjął spod tuniki niewielki łom z brązu, który zakupił właśnie na tę szczególną okazję. Za jego pomocą zaczął ostrożnie podważać utrzymujące klejnot ołowiane ząbki, tak by nie uszkodzić kamienia, ani też nie dopuścić do tego, by spadł na podłogę. Co kilka pchnięć sprawdzał Oko palcem. W którymś momencie poczuł, że klejnot zaczyna się ruszać.

Świątynia była pusta.

Czarodziej podkładał teraz łom z każdej strony klejnotu i napierał. Starczyła odrobina wysiłku, a kamień wysunął się, trąc łagodnie o gładkie powierzchnie odgiętych ołowianych ząbków. Derezong Taash chciał włożyć rękę za tunikę, by schować zarówno kamień, jak i łom, lecz okazało się, że jego pulchne palce nie są w stanie poradzić sobie z dwoma przedmiotami naraz. Łom wyślizgnął się i spadł z serią głośniejszych brzęknięć, odbijając się kolejno od piersi, brzucha i kolana posągu, by opaść na kamienną podłogę z hałasem, od którego poszło echo.

Derezong zamarł. Mijała sekunda za sekundą, ale nic się nie działo. Przecież strażę musiały to usłyszeć...

Nadal trwała cisza.

Derezong Taash schował klejnot pod tunikę i ruszył w drogę powrotną z ramienia posągu na dół, do skrywających wszystko litościwych cieni. Centymetr po centymetrze ześlizgiwał się po plecach bogini, aż dotarł na podłogę. Nadal nie słyszał strażę, do jego uszu docierały jedynie rzadkie, niewyraźne odgłosy, które równie dobrze mogły zostać wywołane przez świątynną służbę przygotowującą posiłek dla swych panów. Czarodziej czekał na dywersję obiecaną przez Zhamela Seha.

Czekał i czekał. Z oddali rozległ się wrzask umierającego człowieka.

Tracąc w końcu cierpliwość, Derezong Taash zerwał się, obiegł udo posągu, podniósł w biegu łom, wspinał się na balustradę i na palcach pomknął do wyjścia.

I ujrzał strażników z obnażonymi mieczami. Czekali na niego.

Derezong Taash wydobył swój drugi miecz. Wiedział, że w normalnych okolicznościach nie miał co liczyć na zwycięstwo w walce z zaprawionym szermierzem, nie mówiąc już o dwóch. Jego jedyna, i to dość wątpliwa szansa leżała w rzuceniu się do szaleńczego ataku, przemknieniu między strażnikami i

maksymalnym przyspieszeniu.

Spodziewał się, że tak dobrze uzbrojeni i wyćwiczeni wojownicy odskoczą od siebie i zaatakują z dwóch stron jednocześnie, a tymczasem jeden z nich przepadł do czarodzieja i ciał niezdarnie. Derezong sparował uderzenie i sam zaatakował. Klingi starły się z brzękiem, a wtedy jego przeciwnik upuścił broń, złapał się za pierś i padł na ziemię. Zdumienie Derezonga nie miało granic – gotów był przysiąc, że nie trafił żołnierza.

Wtedy zaatakował go drugi z przeciwników. Klingi znów się zwały, a wtedy ta, którą dzierżył strażnik, wypadła mu z dłoni i brzęknęła na kamienną podłogę. Człowiek odwrócił się i rzucił do ucieczki, znikając za najbliższymi drzwiami.

Derezong Taash spojrział na swój miecz, zastanawiając się, czy aby nie odkrył w nim właśnie nowych mocy. Walka nie trwała dłużej niż dziesięć sekund i z tego, co widział w niewyraźnym świetle, na ostrzu nie było krwi. Kusiło go, by żgnąć leżącego na ziemi strażnika i przekonać się, czy nie jest martwy, ale nie miał na to czasu, ponadto był człowiekiem zbyt łagodnym na takie eksperymenty. Wybiegł więc z westybulu w poszukiwaniu Zhamela i swego sobowtóra.

Niestety, nie widział ani jednego, ani drugiego. Cztery konie nadal tkwiły uwiązane kilka kroków od schodów do świątyni, te zaś kłuły i raniły miękkie podeszwy bosych stóp Derezonga. Czarodziej zawahał się, ale tylko na chwilę. Na swój sposób lubił Zhamela Seha, którego męstwo wybawiło go z kłopotów mniej więcej tyle samo razy, co brak pomysłu w nie wpędził, ale powrót do świątyni w poszukiwaniu zbłąkanego pomocnika graniczył z szaleństwem. Co więcej, czarodziej miał przecież wyraźne rozkazy od króla.

Wsunął miecz do pochwy, wdrapał się na konia i odjechał cwałem, wiodąc trzy pozostałe wierzchowce na postronku.

Gdy zjeżdżał wąską szczeliną, wreszcie miał czas do namysłu, a im dłużej myślał, tym mniej podobało mu się to, co wymyślił. Nieoczekiwane zachowanie strażników wyjaśnić mogło tylko to, że upili się bądź oszaleli, a Derezong nie chciał uwierzyć w żadną z tych możliwości. Nie zaatakowali go równocześnie, co powinni byli zrobić, nie usłyszeli spadającego łomu, dali się pokonać jemu, niewprawnemu szermierzowi bez doświadczenia, jeden z nich padł na ziemię nawet niedrażnięty, żaden nie zawołał o pomoc...

A może to wszystko było ukartowane? Sukces misji przyszedł Derezongowi tak łatwo, iż doprawdy nie był w stanie wyjaśnić go w żaden inny sposób. Może po prostu kapłani chcieli, by ukradł ów przeklęty kamyk.

Gdy dotarł do miejsca w rozpadlinie, gdzie trakt wychodził ze ściany klifu i kierował się ku przepaści, czarodziej ściągnął wodze, zeskoczył z siodła i przywiązał zwierzę, jednocześnie nasłuchując odgłosów pościgu. Wyciągnął Oko Tandylii i przyjrzał mu się uważnie. W rzeczy samej, gdy spojrzało się na klejnot z jednego końca, można było dostrzec ów efekt świetlny, o którym mówił Goshap Tuzh. Poza tym jednakże czarodziej nie dostrzegł żadnych nadnaturalnych właściwości. Na razie.

Derezong Taash położył kamień ostrożnie na ziemi i wycofał się, by obejrzeć go z

większej odległości. W tym samym momencie klejnot poruszył się lekko i zaczął toczyć w jego kierunku.

W pierwszej chwili pomyślał, że położył go na pochyłej powierzchni, i doskoczył, by go złapać, zanim sturla się w przepaść. Ułożył Oko starannie na ziemi i unieruchomił kamykami z każdej strony. Teraz to nie było mowy, by się poruszyło!

Pomylił się jednak. Starczyło, by znów się cofnął, a klejnot przetoczył się nad usypaną przez czarodzieja barierą. Derezong Taash znów zaczął się pocić, lecz tym razem nie było to spowodowane wysiłkiem fizycznym. Klejnot toczył się ku niemu coraz szybciej. Derezong próbował zejść mu z drogi i schować się w skalnej szczelinie, ale wtedy toczący się kamień skręcił i podtoczył się bliżej, aż znieruchomiał przy palcu jego bosej stopy, niczym dobrze wytresowane zwierzątko domagające się pieczyoty.

Czarodziej wydrążył w ziemi niewielką dziurę, ułożył w niej klejnot, zakrył dziurę większym kamieniem i odszedł. Głaz zadrżał i przygniecione purpurowe jajo nagle wydostało się spod niego, spychając co większe kamienie z drogi, zupełnie jakby ktoś wyciągnął je spod owego głazu na niewidzialnym sznurku. Klejnot znów dotoczył się pod stopy Derezonga i znieruchomiał.

Derezong Taash uniósł klejnot i przyjrzał mu się raz jeszcze. Nie wydawał się nawet drażnięty. Nagle czarodziej przypomniał sobie opowieści o skwapliwości i pośpiechu, z jakim Wielki Wódz Konesp wcisnął siostrę królowi Vuarowi, i połączył tamte zdarzenia z wiedzą, że pomysł zdobycia kamienia wyszedł od tejsze Ilepro.

Czując nagły przypływ emocji, Derezong Taash odrzucił klejnot daleko w kierunku przeciwległej krawędzi przepaści.

Wedle wszelkich rachub klejnot powinien zatoczyć w powietrzu łuk i roztrzaskać się o klif. Miast tego zwolnił w połowie drogi nad przepaścią, zakreślił pętlę i wpadł prosto do ręki, która nim rzuciła.

Derezong Taash nie miał już wątpliwości, że klejnot był subtelną pułapką, którą kapłani Tandylii postanowili zastawić na Vuara. Czym miało się skończyć dla króla i całego królestwa Lorsk wypełnienie misji, czarodziej nie miał bladego pojęcia. Z tego, co wiedział, kamień był zwykłym talizmanem antydemonicznym, a więc powinien ochronić Wara, a nie krzywdzić. Niemniej Derezong był pewien, że zaplanowano coś nieprzyjemnego, i nie miał najmniejszego zamiaru pomagać w realizacji tego planu. Umieścił klejnot na płaskim głazie, znalazł inny, wielkości ludzkiej głowy, dźwignął go i spuścił na Oko Tandylii.

Taki przynajmniej miał zamiar. Opadający głaz niespodziewanie rozprysnął się na drobne kawałki, a w sekundę później Derezong miotał się i skakał niczym diabli tancerz z Dzen, ssąc zmiążdżone palce i przeklinając kapłanów Tandylii imionami najstraszliwszych demonów, jakie miał w swym repertuarze. Klejnot nie poniósł żadnego uszczerbku.

Derezong doszedł zatem do wniosku, że kapłani musieli obłożyć Oko nie tylko zaklęciem nieodstępności, ale także odśpiewać nad nim Inkantację Duzhatenga, przez co każda próba zniszczenia go przez Derezonga obróci się przeciwko niemu. Gdyby wcielił w życie bardziej skomplikowany plan zniszczenia klejnotu, działanie

skończyłyby najprawdopodobniej ze złamaną nogą. Efekt Inkantacji Duzhatenga odwrócić można było tylko za pomocą skomplikowanego czaru, który wymagał użycia bardzo szczególnych i odstraszających substancji, a tych czarodziej nie posiadał.

Derezong Taash uświadomił sobie, że teraz to istnieje już tylko jeden sposób na zneutralizowanie owych czarów i zabezpieczenie Oka tak, by przestało go prześladować. Musiał mianowicie z powrotem wsunąć go w dziurę w czole posągu Tandylii i wbić je młotkiem między ołowiane ząbki, które przytrzymywały kamień w miejscu. Wyglądało jednak na to, że zadanie to przysporzy więcej trudności niż zwykła kradzież. Skoro bowiem kapłani Tandylii umyślili sobie, by Derezong ukradł ów klejnot, to istniało duże prawdopodobieństwo, że będą się starali, by Oko nie wróciło na miejsce.

Trzeba było jednak spróbować. Derezong schował Oko pod tuniką, wskoczył na konia (pozostałe trzy pozostawił skrupowane na miejscu) i ponownie wjechał w rozbrzmiewający echem wąwóz. Wydostał się na niewielki płaskowyż, na którym wyrastała świątynia Tandylii, i przekonał się, że przeciwnik go ubiegł. Wokół świątyni stał podwójny kordon strażników, a łuski ich wykonanych z brązu zbroi połyskiwały w gasnącym świetle dnia. Pierwszy szereg dźwigał tarcze ze skóry mamutów, a uzbrojony był w miecze z brązu, drugi dzierżył długie oburęczne piki, które wystawały spomiędzy wojowników pierwszego szeregu. Była to przeszkoda nie do pokonania dla każdego atakującego, który najpierw musiałby przebić się przez ostrza włóczni, a potem jeszcze uporać się z miecznikami.

Jedyną możliwością było więc pchnąć konia do galopu w nadziei, że któryś z obrońców świątyni nie wytrzyma nerwowo i usunie się na bok, otwierając tym samym lukę, przez którą będzie można się przedrzeć. Wtedy udałoby się wtargnąć do świątyni i być może nawet umieścić klejnot na miejscu, nim Derezong zostanie powstrzymany i obezwładniony. W przeciwnym razie doszłoby do wielkiego zderzenia, w wyniku którego wyrósłby drgający, wierzgający stos złożony z kilku poturbowanych strażników, ranionego konia i porządnie pociętego i pokłutego czarodzieja.

Derezong Taash zawahał się, a potem pomyślał o swoich cennych manuskryptach i cudownych konkubinach, które czekały w pałacu króla Vuara. Pomyślał też o tym, że nigdy już tam bezpiecznie nie wejdzie, jeśli nie przyniesie klejnotu lub przynajmniej wiarygodnej wymówki, dlaczego tego nie zrobił. Uderzył konia piętami.

Gdy wierzchowiec pędził ku uzbrojonej linii, ostrza włóczni stawały się coraz bliższe, coraz większe i ostrzejsze. Derezong ujrzał, że strażnicy ani myślą uskoczyć ze strachu i pokornie przepuścić go przez oba szeregi. Wtedy nagle ktoś zbiegł po schodach ze świątyni, kierując się ku wojownikom rozstawionym z tyłu. Człowiek ów miał na sobie szaty kapłańskie, ale tuż przed zderzeniem z kordonem obronnym Derezong rozpoznał poznaczoną bliznami twarz Zhamela Seha.

Ściągnął wodze, a zaskoczony koń poślizgnął się, ale zdążył wyhamować, niemalże dotykając nosem najbliższego ostrza. Derezong, który był dzieckiem epoki

jazdy bez strzemion, pchnięty siłą rozpędu wpadł na szyję zwierzęcia. Uchwyciwszy się jego grzywy lewą ręką, wsadził drugą pod tunikę w poszukiwaniu klejnotu.

– Zhamel! – zawołał. – Łap!

Wyrzucił klejnot w powietrze. Zhamel wyskoczył i złapał kamień w locie, zanim ten zdążył wykręcić pętlę i wrócić.

– Wsadź go z powrotem! – wrzasnął Derezong.

– Co? Kładź się pokotem?

– Wsadź go z powrotem, i to szybko! Byle mocno!

Zhamel, wyszkolony do spełniania rozkazów, nawet tych najdziwniejszych, popędził w stronę świątyni, choć nie przestawał kręcić głową, jakby wyrażał tym sposobem żal, iż jego pan stracił resztki rozsądku. Derezong wyplątał dłonie z końskiej grzywy i wycofał się poza zasięg włóczni. Strażnicy obracali ku niemu głowy, ledwie widoczne spod wypolerowanych hełmów, a na ich twarzach widać było autentyczne zdumienie i zmieszanie. Derezong podejrzewał, że wydano im jeden prosty rozkaz – nie wpuścić czarodzieja do świątyni – i nie mieli pojęcia, jak zareagować na pokaz zażyłości obcego wobec jednego z kapłanów.

Chociaż strażnicy nie stanowili już dlań zagrożenia, Derezong nie zsiadał z konia. Nie spuszczał wzroku z wejścia do świątyni. Zhamel miał sporą szansę wypełnić zadanie i uciec, jednak czarodziej powątpiewał, czy asystent ujdzie z życiem. Gdyby Zhamel zdecydował się przebić przez strażników bez hełmu i zbroi, ci posiekaliby go na kawałki. On zaś, Derezong, musiałby wtedy znaleźć i wyszkolić kolejnego pomocnika, który prawdopodobnie okazałby się równie mało zadowolający jak jego poprzednik. Tak czy owak, Derezong nie mógł pozostawić chłopaka własnemu losowi.

Wtedy ujrzał Zhamela, jak zbiega po schodach, dzierżąc długą pikę podobną do tej, w którą uzbrojeni byli wojownicy w tylnym szeregu. Trzymając ją równo, asystent zaszarżował na tyły kordonu, jakby miał zamiar wbić włócznię w plecy któregoś ze zbrojnych. Derezong, który wiedział, czym to się skończy, zamknął oczy.

Tymczasem Zhamel nie zaatakował żadnego z żołnierzy. Tuż przed ich szeregiem wbił ostrze w ziemię i nie puszczając drzewca, przeleciał nad wypolerowanymi hełmami, mieczami z brązu i tarczami ze skóry mamuta, machając nogami niczym wieszany skazaniec. Wylądował tuż przed pierwszym szeregiem, łamiąc jedną z pik z głośnym trzaskiem, i popędził w kierunku Derezonga. Ten już zawrócił konia.

W chwili gdy Zhamel złapał za siodło, rozległa się wielka wrzawa. Ze świątyni wybiegli bowiem wrzeszczący kapłani. Derezong zabębnił bosymi stopami w żebra ogiera, który natychmiast puścił się cwałem, nie bacząc na uwieszonoego u siodła Zhamela, przez co pomocnik musiał sadzić wielkimi susami obok galopującego konia. Przemknęli przez rozpadlinę, ścigani echem tętentu kopyt.

Derezong Taash nie miał zamiaru marnować czasu na jakiegokolwiek pytania. Wyprysnęli z rozpadliny nad brzegiem wielkiej przepaści, gdzie czekały na nich konie. Zhamel wskoczył na jednego z nich i popędził za czarodziejem najszybciej, jak się dało. Rozpadlina rozbrzmiewała już bowiem ogłuszającym echem pościgu.

– Ach, moje nieszczęsne stopki! – jęczał Zhamel Seh.

U skraju mostu wiszącego konie znów zaczęły okazywać strach, ale Derezong bez litości tak długo kłuł swego wierzchowca i smagał jego zad płazem miecza, aż ten w końcu ruszył po chwiejącym się moście. Zimny wiatr poświstywał wśród lin, światło słoneczne niemalże znikło.

Dotarłszy na drugą stronę przepaści, Derezong Taash westchnął z ulgą i obrócił się. Na trakcie schodzącym z klifu ujrzał pościg – szereg jeźdźców pędzących z zawrotną prędkością.

– Gdybym miał czas i odpowiednie składniki – powiedział – rzuciłbym na ten most czar, przez co wyglądałby na zniszczony i bezużyteczny.

– To może doprowadźmy go do takiego stanu w rzeczy samej! – wykrzyknął Zhamel, który zawrócił konia i podźwignął się w siodle.

A potem stanowczo ciął mieczem po linach, na których wisiał most. Gdy pierwsi ze ścigających dotarli na przeciwległy brzeg przepaści, konstrukcja nagle opadła, a potem runęła przy akompaniamencie świstu lin i stukotu desek. Ludzie ze świątyni wydali wielki wrzask. W powietrze wzbija się strzała, która nie doleciała nawet na przeciwną stronę przepaści.

Derezong i Zhamel podjęli swą podróż.

* * *

Dwa tygodnie później siedzieli w ogrodzie na tyłach sklepu Goshapa Tuzha zwanego Lapidarnym w słonecznym Bienkarze. Zhamel Seh opowiedział swoją część historii:

– ...już wychodziłem, gdy ta mała Lotryjka jeszcze raz obrzuciła mnie wymownym spojrzeniem. Pomyślałem sobie, że będę miał jeszcze mnóstwo czasu, żeby wypełnić zadanie przydzielone mi przez mistrza, a póki co mogłem zafundować sobie trochę przyjemności...

– Niedojrzały łajdak! – warknął Derezong do pucharka z winem.

– ...no i udałem się za nią. I wszystko układało się tak, jak sobie to umyśliłem, gdy nagle kto wchodzi do komnaty? Ano, jeden z tchórzliwych cudaków w habitach z kapturkiem. I od razu na mnie z nożem. Próbowałem go odpędzić, ale obawiam się, że w całym tym zamieszaniu nieszczęśliwie złamał mu się kark. Przewidując, że mogą z tego wyniknąć problemy, pożyczyłem sobie jego habit i wymknąłem się do świątyni. Tam się przekonałem, że nie ma nikogo, ani mistrza, ani koni, ani też sobowtóra.

– A czas płynął i płynął – rzekł z sarkazmem Derezong Taash. – Mam nadzieję, że przynajmniej owa młoda Lotryjka ma powody, żeby dobrze wspominać te chwile. Co do sobowtóra zaś, to nie zapomnij, iż jest to istota utkana z cieni i pozbawiona własnego rozumu. Z pewnością więc wyszedł ze świątyni i szedł przed siebie, aż przekroczył magiczną barierę wzniesioną przez kapłanów.

– Ujrzałem mnóstwo kapłanów i strażników – ciągnął Zhamel. – Biegali i trajkotali jak stado małąp. Miotąłem się dookoła, jakbym był jednym z nich, aż nagle zauważyłem dwa uzbrojone szeregi przed wejściem. Potem pojawiłeś się ty, mistrzu, i rzuciłeś mi ten kamień. Szybko się połapałem, o co chodzi, wlałem na posąg,

wcisnąłem trzecie oko Tandylii do oczodołu i wbiłem ząbki na miejsce głowicą mojego sztyletu. Potem złapałem jakąś pikę ze zbrojowni i wypadłem na dwór, ogłuszając po drodze kilku Lotryjczyków, którzy próbowali mnie zatrzymać i przesłuchać. Resztę już znacie.

Derezong Taash zakończył opowieść i rzekł:

– Dobry Goshapie, być może mógłbyś nam doradzić, co teraz uczynić, ponieważ obawiam się, że jeśli stawimy się przed obliczem króla Vuara bez klejnotu, umieści nasze głowy na srebrnych tacach, nie pytając nawet o powody niewypełnienia misji. Bez wątpienia w chwilę później ogarną go wyrzuty sumienia, ale w niczym nam to nie pomoże.

– Skoro jesteście u niego w niełasce, dlaczego go nie porzucicie, jak już wcześniej sugerowałem? – zapytał Goshap.

Derezong wzruszył ramionami.

– Niestety, inni władcy wykazują podobny brak umiejętności docenienia, a wcale nie okazaliby się łagodniejszymi panami. Ponieważ gdyby ci kapłani Tandylii zawierzili w moją umiejętność wykonania tak prostego zadania jak przewiezienie tego klejnotu z Lotoru do Lorsku, ich intryga niechybnie zakończyłaby się sukcesem. Jednak w obawie, że zgubię ich Oko lub sprzedam gdzieś po drodze, obłożyli je dodatkowym czarem...

– Jak to możliwe, skoro klejnot ma właściwości antymagiczne?

– Owe właściwości sprowadzają się do prostego antydemonizmu, podczas gdy czary uzupełniające oraz Inkantacja Duzhatenga należą do magii białej, a nie czarnej. W każdym razie za ich sprawą klejnot nie chciał mnie opuścić i moja podejrzliwość, już przebudzona, sięgnęła zenitu.

Czarodziej westchnął i napił się zielonego wina.

– Ten nieszczęsny świat potrzebuje tylko jednej rzeczy, a jest nią więcej wiary w siebie. Ale mów dalej, Goshapie.

– Cóż, a co powiesz na list do króla, w którym opiszesz wszystkie okoliczności? Pożyczę ci niewolnika, który zanieś pismo do Lorsku na długo przed waszym przybyciem. Kiedy dotrzecie do domu, gniew króla Vuara zdąży już osłabnąć.

Derezong zastanowił się.

– Doceniam i szanuję twoją sugestię, niemniej dostrzegam jedną przeszkodę nie do pokonania. Ze wszystkich ludzi na dworze Lorsku tylko sześciu potrafi czytać, a wśród nich nie ma króla Vuara. Co do tej szóstki, przynajmniej pięciu z nich to moi wrogowie, którzy o niczym nie marzą tak bardzo jak o moim upadku. Gdyby więc zadanie odczytania mojego listu przypadło któremuś z nich, możesz sobie wyobrazić, jak bardzo przesłanie zostałoby zniekształcone. Czym możemy więc oszukać króla Vuara i powiedzieć, że misję wykonaliśmy, a na dowód wręczyć mu kamień podobny do tego, którego się spodziewa? Słyszałeś kiedyś o czymś takim?

– To ci dopiero pomysł – przyznał Goshap. – Niech no się zastanowię. W zeszłym roku, kiedy to kraj nawiedziła klęskanieurodzaju, król Daior oddał swoją najlepszą koronę w zastaw świątyni Kelka, żeby za uzyskane w ten sposób skarby uciszyć narzekania ludu. U zwieńczenia tejże korony znajduje się gwiazda z szafiru

niezwykłej barwy i rozmiarów. Wedle legendy ukształtowali ją sami bogowie dla własnej przyjemności na długo przed Stworzeniem, a jej rozmiary i purpurowa barwa w niczym nie ustępują klejnotowi, który tworzy Oko Tandylii. A że król nie wykupił jeszcze korony, kapłani Kelka umieścili ją na wystawie, tym samym skłaniając ciekawskich wiernych do kolejnych datków. Co do tego natomiast, w jaki sposób ów klejnot miałby opuścić koronę i znaleźć się w twoim posiadaniu, nie pytaj, ponieważ nie wiem na ten temat zupełnie nic.

Następnego dnia Derezong Taash wyczarował dla siebie i Zhamela Seha wygląd Atlantów z mglistych gór leżących na pustyni Gautha, daleko na wschód od Morza Trytońskiego, gdzie, jak mówiono w Pusaad, żyli ludzie z węzami zamiast nóg i ludzie bez głów, ale za to z twarzami na klatkach piersiowych.

– Czym my właściwie jesteśmy, czarodziejami czy złodziejami? – narzekał Zhamel Seh. – Może jak ta misja się powiedzie, zajrzemy do króla Torrutseishu po drugiej stronie Morza Trytońskiego? Może też ma jakieś swoje ulubione świecidełko, które moglibyśmy mu rąbnąć.

Derezong Taash nie podjął kłótni, lecz ruszył w kierunku placu, na którym wznosiła się świątynia Kelka. Podeszli do niej dumnym krokiem charakterystycznym dla Atlantów i weszli do środka, gdzie ujrzeni wielki stół, a na nim koronę, ułożoną na poduszce i oświetloną lampą. Pilnowało jej dwóch czarnobrodych Lorskan liczących sobie po siedem stóp wzrostu, jeden z nagim mieczem, a drugi ze strzałą na cięciwie. Spojrzeli z wyższością na rudowłosych Atlantów odzianych w błękitne płaszcze i naramienniki z orichalku, którzy na widok korony zaczęli bełkotać gorączkowo i pokazywać ją sobie palcami. Wkrótce niższy z Atlantów – a pod tą iluzją krył się Derezong Taash – wyszedł, pozostawiając towarzysza nadal zapatrzonego w kosztowności.

Niespodziewanie rozległ się głośny wrzask. Strażnicy natychmiast spojrzeli w tamtym kierunku. Atlanta oparł się ciężko o framugę, pochylił konwulsyjnie, a do twarzy przycisnął dłonie.

Nie wiedząc, że Derezong dusi sam siebie, strażnicy ruszyli ku wejściu. Nim podeszli bliżej, zaatakowany Atlanta znikł z ich pola widzenia, a gdy wyszli na zewnątrz, ujrzeni Derezonga w swej naturalnej postaci, idącego swobodnym krokiem do świątyni. Za plecami strażników silne palce Zhamela Seha wyrwały kamień z korony króla Daiora.

– Czy coś się stało, panowie? – zapytał Derezong Lorskan, którzy toczyli wokół nic nierozumiejącymi spojrzeniami. Za ich plecami ze świątyni wyszedł Zhamel Seh, który również pozbył się iluzyjnego wyglądu i przypominał teraz Lorskanina, choć nie był tak wysoki i tak brodaty jak strażnicy. – Jeśli szukacie Atlanta – rzekł czarodziej w odpowiedzi na gorączkowe pytania – widziałem, jak dwóch wychodzi z waszej świątyni i znika w tamtej alei. Szli podejrzenie pospiesznym krokiem. Być może należałoby sprawdzić, czy nie popełnili jakiegoś świętokradztwa w waszym przybytku?

Strażnicy wpadli z powrotem do świątyni, a Derezong wraz z asystentem szybciotko udali się w przeciwnym kierunku.

– Mam nadzieję, że tego klejnotu nie będziemy musieli odstawić tam, skąd go wzięliśmy – mruknął Zhamel.

Obaj towarzysze dotarli do Lezohtr późną nocą, ale nie zdążyli się nawet przywitać z ukochanymi konkubinami, gdy goniec poinformował ich, że król chce natychmiast zobaczyć Derezonga.

Czarodziej zastał króla Vuara w komnacie audiencyjnej. Najwidoczniej władcę dopiero co wyrwano ze snu, ponieważ miał na sobie jedynie koronę i niedźwiedzią skórę, którą owinał swe kościste ciało. Ilepro również była obecna, równie nieformalnie odziana, jak zwykle w towarzystwie czterech innych Lotryjek.

– Masz? – spytał król, unosząc krzaczastą brew, co zazwyczaj nie oznaczało niczego dobrego dla kogoś, kto udzieliłby negatywnej odpowiedzi.

– Proszę bardzo, panie. – Derezong uniósł się z podłogi i podał władcy klejnot wyrwany z korony króla Daiora.

Vuar chwycił kamień koniuszkami palców i przyjrzał mu się w świetle lampy. Czarodziej zastanawiał się, czy królowi przyjdzie do głowy policzyć promienie, by się przekonać, czy jest ich sześć, czy siedem, ale pocieszył się myślą, że król znany był ze swej niechęci do wyższej matematyki.

Władca tymczasem podał klejnot Ilepro.

– Proszę bardzo, droga pani – powiedział. – I miejmy nadzieję, że z tą transakcją twoje niekończące się skargi i lamenty dobiegną końca.

– Mój pan jest równie hojny jak słońce – powiedziała Ilepro ze swym chrapliwym lotryjskim akcentem. – I prawdą jest to, że mam jeszcze coś do powiedzenia, ale nie jest to przeznaczone dla uszu służących.

Dodała coś we własnej mowie i jej cztery przyboczne pospiesznie opuściły komnatę.

– No i? – spytał król.

Ilepro wbiła wzrok w szafir i machnęła ręką, recytując coś w ojczystym języku. Mówiła zbyt szybko, by Derezong mógł ją zrozumieć, niemniej pochwylił jedno słowo, powtórzone zresztą kilkakrotnie, które wstrząsnęło nim do głębi. Owym słowem było: „Trlang”.

– Panie! – wykrzyknął. – Obawiam się, że ta czarownica z północy ma złe zamiary...

– Co takiego? – ryknął król Vuar. – Obrażasz moją faworytę, i to jeszcze w mojej obecności? Każę cię...

– Ależ, panie! Królu mój! Spójrz!

Król przerwał, by zerknąć na Ilepro, i już nie podjął tyrady. Płomień lampy skurczył się, a w powietrzu zawirowały zimne prądy. Mrok gęstniał, przechodząc najpierw w cienie, a potem w substancję, która z początku wydawała się jedynie bezkształtną ciemnością, mroczną mgłą, lecz po chwili pojawiła się w niej para świecących punktów. Były to oczy, wyraźne oczy, dwukrotnie wyżej niż u normalnego człowieka.

Derezong przetrząsał pamięć w poszukiwaniu odpowiednich egzorcyzmów, podczas gdy język przyschnął mu ze strachu do podniebienia. Wobec tej istoty jego

własny Feranzot wydawał się malutki i niegroźny jak mały kotek, a przecież nie chronił go żaden pentagram.

Oczy stały się wyraźniejsze, a niżej ukazały się długie szpony odbijające wąły płomień lampy. W komnacie było teraz tak zimno jak w jaskini wykutej we wnętrzu góry lodowej, a Derezong wychwycił zapach przypominający smród płonących piór.

Ilepro wycelowała w króla palec i wrzasnęła coś we własnym języku. Derezong miał wrażenie, że widzi długie kły w rozwierającej się paszczy, i Trlang podpełzł bliżej do królewskiej faworyty. Trzymała klejnot przed sobą, jakby chciała odpędzić daev, ale bestia nie zwróciła na to uwagi. Naraz otoczyła ją ciemność, z której dobiegł tylko przeraźliwy wrzask.

Drzwi stanęły otworem i do środka wpadły cztery lotryjskie służące. Ilepro nadal wrzeszczała, choć wydawało się teraz, że jej krzyki dobiegają z oddali, jakby Trlang gdzieś kobietę wciągał. Widać było tylko kurczący się, zamazany cień na podłodze.

Pierwsza z Lotryjek krzyknęła: „Ilepro!” i skoczyła w kierunku cienia, zdarłszy odzienie i dobywszy wielkiego miecza z brązu. Pozostałe zrobiły to samo i w tym momencie Derezong uświadomił sobie, że nie są to wcale kobiety, a krzepcy mężczyźni, których upodobniono do kobiet przez zgolenie bród i wypchanie ubrań w odpowiednich miejscach. Biegący na czele Lotryjczyk ciął mieczem miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się kształt Trlanga, ale broń nie napotkała oporu. Potem zwrócił się do króla i Derezonga.

– Brać ich żywcem! – wykrzyknął po lotryjsku. – Zapewnią nam bezpieczny powrót do domu!

Całą czwórką ruszyli naprzód. Wznosili obnażone miecze i rozcapierzone na podobieństwo szponów demona palce. A demon właśnie znikł. Wtedy otwarły się przeciwległe drzwi i do środka wpadł uzbrojony po zęby Zhamel Seh. Rzucił po mieczu Derezongowi i Vuarowi, ci pochwycili je za rękojeści, pomocnik Derezonga ścisnął swoją broń w potężnej pięści i stanął obok władcy i czarodzieja.

– Za późno – rzekł inny Lotryjczyk. – Zabijmy ich i uciekajmy! To nasza jedyna szansa!

Zmieniwszy słowo w czyn, natarł na trzech Lorskan. Brzdęk! Brzdęk! Miecze zadźwięczały, zderzając się w mroku komnaty, gdy siedmiu mężczyzn starło się w śmiertelnym boju, tnąc i parując ciosy. Król Vuar zarzucił niedźwiedzią skórę na lewe ramię jako tarczę i walczył nago, nie licząc korony. Lorskane jako więksi mieli przewagę zasięgu, niwelowaną przez wiek króla i tuszę oraz kiepskie wyszkolenie czarodzieja.

Choć Derezong ciął i pchał dzielnie, szybko odkrył, że jest spychany do kąta, a potem poczuł ukłucie rany na ramieniu. W obecnej sytuacji niewiele mógł zrobić. Bez względu na to, co głoszą plotki, nie da się rzucić czaru, walcząc jednocześnie o życie.

Król ryknął kilkakrotnie, wzywając pomoc, ale nie było żadnej reakcji, gdyż w wewnętrznych komnatach królewskich grube kamienne ściany, obwieszane dekoracjami, skutecznie tłumili wszelkie odgłosy, które mogłyby dobiec do sąsiednich pomieszczeń, gdzie stacjonowała gwardia królewska. Podobnie jak

pozostali, władca również został odepchnięty i cała trójka broniła się już w kącie. Któryś z napastników uderzył Derezonga płazem w skroń, aż czarodziejowi zakreśliło się w głowie. Tuż obok rozległ się metaliczny zgrzyt oznaczający, że kolejny cios trafił w królewską koronę, a jęk z miejsca, w którym walczył Zhamel, zdradził, że i pomocnik został ranny.

Derezong zorientował się, że zaczyna tracić siły. Każdy oddech sprawiał mu trudność, a mokra od potu rękojeść wyslizgiwała się z obolałych palców. Wiedział, że niewiele brakuje, by napastnicy przebili się przez jego gardę i powalili go na ziemię, chyba że wpadłby na coś, co dałoby mu przewagę.

Cisnął mieczem, nie w Lotryjczyka przed sobą, lecz w niewielką lampkę, która nadal mrugała na stole. Ta przewróciła się ze stukotem i zgasła, a Derezong Taash padł na kolana i popędził, by podnieść broń. Za sobą w ciemnościach słyszał kroki i ciężkie oddechy mężczyzn, którzy nagle przzerwali walkę w obawie przed zranieniem sojusznika. Nikt się nie odzywał, by nie zdradzić wrogowi swej pozycji.

Czarodziej tymczasem natrafił na ścianę i pełził wzdłuż niej, aż namacał róg myśliwski króla Zynah. Zerwał relikwiarz z haka, nabrał powietrza w płuca i zadał z całej siły.

W tak niewielkim pomieszczeniu ryk rogu był wręcz ogłuszający. Derezong odskoczył kilka kroków w bok, nie chcąc, by któryś z Lotryjczyków namierzył go po hałasie i ściał w mroku, po czym zadał znowu. Drzwi otwały się nagle i do środka ze szczękiem oręża i tupotem stóp wpadli strażnicy króla Vuara, unosząc wysoko pochodnie.

– Brać ich! – rozkazał król Vuar, wskazując Lotryjczyków.

Jeden z nich próbował stawić opór, lecz miecz gwardzisty pałacowego odrąbał mu rękę. Lotryjczyk wrzasnął i padł na podłogę, gdzie wykrwawił się na śmierć. Pozostali poddali się.

– A teraz – rzekł król – obdaruję was błogosławieństwem szybkiej śmierci albo oddam oprawcom, z rąk których zaznacie dłuższej i o wiele ciekawszej śmierci. Jeśli opowiecie mi wszystko o swoich planach i zamiarach, pozwolę wam skorzystać z pierwszej możliwości. Mówcie.

Lotryjczyk, który biegł na czele, gdy wpadali do sali, oznajmił:

– Wiedz, królu, że nazywam się Paanuvel i jestem mężem Ilepro. Moi towarzysze to panowie z dworu brata Ilepro, Konespa, Wielkiego Wodza Lotoru.

– Panowie! – parsknął Vuar.

– Z uwagi na fakt, że mój zięć nie ma własnych synów, obmyśliliśmy wspólnie ów subtelny plan, żeby połączyć jego królestwo z waszym i stworzyć tym samym dominium, nad którym władałby mój syn Pendetr. Ten czarodziej miał ukraść Oko Tandylii, żeby w chwili gdy Ilepro przyzwie daev Trlanga, nie obawiać się ataku magicznego. Demon miał bowiem pozbyć się ciebie, królu, ponieważ wiemy, że tylko potężna istota z innego wymiaru mogłaby zaatakować dopóty, dopóki nosisz pierścień z gwiazdowego metalu. Następnie Ilepro obwołałaby królem dziecko, Pendetra, bo zdążyłeś już uczynić go swoim dziedzicem, a sama objęłaby stanowisko regentki do czasu, aż potomek wydorosł. Oko jednak najwyraźniej nie dysponuje

już takimi antydemonicznymi właściwościami jak dawniej, ponieważ Trlang pochłonął moją żonę, chociaż ta cisnęła mu klejnot do gęby.

– Szczerze mówisz – stwierdził król Vuar. – Choć nie podobają mi się twoje zasady moralne. Nie dość, że wcisnąłeś mi własną żonę jako konkubinę, to jeszcze towarzyszyłeś jej w przebraniu. Cóż, najwyraźniej Lotryjczycy mają całkiem inne zwyczaje. Straże, wyprowadzić ich i ściąć.

– Jeszcze jedno, królu – rzekł Paanuvel. – Za nic mam swoje życie, skoro moja ukochana Ilepro nie żyje. Proszę cię jednak, byś nie karał małego Pendetra za intrygi jego ojca.

– Zastanowię się. Dobra, brać mi ich stąd i ściąć jednego z drugim. – Z tymi słowy król odwrócił się do Derezonga, który rozpaczał nad swoją raną. – Dlaczego Oko Tandylii nie zadziało?

Derezong, wciąż drżąc ze strachu, opowiedział prawdziwą historię o wyprawie do Lotoru i kradzieży szafiru w Bienkarze.

– Aha! – rzekł król Vuar. – A więc oto kara za niepoliczenie promieni widocznych w kamieniu!

Podniósł klejnot, a roztrzęsiony Derezong oczyma wyobraźni ujrzął swą egzekucję, wielce podobną do tej, która przytrafi się Lotryjczykom. Vuar jednak uśmiechnął się słabo.

– Chyba dobrze się stało, że przywieźliście niewłaściwy klejnot – rzekł król. – Jestem wam obu bardzo wdzięczny, po pierwsze za przenikliwość, z jaką rozgryźliście plany tych lotryjskich uzurpatorów, a po drugie za męstwo, z jakim walczyliście u mego boku tej nocy. Niestety, zaistniała sytuacja budzi we mnie lekkie zażenowanie, ponieważ król Daior jest moim dobrym przyjacielem. Bardzo sobie cenię jego życzliwość i nie chcę jej utracić. I chociaż powinienem zwrócić mu szafir z wyjaśnieniami i przeprosinami, samo to, że to moi ludzie buchnęli jego cacko, niezbyt mu się spodoba. Rozkazuję wam zatem wrócić natychmiast do Bienkaru...

– Och, tylko nie to! – zawołał Derezong. Słowa same wymknęły mu się z ust pod wpływem silnych emocji.

– ...wrócić natychmiast do Bienkaru – ciągnął monarcha, jak gdyby nie usłyszał protestu – i włożyć klejnot tam, gdzie się wcześniej znajdował, a więc w koronie króla Zhysku. Rozkazuję wam też zrobić to tak, by nikt się nie dowiedział, że to wy jesteście zamieszani zarówno w zniknięcie kamienia, jak i przywrócenie go na miejsce. Dla wprawnych włamywaczy, jakimi okazaliście się ty i twój pomagier, tak drobny wyczyn nie powinien stanowić poważnego problemu. Dobrej nocy, mój czarowniku.

Król Vuar zarzucił niedźwiedzią skórę na ramiona i odszedł do swych komnat. Derezong i Zhamel wpatrywali się w siebie z mieszaniną przerażenia i konsternacji.

Harlan Ellison

Gdy przyszłe pokolenia spojrzą na dwudziesty wiek z perspektywy czasu, przypuszczam, iż wyróżnią jedynie garstkę pisarzy, których dynamizm i pomysłowość uczyniły najbardziej oryginalnymi oraz wpływowymi w dziedzinie fantasy i science fiction. Byłbym bardzo zdziwiony (i rozczarowany), gdyby zabrakło wśród nich Harlana Ellisona. Ellison (ur. 1934r.), który jest o wiele lepiej znany w Stanach Zjednoczonych aniżeli w Wielkiej Brytanii, napisał kilka spośród najbardziej zdumiewających i błyskotliwych opowiadań ostatnich czterdziestu lat. Najlepsze spośród nich zostały zebrane w The Essential Ellison (1987). Utwory tego autora są często tak posępne i depresyjne, iż łatwo jest zapomnieć, że cechuje go również przewrotne poczucie humoru, i nie jestem w stanie wymyślić lepszego sposobu na zamknięcie antologii jak tylko historią Ellisona o Trzech Królach.

Harlan Ellison

MIEJSCÓWKA, DO KTÓREJ NIE DOCIERAJĄ TURYSY

Opowieść o Trzech Królach i o Gwieździe, napisana na ów Święty Czas

Zatrzymali się na noc tuż za granicą marzenia, a z obłączeniem postanowili zaczekać do pierwszego brzasku.

Melchior otworzył bagażnik rollsa. Przez chwilę grzebał w środku, aż znalazł nadmuchiwany materac i nadmuchiwany telewizor, po czym przyniósł obie rzeczy do oczyszczonego kręgu. Wyciągnął korek z materaca i zabrał się do dmuchania, póki ten nie osiągnął właściwych, królewskich rozmiarów. To samo uczynił z telewizorem, po czym strzelił palcami i aparat się włączył.

– Nie – odezwał się Kacper. – Nie zniosę już tego dłużej! Wszystko, tylko nie kolejna noc oglądania wyścigów na rolkach! Jestem królem Orientu i prędzej trafi mnie szlag, niż spędzę kolejną noc, słuchając tych prymitywów, jak kopią się i spychają z torów!

Melchior zapalił lampkę.

– No to mnie pozwij – powiedział, kładąc się na materacu i wygładzając kołderkę z moleskinu. – Dobrze wiesz, że cierpię na bezsenność. Wiesz też, że mam okropną przepuklinę przelyku, a okład z ziemniaków zalega mi na piersi niczym kamienie młyńskie. Choć raz okaż się człowiekiem, przecież to nie może boleć aż tak bardzo.

Kacper uniósł kielich z mirrą, który był symbolem śmierci, i pogroził nim Melchiorowi.

– Ty hipochondryku! Tak, jesteś hipochondrykiem, oszustem, symulantem! Ty po prostu lubisz oglądać, jak te lampucery z najgorszych spelun okładają się pięściami. Przepuklina, też mi coś! Ja cię znam! Oglądałbyś zapasy w błocie i rozwodził się nad zauważonymi tam estetycznymi wartościami niuansów baletowych. Wyłącz to, na Jehowę, lub przynajmniej znajdź kanał z kazaniem na koniec dnia!

– Żeberka są już prawie gotowe – przerwał im Baltazar. – Sos łagodny czy pikantny?

Kacper uniósł wzrok ku gwiazdom, które były poza jego zasięgiem, a mimo to oszalał blisko, i przemówił do Jehowy:

– I znów pojawia się konflikt etniczny. Żyd Wieczny Tułacz doprowadza mnie do szału tym swoim światłem, którego nigdy nie gasi, całymi nocami ogląda zinstytucjonalizowaną rozpierduchę, a za dnia pobrzękuje złotymi łańcuchami. Czarna Perła dla odmiany zawziął się, żebym zszedł na zgagę, zanim uda mi się znaleźć Zbawcę. Dzięki, Jahwe, wielkie dzięki. Poczekam, aż ty będziesz czegoś ode mnie chciał.

– Łagodny czy pikantny? – powtórzył Baltazar z rezygnacją.

– Poproszę łagodny – rzekł słodko Melchior. – I kapkę sosu jabłkowego gdzieś z boku, dobrze?

– Ja poproszę coś z chińszczyzny – powiedział Kacper. W jego lewej dłoni zmaterializowały się malachitowe pałeczki, które ujął niemalże u samego końca, co miało sugerować, że pochodzi z najwyższej kasty.

– Drażni się tylko z tobą – powiedział Melchior. – Nie powinieneś się tym przejmować, mój Baltazarku. Podaj mu porządną porcję przepysznych żeberek.

– Zbaw mnie – mruknął Kacper.

I tak usiedli pod gwiazdami, król nubijski, król Orientu i król hebrajski, i zjedli kolację, a potem oglądali wyścigi na rolkach. Zagrali również w grę słowną zwaną duchem, ale ich wesołość urwała się gwałtownie i przerodziła w rozgoryczenie, gdy Baltazar i Melchior naskoczyli na Kacpra. Ten upierał się bowiem, że słowo „chipsy” to nie nazwa rodzajowa, a nazwa handlowa. W końcu położyli się spać. Telewizor ciągle gadał do siebie. Światło z lampki Melchiora odbijało się od kineskopu.

Nocą gwiazdy jasno świeciły, wzywając władców nawet we śnie. Nad ich głowami przemknęły rozpoznawcze oddziały Sił Chaosu, łopocząc skórzastymi skrzydłami i pozostawiając po sobie obrzydliwy smród brytyjskich autobusów piętrowych Leyland.

Gdy Melchior obudził się rano, jego pierwszymi słowami były:

– Kto walnął kupę w nocy?

– Spójrz tylko – wskazał mu Baltazar.

Ziemia dookoła pokryta była cieniami oddziałów nietoperzy, które przeleciały nad nimi w nocy, cieniami, które wciąż zalegały na ziemi, pomimo że stwory już dawno odleciały, ciemnymi, czarnymi jak sadza kształtami straszliwych stworzeń w pełnym locie.

– Zawsze sądziłem, że wyglądają tak jak te latające mały z ekranizacji

Czarnoksiężnika z Krainy Oz z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego. Produkcja studio MGM, efekty specjalne Arnold Gillespie, charakteryzacja Jack Dawn – rzekł Kacper z namysłem.

– Słuchaj no, Żółta Raso – rzekł Baltazar. – Później będziesz ćwiczyć pamięć i popisywać się, ile pierdołów zapamiętałeś. Na wypadek gdybyś nadal nie łapał się w sytuacji, uświadomię cię, że oni wiedzą, że nadchodzimy, i będą na nas gotowi. Straciliśmy element zaskoczenia.

Melchior westchnął i dodał:

– Nie mówiąc już o tym, że wędrujemy za tą gwiazdą dokładnie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat i nawet jeśli nie są zbyt sprytni, już dawno temu powinni się byli zorientować, że jesteśmy w drodze.

– Niemniej jednak – rzekł Kacper. – Niemniej jednak – powtórzył, najwyraźniej zafascynowany frazą.

Pozostali królowie czekali, ale nie dokończył zdania.

– I tym oto optymistycznym akcentem kończąc – oznajmił Baltazar – zbierajmy się stąd, zanim znów dorwą nas na otwartym terenie.

Zebrali więc swój dobytek – należąca do Melchiora skrzynkę złotych monet południowoafrykańskich, nadmuchiwany materac i nadmuchiwany telewizor, stanowiący własność Kacpra kielich mirry, albumy Judy Garland i zestaw do kaligraficznego wypisywania wróżb do ciasteczek oraz Baltazarowy wok, oprawione w mosiądz dzieła zebrane Jamesa Baldwina oraz zestaw do pielęgnacji włosów – i poukładali wszystko schludnie w bagażniku rollsa.

Baltazar usiadł za kierownicą i po raz kolejny odmówił założenia czapki szofera, tłumacząc się względami moralnymi. I wyruszyli pod auspicjami kierownicy ze wspomaganiami, prosto przez granicę marzenia.

Gwiazda nadal świeciła nad ich głowami.

– W życiu nie widziałem czegoś równie wkurzającego – po raz dziesięciotysięczny powiedział Kacper. – Ta cholerna gwiazda urąga wszelkim prawdom mechaniki niebiańskiej.

Baltazar mruknął coś pod nosem.

Po raz dziesięciotysięczny.

– Co takiego? – zapytał Melchior. – Nie usłyszałem?

– Powiedziałem: gdyby przynajmniej gdzieś na końcu tego blasku znajdował się garnek ze złotem...

Stwierdzenie to zabrzmiało niegodziwie, podobnie jak dziesięć tysięcy razy wcześniej, i pozostali królowie postanowili je zignorować.

Na obrzeżach marzenia, gdy jechali wymagającą remontu obwodnicą, wzdłuż której ciągnęły się stoiska z fast foodami, motele z łózkami wodnymi i telewizją kablową sterowaną magicznym paluszkiem, kręgielnie, polskie kluby sportowe i parkingi zapchane używanymi riksami, natrafili na pierwszą linię oporu Sił Chaosu.

Gdy zatrzymali się na światłach, z bocznych alejek i budynków wychyły tysiące żołnierzy o małych twarzach i skrzydłach nietoperzy, co do jednego zbrojnych w

wiadra i gąbki. Bez chwili wahania zaczęli pucować przednią szybę królewskiego rollsa.

– Szybko, Kacper! – krzyknął Baltazar.

Król Orientu otworzył prawe drzwi z tyłu i wypadł na ulicę, wymachując kielichem z mirrą.

– Precz, precz, najpodlejsze łajdactwo z czeluści piekielnych! – zawył.

Żołnierze Chaosu wrzasnęli z przerażenia i jak okiem sięgnąć zaczęli padać trupem. Ich zawodzenie, krzyki i wrzaski wzniosły się nad marzeniem niczym czarny dym.

– Proszę, dość już tego! – krzyknął Melchior. – Czy naprawdę potrzebny nam jest cały ten ggiełk? Ten hałas? Obudzicie dziecko!

Baltazar przygazował ostro, Kacper wskoczył na tylne siedzenie i trzasnął drzwiami. Samochód ruszył naprzód, pomimo że światło nadal było czerwone – co oczywiście, podobnie jak wszystkie inne czerwone światła, było owocem działań Sił Chaosu.

Przez cały dzień królowie przygotowywali obłęzenie marzenia.

W Klubie Samochodowym dowiedzieli się, że nie dostaną się tam z tego miejsca. Fotokamery ustawione były na wylapywanie pojazdów podróżujących z prędkością dziewięciu mil na godzinę. Sekty religijnych fanatyków rzucały się pod zderzaki. W końcu królowie dotarli jednak do Stajenki, która, jak się okazało, należała do sieci Hyatt, i przebili się do środka dzięki swym wielce gustownym darom.

Tam, w niezbyt drogim pokoiku, zastali Zbawcę, którym zajmowali się bezrobotny stolarz, kobieta, najwyraźniej niespełna rozumu, ponieważ bez ustanku powtarzała, że została zgwałcona przez Boga, oraz cała gromada najrozmaitszych pasterzy, rzeźników, właścicieli sklepów ze zwierzętami, sprzedawczyń z butików, księgowych z uprawnieniami, akwizytorów sprzedających T-shirty, dziennikarzy prowadzących śledztwo, gapiów, a także Sammy Davis Jr i człowiek mający charta, o którym mówiono, że potrafi złapać dwa frisbee za jednym razem.

I oto trzech królowie weszli do Stajenki, z trudem przedzierając się przez tłum zebranych. Wreszcie ułożyli swe dary i zapatrzyli się w śpiące dziecko.

– Nazwiemy go Jomo – odezwał się Baltazar, nie chcąc, by ktoś go ubiegł.

– Chyba na łeb upadłeś – rzekł Kacper. – Żeby ludzie na całym świecie mówili: „Merry Jomomas”? Nazwiemy go Lao-Tzu. Płynie, śpiewa, wznosi się w powietrze.

Kłócili się jeszcze przez chwilę i w końcu zgodzili się, by nazwać je Chrystusem, co w połączeniu z Jezusem dawało dwa wyrazy na odpowiednio pięć i osiem liter, a zatem nadawało się do umieszczenia w przesuwających się napisach reklamowych.

Po dwóch tysiącach lat poszukiwań byli jednak niepokieszeni. Spoglądali na śpiące dziecko, które wyglądało jak wszystkie inne dzieci na świecie – jak miniaturowa, mięciutka wersja W.C. Fieldsa [*komik i aktor amerykański działający w pierwszej połowie XX wieku, który wykreował się jako tego pijający, cyniczny egoista*] poplamionego winem sprzedanym, zanim porządnie dojrzało.

– Garnek ze złotem sprawiłby mi tyle samo przyjemności – mruknął Baltazar.

– Szkoda, że po dwóch tysiącach lat nikt nawet krzesła nie podsunie – rzekł Kacper.

Melchior zaś podsumował wszystkie ich nadzieje i marzenia o lepszym świecie jednym zdaniem:

– Wiecie co? Może to zabawne, ale na Żyda to on mi nie wygląda.

The logo for Bevitore, featuring the word "Bevitore" in a white serif font centered within a dark red rectangular background.